ŚLADY ZBRODNI

JO NESBØ



Za krew
zapłacisz **krwią**

MACBETH

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

JO NESBØ

POWIEŚCI Z HARRYM HOLE

CZŁOWIEK NIETOPERZ
KARALUCHY
CZERWONE GARDŁO
TRZECI KLUCZ
PENTAGRAM
WYBAWICIEL
PIERWSZY ŚNIEG
PANCERNE SERCE
UPIORY
POLICJA
PRAGNIENIE

INNE POWIEŚCI

ŁOWCY GŁÓW
SYN
KREW NA ŚNIEGU
WIĘCEJ KRWI
MACBETH



Jo Nesbo Polska

jonesbo.pl

JO

NESBØ

MACBETH

Przełożyła z norweskiego
Iwona Zimnicka

WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

WROCŁAW 2018

Tytuł oryginału
Macbeth

Projekt okładki
MARIUSZ BANACHOWICZ

Fotografia na okładce
© iStock.com/RyanJLane

Redakcja
IWONA GAWRYŚ

Korekta
ANNA KURZYCA

Redakcja techniczna
KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Copyright © Jo Nesbø 2018
First published as *Macbeth* by Hogarth

Cytat na ss. 431, 432 pochodzi z *Makbeta* Williama Shakespeare'a, przeł. Maciej Słomczyński, Warszawa 2006, s. 96-97.

Polish edition © Publicat S.A. MMXVIII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.
All rights reserved

Wydanie elektroniczne 2018

ISBN 978-83-271-5850-5

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

jest znakiem towarowym Publicat S.A.
Publicat S.A.
61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej


publio

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ I

1
2
3
4
5
6
7
8
9

CZĘŚĆ II

10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24

CZĘŚĆ III
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
Reklama
Przypisy

CZĘŚĆ I

1

Przezroczysta kropla deszczu spadała z nieba przez ciemność w stronę migoczących świateł portowego miasta. Zimne porywy wiatru z północnego zachodu rzuciły ją nad wyschnięte łożysko rzeki, przecinające miasto wzdłuż, i pognały nad nieczynną linię kolejową, przecinającą miasto w poprzek. Cztery ćwiartki, na które podzielone było miasto, zostały ponumerowane zgodnie z ruchem wskazówek zegara – oprócz tego nie miały żadnej nazwy. Przynajmniej takiej, którą wciąż pamiętaliby mieszkańcy. A gdyby tych samych mieszkańców spotkało się gdzieś daleko od domu i spytało, skąd pochodzą, mogłoby się zdarzyć, że nie pamiętaliby nawet, jaką nazwę nosi samo miasto.

Kropla deszczu z przezroczystej zmieniała się w coraz bardziej szarą, w miarę jak przebijała się przez sadze i trucizny unoszące się nad miastem niczym stała pokrywa z mgły, mimo że w ostatnich latach fabryki po kolei zamykano. Mimo że bezrobotnych nie stać już było na palenie we własnych piecach. Mimo humorzastego, gwałtownego wiatru i nieustannie kapiącego deszczu, który, jak powiadano, rozpadał się ćwierć wieku temu, kiedy to ostatniej wojnie światowej położono kres przy użyciu dwóch bomb atomowych – innymi słowy, w tym samym czasie, gdy stanowisko

komendanta miejskiej policji objął Kenneth. Ze swego gabinetu na najwyższym piętrze Komendy Głównej Kenneth żelazną ręką fatalnie władał miastem przez dwadzieścia pięć lat, bez względu na to, kto zasiadał w fotelu burmistrza czy co mówili potężni panowie w stolicy, Capitolu, i jakich dopuścili się zaniedbań, żeby drugie co do wielkości, a niegdyś najważniejsze miasto przemysłowe w kraju zapadło się w bagno korupcji, bankructw, przestępczości i chaosu. Sześć miesięcy wcześniej komendant Kenneth spadł w swoim domu z krzesła i trzy tygodnie później już nie żył. Po pogrzebie godnym dyktatora Rada Miasta wraz z burmistrzem Tourtellem ściągnęła na stanowisko komendanta policji Duncana, mężczyznę o szerokim czole, syna biskupa, a zarazem szefa Wydziału Przestępczości Zorganizowanej w Capitolu. Wraz z jego przybyciem wśród zaskoczonej ludności zapłonęła nadzieja.

Decyzja rady była zaskakująca, gdyż Duncan nie wywodził się ze starej szkoły hołdujących politycznemu pragmatyzmowi policjantów, lecz z nowego pokolenia dobrze wykształconych dowódców, będących zwolennikami reform, otwartości, modernizacji oraz walki z korupcją, w przeciwieństwie do większości wyłonionych w wyborach miejskich polityków.

Nadzieja mieszkańców na to, że wreszcie będą mieli uczciwego komendanta policji, nieugiętego wizjonera, który zdoła wyciągnąć miasto z bagna, otrzymała pożywkę, kiedy Duncan wymienił dawnych naczelników w komendzie, zastępując ich własnymi, starannie dobranymi funkcjonariuszami. Młodymi, nieskalanymi idealistami, którzy naprawdę chcieli, by to miasto stało się lepszym miejscem do życia.

Wiatr zaniósł kroplę deszczu nad Dystrykt 4 Zachód i nad najwyższy punkt miasta – wieżę radiową na dachu studia, skąd

samotny i zawsze ociekający moralną urazą głos należący do Walta Kite'a oznajmiał ze zgrzytającym „r", że oto do miasta przybył zbawca. Za życia Kennetha Kite jako jedyny miał odwagę krytykować komendanta policji i zarzucać mu przynajmniej niektóre z popełnionych przez niego przestępstw. Tego wieczoru Kite chrapliwie obwieścił, że Rada Miasta zamierza zrobić wszystko, co w jej mocy, aby odebrać komendantowi policji pełnomocnictwa zapewnione sobie niegdyś przez Kennetha, za których sprawą zyskał realną władzę nad miastem. Oraz że paradoksalnie w konsekwencji następca Kennetha, dobry demokrata, komendant Duncan, nie będzie miał dostatecznej władzy, aby przeprowadzić reformy, których słusznie pragnął. Dalej Kite stwierdzał, że w zbliżających się wyborach na burmistrza „...Tourtell, od lat zasiadający na stanowisku, a przez to najtłustszy burmistrz w kraju, nie ma żadnego przeciwnika. Absolutnie żadnego. Któż bowiem może konkurować z żółwiem Tourtellem noszącym na grzbiecie irytującą skorupę przaśnej jowialności i moralnej nieskazitelności, po której wszelka krytyka po prostu spływa jak woda po kaczce?".

W Dystrykcie 4 Wschód kropla deszczu minęła Obelisk, dwudziestopiętrowy przeszklony hotel z kasynem, który sterczał niczym rozświetlony środkowy palec z brunatnoczarnej trzypiętrowej ponurości, stanowiącej resztę miasta. Wiele zdumienia budził paradoks, że im mniej przemysłu i im większe bezrobocie, tym bardziej popularne wśród mieszkańców stało się przegrywanie pieniędzy, których nie mieli, w jednym z dwóch działających w mieście kasyn.

„To miasto przestało dawać, a zaczęło odbierać" – zgrzytał Kite na falach radiowych. „Najpierw zlikwidowaliśmy przemysł, potem kolej, żeby nikt nie mógł się stąd wydostać. Następnie zaczęliśmy otumaniać mieszkańców narkotykami sprzedawanymi w miejscu,

gdzie wcześniej kupowali bilety kolejowe, żeby móc ich potem w spokoju obrabować. Nigdy nie przypuszczałem, iż będę mówił, że tęsknię za chciwymi przemysłowcami, ale oni przynajmniej należeli do szacownej branży, w przeciwieństwie do trzech pozostałych branż, w których wciąż można się wzbogacić – hazardu, narkotyków i polityki".

W Dystrykcie 3 ciężki od deszczu podmuch przeleciał nad Komendą Główną Policji, nad kasynem Inverness i nad ulicami, z których deszcz wypędził większość ludzi pod dach, mimo wszystko jednak poruszało się tam szybko kilka szukających czegoś lub uciekających postaci. Nad Dworcem Centralnym, na który nie przyjeżdżały już pociągi, lecz zaludnionym duchami i podróżnymi: duchami tych, którzy kiedyś zbudowali to miasto z wiarą we własne siły, w etos pracy, swojego boga, technikę i następców, oraz podróżnymi wędrującymi po otwartym przez całą dobę rynku narkotyków, poszukującymi wywaru – biletu, który obiecywał niebo, a jednocześnie gwarantował piekło.

W Dystrykcie 2 wiatr świszczał w murowanych kominach dwóch największych w mieście, ale niedawno zamkniętych fabryk, Graven i Estex. Każda z nich produkowała własny stop metali, lecz jaki dokładnie był jego skład, nie potrafili powiedzieć nawet ci, którzy pracowali przy piecach – wiedzieli tylko, że Koreańczycy zaczęli produkować te same stopy znacznie taniej. Może rozpad stał się już tak bardzo widoczny za sprawą klimatu panującego w mieście, a może było to tylko wrażenie, może świadomość bankructwa i ruiny sprawiała, że milczące wygaszone fabryki zdawały się wznosić, jak mówił Kite, „...niczym splądrowane katedry kapitalizmu w mieście odszczepieńców i niewiernych".

Deszcz przesuwał się w stronę południowego wschodu, nad ulice z porozbijanymi latarniami, gdzie szakale oparte o mury domów,

chroniąc się przed nieustannym posikiwaniem z nieba, rozglądały się dokoła, obserwując zwierzynę łowną pospiesznie kierującą się tam, gdzie było więcej światła, a zatem bezpieczniej. W jednym z ostatnich wywiadów Kite spytał komendanta Duncana, dlaczego w mieście prawdopodobieństwo zostania obrabowanym jest sześć razy większe niż w Capitolu, na co Duncan stwierdził, iż cieszy się, że nareszcie zadano mu proste pytanie, i odpowiedział: „To dlatego, że liczba bezrobotnych jest tu sześć razy większa niż w stolicy, a liczba narkomanów – większa dziesięciokrotnie".

W porcie stały pokryte gryzmołami kontenery i sfatygowane statki transportowe; ich kapitanowie spotykali się w odludnych miejscach ze skorumpowanymi pracownikami kapitanatu i wręczali im szare koperty – gwarantujące szybsze zezwolenie na wpłynięcie do portu i zajęcie miejsca przy nabrzeżu – z kwotami, które armatorzy zaksięgują na kontach przeznaczonych na wydatki różne, a potem poprzysięgną sobie, że już nigdy więcej nie przyjmą zlecenia, które miałoby ich znów sprowadzić do tego miasta.

Jednym z tych statków był m/s Leningrad, radziecka jednostka, z której kadłuba deszcz spłukiwał tyle rdzy, że wyglądało to tak, jakby do basenu portowego lała się krew.

Kropla deszczu wpadła w snop elektrycznego światła lampy na dachu jednego z piętrowych drewnianych budynków, w których mieściły się magazyn, biuro kapitanatu i zamknięty klub bokserski, przedostała się między ścianę a zardzewiałe wraki i uderzyła w wikiński róg. Spłynęła po nim na kask motocyklowy, do którego róg był przymocowany, a z kasku dalej na plecy obciągnięte skórzaną kurtką z wyhaftowanym gotyckimi literami napisem *NORSE RIDERS*. Stamtąd zsunęła się na czerwony motocykl Indian Chief, aż w końcu wpadła w oś powoli obracającego się tylnego

koła, gdzie poddana wirowaniu przestała być kroplą i zlała się z trującą wodą, z miastem, ze wszechświatem.

Za czerwonym motocyklem jechało jedenaście innych. Minęły latarnię umieszczoną na ścianie jednego z piętrowych, pogrążonych w ciemności budynków portu.

* * *

Światło latarni wpadło przez okno biura werbunkowego na piętrze wprost na dłoń spoczywającą na ogłoszeniu, w którym m/s Glamis poszukiwał jungi do kambuza. Palce były długie, szczupłe jak u pianisty, a paznokcie wypielęgnowane. Wprawdzie twarz pozostawała skryta w cieniu, nie było więc widać intensywnie niebieskich oczu, mocno zarysowanego podbródka, cienkich, chytrych warg i nosa w kształcie agresywnego dzioba, ale mimo wszystko jaśniała blizna ciągnąca się jak kometa na ukos od szczęki do czoła.

– Już są – oznajmił komisarz Duff z nadzieją, że jego ludzie z Wydziału Narkotykowego nie usłyszą mimowolnego lekkiego wibrato w głosie szefa. Liczył na to, że Norse Riders wyślą po narkotyki jakichś trzech, czterech, najwyżej pięciu ludzi. W konwoju powoli wyłaniającym się z mroku naliczył jednak dwanaście motocykli. Dwa ostatnie wiozły dodatkowo pasażerów. Czternastu ludzi przeciwko jego dziewięciu. No i były wszelkie powody, aby przypuszczać, że ridersi są uzbrojeni. Ciężko uzbrojeni. A jednak to wcale nie układ sił wywołał drżenie strun głosowych Duffa. Chodziło o to, że właśnie spełniało się jego najgłębsze marzenie. To ten człowiek prowadził konwój, nareszcie znalazł się w zasięgu.

Nie ujawniał się miesiącami, ale tylko on miał taki kask i czerwony motocykl Indian Chief, będący, jak głosiły plotki,

jednym z pięćdziesięciu motorów wyprodukowanych w wielkiej tajemnicy w roku 1955 dla New York Police Department. Zalśniła stal wystająca z zakrzywionej pochwy przymocowanej do boku motocykla.

Sweno.

Niektórzy twierdzili, że nie żyje, inni, że uciekł za granicę, zmienił tożsamość, obciął jasne warkocze i siedzi teraz gdzieś na tarasie w Argentynie, ciesząc się starością i cieniutkimi cygaretkami.

Ale teraz był tutaj. Przywódca bandy i zabójca policjantów, który po wojnie założył wraz z Sierżantem gang Norse Riders. Wybrali młodych, pozbawionych korzeni mężczyzn, w większości pochodzących ze zrujnowanych, wzniesionych nad cuchnącą ściekami rzeką domów robotników fabrycznych, wytrenowali ich, zdyscyplinowali i tak starannie wyprali im mózgi, że mężczyźni ci zmienili się w armię nieznających strachu żołnierzy, których Sweno mógł wykorzystywać do swoich celów – do opanowania miasta i zmonopolizowania rosnącego rynku narkotyków. Przez pewien czas wyglądało na to, że Swenowi się powiedzie, w każdym razie to nie Kenneth i Komenda Główna go powstrzymali. Wręcz przeciwnie, tam Sweno kupił sobie wszelką pomoc, jakiej potrzebował. Powstrzymała go konkurencja. Produkowany przez Hekate narkotyk, nazywany wywarem, był po prostu lepszy, tańszy i nigdy go nie brakowało. Lecz jeśli anonimowy informator, który dał cynk Duffowi, nie kłamał, to ta partia narkotyków mogła być dostatecznie duża, aby na pewien czas rozwiązać problemy Norse Riders z dostawami. Duff poczuł nadzieję, chociaż nie całkiem uwierzył w to, co mówiły krótkie, napisane na maszynie linijki listu zaadresowanego bezpośrednio do niego. To po prostu zbyt hojny dar. Taki prezent – pod warunkiem odpowiedniego wykorzystania – mógł posłać szefa Wydziału Narkotykowego wysoko w górę.

Komendantowi Duncanowi nie udało się jeszcze obsadzić swoimi ludźmi wszystkich ważnych stanowisk w Komendzie Głównej. Został na przykład Wydział Gangów, gdzie dawny poplecznik Kennetha, komisarz Cawdor, ciągle czepiał się stołka, ponieważ wciąż nie udało się znaleźć przeciwko niemu konkretnych dowodów na korupcję, ale to raczej jedynie kwestia czasu. A Duff był jednym z ludzi Duncana. Kiedy pojawiły się sygnały o ewentualnym mianowaniu Duncana komendantem policji, Duff zadzwonił do niego do Capitolu i jasno, choć nieco pompatycznie oznajmił, że jeśli Rada Miasta nie powoła Duncana, tylko któregoś z maruderów Kennetha, to on, Duff, złoży wypowiedzenie. Niewykluczone, że Duncan domyślił się osobistego motywu tej bezwarunkowej deklaracji lojalności, ale co z tego? Duff szczerze pragnął wspierać plan Duncana, aby zrobić z policji uczciwą siłę, która będzie służyć głównie mieszkańcom miasta. Naprawdę tego chciał. Ale pragnął również mieć gabinet w Komendzie Głównej, i to jak najbliżej nieba. Któż by tego nie chciał? No i chciał uciąć głowę mężczyźnie, którego widział teraz przez okno.

Sweno.

On był zarówno środkiem, jak i celem.

Duff spojrzał na zegarek.

Godzina zgadzała się z informacją w liście co do minuty. Duff na moment przyłożył koniuszki palców jednej ręki do wnętrza nadgarstka drugiej. Wyczuł przyspieszone tętno. Teraz już nie tylko miał nadzieję, zaczynał też wierzyć.

– Duff, dużo ich jest? – rozległ się nagle szept.

– Dostatecznie dużo, żeby chwała była wielka, Seyton. A jeden z nich jest tak ogromny, że przy jego upadku huk rozniesie się po całym kraju.

Duff przetarł zaparowaną szybę. Dziesięciu podenerwowanych, spoconych policjantów w niewielkim pomieszczeniu. Podobne zadania nie wchodziły w zakres ich obowiązków. Duff jako naczelnik Wydziału Narkotykowego samodzielnie podjął decyzję, że nie pokaże tego listu nikomu innemu i przeprowadzi akcję wyłącznie ze swoimi ludźmi. Korupcja i przecieki miały w komendzie zbyt długą tradycję, aby mógł ryzykować inne rozwiązanie. Przynajmniej tak miał zamiar odpowiedzieć komendantowi Duncanowi, gdyby ten go o to spytał. Nie spodziewał się jednak zbyt wielu pytań krytycznych. Nie zadaje się ich komuś, kto zatrzymuje największą partię narkotyków wszech czasów i trzynastu członków Norse Riders przyłapanych na gorącym uczynku.

Tak, właśnie trzynastu. Nie czternastu. Jeden zginie na polu bitwy. Jeśli tylko nadarzy się okazja.

Duff zacisnął zęby.

– Mówiłeś, że będzie ich czterech czy pięciu – odezwał się Seyton, który też podszedł do okna.

– Boisz się?

– Nie, ale ty powinieneś się bać, Duff. Zebrałeś w tym pokoju dziewięciu ludzi, a ja jako jedyny mam doświadczenie w ostrych akcjach – powiedział Seyton, nie podnosząc głosu. Był to chudy, żylasty, łysy mężczyzna. Duff nie miał pojęcia, od jak dawna Seyton służy w policji, wiedział jedynie, że pracował za czasów Kennetha. Duff próbował się go pozbyć. Nie miał wprawdzie na Seytona nic konkretnego, ale coś w tym człowieku, czego nie umiał nazwać, sprawiało, że czuł się nieswojo. – Dlaczego nie wezwałeś Gwardii, Duff?

– Im mniej osób będzie w to zaangażowanych...

– ...z tym mniejszą liczbą będziesz musiał dzielić się chwałą. Bo o ile dobrze widzę, to albo mam przed oczami ducha, albo Swena we własnej osobie. – Seyton ruchem głowy wskazał indian chiefa, który zatrzymał się przy trapie prowadzącym na m/s Leningrad.

– Mówicie, że to Sweno? – Z ciemności za ich plecami dobiegł zalękniony głos.

– Owszem. A ridersów jest okrągły tuzin – odparł Seyton głośno, nie odrywając oczu od Duffa. – Co najmniej.

– O kurwa – mruknął któryś.

– Nie powinniśmy zadzwonić do Macbetha? – spytał trzeci.

– Słyszysz? – powiedział Seyton. – Nawet twoi ludzie chcieliby, żeby przejęła to Gwardia.

– Zamknij się! – syknął Duff, odwrócił się i wycelował palec w ogłoszenie na ścianie. – Tu jest napisane, że m/s Glamis wypływa do Capitolu w piątek o szóstej zero zero i poszukuje jungi do kambuza. Zgodziliście się na udział w tej akcji, ale ten, który zamiast tego miałby ochotę zaciągnąć się na statek, dostanie moje błogosławieństwo. Podobno lepiej tam płacą i lepiej karmią. Ręka do góry, kto się zgłasza.

Duff zmrużył oczy, patrząc w ciemność na nieruchome sylwetki bez twarzy. Usiłował zrozumieć, co oznacza milczenie. Już żałował, że rzucił im wyzwanie. No bo co by było, gdyby któryś rzeczywiście podniósł rękę? Zwykle unikał ustawiania się w pozycji zależności od innych, ale teraz potrzebował każdego z tych mężczyzn. Jego żona twierdziła, że Duff woli działać solo, ponieważ nie lubi ludzi. Coś mogło w tym być, ale prawda wyglądała inaczej: to ludzie nie lubili jego. Nie żeby wszyscy żywili do niego niechęć, ale wydawało się, że jest coś – być może w jego osobowości – co działa odpychająco. Nie wiedział tylko co. Przecież nie

brakowało mu urody ani pewności siebie, cech pociągających pewien typ kobiet. Był uprzejmy, zorientowany w świecie i bardziej inteligentny od większości osób, które znał.

– Nikt? Naprawdę? Dobrze, wobec tego działamy według planu, tyle że z paroma drobnymi zmianami. Seyton z trzema swoimi ludźmi po wyjściu stąd kieruje się w prawo i kryje tylną połowę tej kawalkady. Ja z moimi trzema idę w lewo. A ty, Sivart, natychmiast lecisz w lewo poza krąg światła, w ciemności obiegasz ridersów od tyłu i ustawiasz się na trapie, tak żeby nikt nie mógł zejść ze statku ani na niego wejść. Zrozumiano?

Seyton chrząknął.

– Sivart jest najmłodszy i...

– ...najszybszy – wszedł mu w słowo Duff. – Nie prosiłem o komentarz, pytałem tylko, czy moje słowa zostały zrozumiane. – Po kolei przyjrzał się twarzom bez wyrazu. – Przyjmuję to za potwierdzenie. – Znów odwrócił się do okna.

W ulewnym deszczu zszedł po trapie niski krzywonogi mężczyzna w białej kapitańskiej czapce. Zatrzymał się przed człowiekiem na czerwonym motocyklu. Motocyklista nie zdjął kasku, tylko uniósł przyłbicę, nie zgasił nawet silnika. Usadowiony na siodełku w obscenicznym rozkroku, słuchał, co mówi kapitan. Spod kasku wystawały dwa jasne warkocze, sięgające aż do emblematu Norse Riders.

Duff wziął głęboki oddech. Sprawdził pistolet.

Najgorsze było to, że Macbeth do niego dzwonił, bo miał anonimowy telefon z tym samym cynkiem, i zaproponował asystę Gwardii. Duff jednak odmówił, wskazując, że przecież chodzi tylko o przejęcie ciężarówki, i poprosił Macbetha, żeby ten zachował informację dla siebie.

Na sygnał mężczyzny w kasku wikinga podjechał jeden z pozostałych motocykli i gdy jego kierowca otworzył aktówkę przed kapitanem statku, Duff dostrzegł krokiewki sierżanta naszyte na rękaw skórzanej kurtki. Kapitan kiwnął głową, podniósł rękę, a sekundę później zazgrzytało spragnione smaru żelazo i zapaliło się światło dźwigu, którego ramię wychyliło się z nabrzeża.

– Już niedługo – powiedział Duff. Głos miał teraz pewniejszy. – Zaczekamy, aż narkotyki i forsa przejdą z rąk do rąk, wtedy uderzymy.

W milczeniu pokiwali głowami. Wcześniej starannie omawiali plan, ale przewidywali maksymalnie pięciu kurierów. Czy to możliwe, że Sweno dostał cynk o prawdopodobnej interwencji policji i dlatego stawił się w takim składzie? Nie, wtedy odwołałby całą akcję.

– Czujesz ten zapach? – spytał szeptem stojący obok Duffa Seyton.

– Czego?

– Ich strachu. – Seyton zamknął oczy, nozdrza mu drgały.

Duff zapatrzył się w deszczową noc. Czy w tej chwili przyjąłby propozycję Macbetha i Gwardii? Długimi palcami powiódł wzdłuż ukośnie biegnącej blizny. Teraz nie było się nad czym zastanawiać. Musiał to zrobić, zawsze musiał to zrobić. Sweno tu był, a Macbeth i jego gwardziści spali w swoich łóżkach.

Macbeth leżał na plecach. Ziewnął, wsłuchany w bębnienie deszczu nad głową. Poczuł, że trochę zesztywniał, i obrócił się na bok.

Siwowłosy mężczyzna uniósł brezent i wsunął się do środka. Trzęsąc się z zimna, w ciemności przeklinał pod nosem.

– Zmokłeś, Banquo? – spytał Macbeth, kładąc dłonie na szorstkiej papie dachowej pod sobą.

– Niech to szlag, żeby stary, połamany reumatyzmem człowiek musiał mieszkać w tej dziurze, gdzie ciągle leje. Powinienem iść na emeryturę i przenieść się na wieś. Kupić sobie domek w Fife czy gdzieś w pobliżu i siedzieć na werandzie w słońcu, słuchać brzęczenia pszczół i śpiewu ptaków.

– Zamiast na dachu w porcie kontenerowym w środku nocy? Żartujesz sobie?

Zaśmiali się cicho.

Banquo włączył latarkę wielkości długopisu.

– Tu jest to, co chciałem ci pokazać.

Macbeth wziął latarkę i oświetlił nią rysunki, które podał mu Banquo.

– To gatling. Piękna broń jak na takie działko, prawda?

– Jej urodzie nic nie brakuje, Banquo.

– No to pokaż ją Duncanowi. Wyjaśnij, że Gwardia musi ją mieć. Natychmiast.

Macbeth westchnął.

– On nie chce.

– To wytłumacz mu, że będziemy przegrywać tak długo, jak Hekate i Norse Ridersi będą mieli cięższą broń niż my. Wytłumacz mu, co potrafi zdziałać gatling. Wytłumacz, co mogą zdziałać dwa.

– Duncan nie chce eskalacji użycia broni, Banquo. A ja uważam, że w pewnym sensie powinniśmy mu przyznać rację. Odkąd został komendantem, do strzelanin nie dochodzi już tak często.

– Miasto ciągle się wyludnia z powodu przestępczości.

– To dopiero początek. Duncan ma plan. Słuszny. I chce go zrealizować.

– Wiem, wiem. Nie powiem, żebym się z nim nie zgadzał. Duncan to dobry człowiek. Ale naiwny – westchnął Banquo. – A z taką bronią moglibyśmy trochę namieszać i...

Przerwało im lekkie stuknięcie w brezent.

– Zaczęli rozładowywać, szefie. – Sepleniące „sz”. To był nowy snajper w szeregach Gwardii, młody Olafson. Wraz z równie młodym Angusem było ich na miejscu zaledwie czterech, ale Macbeth wiedział, że każdy z dwudziestu pięciu członków Gwardii bez wahania zgodziłby się tu siedzieć i marznąć razem z nimi.

Macbeth zgasił latarkę, oddał ją Banquowi, a rysunki wsunął za pazuchę, pod czarną skórzaną kurtkę gwardzisty. Potem odchylił brezent i na brzuchu podpełzł do krawędzi dachu.

Banquo czołgał się obok niego.

Przed nimi nad pokładem m/s Leningrad unosiła się w świetle reflektorów prehistoryczna ciężarówka w kolorze wojskowej zieleni.

– Zis-5 – szepnął Banquo.

– Z wojny?

– No. „S” jak Stalin. Co o tym myślisz?

– Myślę, że Norse Riders mają więcej ludzi, niż spodziewał się Duff. Sweno najwyraźniej się niepokoi.

– Podejrzewa, że policja dostała cynk?

– Wtedy by nie przyjechał. Boi się Hekate. Wie, że Hekate ma więcej uszu i oczu niż my.

– No to co robimy?

– Czekamy. Może Duff da sobie radę sam. Jeśli tak będzie, nie interweniujemy.

– Chcesz powiedzieć, że ściągnąłeś tu tę piękną młodzież w środku nocy, żeby tylko się przyglądała?

Macbeth zaśmiał się cicho.

– Zgłosili się dobrowolnie. Uprzedzałem, że może być nudno.

Banquo pokręcił głową.

– Masz za dużo wolnego czasu, Macbeth. Powinieneś założyć rodzinę.

Macbeth rozłożył ręce. Uśmiech rozjaśnił jego szeroką, brodatą twarz.

– Moją rodziną jesteście ty i ci chłopcy, Banquo. Potrzeba mi czegoś więcej?

Olafson i Angus zachichotali z zadowoleniem.

– Kiedy ten chłopak wreszcie dorośnie? – mruknął Banquo zrezygnowany i starł krople deszczu z celownika karabinu Remington 700.

Bonus miał miasto u stóp. Szyba, przed którą siedział, sięgała od podłogi po sufit i gdyby nie niska pokrywa chmur, roztaczałby się stąd widok na absolutnie całe miasto. Wyciągnął rękę z kieliszkiem do szampana, wtedy jeden z dwóch młodych chłopców w bryczesach i białych rękawiczkach błyskawicznie ponownie go napełnił. Bonus wiedział, że powinien mniej pić. Ten alkohol był drogi, lecz to nie on płacił. Lekarz powiedział Bonusowi, że mężczyzna w jego wieku musi zacząć myśleć o stylu życia. Ale szampan był taki dobry. Po prostu. Taki dobry. Tak samo jak ostrygi i ogony raków. Głęboki miękki fotel. I młodzi chłopcy. Nie, nie miał do nich dostępu. Ale z drugiej strony – nie pytał.

Zabrano go z recepcji w Obelisku do penthouse'u z widokiem na port z jednej strony, a na Dworzec Centralny, plac Robotników i kasyno Inverness z drugiej. Przyjął go potężny mężczyzna o miękkich policzkach, życzliwym uśmiechu, falujących ciemnych włosach i zimnych oczach. Ten, którego nazywano Hekate. Albo Niewidzialną Ręką. Niewidzialną, bo mało kto w ogóle kiedykolwiek go widział. Ręką, ponieważ w ciągu ostatnich dziesięciu lat jego działalność w taki czy inny sposób dotknęła większość mieszkańców miasta. To znaczy jego produkt: syntetyczny narkotyk, zwany wywarem, który sam wytwarzał. Coś, co uczyniło

Hekate jednym z czterech – według ostrożnych szacunków Bonusa – najbogatszych ludzi w mieście.

Hekate odwrócił się od lornetki umieszczonej na statywie przy oknie.

– W tym deszczu trudno cokolwiek dojrzeć – stwierdził, pociągając za szelki bryczesów, a następnie wyjmując fajkę z kieszeni tweedowej marynarki przewieszonej przez oparcie krzesła. Bonus pomyślał, że gdyby wiedział, iż mają się prezentować jak angielscy myśliwi, wybrałby inny strój aniżeli zwykły, nudny garnitur. – Dźwig w każdym razie pracuje, a to oznacza, że rozładowują. Dobrze cię karmią, Bonus?

– Znakomicie. – Bonus wypił łyk szampana. – Muszę jednak przyznać, że nie mam do końca pewności, co czcimy. I dlaczego wolno mi brać w tym udział.

Hekate roześmiał się, podniósł spacerową laseczkę i wskazał na okno.

– Czcimy widok, moja droga flądro. Przecież ty, będąc rybą denną, możesz zwykle oglądać jedynie brzuch świata.

Bonus się uśmiechnął. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy protestować przeciwko określeniom używanym przez Hekate. Na to ów wielki człowiek miał zbyt dużą władzę, mógł dla niego zrobić wiele dobrego. I wiele niezbyt dobrego.

– Świat z góry jest ładniejszy – ciągnął Hekate. – Nie prawdziwszy, tylko ładniejszy. No i oczywiście czcimy to. – Laseczka wskazała na port.

– Czyli?

– Największą pojedynczą partię, jaka kiedykolwiek została przeszmuglowana do miasta, mój drogi Bonus. Cztery i pół tony czystej amfetaminy. Sweno wrzucił do puli wszystko, czym

dysponuje jego klub, plus jeszcze trochę. Tam, w dole, widzisz człowieka, który postawił wszystko na jedną kartę.

– Dlaczego to zrobił?

– Ponieważ jest zdesperowany, to oczywiste. Widzi, że przeciętny turecki produkt Norse Ridersów zostaje wypchnięty przez mój towar domowej roboty. Ale przy tak dużej partii dobrego rosyjskiego speedu rabat ilościowy i zredukowane koszty transportu umożliwią im konkurencyjność, zarówno pod względem ceny, jak i jakości. – Hekate wbił laskę w grubą wykładzinę na podłodze i dłonią pieścił pozłacany uchwyt. – Sweno nieźle to wykombinował i jeśli mu się powiedzie, to wystarczy, żeby zachwiać równowagą sił w tym mieście. Dlatego wypijmy za naszego godnego konkurenta!

Chwycił kieliszek, a Bonus posłusznie poszedł w jego ślady. W momencie jednak, gdy Hekate już miał się napić, znieruchomiał. Przyjrzał się swojemu kieliszkowi, lekko unosząc brew, wskazał na coś i oddał kieliszek chłopcu, który natychmiast zaczął go polerować rękawiczką.

– Niekorzystny dla Swena jest fakt – podjął Hekate – że trudno zamówić tak dużą partię u zupełnie nowego dostawcy w taki sposób, aby ktoś inny z branży się o tym nie dowiedział. I niestety może wyglądać na to, że ten „ktoś" przekazał policji anonimową, ale wiarygodną wskazówkę z informacją o tym, co, gdzie i kiedy.

– Na przykład pan?

Hekate uśmiechnął się krzywo, przyjął kieliszek od chłopca, odwrócił się szerokim tyłkiem do Bonusa i nachylił nad lornetką.

– Stawiają ciężarówkę na ziemi.

Bonus wstał i podszedł do okna.

– Niech pan mi powie, dlaczego sam pan nie uderzy w Swena, zamiast być tylko obserwatorem? Pozbyłby się pan jedynego

konkurenta, a przy tym zdobyłby cztery i pół tony amfetaminy wysokiej jakości, którą mógłby pan sprzedać na ulicy za miliony.

Hekate wypił łyk szampana, nie odrywając oka od lornetki.

– Krug – powiedział. – Podobno to najlepszy szampan, dlatego jedyny, jaki piję. Ale kto wie? Gdyby podano mi jakiś inny, może bym w nim zasmakował i zmienił markę.

– Nie chce pan, żeby rynek poznał smak czegoś innego niż pański wywar?

– Moją religią jest kapitalizm, a wolna konkurencja wyznaniem wiary. Każdy człowiek ma prawo iść za głosem swojej natury i walczyć o zdobycie monopolu i władzy nad światem. A obowiązkiem społeczeństwa jest nas tępić. My po prostu odgrywamy swoje role, Bonus.

– Amen.

– Cicho! Teraz przekazują pieniądze. – Hekate zatarł ręce. – *Showtime*...

Duff stał z ręką na klamce przy drzwiach wejściowych i wsłuchany we własny oddech usiłował nawiązać kontakt wzrokowy ze swoimi ludźmi. Stali w rządku na wąskich schodach tuż za nim. Zajęci własnymi sprawami. Odbezpieczaniem broni. Udzielaniem ostatniej rady stojącemu obok koledze. Odmawianiem modlitwy.

– Walizka została przekazana! – zawołał Seyton z piętra.

– Teraz! – krzyknął Duff, pchnął drzwi i przylgnął do ściany.

Mężczyźni po kolei przeciskali się obok niego i wychodzili w ciemność. Duff ruszył za nimi. Poczuł na głowie kroplę deszczu. Widział poruszające się postacie. Zobaczył, że dwa motocykle pozostawiono bez obstawy. Podniósł do ust megafon.

– Policja! Nie ruszać się i ręce do góry! Powtarzam, policja, nie ru...

Pierwszy strzał stłukł szybę w drzwiach za jego plecami, drugi musnął wewnętrzny szew nogawki spodni na wysokości uda. Potem rozległ się taki odgłos, jak wtedy, gdy dzieciaki robiły popcorn w sobotni wieczór. Broń automatyczna. Niech to szlag.

– Strzelać! – wrzasnął Duff. Cisnął megafon, rzucił się na brzuch i próbował ustawić pistolet przed sobą. Zarejestrował, że wylądował w kałuży.

– Nie! – rozległ się czyjś szept tuż obok.

Duff podniósł głowę. To był Seyton. Stał nieruchomo ze strzelbą zwieszoną wzdłuż boku. Czyżby sabotował akcję? Czy był...?

– Mają Sivarta – szepnął Seyton.

Duff mruganiem usiłował pozbyć się z oczu brudnej wody z kałuży. Wziął jednego ridersa na muszkę. Tamten jednak spokojnie siedział na swoim motocyklu z bronią wycelowaną w nich, ale nie strzelał. Co tu się, u diabła, działo?

– Jeśli nikt nie ruszy choćby pieprzonym palcem, to wszystko, do kurwy nędzy, skończy się dobrze.

Głęboki głos dochodził spoza kręgu światła i nie potrzebował megafonu.

Duff najpierw spostrzegł pusty motocykl Indian Chief. Potem dwie postacie stapiające się ze sobą w ciemności. Rogi sterczące z kasku wyższej z nich. Druga postać, którą ta pierwsza trzymała przed sobą, była o głowę niższa. I miała widoki na to, że zostanie skrócona jeszcze o głowę. Błysnęło ostrze szabli, którą Sweno trzymał na gardle młodego funkcjonariusza Sivarta.

Duff zdrętwiał.

– Teraz będzie tak – zagrzmiał bas Swena wydobywający się spod uniesionej przyłbicy. – Zabierzemy ze sobą swój majdan i odjedziemy. Cicho i spokojnie. Dwaj moi ludzie zostaną

i przypilnują, żeby żaden z was nie zrobił nic głupiego. Na przykład, żeby nie próbował jechać za nami. Zrozumiano?

Duff napiął mięśnie, chcąc wstać.

– Na twoim miejscu zostałbym w tej kałuży, szefie – mruknął Seyton. – I tak już dostatecznie to spieprzyłeś.

Duff nabrał powietrza do płuc. Wypuścił je. Znowu nabrał. Niech to szlag trafi!

– No i co? – spytał Banquo, wodząc okrągłym kółkiem lornetki po aktorach przedstawienia na nabrzeżu.

– Wygląda na to, że trzeba będzie jednak zaktywizować młodzież – powiedział Macbeth. – Ale na razie jeszcze nie. Najpierw pozwolimy, żeby Sweno i jego ludzie opuścili scenę.

– Co? Pozwolimy im się wymknąć z ciężarówką i całą resztą?

– Wcale tak nie powiedziałem, kochany Banquo. Ale jeśli teraz się włączymy, doprowadzimy do krwawej łaźni. Angus?

– Tak, szefie? – odpowiedział natychmiast młody chłopak o intensywnie niebieskim spojrzeniu, otwartej twarzy z wyraźnie odmalowującymi się na niej wszelkimi uczuciami i długich jasnych włosach, na które nie zgodziłby się raczej żaden inny szef oprócz Macbetha. Macbeth wiedział, że Angus i Olafson zaliczyli odpowiedni trening, a teraz potrzebują jedynie więcej doświadczenia. Zwłaszcza Angus powinien nabrać twardości. W trakcie rozmowy o pracę Angus wyjaśnił, że rzucił studia teologiczne, kiedy zrozumiał, że żadnego boga nie ma i tylko ludzie mogą zbawić samych siebie i innych, więc powinien zostać nie kapłanem, lecz policjantem. Macbeth uznał to za dostatecznie dobry powód, poza tym spodobało mu się takie podejście bez lęku i to, że chłopak akceptował konsekwencje tego, w co wierzył. Ale Angus musiał nauczyć się również panować nad emocjami i zrozumieć, że w Gwardii wszyscy powinni być czynnie działającymi

praktykami, rzemieślnikami prawa zajmującymi się brudną robotą. Refleksje trzeba pozostawić innym.

– Idź na tyły, przyprowadź samochód i czekaj tam w gotowości.

– Dobrze. – Angus wstał i zniknął.

– Olafson?

– Słucham.

Macbeth spojrzał na niego. Stale półotwarta gęba, seplenienie, przymknięte oczy i oceny ze szkoły policyjnej sprawiły, że kiedy Olafson zgłosił się do Macbetha, błagając o przeniesienie do Gwardii, szef jednostki miał wątpliwości. Ale chłopak naprawdę tego chciał, Macbeth postanowił więc dać mu szansę, tak jak sam ją kiedyś dostał. Potrzebował bowiem snajpera na miejsce poprzedniego, a Olafson, nawet jeśli nie wykazał się szczególnymi talentami do przedmiotów teoretycznych, to był strzelcem obdarzonym iskrą bożą.

– Na ostatnim teście ze strzelania pobiłeś rekord należący od dwudziestu lat do faceta, który leży tam. – Macbeth ruchem głowy wskazał na Banqua. – Gratuluję, znakomita robota. Rozumiesz, jakie ma to znaczenie tu i teraz?

– Hm... Nie, szefie.

– I dobrze, bo to kompletnie bez znaczenia. Masz teraz patrzeć, słuchać komisarza Banqua i się uczyć. To nie ty uratujesz dzisiejszy dzień. Twój czas przyjdzie później. Jasne?

Luźno zwisająca żuchwa i dolna warga Olafsona pracowały, lecz najwidoczniej nie zdołały wyprodukować odpowiedzi, młody policjant więc tylko kiwnął głową.

Macbeth położył rękę na ramieniu chłopaka.

– Mimo wszystko trochę zdenerwowany?

– Troszeczkę, szefie.

– To naturalne. Spróbuj się rozluźnić. I jeszcze jedno, Olafson.

– Tak?

– Nie spudłuj.

* * *

– Co się tam dzieje? – spytał Bonus.

– Wiem, co się będzie działo. – Hekate wyprostował się i odwrócił lornetkę. – Dlatego już mi nie jest potrzebna.

Usiadł w fotelu obok Bonusa, który już wcześniej zwrócił uwagę, że Hekate ma taki właśnie zwyczaj. Siada obok, a nie naprzeciwko. Jakby nie lubił, gdy ktoś na niego patrzy.

– Mają Swena i amfetaminę?

– Wprost przeciwnie. Sweno ma jednego z ludzi Duffa.

– Co? To pana nie martwi?

– Zawsze obstawiam tylko jednego konia, Bonus. I bardziej interesuje mnie szeroka perspektywa. Co myślisz o komendancie Duncanie?

– O jego obietnicy, że pana dopadnie?

– Akurat to nie martwi mnie ani trochę, ale usunął z policji wielu moich dawnych współpracowników i to już spowodowało problemy na rynku. No dalej, jesteś znawcą ludzi, widziałeś go i słyszałeś. Naprawdę jest taki nieprzekupny, jak mówią?

Bonus wzruszył ramionami.

– Każdy ma swoją cenę.

– Oczywiście, ale ceną nie zawsze bywają pieniądze. Nie wszyscy są tacy prości jak ty.

Bonus nie zareagował na obelgę, bo w ogóle jej nie wychwycił.

– Żeby wymyślić sposób na przekupienie Duncana, trzeba by wiedzieć, czego on chce.

– Duncan pragnie służyć stadu – wyjaśnił Hekate. – Zyskać miłość miasta. Mieć pomnik, którego nie każe sam postawić.

– To problematyczne. Łatwiej przekupić chciwe szkodniki, takie jak pan i ja, niż podpory społeczeństwa jak Duncan.

– Masz rację w kwestii przekupstwa – zgodził się Hekate. – Ale mylisz się w kwestii szkodników i podpór społeczeństwa.

– Tak?

– My jesteśmy fundamentami kapitalizmu, mój drogi Bonus. Próby wzbogacenia się podejmowane przez jednostkę wzbogacają stado. To mechanika w czystej postaci, dzieje się tak, chociaż ani tego nie zauważamy, ani się nad tym nie zastanawiamy. To ty i ja jesteśmy podporami społeczeństwa, a nie zbłąkani idealiści w rodzaju Duncana.

– Naprawdę tak pan myśli?

– Uważał tak filozof moralności Adam Hand.

– Że produkcja narkotyków służy społeczeństwu?

– Że każdy, kto zaspokaja popyt, uczestniczy w budowaniu społeczeństwa. Ludzie tacy jak Duncan, którzy chcą regulować i ograniczać, działają wbrew naturze i na dłuższą metę szkodzą nam wszystkim. Jak więc można dla dobra miasta unieszkodliwić Duncana? Jaki jest jego czuły punkt? Czym możemy się posłużyć? Seksem? Narkotykami? Jakimiś tajemnicami rodzinnymi?

– Bardzo dziękuję za zaufanie, panie Hekate, ale naprawdę nie wiem.

– To rzeczywiście szkoda. – Hekate miękko postukał laską o wykładzinę, jednocześnie obserwując chłopca, który siłował się z kolejną butelką szampana. – Bo właśnie zacząłem podejrzewać, że Duncan ma tylko jeden słaby punkt.

– A mianowicie?

– Długość życia.

Bonus drgnął w fotelu.

– Naprawdę mam nadzieję, że nie zaprosił mnie pan tu po to, żeby mi zlecić...

– Skądże, droga flądro. Pozwolę ci dalej leżeć nieruchomo w mule.

Bonus odetchnął z ulgą, patrząc, jak chłopak zdejmuje metalową siatkę zabezpieczającą korek.

– Ale... – zaczął Hekate – ...jesteś obdarzony bezwzględnością, brakiem lojalności i wpływami umożliwiającymi ci władzę nad tymi ludźmi, nad którymi władzy potrzebuję. Mam nadzieję, że w razie potrzeby będę mógł na ciebie liczyć. Że będziesz moją niewidzialną ręką.

Rozległ się głośny huk.

– No i stało się! – roześmiał się Bonus, kładąc dłoń na krzyżu chłopca, starającego się, aby jak najwięcej nieokiełznanego szampana trafiło do kieliszków.

Duff leżał bez ruchu na asfalcie. Obok niego jego ludzie, tak samo znieruchomiali, patrzyli, jak członkowie Norse Riders w odległości nie mniejszej niż dziesięć metrów szykują się do odjazdu. Sivart i Sweno stali w mroku poza snopem światła, ale Duff widział, że młody policjant cały drży w panice wywołanej dotykiem szabli, która przylegała do jego szyi. Duff już sobie wyobrażał, jak pod wpływem najdelikatniejszego nacisku i leciutkiego ruchu ostrze przecina skórę i tętnicę, a ciało chłopaka w ciągu kilku sekund opróżnia się z krwi. Sam poczuł nadciągającą panikę na myśl o konsekwencjach. Nie tylko konsekwencjach tego, że krew jednego z jego podwładnych splami mu zarówno ręce, jak i CV, lecz również tego, że cała ta jego osobiście wyreżyserowana akcja pójdzie w diabły właśnie teraz, kiedy komendant będzie wybierał szefa Wydziału Przestępczości Zorganizowanej, tak zwanego Pezetu.

Sweno skinął głową na jednego z ridersów, który na dany sygnał zsiadł z motocykla, stanął za Sivartem i przyłożył pistolet do głowy

chłopaka. Sweno opuścił przyłbicę, wszedł w krąg światła, zamienił kilka słów z człowiekiem, który miał na skórzanej kurtce naszywki sierżanta, usiadł okrakiem na motocyklu, pożegnał się przyłożeniem dwóch palców do kasku i odjechał wzdłuż nabrzeża. Duff musiał się mocno powstrzymywać, żeby za nim nie strzelić. Sierżant wydał kilka rozkazów i sekundę później ciemność nocy rozdarł ryk motorów.

Zostały jedynie dwa puste motocykle, wszystkie inne ruszyły za Swenem i Sierżantem.

Duff tłumaczył sobie, że nie wolno mu ulegać panice. Że musi myśleć. Oddychać. Myśleć. Na nabrzeżu było czterech mężczyzn w barwach Norse Riders. Jeden stał w cieniu za Sivartem. Drugi, w świetle, trzymał policjantów w szachu, celując w nich z AK-47. Dwaj pozostali, przypuszczalnie ci, którzy przybyli tu jako pasażerowie, wsiedli do ciężarówki. Duff usłyszał przeciągły jęk wysiłku, który rozległ się w momencie przekręcenia kluczyka, i na moment obudziła się w nim nadzieja, że ten stary żelazny potwór nie ma zamiaru zapalić. Zaklął, gdy początkowe ciche pocharkiwanie przeszło w donośny, chrapliwy warkot. Ciężarówka ruszyła.

– Dajemy im dziesięć minut! – zawołał mężczyzna z kałasznikowem. – Więc postarajcie się w tym czasie myśleć o czymś przyjemnym!

Duff zapatrzył się w tylne światła ciężarówki, powoli znikające w ciemności. O czymś przyjemnym? Nie dość, że cztery i pół tony prochów właśnie uciekało mu sprzed nosa, to jednocześnie w diabły szedł scenariusz największego masowego aresztowania od zakończenia wojny. Na nic bowiem nie zdała się wiedza o tym, że to Sweno i jego ludzie jeszcze przed chwilą stali przed nimi, skoro policjanci nie będą mogli zapewnić ławy przysięgłych i sędziego,

że widzieli ich twarze, a nie tylko czternaście pieprzonych kasków. O czymś przyjemnym? Duff zamknął oczy.

Sweno.

Miał go tutaj. Już go trzymał w ręku. Niech to szlag!

Duff nasłuchiwał. Próbował usłyszeć cokolwiek. Ale docierał do niego jedynie pozbawiony sensu szept deszczu.

– Banquo ma na muszce faceta, który trzyma chłopaka – powiedział Macbeth. – A ty masz tego drugiego, Olafson?

– Mam, szefie.

– Musicie wystrzelić równocześnie. Będę liczył w dół od trzech. Banquo?

– Potrzebuję lepszego oświetlenia celu. Albo młodszych oczu. W tej chwili równie dobrze mogę trafić chłopaka.

– Wokół mojego celu jest mnóstwo światła – szepnął Olafson. – Możemy się zamienić.

– Jeśli spudłujemy i ten chłopak zginie, lepiej dla nas, żeby to Banquo nie trafił. Banquo, jaką maksymalną prędkość może osiągnąć taki w pełni wyładowany stalinowski grat, jak myślisz?

– Hm. Koło sześćdziesięciu.

– To dobrze, ale i tak zaczyna nam brakować czasu, jeśli chcemy zdążyć ze wszystkim. Trzeba będzie trochę poimprowizować.

– Masz zamiar użyć swoich sztyletów?

– Z takiej odległości? Bardzo ci dziękuję za zaufanie. Nie, niedługo zobaczysz, stary. Tak jak mówię: zobaczysz.

Banquo oderwał wzrok od celownika i zorientował się, że Macbeth wstał i mocno chwycił sterczącą z dachu żelazną belkę, na której umocowana była latarnia. Napięły się żyły na jego mocnej szyi, błysnęły zęby, ale Banquo nie potrafił ocenić, czy w uśmiechu, czy tylko w grymasie. Belkę przytwierdzono na tyle mocno, by wytrzymywała wściekłe porywy północno-zachodniego

wiatru, wiejącego tu przez osiem z dwunastu miesięcy w roku. Ale Banquo już wcześniej był świadkiem, jak Macbeth wyciąga samochody z zasp.

– Trzy – stęknął Macbeth.

Pierwsze śruby wyskoczyły z żelaznych okuć.

– Dwa.

Belka się poluzowała, a szarpnięty przewód oderwał się od muru.

– Jeden.

Macbeth oświetlił trap.

– Teraz!

* * *

Zabrzmiało to niczym dwa smagnięcia batem. Duff otworzył oczy akurat w porę, by zobaczyć, jak człowiek z kałasznikowem leci w przód, w ogóle nie próbując wyhamować upadku, i wali głową w kasku o ziemię. W miejscu, gdzie stał funkcjonariusz Sivart, pojawiło się światło i Duff mógł teraz obserwować zarówno jego, jak i mężczyznę za nim. Tamten nie trzymał już pistoletu przyłożonego do głowy Sivarta, tylko oparł brodę na jego ramieniu. Duff dostrzegł również dziurę w przyłbicy. Mężczyzna zsunął się po plecach Sivarta jak meduza i rozłożył na ziemi.

– Tutaj, Duff!

Duff się odwrócił.

Osłonił oczy. Z góry, zza oślepiającego blasku, dobiegł śmiech i zaraz na nabrzeżu pojawił się gigantyczny cień człowieka.

Ale ten śmiech już i tak wystarczył.

To był Macbeth. Oczywiście, że to był Macbeth.

2

W ciszy i blasku księżyca pod bezchmurnym nocnym niebem nad Fife żeglowała w powietrzu mewa. Fiord w dole połyskiwał jak srebro. Po jego zachodniej stronie – niczym mur ogromnej twierdzy – wznosiła się ku niebu czarna stroma góra. Prawie na samym jej szczycie mnisi z pewnego zakonu ustawili kiedyś wielki krzyż, lecz ponieważ został on umieszczony po stronie Fife, mieszkańcy miasta widzieli jego sylwetkę, jakby został odwrócony. Ze zbocza – jak zwodzony most nad fosą otaczającą twierdzę – wyłaniał się imponujący most kolejowy. Miał trzysta sześćdziesiąt metrów długości i dziewięćdziesiąt metrów wysokości w najwyższym punkcie. Most Kennetha, czyli Nowy Most, jak nazywała go większość ludzi. Stary był w porównaniu z nim skromny, chociaż bardziej estetyczny, ale położony w głębi fiordu, co oznaczało nadkładanie drogi. Na samym środku Nowego Mostu wznosił się brzydki marmurowy posąg, mający przedstawiać byłego komendanta policji Kennetha i ustawiony na jego osobiste polecenie. Pomnik stał co do centymetra na granicy miasta, ponieważ żaden okręg nie zgodziłby się oddać za darmo bodaj skrawka ziemi dla uczczenia tego łotra. Wprawdzie rzeźbiarz spełnił nakaz Kennetha, aby jego wizjonerstwo przedstawiono poprzez nadanie figurze pozycji typowej dla rozglądania się po okolicy, nawet najbardziej życzliwie usposobiony artysta nie zdołałby jednak odpowiednio złagodzić niezwykle potężnych fragmentów szyi i podbródka dawnego komendanta.

Mewa zatrzepotała skrzydłami, aby wzbić się wyżej, z nadzieją na lepsze łowy na wybrzeżu za górą, chociaż oznaczało to przelot ponad linią zmiany pogody – z dobrej do złej. Ludzie, którzy pragnęli odbyć podobną podróż, mieli do dyspozycji dwukilometrową ciasną czarną dziurę biegnącą od Nowego Mostu przez wnętrze góry. Góra stanowiła zarazem ścianę działową, którą

otaczający świat zdawał się cenić; w każdym razie mieszkańcy sąsiednich regionów nazywali tunel kiszką stolcową z odbytem na obu końcach. I rzeczywiście, w momencie gdy mewa minęła szczyt wzniesienia, ze świata harmonii wleciała pod lodowaty brudny prysznic, który zalewał wodą cuchnące miasto w dole. I jakby po to, by okazać swoją pogardę, wypróżniła się, zanim poszybowała dalej wśród porywów wiatru.

Ptasie odchody plasnęły w dach wiaty, pod którym wychudzony chłopak, dygocząc, kulił się na ławce. Chociaż tabliczka obok informowała, że to przystanek autobusowy, chłopak nie miał co do tego pewności. W ciągu ostatnich dwóch lat zlikwidowano przecież tyle linii autobusowych. Burmistrz, ten idiota, twierdził, że to z powodu malejącej liczby mieszkańców. Ale chłopak musiał dostać się na Dworzec Centralny, zdobyć wywar, bo ten speed, który kupował od typów na motocyklach, okazał się rzadkim gównem – więcej tam było cukru pudru i mąki ziemniaczanej niż amfetaminy.

Mokry, pokryty olejem asfalt błyszczał w świetle tych ulicznych latarni, które ciągle jeszcze działały. Panowała cisza, nigdzie nie było widać żadnego samochodu, tylko deszcz. Nagle rozległ się dźwięk przypominający ciche burczenie.

Chłopak uniósł głowę. Pociągnął za sznurek klapki zakrywającej oko, ponieważ przez sen przesunęła mu się z pustego oczodołu na to oko, które ciągle miał. Może udałoby mu się złapać stopa do miasta?

Ale nie. Odgłos dochodził z niewłaściwej strony. Chłopak znów się skulił.

Burczenie przeszło w ryk. Chłopak nie miał siły się przesunąć, poza tym już i tak cały przemókł, więc zasłonił tylko głowę rękami.

Ciężarówka minęła go, posyłając w głąb wiaty kaskadę błotnistej wody.

Chłopak dalej leżał, rozmyślając o życiu, aż w końcu doszedł do wniosku, że lepiej o nim nie myśleć.

Odgłos jeszcze jednego auta. O tej porze?

Podniósł się i wyjrzał. Ale ten samochód też nadjeżdżał od strony miasta. I tak samo pędził. Chłopak zapatrzył się w coraz mocniej świecące reflektory. Pojawiła się myśl: jeden krok na drogę i wszystkie problemy będą rozwiązane.

Samochód minął go, nie wjeżdżając w żadną kałużę. Czarny ford transit. Auto glin, z trzema osobami w środku. No i dobrze, oni i tak nie wzięliby nikogo na stopa.

– Mamy go przed sobą – powiedział Banquo. – Dodaj gazu, Angus!

– Skąd wiesz, że to ten? – spytał zaciekawiony Olafson, pochylając się między przednie siedzenia forda transita należącego do Gwardii.

– Spaliny z ropy – wyjaśnił Banquo. – Na miłość boską, nic dziwnego, że w Rosji jest kryzys naftowy. Trzymaj się dokładnie w linii prostej za nimi, żeby widzieli nas w lusterku, Angus.

Angus przyspieszał do chwili, gdy wjechali w chmurę czarnych spalin. Banquo opuścił szybę i oparł karabin o boczne lusterko. Kaszlnął.

– A teraz podjedź z boku – polecił.

Angus zjechał lekko na lewo i dodał gazu. Transit prawie się zrównał z parskającą i stękającą ciężarówką.

Z jej okna wydobył się kłąb dymu. Lusterko pod lufą karabinu Banqua pękło z lekkim trzaskiem.

– No, już nas zauważyli – stwierdził Banquo. – Ustaw się znowu z tyłu.

Deszcz gwałtownie się urwał, a wokół nich zrobiło się jeszcze ciemniej. Wjechali w miejski tunel. Asfalt i czarne, topornie wyrąbane ściany skalne zdawały się pochłaniać całe światło ich przednich reflektorów, widać było jedynie tylne światła ciężarówki.

– Co robimy? – spytał Angus. – Po drugiej stronie jest most. Jeśli przejadą przez środek...

– Wiem. – Banquo podniósł karabin.

Przy pomniku kończyło się miasto. Kończył się obszar ich jurysdykcji. Kończyły się wszelkie pościgi. Oczywiście teoretycznie mogli jechać dalej, już wcześniej zdarzyło się, że zapaleńcy – stanowiący rzadkość w Wydziale Narkotykowym – złapali przemytników po niewłaściwej stronie granicy miasta. Niestety, sprawa zapowiadająca się na rewolucyjną skończyła się wyrzuceniem ich z sali sądowej, a potem sami musieli wysłuchiwać oskarżeń o poważne zaniedbania na służbie.

Odrzut szarpnął remingtonem 700.

– Trafiony – oznajmił Banquo.

Jadącą przed nimi w tunelu ciężarówką zaczęło rzucać. Z tylnego koła poleciały kawałki gumy.

– Teraz zobaczysz samochód, którym naprawdę trudno kierować. – Banquo załadował i wycelował w drugie tylne koło. – Zwiększ trochę odległość, Angus. Na wypadek gdyby wbili się w ścianę.

– Banquo... – dobiegło z tylnego siedzenia.

– Co tam, Olafson?

Banquo powoli naciskał spust.

– Samochód z przeciwka.

– Oj.

Banquo uniósł policzek znad kolby, a jednocześnie Angus zaczął hamować.

Przed nimi zis-5 zataczał się z boku na bok, na zmianę odsłaniając i zasłaniając przednie światła auta nadjeżdżającego z drugiej strony. Banquo usłyszał klakson, to rozpaczliwe wycie samochodu osobowego, którego kierowca zobaczył nadjeżdżającą ciężarówkę i wiedział, że już za późno na jakikolwiek manewr.

– Jezu Chryste... – wyseplenił Olafson szeptem.

Klakson zawył jeszcze głośniej i jeszcze przenikliwiej.

Potem nastąpił wybuch światła. Banquo automatycznie odwrócił wzrok.

Przed oczami mignęło mu jeszcze tylne siedzenie i przyklejony do szyby policzek śpiącego dziecka.

Auto zniknęło im z oczu, a cichnący odgłos klaksonu zabrzmiał jak jęk rozczarowania oszukanej publiczności.

– Szybciej! – polecił Banquo. – Niedługo będziemy na moście.

Angus dodał gazu, znów zbliżyli się do chmury spalin.

– Spokojnie. – Banquo wycelował. – Spokojnie.

W tej samej chwili brezent na tyłach ciężarówki został odsunięty na bok i przednie reflektory transita oświetliły pakę załadowaną plastikowymi workami z białą zawartością. Szyba między paką a szoferką była zbita, a ze szczytu wału ułożonego z kilogramowych toreb wystawała skierowana w ich stronę lufa.

– Angus...

Rozległ się krótki trzask. Banquo zdążył dostrzec płomień z lufy, zanim przednia szyba zbielała i wpadła do środka.

– Angus!

Angus domyślił się, o co chodzi, i mocno skręcił kierownicą w prawo. Potem w lewo. Zapiszczały opony, zagwizdały kule, gdy plująca ogniem lufa karabinu usiłowała naśladować ich manewry.

– Do diabła! – wrzasnął Banquo i strzelił na ślepo w drugie tylne koło ciężarówki, ale kula tylko odbiła się od nadkola, krzesząc iskry.

I nagle znów zaczęło padać. Dotarli na most.

– Bierz go strzelbą, Olafson! – ryknął Banquo. – Już!

Deszcz wlewał się przez przednie okno. Banquo przesunął się, żeby Olafson mógł oprzeć dubeltówkę o plecy jego siedzenia. Lufa sterczała nad ramieniem Banqua, ale zniknęła, gdy rozległ się odgłos przypominający ten, który towarzyszy uderzeniu tłuczka o mięso. Banquo obrócił się do tyłu i zobaczył skulonego Olafsona z głową pochyloną nad dziurą w kurtce na wysokości piersi. Szare wypełnienie fotela wydobyło się na wierzch, kiedy kolejna kula przeleciała przez oparcie siedzenia Banqua i wbiła się w tylną kanapę obok Olafsona. Facet na pace ciężarówki nieźle się teraz rozstrzelał. Banquo wyrwał dubeltówkę z rąk Olafsona i tym samym ruchem wysunął ją i strzelił na wprost. Ładunek ciężarówki eksplodował bielą. Banquo opuścił strzelbę i podniósł karabin. Ciężarówkę otaczała gęsta chmura białego proszku, przez którą facet na pace z całą pewnością nie mógł niczego zobaczyć, ale z ciemności przed nimi już wyłonił się, jak nieproszony duch, podświetlony pomnik Kennetha z białego marmuru. Banquo wycelował w tylne koło i nacisnął spust.

Trafiony.

Ciężarówką zakołysało, przeskoczyła na chodnik, kiedy jedno przednie koło i jedno tylne wpadło na krawężnik, i zis-5 bokiem uderzył we wzmocnioną stalą barierę mostu. Jęk metalu trącego o metal zagłuszył ryk silnika. Ale kierowca w niewiarygodny sposób zdołał wyprowadzić ciężki pojazd z powrotem na drogę.

– Tylko nie za tę pieprzoną granicę! – wrzasnął Banquo.

Ostatni kawałeczek gumy zdarł się z felgi ciężarówki i w nocne niebo buchnął snop iskier. Zisem-5 zarzuciło, kierowca rozpaczliwie usiłował kontrować, ale tym razem nie miał szans. Ciężarówka ustawiona w poprzek jezdni sunęła po asfalcie. Znajdowała się już

praktycznie na granicy miasta, kiedy koła odzyskały przyczepność i dwanaście ton radzieckiej sztuki inżynierskiej uderzyło w komendanta Kennetha dokładnie poniżej pasa, rozbijając fundament, a potem, porwawszy za sobą pomnik wraz z dziesięcioma metrami stalowej bariery, wyleciało poza krawędź. Angusowi udało się zatrzymać transita i w ciszy, która nagle zapadła, Banquo mógł obserwować, jak komendant Kenneth w blasku księżyca opada, wirując powoli wokół własnego podbródka. Tuż za nim maską w dół leciał zis-5, ciągnąc za sobą ogon białego proszku niczym jakaś cholerna, składająca się z amfetaminy kometa.

– O Boże – szepnął policjant.

Miał wrażenie, że minęła cała wieczność, zanim spadające auto uderzyło o powierzchnię wody, barwiąc ją na biało, a plusk dotarł do Banqua z niewielkim opóźnieniem.

Potem znów nastała cisza.

Sean wbił stopy w ziemię przed lokalem klubowym i wyjrzał przez bramę. Podrapał się w wielki napis *Norse Rider Till I Die* wytatuowany na czole. Nie denerwował się tak od tamtej nocy na porodówce. Czy to nie typowe, że właśnie on i Colin przegrali w losowaniu i musieli dyżurować przy bramie akurat w ten najbardziej emocjonujący wieczór? Nie mogli uczestniczyć ani w odbiorze partii narkotyków, ani w późniejszej imprezie.

– Dziewczyna chce nazwać dzieciaka po mnie – powiedział Sean głównie po to, żeby coś mówić.

– Gratuluję – rzucił Colin obojętnie i pociągnął się za wielkie wąsy, które upodabniały go do morsa. Deszcz ściekał po jego łysej czaszce.

– Dzięki – odparł Sean.

Właściwie nie chciał niczego takiego. Ani tatuażu piętnującego na całe życie, ani dzieciaka, który z tego, co wiedział, robi właściwie z człowiekiem to samo. Wolność. Chyba właśnie tu tkwi sedno całej tej zabawy z motocyklem. Ale pod wpływem klubu, a następnie Betty zmieniło się jego rozumienie wolności. Teraz uważał, że naprawdę wolnym można być dopiero, gdy się poczuje przynależność, zazna prawdziwej wspólnoty.

– Są – oznajmił. – Wygląda na to, że wszystko poszło dobrze. Jak myślisz?

– Brakuje dwóch motocykli. – Colin wypluł niedopałek i otworzył wysoką bramę zwieńczoną drutem kolczastym.

Przed nimi zatrzymał się pierwszy motor. Spod ozdobionego rogami kasku wydobył się grzmiący bas:

– Gliny nabruździły, więc bliźniacy przyjadą trochę później.

– W porządku, szefie – powiedział Colin.

Motocykle kolejno przejeżdżały przez bramę. Jeden z chłopaków uniósł kciuk do góry. Świetnie. Narkotyki były zabezpieczone, klub ocalony. Sean odetchnął z ulgą. Motory wolno przetoczyły się przez dziedziniec obok przypominającego barak parterowego drewnianego domu z wymalowanym na ścianie symbolem Norse Riders i zniknęły w wielkim garażu. W baraku nakryto wcześniej stoły, bo Sweno zdecydował, że złoty interes należy uczcić wielką popijawą. I już po kilku minutach Sean usłyszał podgłośnioną muzykę i pierwsze wrzaski radości.

– Jesteśmy bogaci! – zaśmiał się. – Wiesz, dokąd zawiozą towar?

Colin się nie odezwał, tylko przewrócił oczami.

Skąd mógł to wiedzieć? Tego nie wiedział nikt. Tylko Sweno. No i rzecz jasna ci, którzy prowadzili ciężarówkę. Tak było najlepiej.

– Jadą bliźniacy. – Sean znów otworzył bramę.

Motocykle wspinały się pod górę powoli, jakby z wahaniem.

– Cześć, João, co się... – zaczął Sean, ale motocykliści, nie zatrzymując się, wjechali w bramę.

Patrzył, jak hamują na środku dziedzińca, jakby zamierzali zostawić pojazdy w tym miejscu. W końcu jeden szturchnął drugiego i skinieniem głowy wskazał na otwarte drzwi do garażu. Wjechali.

– Widziałeś przyłbicę João? – spytał Sean. – Była w niej dziura.

Colin westchnął ciężko.

– Ja nie żartuję! – zaperzył się Sean. – Dziura na samym środku. Pójdę się dowiedzieć, co się właściwie wydarzyło w porcie.

– Hej, Sean...

Ale Sean już biegł. Przeciął dziedziniec i zniknął w garażu. Bliźniacy zsiedli z motorów. Obaj byli odwróceni tyłem, ciągle w kaskach. Jeden przytrzymywał leciutko uchylone drzwi, które prowadziły bezpośrednio z garażu do sali imprezowej budynku klubowego, jak gdyby nie chciał zdradzać swojej obecności, dopóki się nie zorientuje, jak rozwija się zabawa. João, najlepszy kumpel Seana, stał przy swoim motocyklu. Wyjął magazynek z paskudnego AK-47 i chyba liczył, ile kul mu zostało. Sean klepnął go w plecy. João musiał cholernie się przestraszyć, bo zrobił pełny obrót.

– Co się stało z twoją przyłbicą, João? Kamień spod koła?

João nie odpowiedział. Sprawiał tylko wrażenie, że nagle zaczęło mu się spieszyć z ponownym załadowaniem kałasznikowa. Dziwne, ale robił to trochę niezdarnie, jakby nie umiał sobie z tym poradzić. Drugą dziwną rzeczą było to, że wyglądał na... wyższego. Jakby to nie był João, tylko...

– Cholera! – krzyknął Sean, cofnął się o krok i sięgnął za pasek. Zrozumiał, czym jest dziura w przyłbicy, i pojął, że nigdy więcej nie zobaczy najlepszego kumpla. Wyciągnął pistolet, odbezpieczył i już miał go podnieść, żeby strzelić do człowieka, który ciągle guzdrał

się z kałachem, ale coś uderzyło go w ramię. Odruchowo zwrócił pistolet w stronę, z której padł cios. Tam jednak nikogo nie było. Jedynie facet w kurtce Norse Riders. Ten przy drzwiach. W tym samym momencie Sean poczuł, że dłoń jakby mu więdnie, i wypuścił broń na podłogę.

– Ani słowa – odezwał się głos za jego plecami.

Sean znów się obrócił.

AK celował teraz w niego. A w odbiciu swojej postaci w przedziurawionej przyłbicy kasku Sean zobaczył sztylet sterczący z jego własnego ramienia.

Duff przystawił lufę kałasznikowa do tatuażu na czole stojącego przed nim faceta. Patrzył wprost na jego rozdziawioną wstrętną gębę. Palec naciskał na cyngiel, brakowało jeszcze milimetra i... Słyszał szum własnego oddechu pod kaskiem i walenie serca pod nieco przyciasną skórzaną kurtką.

– Duff – rzucił Macbeth od drzwi lokalu klubowego. – Tylko spokojnie.

Duff nacisnął cyngiel jeszcze o milimetr.

– Stop! – polecił Macbeth. – Teraz nasza pora na wzięcie zakładnika.

Duff rozluźnił palec.

Twarz chłopaka była biała jak prześcieradło. Ze strachu albo z powodu utraty krwi, a może jednego i drugiego. Głos mu drżał.

– My nie ratujemy...

Duff uderzył lufą w tatuaż. Metal zdarł skórę na czole, rana przez chwilę rozjaśniła się na biało niczym kopia jego własnego logo, potem napełniła się krwią.

– Jak się zamkniesz, chłopaku, to wszystko będzie dobrze – powiedział Macbeth, podchodząc do nich. Chwycił Seana za długie włosy, odchylił jego głowę do tyłu i przyłożył mu do szyi ostrze

drugiego sztyletu, a potem pchnął go przed sobą w stronę drzwi do klubu. – Gotowy?

– Pamiętaj, że to ja się zajmuję Swenem – przypomniał Duff. Sprawdził, czy łukowy magazynek dostatecznie mocno siedzi w automacie, po czym ruszył za Macbethem i zakładnikiem.

Macbeth kopniakiem otworzył drzwi i wepchnął chłopaka przed sobą, Duff deptał mu po piętach.

Roześmiani i rozkrzyczani ridersi siedzieli przy długim stole w przestronnym, ale już zadymionym lokalu. Wszyscy po jednej stronie stołu, tyłem do ściany, zwróceni w kierunku trojga drzwi wyjściowych z lokalu. Z pewnością taka zasada obowiązywała w klubie. Duff ocenił ich liczbę na dwudziestu. Muzyka grała głośno. Stonesi. *Jumpin' Jack Flash*.

– Policja! – krzyknął Duff. – Nie ruszać się, bo inaczej mój kolega poderżnie gardło temu miłemu młodzieńcowi!

Czas jakby stanął w miejscu, a potem Duff zobaczył, że mężczyzna przy końcu stołu powoli, niczym na zwolnionym filmie, podnosi głowę. Czerwony świński ryj z widocznymi dziurkami w nosie i warkoczami splecionymi tak ciasno, że ściągały oczy w dwie wąskie, wypełnione nienawiścią kreski. Z kącika ust mężczyzny zwisała długa, cienka cygaretka. Sweno.

– My nie ratujemy zakładników – oświadczył.

Chłopak stracił przytomność i upadł na podłogę.

Przez dwie następne sekundy wszyscy jakby zlodowacieli i słychać było jedynie Rolling Stonesów.

W końcu Sweno zaciągnął się dymem.

– Bierzcie ich! – rozkazał.

Duff zarejestrował równoczesną reakcję co najmniej trzech ridersów i odciągnął cyngiel AK-47. Przytrzymał go w takiej pozycji. Sprej kawałeczków ołowiu o średnicy 7,62 milimetra stłukł butelki

z piwem, posiekał na drzazgi blat stołu, podziurawił ścianę, wbił się w ludzkie ciało i zatrzymał Micka Jaggera między jednym a drugim *gas*. Stojący obok Duffa Macbeth wyciągnął dwa glocki. Zabrane razem z kurtkami, kaskami i motorami martwym motocyklistom na nabrzeżu. Broń w rękach Duffa wydawała się ciepła i miękka jak ciało kobiety. W miarę rozbijania kolejnych lamp robiło się coraz ciemniej. A kiedy Duff wreszcie zwolnił cyngiel, w powietrzu zawisł pył i tylko lampa na suficie kołysała się raz w jedną, raz w drugą stronę, więc cienie biegały po ścianach jak uciekające duchy.

3

– Rozejrzałem się i w półmroku zobaczyłem ridersów porozrzucanych po podłodze – powiedział Macbeth. – Wszędzie krew, odłamki szkła i puste łuski.

– Ja pierdolę! – zawołał bełkotliwie Angus, przekrzykując hałas w Murarzu, stałym barze Gwardii, mieszczącym się na tyłach Dworca Centralnego. Błyszczące od alkoholu niebieskie oczy wpatrywały się w Macbetha z czymś na kształt uwielbienia. – Po prostu ich zmietliście! Kurwa, zdrowie!

– No, no, uważaj na język, księżulku! – zbeształ go Macbeth, ale kiedy cała osiemnastka członków Gwardii uniosła kufle w jego stronę, uśmiechnął się w końcu, kręcąc głową, i też uniósł swoją szklankę. Pociągnął spory łyk i spojrzał na Olafsona, który trzymał ciężki półlitrowy kufel, w jakich w Murarzu podawano piwo, w lewej ręce. – Boli, Olafson?

– Odkąd się dowiedziałem, że jednego z nich też boli ramię, to jest mi lepiej – wyseplenił Olafson i zawstydzony poprawił temblak przy wtórze śmiechu pozostałych.

– Właściwą robotę wykonali Banquo i Olafson – stwierdził Macbeth. – Ja im tylko poświeciłem jak jakiś pieprzony asystent zdjęciowy tych dwóch artystów.

– Opowiadaj dalej – poprosił Angus. – Ty i Duff powaliliście wszystkich ridersów na podłogę. I co było potem? – Założył długie jasne włosy za uszy, żeby lepiej słyszeć.

Macbeth przyjrzał się pełnym wyczekiwania twarzom wokół stołu i wymienił spojrzenia z Banquiem.

– Niektórzy krzyczeli, że się poddają – podjął. – Opadł kurz, a muzyka została rozstrzelana, więc wreszcie zrobiło się cicho, ale ciągle było ciemno, widoczność utrudniona. Razem z Duffem zaczęliśmy sprawdzać stan ridersów, idąc do środka od dwóch końców sali. Nie było trupów, ale wielu potrzebowało pomocy lekarskiej, że tak powiem. Duff krzyknął, że nie może znaleźć Swena. – Macbeth przesunął palcem po rosie pokrywającej szklankę. – Zauważyłem drzwi tuż za tym końcem stołu, przy którym wcześniej siedział Sweno. W tej samej chwili usłyszeliśmy odgłos uruchamianych motocykli. Zostawiliśmy tamtych, wybiegliśmy na dziedziniec i tam zobaczyliśmy trzy motocykle wyjeżdżające przez bramę. Jednym z nich był czerwony motor Swena. Strażnik, łysol z wąsami, też akurat uruchomił swoją maszynę i ruszył za nimi. Duff kompletnie oszalał, chciał ich ścigać, ale przypomniałem mu, że w środku jest paru ciężko rannych...

– Myślałeś, że to powstrzyma Duffa? – rozległ się szept. – Że przejmie się tym, że te świnie się wykrwawiają, skoro mógł dopaść Swena?

Macbeth się odwrócił. Człowiek, który się odezwał, siedział sam w sąsiednim boksie, a jego twarz skrywał cień rzucany przez szafkę z trofeami klubu gry w strzałki.

– Myślałeś, że Duff będzie miał na względzie życie kilku nieważnych facetów, skoro w zasięgu jego ręki był bohaterski wyczyn? – W cieniu uniósł się kufel z piwem. – Przecież trzeba myśleć o karierze.

Wokół stołu Macbetha zapadła cisza.

Banquo chrząknął.

– Do diabła z karierą. My, gwardziści, nie zostawiamy bezbronnych na śmierć, Seyton. Nie wiemy, co robicie wy z narkotykowego.

Seyton wychylił się, światło padło mu na twarz.

– Nikt z nas w narkotykowym też za bardzo nie wie, co robimy. Właśnie to jest problemem, kiedy ma się takiego szefa jak Duff. Ale nie chcę ci przerywać opowieści, Macbecie. Wróciłeś do klubu i zająłeś się opatrywaniem ran?

– Sweno to morderca, który znów będzie zabijał, jeśli tylko nadarzy się taka okazja – odparł Macbeth, nie spuszczając wzroku z Seytona. – A Duff bał się, że przejadą przez most.

* * *

– Bałem się, że przedostaną się przez most, tak jak próbowali to zrobić ci w ciężarówce – powiedział Duff. – Dlatego znów wskoczyliśmy na motory. Pognaliśmy, ile fabryka dała i jeszcze trochę. Jeden źle obliczony zakręt na mokrym asfalcie... – Duff przesunął miseczkę z napoczętym złocistym *crème brûlée* po adamaszkowym obrusie restauracji Lyon, wyjął butelkę szampana z kubełka z lodem i nalał trojgu pozostałym. – Po pierwszej pętli na samym dnie doliny zobaczyłem tylne światła czterech motocykli, więc cisnąłem dalej. W lusterku widziałem, że Macbeth też nie odpuszcza.

Duff rzucił ukradkowe spojrzenie komendantowi Duncanowi, żeby sprawdzić, czy jego opowieść trafia na podatny grunt. Nie wiedział, jak odczytywać łagodny, życzliwy uśmiech szefa. Duncan wciąż jeszcze nie skomentował wieczornej akcji wprost, ale czyż fakt, że przyszedł na tę małą uroczystość, sam w sobie nie świadczył o uznaniu? Możliwe, milczenie komendanta zasiało jednak w Duffie niepokój. Większą pewność miał co do bladego, rudowłosego szefa Wydziału Antykorupcyjnego, komisarza Lennoxa, który ze zwykłym sobie entuzjazmem nachylał się nad stolikiem, chłonąc każde słowo, a także szefowej Wydziału Techniki Kryminalistycznej Caithness, której wielkie zielone oczy mówiły, że wierzy absolutnie we wszystko.

Duff odstawił butelkę.

– Na odcinku dzielącym nas od tunelu jechaliśmy obok siebie, a światła przed nami stawały się coraz większe, tak jakby tamci zwolnili. Widziałem już rogi na kasku Swena. I wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwanego.

Duncan przesunął kieliszek z szampanem tak, że znalazł się w równej linii z kieliszkiem do czerwonego wina. Duff nie wiedział, czy należy to odczytywać jako wyraz zaciekawienia, czy też po prostu zniecierpliwienia.

– Dwa motocykle skręciły zaraz za wiatą przystankową w zjazd na Forres. A dwa pozostałe jechały dalej prosto w stronę tunelu. Sekundy dzieliły nas od dojazdu do tego samego skrzyżowania, więc musiałem podjąć decyzję...

Słowo „decyzję" Duff wymówił z naciskiem. Oczywiście mógł posłużyć się słowem „wybór", ale do „dokonania wyboru" mógł zostać zmuszony każdy idiota, natomiast „decyzja" oznaczała aktywne działanie, coś, co wymaga procesów myślowych i charakteru, coś, co podejmuje dowódca – ktoś przydatny

komendantowi, gdy ten będzie powoływał szefa nowo utworzonego dużego Wydziału Przestępczości Zorganizowanej. Pezet stanowił połączenie Wydziału Narkotykowego i Wydziału Gangów. Była to logiczna fuzja, ponieważ cały handel narkotykami w mieście znajdował się obecnie w rękach Hekate i Norse Riders, którzy wchłonęli inne gangi. Pozostawało pytanie, kto pokieruje nowym wydziałem: Duff czy Cawdor, obecny szef Wydziału Gangów, który mieszkał w podejrzanie dużym i w pełni spłaconym domu w zachodniej dzielnicy. Problem polegał na tym, że Cawdor miał plecy w Radzie Miasta oraz wśród dawnych sprzymierzeńców Kennetha w Komendzie Głównej i chociaż wszyscy wiedzieli, że Duncan jest skłonny posunąć się daleko, żeby się pozbyć takich Cawdorów, to również on musiał brać pod uwagę niektóre układy polityczne, aby nie stracić kontroli nad komendą. Pewne było jedynie, że w tej rywalizacji wygra albo Cawdor, albo Duff, a jeden z nich zostanie bez wydziału.

– Dałem Macbethowi sygnał, że jedziemy za tymi, którzy ruszyli w stronę Forres.

– Tak? – wtrącił się Lennox. – To oznaczało, że dwaj pozostali znajdą się poza granicą okręgu.

– No właśnie, na tym polegał dylemat. Sweno to szczwany lis. Czy wysłał tamtych dwóch w stronę Forres jako przynętę, a sam pojechał za granicę okręgu, ponieważ jest jedynym z ridersów, na którego faktycznie coś mamy? Czy też liczył na to, że uznamy, że tak właśnie pomyślał, i postąpił odwrotnie?

– A mamy? – spytał Lennox.

– Co mamy? – Duff starał się ukryć irytację, że mu przerwano.

– Coś na Swena. Z tego, co wiem, masakra w Stoke już dawno się przedawniła.

– Te dwa napady na pocztę w Dystrykcie Jeden pięć lat temu – odparł zniecierpliwiony Duff. – Mamy odciski palców Swena i inne rzeczy.

– A co z pozostałymi ridersami?

– Nie mamy w ogóle o co zahaczyć. Dzisiaj też nic nie zdobyliśmy, bo wszyscy byli w kaskach. Ale mniejsza z tym. Kiedy skręcili na Forres, zobaczyliśmy rogi...

– O co chodzi z masakrą w Stoke? – zainteresowała się Caithness.

Duff jęknął.

– Ciebie jeszcze wtedy nie było na świecie – odezwał się Duncan życzliwym tonem. – Zaczęło się w Capitolu tuż po wojnie. Brat Swena miał być zatrzymany za dezercję i okazał się na tyle głupi, żeby sięgnąć po broń. Dwaj aresztujący go policjanci, którzy spędzili wojnę w okopach, posiekali go na strzępy. Kilka miesięcy później w Stoke Sweno pomścił brata. Wszedł na miejscowy posterunek policji i skosił czworo policjantów, w tym funkcjonariuszkę w zaawansowanej ciąży. Potem zniknął z naszych radarów, a kiedy znów się pojawił, sprawa była już przedawniona. Proszę, Duff, kontynuuj.

– Dziękuję. Pomyślałem, że nie zdają sobie sprawy z tego, że tak bardzo zbliżyliśmy się do nich. Widzieliśmy już kask z rogami, kiedy Sweno zjeżdżał na Forres i Stary Most. Dopędziliśmy ich po mniej więcej dwóch kilometrach. To znaczy Macbeth oddał dwa strzały w powietrze, kiedy jeszcze byli spory kawałek przed nami, i wtedy się zatrzymali. My też stanęliśmy. Wyjechaliśmy już z doliny, więc nie padało. Dobra widoczność, świecił księżyc, odległość gdzieś z pięćdziesiąt – sześćdziesiąt metrów. Sięgnąłem po AK-47 i krzyknąłem, że mają zsiąść z motocykli, podejść pięć kroków w naszą stronę i uklęknąć na asfalcie, z rękami za głową. Zrobili tak,

jak powiedziałem, więc i my zsiedliśmy z motorów i ruszyliśmy do nich.

Duff zamknął oczy.

Widział ich teraz przed sobą.

Klęczeli.

Skórzane ubranie skrzypiało, gdy się do nich zbliżał, a z krawędzi podniesionej przyłbicy, na samym skraju pola widzenia, zwisała kropla wody. Zaraz miała spaść. Zaraz.

– Dzieliło nas od nich jakieś dziesięć – piętnaście kroków, kiedy Sweno wyjął pistolet – ciągnął Macbeth. – Duff zareagował natychmiast. Strzelił. Trafił Swena w pierś trzy razy. Sweno nie żył, zanim jego kask uderzył o ziemię. Ale w tym czasie pistolet wyciągnął już ten drugi. Wycelował w Duffa, na szczęście nie zdążył nacisnąć spustu.

– Jasny gwint! – zawołał Angus. – Ty go zastrzeliłeś, prawda?

Macbeth się odchylił.

– Załatwiłem go nożem.

Banquo uważnie obserwował szefa.

– Imponujące – szepnął Seyton z cienia. – Ale z drugiej strony to znaczy, że Duff zareagował szybciej niż ty, kiedy Sweno sięgnął po broń. A założyłbym się, że ty jesteś szybszy, Macbeth.

– No to byś się pomylił – odparł Macbeth. Co Seyton tu robił? Czego chciał? – Tak jak Duff – dodał i podniósł szklankę do ust.

– Pomyliłem się. – Duff zasygnalizował głównemu kelnerowi, że potrzebują kolejnej butelki szampana. – Oczywiście nie wtedy, kiedy strzelałem. Ale gdy wybierałem drogę na Forres.

Kelner podszedł do stolika i ściszonym głosem przeprosił – już zamykają, a poza tym nie wolno im podawać alkoholu po północy. Chyba że sam komendant...

– Nie, dziękujemy – odparł Duncan, który opanował sztukę szelmowskiego uśmiechu połączonego z karcącym uniesieniem brwi. – Będziemy się trzymać prawa.

Kelner się oddalił.

– Błędny wybór może się przydarzyć najlepszemu – stwierdził Duncan. – Kiedy się zorientowałeś? Po zdjęciu mu kasku?

Duff pokręcił głową.

– Moment wcześniej. Kiedy uklęknąłem przy trupie i spojrzałem na jego motocykl. To nie był motor Swena, brakowało szabli. A te chłopaki nie zamieniają się na motocykle.

– Ale zamieniają się na kaski?

Duff wzruszył ramionami.

– Powinienem był się tego domyślić. Przecież obaj z Macbethem nieco wcześniej posłużyliśmy się tą samą sztuczką. Sweno oddał kumplowi swój kask, a potem zwolnili, żebyśmy mogli się zbliżyć na tyle, by zobaczyć jego kask na głowie jednego z tych motocyklistów, którzy pojechali w stronę Forres. On sam przedostał się przez tunel i przez most. Uszedł wolno.

– Bez wątpienia to inteligentna zagrywka Swena – orzekł Duncan. – Może tylko żałować, że jego ludzie nie są tak samo bystrzy.

– Co masz na myśli? – spytał Duff i spojrzał na skórzaną okładkę z rachunkiem, którą położył przed nim główny kelner.

– Po co wyciągać pistolet i celować nim w policjantów, skoro wiadomo, jak sam mówisz, że nie mamy żadnych dowodów przeciwko komukolwiek oprócz Swena? Mogli zwyczajnie dać się aresztować i kilka godzin później wyjść z posterunku jako wolni ludzie.

Duff wzruszył ramionami.

– Może nie wierzyli, że jesteśmy z policji. Może uważali, że przysłał nas Hekate i chcemy ich zaszlachtować.

– Albo tak jak mówi komendant – włączył się Lennox. – Może po prostu są głupi.

Duncan podrapał się w brodę.

– Ilu członków Norse Riders wsadziliśmy za kratki?

– Sześciu – odparł Duff. – Kiedy policja przyjechała do klubu, zastała tam w zasadzie już tylko ciężko rannych.

– Nie sądziłem, że takie gangi jak Norse Riders zdają swoich na łaskę wroga.

– Wiedzieli, że dzięki temu ranni szybciej dostaną pomoc. Teraz zajmują się nimi lekarze, ale i tak liczymy, że jutro zostaną tymczasowo aresztowani. Wyciągniemy z nich wszystkie informacje o Swenie, bez względu na to, jak bardzo będą obolali. Znajdziemy go, szefie.

– Świetnie. Cztery i pół tony amfetaminy. To dużo.

– Owszem. – Duff się uśmiechnął.

– Tak dużo, że właściwie muszę zadać sobie pytanie, dlaczego wcześniej nie poinformowałeś mnie o tej akcji.

– Chodziło o czas – odparł prędko Duff. Już wcześniej zważył wszystkie za i przeciw związane z odpowiedzią na to pytanie, którego, jak wiedział, nie uniknie. – Było za mało czasu od momentu, kiedy dostałem ten cynk, do zorganizowania akcji. Jako dowódca musiałem ocenić, na ile stosowanie się do biurokratycznych zasad zwiększy ryzyko, że nie zdążymy zapobiec temu, by cztery i pół tony amfetaminy trafiło do układu krwionośnego młodzieży naszego miasta.

Duff napotkał spojrzenie Duncana, przyglądającego mu się w zamyśleniu. Komendant lekko potarł palcem podbródek.

– Sporo przelanej krwi. Dużo szkód na moście. Miejscowe ryby przypuszczalnie już popadły w narkomanię, a Sweno ciągle jest na wolności.

Duff zaklął w duchu. Ten arogancki głupek, hipokryta, chyba jest w stanie spojrzeć na to z szerszej perspektywy!

– Ale – podjął komendant – sześciu członków Norse Riders będzie w areszcie. I nawet jeśli w nadchodzących tygodniach jedzenie ryb poprawi nam humor bardziej niż zwykle, lepsze to, niż żeby narkotyki trafiły bezpośrednio do naszej młodzieży. Albo... – Duncan sięgnął po kieliszek z szampanem – ...do naszego magazynu policyjnego.

Lennox i Caithness się roześmiali. Nie było tajemnicą, że magazyn w komendzie ciągle notował duże ubytki.

– A więc... – Duncan wzniósł kieliszek – ...dobra policyjna robota, Duff.

Duff dwa razy mrugnął. Serce zabiło mu szybciej.

– Dziękuję – powiedział, opróżniając kieliszek.

Duncan sięgnął po rachunek.

– Dzisiaj biorę to na siebie. – Wyjął kartkę z okładek i przytrzymując ją na odległość wyciągniętej ręki, zmrużył oczy. – Chociaż nie widzę, czy dostałem właściwy rachunek.

– A czy ktoś kiedykolwiek taki dostał? – spytał Lennox i uśmiechnął się sztywno, kiedy nikt się nie roześmiał.

– Pokaż. – Caithness wzięła rachunek i założyła babciowate okulary w rogowych oprawkach, których, jak Duff wiedział, wcale nie potrzebowała, ale które nosiła, ponieważ dodawały jej kilku lat i odwracały uwagę od jej urody. Duncan wykazał się śmiałością, dając Caithness Wydział Techniki Kryminalistycznej. Nikt wprawdzie nie wątpił w jej umiejętności – ukończyła szkołę policyjną z najlepszymi wynikami, a poza tym miała licencjat z chemii i fizyki. Była jednak młodsza od pozostałych naczelników, niezamężna i zwyczajnie za ładna na to, by nie podejrzewano zupełnie innych motywów jej zatrudnienia. Płomienie świec

odbijały się w wilgoci jej roześmianych oczu, przysłoniętych szkłami okularów, w wilgoci pełnych czerwonych warg i lśniących białych zębów. Duff zamknął oczy. Błyszcząca wilgoć asfaltu, odgłos toczących się po nim opon. Plusk. Krew lejąca się na ziemię, kiedy chłopak wyciągnął sztylet z szyi. Duff miał wrażenie, jakby ktoś mocno ścisnął mu pierś. Otworzył oczy, z trudem łapiąc powietrze.

– Wszystko w porządku? – Lennox przechylił karafkę nad szklanką Duffa i nalał mu resztkę wody. – Napij się, Duff, żebyś trochę rozwodnił tego szampana. Masz przecież prowadzić.

– Nie ma mowy! – zaprotestował Duncan. – Nie chcę, żeby bohaterów aresztowano za jazdę po pijaku albo żeby się gdzieś rozbili. Mój kierowca nie będzie miał nic przeciwko nadłożeniu drogi.

– Dziękuję – powiedział Duff. – Ale Fife jest...

– ...mniej więcej na trasie do mojego domu – dokończył Duncan. – To pani Duff i dwójka twoich cudownych dzieci powinny mi dziękować.

– Przepraszam na chwilę. – Duff odsunął krzesło, wstał i wyszedł.

– Znakomity policjant – stwierdził Lennox, patrząc na Duffa, który chwiejnym krokiem zmierzał do toalety na końcu lokalu.

– Duff? – spytał Duncan.

– On także. Ale myślałem o Macbecie. Osiąga imponujące wyniki, jego ludzie go kochają i chociaż pracował pod rządami Kennetha, my z Wydziału Antykorupcyjnego wiemy, że jest w porządku. Szkoda, że nie ma formalnych kwalifikacji do objęcia poważniejszego stanowiska.

– Chyba nie ma żadnych bezwzględnych wymogów poza ukończoną szkołą policyjną? Spójrz na Kennetha.

– Owszem, ale Macbeth i tak nie jest jednym z nas.

– Z nas?

– No cóż. – Lennox uśmiechnął się krzywo, sięgając po kieliszek. – Wybrałeś sobie naczelników, których – wszystko jedno, czy nam się to podoba, czy nie – zalicza się do elity. Każdy z nas pochodzi z zachodnich dzielnic albo z Capitolu, mamy odpowiednie wykształcenie i szanowane nazwiska. Macbeth jest postrzegany raczej jako ktoś z szerokich warstw ludu. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Owszem, rozumiem. Posłuchaj, trochę mnie zaniepokoił ten chwiejny chód Duffa. Czy mógłbyś...

Toaleta na szczęście była pusta.

Duff zapiął rozporek, stanął przy jednej z umywalek, odkręcił kran i ochlapał wodą twarz. Usłyszał, że za jego plecami otwierają się drzwi.

– Duncan kazał mi sprawdzić, co z tobą – powiedział Lennox.

– Mhm. Jak sądzisz, co o tym myśli?

– O czym?

Duff oderwał kawałek papierowego ręcznika i wytarł twarz.

– O... przebiegu.

– Zapewne to samo, co my wszyscy. Że zrobiłeś świetną robotę.

Duff pokiwał głową.

Lennox zaśmiał się krótko.

– Ty naprawdę masz chrapkę na Pezet? Nie mylę się?

Duff znów odkręcił kran i namydlił ręce, napotykając w lustrze spojrzenie naczelnika Wydziału Antykorupcyjnego.

– Uważasz, że jestem karierowiczem?

– W chęci zrobienia kariery nie ma nic złego – stwierdził z uśmiechem Lennox. – Zabawne jest tylko obserwowanie, w jaki sposób ustawiasz się w odpowiedniej pozycji.

– Ja się do tego nadaję, Lennox. Czy w takiej sytuacji nie jest moim psim obowiązkiem wobec tego miasta oraz przyszłości moich

i twoich dzieci ze wszystkich sił starać się o Pezet? Czy może raczej miałbym oddać największy wydział Cawdorowi, człowiekowi, który, jak obaj wiemy, musiał unurzać ręce w brudzie i powalać krwią, żeby tak długo przeżyć pod rządami Kennetha?

– Aha. – Lennox znów się roześmiał. – A więc kieruje tobą poczucie obowiązku, a nie osobista ambicja. No cóż, święty Duff, pozwól, że otworzę ci drzwi. – Lennox skłonił się nisko. – Bo w takim wypadku zakładam, że rezygnujesz z ewentualnej podwyżki i innych przywilejów, jakie się z tym wiążą.

– Pensja, sława i zaszczyty są dla mnie nieistotne – odparł Duff. – Ale społeczeństwo wynagradza tych jego członków, którzy mu służą. Pogarda dla wynagrodzenia oznaczałaby pogardę dla społeczeństwa. – Przyjrzał się uważnie własnej twarzy w lustrze. Jak można zobaczyć, że ktoś kłamie? Czy jest to w ogóle możliwe, zwłaszcza gdy ten ktoś zdołał przekonać samego siebie, że mówi szczerą prawdę? Ile czasu zajmie mu przekonanie siebie, że prawdą jest ustalona wspólnie z Macbethem wersja zabicia tych dwóch chłopaków na wiejskiej szosie?

– Umyłeś już te ręce, Duff? Wydaje mi się, że Duncan chce wracać do domu.

Ludzie z Gwardii pożegnali się przed Murarzem wśród mżawki.

– Wierność, braterstwo – powiedział głośno Macbeth.

Pozostali odpowiedzieli mu mniej lub bardziej bełkotliwym chórem:

– Ochrzczeni ogniem, związani krwią.

Potem pieszo rozeszli się w przeróżne strony. Macbeth i Banquo ruszyli na zachód, mijając ulicznego grajka, który bardziej zawodził, niż śpiewał *Meet Me On The Corner,* i dalej przez opuszczone, obracające się w ruinę hale i korytarze Dworca Centralnego. Dziwnie ciepły wiatr nabierał pędu w korytarzach, przerzucając

śmieci między niegdyś pięknymi doryckimi kolumnami, kruszącymi się teraz po latach zaniedbań i zanieczyszczonego powietrza.

– No dobrze – odezwał się Banquo. – Powiesz mi, co się naprawdę wydarzyło?

– To raczej ty opowiedz mi jeszcze raz o ciężarówce i Kennecie – odparł Macbeth. – Upadek z dziewięćdziesięciu metrów! – Jego śmiech odbił się echem od murowanego sklepienia.

Banquo się uśmiechnął.

– Daj spokój, Macbeth. Co się wydarzyło na tamtej szosie?

– Wspominali coś o tym, jak długo most będzie zamknięty na czas remontu?

– Ich może zdołasz okłamać, ale nie mnie.

– Dopadliśmy ich, Banquo. Musisz wiedzieć więcej?

– No właśnie, muszę? – Banquo machnął ręką, opędzając się od smrodu wydobywającego się z klatki schodowej, która prowadziła do toalet. Jakaś kobieta w nieokreślonym wieku, z włosami opadającymi na twarz, stała zgięta wpół, czepiając się balustrady.

– Nie.

– No to dobrze – powiedział Banquo.

Macbeth zatrzymał się i przykucnął przed młodym chłopakiem, który siedział pod ścianą, a przed sobą miał żebraczy kubek. Chłopak podniósł głowę. Jedno oko zasłaniała czarna klapka, drugie patrzyło gdzieś z głębi odurzenia, z otchłani snu. Macbeth wrzucił do kubka banknot i położył rękę na ramieniu chłopaka.

– Co słychać? – spytał cicho.

– Macbeth – odezwał się chłopak. – Sam widzisz.

– Dasz radę – powiedział Macbeth. – Pamiętaj, że zawsze jesteś w stanie przestać.

Głos chłopaka prześlizgiwał się z samogłoski na samogłoskę.

– A ty skąd wiesz?

– Uwierz mi, nie będziesz pierwszy. – Macbeth wstał, a chłopak drżącym głosem zawołał jeszcze za nimi:

– Niech Bóg cię błogosławi, Macbecie!

Weszli do hali we wschodniej części dworca. Panowała tu zaskakująca cisza, jak w kościele. Ćpuny, które nie siedziały, nie leżały na ławkach ani nie stały pod ścianami, krążyły w powolnym tańcu niczym astronauci w obcej atmosferze, podlegający wpływom innej siły ciążenia. Niektórzy podejrzliwie spoglądali na policjantów, ale większość po prostu ich zignorowała, jakby mieli w oczach rentgen, który już dawno pomógł im ustalić, że ci dwaj nie mają nic na sprzedaż. Większość obecnych była tak wychudzona i udręczona, że nie dawało się stwierdzić, jak długo żyją. I ile im jeszcze zostało.

– Nigdy cię nie kusi, żeby znów spróbować? – spytał Banquo.

– Nie.

– Byłym narkomanom zwykle śni się ostatni strzał.

– Nie mnie. Wyjdźmy stąd.

Podeszli do schodów przy wyjściu zachodnim, zatrzymali się jeszcze pod dachem, który chronił ich przed deszczem. Obok, na pomalowanych na czarno torach ułożonych na niskim cokole, stało coś, co po ciemku przypominało prehistorycznego potwora. Bertha, licząca sobie sto dziesięć lat pierwsza w kraju lokomotywa, symbol panującej kiedyś optymistycznej wiary w przyszłość. Szerokie, majestatyczne, łagodnie opadające schody prowadziły na ciemny i wyludniony plac Robotników, dawniej żywiołowo tętniący aktywnością, pełen straganów i podróżnych, spieszących na dworzec i z dworca, teraz przeobrażony w plac duchów, po którym, pogwizdując, hulał wiatr.

Na końcu placu migotały światła szacownego murowanego budynku, stanowiącego niegdyś siedzibę kolei, który jednak po zamknięciu linii podupadł, aż w końcu został odkupiony i wyremontowany, zmieniając się w urządzony z największym przepychem, najelegantszy przybytek, jaki miało do zaoferowania miasto: kasyno Inverness. Banquo był w środku zaledwie raz i ten raz mu wystarczył, żeby zrozumieć, że to miejsce nie w jego typie. A raczej, że on nie jest w typie gości tego kasyna. Banquo należał raczej do typu gości z Obelisku, do którego przychodzili ludzie nie tak dobrze ubrani, drinki nie były takie drogie, a dziwki nie tak piękne i nie tak dyskretne.

– Dobranoc, Banquo.

– Dobranoc, Macbecie. Śpij dobrze.

Banquo zauważył lekkie drżenie przebiegające przez ciało przyjaciela, zanim jego zęby zajaśniały w ciemności, kiedy mówił:

– Pozdrów Fleance'a i powiedz mu, że jego ojciec dokonał dziś w nocy wielkiego wyczynu. Co ja bym dał, żeby zobaczyć Kennetha spadającego ze swojego mostu...

Banquo słuchał oddalającego się śmiechu Macbetha, idącego w ciemności i deszczu przez plac Robotników. A kiedy ten śmiech ucichł, Banqua ogarnął niepokój. Macbeth był nie tylko jego przyjacielem i kolegą z pracy – był dla niego jak syn, niczym mały Mojżesz wyłowiony w koszyku, i Banquo kochał go niemal równie mocno jak Fleance'a. Dlatego zaczekał, aż zobaczył, jak Macbeth wyłania się znów po drugiej stronie placu i wchodzi w krąg światła przed wejściem, w którym właśnie pojawiła się i objęła go wysoka kobieta z długimi, płomiennie rudymi włosami, w powłóczystej czerwonej sukni, jakby duch zwiastun uprzedził ją o nadejściu ukochanego.

Lady.

Może już wiedziała, co się wydarzyło wcześniej tego wieczoru; kobieta taka jak Lady nie dotarłaby tu, gdzie się znalazła, nie mając informatorów dostarczających jej niezbędnych wiadomości o wszystkim, co poruszało się pod powierzchnią w tym mieście.

Ciągle się obejmowali. Lady była piękną kobietą, a kiedyś mogła być jeszcze piękniejsza. Nikt nie znał jej wieku, lecz musiała być sporo starsza od trzydziestotrzyletniego Macbetha. Ale może i rację mieli ci, którzy twierdzili, że prawdziwa miłość zwycięży wszystko.

A może nie.

Starszy policjant odwrócił się i ruszył na północ.

W Fife kierowca komendanta policji zjechał zgodnie z poleceniem na wąską drogę. Pod oponami zachrzęścił żwir.

– Tutaj możesz się zatrzymać, dalej już się przejdę – powiedział Duff.

Kierowca zahamował. W ciszy, która zapadła, słychać było muzykę świerszczy i szum liści na drzewach.

– Nie chcesz ich obudzić – stwierdził Duncan, patrząc na koniec drogi, gdzie stał nieduży, pomalowany na biało wiejski dom, skąpany w blasku księżyca. – Masz słuszność. Niech nasi najbliżsi śpią w niewiedzy, przekonani o tym, że są bezpieczni. Ładnie mieszkacie.

– Dziękuję. I przepraszam za tę okrężną drogę, którą przeze mnie musieliście jechać.

– Czasami okrężna droga bywa koniecznością, Duff. Kiedy następnym razem dostaniesz cynk o Norse Riders, wybierzesz okrężną drogę prowadzącą przeze mnie, zrozumiano?

– Zrozumiano.

Palec wskazujący Duncana przesuwał się po podbródku tam i z powrotem.

– Naszym celem jest uczynić z tego miasta lepsze miejsce do życia dla wszystkich, Duff. Ale to oznacza, że wszystkie dobre siły muszą współpracować i myśleć o dobru wspólnoty, a nie tylko swoim własnym.

– Oczywiście. Chcę tylko powiedzieć, że chętnie wykonam każdą pracę, dopóki będzie ona służyć naszej formacji i miastu, sir.

– W takim razie to ja muszę ci podziękować, Duff. Jeszcze tylko ostatnia rzecz...

– Tak?

– Mówisz, że nie spodziewałeś się czternastu ridersów z samym Swenem. Sądziłeś, że zachowają się bardziej dyskretnie. Że wyślą ze dwóch ludzi, którzy zabiorą ciężarówkę cicho i spokojnie.

– Owszem.

– A nie przyszło ci do głowy, że Sweno też dostał cynk? Że podejrzewali akcję policji? Może więc twoje obawy o przeciek nie były wcale takie nieuzasadnione. Dobranoc, Duff.

– Dobranoc.

Duff ruszył w stronę domu, chłonąc zapach ziemi i trawy, którą pokryła już poranna rosa. Owszem, sam już o tym myślał, a teraz Duncan powiedział to głośno. Przeciek. Zdrada. On, Duff, znajdzie źródło tego przecieku. Znajdzie je już jutro.

Macbeth z zamkniętymi oczami leżał na boku. Za sobą słyszał jej równy oddech, a z kasyna dobiegały basy przypominające stłumione bicie serca. Kasyno było czynne przez całą noc, ale o tak późnej porze kończyli już nawet ci spragnieni gry i alkoholu. Nocujący tu goście przechodzili korytarzem i otwierali drzwi do swoich pokoi – jedni sami, drudzy z małżonkami. Albo w innym towarzystwie. Lady się w to nie wtrącała, dopóki kobiety odwiedzające kasyno Inverness stosowały się do jej niepisanych zasad i pozostawały zawsze dyskretne, zawsze wypielęgnowane,

zawsze trzeźwe, zawsze zdrowe i zawsze, ale to zawsze piękne. Raz, niedługo po tym, jak się ze sobą związali, Lady spytała Macbetha, dlaczego się za nimi nie ogląda. I śmiała się, kiedy wyjaśnił, że jego oczy widzą tylko ją. Dopiero później zrozumiała, że powiedział prawdę, i to dosłownie. Nawet nie musiał się odwracać, żeby ją zobaczyć. Rysy jej twarzy miał jak wypalone na siatkówce; bez względu na to, gdzie się znajdował, wystarczyło zamknąć powieki, a ona już przy nim była. Przed Lady nie było żadnej. Owszem, pojawiały się kobiety, za których sprawą puls mu przyspieszał, i z całą pewnością takie, którym serca biły mocniej z jego powodu. No i oczywiście ta jedna, która pozostawiła bliznę na jego sercu. Ale z żadną nie zaznał intymności.

Kiedy Lady to zrozumiała i spytała ze śmiechem, czy trafił jej się prawdziwy prawiczek, opowiedział jej swoją historię. Historię, którą do tej pory znały jedynie dwie osoby na świecie. A ona opowiedziała mu swoją.

Jedwabna, droga pościel apartamentu wydawała się ciężka w zetknięciu z nagą skórą. Była jak gorączka, ciepła i zimna jednocześnie. Po oddechu Lady zorientował się, że się obudziła.

– O co chodzi? – spytała sennie.

– O nic. Po prostu nie mogę spać.

Przytuliła się do niego, a jej dłoń zaczęła go gładzić po piersi i ramionach. Czasami – tak jak teraz – oddychali w tym samym rytmie. Jakby byli jednym organizmem, bliźniętami syjamskimi, które mają wspólne płuca. Takie samo uczucie towarzyszyło im, gdy opowiadali sobie swoje historie, i Macbeth poczuł, że nagle nie jest już sam.

Dłoń Lady przesunęła się po jego ręce przez tatuaże do przedramienia, gdzie zaczęła gładzić blizny. O nich też jej opowiedział. I o Lorrealu. Po prostu nie mieli przed sobą żadnych

tajemnic. Chociaż pewnych okrutnych szczegółów kazał jej sobie oszczędzić. Kochała go i tylko to się liczyło. Tylko to musiał o niej wiedzieć.

Obrócił się na plecy. Jej dłoń przesunęła się na jego brzuch, tam się zatrzymała, czekała. Lady była królową. A jej poddany posłusznie się podniósł wśród jedwabnych prześcieradeł.

Kiedy Duff wsunął się do łóżka obok żony, wsłuchał w jej równy oddech i poczuł ciepło jej pleców, miał wrażenie, że wspomnienia ostatnich wydarzeń zaczęły już blednąć – tak jak noc. To miejsce zawsze wywierało na niego taki wpływ. Poznali się, gdy był jeszcze studentem. Ona pochodziła z zamożnej rodziny z zachodniej dzielnicy i chociaż jej rodzice początkowo odnosili się do niego sceptycznie, to jednak z czasem zaakceptowali pracowitego i ambitnego młodego człowieka. Teść stwierdził, że Duff ma dostatecznie solidny rodowód. Dalej wszystko potoczyło się niemal automatycznie. Małżeństwo, dom w Fife, gdzie dzieci mogły rosnąć bez wdychania trującego miejskiego powietrza, kariera, codzienność. Dużo codzienności, długie dni i awans na horyzoncie. A czas to rdza. Tak po prostu jest. Ona była dobrą kobietą i dobrą żoną, nie w tym rzecz. Mądrą, troskliwą i wierną. A co z nim? Czy on nie był dobrym mężem? Czy nie utrzymywał rodziny, nie odkładał pieniędzy na wykształcenie dzieci? Czy nie wybudował domku kąpielowego nad jeziorem? Owszem, ani ona, ani teść nie mieli na co narzekać. Ale on był taki, jaki był, i nic nie mógł na to poradzić. Wszystko jedno. Wiele można by mówić o tym, czym jest posiadanie domu, rodziny, ale to daje spokój. Narzuca swoje własne tempo, rozkład zajęć i nie pozwala za bardzo wykraczać poza to, co się dzieje w domu i rodzinie. Reszta świata staje się tak naprawdę nieważna. A on potrzebował kontaktu ze światem, jego zrozumienia – lub niezrozumienia. Musiał go mieć. Czasami.

– A więc wróciłeś do domu... – szepnęła.

– Do ciebie i dzieci – odparł.

– ...dzisiejszej nocy – dokończyła.

Leżał, wsłuchując się w ciszę, która zapadła między nimi. Próbował określić, czy jest dobra, czy zła. Potem z czułością dotknął barku żony, delikatnie przycisnął czubki palców do zmęczonych mięśni, tam gdzie, jak wiedział, dotyk sprawi jej przyjemność.

Zamknął oczy.

I znów to zobaczył.

Kroplę deszczu zwisającą z krawędzi przyłbicy. Klęczącego przed nim mężczyznę. Znieruchomiałego. Kask z rogami. Duff chciał coś do niego powiedzieć, ale nie był w stanie. Zamiast tego przyłożył broń do ramienia. Czy ten człowiek nie mógł przynajmniej się poruszyć? Kropla miała wkrótce się oderwać.

„Duff" – odezwał się Macbeth za jego plecami. „Duff, nie..."

Kropla spadła.

Duff nacisnął spust. Jeszcze raz. I jeszcze.

Trzy strzały.

Mężczyzna klęczący przed nim osunął się na bok.

Cisza, która się potem pojawiła, dosłownie ogłuszała. Duff przykucnął przy trupie, zdjął mu kask. Kiedy zrozumiał, że to nie Sweno, poczuł się tak, jakby ktoś wylał na niego kubeł lodowatej wody. Młody chłopak miał zamknięte oczy, można by powiedzieć, że spokojnie śpi.

Duff się odwrócił, spojrzał na Macbetha. Poczuł, że do oczu napływają mu łzy, wciąż nie mógł wydobyć głosu i tylko kręcił głową. Macbeth skinął mu w odpowiedzi głową i zdjął kask temu drugiemu. Tamten również był młody. Duffa ścisnęło w gardle i zakrył twarz dłońmi. Błagania chłopaka przedarły się przez jego szloch jak krzyk mewy krążącej nad bezludną równiną: „Nie, nie rób

tego! Ja niczego nie widziałem, nikomu o tym nie powiem! Ława przysięgłych i tak mi nie uwierzy! Ja nic...".

Głos urwał się jak ucięty. Duff usłyszał pluskanie o asfalt, cichy charkot, a potem znów tylko ciszę.

Odwrócił się. Dopiero teraz zauważył, że tamten drugi chłopak był ubrany na biało. Biały materiał pochłaniał krew wypływającą z otworu w jego szyi.

Macbeth ze sztyletem w ręku stał za chłopakiem. Jego klatka piersiowa podnosiła się i opadała.

„No to już" – powiedział zachrypniętym głosem. Chrząknął. „Spłaciłem dług, jaki u ciebie miałem, Duff".

Duff przycisnął koniuszki palców w miejscu, gdzie, jak wiedział, sprawi ból.

Drugą rękę trzymał na ustach mężczyzny, aby stłumić jego krzyki i nie pozwolić mu się podnieść ze szpitalnego łóżka. Mężczyzna rozpaczliwie szarpał kajdanki przypięte do wezgłowia. W dziennym świetle wlewającym się przez okno Duff wyraźnie widział szeroko otwarte oczy pod wytatuowanym na czole napisem *Norse Rider Till I Die* i delikatną siateczkę naczyń krwionośnych otaczającą powiększone ze strachu źrenice. I to, jak jego własne dwa palce, wskazujący i środkowy, zabarwiają się na czerwono, kiedy wcisnęły się pod bandaż i z lekkim mlaśnięciem zagłębiły w ranie w barku.

Każdą pracę, pomyślał Duff. Dopóki będzie ona służyć naszej formacji i miastu.

I powtórzył pytanie:

– Kto w policji jest waszym informatorem?

Wyciągnął palce z rany. Ranny przestał krzyczeć. Duff odsunął też rękę od jego ust. Mężczyzna ciągle milczał.

Duff mocnym szarpnięciem zerwał bandaż i przycisnął do rany wszystkie palce.

Wiedział, że prędzej czy później uzyska odpowiedź, że to jedynie kwestia czasu. Chodzi tylko o to, ile jest w stanie wytrzymać człowiek, zanim ulegnie. Zanim złamie każdą wytatuowaną przysięgę i zrobi wszystko, absolutnie wszystko – nawet to, czego miał w swoim mniemaniu nie zrobić nigdy. Bo wierność na wieki jest rzeczą nieludzką, jak najbardziej ludzką zaś jest zdrada.

4

Dwadzieścia minut.

Minęło dwadzieścia minut od chwili, gdy Duff w szpitalu wcisnął palce w bark mężczyzny z tatuażem na czole, do momentu, gdy zaskoczony wychodził stamtąd, zdobywszy dość informacji o tym, kto, gdzie i kiedy, by osoba ta nie mogła się wywinąć, jeśli nie była niewinna. Zaskoczony dlatego, że – skoro już było tak źle, że naprawdę działał wśród nich kret – to rozwiązanie zagadki było niemal aż za dobre, żeby mogło być prawdziwe.

Trzydzieści minut.

Minęło trzydzieści minut od chwili, kiedy Duff wsiadł do samochodu, przejechał w słabym deszczu, padającym na miasto tak, jakby sikał staruszek, zaparkował przed Komendą Główną Policji i doczekał się od sekretarki komendanta łaskawego skinienia głową – sygnału, że może wejść, do momentu, kiedy usiadł przed Duncanem i wypowiedział to jedno słowo: „Cawdor", a komendant pochylił się nad biurkiem i spytał, czy Duff jest pewien. Przypomniał, że mimo wszystko mówią o naczelniku Wydziału Gangów, odchylił się z powrotem, potarł dłonią twarz i Duff pierwszy raz w życiu usłyszał z ust Duncana przekleństwo.

Czterdzieści minut.

Minęło czterdzieści minut od chwili, kiedy Duncan ustalił, że Cawdor ma wolny dzień, sięgnął po telefon i wydał Macbethowi rozkaz aresztowania, do momentu, gdy ośmiu ludzi z Gwardii otoczyło dom Cawdora, położony tak daleko na zachód, że śmieci wciąż tu odbierano, a bezdomnych usuwano, na dużej działce z widokiem na morze, mający za najbliższego sąsiada burmistrza Tourtella. Gwardziści zaparkowali dwa kwartały dalej i chyłkiem

podeszli w pobliże domu, po dwóch mężczyzn z każdej strony świata.

Macbeth i Banquo siedzieli na chodniku przy bramie od południowej strony, oparci plecami o wysoki mur. Cawdor, podobnie jak większość sąsiadów, okleił szczyt muru odłamkami szkła, ale Gwardia dysponowała odpowiednimi matami, pozwalającymi sforsować tego rodzaju przeszkodę. Akcję prowadzono zgodnie ze zwykłymi procedurami. Oddziały miały meldować przez krótkofalówki zajęcie ustalonych pozycji.

Macbeth patrzył na drugą stronę ulicy, gdzie sześcio-, może siedmioletni chłopczyk odbijał piłkę o drzwi garażu, kiedy przyjechali. Teraz stał i przyglądał im się z rozdziawioną buzią. Macbeth położył palec na wargach. Chłopczyk odpowiedział mu skinieniem głowy, powolnym jak u lunatyka. Macbeth pomyślał, że ma taką samą minę jak tamten ubrany na biało, klęczący na asfalcie chłopak poprzedniego wieczoru.

– Obudź się. – To Banquo szepnął mu do ucha.

– Co?

– Wszystkie grupy już się zameldowały na swoich pozycjach.

Macbeth kilka razy odetchnął głęboko. Musi teraz odciąć się od innych rzeczy. Musi wejść w Stan. Wcisnął guzik w krótkofalówce.

– Za pięćdziesiąt sekund wchodzimy. Wszyscy razem. Północ? *Over*.

Głos Angusa, śpiewny, kojarzący się z głoszeniem Dobrej Nowiny głos księdza.

– Wszystko gotowe. Nie widzę w środku żadnych ruchów. *Over*.

– Zachód? *Over*.

– Wszystko gotowe. – To był głos skierowanego tymczasowo do Gwardii Seytona. Bezbarwny, spokojny. – Chwileczkę. Poruszyła

się zasłona w salonie. *Over*.

– Okej. – Macbeth nie musiał się nawet zastanawiać, to była część procedur typu „Co, jeśli...?", które ćwiczyli codziennie. – To znaczy, że mogliśmy zostać odkryci, więc kończymy odliczanie i wchodzimy. Trzy, dwa, jeden... Ruszamy!

I wtedy pojawił się Stan. Stan był jak pomieszczenie, w którym zamyka się za sobą drzwi i nie istnieje nic innego niż Zadanie. Ty i twoi ludzie.

Poderwali się i w czasie, gdy Banquo zarzucał matę na odłamki szkła na murze, Macbeth zobaczył, że chłopczyk z piłką macha rączką powoli jak robot.

W ciągu paru sekund pokonali mur i popędzili przez ogród. Macbeth potrafił teraz uchwycić wszystko, co się wokół niego działo. Słyszał trzask gałęzi na wietrze, widział wronę wzlatującą z kalenicy sąsiedniego domu, czuł zapach zgniłego jabłka w trawie. Wbiegli po schodach, Banquo kolbą karabinu zbił szybę w drzwiach i otworzył je od środka. W momencie, gdy wchodzili, usłyszeli brzęk tłuczonego szkła dochodzący z innych miejsc w domu. Ośmiu przeciwko jednemu. Kiedy Macbeth pytał Duncana, czy naprawdę są powody, by przypuszczać, że Cawdor będzie stawiał opór, komendant odparł, że wcale nie dlatego życzy sobie aresztowania w wielkim stylu.

„Trzeba wysłać sygnał, Macbecie. Pokazać, że nie traktujemy swoich ani trochę łagodniej. Przeciwnie – tłuczcie szkło, rozwalajcie kopniakami drzwi, hałasujcie i wyprowadźcie Cawdora w kajdankach głównym wejściem, żeby wszyscy mogli to zobaczyć i o tym mówić".

Macbeth pierwszy wpadł do środka. Przyciskając karabin automatyczny do ramienia, omiótł wzrokiem korytarz. Przylgnął do ściany przy drzwiach do salonu. Po ostrym blasku słońca

na zewnątrz oczy stopniowo przywykały do mroku. Wyglądało na to, że w całym domu zasłony są zaciągnięte. Banquo ruszył dalej do salonu.

W chwili, kiedy Macbeth odepchnął się od ściany, żeby iść za nim, nastąpił atak.

Napastnik wyłonił się bezszelestnie z ciemności jednej z dwóch wąskich klatek schodowych i błyskawicznym ruchem uderzył Macbetha w pierś tak mocno, że ten upadł do tyłu.

Macbeth poczuł na szyi gorący oddech, ale udało mu się wsunąć lufę karabinu i odepchnąć pysk na bok, tak że ogromne kły zagłębiły się w jego ramieniu. Krzyknął z bólu, kiedy wielki pies, warcząc, rozszarpywał skórę i mięśnie. Macbeth próbował go uderzyć, ale wolna ręka zaplątała mu się w pas karabinu.

– Banquo!

U Cawdora nie powinno być psa, przed atakiem zawsze sprawdzali takie rzeczy. Ale to był pies, w dodatku silny. Macbeth czuł nacisk na lufę. Bestia chciała się dorwać do jego gardła. Zaraz przegryzie mu tętnicę.

– Ban...

Pies zesztywniał. Macbeth obrócił głowę i spojrzał w zachodzące mgłą ślepia. Ciało zwierzęcia zwiotczało i powoli się osunęło. Macbeth zrzucił je z siebie i podniósł wzrok.

Stojący nad nim Seyton wyciągał rękę.

– Dziękuję. – Macbeth bez pomocy stanął na nogi. – Gdzie Banquo?

– On i Cawdor są tam, w środku. – Seyton wskazał na salon.

Macbeth podszedł do drzwi. Ktoś już rozsunął zasłony i Macbeth pod światło zobaczył tylko plecy Banqua, wpatrzonego w sufit. Nad nim unosił się anioł w aureoli słonecznego blasku z głową pochyloną, jakby modlił się o wybaczenie.

Godzina.

Minęła godzina od chwili, kiedy Macbeth powiedział „Ruszamy", do momentu, gdy Duncan zebrał wszystkich naczelników wydziałów i sekcji w dużej sali konferencyjnej w Komendzie Głównej.

Stał teraz na mównicy, wpatrzony w jakieś kartki, na których, jak Duff wiedział, zapisał słowa w takiej formie, w jakiej jego zdaniem powinny zostać wypowiedziane, lecz wkrótce miał o nich zapomnieć i mówić prosto z serca. Nie dlatego, by komendant nie panował nad sobą, do tego było mu daleko, ale mógł sobie pozwolić na swobodny dobór słów, ponieważ słuchał głosu serca tak samo jak rozumu, myślał, tak jak czuł, i odwrotnie. Ten człowiek rozumie samego siebie i dlatego rozumie innych, pomyślał Duff. Prawdziwy szef. Ktoś, za kim idą ludzie. Ktoś, kim Duff pragnął być lub kim mógł się stać.

– Wszyscy wiecie, co zaszło – zaczął Duncan z powagą, przyciszonym głosem, który mimo to brzmiał tak donośnie, jakby komendant krzyczał. – Chciałem jednak poinformować was oficjalnie przed popołudniową konferencją prasową. Wobec jednego z naszych najbardziej zaufanych funkcjonariuszy, komisarza Cawdora, wysunięto poważne zarzuty i podejrzenia o korupcję. Na obecnym etapie sprawy wszystko wskazuje, że podejrzenia są uzasadnione. Zważywszy, że zarzuty dotyczą w głównej mierze powiązań Cawdora z gangiem Norse Riders, przeciwko któremu przeprowadziliśmy wczoraj udaną akcję, pojawiło się rzecz jasna ryzyko, że Cawdor w takiej sytuacji będzie usiłował zatrzeć dowody lub uciec. Dlatego dziś rano o dziesiątej wydałem Gwardii rozkaz natychmiastowego zatrzymania komisarza Cawdora.

Duff miał nadzieję, że przy tej okazji padnie jego nazwisko, chociaż rozumiał, że komendant nie chce wdawać się w szczegóły.

Bo jeśli człowiek uczy się czegoś w policji, to tego, że raz wyłożonej karty nie można już cofnąć. Dlatego drgnął, kiedy Duncan podniósł głowę i powiedział:

– Proszę komisarza Macbetha o podejście i krótkie zrelacjonowanie przebiegu akcji.

Zdumiony Duff odwrócił się i zobaczył, jak kolega kroczy między rzędami krzeseł w stronę podium, również wyraźnie zaskoczony. Komendant nie miał bowiem w zwyczaju udzielać innym głosu w takich sytuacjach – sam mówił to, co należało powiedzieć, krótko i zwięźle, po czym kończył zebranie i wszyscy wracali do swoich obowiązków, kontynuując starania, aby miasto stało się lepszym miejscem do życia.

Macbeth sprawiał wrażenie, że na mównicy czuje się nieswojo. Wciąż był ubrany w czarny mundur szturmowy Gwardii, ale zamek błyskawiczny przy szyi miał rozpięty na tyle głęboko, że dało się zobaczyć jaśniejącą biel bandaża na prawym barku.

– No więc... – zaczął.

Nie był to zbyt elegancki początek, ale też i nikt się nie spodziewał, że szef Gwardii okaże się słownym ekwilibrystą. Macbeth spojrzał na zegarek, jakby gdzieś się spieszył, ale każdy w tej sali wiedział, że to tylko odruch policjanta, który poproszony o złożenie raportu czuje niepewność. Spogląda na zegarek, jakby były na nim wypisane dokładne godziny wydarzeń, które należy obowiązkowo podać, albo jakby tarcza zegarka w taki czy inny sposób miała wesprzeć jego pamięć.

– O godzinie dziesiątej pięćdziesiąt cztery... – Macbeth musiał dwa razy odchrząknąć – ...Gwardia przeprowadziła szturm na dom komisarza Cawdora. Drzwi na taras pozostawały uchylone, ale nie ujawniono żadnych śladów włamania czy użycia przemocy. Nic nie świadczyło o tym, żeby ktoś tam był przed nami. Oprócz psa. Nie

odkryto też śladów wskazujących na udział osób trzecich... – Dopiero teraz Macbeth oderwał wzrok od zegarka i spojrzał na zgromadzonych. – W pokoju leżało przewrócone krzesło, ale przy samych drzwiach na taras. Nie chcę uprzedzać wniosków techników działających na miejscu, ale wygląda na to, że Cawdor, wieszając się, nie tylko zszedł z krzesła, lecz z niego zeskoczył i przy ruchu wahadłowym kopniakiem przesunął krzesło przez cały pokój. Wskazują na to również wydzieliny zmarłego rozbryźnięte po podłodze. Ciało było zimne. Samobójstwo wygląda na zaplanowane. Jeden z moich chłopaków spytał, czy mogliby ominąć procedury i odciąć powieszonego, ponieważ Cawdor mimo wszystko przez całe życie był policjantem. Nie zgodziłem się...

Duff zwrócił uwagę na pauzę, którą zastosował Macbeth. Jakby chciał, żeby zebrani wsłuchali się w jego milczenie. Była to sztuczka, której Duff również potrafił używać, i wiedział, że ucieka się do niej Duncan, ale nie sądził, by w swoim repertuarze miał ją taki praktyk jak Macbeth. Możliwe zresztą, że w rzeczywistości wcale jej nie miał, bo znów spojrzał na zegarek:

– ...o dziesiątej pięćdziesiąt dziewięć. – Macbeth podniósł głowę i jakby gestem zakończenia naciągnął na zegarek rękaw kurtki. – Tak więc Cawdor ciągle tam wisi. Nie z uwagi na dobro śledztwa, tylko dlatego, że był skorumpowanym policjantem.

W sali zapadła taka cisza, że Duff usłyszał deszcz siekący o szybę wysoko umieszczonego okna. Macbeth odwrócił się do Duncana i lekko skinął mu głową. Potem zszedł z podium i wrócił na swoje miejsce.

Duncan odczekał, aż Macbeth usiądzie, i dopiero wtedy się odezwał:

– Dziękuję, Macbecie. To, co powiedziałeś na końcu, nie zostanie poruszone na konferencji prasowej, ale uważam, że było to

odpowiednie zakończenie naszego wewnętrznego zebrania. I pamiętajcie, że potępienie zła i słabości w człowieku można również uznać za optymistyczną pochwałę tego, co dobre i silne. Wracajmy więc do dobrej roboty, moi drodzy.

Młoda pielęgniarka stała przy drzwiach i patrzyła na rozebranego do pasa pacjenta. Długie ciemne włosy odgarnął do tyłu, kiedy lekarz odwijał mu zakrwawiony bandaż z barku. Pielęgniarka wiedziała o pacjencie jedynie to, że jest policjantem. Oraz że jest umięśniony.

– Ho, ho – westchnął lekarz. – Trzeba założyć sporo szwów. No i zrobić zastrzyk przeciwtężcowy. Zawsze jest konieczny przy ugryzieniu przez psa. Ale najpierw lekkie znieczulenie. Mario, zajmiesz się...

– Nie. – Pacjent wbił oczy w ścianę.

– Słucham?

– Żadnego znieczulenia.

Milczenie.

– Nie?

– Nie.

Lekarz chciał już powiedzieć coś o bólu, gdy zauważył blizny na przedramionach. Stare blizny. Ale taki rodzaj blizn, z jakim stykał się zbyt często, odkąd przeprowadził się do tego miasta.

– Rozumiem – powiedział. – Bez znieczulenia.

Duff odchylił się na swoim biurowym krześle i przyłożył słuchawkę do ucha.

– To ja, moja droga. Co robicie?

– Emilie poszła się kąpać z koleżankami. Ewana boli ząb, więc muszę go zawieźć do dentysty.

– Okej. Wiesz, późno dzisiaj wrócę.

– Dlaczego?

– Pewnie nawet przenocuję w mieście.

– Dlaczego? – powtórzyła. Głos nie zdradzał irytacji ani frustracji. Zabrzmiało to po prostu tak, jakby chciała mieć tę informację, ewentualnie po to, by wytłumaczyć jego nieobecność dzieciom. Nie dlatego, że sama go potrzebowała. Nie dlatego...

– Niedługo powiedzą o tym w wiadomościach – odparł. – Cawdor odebrał sobie życie.

– Och. A kto to jest Cawdor?

– No przecież wiesz.

– Nie, nie wiem.

– Szef Wydziału Gangów. Był mocnym kandydatem na szefa Pezetu.

Cisza.

Żona nigdy za bardzo nie interesowała się jego pracą. Jej świat to Fife, dzieci i – przynajmniej dawniej, kiedy bywał w domu – mąż. Właściwie nie miał nic przeciwko temu. Nie musiał wciągać rodziny w te brudy, w których się babrał, ale z drugiej strony fakt, że żona nie podzielała jego ambicji, oznaczał, że nie zawsze wykazywała zrozumienie dla tego, ile czasu wymaga jego praca. Ile poświęcenia. Ile... Przecież on ma swoje potrzeby, do diabła!

– Szef Pezetu będzie trzecią osobą w łańcuchu dowodzenia w komendzie, po Duncanie i zastępcy komendanta Malcolmie. Więc to naprawdę poważna sprawa i oznacza, że muszę być na miejscu. Niestety, dotyczy to również kolejnych dni.

– Obiecaj mi tylko, że będziesz w domu w wigilię urodzin.

Wigilia urodzin. Do pioruna! To ich zwyczaj – na dzień przed prawdziwymi urodzinami dzieci obchodzili je wyłącznie w kręgu rodziny. Była tradycyjna zupa z mięsem i warzywami, prezenty od mamy i taty. Czy naprawdę zapomniał o urodzinach Ewana?

Może wśród tego wszystkiego, co się wydarzyło w ostatnich dniach, sama data wypadła mu z głowy, ale mimo wszystko kupił Ewanowi to, o czym chłopiec marzył, odkąd Duff opowiedział mu, że wywiadowcy z Wydziału Narkotykowego czasami przebierają się podczas pracy, żeby nie dało się ich rozpoznać. W szufladzie przed Duffem leżała pięknie zapakowana paczka, a w niej sztuczna broda i klej, plastikowe okulary i zielona wełniana czapka, wszystko w dorosłym rozmiarze, aby mógł zapewnić Ewana, że właśnie tego używają tata i jego koledzy z Wydziału Narkotykowego.

W telefonie zamigotało światełko. Wewnętrzny. Domyślił się, kto może dzwonić.

– Chwileczkę, moja droga.

Wcisnął guzik przy światełku.

– Słucham.

– Duff? Tu Duncan. Chodzi mi o popołudniową konferencję.

– Tak?

– Chciałbym pokazać, że ostatnie wydarzenia nas nie sparaliżowały i już myślimy do przodu, zamierzam więc podać nazwisko nowego pełniącego obowiązki naczelnika Pezetu.

– Pezetu? O... Już teraz?

– I tak miało to nastąpić na przełomie miesięcy, ale ponieważ Wydział Gangów nie ma już naczelnika, najbardziej praktycznym rozwiązaniem będzie mianowanie od razu pełniącego obowiązki szefa nowego wydziału. Możesz przyjść do mojego gabinetu?

– Oczywiście.

Połączenie zostało przerwane. Duff siedział wpatrzony w zgasłe światełko. To niezwykła rzecz, że komendant zatelefonował osobiście, zawsze to jego sekretarka albo któraś z asystentek wzywały na spotkanie. Pełniący obowiązki naczelnika. Który – tak było zapisane w kartach – obejmie to stanowisko również

po załatwieniu formalności, czyli po upływie okresu na składanie wniosków, rozpatrywaniu ich przez Radę do spraw Zatrudnienia i tak dalej.

Spojrzenie Duffa przesunęło się na inną lampkę, która wciąż świeciła. Całkiem zapomniał, że żona czeka.

– Moja droga, coś się wydarzyło, muszę lecieć.

– O, mam nadzieję, że nic strasznego.

– Nie – roześmiał się Duff. – Nic strasznego. Absolutnie nic strasznego. Wiesz, uważam, że powinnaś włączyć popołudniowe wiadomości w radiu i posłuchać, jak będą podawać nazwisko nowego szefa Pezetu.

– Tak?

– Całuję cię w szyję. – Tego pożegnania nie używali od lat. Duff się rozłączył i co sił w nogach pobiegł – nie zdołał się powstrzymać – po schodach na ostatnie piętro, coraz wyżej i wyżej, na samą górę.

Sekretarka kazała mu od razu wchodzić.

– Czekają na ciebie! – powiedziała z uśmiechem.

Uśmiechnęła się! Przecież nigdy się nie uśmiechała.

Przy okrągłym dębowym stole przestronnego, ale urządzonego z umiarem gabinetu komendanta policji siedziały oprócz Duncana cztery osoby. Przedwcześnie posiwiały okularnik, zastępca komendanta Malcolm. Studiował filozofię i ekonomię na uniwersytecie w Capitolu, wysławiał się zgodnie z wykształceniem i wielu w Komendzie Głównej uważało go za obcego. Był starym przyjacielem Duncana, który twierdził, że ściągnął go, ponieważ ogromne kompetencje Malcolma są niezbędne dowództwu. Inni mówili, że Duncan po prostu potrzebuje na zebraniach szefostwa osoby przyklaskującej mu bez najmniejszych zastrzeżeń. Obok Malcolma pochylał się nad stołem blady albinos, Lennox, jak zawsze pełen zapału. Jego Wydział

Antykorupcyjny został utworzony w trakcie reorganizacji przeprowadzonej przez Duncana. Odbyła się krótka dyskusja na temat tego, czy „anty" powinno być członem nazwy. Niektórzy argumentowali, że na przykład nie ma Wydziału Antynarkotykowego czy Antyzabójstw. Powodem, dla którego postanowiono jednak owo „anty" dodać, był fakt, że za czasów Kennetha Wydział Narkotykowy popularnie nazywano Wydziałem Korupcji.

Po drugiej stronie Duncana siedziała jego asystentka, która protokołowała zebranie, a obok niej komisarz Caithness.

Ponieważ Duncan nie pozwalał na palenie w swoim gabinecie, na stole nie było popielniczek z niedopałkami, które mogłyby powiedzieć Duffowi, jak długo mniej więcej trwa to spotkanie. Zauważył jednak, że niektóre leżące na stole notatniki są poplamione kawą, a część filiżanek jest prawie pusta. Ponadto otwarty, pogodny, wręcz swobodny nastrój wskazywał, że osiągnięto jakiś konsensus.

– Dziękuję, że mogłeś stawić się tak szybko, Duff. – Duncan otwartą ręką wskazał mu ostatnie wolne krzesło. – Pozwól, że przejdę od razu do rzeczy. Jak już wiesz, przyspieszamy połączenie twojego Wydziału Narkotykowego z Wydziałem Gangów i utworzenie jednego Wydziału Przestępczości Zorganizowanej. To nasza pierwsza sytuacja kryzysowa od czasu, kiedy przejąłem ten fotel...

Duff spojrzał w kierunku pokazanym głową przez Duncana, w stronę biurka.

Pusty fotel komendanta miał wysokie oparcie i był duży, ale nie wyglądał na wygodny. Trochę zbyt sztywny. Żadnego miękkiego obicia. Fotel w guście Duffa.

– ...dlatego czuję, że zademonstrowanie zdolności do działania będzie ważnym sygnałem.

– Wydaje się rozsądne – stwierdził Duff i w tym samym momencie pożałował swojego komentarza. Zabrzmiało to tak, jakby wyobrażał sobie, że wezwano go, by ocenił wnioski najwyższego szefostwa. – To znaczy ufam, że to słuszna decyzja.

Wokół stołu na chwilę zapadła cisza. Czyżby posunął się za daleko w drugą stronę? Zasugerował, że nie ma własnej opinii?

– Jeśli chodzi o osobę, która obejmie wydział, musimy mieć stuprocentową pewność, że nie jest skorumpowana – podjął Duncan.

– Oczywiście – przyznał Duff.

– Nie tylko dlatego, że nie stać nas na podobne skandale jak ten z Cawdorem. Po prostu potrzebujemy kogoś, kto pomoże nam schwytać naprawdę grubą rybę. Nie mam na myśli Swena, tylko Hekate.

Hekate.

Cisza, która zapadła po wybrzmieniu tego imienia, wiele mówiła.

Duff wyprostował się na krześle. To w istocie było bardzo poważne zadanie. Ale oczywiście stanowisko właśnie tego wymagało – powalenia smoka. Wspaniale. Teraz dopiero się zacznie. Życie w roli innego, lepszego człowieka.

– Kierowałeś tą udaną akcją wymierzoną przeciwko Norse Riders – powiedział Duncan.

– Nie działałem sam – odparł Duff.

Opłaca się okazać odrobinę pokory, zwłaszcza w sytuacjach, w których nie wydaje się wymagana, bo właśnie wtedy człowieka na nią stać.

– Otóż to – ciągnął Duncan. – Macbeth wam pomógł. I to całkiem sporo, o ile dobrze zrozumiałem. Jakie jest twoje ogólne wrażenie

co do niego?

– Wrażenie, sir?

– Razem kończyliście szkołę policyjną. Bez wątpienia świetnie się sprawdził w Gwardii. Wszyscy tam są nim zachwyceni jako szefem. Ale oczywiście Gwardia to bardzo wyspecjalizowany wydział, dlatego chcieliśmy usłyszeć od ciebie, jako kogoś, kto go dobrze zna, czy twoim zdaniem Macbeth nadawałby się na takie stanowisko.

Duff musiał dwukrotnie przełknąć ślinę, aby jego struny głosowe wydały dźwięk.

– To znaczy, czy Macbeth mógłby pokierować Pezetem? O to chodzi?

– Tak.

Duff potrzebował kilku sekund. Zasłonił dłonią usta, zmarszczył brwi i czoło, z nadzieją, że nada to jego twarzy wyrazu głębokiego zamyślenia, a nie głębokiego rozczarowania.

– No i co, Duff?

– Jedna rzecz to kierować ludźmi podczas szturmowania domów, strzelania do bandytów i uwalniania zakładników. W tym Macbeth jest bez wątpienia świetny. Ale kierowanie Pezetem to praca wymagająca nieco innych kwalifikacji.

– Wobec tego jesteśmy zgodni – powiedział Duncan. – N i e c o innych kwalifikacji, a nie c a ł k i e m innych. Dowodzenie to dowodzenie. A co z jego charakterem? Można mu ufać?

Duff ścisnął w dwóch palcach górną wargę. Macbeth. Przeklęty Macbeth! Co miał powiedzieć? Ten awans należał się jemu, Duffowi, a nie facetowi, który równie dobrze mógłby skończyć jako kuglarz żonglujący sztyletami w wędrownym cyrku! Wbił wzrok w obraz wiszący na ścianie za biurkiem. Maszerujący uśmiechnięci ludzie. Według Duncana miał świadczyć o optymistycznym patrzeniu w przyszłość, wspólnocie, przewodzeniu jej i solidarności.

Przed oczami stanęli Duffowi oni obaj na tamtej wiejskiej drodze. Macbeth, on, ci dwaj martwi chłopcy. Deszcz spłukujący krew.

– Tak – odparł w końcu. – Macbethowi można ufać. Ale on jest przede wszystkim rzemieślnikiem. Chyba było to widać w jego dzisiejszym zachowaniu na mównicy.

– I w tym także się zgadzamy – potwierdził Duncan. – Właśnie dlatego go wezwałem. Chciałem zobaczyć, jak sobie poradzi. I wszyscy zgromadzeni wokół tego stołu jesteśmy zgodni, że pokazał wspaniały przykład szacunku praktyka dla wypracowanych procedur składania raportów, a jednocześnie zdolność prawdziwego dowódcy do wzbudzania zachwytu i inspirowania. „Cawdor ciągle tam wisi, ponieważ był skorumpowanym policjantem".

Po tej parodii prostego wschodniego akcentu Macbetha rozległ się przytłumiony śmiech.

– Jeśli on rzeczywiście posiada te cechy – zaczął Duff, chociaż słyszał wewnętrzny głos szepczący, że nie powinien tego mówić – to należy zadać sobie pytanie, dlaczego po latach służby nie dotarł jeszcze wyżej.

– To prawda – przyznał Lennox. – Ale akurat to trzeba uznać za jeden z najmocniejszych argumentów, które przemawiają na korzyść Macbetha. – Wybuchnął jasnym, perlistym śmiechem, całkowicie nie na miejscu. – Nikt z tu zebranych nie zajmował czołowych stanowisk w czasach poprzedniego komendanta policji. Ponieważ tak samo jak Macbeth nie uczestniczyliśmy w tej grze. Nie braliśmy łapówek. Wiem z pewnych źródeł, że właśnie to przyhamowało karierę Macbetha.

– No to już sami odpowiedzieliście sobie na to pytanie – stwierdził sztywno Duff. – I oczywiście wzięliście również pod uwagę jego relacje z właścicielką kasyna.

Malcolm zerknął na Duncana i doczekawszy się skinienia głową, zabrał głos.

– Wydział Przestępstw Gospodarczych prowadzi obecnie ofensywę przeciwko branżom, które pozostawały poza zasięgiem radarów w czasach poprzedniej administracji, i przy tej okazji zajrzał pod podszewkę kasyna Inverness. Konkluzja była jednoznaczna. Inverness jest prowadzone w sposób wzorowy, zarówno pod względem księgowości, podatków, jak i zatrudnienia. To wcale nie oczywistość w tej branży. Obecnie zaglądają... w karty kasynu Obelisk. – Uśmiechnął się krzywo. – Powiem tylko, że to zupełnie inna historia. *To be continued*, jak to się mówi. Ale wobec Lady i jej przybytku nie mamy żadnych zastrzeżeń.

– Macbeth pochodzi ze wschodniej dzielnicy i jest outsiderem – powiedział Duncan. – Natomiast my, siedzący wokół tego stołu, jesteśmy uważani za należących do wewnętrznego kręgu. Ludzie wiedzą, że trzymaliśmy się razem przeciwko Kennethowi. Że reprezentujemy zmianę kulturową naszej formacji, lecz również ukończyliśmy drogie szkoły i pochodzimy z uprzywilejowanych, zamożnych rodzin. Moim zdaniem będzie to dobry sygnał: w policji, w naszej policji, każdy może dotrzeć na szczyt, bez względu na pochodzenie i powiązania, pod warunkiem że będzie pracował ciężko i uczciwie. Z naciskiem na uczciwie.

– Tak, to dobry sygnał – zgodził się Malcolm. – Zwłaszcza jeśli najpierw zdradzimy prasie, że Macbeth miał swój udział w tej udanej akcji przeciwko Norse Riders.

– Świetny pomysł, sir – dodał Lennox.

– No dobrze. – Duncan klasnął w dłonie. – Duff, chciałbyś jeszcze coś dodać?

Nie widzieliście blizn na jego rękach?

– Duff?

Nie widzieliście blizn na jego rękach?

– Coś nie w porządku, Duff?

– Nie, sir, nie mam nic do dodania. Jestem pewien, że Macbeth to dobry wybór.

– Świetnie. Zatem dziękuję wszystkim zebranym za przybycie.

Macbeth wpatrywał się w czerwone światło na przejściu dla pieszych, a wycieraczki poruszały się tam i z powrotem po przedniej szybie należącego do Banqua volva PV544. Samochód był trochę taki jak Banquo – sporo starszy od wszystkich pozostałych wokół siebie, ale ciągle sprawny i godny zaufania. Było coś w dizajnie auta, zwłaszcza ten podzielony na warstwy przód, z jakby wysuniętą dolną szczęką, przez co samochód wyglądał na przeżytek sprzed wojny. Ale wewnątrz i pod maską miał według swego dumnego właściciela wszystko, czego można było wymagać od nowoczesnego auta. Wycieraczki ledwie nadążały ze zbieraniem wody i strugi spływające po szybie skojarzyły się Macbethowi z topiącym się szkłem. Przez ulicę przebiegł chłopak w mokrym płaszczu i Macbeth zobaczył, że na światłach dla pieszych zielony ludzik zmienił się w czerwonego. W ciało od stóp do głów zalane krwią. Macbeth zadrżał.

– O co chodzi? – spytał Banquo.

– Wydaje mi się, że zaczynam gorączkować – wyjaśnił Macbeth. – Mam omamy.

– Omamy i znaki. To grypa. Zresztą nic dziwnego. Wczoraj mokłeś przez cały dzień, a dzisiaj pogryzł cię pies.

– À propos tego psa. Wiemy już, skąd się wziął?

– Tylko tyle, że nie był z tego domu. Musiał wejść przez uchylone drzwi na taras. Ja natomiast zastanawiałem się nad tym, jak zginął.

– Nie mówiłem ci? Seyton go załatwił.

– Wiem. Ale nie znalazłem na ciele żadnych śladów. Czy on go udusił?

– Nie mam pojęcia. Musisz spytać Seytona.

– Pytałem. Ale nie odpowiedział mi wprost. Mówił tylko...

– Tato, zielone. – Siedzący z tyłu młodzieniec pochylił się do przodu między dwóch mężczyzn. Macbeth spojrzał na kościstego dziewiętnastolatka. Fleance odziedziczył więcej skromności po matce, a mniej dobrodusznej jowialności ojca.

– Kto prowadzi, chłopcze, ty czy twój ojciec? – Banquo uśmiechnął się ciepło i dodał gazu.

Macbeth patrzył na idących chodnikami ludzi, na gospodynie domowe, które wyszły po zakupy, na bezrobotnych mężczyzn w kolejkach przed knajpami. W ciągu ostatnich dziesięciu lat miasto przedpołudniami stawało się coraz bardziej zatłoczone. Obecność ludzi powinna raczej przydać miastu życia, ale było odwrotnie. Apatyczne, zrezygnowane miny przywodziły na myśl żywe trupy. W ostatnich miesiącach Macbeth zaczął wypatrywać oznak zmiany, sprawdzać, czy Duncan już coś wskórał swoimi rządami. Najbardziej rzucająca się w oczy brutalna przestępczość ulicy być może została nieco zredukowana, pewnie dlatego, że po mieście krążyło więcej patroli. A może złoczyńcy przenieśli się w głąb bocznych, mroczniejszych ulic?

– Popołudniowe wykłady w szkole policyjnej – odezwał się Macbeth. – Za moich czasów nie mieliśmy czegoś takiego.

– To nie jest żaden wykład – zaoponował chłopak. – Ja i jeszcze dwóch innych urządzamy sobie takie małe sympozjum.

– Sympozjum? A co to takiego?

– Fleance razem z kilkoma największymi zapaleńcami współpracują ze sobą przed egzaminem – wyjaśnił Banquo. – I dobrze.

– Tata mówi, że muszę iść na studia, na prawo. Że szkoła policyjna to za mało. A co ty o tym myślisz, wujku Macbecie?

– Myślę, że powinieneś słuchać ojca.

– Ale ty przecież nie kończyłeś prawa – zauważył Fleance.

– I sam widzisz, do czego go to doprowadziło – zaśmiał się Banquo. – Daj spokój, Fleance, musisz mierzyć wyżej niż twój głupi ojciec i ten drań tutaj!

– Przecież twierdzisz, że nie mam cech przywódczych – przypomniał syn.

Macbeth spojrzał na Banqua, unosząc brew.

– Naprawdę? Myślałem, że zadaniem ojca jest wzbudzenie w dziecku wiary w siebie. Przekonanie go, że jest zdolne do wszystkiego, jeśli tylko będzie dostatecznie mocno się starać.

– Owszem – przyznał Banquo. – I wcale nie powiedziałem, że nie ma zdolności przywódczych, tylko cech. A to oznacza, że musi nad nimi pracować. Jest bystry, powinien jedynie uwierzyć w zdolność do własnego osądu, co wiąże się z podejmowaniem inicjatywy, a nie ciągłym chodzeniem za innymi.

Macbeth odwrócił się do tyłu.

– Twardy gość z tego twojego ojca, Fleance.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Niektórzy zawsze chcą komenderować i decydować, a innym to po prostu nie pasuje. Czy to takie dziwne?

– Nie – odpowiedział Banquo. – Ale jeśli chce się coś osiągnąć, to może trzeba próbować się zmienić.

– A ty się zmieniłeś? – spytał Fleance z irytacją w głosie.

– Nie, byłem taki jak ty – odparł Banquo. – Zadowolony, kiedy inni decydowali. Ale żałuję, że nie miałem wtedy kogoś, kto by mi powiedział, że moje opinie są tak samo dobre jak tych, którzy znajdowali się obok. A czasami lepsze. A jeśli twoje opinie są

lepsze, to ty powinieneś dowodzić. Taki jest twój pieprzony obowiązek wobec wspólnoty.

– A co ty powiesz, wujku? Można ot, tak po prostu się zmienić i stać się typem przywódcy?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że niektórzy są urodzonymi szefami i zostają nimi w oczywisty sposób. Tak jak komendant Duncan. Ludzie, którzy zarażają cię własnym przekonaniem i potrafią cię nakłonić, abyś poszedł w imię czegoś na śmierć. Natomiast inni, których znam, nie mają w sobie ani przekonania, ani zdolności przywódczych, ale ich pragnienie kariery jest tak silne, że wreszcie trafiają na stanowisko szefa. Może i są inteligentni, obdarzeni urokiem i zdolnością przekonywania, ale w zasadzie nie znają się na ludziach. Ponieważ ich nie widzą. Rozumieją i widzą tylko jedno: siebie samych.

– Mówisz o Duffie? – Banquo się uśmiechnął.

– Kto to jest Duff? – spytał z ożywieniem Fleance.

– Nieważne – mruknął Macbeth.

– Przestań, wujku. Przecież jestem tu, żeby się czegoś nauczyć, prawda?

Macbeth westchnął.

– Duff i ja przyjaźniliśmy się w sierocińcu i w szkole policyjnej. A teraz on jest naczelnikiem Wydziału Narkotykowego. No ale trzeba mieć nadzieję, że czegoś się po drodze uczy i że to go zmienia.

– Akurat jego nie – roześmiał się Banquo.

– Z Wydziału Narkotykowego? – powtórzył Fleance. – To ten z blizną na gębie?

– Owszem – przytaknął ojciec.

– Skąd się wzięła?

– Taki się urodził – odparł Macbeth. – No, jesteśmy przy szkole. Sprawuj się dobrze.

– Jasne, wujku Macbecie.

Tytuł wujka, którego Fleance ciągle używał, wziął się z czasów jego dzieciństwa. Teraz na ogół kryła się za tym ironia. Ale Macbeth, patrząc, jak chłopak biegnie w deszczu do bramy szkoły policyjnej, poczuł, że i tak jest mu przyjemnie.

– Dobry chłopak – zauważył.

– Powinieneś mieć dzieci. – Banquo odbił od krawężnika. – To dar na całe życie.

– Wiem. Ale dla Lady już chyba trochę za późno.

– No to z jakąś młodszą. Może w twoim wieku.

Macbeth nie odpowiedział. Zamyślony, wyglądał tylko przez okno.

– Kiedy zobaczyłem czerwonego ludzika na światłach, pomyślałem o śmierci – powiedział.

– Bo myślałeś o Cawdorze. A tak w ogóle to rozmawiałem z Angusem, kiedy stanął zagapiony na huśtającego się Cawdora.

– Jakieś wątki religijne?

– Nie. Powiedział tylko, że nie rozumie uprzywilejowanych bogaczy, którzy odbierają sobie życie. Że nawet gdyby Cawdor stracił pracę i musiał odsiedzieć jakąś niedużą karę, to przecież i tak odłożył dość na długie, beztroskie życie. Musiałem tłumaczyć chłopakowi, że to upadek. I rozczarowanie, kiedy dociera do ciebie, że przyszłość nie sprosta już oczekiwaniom. Dlatego takie ważne jest nie mieć zbyt wielkich oczekiwań, zaczynać powoli i nie odnosić sukcesów za wcześnie. Stopniowy wzrost, rozumiesz?

– Sam obiecujesz synowi życie lepsze niż twoje, jeżeli tylko skończy prawo.

– Z dziećmi jest inaczej. Są przedłużeniem twojego życia. Ich zadaniem jest kontynuowanie tego wzrostu.

– To nie Cawdor.

– Co?

– Nie myślałem o Cawdorze.

– A o kim?

– O jednym z tych chłopaków na wiejskiej drodze. On był... – Macbeth wyjrzał przez okno – ...cały czerwony. Zalany krwią.

– Nie myśl o tym.

– Zimną krwią.

– Zimną... O co ci chodzi?

Macbeth odetchnął głęboko.

– Ci dwaj chłopcy koło Forres się poddali. Ale Duff mimo to zastrzelił tego w kasku Swena.

Banquo pokręcił głową.

– Wiedziałem, że coś takiego musiało się stać. A ten drugi?

– Był świadkiem. – Macbeth się skrzywił. – Po prostu wybiegli z tamtej imprezy i miał na sobie tylko przemoczoną białą koszulę i białe spodnie. Wyjąłem sztylety. Zaczął mnie błagać, wiedział, co go czeka.

– Więcej nie musisz mówić.

– Stanąłem za nim, ale nie dałem rady. Sterczałem tak z uniesionym sztyletem, kompletnie sparaliżowany. Ale potem zobaczyłem plecy Duffa; kucając, zasłaniał twarz rękami i szlochał jak dzieciak. Wtedy zadałem cios.

Z oddali dobiegł odgłos syreny. Wóz strażacki. Co, u diabła, może się palić na takim deszczu? – pomyślał Banquo.

– Nie wiem, czy to dlatego, że miał mokre ubranie – ciągnął Macbeth – ale krew zabarwiła całą jego postać. Całą koszulę i całe spodnie. Leżał na asfalcie, z rękami rozrzuconymi lekko na boki, i skojarzył mi się z ludzikiem na światłach. Tym, który mówi stop. Zatrzymaj się, nie idź dalej.

W milczeniu minęli wjazd do garażu pod komendą. Miejsca dla swoich samochodów mieli tylko naczelnicy wydziałów i wyżsi rangą policjanci. Banquo skręcił na parking znajdujący się na tyłach budynku. Zatrzymał się i wyłączył silnik. Deszcz zabębnił o dach samochodu.

– Rozumiem – powiedział Banquo.

– Co rozumiesz?

– Duff wiedział, że gdybyście aresztowali Swena i zaprowadzili go przed oblicze chciwego sędziego w najbardziej skorumpowanym mieście w kraju, to ile by dostał? Dwa lata? Maks trzy? Pełne uniewinnienie? I rozumiem ciebie.

– Naprawdę?

– Tak. Bo ile Duff by dostał, gdyby lokaj Swena zeznawał przeciwko niemu? Dwadzieścia lat? Dwadzieścia pięć? My w policji dbamy o swoich. Nikt inny o nas nie dba. A co ważniejsze, skandal z udziałem policji narobiłby wielkich szkód akurat teraz, kiedy mamy komendanta, który na powrót budzi w ludziach wiarę w prawo i porządek. Trzeba dostrzegać szerszą perspektywę. Czasami okrucieństwo walczy po stronie dobra, Macbecie.

– Być może.

– Nie myśl o tym więcej, mój drogi.

Woda ściekająca po przedniej szybie zniekształciła sylwetkę komendy, którą mieli przed sobą. Siedzieli dalej, jakby słowa, które padły, należało przetrawić, zanim będą mogli wysiąść.

– Duff musi być ci wdzięczny – powiedział Banquo. – Gdybyś ty tego nie zrobił, musiałby wziąć to na siebie. Obaj o tym wiedzieliście. Ale teraz obaj macie na siebie haka. Równowaga terroru. To ona pozwala ludziom spać w nocy.

– Duff i ja to nie Ameryka i Związek Radziecki.

– No nie, ale właściwie o co chodzi? W szkole policyjnej byliście nierozłączni, a teraz prawie się do siebie nie odzywacie. Co się stało?

Macbeth wzruszył ramionami.

– Nic specjalnego. Chyba od początku nie pasowaliśmy do siebie. On jest z Duffów, jego rodzina miała kiedyś duży majątek, takie rzeczy się człowieka trzymają. Język, maniery. W sierocińcu był przez to osamotniony i przez przypadek zbliżył się do mnie. Staliśmy się duetem, z którym nie było żartów. Ale w szkole policyjnej dało się wyczuć, że ciągnie go do swoich. Jak oswojonego lwa wypuszczonego na wolność w dżungli. Skończył studia na uniwersytecie, znalazł dziewczynę z wyższych sfer, ożenił się. Dzieci. Po prostu się od siebie odsunęliśmy.

– A może miałeś dość jego egoizmu i arogancji?

– Ludzie często mylą się co do Duffa. W szkole policyjnej poprzysięgliśmy sobie, że będziemy łapać drani. Duff naprawdę chce uczestniczyć w naprawianiu tego miasta, Banquo.

– To dlatego ocaliłeś mu skórę?

– Duff jest zdolny i ciężko pracuje. Pewnie dostanie Pezet, wszyscy o tym wiedzą. Dlaczego jeden błąd popełniony w ogniu walki miałby zatrzymać karierę człowieka, który może zrobić coś dobrego dla nas wszystkich?

– Ponieważ to niepodobne do ciebie uśmiercać w taki sposób bezbronnego.

Macbeth znów wzruszył ramionami.

– Może się zmieniłem.

– Ludzie się nie zmieniają. Ale rozumiem teraz, że uznałeś to za swój obowiązek prostego żołnierza. Ty, ja i Duff – wszyscy w tej wojnie walczymy po tej samej stronie. Skróciliście życie dwóm z Norse Riders, więc oni nie będą już skracać życia naszych dzieci

swoją trucizną. Ale nie wykonujesz swoich obowiązków z radością, widzę, ile cię to kosztuje, skoro w zwykłych światłach ulicznych ukazują ci się martwi wrogowie. Jesteś lepszym człowiekiem niż ja.

Macbeth uśmiechnął się krzywo.

– We mgle wojny widzisz lepiej niż ja, staruszku, więc lżej mi na sercu, że mam przynajmniej twoje rozgrzeszenie.

Banquo pokręcił głową.

– Wcale nie widzę lepiej niż inni. Jestem tylko gadułą, który kieruje się wyłącznie wątpliwościami.

– No właśnie, wątpliwości. Czy one cię czasami nie zżerają?

– Nie – odparł Banquo, wpatrzony w przednią szybę. – Nie czasami. Cały czas.

* * *

Macbeth i Banquo ruszyli z parkingu w stronę wejścia dla personelu, które znajdowało się na tyłach Komendy Głównej – dwustuletniego kamiennego budynku stojącego w samym centrum Dystryktu 3 Wschód. Swego czasu było tu więzienie; opowiadano o dokonywanych egzekucjach i poszeptywano o torturach. Wiele osób zostających po godzinach twierdziło ponadto, że czuło niewyjaśniony zimny powiew przelatujący przez wspólną przestrzeń biurową i słyszało coś jakby dobiegające z oddali krzyki. Banquo tłumaczył Macbethowi, że to tylko nieco ekscentryczny dozorca codziennie punkt piąta wyłącza ogrzewanie i krzyczy, gdy dostrzega, że ktoś odszedł od biurka, zapominając o zgaszeniu lampki.

Macbeth zarejestrował dwie kobiety o azjatyckiej urodzie, które trzęsły się z zimna na chodniku wśród bezrobotnych mężczyzn, jakby na kogoś czekały. Dawniej miejskie dziwki zbierały się na ulicy Skromnej na tyłach budynku zarządu kolei, ale kilka lat

temu Rada Miasta przepędziła je stamtąd. Wówczas podzieliły się na dwie grupy: te, które były dość atrakcyjne, aby móc pojawiać się w kasynach, i te, które musiały pracować na twardych warunkach dyktowanych przez ulicę. Te ostatnie czuły się bezpieczniej w pobliżu władzy porządkowej. Ponadto kiedy policja pod naciskiem polityków lub mediów przeprowadzała regularne „oczyszczanie" ulic ze „śmieci seksualnych", co łączyło się z masowymi zatrzymaniami, obu stronom było wygodniej, kiedy akcja nie musiała obejmować zbyt rozległych terenów i szybko się kończyła. Wkrótce i tak wszystko wracało do poprzedniego stanu. Nie dało się również pominąć faktu, że spora część klientów tych kobiet pochodziła właśnie z Komendy Głównej. Macbeth jednak uprzejmie odmawiał tak długo, że dziewczyny w końcu dały mu spokój. Gdy więc zobaczył te dwie ruszające w stronę jego i Banqua, doszedł do wniosku, że są nowe w dzielnicy. Zresztą by je zapamiętał. Nawet jak na stosunkowo niski standard tych ulic prezentowały się wyjątkowo mało atrakcyjnie. Z doświadczenia wiedział, że wiek Azjatek trudno określić, ale dla tych dwóch, bez względu na to, ile lat przeżyły, musiały to być trudne lata. Widać to było po oczach, z rodzaju tych zimnych, nieprzeniknionych, które nie pozwalają zajrzeć w głąb, a jedynie odbijają rozmówcę i otoczenie. Kobiety stały lekko przygarbione, w tanich płaszczach, ale uwagę przykuwało coś innego, coś niepasującego, pewna deformacja twarzy. Jedna otworzyła usta, odsłaniając braki w brązowym uzębieniu.

– Przykro mi, moje panie – odezwał się Macbeth wesoło, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. – Chętnie przyjęlibyśmy waszą propozycję, ale ja mam piekielnie zazdrosną żonę, a on piekielną chorobę weneryczną.

Banquo mruknął coś pod nosem, kręcąc głową.

– Macbeth! – odezwała się z obcym akcentem kobieta. Jej piskliwy głos lalki nie pasował do twardego spojrzenia.

– Banquo! – zawołała druga z identycznym akcentem i tembrem głosu.

Macbeth się zatrzymał. Obie kobiety naczesały długie atramentowoczarne włosy na twarze, z pewnością po to, by zasłonić zniekształcenia, ale nie były w stanie ukryć zupełnie nieazjatyckich długich czerwonych nosów, haczykowato zakrzywionych aż na usta, niczym rozpalone szkło zwisające z cybucha szklarza.

– Panie nas znają – stwierdził. – Czym możemy służyć?

Nie odpowiedziały. Skinęły tylko głowami w stronę domu po drugiej stronie ulicy. Tam, z cienia bramy, wyszła na światło dzienne trzecia osoba. Kontrast z tymi dwiema nie mógł być większy. Ta kobieta – jeśli to w ogóle kobieta – była wysoka, szeroka w barach jak wykidajło, ubrana w obcisły strój w panterkę podkreślający jej wdzięki w taki sam sposób, w jaki oszust podkreśla fałszywe zalety sprzedawanego przez siebie produktu. Ale Macbeth wiedział, co sprzedaje ta osoba, a przynajmniej co kiedyś sprzedawała. I znał te fałszywe zalety. Wszystko w niej wydawało się ekstremalne: wzrost, szerokość, sterczące piersi, drapieżnie czerwone paznokcie zaginające się na grubych palcach, szeroko otwarte oczy, teatralny makijaż, sięgające ud buty na ostrych jak szydło szpilkach. Zaszokowało go tylko jedno: że w ogóle się nie zmieniła. Wszystkie te lata, które minęły, zdawały się nie pozostawić na niej żadnego śladu.

Przecięła ulicę dwoma, jak się wydawało, gigantycznymi krokami.

– Witam panów! – odezwała się głosem tak głębokim, że Macbeth miał wrażenie, że szyby zadrżały.

– Strega! – powiedział Macbeth. – Dawno się nie widzieliśmy.

– Powiem to samo. Byłeś wtedy zaledwie chłopcem.

– Więc mnie pamiętasz?

– Pamiętam wszystkich swoich klientów, komisarzu.

– A kim są te dwie?

– To moje siostry. – Strega się uśmiechnęła. – Przychodzimy z gratulacjami od Hekate.

Macbeth zobaczył, że Banquo odruchowo sięga pod marynarkę, więc uspokajającym gestem położył mu rękę na ramieniu.

– Z jakiego powodu te gratulacje? – spytał.

– Objęcia stanowiska naczelnika Pezetu – odparła Strega. – Wygrałeś!

– Wygrałeś! – powtórzyły siostry.

– O czym ty mówisz? – rzucił Macbeth, skanując wzrokiem bezrobotnych na chodniku po drugiej stronie ulicy. Zauważył wśród nich pewne poruszenie, kiedy Banquo sięgnął po broń.

– Śmierć jednego, chleb drugiego – przemówiła Strega. – Takie jest prawo dżungli. A jeśli będzie więcej śmierci, to będzie więcej chleba. Ciekawe, komu przypadnie, jeśli komendant Duncan umrze?

– Hej! – Banquo zrobił krok w jej stronę. – Jeśli to groźba ze strony Hekate, to...

Macbeth go powstrzymał. Już to zobaczył. Trzej mężczyźni po drugiej stronie podnieśli głowy, szykując się. Stali osobno wśród innych, ale łączyło ich pewne podobieństwo: nosili szare prochowce.

– Pozwól im gadać – szepnął Macbeth.

– To nie jest groźba. – Strega znowu się uśmiechnęła. – Hekate nie zamierza podejmować żadnych działań, po prostu stwierdza interesujący fakt. Uważa, że to ty zostaniesz wówczas komendantem.

– Ja? – Macbeth wybuchnął śmiechem. – Jego miejsce zajmie zastępca komendanta, to oczywiste. A on nazywa się Malcolm.

Idźcie już sobie.

– Hekate nigdy nie myli się w swoich przepowiedniach – powiedziała mężczyzno-kobieta. – A ty dobrze o tym wiesz. – Stała naprzeciwko Macbetha, nie ruszając się z miejsca. Stwierdził, że ciągle jest wyższa z nich dwojga. – No i co? Twoja pani z kasyna ciągle dba, żebyś był czysty?

Banquo zobaczył, że Macbeth sztywnieje. I pomyślał, że ta Strega powinna się cieszyć, że podpada pod kategorię „kobieta". Macbeth prychnął, jakby chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Przestąpił z nogi na nogę. Znów otworzył usta. Ale i tym razem nie wydobyło się z nich żadne słowo. Potem gwałtownie się obrócił i pomaszerował w stronę wejścia do komendy.

Wielka kobieta patrzyła przez chwilę za nim.

– A ty, Banquo, nie jesteś ciekaw, co cię czeka?

– Nie – odparł i ruszył za Macbethem.

– Ani co czeka twojego syna, Fleance'a?

Przystanął gwałtownie.

– To mądry, pracowity chłopak – ciągnęła Strega. – A Hekate obiecuje, że jeśli on i jego ojciec będą się dobrze sprawować i stosować do reguł gry, to z czasem Fleance także zostanie komendantem policji.

Banquo odwrócił się do niej.

– Stopniowy wzrost – dodała, ukłoniła się krótko z uśmiechem, obróciła i ujęła pod ręce dwie pozostałe kobiety. – Chodźcie, siostry.

Obserwował to dziwaczne trio, dopóki nie zniknęło za węgłem komendy. Kobiety stanowiły tak osobliwy widok, że w końcu musiał zadać sobie pytanie, czy naprawdę je widział.

– Dużo wariatów włóczy się ostatnio po ulicach – stwierdził, dogoniwszy Macbetha w korytarzu przy kontuarze recepcji.

– Ostatnio? – Macbeth zniecierpliwiony jeszcze raz nacisnął guzik przywołujący windę. – W tym mieście szaleństwo zawsze miało dobre warunki. Zauważyłeś opiekunów tych kobiet?

– Niewidzialna armia Hekate?

Drzwi windy się rozsunęły.

– Cześć, Duff! – Macbeth odsunął się na bok. – No i co tam...

– Cześć – rzucił tylko jasnowłosy mężczyzna, szybkim krokiem kierując się do wyjścia.

– Ho, ho, ale zestresowany – skomentował Banquo.

– Tak to już bywa, kiedy jest się szefem. – Macbeth się uśmiechnął. Wsiadł do windy i wcisnął guzik piwnicy – poziomu Gwardii.

– Zauważyłeś, że buty Duffa zawsze skrzypią?

– Bo zawsze kupuje za duże.

– A to z jakiego powodu?

– Nie mam pojęcia – odparł Macbeth i zdążył jeszcze zatrzymać drzwi, które już miały się zamknąć tuż przed nosem nadbiegającego recepcjonisty.

– Właśnie telefonowali z gabinetu komendanta – oznajmił tamten, zdyszany. – Kazali ci przekazać, żebyś się tam zgłosił natychmiast po powrocie do komendy.

– Aha. – Macbeth puścił drzwi.

– Jakieś kłopoty? – spytał Banquo, kiedy drzwi się zasunęły.

– Najprawdopodobniej. – Macbeth wcisnął guzik piątego piętra. Poczuł, że szwy na ramieniu porządnie go ciągną.

5

Lady szła przez salon gier. Światło olbrzymich kryształowych żyrandoli padało miękko na ciemny mahoń, przy którym grano w blackjacka i pokera, a także na zielony filc, na którym wieczorem miały tańczyć kości, na szpiczastą złotą iglicę sterczącą niczym minaret pośrodku wirującego koła ruletki. Żyrandole, wykonane na specjalne zamówienie Lady, stanowiły pomniejszone kopie czteroipółtonowego żyrandola w pałacu Dolmabahçe w Stambule, a ich skierowane w dół iglice wskazujące na stoły do ruletki były kopią tamtej iglicy. Żyrandole wisiały na sznurach umocowanych do balustrady antresoli, więc w każdy poniedziałek można je było opuszczać, aby wypolerować kryształy. Lady miała świadomość, że jej gości na ogół nie obchodzą takie szczegóły, podobnie jak małe, dyskretne lilie, które kazała wyhaftować na bordowych dywanach, sprowadzonych z Włoch i kosztujących fortunę. Ale ją to obchodziło, ona widziała przystające do siebie iglice i tylko ona wiedziała, co przypominają lilie. To wystarczyło. Bo należało do niej.

Kiedy przechodziła, krupierzy odruchowo prostowali plecy. Znali się na swojej robocie, byli skuteczni i uważni. Do graczy odnosili się uprzejmie, ale zdecydowanie. Mieli wypielęgnowane dłonie i włosy, byli też nienagannie ubrani w eleganckie czarno-czerwone uniformy kasyna Inverness, które co roku wymieniano i szyto na miarę dla każdej osoby. I co najważniejsze – byli uczciwi. Lady nie musiała się tego domyślać – ona to widziała i słyszała. Widziała to w oczach ludzi, w mimowolnych ściągnięciach twarzy, w napięciu mięśni czy w teatralnym rozluźnieniu. Słyszała w maleńkich zmianach drgania strun głosowych. Jej wyczulenie było wrodzone. Matka i babka miały tę samą zdolność. Ale podczas gdy obie z wiekiem zostały przez swoją wrażliwość zapędzone w mroki szaleństwa, Lady wykorzystała umiejętność ujawniania

nieuczciwości do wydobycia się na światło dzienne, do przejścia z głębi ciemnej doliny dzieciństwa w miejsce, w którym znajdowała się dzisiaj. Jej inspekcyjne rundy miały dwie funkcje. Po pierwsze, pracownicy dokładali od siebie tę odrobinę, konieczną, aby codziennie, w każdy wieczór bez wyjątku widać było, że kasyno stoi co najmniej o klasę wyżej od Obelisku. Po drugie, rozumieli, że każda nieuczciwość zostanie ujawniona. Bo nawet jeśli ktoś wczoraj był uczciwy i nieskorumpowany, to przecież ludzie są jak mokra glina, kształtują ich sytuacja, motyw i podpowiedzi, więc dziś mogą z radością zrobić coś, co jeszcze wczoraj było nie do pomyślenia. Tak, jedyna pewna rzecz na tym świecie to chciwość serca. Lady o tym wiedziała. Sama miała chciwe serce. Na zmianę przeklinała je i czuła się nim uszczęśliwiona, bo zapewniło jej zamożność, lecz zarazem pozbawiło ją wszystkiego. Ale takie właśnie serce biło w jej piersi. Serca nie można wymienić, nie można go zatrzymać, można jedynie iść za jego głosem.

Skinęła głową znajomym twarzom zebranym wokół stołu do ruletki. Stali bywalcy. Wszyscy mieli swoje powody, aby przychodzić tu i grać. Byli tacy, którzy po pełnym napięcia dniu pracy musieli się rozluźnić, i ci, którzy po nudnym dniu pracy potrzebowali napięcia. I jeszcze inni, którzy nie mieli ani pracy, ani napięcia, ale za to mieli pieniądze. Nieposiadający żadnej z tych rzeczy trafiali do Obelisku, gdzie serwowano pozbawiony smaku, ale darmowy obiad, jeśli zagrało się za kwotę wyższą niż minimalna. Zdarzali się też idioci przekonani, że znają system, dzięki któremu kiedyś wygrają – nieustannie wymierająca, lecz, o dziwo, ciągle jeszcze żywa rasa. No i byli ci, o których żaden właściciel kasyna nigdy nie powie głośno, że to prawdziwy fundament prowadzonego przez niego interesu. Ci, którzy musieli. Ci, którzy pod przymusem przychodzili tu w kolejne wieczory, bo nie mogli

się powstrzymać przed postawieniem na szali wszystkiego. Niewolnicy kulki wirującej w błyszczącym kole ruletki niczym maleńki glob ziemski uwięziony w polu grawitacyjnym Słońca, które dawało im życie na co dzień, lecz które w końcu z nieuchronnością praw fizyki miało ich spalić. Uzależnieni. Mleko i chleb Lady.

À propos uzależnień. Lady spojrzała na zegarek. Dziewiąta. Ciągle jeszcze wczesny wieczór, ale wolałaby, żeby przy stołach było tłoczniej. Raporty z Obelisku wskazywały na to, że konkurencja nieustannie odbierała jej klientów, nawet po tak poważnych inwestycjach, jakie poczyniła w wyposażeniu wnętrza, kuchni i pokoi hotelowych. Niektórzy uważali, że przeinwestowanie doprowadzi ją do wypadnięcia z rynku, a ponieważ liczący już trzy lata Obelisk na dobre zadomowił się w świadomości ludzi jako tańsza alternatywa, powinna przyciąć nieco koszty i obniżyć standard, bo i tak Inverness nie straciłoby pozycji ekskluzywnego kasyna w mieście. Ale oni nie znali Lady. Nie wiedzieli, że dla niej wynik finansowy nie liczy się tak bardzo jak ekskluzywność sama w sobie. Chciała, by jej kasyno było nie tylko elegantsze niż Obelisk, ale po prostu lepsze w każdym detalu. Inverness miało być miejscem, w którym ludzie chcą być widziani, pragną, by ich z nim kojarzono. Ona, Lady, miała być tą, z którą chciano ich widzieć i kojarzyć. Tu pojawiali się finansiści i politycy ze szczytów władzy, aktorzy i sportowcy z firmamentu gwiazd, pisarze, piękności, hipsterzy i intelektualiści – wszyscy podchodzili do stolika Lady, kłaniali się z szacunkiem, całowali ją w rękę, z uśmiechem przyjmowali dyskretną odmowną odpowiedź na ich równie dyskretne pytanie o kredyt przy stoliku do gry i dziękowali za Bloody Mary na koszt firmy. Czort niech weźmie zysk, ona nie po to zaszła tak wysoko, żeby prowadzić jakiś pieprzony burdel jak

w Obelisku, niech więc tam przyjmują sobie męty, których i tak nie chciała widzieć pod kryształowymi żyrandolami kasyna Inverness. Pod żyrandolami z prawdziwego kryształu. Oczywiste jednak było, że trend należy odwrócić. Wierzyciele już zaczęli zadawać pytania. I niezbyt im się podobała jej odpowiedź: że Inverness wcale nie potrzebuje tańszych drinków, tylko kolejnych, jeszcze większych żyrandoli.

Ale to nie interes w tej chwili martwił ją najbardziej. Tylko uzależnienie. I to, że Macbeth jeszcze nie przyszedł. Zawsze uprzedzał, jeżeli miał wrócić później. A to, co się wydarzyło podczas akcji przeciwko Swenowi, mocno go dotknęło. Wprawdzie o tym nie mówił, ale ona i tak czuła. Niekiedy wydawało jej się, że Macbeth ma dziwnie miękkie serce, chociaż na własne oczy widziała, jak zabija. Widziała jego wykalkulowane zdecydowanie przed zabiciem człowieka, chłodną skuteczność w trakcie i pozbawiony żalu uśmiech, kiedy było już po wszystkim.

Zrozumiała, że tym razem jednak sprawa wyglądała inaczej. Ofiara była bezbronna. I wprawdzie Lady miewała niekiedy problemy ze zrozumieniem pojęcia honoru, którego trzymali się mężczyźni w rodzaju Macbetha, ale wiedziała, że za sprawą takiej historii Macbethowi może usunąć się grunt spod nóg.

Przeszła dalej, czując na sobie spojrzenia dwóch mężczyzn przy barze, młodszych od niej. Nie interesowali jej. Chociaż zawsze robiła wszystko, by wzbudzać żądzę, gardziła tymi, którzy jej pożądali. Z wyjątkiem tego jednego. Początkowo ją to zaskoczyło, że jeden mężczyzna jest w stanie do tego stopnia wypełnić jej myśli i serce. Często zadawała sobie pytanie, dlaczego ona, która nigdy nie kochała żadnego mężczyzny, pokochała właśnie tego. Doszła do wniosku, że stało się tak, ponieważ on kochał w niej to, co innych mężczyzn przerażało. Jej siłę. Wolę. Inteligencję

przewyższającą ich własną, której nie chciało jej się przed nimi skrywać. Pokochać takie cechy w kobiecie mógł jedynie prawdziwy mężczyzna.

Stanęła przy wielkim oknie, wychodzącym na plac Robotników, popatrzyła na Berthę, czarną lokomotywę strzegącą wejścia do hali dworcowej. Na bagno, w którym, jak obserwowała przez lata, utonęło tylu ludzi. Czy to możliwe, że on...

– Ukochana!

Ile razy słyszała ten głos szepczący jej to słowo do ucha? Mimo to za każdym razem miała wrażenie, że słyszy je po raz pierwszy. Odgarnął jej długie rude włosy na bok, poczuła dreszcz przenikający ciało, kiedy dotknął wargami jej karku. To było nieprofesjonalne. Wiedziała, że tamci dwaj przy barze ich obserwują. Ale pozwoliła na to. To był on.

– Gdzie się podziewałeś?

– W swoim nowym gabinecie – odparł, obejmując ją w talii.

– W nowym gabinecie? – Przesunęła dłonią po jego przedramieniu. Opuszkami palców wyczuła bliznowatą tkankę. Opowiadał jej, że blizny powstały, ponieważ na ogół musiał kłuć się po ciemku, nie widząc żył, więc wymacywał ranę po poprzednim zastrzyku i wkłuwał się w ten sam otwór. Jeśli taką metodę stosuje się przez lata i doda jeszcze do tego od czasu do czasu nieuniknione infekcje, kończy się z przedramionami, które wyglądają, jakby przeciągnięto je przez drut kolczasty. Ale żadnych świeżych ran nie znalazła. Od tamtego czasu minęło już tyle lat. Tyle, że Lady niekiedy – w przypływie dziecinnego optymizmu – myślała, że Macbeth jest już uleczony. – Nie sądziłam, że te piwniczne boksy na węgiel nazywacie gabinetami.

– Na czwartym piętrze – wyjaśnił Macbeth.

Lady odwróciła się do niego.

– Co?

Białe zęby zajaśniały w otoczeniu ciemnej brody.

– Patrzysz na nowego naczelnika Wydziału Przestępczości Zorganizowanej w tym mieście.

– Naprawdę?

– Tak. – Roześmiał się. – I masz teraz tak zszokowaną minę, jaką przypuszczalnie sam miałem w gabinecie Duncana.

– Wcale nie jestem zszokowana, mój kochany, jestem... Po prostu bardzo się cieszę. To zasłużony awans! Czy ci nie mówiłam? Nie powtarzałam, że masz lepsze kwalifikacje i zasługujesz na więcej niż ta nora w piwnicy?

– Owszem, powtarzałaś, i to nieraz, kochana, ale też nikt inny o tym nie mówił. – Macbeth odchylił głowę i znów się roześmiał.

– A więc teraz pniemy się w górę, ukochany! Wydobywamy się z piwnicznego mroku. Mam nadzieję, że zażądałeś odpowiedniej pensji.

– Pensji? Nie, chyba o tym zapomniałem. Zażądałem jedynie, żeby Banquo został moim zastępcą, a oni obaj to zaakceptowali. To jakieś szaleństwo...

– Szaleństwo? Wprost przeciwnie, to bardzo rozsądne mianowanie.

– Nie chodzi mi o mianowanie. Jeszcze zanim dotarłem do komendy, pojawiły się trzy przebrane siostry, wysłanniczki Hekate, i przepowiedziały mi, że dostanę tę robotę.

– Przepowiedziały?

– Tak.

– To znaczy, że dowiedziały się o tym wcześniej?

– Nie. Kiedy wszedłem do gabinetu Duncana, komendant oznajmił mi, że decyzja zapadła przed pięcioma minutami.

– Aha. Czyli czarodziejskie sztuczki.

– Na pewno były po prostu naćpane i gadały, co im ślina na język przyniesie. Powiedziały też, że w końcu zostanę komendantem policji. I wiesz, Duncan zaproponował, żebyśmy uczcili mój awans tutaj, w Inverness!

– Chwileczkę, co takiego?

– Chce to uczcić tutaj. Czy to nie będzie korzystne dla renomy lokalu, jeśli sam komendant policji wybiera na taką imprezę twoje kasyno?

– Pytałam o to, co mówiłeś o siostrach. Naprawdę powiedziały, że zostaniesz komendantem?

– Tak, ale nie myśl już o tym, kochana. Zaproponowałem Duncanowi, że zorganizujemy całowieczorną imprezę, a on i wszyscy, którzy mieszkają za miastem, będą mogli przenocować w hotelu. Miewasz ostatnio sporo wolnych pokoi, więc...

– Oczywiście, że to załatwimy. – Pogładziła go po policzku. – Widzę, że się cieszysz, ale ciągle wyglądasz blado.

Macbeth wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może bierze mnie jakaś choroba. W światłach ulicznych zwidują mi się martwi ludzie.

Lady wsunęła mu rękę pod pachę.

– Chodź. Postaram się temu zaradzić, mój drogi.

Przeszli przez kasyno. Wiedziała, że na wysokich obcasach jest od niego prawie o pół głowy wyższa. Wiedziała, że dzięki jej wciąż młodej figurze, eleganckiej wieczorowej sukni i miękkim majestatycznym ruchom mężczyźni przy barze ciągle się na nią gapią. Wiedziała, że to coś, czego nie dostaną w Obelisku.

Duff leżał w dużym małżeńskim łożu i wpatrywał się w sufit, w pęknięcie farby, które znał tak dobrze.

– Później, po wyjściu z zebrania, Duncan wziął mnie na bok i spytał, czy jestem rozczarowany – powiedział głośno. – Przecież

obaj wiedzieliśmy, że byłem naturalnym kandydatem na stanowisko szefa Pezetu.

Pęknięcie miało rozgałęzienia, rozchodzące się w pozornie przypadkowy sposób, ale kiedy lekko zmrużył oczy, tracąc przy tym ostrość widzenia, zdawały się układać w jakiś wzór, tworzyć obraz. Nie potrafił tylko uprzytomnić sobie, co by miał przedstawiać.

– I co odpowiedziałeś? – Głos przedarł się przez szum wody lejącej się w łazience. Nawet teraz, chociaż naoglądali się już siebie tyle, ile tylko dwoje ludzi może się naoglądać, nie lubiła, by patrzył na nią, kiedy czuła się nieświeżo. A on to akceptował.

– Przyznałem, że owszem, jestem rozczarowany. A kiedy powiedział, że chcą Macbetha, ponieważ on nie należy do wewnętrznego kręgu, to innymi słowy użyto tego przeciwko mnie, bo przecież od samego początku byłem z nimi i wspierałem Duncana.

– Rzeczywiście. Co...

– Duncan wyznał, że był jeszcze jeden powód, ale nie chciał o nim wspominać w obecności innych. Chodziło mu o to, że akcja przeciwko Swenowi powiodła się jedynie częściowo, bo przecież ten łotr się wywinął. No i wyszło na jaw, że dostałem ten cynk na tyle wcześnie, że miałem dość czasu na poinformowanie komendanta. W ten sposób o mało nie zmarnowałem rocznej pracy wywiadowców, urządziwszy coś, co trochę za bardzo przypominało solowy popis. A w dodatku całą akcję uratował Macbeth i jego Gwardia. W takiej sytuacji mogłoby się wydać podejrzane wybranie mnie zamiast jego. No ale przynamniej nakleił mi plaster na ranę.

– Dał ci Wydział Zabójstw, to chyba nieźle?

– Gorzej niż narkotykowy, ale przynajmniej uniknąłem upokorzenia, jakim byłoby zostanie podwładnym w Pezecie.

– A tak w ogóle to kto przekonał Duncana?

– O czym ty mówisz?

– Kto spośród kierownictwa wysuwał argumenty za Macbethem? Duncan jest człowiekiem, który umie słuchać, lubi zgodę i chce, aby jego decyzje miały odpowiednie poparcie w grupie.

– Uwierz mi, moja droga, nikt nie lobbuje za Macbethem. Nie wiem, czy on w ogóle ma pojęcie, co to słowo oznacza. Jedyna rzecz, jakiej pragnie w życiu, to łapać złych ludzi i dbać o zadowolenie swojej królowej kasyna.

– Jeśli o tym mowa... – Stanęła w drzwiach łazienki. Cieniutki negliż oczywiście więcej podkreślał, niż odsłaniał. Duffowi podobało się wiele rzeczy w tej kobiecie, niektórych nie potrafił nawet nazwać słowami, ale to, co naprawdę ubóstwiał, było proste: jej młodość. Płomienie ustawionych na podłodze świec sprawiały, że migotała wilgoć w jej oczach, wilgoć czerwonych warg i lśniących zębów. A jednak tego wieczoru potrzebował czegoś więcej. Nie był w nastroju. Po tym, co się wydarzyło, nie czuł się już jak jurny kozioł, chociaż z takim odczuciem rozpoczął ten dzień. Ale to chyba mogło się zmienić.

– Zdejmij to – polecił.

Roześmiała się.

– Właśnie się ubrałam!

– To rozkaz. Stój dokładnie w tym miejscu, gdzie stoisz, i zdejmij to. Powoli.

– Hm. Być może. Jeśli usłyszę wyraźniejsze polecenie...

– Komisarz Caithness, zwierzchnik rozkazuje ci obrócić się do niego plecami, ściągnąć przez głowę to, co masz na sobie, nachylić się i mocno przytrzymać futryny z obu stron.

Duff usłyszał jej ciche westchnienie, dziewczęce i zaszokowane. Może była to gra pod niego, a może nie. To nie miało znaczenia.

Powoli wchodził w nastrój.

Hekate kroczył po pokrytej plamami wilgoci posadzce Dworca Centralnego, między ścianami z łuszczącą się farbą i mamroczącymi pod nosem ćpunami. Wyczuł wzrok dwóch gości zgiętych wpół nad łyżeczką i strzykawką, z których najwyraźniej obaj zamierzali skorzystać. Nie znali go. Nikt go nie znał. Może myśleli, że ten potężny mężczyzna w musztardowożółtym płaszczu z kaszmiru, z wręcz nienaturalnie czarnymi, starannie ufryzowanymi włosami i świecącym w oczy ciężkim rolexem wygląda na idealną ofiarę napadu, która właśnie weszła do jaskini lwa. A może wyczuwali coś innego, może było coś w jego zdecydowanym, pewnym siebie kroku, w okutej złotem lasce, która wybijała rytmiczne stuk-stuk w takt uderzeń szpilek wysokiej barczystej kobiety, która szła dwa kroki za nim. Jeśli to w ogóle była kobieta. A może mieli coś w sobie również trzej mężczyźni, wszyscy w szarych prochowcach, którzy weszli na dworzec chwilę wcześniej i ustawili się pod ścianami. Może to dlatego wydawało się, że wszyscy inni są w jego jaskini. Że to on jest lwem.

Hekate przystanął, przepuszczając Stregę przodem na wąskich, cuchnących moczem schodach do toalety. Zobaczył, że ćpuny spuściły wzrok i znów skupiły się na swoim zadaniu – na gotowaniu i wstrzykiwaniu. Uzależnieni. Hekate po prostu to stwierdził, bez pogardy czy irytacji. To przecież mimo wszystko oni dawali mu mleko i chleb.

Strega otworzyła drzwi na samym dole schodów, podniosła na nogi jakiegoś śpiącego mężczyznę i szczerząc zęby, pokazała mu, w jakim jest humorze, a kciukiem – dokąd ma spadać.

Hekate wszedł za nią między kabiny i cieknące umywalki. Smród był tu tak intensywny, że Hekate wciąż miewał łzy w oczach. Ale odór pełnił także swoją funkcję – odpędzał ciekawskich i nawet

zaprawionym w bojach narkomanom kazał maksymalnie skracać wizyty. Strega i Hekate weszli do ostatniej kabiny, tej z tabliczką *NIECZYNNE* na zewnątrz i z sedesem po brzegi wypełnionym ekskrementami. Poza tym usunięto tu świetlówkę na suficie, nie dało się więc trafić w żyłę.

Strega podniosła jeden z kafelków nad odłączonym kiblem, przekręciła uchwyt i pchnęła. Ściana się przesunęła, mogli przejść dalej.

– Zamykaj prędko – powiedział Hekate i zaniósł się kaszlem. Rozejrzał się po lokalu. Był to jeden z magazynów kolejowych, wyjście z drugiej strony prowadziło do tunelu, którym biegły południowe tory. Przeniósł tu swoją produkcję dwa lata po wstrzymaniu ruchu pociągów. Musiał przegonić kilku bezdomnych i ćpunów i chociaż nikt tu nigdy nie przychodził, a komendant Kenneth czuwał nad nimi z góry, to mimo wszystko Hekate umieścił zakamuflowane kamery zarówno w tunelu, jak i nad schodami do toalety.

Na wieczornej zmianie pracowało łącznie dwanaście osób, wszystkie w białych fartuchach i maseczkach. Po tej stronie szklanej ściany, dzielącej pomieszczenie na dwie części, siedmioro ludzi siekało, ważyło i pakowało składniki wywaru do plastikowych torebek. Przy drzwiach do tunelu siedziało dwóch uzbrojonych strażników, którzy obserwowali zarówno pracowników, jak i monitory podłączone do kamer. Za ścianą ze szkła mieściło się to, co nazywali największą świętością – albo też po prostu kuchnią. Stał tam kocioł, do którego dostęp miały jedynie siostry. Kuchnia była zamknięta hermetycznie z wielu powodów. Przede wszystkim po to, żeby nikt nie zanieczyścił procesów, jakie się tu dokonywały, lub żeby jakiemuś idiocie nie przyszło do głowy zapalić zapalniczkę albo rzucić tlący się niedopałek, bo wszyscy wylecieliby

w powietrze. Głównie jednak dlatego, że pracownicy prędko by się uzależnili, gdyby na co dzień wdychali cząsteczki unoszące się w powietrzu. Hekate znalazł siostry w palarni opium w Chinatown w Bangkoku, gdzie domowym sposobem urządziły sobie laboratorium do wytwarzania heroiny z opium pochodzącego z Chiang Rai. Niewiele o nich wiedział, tylko to, że uciekły z Chin razem z ludźmi Czang Kaj-szeka, że choroba, która zdeformowała im twarze, była powszechna w ich rodzinnej wiosce oraz że dopóki płacił im punktualnie, dostarczały mu dokładnie to, o co prosił. Składniki były znane, ich proporcje również, a sposób przyrządzania widoczny przez szybę. Mimo to mieszanie składników i ich warzenie otaczał nimb tajemnicy, Hekate zaś nie widział powodu, by dementować plotki, że do produkcji wywaru używa się trucizny z gruczołów jadowych ropuchy, skrzydeł trzmiela, soku z ogona szczura, a nawet smarków. Stwarzało to aurę czarnej magii, a jeśli ludzie chcieli za coś płacić po ciężkim dniu w szarej rzeczywistości, to właśnie za magię. Dostawali więc wywar. Hekate jeszcze nigdy nie widział, aby tyle osób uzależniło się tak rozpaczliwie w takim tempie. Równie jasne było jednak, że w dniu, w którym siostry wytworzą produkt o mniejszej mocy, będzie musiał się ich pozbyć. Tak po prostu było. Wszystko ma swój czas i swój cykl. Najpierw dwadzieścia lat pod rządami Kennetha. Dobre czasy. A teraz nastał Duncan i jeżeli ośmieli się działać, dla branży magii nadejdzie ciężki okres. Jeśli rzeczywiście to bogowie sterują dobrymi i złymi czasami, krótkim życiem ludzkim i jego końcem, trzeba się postarać, aby samemu zostać bogiem. To łatwiejsze, niż mogłoby się wydawać. Większości ludzi w osiągnięciu statusu boga przeszkadzają ich własne przesądy, a także to, że stłamszeni lękiem, wierzą w istnienie moralności, zestawu zesłanych z nieba zasad dotyczących wszystkich. Ale te reguły zostały ułożone właśnie przez

tych, którzy wmawiają innym, że są bogami, i w dziwny sposób służą one akurat tym właśnie bogom. No cóż. I dobrze, nie wszyscy mogą być bogami, poza tym każdy bóg potrzebuje wiernych wyznawców. Klienteli. Rynku. Miasta. Wielu miast.

Hekate stanął na końcu pomieszczenia, oparł dłonie na uchwycie laski i tylko tak stał. To jego fabryka. Tutaj był fabrykantem. Pracował w rozwijającej się branży. Niedługo będzie musiał rozszerzyć działalność. Jeśli nie uda mu się zaspokoić popytu, zrobią to inni. Takie są proste zasady kapitalizmu. Dlatego już od dawna planował przejęcie któregoś z zamkniętych zakładów, uruchomienie w nim fikcyjnej produkcji i pod tą przykrywką wytwarzanie wywaru gdzieś na zapleczu. Ochrona, ogrodzenia z drutu kolczastego, własne ciężarówki. Mógł dziesięciokrotnie zwiększyć produkcję, a nadmiar eksportować. Ale taka działalność byłaby bardziej widoczna i wymagałaby ochrony ze strony policji. Komendanta, który trzymałby jego stronę. Kogoś takiego jak Kenneth. Co zatem zrobić, skoro Kenneth nie żyje? Trzeba przygotować sobie nowego komendanta i utorować mu drogę.

Siekacze i pakowacze powitali go sztywnymi uśmiechami i lekkimi skinieniami głowy, ale zaraz z nową energią wrócili do swoich czynności. Bali się. W zasadzie taki cel przyświecał tym inspekcjom. Nie wstrzymanie cyklu, bo zmiana była nieuchronna, lecz opóźnienie. Wszyscy obecni w tym klinicznym pomieszczeniu w jakimś momencie będą próbowali go oszukać, wynieść kilka gramów i sprzedać je na własną rękę. Zostaną odkryci, a wyrok zapadnie i zostanie wykonany szybko. Przez Stregę. Ona najwyraźniej lubiła różnorodne zadania. Na przykład odegranie wraz z siostrami roli posłanniczki.

– No i jak, Strega? – spytał. – Myślisz, że to ziarno zasiane w Macbecie wyrośnie?

– Ludzka ambicja jak oset zawsze będzie wyciągać się ku słońcu, zasłaniać wszystkiemu innemu dostęp do światła i zabijać wszystko wokół siebie.

– Miejmy nadzieję, że tak się stanie.

– Oni są ostami i nic na to nie poradzą. Są źli i głupi. Jeśli zobaczą, że pierwsza przepowiednia wieszczki się spełniła, to będą ślepo wierzyć w kolejną. A Macbeth już się dowiedział, że to on zostanie nowym szefem Pezetu. Pozostaje tylko jedno pytanie: czy Macbeth ma w sobie dość ambicji ostu. I okrucieństwa niezbędnego, żeby przejść całą drogę do końca.

– Macbeth tego nie ma – orzekł Hekate. – Ale ona owszem.

– Ona?

– Lady. Jego ukochana władczyni. Nigdy jej nie spotkałem, a mimo to znam jej najgłębsze tajemnice i rozumiem ją lepiej niż ciebie, Strego. Lady potrzebuje jedynie trochę czasu, żeby dojść do nieuchronnej konkluzji. Uwierz mi.

– Jaka jest ta konkluzja?

– Że Duncana należy usunąć z drogi.

– A potem?

– Potem... – Hekate uderzył laską o podłogę, stuk-stuk – ...wrócą dobre czasy.

– Jesteś pewien, że możemy sterować Macbethem? Teraz, kiedy jest czysty, stał się chyba... moralistą?

– Moja droga Strego, jedynym człowiekiem bardziej przewidywalnym niż ćpun czy moralista jest zakochany ćpun i moralista.

Banquo leżał na łóżku w sypialni na piętrze i wsłuchiwał się w deszcz, w ciszę w pokoju, w pociąg, który nie nadjeżdżał. Tory biegły tuż koło domu i wyobrażał sobie mokry lśniący żwir, z którego usunięto części szyn i podkładów. No dobrze, ukradziono.

Byli tu z Verą szczęśliwi. Przeżyli dobry czas. Poznał Verę, kiedy pracowała w firmie jubilerskiej Jacobs i Synowie, gdzie śmietanka towarzyska kupowała obrączki i upominki. Któregoś wieczoru zaczął wyć alarm antywłamaniowy i Banquo – jeździł wtedy w patrolu – podjechał na syrenie w ciągu minuty. W środku zastał przerażoną młodą kobietę, która rozpaczliwie usiłowała przekrzyczeć przenikliwe zawodzenie alarmu i wyjaśnić, że chciała tylko zamknąć sklep, a jest nową pracownicą i najwyraźniej popełniła jakiś błąd przy włączaniu. Banquo wychwycił zaledwie kilka słów, lecz dzięki temu miał więcej czasu, żeby się jej przyjrzeć. A kiedy w końcu się rozpłakała, objął ją delikatnie i pocieszał. Była rozedrgana i ciepła jak pisklę. W ciągu następnych tygodni chodzili do kina, na spacery po słonecznej stronie tunelu, raz prawie udało mu się ją pocałować w bramie. Mieszkała z rodzicami, robotnikami, i od wczesnej młodości musiała dokładać się do utrzymania, więc podobnie jak rodzice pracowała w fabryce Estex. Aż do czasu, gdy zaczęła paskudnie kaszleć. Lekarz nieoficjalnie jej doradził, by poszukała innej pracy, i w końcu przez znajomych dostała się do Jacobsa.

– Pensja jest niższa – powiedziała. – Ale żyje się dłużej.

– I tak ciągle kaszlesz.

– Tylko w deszczowe dni.

– Wobec tego musimy się zatroszczyć o więcej słońca. Wybierzemy się znowu w niedzielę na wycieczkę?

Pół roku później Banquo zjawił się u jubilera i spytał, czy Vera ma jakiś godny polecenia pierścionek zaręczynowy. Spłoszyła się tak, że wybuchnął śmiechem.

Po ślubie przeprowadzili się tu, do niegdyś dwurodzinnego domu, którego parter zajmowali sąsiedzi. Oszczędzali, kupowali i kochali się w tym łóżku, w którym teraz leżał. Ze względu na sąsiadów

Vera, namiętna, ale wstydliwa, wstrzymywała się i do szczytu dochodziła zawsze dopiero wtedy, kiedy przejeżdżał pociąg. Za to kiedy przetaczał się z hukiem, od którego trzęsły się ściany i lampa na suficie, zwalniała wszelkie hamulce i z krzykiem wbijała mężowi paznokcie w plecy. Podobnie było, kiedy na tym samym łóżku rodziła Fleance'a. Odczekała, aż nadjedzie pociąg, dopiero wtedy zaczęła krzyczeć, wbiła paznokcie w grzbiet dłoni Banqua i prąc, wydała na świat syna.

Parter kupili rok później, dzięki temu mieli więcej miejsca. Rodzina liczyła już przecież trzy osoby, a mogło być jeszcze więcej. Ale pięć lat później zostało ich tylko dwóch, mężczyzna i chłopczyk. Winne były płuca Very. Lekarze jako przyczynę wskazywali zanieczyszczone powietrze, trucizny z fabryk wciskane w miasto przez niże i tworzące nad nim pokrywę. Dla płuc, które już były słabe...

Banquo obwiniał siebie. Czynił sobie wyrzuty, że nie zdołał uzbierać dostatecznej kwoty, aby przenieść rodzinę za tunel, do Fife, dokądkolwiek, byle było trochę słońca i powietrze, którym dałoby się oddychać.

Teraz miejsca mieli za dużo. Słyszał, że na dole radio jest włączone, i wiedział, że Fleance się uczy. Chłopak był pracowity i bardzo się starał. Banquo pocieszał się myślą, że ci, którym nauka przychodziła z łatwością i na początku dużo dostawali za darmo, często, dojrzewając, tracili zapał. Wtedy przychodziła kolej na takich jak Fleance, zmuszonych do wypracowania odpowiednich nawyków i przyzwyczajonych do tego, że nauka wymaga pracy. Tak, na pewno wszystko pójdzie dobrze. I kto wie, może synowi wpadnie w oko jakaś miła dziewczyna i sam założy rodzinę? Może zamieszkają tu, w tym domu. Może nadejdą nowe, lepsze czasy. Może obaj – i on, i Fleance – jeszcze bardziej przydadzą się

Duncanowi teraz, kiedy Macbeth zajął czołową pozycję w wydziale specjalizującym się w walce z zorganizowaną przestępczością w tym mieście. Była to równie wielka niespodzianka dla Banqua, jak dla innych z komendy. W piwnicy, w pomieszczeniach Gwardii, funkcjonariusz Ricardo powiedział wprost, że trudno mu wyobrazić sobie Macbetha i Banqua w garniturach i krawatach, siedzących za biurkami, rysujących tabele i przygotowujących budżet. Albo konwersujących na przyjęciach koktajlowych z zaproszonymi komendantami innych jednostek, członkami Rady Miasta i wysoko postawionymi osobami. Ale zobaczą, że się da. W każdym razie dobrych chęci im nie zabraknie. I może przyszła kolej na takich jak Macbeth, przyzwyczajonych do tego, że jeśli chce się coś osiągnąć, trzeba się napracować. W komendzie nikt oprócz Duffa nie wiedział, jak bardzo Macbeth, będąc nastolatkiem, wciągnął się w speed. Jakiego szaleńca zrobiły z niego narkotyki i jak głęboko się zatracił. Pewnego razu Banquo, przemierzając podczas patrolu smagane deszczem ulice, natknął się na chłopaka zwiniętego w kłębek na ławce pod wiatą przystankową i nieprzytomnego od prochów. Obudził go, chciał stamtąd przepędzić, ale kiedy chłopak się podniósł, Banquo dostrzegł w błagalnym spojrzeniu piwnych oczu, w zwinnych ruchach, w zwartym, umięśnionym ciele coś, czego nie mógł zmarnować. Coś, co być może dokądś wcześniej zmierzało. Co może wciąż dałoby się uratować. Tego wieczoru Banquo zabrał lekko jąkającego się piętnastolatka do własnego domu. Znalazł mu suche ubranie, nakłonił Verę, żeby go nakarmiła, a potem położył do łóżka. Dzień później Vera, Banquo i chłopak przejechali przez tunel na słońce po drugiej stronie i poszli na długą wycieczkę po zielonych wzgórzach. Macbeth opowiadał. Najpierw jąkając się mocno, potem coraz mniej. Mówił, że wychowywał się w sierocińcu i marzy o pracy w cyrku. Pokazał im, jak potrafi

żonglować, a potem odsunął się na pięć kroków od dużego dębu i rzucił należącym do Banqua scyzorykiem, który z drżeniem wbił się w drzewo. Chłopak miał duże problemy z pokazaniem im blizn na przedramionach i z mówieniem o nich. Wyjawił wszystko dopiero później, kiedy zrozumiał, że Verze i Banquowi może zaufać. Nawet wtedy powiedział tylko, że zaczęło się od ucieczki z sierocińca. Nie mówił, w jaki sposób do tego doszło ani co ją spowodowało. Potem były kolejne niedziele, kolejne rozmowy i wycieczki. Ale Banquo szczególnie dobrze zapamiętał tę pierwszą, ponieważ w drodze do domu Vera szepnęła mu do ucha: „Zróbmy sobie takiego chłopca". I kiedy cztery lata później dumny Banquo odprowadzał Macbetha do szkoły policyjnej, Fleance miał trzy lata, a Macbeth równie długo był czysty.

Banquo odwrócił się i spojrzał na fotografię na nocnym stoliku. Stali na niej z Fleance'em w ogrodzie pod martwą jabłonią. Pierwszy dzień syna w szkole policyjnej. Fleance miał na sobie mundur, był wczesny słoneczny poranek i padał na nich cień fotografującego.

Usłyszał szuranie krzesła i kroki Fleance'a chodzącego po parterze. Czuć w nich było złość i frustrację. Nie zawsze równie łatwo pojąć wszystko od razu. Zdobycie wiedzy wymagało czasu. Czasu i woli wymagało też przeobrażenie siebie, swoich zwykłych sposobów myślenia i działania. Czasu i woli wymagało zrezygnowanie z odurzania się, ucieczki od tego, od czego człowiek tak się uzależnił. Tak jak wymagały czasu reforma miasta, naprawienie niesprawiedliwości, oczyszczenie władz z sabotażystów, skorumpowanych polityków i zorganizowanych przestępców, zapewnienie mieszkańcom powietrza, którym znów będą mogli oddychać.

Na dole zapanowała cisza. Fleance usiadł.

Bo wszystko da się zrobić, jeśli tylko będzie się podchodzić do tego ze spokojem i pracować, robić to, co należy.

Wtedy może się nawet zdarzyć, że pociąg znów ruszy.

Banquo znowu zaczął nasłuchiwać. Słyszał jedynie ciszę i deszcz. Ale wiedział, że jeśli zamknie oczy, być może usłyszy też oddech śpiącej obok niego Very.

* * *

Rwany oddech Caithness powoli się uspokajał.

– Muszę zadzwonić do domu. – Duff pocałował jej spocone czoło i spuścił nogi z łóżka.

– Teraz? – zawołała. Po sposobie, w jaki przygryzła dolną wargę, zorientował się, że jej okrzyk zabrzmiał gwałtowniej, niż chciała. Kto śmiał twierdzić, że on się nie zna na ludziach?

– Ewana bolał dzisiaj ząb. Muszę się dowiedzieć, jak to się skończyło.

Nie odpowiedziała, więc Duff po prostu przeszedł dalej nago przez mieszkanie. Znajdowało się na poddaszu, więc się nie krępował, ponieważ żaden sąsiad nie mógł zajrzeć do środka. Poza tym nie miał nic przeciwko pokazywaniu się nago. Był dumny ze swojego ciała. Może lubił je tym bardziej, że dorastał przytłoczony wstydem, który budziła w nim blizna dzieląca twarz na dwie części. Mieszkanie było duże, większe, niż należało się spodziewać po zatrudnionej w sektorze publicznym młodej kobiecie. Duff zaofiarował się nawet, że będzie się dokładał do czynszu, bo przecież spędzał tu wiele nocy, ale Caithness odparła, że o to troszczy się jej ojciec.

Duff przeszedł do gabinetu, zamknął za sobą drzwi i wybrał numer w Fife.

Słuchał deszczu bębniącego w dachowe okno tuż nad jego głową. Odebrała po trzecim dzwonku. Zawsze po trzecim. Bez względu na to, w którym miejscu domu się znajdowała.

– To ja – powiedział. – Jak poszło u dentysty?

– Już mu lepiej. Nie jestem pewna, czy to był ząb.

– Nie? A co to mogło być?

– Różne rzeczy mogą boleć. Płakał, a kiedy spytałam dlaczego, nie chciał się przyznać i w końcu powiedział pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy. Położył się teraz spać.

– Hm. Przyjadę jutro do domu, wtedy z nim porozmawiam. Jaka jest pogoda?

– Ładna. Księżyc świeci. A co?

– Może wybralibyśmy się jutro wszyscy razem nad jezioro? Wykąpać się.

– Gdzie jesteś, Duff?

Zdrętwiał, bo zdziwiło go coś w jej tonie.

– Jak to gdzie? Oczywiście w Grandzie. – I dodał z nieco przesadną wesołością: – Pora kładzenia się do łóżek dla zmęczonych mężczyzn.

– Dzwoniłam wcześniej do Grandu. Powiedzieli, że nie rezerwowałeś pokoju.

Wyprostował się ze słuchawką w ręku.

– Dzwoniłam, bo Emilie nie umiała rozwiązać zadania z matematyki. A, jak wiesz, sama nie bardzo potrafię dodać dwa do dwóch. No więc gdzie jesteś?

– W komendzie. – Duff wypuścił powietrze przez usta. – Śpię na kanapie w swoim gabinecie. Mam cholernie dużo roboty. Przepraszam, że powiedziałem, że jestem w hotelu, ale pomyślałem, że ty i dzieci nie musicie wiedzieć, jak mi teraz ciężko.

– Ciężko?

Duff przełknął ślinę.

– Tyle haruję. A mimo to nie dostałem stanowiska szefa Pezetu. – Aż się skulił, słysząc, jak żałośnie to zabrzmiało. Jakby prosił, żeby współczucie kazało jej spuścić go z haczyka.

– Ale przynajmniej dostałeś Wydział Zabójstw. I nowy gabinet, jak rozumiem.

– Słucham?

– Na najwyższym piętrze, skoro słyszę deszcz bębniący o dach. No, muszę już kończyć.

Rozległo się kliknięcie, kiedy się rozłączyła.

Ciałem Duffa wstrząsnął dreszcz. Powinien był się w coś ubrać. Nie być tak nagi.

Lady, wsłuchana w oddech Macbetha, zadrżała.

Miała wrażenie, że coś zimnego przeszło przez pokój. Duch. Duch dziecka. Musiała wydostać się z tej zatęchłej ciemności, wyrwać się z więzienia umysłu, które pochłonęło jej matkę i babkę, wydostać się na światło. Powalczyć o własną wolność, poświęcić to, co należało, w zamian za miejsce w słońcu. A raczej za bycie słońcem. Bycie gwiazdą. Błyszczącą matką, która pochłania sama siebie i w ten sposób daje życie innym. Ale w czasie, gdy płonie, stanowi centrum wszechświata. Tak, płonie. Tak jak płonął teraz jej oddech i skóra, przeganiając chłód z pokoju. Przeciągnęła dłonią po własnym ciele, poczuła mrowienie na skórze.

* * *

To była ta sama myśl, ta sama decyzja co wtedy. Że należy to zrobić, bo nie ma już możliwości odwrotu. Jedyna droga prowadzi na wprost. Nigdzie nie zbacza, wszystko jedno, na co się natknie, jak kula z pistoletu.

Lady położyła rękę na ramieniu Macbetha. Spał jak dziecko. Ostatni raz. Potrząsnęła nim.

Mamrocząc coś pod nosem, odwrócił się w jej stronę, wyciągnął do niej ręce. Zawsze do usług. Przytrzymała mocno jego dłonie.

– Ukochany – szepnęła. – Musisz go zabić.

Otworzył oczy, zajaśniały ku niej w ciemności.

Dotknęła jego policzka. Ta sama decyzja co wtedy.

– Musisz zabić Duncana.

6

Lady i Macbeth spotkali się po raz pierwszy w pewien późny letni wieczór cztery lata temu. Był to jeden z tych rzadkich dni ze słońcem i z bezchmurnym niebem, a Lady miała wręcz pewność, że rano słyszała śpiew ptaka. Ale kiedy słońce zaszło i zaczęła się nocna zmiana, na niebie nad kasynem Inverness pojawił się zły księżyc. To w jego blasku Lady stała przed głównym wejściem do kasyna, kiedy Macbeth przyjechał opancerzonym samochodem Gwardii.

– Lady? – spytał.

Co dostrzegła, kiedy spojrzała w jego oczy? Siłę i zdecydowanie? Możliwe. Albo w tamtej chwili właśnie to chciała zobaczyć.

Skinęła mu głową. Wydał jej się trochę za młody. Uważała, że starszy, siwowłosy mężczyzna, stojący o krok za nim, lepiej wypełniłby to zadanie.

– Jestem komisarz Macbeth. Czy w sytuacji coś się zmieniło, madam?

Pokręciła głową.

– Okej. Jest jakieś miejsce, z którego mogę się rozejrzeć?

– Antresola.

– Banquo, przygotuj naszych ludzi, a ja popatrzę.

Zanim ruszyli po schodach na antresolę, młody policjant szeptem polecił Lady, by zdjęła buty na wysokich obcasach – mieli jak najmniej hałasować. Od razu przestała też być od niego wyższa. Na antresoli posuwali się pod samymi oknami, tymi wychodzącymi na plac Robotników, dzięki czemu pozostawali niewidoczni z salonu gier na dole. Dotarłszy mniej więcej na środek, skierowali się w stronę balustrady. Częściowo zasłaniały ich sznur od centralnego żyrandola i autentyczna szesnastowieczna zbroja rycerska w stylu maksymiliańskim, którą Lady kupiła na aukcji w Augsburgu. Chciała, aby gracze, widząc zbroję, podświadomie czuli, że ktoś albo ich chroni, albo obserwuje – ich własne sumienie zdecyduje, którą z tych możliwości wybiorą.

Lady i policjant przykucnęli i spojrzeli w dół na salę, z której dwadzieścia minut wcześniej wybiegli w panice goście i pracownicy. Lady akurat stała na dachu, patrząc na księżyc w pełni i instynktownie czując, że jest on zły, kiedy usłyszała huk i krzyki z dołu. Zeszła i dopadła jednego z uciekających kelnerów, który powiedział jej, że jakiś facet ostrzelał jeden z żyrandoli i że ma Jacka.

Szybko oszacowała koszty nowego żyrandola, lecz oczywiste było, że będzie to jedynie kropla w morzu kosztów, jakie powstałyby w wyniku jeszcze jednego strzału z pistoletu wymierzonego teraz w skroń jej najlepszego krupiera Jacka. Kasyno oferowało wszak zarówno napięcie, jak i rozluźnienie, ale przy pełnym poczuciu bezpieczeństwa, bez konieczności myślenia o przestępczości władającej ulicami. Gdyby powstało wrażenie, że Inverness nie jest w stanie tego zaoferować, salon gier wkrótce opustoszałby tak jak teraz, i to na długo. Dwie pozostałe w sali

osoby siedziały teraz przy stoliku do blackjacka pod antresolą po przeciwnej stronie. Jedną z nich był Jack, blady jak prześcieradło i sztywny ze strachu.

Tuż za nim siedział gość z pistoletem.

– Trudno oddać strzał z takiej odległości, dopóki on się chowa za pani krupierem – szepnął Macbeth i z kieszeni czarnego munduru wyjął niewielką lornetkę. – Musimy podejść bliżej. Kim on jest i czego chce?

– To Ernest Collum. Mówi, że zabije krupiera, jeśli nie odzyska wszystkiego, co przegrał w Inverness.

– Dużo?

– Więcej niż mamy gotówki w firmie. Collum to jeden z uzależnionych od hazardu. Inżynier, geniusz liczb. Wie zatem, jakie są szanse. Właśnie tacy bywają najgorsi. Powiedziałam, że staramy się zdobyć pieniądze, ale ponieważ banki są już zamknięte, może to trochę potrwać.

– Mamy mało czasu. Trzeba działać.

– Skąd pan wie?

Macbeth wstał i schował lornetkę.

– Widać po jego źrenicach. Jest naćpany, będzie strzelał. – Macbeth wcisnął guzik w krótkofalówce. – Kod cztery sześć. Już. Przejmuj, Banquo. *Over*.

– Banquo przejmuje. *Over*.

– Idę z wami – oświadczyła Lady, kierując się za Macbethem.

– Nie sądzę...

– To moje kasyno. Mój Jack.

– Proszę posłuchać, madam...

– Collum mnie zna. Kobiety działają na niego uspokajająco.

– To sprawa policji – uciął Macbeth i pędem ruszył w dół po schodach.

– Idę z wami! – Lady pobiegła za nim.

Macbeth zatrzymał się i zastąpił jej drogę.

– Proszę na mnie spojrzeć – powiedział.

– Nie, proszę raczej spojrzeć na mnie – odparowała. – Czy wyglądam na kogoś, kto za wami nie pójdzie? Przecież on czeka, aż przyniosę pieniądze.

Macbeth na nią patrzył. Patrzył uważnie. Patrzył w taki sposób, w jaki robili to inni mężczyźni. Ale również w taki, w jaki nie patrzył na nią nikt – ani mężczyźni, ani kobiety. Ludzie patrzyli na nią z podziwem albo ze strachem, z pożądaniem albo szacunkiem, z nienawiścią, zakochaniem albo poddaństwem. Mierzyli ją wzrokiem, osądzali, mylili się. Ale ten młody mężczyzna patrzył tak, jakby nareszcie coś znalazł. Coś, co rozpoznał. Coś, czego długo szukał.

– Wobec tego proszę. – W końcu uległ. – Tylko niech pani zachowuje się cicho, madam.

Gruby dywan tłumił odgłos ich kroków, kiedy wchodzili do sali.

Stolik, przy którym siedzieli dwaj mężczyźni, był oświetlony gorzej niż zazwyczaj z powodu zniszczonego żyrandola. Twarz Jacka zastygła w wyrazie paraliżującego strachu, który w ogóle się nie zmienił, nawet wówczas, gdy krupier dostrzegł nadchodzących Lady z Macbethem. Lady zauważyła, że kurek pistoletu się podniósł.

– Kim jesteś? – Głos Colluma zabrzmiał trochę niewyraźnie.

– Komisarz Macbeth z Gwardii – odparł policjant, wysunął sobie krzesło i usiadł. Obie dłonie położył na stole, by były widoczne. – Przyszedłem tu, żeby z tobą negocjować.

– Nie ma czego negocjować, komisarzu. To kasyno oszukiwało mnie latami. Zrujnowało mnie. Oni tu znaczą karty. Ona je znaczy.

– Doszedłeś do takiego wniosku po zażyciu wywaru? – Macbeth bezgłośnie zabębnił palcami o filc. – On zniekształca rzeczywistość,

wiesz?

– Rzeczywistość, komisarzu, jest taka, że mam broń i widzę wyraźniej niż kiedykolwiek. I jeśli nie przynieśliście pieniędzy, to zastrzelę najpierw Jacka, potem ciebie, ponieważ będziesz próbował wyrwać mi pistolet, a następnie tę tak zwaną damę, która w tym momencie będzie próbowała uciec albo mnie obezwładnić. Ale będzie już za późno i na jedno, i na drugie. Potem niewykluczone, że strzelę do siebie, ale zobaczymy, czy humor mi się nie poprawi po posłaniu was trojga do piekła i wysadzeniu w powietrze tego przybytku. – Zaśmiał się krótko. – Nie widzę żadnych pieniędzy, więc niniejszym ogłaszam zerwanie negocjacji. No to zaczynamy...

Kurek uniósł się jeszcze trochę. Lady, krzywiąc się odruchowo, czekała na huk.

– Pasujesz czy podwajasz? – spytał Macbeth.

– Słucham? – zdziwił się Collum. Nienaganna wymowa. Nienagannie ogolona twarz i nienaganny smoking z odprasowaną bielusieńką koszulą. Lady gotowa była się założyć, że Collum ma nawet czystą bieliznę. Wiedział zatem, że raczej nie wyjdzie stąd z walizką pełną pieniędzy. Wyniosą go jako takiego samego bankruta jak w chwili, gdy tu wszedł. Ale w nienagannym stanie.

– Zagramy partię blackjacka. Jeśli wygrasz, dostaniesz całe pieniądze, które tu przegrałeś, i to pomnożone przez dwa. Jeśli ja wygram, dostanę pistolet ze wszystkimi kulami, a ty odstąpisz od wszelkich roszczeń wobec kasyna.

– Blefujesz! – roześmiał się Collum.

– Walizka z pieniędzmi, których zażądałeś, już przyjechała, czeka w radiowozie. Właścicielka zgodziła się podwoić stawkę, jeśli dojdziemy do ugody. Bo my wiemy, że tu się grało znaczonymi kartami, a tak być nie powinno. Co ty na to, Ernest?

Lady spojrzała na Colluma, na jedno jego oko widoczne zza głowy Jacka. Ernest Collum nie był głupkiem, przeciwnie. Nie wierzył w żadną walizkę z pieniędzmi. A jednak. Czasami mogło się wydawać, że właśnie ci inteligentniejsi nie chcą przyjąć do wiadomości nieuchronności rachunku prawdopodobieństwa, z którego wynika, że w odpowiednio wydłużonym czasie wszyscy są skazani na przegraną z kasynem.

– Dlaczego miałbyś grać? – spytał Collum.

– To jak będzie? – odpowiedział pytaniem Macbeth.

Collum zamrugał.

– Ja jestem krupierem, a ty graczem – zdecydował. – Ona rozdaje.

Lady spojrzała na Macbetha, który skinął głową. Chwyciła więc talię kart, przetasowała, dwie karty położyła przed Macbethem, obie odkryte.

Szóstkę. I króla kier.

– *Sweet sixteen* – uśmiechnął się Collum.

Lady również przed nim położyła dwie karty, ale tylko jedną odkrytą.

As trefl.

– Jeszcze jedną. – Macbeth wyciągnął rękę.

Lady podała mu kartę z wierzchu talii. Macbeth przytrzymał ją tuż przy piersi, obejrzał, podniósł wzrok na Colluma.

– Wygląda na to, że pękłeś, *sweet sixteen* – powiedział Collum. – Pokaż.

– Jestem dość zadowolony z tego, co mam w ręku – odparł Macbeth i posłał Collumowi krótki uśmiech. Potem rzucił kartę na prawo, tam gdzie stolik częściowo znajdował się w cieniu. Collum odruchowo pochylił się w tę stronę, żeby móc lepiej ją zobaczyć.

Reszta wydarzyła się tak prędko, że Lady zapamiętała cały incydent tylko jako błysk. Błysk dłoni w ruchu, błysk stali, w której odbiło się światło, gdy przelatywała nad stołem, błysk szeroko otwartego oka Colluma, wpatrującego się w nią, jakby w pełnym oburzenia proteście, światło migoczące w kaskadzie krwi, która chlusnęła po obu stronach ostrza sztyletu przebijającego tętnicę szyjną Colluma. A potem dźwięki. Przytłumiony odgłos pistoletu uderzającego o gruby, stanowczo zbyt drogi dywan. Plusk, gdy strumień krwi uderzył o stolik. Głęboki charkot Colluma w momencie, gdy jego lewe oko gasło. Krótki, drżący szloch Jacka.

I zapamiętała karty. Nie asa i nie szóstkę. Tylko króla kier. I częściowo skrytą w cieniu damę pik. Obie karty zalane krwią Ernesta Colluma.

Wpadli w swoich czarnych mundurach błyskawicznie, bezszelestnie, słuchając każdego, nawet najmniejszego skinienia Macbetha. Nie tknęli Colluma, tylko wyprowadzili łkającego Jacka. Ona sama odepchnęła rękę gotową jej przyjść z pomocą. Siedziała wpatrzona w młodego dowódcę Gwardii, który z zadowoloną miną odchylił się na krześle. Jak ktoś, kto uważa, że wziął ostatnią lewę.

– Ostatnią lewę weźmie Collum.

– Słucham?

– Jeśli tego nie znajdziemy.

– Czego?

– Nie słyszał pan, co powiedział? „Po posłaniu was trojga do piekła i wysadzeniu tego przybytku w powietrze".

Patrzył na nią przez kilka sekund, najpierw ze zdumieniem, potem z czymś innym. Z rozpoznaniem. Z szacunkiem. I zawołał:

– Ricardo! Szukajcie bomby!

Ricardo miał spokojną pewność siebie w oczach, w ruchach i w ściszonym głosie, którym wydawał rozkazy. Jego skóra była tak

czarna, że Lady wydawało się, iż może się w niej przejrzeć. Wraz ze swoimi ludźmi potrzebował czterech minut na znalezienie w zamkniętej toalecie tego, czego szukali: pasiastej jak zebra walizki, którą Collumowi pozwolono wnieść po sprawdzeniu jej zawartości przez ochroniarza. Collum wyjaśnił, że są w niej cztery sztabki złota. Ma zamiar postawić je przy ekskluzywnym stoliku do pokera, przy którym – do czasu, gdy komisja do spraw gier hazardowych i kasyn tego zabroniła – dopuszczano grę o gotówkę, zegarki, obrączki, listy zastawne, kluczyki samochodowe i wszelkie inne przedmioty, pod warunkiem że zgodzą się na to pozostali gracze. Pod pomalowanymi złotą farbą sztabkami żelaza Collum, inżynier i geniusz matematyczny, umieścił domowej roboty bombę z zapalnikiem czasowym, o której pirotechnik Gwardii wyrażał się później z wielkim szacunkiem. Ile dokładnie minut dzieliło ich od wybuchu, gdy udało się zatrzymać timer, tego Lady nie pamiętała.

Ale zapamiętała karty.

Króla kier i damę pik. Spotkali się tego wieczoru, pod złym księżycem.

Wieczorem następnego dnia Lady zaprosiła go na obiad do kasyna. Przyjął zaproszenie, ale podziękował za aperitif. Nie chciał wina, tylko wodę. Nakryła stolik na antresoli z widokiem na plac Robotników, po którego bruku woda deszczowa cicho spływała od dworca w stronę Inverness. Architekci postanowili wybudować dworzec na podwyższonym o kilka metrów terenie, ponieważ uważali, że ciężar całego tego marmuru i lokomotyw takich jak Bertha będzie wciskać posadzkę w nieustannie nasiąknięte wodą, bagniste podłoże miasta.

Rozmawiali o tym i o różnych innych sprawach. Unikali tego, co zbyt osobiste. Unikali też omawiania wydarzeń z poprzedniego

dnia. Krótko mówiąc, spędzili miły wieczór. Macbeth okazał się – chociaż brakowało mu obycia – czarujący i zabawny. I był niesamowicie przystojny w szarym, nieco przyciasnym garniturze, który, jak powiedział, dostał od tamtego starszego kolegi, Banqua. Lady słuchała opowieści o sierocińcu, o kumplu Duffie i o wędrownym cyrku, z którym Macbeth, będąc chłopcem, spędził jedno lato. O nerwowym i stale przeziębionym treserze lwów, o chudym jak szczapy rodzeństwie akrobatów trapezowych, jedzącym wyłącznie to, co podłużne, o magiku, który zapraszał publiczność na arenę i sprawiał, że należące do nich rzeczy – obrączka ślubna, klucz czy zegarek – zaczynały unosić się w powietrzu tuż przed ich oczami. A on z zainteresowaniem słuchał opowieści Lady o kasynie, które zbudowała z niczego. W końcu, kiedy poczuła, że opowiedziała już wszystko, co można było opowiedzieć, uniosła kieliszek z winem i spytała:

– Jak myślisz, dlaczego on to zrobił?

Macbeth wzruszył ramionami.

– Wywar Hekate doprowadza ludzi do szaleństwa.

– Zrujnowaliśmy go, to prawda, ale kart nie znaczymy.

– Wcale tak nie myślałem.

– Chociaż dwa lata temu mieliśmy dwóch krupierów, którzy współpracowali z graczami przy stoliku do pokera i okradali innych graczy. Oczywiście wywaliłam ich na zbity pysk. Ale słyszałam, że zbratali się z ludźmi, którzy mają pieniądze, i złożyli do Rady Miasta wniosek o zezwolenie na budowę nowego kasyna.

– Obelisku? No tak, widziałem plany.

– Wiesz może również, że dwaj z tych graczy, z którymi współpracowali, to politycy i poplecznicy Kennetha?

– Coś o tym słyszałem.

– To kasyno zostanie wybudowane i mówię ci, że tam ludzie tacy jak Ernest Collum będą mieli powody, aby poczuć się oszukani.

– Obawiam się, że masz rację.

– To miasto potrzebuje nowych przywódców. Nowego początku.

– Bertha. – Macbeth wskazał okno wychodzące na dworzec, gdzie mokra od deszczu stara lokomotywa lśniła czernią na cokole przed głównym wejściem, z kołami umieszczonymi na ośmiu metrach pierwotnych torów, które ułożono z miasta do Capitolu. – Banquo mówi, że trzeba ją ponownie uruchomić. Że potrzebna nam nowa zdrowa aktywność. I że w tym mieście są również dobre siły.

– Nadzieję zawsze można mieć. Ale wracając do wczorajszego wieczoru... – Obróciła kieliszek z winem. Wiedziała, że Macbeth wpatruje się w jej dekolt. Była przyzwyczajona do takich spojrzeń ze strony mężczyzn, nie wywoływały w niej żadnych uczuć. Po prostu miała świadomość, że jej kobiecość czasami można wykorzystać, a innym razem nie należy tego robić, podobnie jak z pozostałymi narzędziami w interesach. Ale jego spojrzenie było inne. On był inny. Nie potrzebowała go, to po prostu przemiły policjant zajmujący niezbyt wysoką pozycję w hierarchii władzy. Dlaczego więc siedziała tu z nim teraz? Przecież mogła ofiarować mu jakąś nagrodę – i niekoniecznie musiała to być jej obecność. Spojrzała na jego rękę, którą akurat sięgnął po szklankę z wodą. Na grube żyły widoczne na opalonym grzbiecie dłoni. Wyraźnie starał się wyjeżdżać z miasta najczęściej, jak mógł.

– Co byś zrobił, gdyby Collum nie zgodził się zagrać w blackjacka? – spytała.

– Nie wiem. – Spojrzał na nią piwnymi oczami. Ludzie w tym mieście mieli oczy niebieskie, lecz oczywiście już wcześniej spotykała mężczyzn o piwnych oczach. Ale nie takich. Nie tak...

silnych. A mimo to tak wrażliwych. O Boże, czyżby miała się w nim zakochać? Teraz, tak późno?

– Nie wiesz?

– Powiedziałaś, że jest uzależniony. Liczyłem na to, że nie będzie w stanie oprzeć się pokusie i postanowi zagrać jeszcze raz. O wszystko.

– Rozumiem, że często bywałeś w kasynach.

– Nie. – Roześmiał się. Takim chłopięcym śmiechem. – Nie wiedziałem nawet, jak stoję.

– Szesnaście w porównaniu z asem? No to powiem ci, że stałeś słabo. Więc skąd ta pewność, że on zagra? Historyjka, którą mu opowiedziałeś, nie była zbyt przekonująca.

Wzruszył ramionami. Lady spojrzała na szklankę z wodą. I pojęła, skąd to wiedział. Rozumiał, czym jest uzależnienie.

– Wątpiłeś chociaż przez chwilę w to, że zdołasz go zatrzymać, zanim zastrzeli Jacka?

– Tak.

– Tak?

Młody policjant napił się wody. Najwyraźniej niezbyt mu się podobał ten temat.

Czy powinna mu odpuścić? Nachyliła się nad stolikiem.

– Opowiadaj, Macbeth.

Odstawił szklankę.

– Aby człowiek w takiej sytuacji stracił przytomność, zanim zdąży nacisnąć spust, trzeba mu albo strzelić w głowę, albo przeciąć tętnicę szyjną. Przy przecięciu tętnicy krew trysnęła tylko w pierwszej chwili, potem już się lała. Tlen potrzebny mózgowi był w tej pierwszej porcji, co oznacza, że Collum stracił przytomność, jeszcze zanim krew polała się na stolik. Problemy były dwa. Po pierwsze, idealna odległość do rzucania nożem to pięć kroków.

Siedziałem o wiele bliżej, ale sztylety, których używam, są na szczęście dobrze wyważone. O wiele trudniej nimi rzucać komuś, kto nie ma wprawy, ale osobie wyćwiczonej ułatwiają wyregulowanie rotacji. Po drugie, Collum siedział tak, że miałem dostęp tylko do lewej tętnicy szyjnej. Musiałem więc rzucić prawą ręką, a jestem, jak widzisz, mańkutem. Wszystko zależało od odrobiny szczęścia. Zwykle go nie mam. A właściwie jaka to była karta?

– Dama pik. Przegrałeś.

– Sama widzisz.

– Nie masz szczęścia?

– Przynajmniej w kartach. I... – Zastanowił się, w końcu pokręcił głową. – Nie. W miłości też nie mam.

Wybuchnęli śmiechem. Wznieśli toast i śmiali się jeszcze głośniej. Słuchali deszczu. Lady na moment zamknęła oczy. Wydawało jej się, że słyszy dzwonienie kostek lodu w szklankach w barze. Chropawy odgłos kulki ocierającej się o drewno koła ruletki. Bicie własnego serca.

– Co? – Zamrugał w ciemności sypialni.

– Musisz zabić Duncana – powtórzyła Lady.

Słyszała dźwięk własnych słów. Czuła, jak rosną w ustach i zagłuszają walące serce.

Macbeth usiadł na łóżku, uważnie się jej przyjrzał.

– Jesteś przytomna czy mówisz przez sen, ukochana?

– Nie śpię. A ty wiesz, że trzeba to zrobić.

– Coś złego ci się przyśniło i teraz...

– Nie! Zastanów się nad tym. To logiczne. Albo on, albo my.

– Chcesz powiedzieć, że Duncan chce naszej krzywdy? Przecież właśnie mnie awansował.

– Z nazwy może i jesteś naczelnikiem Wydziału Przestępczości Zorganizowanej, ale w praktyce jesteś zdany na łaskę Duncana. Jeśli chcesz zamknąć Obelisk, przepędzić handlarzy narkotyków z okolicy Inverness i zwiększyć częstotliwość patroli na ulicach, żeby ludzie czuli się bezpieczni, musisz zostać komendantem. A to, o czym powiedziałam, to tylko drobiazgi. Kochany, pomyśl o wszystkich wielkich rzeczach, które moglibyśmy osiągnąć z tobą na stanowisku komendanta.

Macbeth się roześmiał.

– Przecież Duncan też chce osiągnąć wielkie rzeczy!

– Nie wątpię, że szczerze i uczciwie tego pragnie, lecz aby tego dokonać, komendant policji musi mieć szerokie poparcie wśród mas. A dla mieszkańców tego miasta Duncan jest tylko kolejnym snobem, który zasiadł w fotelu szefa, takim samym jak Kenneth i takim samym jak Tourtell w ratuszu. Sympatii ludu nie zdobywa się pięknymi słówkami, ale tym, kim się jest. A my wywodzimy się spośród nich, Macbecie. Znamy to, co znają oni. Chcemy tego, czego chcą oni. Posłuchaj. „Z ludu. Dla ludu. Z ludem". Rozumiesz? Tylko my mamy prawo tak mówić.

– Rozumiem, ale...

– Ale co? – Pogładziła go ręką po brzuchu. – Nie chcesz rządzić? Nie jesteś mężczyzną? Nie chcesz dojść na szczyt? Zadowala cię lizanie cudzych butów?

– Oczywiście, że nie. Ale jeśli zaczekamy, może i tak dostanę to stanowisko. Jako szef Pezetu jestem trzeci, licząc od góry.

– W ogóle nie jesteś brany pod uwagę na stanowisko komendanta, mój drogi! Zastanów się. Dostałeś ten awans, aby wyglądało na to, że jesteśmy tak samo dobrzy jak oni. Nigdy nie pozwolą ci zająć najwyższego miejsca w hierarchii. Nigdy nie zrobią tego dobrowolnie. Musimy je sobie sami wziąć.

Macbeth obrócił się na bok, plecami do Lady.

– Zapomnijmy o tym, kochana. Tak jak zapomniałaś, że to Malcolm zostałby komendantem, gdyby Duncan odpadł z gry.

Chwyciła go za ramię i pociągnęła tak, żeby znów leżał zwrócony twarzą w jej stronę.

– O niczym nie zapomniałam. Nie zapomniałam, co powiedział Hekate: zostaniesz komendantem, a to oznacza, że on ma jakiś plan. My zajmiemy się Duncanem, a on Malcolmem. I nie zapomniałam tamtego wieczoru, kiedy rozprawiłeś się z Ernestem Collumem. Duncan to Collum, kochany. Trzyma pistolet przyłożony do głowy naszego marzenia. A ty musisz znaleźć w sobie odwagę, którą miałeś w tamten wieczór. Musisz być tym mężczyzną, którym byłeś wtedy, Macbecie. Dla mnie. Dla nas. – Przyłożyła dłoń do jego policzka, głos jej zmiękł. – Życie nie daje zbyt wielu szans takim jak my, mój drogi. Musimy wykorzystywać to, co nam się nadarza.

Macbeth milczał. Lady czekała. Słuchała, lecz żadne słowo nie zagłuszyło teraz jej bijącego serca. Wiedziała, że Macbeth ma ambicje, marzenia i wolę. To one wyciągnęły go z tej nory, w której wcześniej tkwił. Przemieniły młodego narkomana w studenta szkoły policyjnej, a następnie w dowódcę Gwardii. Takie powinowactwo ich łączyło, oboje się wybili, płacąc za to cenę. Czy powinien zatrzymać się teraz, w pół drogi, zanim będą mogli cieszyć się nagrodą, napawać szacunkiem i widokiem z górnego piętra? Miał odwagę i brutalność, siłę działania, ale brakowało mu czegoś i za to mógł drogo zapłacić. Nie miał w sobie zła. Tego zła, które było konieczne, chociażby w decydującym momencie. W tym momencie, kiedy musisz przyjąć, że surowa moralność nie jest po twojej stronie, kiedy nie możesz stracić z oczu szerokiej perspektywy, kiedy nie możesz zadręczać się pytaniem, czy postępujesz słusznie w tej krótkiej chwili. Macbeth kochał to,

co nazywał sprawiedliwością, i za tę jego lojalność wobec zasad ustanowionych przez innych, będącą przecież słabością, potrafiła go kochać. W czasach pokoju. I za to samo potrafiła nim gardzić teraz, kiedy zabiły dzwony wojny. Zsunęła dłoń z jego policzka w dół szyi, powoli przeniosła ją na pierś i na brzuch, a potem znów w górę. Słuchała. Macbeth oddychał równo i spokojnie. Spał.

* * *

Macbeth oddychał głęboko, jakby spał. Lady zabrała rękę. Przesunęła się za jego plecy. Ona też oddychała teraz spokojnie. Próbował wpaść w ten sam rytm.

Zabić Duncana? To niemożliwe. Oczywiście, że to niemożliwe.

Więc dlaczego nie mógł zasnąć? Dlaczego jej słowa i myśli wciąż wirowały w jego głowie jak ślepe nietoperze?

Życie nie daje zbyt wielu szans takim jak my, mój drogi. Musimy wykorzystywać to, co nam się nadarza.

Zaczął myśleć o tych szansach, które życie już mu dało. O tamtej w sierocińcu, której nie wykorzystał. I o tej, którą dał mu Banquo, a którą wykorzystał. O tym, jak ta pierwsza niemal doszczętnie go zniszczyła, a ta druga uratowała. Ale czy nie jest tak, że niektórych szans człowiek nie chciałby dostać? Bo niektóre szanse i tak z góry skazują na nieszczęście, prowadzą do tego, że żałuje się już do kresu życia – albo dlatego, że się je wykorzystało, albo dlatego, że się ich nie wykorzystało. Ach, to czające się niezadowolenie, które zawsze musi zatruć najbardziej idealne szczęście. A jednak. Czyżby los otworzył jakieś drzwi, które wkrótce znów się zatrzasną? Czyżby ponownie miała go zawieść odwaga, tak jak zawiodła go tamtej nocy w sierocińcu?

Przed oczami stanął mu obraz śpiącego, niczego niespodziewającego się mężczyzny w łóżku. Bezbronnego, a mimo to odgradzającego go od wolności, na którą zasługuje każdy człowiek. Od godności, której każdy człowiek powinien się domagać. Od władzy, którą mógłby osiągnąć. Od szacunku. I od miłości.

Na dworze zaczęło się już rozwidniać, kiedy obudził Lady.

– Gdybym to zrobił... – zaczął – ...zaciągnąłbym dług u Hekate.

Otworzyła oczy szeroko, jakby w ogóle nie spała.

– Dlaczego tak myślisz, kochany? Hekate po prostu przepowiedział, że coś się wydarzy. To nie jest żaden dług, którego zwrotu mógłby się domagać.

– Co więc mógłby zyskać, gdybym został komendantem?

– O to możesz spytać jego, ale to dość oczywiste. Zapewne wie, że Duncan poprzysiągł sobie, że nie spocznie, dopóki nie rozprawi się z Hekate. Pewnie też nie wyklucza, że dla ciebie priorytetem będzie raczej walka z gangami narkotykowymi, które terroryzują ulice i strzelają do siebie nawzajem.

– Z Norse Ridersami, którzy już leżą z przetrąconym kręgosłupem?

– Albo będzie ci zależało na zamknięciu przybytków, które wyciągają od maluczkich ich oszczędności.

– Obelisku?

– Na przykład.

– Hm. Mówiłaś o wielkich rzeczach, których moglibyśmy dokonać. Myślałaś o tych dobrych dla miasta?

– Oczywiście. Pamiętaj, że jako komendant policji to ty będziesz decydował, których polityków wziąć pod lupę, a których zostawić w spokoju. A wszyscy przynajmniej trochę znający Radę Miasta wiedzą, że ci, którzy zajmowali w ostatnich dziesięciu latach pozycje na szczytach władzy, zapłacili za to w sposób, którym raczej nie

chcieliby się chwalić. A potem z kolei sami pobierali opłaty. Za czasów Kennetha nie musieli się wysilać, żeby ukrywać korupcję, więc dowody leżą na tacy. My o tym wiemy, oni wiedzą, a to oznacza, że będziemy mogli nimi sterować, jak zechcemy, kochany. – Pogładziła palcem jego usta. Już pierwszej nocy powiedziała, że kocha jego wargi, bo są tak miękkie i delikatne, iż wystarczyłoby lekkie ukąszenie, aby mogła poznać smak jego krwi.

– Skłonić ich, żeby wreszcie spełnili swoje obietnice o wdrożeniu działań, które mogą ocalić to miasto – szepnął.

– No właśnie.

– Przywrócić Berthę na tory.

– Tak.

Ugryzła go w dolną wargę i poczuła drżenie, własne i jego. Przyspieszony rytm bicia serc obojga. Objął ją.

– Kocham cię – szepnął.

Macbeth i Lady. Lady i Macbeth. Oddychali teraz równym rytmem.

7

Lady popatrzyła na Macbetha. Pięknie się prezentował w smokingu. Odwróciła się, sprawdziła, czy kelner włożył białe rękawiczki, tak jak go o to prosiła. I czy kieliszki do szampana na srebrnej tacy to te z wąską czaszą. Głównie dla żartu położyła też na tacy niewielką elegancką trzepaczkę do szampana, chociaż bardzo nieliczni goście widzieli wcześniej taki przyrząd, a jeszcze mniej ich wiedziało, do czego służy. Macbeth zakołysał się na butach, aż zapadły się w gruby dywan kasyna Inverness. Wciąż sztywno wpatrywał się w drzwi wejściowe. Przez cały dzień wydawał się zdenerwowany. Jedynie w trakcie omawiania praktycznych szczegółów planu odzyskał koncentrację, stał się policjantem profesjonalistą, członkiem przygotowującej akcję grupy i zapomniał, że jej cel ma też imię. Duncan.

Odźwierni na zewnątrz otworzyli drzwi, do środka wpadł wilgotny powiew.

Pierwsi goście. Lady uruchomiła swój najweselszy, najbardziej pełen wyczekiwania uśmiech i wsunęła rękę pod ramię Macbetha. Poczuła, jak odruchowo się wyprostował.

– Banquo, stary przyjacielu! – zawołała. – Cieszę się, że wziąłeś ze sobą Fleance'a! Wyrósł na takiego przystojniaka, że naprawdę cieszę się, że nie mam córek.

Uściski i toasty.

– Lennox! Musimy chwilę porozmawiać, ale najpierw odrobina szampana. Jest i Caithness! Wyglądasz porywająco, moja droga! Dlaczego ja nie potrafię znaleźć dla siebie tak twarzowej sukni? Zastępca komendanta Malcolm! Ależ ten tytuł jest stanowczo zbyt długi, czy mogę pana nazywać po prostu komendantem? Proszę nie

mówić o tym nikomu, ale czasami każę Macbethowi nazywać się panią dyrektor, tylko po to, by usłyszeć, jak to brzmi.

Ledwie zdążyła się przywitać z gośćmi, a już zdołała wywołać w nich wrażenie, że znają się od lat. Potrafiła w nich wejrzeć. Wyczuwała ich pragnienia, wiedziała, co powinno zostać zauważone – to było prawdziwe błogosławieństwo jej nadwrażliwości wśród wszystkich przekleństw. Dzięki temu mogła omijać potyczki na forpocztach i od razu torować sobie drogę do celu. Może zaufanie budziła jej bezpośredniość. Chętnie dzieliła się z ludźmi pozornie intymnymi szczegółami ze swojego życia, co ośmielało ich do własnych wynurzeń, a gdy orientowali się, że ich małe tajemnice zostają nagrodzone pełnym wyrozumiałości konspiracyjnym śmiechem, przechodzili do nieco większych tajemnic. Chyba nikt inny w całym mieście nie wiedział o jego mieszkańcach więcej niż gospodyni tego wieczoru.

– Komendant Duncan! Jak miło!

– Dobry wieczór, Lady! Przepraszam za spóźnienie.

– Ależ skąd! To pański oczywisty przywilej, nie chcemy przecież komendanta policji, który przychodzi jako pierwszy! Sama staram się zawsze przybywać jako ostatnia, na wypadek gdyby ktoś miał wątpliwości co do tego, kto uważa się za królową.

Duncan zaśmiał się cicho, a Lady położyła mu rękę na ramieniu.

– Pan się śmieje, więc już uznaję ten wieczór za udany. Ale proszę teraz spróbować naszego wyśmienitego szampana, drogi komendancie. Zakładam, że pańscy ochroniarze nie...

– Nie, nie. Będą pracować przez całą noc.

– Przez całą noc?

– Kiedy się publicznie pogroziło Hekate, to trzeba spać z przynajmniej jednym okiem otwartym. Ja śpię z otwartymi dwiema parami oczu.

– Jeśli już mówimy o spaniu, to ochroniarze dostali pokój przylegający do pańskiego apartamentu i połączony z nim drzwiami, tak jak prosili. Klucze leżą w recepcji. Ale nalegam, żeby przynajmniej spróbowali mojej domowej lemoniady. Przyrzekam, nie przyrządzono jej na miejskiej wodzie. – Dała sygnał kelnerowi, zaraz podszedł z tacą, na której stały dwie szklanki.

– No cóż... – chrząknął jeden z ochroniarzy.

– Odmowę potraktuję jako osobistą zniewagę – przerwała mu Lady.

Ochroniarze porozumieli się wzrokiem z Duncanem, w końcu obaj chwycili szklanki, opróżnili je i odstawili z powrotem na tacę.

– To bardzo wielkoduszne z pani strony, że podjęła się pełnienia obowiązków gospodyni dzisiejszego przyjęcia, madam – powiedział Duncan.

– Jak mogłabym się tego nie podjąć, skoro uczynił mnie pan naczelnikową Wydziału Przestępczości Zorganizowanej!

– Naczelnikową? Nie wiedziałem, że jesteście małżeństwem.

Lady lekko przechyliła głowę.

– Przywiązuje pan aż taką wagę do formalności, komendancie?

– Jeśli przez formalności rozumie pani zasady, to owszem. To tkwi w charakterze mojej pracy. Podobnie zresztą jak w pracy pani, jak przypuszczam.

– Kasyno opiera się na tym, że wszyscy wiedzą, iż obowiązują zasady i nie ma wyjątków.

– Muszę przyznać, że jeszcze nigdy w życiu nie przestąpiłem progów kasyna, madam. Wiem, że ciążą na pani obowiązki gospodyni, ale może mógłbym przy okazji prosić o króciutkie oprowadzenie?

– Z przyjemnością. – Lady ujęła go pod ramię. – Chodźmy.

Zaprowadziła Duncana po schodach na antresolę. Nawet jeśli jego spojrzenie i sekretne myśli lgnęły do wysokiego rozcięcia sukni, kiedy Lady wspinała się przed nim po schodach, potrafił świetnie to ukryć. Stanęli przy balustradzie. Wieczór należał raczej do spokojnych. Czterech gości otaczało największy stół z ruletką, blackjackiem nie interesował się nikt, czterech pokerzystów rozgrywało partię przy stole bezpośrednio pod nimi.

Pozostali uczestnicy przyjęcia zebrali się przy barze. Lady zobaczyła, że Macbeth, stojący razem z Malcolmem i Lennoxem, nerwowo obraca w palcach swoją szklankę z wodą i próbuje udawać, że słucha.

– Dwanaście lat temu, kiedy wyniosła się stąd administracja kolei, to była zawilgocona ruina zniszczona przez wandali. Jak pan wie, jesteśmy jedynym regionem kraju, w którym dozwolona jest działalność kasyn.

– Zasługa komendanta Kennetha.

– Błogosławiona niech będzie jego czarna dusza. Jak pan widzi, mamy dwa małe stoliki do ruletki i jeden duży stół. Gra się według zasad europejskich, jak w Monte Carlo. Można obstawiać na identycznych polach po obu stronach koła wykonanego głównie z mahoniu, z dodatkiem drzewa różanego i kości słoniowej.

– Doprawdy, imponujące, jak wiele udało się tu pani osiągnąć!

– Dziękuję, komendancie, ale sporo mnie to kosztowało. Również mówiąc dosłownie.

– Rozumiem. Czasami aż trzeba zadać sobie pytanie, co nas, ludzi, napędza.

– Proszę więc mi powiedzieć, co napędza pana?

– Mnie? – Zastanowił się przez chwilę. – Nadzieja, że to miasto pewnego dnia stanie się dobrym miejscem do życia.

– Ale co się kryje głębiej za tymi pięknymi zasadniczymi powodami, które z taką łatwością potrafimy ubrać w słowa? Jakie egoistyczne, emocjonalne pobudki panem kierują? Jaki jest pana mroczny motyw? Co szepcze do pana w nocy i co pana nawiedza już po wygłoszeniu uroczystych przemówień?

– To bardzo wymagające pytanie, Lady.

– To najważniejsze pytanie, drogi komendancie.

– Być może. – Poruszył barkami opiętymi smokingiem. – Chyba nie potrzebowałem tak silnej motywacji. Dostałem od bogów losu dobre karty, kiedy urodziłem się w stosunkowo zamożnej rodzinie, w której wykształcenie, ambicje i kariera były oczywistością. Mój ojciec głośno i wyraźnie mówił o korupcji w sektorze publicznym, pewnie dlatego nie zaszedł wyżej. Wydaje mi się, że podjąłem jego działania w miejscu, w którym on je porzucił, ucząc się na popełnionych przez niego błędach taktycznych. Polityka to sztuka wykorzystywania możliwości i czasami zło trzeba zwalczać złem. Robię to, co muszę. Nie jestem żadnym świętym, jak lubi przedstawiać mnie prasa, madam.

– Święci na ogół niewiele osiągają poza kanonizacją. Popieram raczej pańską taktykę, komendancie, zawsze zresztą ją stosowałam.

– Rozumiem. Nie znam wprawdzie szczegółów pani życia, ale wiem, że miała pani do przejścia dłuższą i bardziej stromą drogę niż ja.

Lady się roześmiała.

– Znajdzie mnie pan na pożółkłych stronach pańskich kartotek, komendancie. Utrzymywałam się przez kilka lat, wykonując najstarszy zawód świata, to żadna tajemnica. Ale wszyscy mamy za sobą jakąś przeszłość. I, jak pan się wyraził, robiliśmy to, co musieliśmy. Czy komendantowi policji zdarza się grać? Jeśli tak, to prosiłabym, aby dziś zagrał pan na koszt firmy.

– Dziękuję za pani szczodrość, Lady, ale przyjęcie takiej propozycji równałoby się złamaniu naszych zasad.

– Nawet gdyby pan zagrał jako osoba prywatna?

– Kiedy zostaje się komendantem policji, osoba prywatna przestaje istnieć. Poza tym nie gram, madam. Wolę nie liczyć na bogów losu, a raczej zasłużyć na ewentualne przywileje.

– A mimo to dotarł pan tu, gdzie pan jest teraz, ponieważ bogowie losu – sam pan tak to określił – dali panu dobre karty przy narodzinach.

Duncan się uśmiechnął.

– Mówiłem „wolę". Życie to gra i człowiek albo gra tymi kartami, które otrzymał w rozdaniu, albo mówi „pas".

– Czy mogę panu coś powiedzieć, komendancie? Dlaczego się pan uśmiecha?

– Ponieważ pani pyta, madam. Wydaje mi się, że i tak powie pani to, co chce powiedzieć.

– Chciałam tylko wspomnieć, drogi Duncanie, iż uważam, że jest pan na wskroś honorowym człowiekiem, mężczyzną z kręgosłupem, i szanuję zarówno to, kim pan jest, jak i to, co pan głosi. Zwłaszcza że miał pan odwagę powierzyć tak niezapisanej karcie jak Macbeth bardzo eksponowane stanowisko w kierowanej przez pana formacji.

– Dziękuję, madam. A Macbeth zawdzięcza to sam sobie.

– Czy to mianowanie jest elementem pańskiego programu antykorupcyjnego?

– Walka z korupcją przypomina zwalczanie pluskiew. Czasami trzeba zburzyć dom, żeby pozbyć się tej plagi. I zbudować nowy, z niezainfekowanego materiału. Takiego jak Macbeth. On nie wchodził w skład establishmentu, więc nie jest zarażony.

– Jak Cawdor.

– Jak Cawdor, madam.

– Wiem, ile kosztuje wycięcie zainfekowanego mięsa. Sama miałam dwóch niewiernych sługów. – Wychyliła się przez balustradę, skinieniem głowy wskazując na stół do ruletki. – Mimo to płakałam, kiedy ich zwalniałam. Uleganie pokusie pieniędzy i bogactwa to przecież dość powszechna ludzka słabość. Miałam zbyt miękkie serce i zamiast zgnieść pluskwy obcasem, pozwoliłam im odejść. Jakiej wdzięczności się doczekałam? Tego, że wykorzystali moje pomysły, umiejętności, które im przekazałam, i pieniądze, które z całą pewnością ukradli tutaj, aby otworzyć przybytek o wątpliwej reputacji. Nie tylko psuje on opinię branży, lecz również odbiera chleb tym, którzy stworzyli ten rynek. Przepędzone pluskwy wracają. Tak, tak, powinnam była zrobić tak jak pan, komendancie.

– Jak ja, madam?

– Z Cawdorem.

– Nie mogłem mu odpuścić, skoro współpracował ze Swenem.

– Mam na myśli to, że porządnie wykonał pan swoją robotę. Dysponowaliście jedynie zeznaniami członka Norse Riders, który – co zrozumieliby nawet najgłupszy sędzia i najgłupsza ława przysięgłych – mógł powiedzieć cokolwiek, byle zawrzeć z policją układ i wykręcić się tanim kosztem. Cawdor mógł się z tego wywinąć.

– Mieliśmy na niego nieco więcej, madam.

– Ale nie tyle, by na sto procent zagwarantować wyrok skazujący. Pluskwa Cawdor wróciłaby i skandal tylko by się przeciągnął. Proces połączony z piekielnym praniem brudów, które mogłoby poplamić różne inne miejsca. Nie jest to coś, czego policja potrzebuje akurat wtedy, gdy usiłuje odzyskać zaufanie obywateli. Ma pan moje pełne poparcie, komendancie. Pluskwy należy mocno przydeptywać obcasem i mieć rozprawę z nimi już za sobą.

Duncan się uśmiechnął.

– To być może bardzo precyzyjna analiza, ale wierzę, iż nie sugeruje pani, że miałem coś wspólnego z przedwczesną śmiercią Cawdora, madam?

– O nie, niech Bóg broni! – Lady położyła dłoń na przedramieniu komendanta. – Twierdzę tylko, jak zwykle mawia Banquo, że istnieje wiele sposobów na obdarcie kota ze skóry.

– Na przykład?

– Hm... Na przykład zatelefonowanie do kogoś i oznajmienie mu, że oto nadszedł dzień sądu, a dowody są tak przytłaczające, że może w ciągu kilku minut spodziewać się Gwardii u drzwi. Oraz że zostanie upokorzony publicznie, pozbawiony wszelkiej czci, a jego nazwisko będzie przeciągnięte przez rynsztok i wystawione w dybach na rynku. Że ma do dyspozycji zaledwie kilka minut.

Duncan uważnie obserwował stół do pokera w dole.

– Gdybym miał lornetkę, mógłbym im zajrzeć w karty.

– Owszem.

– Skąd pani ma swoją lornetkę, madam? Taki dar od urodzenia?

Roześmiała się.

– Nie, musiałam ją kupić. Za doświadczenie. Drogo mnie kosztowała.

– Oczywiście nic takiego nie powiedziałem, ale Cawdor służył w policji przez wiele lat. Jak większość z nas nie był wyłącznie zły ani wyłącznie dobry. Może on sam zasłużył, a może zasłużyła jego rodzina, na możliwość wyboru drogi, którą pójdzie dalej.

– W takim razie jest pan szlachetniejszym człowiekiem niż ja, komendancie – stwierdziła Lady. – Ja postąpiłabym tak samo, ale wyłącznie z pobudek egoistycznych. Zdrowie!

Stuknęli się kieliszkami z szampanem.

– Wracając do lornetki... – Lady skinęła w stronę pozostałych uczestników przyjęcia stojących przy barze. – Widzę, że komisarz Duff i młodziutka Caithness namierzyli się na radarach.

– Tak? – Duncan uniósł brew. – Przecież stoją przy dwóch przeciwnych końcach baru.

– No właśnie. Utrzymują maksymalny dystans. A mimo to co piętnaście sekund sprawdzają, gdzie jest to drugie.

– Niewiele potrafi pani umknąć.

– Również to, że trafiłam celnie, gdy spytałam o pański mroczny, egoistyczny motyw.

Duncan się roześmiał.

– Pani widzi też w ciemności.

– Moje wyczulenie na mrok jest dziedziczne, komendancie. Chodzę we śnie w najczarniejsze noce, nie robiąc sobie żadnej krzywdy.

– Nawet motyw najlepszego uczynku można pewnie nazwać egoistycznym, ale w mojej prostej opinii cel uświęca motyw.

– A więc pragnie pan mieć pomnik, taki jaki dostał Kenneth? Albo miłość ludu, której nie dostał?

Duncan długo się jej przyglądał. Potem sprawdził, czy ochroniarze wciąż znajdują się poza zasięgiem jego głosu, opróżnił kieliszek i chrząknął.

– Pragnę spokoju duszy, madam. Satysfakcji z wywiązywania się ze swoich obowiązków. Odpowiedniego dbania o dom moich przodków i wprowadzania w nim ulepszeń. Wiem, że to perwersja, więc proszę nikomu o tym nie wspominać.

Lady wzięła głęboki oddech, odepchnęła się od balustrady i rozjaśniła w szerokim uśmiechu.

– Co ze mnie za gospodyni?! Przesłuchuję swoich gości, a przecież mamy się bawić! Dołączymy do innych? Zaraz zejdę do piwniczki

z winem i przyniosę butelkę, która czekała właśnie na taką okazję.

Duff, z trudem przetrwawszy nudną rozprawę Malcolma na temat nowych sposobów oszustw, jakie umożliwiało obecne prawo podatkowe, przeprosił go i podszedł do baru, żeby w nagrodę zamówić sobie whisky.

– I jak tam? – rozległ się głos z tyłu. – Jak minął wolny dzień z rodziną?

– Dobrze, dziękuję – odpowiedział, nie odwracając się. Wskazał kelnerowi właściwą butelkę i wysuwając dwa palce, dał mu znak, że zamawia podwójną porcję.

– A co z dzisiejszą nocą? – spytała Caithness. – Wciąż chcesz nocować w... hotelu?

W ich szyfrze słowo to oznaczało jej łóżko. Ale Duff wychwycił, że pytanie dotyczy nie tylko tej nocy, lecz również tych, które nadejdą. Zrozumiał, że Caithness domaga się powtórzenia starego refrenu, zapewnienia, że jej pragnie, że wcale nie chce wracać do rodziny w Fife, ale że rozplątanie tamtego życia wymaga czasu – trzeba uwzględnić tyle spraw. Nie potrafił pojąć, dlaczego Caithness nie zna go lepiej i wątpi, by naprawdę tego chciał. Może właśnie z tego powodu trochę na złość odpowiedział, że zaproponowano mu nocleg w kasynie.

– I tak zrobisz? Naprawdę tu zostaniesz?

Duff westchnął. O co tym kobietom chodziło? Czy wszystkie chciały go skrępować, przykuć do łóżka, karmić w kuchni, żeby móc doić jego portfel i jądra, zmusić do kolejnych dzieci i kolejnych wyrzutów sumienia?

– Nie – odparł, patrząc na Macbetha. Jak na gwiazdę wieczoru Macbeth wyglądał na dziwnie przygnębionego, jakby czuł się nieswojo. Czyżby odpowiedzialność i powaga nowego stanowiska już zdążyły wystraszyć tego wesołego, beztroskiego chłopca,

którego ciągle w sobie miał? No cóż, i tak było za późno, zarówno dla Macbetha, jak i dla niego samego.

– Jeśli wyjdziesz pierwsza, odczekam tyle, ile będzie trzeba, i przyjdę do ciebie.

Wyczuł, że stojąca za nim Caithness się waha. Napotkał jej spojrzenie w lustrze za półkami pełnymi butelek. Zobaczył, że ona chce go dotknąć. Ostrzegł ją wzrokiem. Powstrzymała się. I odeszła. O Boże.

Duff wlał w siebie drinka. Potem podniósł się, żeby podejść do Macbetha, który stał oparty o koniec kontuaru. Najwyższa pora porządnie mu pogratulować. W tej samej chwili jednak rozdzielił ich Duncan. Wokół komendanta zaczęli się tłoczyć ludzie i zasłonili Macbetha. A kiedy Duff znów go zobaczył, Macbeth już wychodził, spiesząc za skrawkiem sukni Lady, który właśnie znikał Duffowi z oczu.

Macbeth dogonił Lady w momencie, gdy otworzyła drzwi do piwnicy.

– Nie mogę – powiedział.

– Co?

– Nie mogę uśmiercić własnego komendanta.

Popatrzyła na niego.

Potem chwyciła go za klapy, wciągnęła do pomieszczenia z winem i zamknęła drzwi.

– Nie możesz mnie teraz zawieść, Makbecie. Duncan i jego ochroniarze już się zakwaterowali w swoich pokojach. Wszystko jest gotowe. Masz klucz uniwersalny, prawda?

Macbeth sięgnął do kieszeni i wyjął z niej klucz.

– Weź go. Ja nie mogę tego zrobić.

– Nie możesz czy nie chcesz?

– Jedno i drugie. Nie chcę, ponieważ nie mogę spiąć ostrogami woli dokonania takiej zbrodni. To będzie zły czyn. Duncan jest dobrym komendantem, a ja nie zrobię nic lepiej od niego. Jaki więc w tym sens oprócz służenia mojej wygórowanej ambicji?

– Naszej ambicji! Ponieważ oprócz potrzeby zaspokojenia głodu, zimna, strachu i żądzy seksualnej człowiekiem kieruje żądza chwały, Macbecie. Chwała to klucz do szacunku, a tu masz klucz uniwersalny, więc go użyj! – Ciągle przytrzymywała go za klapy, a jej usta były tak blisko jego ust, że wyczuwał smak wściekłości w jej oddechu.

– Ukochana... – zaczął.

– Nie! Jeśli wydaje ci się, że Duncan jest takim zacnym człowiekiem, to posłuchaj tylko, jak zabił Cawdora, żeby ratować się przed ujawnieniem bardzo kłopotliwej prawdy, która mogła wyjść na jaw, gdyby Cawdor został wzięty żywcem.

– Nie wierzę!

– Sam go spytaj.

– Mówisz to tylko po to, żeby... żeby...

– ...spiąć ostrogami twoją wolę. – Puściła jego klapy i teraz przycisnęła do nich dłonie, jakby chciała wyczuć uderzenia serca Macbetha. – Po prostu myśl o tym, że masz zabić mordercę, tak jak zabiłeś tamtego ridersa, a przyjdzie ci to z łatwością!

– Ale ja nie chcę, żeby przyszło mi to z łatwością!

– Jeśli to twoja moralność bierze nad tobą górę, to w takim razie pomyśl, że wiąże cię obietnica, którą złożyłeś mi ubiegłej nocy, Macbecie. Czy próbujesz mi powiedzieć, że to, co ujrzałam i odczytałam jako odwagę, kiedy zabijałeś Ernesta Colluma, było jedynie nieodpowiedzialnym krokiem młodego chłopaka, ponieważ to nie twoje życie, tylko życie mojego krupiera było stawką?

Natomiast teraz, kiedy sam musisz podjąć pewne ryzyko, uciekasz jak tchórzliwa hiena?

Jej słowa były niesprawiedliwe, a mimo to do niego trafiły.

– Dobrze wiesz, że tak nie jest – powiedział z rozpaczą.

– Dlaczego więc nie możesz dotrzymać danej mi obietnicy, Macbecie?

Przełknął ślinę. Desperacko szukał słów.

– A ty... możesz powiedzieć, że dotrzymujesz wszystkich swoich obietnic?

– Ja? Ja? – Roześmiała się zdumiona, ale jej śmiech zabrzmiał przenikliwie. – Gdyby chodziło o obietnicę daną samej sobie, to oderwałabym od własnej piersi ssące ją dziecko i roztrzaskała jego główkę o ścianę. Jak więc bym mogła złamać obietnicę daną tobie, mój jedyny, najdroższy?

Macbeth nie odrywał od niej oczu. Wdychał jej oddech, oddech przesycony trucizną. Czuł, jak osłabia go z sekundy na sekundę.

– Czy nie rozumiesz, że jeśli coś pójdzie źle, Duncan utnie głowę i tobie?

– Nic nie pójdzie źle. Posłuchaj, naleję teraz Duncanowi kieliszek tego burgunda i będę nalegać, żeby jego ochroniarze przynajmniej umoczyli w nim usta. Nie wychwycą żadnego dziwnego smaku, ale mogą się poczuć nieco senni, a wreszcie zasną jak kamienie...

– No tak, ale...

– Pst! Użyjesz sztyletów, więc nie ma szans na to, żeby się obudzili. Potem pobrudzisz ich ubrania krwią z ostrzy, a sztylety zostawisz w ich łóżkach. Później, kiedy ich obudzisz...

– Pamiętam nasz plan. Ale on ma swoje słabe strony i...

– To twój plan, ukochany. – Ujęła go pod brodę i mocno ugryzła w płatek ucha. – Jest perfekcyjny. Wszyscy uznają, że ochroniarze

pozostawali na usługach Hekate, a byli zbyt pijani, żeby ukryć ślady.

Macbeth zamknął oczy.

– Powinnaś rodzić tylko synów, prawda?

Lady roześmiała się cicho. Pocałowała go w szyję. Macbeth chwycił ją za ramiona i lekko od siebie odsunął.

– Staniesz się moją zagładą, Lady, wiesz o tym?

Uśmiechnęła się.

– A ty wiesz, że pójdę za tobą wszędzie.

8

Uroczysty obiad podano w restauracji, *chambre séparée* kasyna. Duffa posadzono obok gospodyni, która po swojej drugiej ręce miała Duncana. Macbeth siedział naprzeciwko, a przy stole towarzyszyła mu Caithness. Duff zauważył, że oboje, i Caithness, i Macbeth, niewiele się odzywali i niewiele jedli, ale atmosfera była wesoła, a stół na tyle szeroki, że i tak nie dało się rozmawiać z kimś, kto siedział po jego drugiej stronie. Lady zabawiała konwersacją Duncana, więc Duff był skazany na słuchanie Malcolma i musiał się koncentrować, żeby nie zacząć ziewać.

– Caithness pięknie dziś wygląda, prawda?

Duff się odwrócił. To zagadnęła go Lady. Uśmiechnięta, patrzyła na niego wielkimi niewinnie błękitnymi oczami, jaśniejącymi wśród płomieni rudych włosów.

– Owszem, ale tylko prawie tak pięknie jak pani, madam – odparł, orientując się jednak, że powiedział to bez iskry, zwykle ożywiającej takie słowa.

– Caithness jest nie tylko bardzo piękna – ciągnęła Lady. – Jako kobieta w waszej branży musiała naprawdę sporo poświęcić, żeby zajść tak wysoko. Na przykład rodzinę. Wydaje mi się, że poświęciła rodzinę, nie sądzi pan?

Szare oczy. Szare, wcale nie niebieskie.

– Przypuszczam, że wszystkie kobiety, które chcą robić karierę, muszą coś poświęcić. – Duff sięgnął po kieliszek i zobaczył, że znów jest pusty. – Rodzina nie dla wszystkich jest najważniejsza. Chyba w tym zgodzi się pani ze mną, madam?

Lady wzruszyła ramionami.

– Nami, ludźmi, kieruje praktycyzm. Jeśli nie da się odwrócić wyborów, których kiedyś dokonaliśmy, robimy, co w naszej mocy, aby je obronić, żeby błędy nie nawiedzały nas w snach i zbyt nam nie dokuczały. Wydaje mi się, że to jest przepis na szczęśliwe życie.

– A więc boi się pani, że nie będzie pani mogła spać spokojnie, jeśli ujrzy pani swoje wybory w świetle prawdy?

– Jeżeli kobieta chce dostać to, czego pragnie, musi myśleć i działać jak mężczyzna, a nie oglądać się na rodzinę. Ani na swoją, ani na cudzą.

Duff drgnął. Usiłował pochwycić spojrzenie Lady, ale pochyliła się, żeby nalać wina gościom z drugiej strony. Chwilę później Duncan postukał w kieliszek, wstał i chrząknął.

Duff obserwował Macbetha w trakcie tej przemowy, mającej być podziękowaniem za przyjęcie, będącej jednak nie tylko hołdem złożonym umiejętnościom gospodyni i awansowi gospodarza, lecz również podkreśleniem zadania, którego podjęli się wszyscy tu zebrani: uczynienia z miasta miejsca, w którym da się żyć. Duncan zakończył stwierdzeniem, że po długim tygodniu pracy zasłużyli na ten odpoczynek, jaki łaskawy Pan Bóg dla nich przeznaczył, dobrze więc zrobią, korzystając z niego, bo nie ma pewności, czy

w nadchodzących tygodniach komendant policji okaże się dla nich równie łaskawy. Życząc wszystkim dobrej nocy, stłumił ziewnięcie, ale jeszcze wzniósł toast za gospodarzy. W trakcie owacji, która nastąpiła, Duff znów spojrzał na Macbetha, ciekaw, czy ten ma zamiar zrewanżować się podobnym wystąpieniem. Duncan był przecież komendantem. Ale Macbeth dalej siedział jak słup soli, blady i sztywny, najwyraźniej przytłoczony tą nową sytuacją, swoją nową pozycją i nowymi wymaganiami, wobec których teraz stanął.

Duff pomógł Lady wstać i wysunął jej krzesło.

– Bardzo dziękuję za miły wieczór, madam.

– I ja dziękuję, panie Duff. Dostał pan klucz do swojego pokoju?

– Owszem, ale będę nocował... gdzie indziej.

– Jedzie pan do domu, do Fife?

– Nie, pójdę do kuzyna. Ale jutro rano stawię się tu po Duncana, mieszkamy w Fife blisko siebie.

– O której pan po niego przyjedzie?

– O siódmej. Obaj, i Duncan, i ja, mamy dzieci, a... jutro niedziela, więc sama pani rozumie...

– Właściwie to nie – uśmiechnęła się Lady. – Dobranoc. I proszę pozdrowić kuzyna, panie Duff.

Goście jeden po drugim opuszczali bar i stoliki do gry, szli do swoich pokoi albo wracali do domów. Macbeth zajął miejsce w recepcji, gdzie ściskał ręce na pożegnanie i mamrotał nic nieznaczące słowa, ale przynajmniej nie musiał zabawiać konwersacją tych, którzy wciąż pozostawali w barze.

– Naprawdę nie wyglądasz na zdrowego – stwierdził Banquo, lekko bełkocząc, i położył ciężką łapę na ramieniu Macbetha. Wyszedł właśnie z męskiej toalety. – Idź jak najszybciej do łóżka, to może nie pozarażasz wszystkich dokoła.

– Dzięki, Banquo. Ale Lady ciągle jest w barze i zabawia gości.

– Komendant poszedł spać prawie godzinę temu, więc tobie też już wolno. Dopiję jeszcze w barze swojego drinka i zbieramy się razem z Fleance'em. Kiedy będę wychodził, nie chcę cię tu widzieć jak jakiegoś odźwiernego. Jasne?

– Jasne. Dobranoc, Banquo.

Macbeth patrzył, jak przyjaciel, lekko chwiejąc się na nogach, wraca do baru. Spojrzał na zegarek. Za siedem minut północ. Za siedem minut to się stanie. Odczekał jeszcze trzy. Potem się wyprostował, zajrzał przez podwójne drzwi prowadzące do sali i do baru, przy którym Lady słuchała Malcolma i Lennoxa. W tej samej chwili, jakby go wyczuła, odwróciła się i ich spojrzenia się spotkały. Ledwie zauważalnie skinęła mu głową, odpowiedział podobnie. Potem roześmiała się z jakiejś uwagi Malcolma i sama rzuciła komentarz, który rozbawił obu mężczyzn. Była naprawdę świetna.

Macbeth ruszył po schodach na górę i kluczem otworzył drzwi do apartamentu, który zajmował razem z Lady. Przyłożył ucho do ściany, za którą był pokój ochroniarzy. Dobiegało stamtąd spokojne, równe chrapanie. Wręcz niewinne. Usiadł na łóżku. Pogładził dłonią śliską narzutę. Jedwab zdawał się szeptać pod jego szorstkimi palcami. Tak, Lady była sprytna. Sprytniejsza niż on kiedykolwiek będzie. Może rzeczywiście im się uda. Może właśnie oni, Macbeth i Lady, dokonają tego, stworzą to miasto według swojego planu, dokończą to, co zaczął Duncan, posuwając się jeszcze dalej, niż on byłby w stanie. Oni bowiem mieli wolę, siłę i potrafili pociągnąć za sobą ludzi. Z ludu, dla ludu, z ludem.

Palcami pogładził dwa sztylety, które położył na łóżku.

Gdyby władza nie korumpowała i nie zatruwała umysłów, nie musieliby tego robić. Gdyby Duncan miał nieskalane, pełne

ideałów serce, mogliby o tym dyskutować i Duncan zrozumiałby, że z nich dwóch to Macbeth lepiej się nadaje do zrealizowania jego własnego projektu wydobycia miasta z mroku. Bo wprawdzie to Duncan miał wizję, ale zwykli mieszkańcy miasta nigdy nie poszliby za obcym przybyszem z wyższych sfer Capitolu, prawda? Nie, do tego potrzeba było jednego z nich. Duncan mógł być nawigatorem, wskazywać kurs, ale to Macbeth musiał stanąć na mostku kapitańskim, jedynie on mógł nakłonić załogę do posłuszeństwa i poprowadzić statek tam, dokąd obaj pragnęli dotrzeć – do bezpiecznego portu. Lecz chociaż zmiana na szczytach władzy służyłaby dobru miasta, Duncan, rzecz jasna, nigdy nie oddałby dobrowolnie stanowiska komendanta Macbethowi. W całej swojej dobroci nie był bowiem wcale lepszy od innych, którzy poznali smak władzy, i swoje osobiste ambicje stawiał ponad wszystko. Bo przecież zabijał tych, którzy mogli zaszkodzić jego opinii i nadszarpnąć jego władzę, czyż nie tak?

Kiedy przyszli do Cawdora, jego zwłoki wciąż były ciepłe.

Nie było tak?

Owszem, było. Właśnie tak. Właśnie tak było.

Dwunasta.

Macbeth zamknął oczy. Musiał wejść w Stan. Zaczął liczyć od dziesięciu w dół. Otworzył oczy. Zaklął. Znów je zamknął i jeszcze raz odliczył. Spojrzał na zegarek. Chwycił sztylety, wsunął je do specjalnie skonstruowanej pochwy na ramię mieszczącej oba, po jednym z każdej strony. Wyszedł na korytarz. Minął drzwi ochroniarzy i zatrzymał się przed pokojem Duncana. Nasłuchiwał. Nic. Wziął głębszy oddech. Wszelkie rozmaite scenariusze przeanalizowali już wcześniej, pozostawało jedynie działanie. Wsunął klucz uniwersalny w zamek, przez moment wpatrywał się w swoje odbicie w wypolerowanej mosiężnej klamce, po czym ujął

ją i obrócił. Starał się zaobserwować jak najwięcej w świetle wpadającym przez uchylone drzwi z korytarza, zanim wśliznął się do środka i je zamknął.

W ciemności wstrzymał oddech, wsłuchując się w oddech drugiego człowieka.

Spokojny i równy.

Taki jak oddech Lorreala, kierownika sierocińca.

Nie, nie wolno teraz błądzić myślami gdzieś daleko.

To był oddech Duncana. Oddech ten mówił, że Duncan ma zamknięte oczy i śpi w łóżku.

Macbeth podszedł do drzwi łazienki, zapalił w niej światło i leciutko uchylił drzwi. Do tego, co miał zrobić, wystarczy mu takie oświetlenie.

Do tego, co miał zrobić.

Stanął przy łóżku i spojrzał na uśpionego, niczego niespodziewającego się człowieka. A więc znów tak stał. Cóż za ironia!

Uniósł sztylet. Czy może być coś prostszego niż pozbawienie życia bezbronnego człowieka? Decyzja już zapadła. Teraz wystarczyło to zrobić. Czy nie zabił już swojej pierwszej bezbronnej ofiary, tam, na drodze do Forres? Czy nie stracił w ten sposób dziewictwa? Czy nie spłacił długu wobec Duffa? Nie zapłacił mu w tej samej walucie, w której zaciągnął dług? W zimnej krwi. Czy nie widział ciepłej krwi Lorreala spływającej na białe prześcieradło, krwi, która po ciemku wyglądała na czarną? Co więc go teraz powstrzymywało? Czym ta konspiracja różniła się od tamtej, gdy razem z Duffem wprowadzali zmiany w miejscu zdarzenia w Forres, żeby wszystkie ślady techniczne pasowały do wymyślonej przez nich historii? I od historii z sierocińca, która, jak ustalili, nigdy

nikomu nie zostanie opowiedziana? *Czasami okrucieństwo walczy po stronie dobra, Macbecie.*

Spojrzał na ostrze, które zamigotało w świetle padającym zza uchylonych drzwi do łazienki. Opuścił sztylet.

Nie miał tego w sobie.

Ale musiał. Musiał to w sobie znaleźć. Co jednak mógł zrobić, skoro nie dawał rady, nawet będąc w Stanie?

Trzeba zmienić się w tego drugiego, tego, którego pogrzebał tak głęboko, w szalonego mięsożernego trupa, chociaż poprzysiągł sobie, że już nigdy więcej nim nie będzie.

Banquo, rozpinając rozporek, wpatrywał się w wielką martwą lokomotywę. Chwiał się w porywach wiatru. Był trochę pijany i miał tego świadomość.

– Chodź już, tato – rozległ się głos Fleance'a za jego plecami.

– Która godzina, synku?

– Nie wiem, ale księżyc zaszedł.

– To znaczy, że jest po dwunastej. Zapowiadali w nocy burzę. – Przeszkadzała mu kabura pistoletu wisząca między pierwszą a drugą szlufką paska po prawej stronie. Odpiął ją i wręczył Fleance'owi.

Syn wziął ją z jego rąk, wzdychając z rezygnacją.

– Tato, to miejsce publiczne. Nie możesz...

– To publiczny pisuar i tyle – wybełkotał Banquo i w tej samej chwili dostrzegł wyłaniającą się zza lokomotywy ubraną na ciemno postać. – Fleance, oddaj mi broń!

Światło padło na twarz mężczyzny w czarnym stroju.

– Och, to tylko ty.

– A, to wy – powiedział Macbeth. – Musiałem się trochę przewietrzyć.

– A ja musiałem trochę przewietrzyć jego – wymamrotał Banquo. – Nie, nie, wcale nie miałem zamiaru obsikać Berty. To by było

zbezczeszczenie świętości. Po zamknięciu kościoła Świętego Józefa ostatniej świętości tego miasta.

– Może i tak.

– Coś nie w porządku? – Banquo usiłował się rozluźnić. Zawsze miał problemy z sikaniem w obecności obcych, ale żeby przy Macbecie i rodzonym synu?

– Nie – odparł Macbeth dziwnie bezbarwnym tonem.

– Dziś w nocy śniły mi się te trzy siostry – ciągnął Banquo. – Nie rozmawialiśmy o tym, ale świetnie trafiły ze swoimi przepowiedniami, nie uważasz?

– Prawie już o tym zapomniałem. Pogadamy o nich innym razem.

– W każdej chwili. – Banquo poczuł, że zaraz powinno mu się udać.

– Ale chciałem cię o coś spytać – zaczął Macbeth. – Jesteś teraz wprawdzie wicenaczelnikiem Pezetu, ale załóżmy, że doszłoby do czegoś takiego, o czym mówiła jedna z tych sióstr.

– Że co? – jęknął Banquo. Stracił cierpliwość, zaczął przeć i przez to znów nie mógł się wysikać.

– Jeśliby tak się stało, bardzo bym sobie cenił, gdybyś i ty poszedł ze mną wyżej.

– I został zastępcą komendanta Macbetha? Ha, ha, na pewno! – Nagle Banquo zrozumiał, że Macbeth nie żartuje. – Oczywiście, mój chłopcze, oczywiście. Wiesz, że zawsze jestem skłonny iść za tym, kto walczy w obronie dobra.

Popatrzyli na siebie. I wtedy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki Banquo poczuł, że wszystko się w nim luzuje, majestatyczna złocista struga wytrysnęła i bezczelnie uderzyła w wielkie tylne koło lokomotywy, spływając na tory, na którym stało.

– Dobranoc, Banquo. Dobranoc, Fleance.

– Dobranoc, Macbecie – odparli chórem ojciec i syn.

– Czy wujek Macbeth był pijany? – spytał Fleance po chwili.

– Pijany? Przecież wiesz, że on nie pije.

– Wiem, ale był jakiś dziwny.

– Dziwny? – Banquo zaśmiał się ponuro, chociaż z zadowoleniem patrzył na ciągle silny strumień moczu. – Uwierz mi, ten chłopak po zażyciu narkotyków nie robi się dziwny.

– A jaki?

– Szalony.

Gwałtowny podmuch wiatru porwał strumień.

– Burza idzie – stwierdził Banquo i zapiął rozporek.

Macbeth zrobił rundę wokół dworca. Gdy wrócił w to samo miejsce, Banqua i Fleance'a już nie było, wszedł więc do wielkiej poczekalni.

Przeskanował wzrokiem pomieszczenie i natychmiast podzielił znajdujące się tu jednostki na cztery kategorie. Tych, którzy sprzedawali, tych, którzy brali, tych, którzy robili jedno i drugie, oraz tych, którzy potrzebowali jedynie miejsca na nocleg i schronienia przed deszczem, ale wkrótce zaczną się zaliczać do którejś z trzech pierwszych kategorii. Sam przeszedł taką właśnie drogę. Od uciekiniera z sierocińca, żywionego przez wysłanników Armii Zbawienia, do ćpuna, który handlując narkotykami, zaspokajał własne potrzeby.

Macbeth podszedł do starszego grubego mężczyzny na wózku inwalidzkim.

– Ćwiartkę wywaru – powiedział. Już na sam dźwięk tych słów w jego ciele obudziło się coś, co do tej pory leżało uśpione.

Mężczyzna na wózku podniósł na niego wzrok.

– Macbeth! – Dosłownie wypluł jego imię, bo dźwiękom towarzyszył deszcz kropelek śliny. – Pamiętam ciebie, a ty mnie.

Jesteś policjantem, a ja nie sprzedaję prochów, okej? Więc idź do diabła i zostaw mnie w spokoju!

Macbeth ruszył do następnego handlarza, faceta w kraciastej koszuli, tak nakręconego, że nie był w stanie ustać spokojnie.

– Masz mnie za idyjotę? – zawołał głośno typ w koszuli w kratę. – Zresztą nim jestem, inaczej bym tu nie stał, co nie? Ale miałbym sprzedać gliniarzowi i trafić do pierdla na dwadzieścia cztery godziny, chociaż wiem, że nie dam rady wytrzymać pięciu godzin bez strzału? – Odchylił głowę i zaniósł się śmiechem tak głośnym, że echo poniosło się pod sklepieniem.

Macbeth poszedł dalej w głąb korytarza do hali odjazdów, a za sobą słyszał szczekliwy głos handlarza:

– Ludzie, władza idzie!

– Cześć, Macbeth – rozległ się nagle słaby, wysoki głos.

Macbeth się odwrócił. To był ten młody chłopak z klapką na oku. Siedział pod ścianą, Macbeth podszedł więc do niego i przykucnął. Czarna klapka przesunęła się lekko w górę, mógł zajrzeć w tajemniczy mrok oczodołu.

– Potrzebuję ćwiartki wywaru – powiedział. – Możesz mi pomóc?

– Nie – odparł chłopak. – Nie mogę już pomóc nikomu. A ty możesz pomóc mnie?

Macbeth rozpoznał coś w jego spojrzeniu. I nagle poczuł się tak, jakby spoglądał w lustro z dawnych czasów. Co on, u diabła, właściwie robił? Wydostał się stąd dzięki pomocy dobrych ludzi i teraz wracał po to samo? Żeby móc dokonać zbrodni, przed którą opierałby się nawet najbardziej zdesperowany narkoman? Ciągle mógł się wycofać. Mógł zabrać tego chłopaka ze sobą do Inverness. Nakarmić go, zafundować mu prysznic i łóżko. Ten wieczór mógł wyglądać zupełnie inaczej, niż Macbeth planował. Taka możliwość

wciąż istniała. Możliwość zbawienia dla niego, dla chłopaka, dla Lady.

– Chodźmy... – zaczął Macbeth.

– Macbeth! – Głos, który dobiegł go zza pleców, przetoczył się przez korytarz jak odległy grzmot. – Twoje modlitwy zostały wysłuchane. Mam to, czego potrzebujesz.

Macbeth się odwrócił. Podniósł wzrok wyżej. I jeszcze wyżej.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem, Strego?

– Mamy oczy i uszy wszędzie. Bardzo proszę, prezent od Hekate.

Macbeth spojrzał na torebeczkę, którą wsunęła mu do ręki.

– Zapłacę. Ile?

– Chcesz płacić za prezent? Wydaje mi się, że Hekate poczułby się urażony. Życzę ci dobrej nocy. – Strega odwróciła się i odeszła.

– Nie przyjmę tego! – zawołał Macbeth i rzucił za nią torebką, ale Stregę już wchłonęła ciemność.

– Jeśli ty nie... – odezwał się słabym głosem jednooki – ...to może ja mógłbym...

– Siedź tutaj! – warknął Macbeth, wciąż stojąc w miejscu.

– Co chcesz zrobić? – spytał chłopak.

– Co chcę? To nigdy nie jest kwestia tego, co się chce, tylko tego, co się musi.

Podszedł i podniósł torebkę. Zawrócił. Minął wyciągniętą dłoń chłopaka.

– Hej, przecież miałem dostać...

– Idź do diabła! – mruknął Macbeth. – Widzimy się w piekle.

* * *

Macbeth zszedł po schodach do cuchnącej toalety, przepędził siedzącą na podłodze kobietę, rozerwał torebkę i wysypał proszek na blat umywalek pod lustrami, grudki rozbił rękojeścią sztyletu,

a następnie ostrzem posiekał je jeszcze drobniej. Potem zwinął w rurkę banknot i wciągnął żółtobiały proszek najpierw do jednej dziurki w nosie, później do drugiej. Substancje czynne potrzebowały zaskakująco krótkiego czasu na przeniknięcie przez błony śluzowe do krwiobiegu. Ostatnią jego myślą, zanim skażona narkotykami krew dotarła do mózgu, było, że to jak ponowne spotkanie z kochanką. Ze zbyt piękną i zbyt niebezpieczną kochanką, która w ciągu tych lat nie zestarzała się nawet o jeden dzień.

– Co ja mówiłem? – Hekate postukał laską w podłogę przy monitorach kamer.

– Mówiłeś, że nie ma nic bardziej przewidywalnego niż zakochany ćpun i moralista.

– Dziękuję, Strego.

Macbeth zatrzymał się na szczycie schodów przed dworcem.

Plac Robotników kołysał się przed nim jak ocean. Fale waliły o bruk od spodu, odgłos podnoszących się i opadających kamieni brzmiał jak kłapanie zębami. A Inverness po drugiej stronie było jak parowiec, z którego dochodziły śmiechy i muzyka, światła migotały w wodzie spływającej z pluskiem z powoli obracających się na osi łopatek.

Ruszył przez ciemność w stronę Inverness. Jakby się unosił w wodzie. Jakby stopy nie dotykały ziemi. Wpłynął do recepcji.

Recepcjonista życzliwie skinął mu głową. Macbeth zajrzał do salonu gier i zobaczył, że Lady, Malcolm i Duff wciąż rozmawiają w barze. W końcu ruszył na górę po schodach z uczuciem, że frunie, przeszedł korytarzem i zatrzymał się przed drzwiami do pokoju Duncana.

Wsunął klucz uniwersalny w zamek, obrócił klamkę i wszedł do środka.

Wrócił. Nic się tu nie zmieniło. Szpara lekko uchylonych drzwi do łazienki wciąż przepuszczała światło. Podszedł do łóżka. Spojrzał na uśpionego komendanta i lewą ręką sięgnął pod marynarkę. Wyczuł rękojeść sztyletu.

Podniósł rękę. Tym razem było o wiele łatwiej. Wycelował w serce. Tak jak kiedyś celował w serce wycięte w pniu dębu, a nóż zagłębiał się między wyryte w sercu imiona. Meredith i Macbeth.

– Nie śpij już! Macbeth zabija sen.

Zdrętwiał. Czy to powiedział komendant, czy on sam, czy może tylko narkotyk przemówił?

Spojrzał na twarz Duncana. Nie, jego oczy były nadal zamknięte, a oddech tak samo równy i spokojny. Ale właśnie w tym momencie Duncan uniósł powieki i popatrzył na niego ze spokojem.

– Macbeth?

Przeniósł wzrok na sztylet.

– Wydawało mi się, że słyszę stąd jakieś o-o-odgłosy – wyjąkał Macbeth. – Musiałem sprawdzić.

– Moi ochroniarze...

– S-s-słyszałem, że chrapią.

Duncan przez chwilę nasłuchiwał. W końcu ziewnął.

– Dobrze, niech śpią. Widzę, że jestem tu bezpieczny. Dziękuję ci, Macbecie.

– I ja dzi-dziękuję, sir.

Macbeth ruszył w stronę drzwi. Już się nie unosił w powietrzu, ale uczucie ulgi, wręcz radości, rozlało się po całym jego ciele. Był zbawiony. Zbawił go komendant. Decyzja została podjęta. Lady może sobie mówić i robić, co chce, to już koniec. Pięć kroków. Wolną prawą ręką sięgnął do klamki.

W wypolerowanym mosiądzu dostrzegł jakiś ruch.

W świetle padającym przez szparę w drzwiach do łazienki zobaczył obraz zniekształcony jak w krzywym lustrze w wesołym miasteczku, jak w absurdalnym filmie – ujrzał, że komendant wyciąga coś spod poduszki i wymierza w jego plecy. Pistolet. Pięć kroków. Idealna odległość do rzutu. Macbeth zareagował instynktownie. Obrócił się. Był wytrącony z równowagi, więc sztylet opuścił jego rękę w chwili, gdy on sam ciągle był w ruchu.

9

To oczywiście Duff podszedł wtedy do dwóch dziewcząt i spytał, czy chciałyby się przysiąść do ich stolika. Macbeth ruszył do baru po piwo dla całej czwórki, a kiedy wrócił, usłyszał, jak Duff rozprawia o tym, że on i Macbeth są najlepsi z ostatniego rocznika w szkole policyjnej, ich przyszłość zapowiada się bardziej niż świetnie, więc dziewczyny powinny się nimi zainteresować dla własnego dobra. Śmiały się, a tej, która miała na imię Meredith, rozbłysły oczy, ale spuściła wzrok, gdy Macbeth usiłował pochwycić jej spojrzenie. Po zamknięciu baru Macbeth odprowadził Meredith pod samą bramę i został nagrodzony przyjaznym uściskiem ręki, a także numerem telefonu. Duff natomiast następnego dnia rano opisywał ze szczegółami, jak obsłużył jej koleżankę Ritę w wąskim łóżku bursy szkoły pielęgniarskiej.

Macbeth jeszcze tego samego dnia skorzystał z numeru telefonu, zadzwonił i drżącym głosem zaprosił Meredith na kolację.

Zamówił stolik w Lyonie i już na widok wymownego spojrzenia głównego kelnera zrozumiał, że popełnił głupstwo. Modny garnitur, którego pożyczenie zaproponował mu Duff, był za duży, musiał więc włożyć garnitur Banqua, o dwa numery za ciasny

i niemodny od dwudziestu lat. Na szczęście zrównoważyła to sukienka Meredith, uroda, spokój i obycie dziewczyny. Jedyną rzeczą, jaką Macbeth zrozumiał z menu po francusku, były ceny. Ale Meredith wytłumaczyła mu, czym są poszczególne dania, i powiedziała, że tacy już są Francuzi, nie potrafią przyjąć do wiadomości, że ich język przestał już być językiem światowym, a jednocześnie bardzo źle mówią po angielsku i nie chcą doznawać podwójnego upokorzenia, wychodząc na idiotów przy posługiwaniu się językiem rywala.

– Arogancja i niepewność często łączą się ze sobą – podsumowała Meredith.

– Ja mam w sobie dużo niepewności – wyznał Macbeth.

– Miałam na myśli twojego przyjaciela Duffa. Skąd ta niepewność?

Macbeth opowiedział o sobie. O sierocińcu. O Banqu i o Verze. O szkole policyjnej. Z Meredith rozmawiało się tak łatwo, że odczuł pokusę wyjawienia jej wszystkiego, a w momencie szaleństwa nawet tamtej sprawy z Lorrealem. Ale oczywiście o tym nie wspomniał. Meredith mówiła, że wychowała się w zachodniej części miasta, a jej rodzice, którzy dbali o to, żeby dzieciom niczego nie brakowało, wysuwali również żądania i mieli wobec nich wielkie ambicje, zwłaszcza jeśli chodziło o jej braci.

– Chroniona, uprzywilejowana i nudna – ciągnęła. – Wiesz, że nigdy nie byłam w Dystrykcie Dwa Wschód?

Śmiała się, gdy Macbeth nie chciał w to uwierzyć.

– Właśnie, że tak, naprawdę!

Po kolacji zabrał ją nad rzekę. Szli wyboistą drogą, mijając zniszczone domy, aż do mostu Penny, a gdy powiedział jej „dobranoc" przy bramie, Meredith pochyliła się i pocałowała go w policzek.

Kiedy wrócił na stancję, Duff jeszcze nie spał.

– Opowiadaj! – zażądał. – Powoli i ze szczegółami.

Dwa dni później. Kino. *Władca much.* Szli pod jednym parasolem. Meredith wsunęła mu rękę pod ramię.

– Jak to możliwe, żeby dzieci były tak okrutne i żądne krwi?

– A dlaczego dzieci miałyby być mniej okrutne niż dorośli?

– Przecież rodzą się niewinne!

– Niewinne i bez moralności. Ale czy pokojowa bierność nie jest czymś, co dorośli narzucają dzieciom, aby zaakceptowały swoje miejsce w społeczeństwie i pozwalały robić z sobą, co dorośli zechcą?

Całowali się w bramie. A w niedzielę zabrał ją na wycieczkę do lasu po drugiej stronie tunelu. W koszu piknikowym niósł przygotowany lunch.

– Umiesz gotować! – zawołała z zachwytem.

– Nauczyłem się od Banqua i Very. Przychodziliśmy zwykle właśnie w to miejsce.

Znów się całowali, Meredith zaczęła ciężko oddychać, a Macbeth wsunął jej dłoń pod bawełnianą sukienkę.

– Zaczekaj... – poprosiła.

Więc czekał. Wyciął serce w pniu wielkiego dębu, czubkiem sztyletu wyrył w nim ich imiona. Meredith i Macbeth.

– Już dojrzała – oświadczył Duff, kiedy Macbeth wrócił do domu i opowiedział mu, jak było. – W środę wybieram się do Rity, więc zaproś ją tutaj.

Macbeth otworzył butelkę wina i zapalił świece, kiedy Meredith zadzwoniła do drzwi. Był przygotowany. Ale nie na to, co się stało. Nie na to, że gdy tylko przekroczyła próg, od razu rozpięła mu pasek i włożyła rękę w spodnie.

– N-n-nie – powiedział.

Popatrzyła zdziwiona.

– Coś nie tak?

– P-p-przestań.

– Dlaczego się jąkasz?

– Bo n-n-nie chcę.

Zabrała rękę, policzki płonęły jej ze wstydu.

Później w milczeniu pili czerwone wino.

– Muszę jutro wcześnie wstać – oznajmiła w końcu. – Już niedługo egzamin i...

– Oczywiście.

Nie widzieli się przez trzy tygodnie. Macbeth wielokrotnie próbował do niej dzwonić, ale tych kilka razy, kiedy się połączył, zawsze odbierała Rita i mówiła, że Meredith nie ma w domu.

– Z tego, co rozumiem, ty i Meredith już się nie spotykacie? – spytał Duff.

– Nie.

– Ja też już nie chodzę z Ritą. Masz coś przeciwko temu, żebym umówił się z Meredith?

– Musisz spytać ją.

– Już pytałem.

Macbeth przełknął ślinę. Miał wrażenie, że na sercu zacisnęły mu się olbrzymie szpony.

– Tak? I co powiedziała?

– Zgodziła się.

– Naprawdę? I kiedy zamierzacie...

– Wczoraj. Umówiliśmy się tylko na kolację, ale... było bardzo miło.

Na drugi dzień Macbeth obudził się chory. Dopiero potem zrozumiał, czym jest ta nowa choroba i że nie ma lekarstwa na złamane serce. Trzeba to po prostu przecierpieć. Tak też się stało.

Cierpiał w samotności, nie wymawiając jej imienia przy nikim. Słyszał je jedynie stary dąb po zdrowej stronie tunelu. A po jakimś czasie objawy ustąpiły. Niemal całkowicie. I odkrył, że nieprawdą jest to, co powiadano, że człowiek może się prawdziwie zakochać tylko jeden jedyny raz. Ale w odróżnieniu od Meredith Lady była chorobą i lekarstwem w jednym. Pragnieniem i wodą. Tęsknotą i spełnieniem. A teraz jej głos docierał do niego zza morza, z drugiej strony nocy.

– Ukochany...

Macbeth płynął przez wodę i powietrze, przez światło i mrok.

– Obudź się!

Otworzył oczy. Leżał w łóżku. Ciągle musiała być noc, bo w pokoju było ciemno. Ale ta ciemność miała w sobie pewną ziarnistość, ledwie dającą się uchwycić szarość zapowiadającą świt.

– Nareszcie! – syknęła mu do ucha. – Gdzie byłeś?

– Gdzie byłem? – Macbeth ciągle próbował uchwycić się skrawka snu. – A nie byłem tutaj?

– Twoje ciało owszem, ale próbuję cię obudzić już od kilku godzin. Byłeś jak nieprzytomny. Co zrobiłeś?

Ciągle jeszcze chwytał się tego snu, ale nagle nie wiedział już, czy to był dobry sen, czy koszmar. Duncan... Wypuścił sen, obrazy wpadły w czerń.

– Twoje źrenice. – Lady mocno przytrzymała jego twarz dłońmi. – Zażyłeś coś, to dlatego!

Wyrwał się jej. Odwrócił się od niej, od światła.

– Potrzebowałem tego.

– Ale zrobiłeś to?

– To?

Mocno nim potrząsnęła.

– Macbeth, kochany, odpowiedz mi! Dokonałeś tego czynu, który mi obiecałeś?

– Tak! – jęknął i potarł twarz dłonią. – Nie. Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Mam go przed oczami, ze sztyletem wbitym w ciało, ale nie wiem, czy to się stało naprawdę, czy tylko mi się przyśniło.

– Na nocnej szafce leży czysty sztylet. Miałeś po zabiciu Duncana zostawić oba sztylety u ochroniarzy. Po jednym przy każdym z nich.

– Tak, tak, pamiętam.

– Czy ten drugi sztylet jest u nich? Weź się w garść!

– Nie śpij już! Macbeth zabija sen.

– Co?

– On tak powiedział. Albo mi się przyśniło.

– Musimy iść to sprawdzić.

Zamknął oczy, usiłował sięgnąć do snu w nadziei, że może tam znajdzie odpowiedź. Wolał to, niż tam wracać. Ale sen wymknął mu się z rąk. Kiedy znów otworzył oczy, zobaczył, że Lady stoi z uchem przy ścianie.

– Ciągle chrapią. Chodź! – Chwyciła sztylet z nocnego stolika.

Macbeth odetchnął głęboko. Niedługo przyjdzie dzień i przyniesie światło, które wszystko ujawni. Spuścił nogi z łóżka, zorientował się, że ciągle jest w ubraniu.

Wyszli na korytarz. Panowała głucha cisza. Goście w Inverness na ogół nie wstawali tak wcześnie.

Lady otworzyła drzwi do pokoju ochroniarzy. Weszli. Obaj ochroniarze spali w fotelach. Nigdzie jednak nie było widać żadnego sztyletu, żadnej krwi rozsmarowanej na garniturach i koszulach, jak zaplanowali.

– Wszystko tylko mi się przyśniło – szepnął Macbeth. – Chodźmy stąd.

– Nie! – syknęła Lady i skierowała się do drzwi między pokojem ochroniarzy a pokojem komendanta. Przełożyła sztylet do prawej ręki. Potem bez najmniejszego wahania szarpnięciem otworzyła drzwi i weszła do środka.

Macbeth czekał i nasłuchiwał.

Nic.

Podszedł do drzwi.

Przez okno sączyło się szare światło.

Lady stała po przeciwnej stronie łóżka, ze sztyletem uniesionym na wysokość ust. Rękojeść ściskała obiema dłońmi, a oczy miała szeroko otwarte z przerażenia.

W łóżku leżał Duncan. On też miał oczy otwarte, jakby wpatrywał się w coś przy drzwiach. Wszystko dookoła było zalane krwią. Kołdra, leżący na niej pistolet, ręka na pistolecie. I rękojeść sztyletu sterczącego jak hak z szyi Duncana.

– O ukochany – szepnęła Lady. – Mój mężu, mój bohaterze, mój zbawco, Macbecie!

Macbeth otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym momencie idealną niedzielną ciszę przerwał delikatny, lecz nieustępliwy odgłos dzwonka z dołu.

Lady spojrzała na zegarek.

– To Duff, miał wcześnie przyjść. Zejdź do niego, kochany, i zatrzymaj go, a ja się tutaj wszystkim zajmę.

– Masz trzy minuty – oświadczył Macbeth. – I nie dotykaj krwi. Już częściowo zakrzepła, więc zostaną na niej odciski palców, rozumiesz?

Lekko przechylając głowę, uśmiechnęła się do niego.

– Witaj. Nareszcie.

Zrozumiał, o co jej chodzi. Bo to się nareszcie pojawiło. Stan.

Duff, stojąc przed wejściem do Inverness, trząsł się z zimna, stęskniony za ciepłym łóżkiem Caithness. Już miał ponownie sięgnąć do dzwonka, kiedy drzwi się otworzyły.

– Sir, wejście do kasyna jest tam...

– Nie, nie. Przyszedłem po komendanta policji Duncana.

– A tak, rzeczywiście. Proszę wejść. Zaraz zadzwonię i przekażę, że pan przyszedł. Komisarz Duff, o ile się nie mylę?

Duff kiwnął głową. Rzeczywiście personel w Inverness był pierwsza klasa.

Osunął się na jeden z głębokich foteli.

– Nikt nie odbiera – poinformował go po chwili recepcjonista. – Ani u komendanta, ani u jego ochrony.

Duff spojrzał na zegarek.

– W którym pokoju nocował komendant?

– W dwieście trzynaście, sir.

– Ma pan coś przeciwko temu, że pójdę go obudzić?

– Ależ nie, proszę.

Duff już wchodził po schodach, gdy z góry zbiegła ku niemu znajoma postać.

– Dzień dobry, Duff! – zawołał Macbeth wesoło. – Jack, przynieś nam z kuchni mocnej kawy.

Recepcjonista wyszedł.

– Dziękuję, Macbecie, ale muszę iść po Duncana.

– Tak ci się spieszy? Nie przyszedłeś za wcześnie?

– Ustaliliśmy, że będziemy w domu o konkretnej godzinie, a przypomniało mi się, że przecież most Kennetha ciągle jest w remoncie, więc musimy pojechać naokoło przez Stary Most.

– Daj spokój! – Macbeth ze śmiechem ujął go pod ramię. – Przecież ona nie stoi w progu ze stoperem! Poza tym wyglądasz

na zmęczonego, więc jeśli masz zamiar prowadzić, musisz się napić kawy. Chodź, usiądziemy na chwilę.

– Dziękuję ci, przyjacielu, ale musimy to przełożyć na kiedy indziej.

– Może dzięki filiżance kawy ona nie wyczuje whisky w twoim oddechu.

– Zastanawiam się, czy nie zostać abstynentem, tak jak ty.

– Naprawdę?

– Alkohol skutkuje tylko trzema rzeczami: sinym nosem, snem i sikaniem. W wypadku Duncana sen jest najwyraźniejszy, więc muszę tam iść i...

Macbeth złapał go za rękę.

– Słyszałem też, że alkohol jest oszustem pożądania. Wzmaga żądzę, ale zmniejsza możliwości. Jak ci minęła noc? Opowiadaj! Powoli i ze szczegółami.

Duff uniósł brew. Powoli i ze szczegółami.

Czy Macbeth użył ich stałego zwrotu z czasów szkoły policyjnej, jedynie żartobliwie nawiązując do wspomnień, czy też coś wiedział? Nie, Macbeth nigdy nie mówił zagadkami, unikał labiryntów. Nie miał do tego cierpliwości ani umiejętności.

– Nie ma o czym opowiadać. Nocowałem u kuzyna.

– Tak? Nigdy mi nie mówiłeś, że masz jeszcze jakichś krewnych. Wydawało mi się, że dziadek był ostatni. No, jest już kawa. Postaw ją na stoliku, Jack. I spróbuj jeszcze raz zadzwonić do Duncana.

Duff, uspokojony zaangażowaniem recepcjonisty, pozwolił sprowadzić się ze schodów i chciwie sięgnął po filiżankę. Ale nie usiadł.

– Tak, tak, rodzina – westchnął Macbeth. – Źródło nieustających wyrzutów sumienia, prawda?

– Może i racja. – Duff sparzył się w język przy pierwszym łyku, więc teraz zaczął dmuchać na kawę.

– A co słychać u twojej rodziny? Dobrze im się mieszka w Fife?

– W Fife wszystkim się dobrze mieszka.

– Komendant Duncan wciąż nie odbiera telefonu, sir.

– Dziękuję, Jack. Po prostu cały czas próbuj. Wiele osób dzisiaj mocno śpi.

Duff odstawił filiżankę.

– Wiesz, chyba jednak najpierw pójdę go obudzić, dopiero potem wypiję kawę, żebyśmy mogli już jechać.

– Pójdę z tobą. Duncan ma pokój tuż obok nas. – Macbeth wypił łyk kawy, oblewając sobie przy tym dłoń i rękaw marynarki. – Ojej, masz jakąś serwetkę, Jack?

– Posłuchaj, ja tylko...

– Chwileczkę, chwileczkę, Duff. O, już. Dziękuję, Jack. Już idziemy.

Ruszyli po schodach na górę.

– Coś ci dolega? – spytał Duff.

– A dlaczego pytasz?

– Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś tak wolno chodził.

– Chyba coś sobie naciągnąłem w trakcie pościgu za ridersami.

– Hm.

– A co poza tym? Dobrze spałeś?

– Nie – odparł Duff. – To była straszna noc. Wiało, grzmiało i padało.

– Rzeczywiście, noc była straszna.

– Więc ty też nie spałeś?

– Nie, nie, spałem.

Duff spojrzał na niego zdziwiony.

– Kiedy najgorsza burza już się przewaliła – dodał Macbeth. – To tutaj.

Duff zapukał. Odczekał chwilę i zapukał jeszcze raz, tym razem mocniej. Chwycił za klamkę. Drzwi okazały się zamknięte na klucz. Odniósł dziwne wrażenie, że coś jest nie tak.

– Macie jakiś klucz uniwersalny?

– Zejdę na dół, spytam Jacka – powiedział Macbeth.

– Jack! – krzyknął Duff, a potem wrzasnął jeszcze raz z całej siły płuc: – Jack!

Po kilku sekundach nad schodami pojawiła się głowa recepcjonisty.

– Słucham, sir.

– Ma pan klucz uniwersalny?

– Mam, sir.

– A więc proszę przyjść tu i natychmiast otworzyć te drzwi.

Recepcjonista, kołysząc się na boki, podbiegł do nich drobnymi kroczkami, wyjął z kieszeni klucz, włożył go w zamek i przekręcił.

Duff otworzył drzwi.

Wszyscy trzej znieruchomieli. Pierwszy odezwał się recepcjonista:

– Panie Jezu!

* * *

Macbeth przyglądał się zwłokom Duncana, czując próg wbijający mu się w stopę. Usłyszał, że Duff zbił szkiełko alarmu przeciwpożarowego, który natychmiast zaczął wyć.

Lady usunęła sztylet wbity z prawej strony w szyję Duncana i zadała mu jeszcze jeden dodatkowy cios z lewej. A z kołdry zniknął pistolet. Ale poza tym wszystko wyglądało tak jak kilka minut temu.

– Jack! – Duff przekrzyczał wycie alarmu. – Proszę wyprowadzić wszystkich z pokoi i zebrać ich w recepcji. Ani słowa o tym, co pan tu widział, jasne?

– Ja-jasne, sir.

W korytarzu otwierały się już kolejne drzwi. Z tych najbliższych wyłoniła się Lady. Bosa, w szlafroku.

– Co się dzieje, kochany? Pali się?

Była świetna. Wrócili do planu, Macbetha wciąż nie opuszczał Stan i poczuł w tej sekundzie, w tym właśnie momencie, kiedy dookoła pozornie panował chaos, że wszystko jest na swoim miejscu. Właśnie w tej chwili on i kobieta, którą kochał, byli niepokonani. Właśnie w tej chwili rządzili wszystkim: miastem, przeznaczeniem, torami, po których krążą gwiazdy. I poczuł teraz, że to odurza równie mocno jak to, co miał mu do zaoferowania Hekate.

– Gdzie są, u diabła, jego ochroniarze? – zawołał wściekły Duff.

To nie dla Duffa zaplanowali rolę świadka tego, co miało się stać, lecz dla któregoś z pozostałych, bardziej zagubionych i strachliwych gości nocujących w hotelu, których umieścili w pobliskich pokojach, na przykład dla Malcolma. Ale teraz, gdy Duff stał tutaj, trudno było wymyślić mu inną rolę.

– Wejdź tu, kochana – poprosił Macbeth. – Ty również, Duff. – Popchnął ich lekko przed sobą do pokoju Duncana i zamknął drzwi. Z kabury przy pasku wyjął służbowy pistolet. – Posłuchajcie mnie teraz uważnie. Drzwi były zamknięte na klucz, bez jakichkolwiek śladów włamania. Uniwersalny klucz do tego pokoju ma jedynie Jack...

– I ja – wtrąciła Lady. – Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Oprócz tego jest tylko jedna możliwość. – Macbeth wskazał drzwi do sąsiedniego pokoju.

– Jego ochroniarze? – Lady, przerażona, zakryła usta dłonią.

Macbeth załadował pistolet.

– Wejdę tam sprawdzić.

– Idę z tobą – oświadczył Duff.

– Nigdzie nie idziesz. To moja działka, nie twoja.

– Mimo wszystko wybieram...

– Wybierasz to, co jest zgodne z rozkazem, komisarzu Duff.

Macbeth dostrzegł najpierw zdumienie na twarzy Duffa, a później zauważył, że tamten powoli zrozumiał: szef Pezetu miał wyższą rangę niż szef Wydziału Zabójstw.

– Zaopiekuj się moją kobietą, dobrze, Duff?

Nie czekając na odpowiedź, Macbeth pchnął drzwi do przyległego pokoju, wszedł tam i zamknął drzwi za sobą.

Ochroniarze wciąż leżeli wyciągnięci w fotelach. Jeden coś wymamrotał, może wycie alarmu zaczęło przenikać przez zasłonę mocnych leków nasennych. Macbeth klepnął go w policzek wierzchem dłoni.

Jedno oko lekko się uchyliło. Spojrzenie omiotło pokój i zatrzymało się na Macbecie. Ochroniarz przez chwilę mu się przyglądał, po czym spojrzał na siebie.

Andrianov zarejestrował, że jego czarna marynarka i biała koszula są całe we krwi, dopiero wtedy poczuł, że czegoś mu brakuje. Ciężaru broni. Wsunął rękę pod marynarkę i zanurzył ją w kaburze, ale palce zamiast pistoletu służbowego dotknęły zimnej, ostrej stali ostrza i czegoś lepkiego. Ochroniarz wyjął rękę i przyjrzał się jej... Krew? Ciągle mu się coś śniło? Jęknął. Jakaś część mózgu uchwyciła coś, co zinterpretowała jako sygnał zagrożenia, więc rozpaczliwie usiłował się opanować, rozejrzał się odruchowo i w końcu na podłodze przy fotelu dostrzegł służbowy pistolet. Zobaczył, że broń jego kolegi również leży na podłodze przy fotelu, na którym tamten najwyraźniej spał.

– Co... – mruknął Andrianov, patrząc wprost w lufę pistoletu w rękach stojącego przed nim mężczyzny.

– Policja! – zawołał tamten. To był on, Macbeth. Nowy szef wydziału... wydziału... – Trzymaj broń tak, żebym mógł ją widzieć, bo inaczej cię zastrzelę!

Andrianov mrugał zdezorientowany. Dlaczego czuł się tak, jakby leżał w bagnie? Czego się najadł?

– Nie celuj we mnie tym pistoletem! – krzyknął Macbeth. – Nie...

Jakiś głos szeptał Andrianovowi, że nie powinien sięgać po leżącą na podłodze broń. Że jeśli będzie siedział nieruchomo, ten człowiek do niego nie strzeli. Ale szept nie pomógł. Może wszystkie godziny, dni i lata spędzone w ochronie uczyniły z tego instynkt, działanie niepoddające się już sile woli – chronić, nie myśląc o własnym życiu – a może po prostu taki już miał charakter, może właśnie dlatego zgłosił się do takiej służby.

Andrianov zdążył jeszcze wyciągnąć rękę do pistoletu, zanim jego rozważaniom i życiu położyła kres kula, która przebiła jego czoło, mózg i oparcie fotela, a zatrzymała się dopiero w zetknięciu ze ścianą pokrytą tapetą ze złotogłowiu, którą Lady sprowadziła z Paryża, płacąc za nią majątek. Huk wystrzału sprawił, że ciało kolegi Andrianova gwałtownie drgnęło, ale nie zdążył się obudzić, bo i jego czoło przeszyła kula.

Kiedy z sąsiedniego pokoju dobiegł pierwszy strzał, Duff rzucił się do drzwi, ale Lady go powstrzymała.

– On mówił, żebyś nie...

Huknął drugi strzał i Duff się wyrwał. Gwałtownie szarpnął drzwi i wpadł do pokoju ochroniarzy. Zatrzymał się na środku i rozejrzał. Dwóch mężczyzn w fotelach, a każdy miał na czole trzecie oko.

– Norse Riders. – Macbeth wsunął dymiący pistolet do kabury. – To Sweno za tym stoi.

Na korytarzu rozległy się krzyki, ktoś zaczął walić do drzwi wychodzących na korytarz.

– Wpuść ich! – polecił Macbeth.

Duff usłuchał.

– Co tu się dzieje? – Malcolm z trudem łapał oddech. – Dobry Boże, czy oni... Kto?

– Ja – odparł Macbeth.

– Wyciągnęli broń – dodał Duff.

Wzrok zdezorientowanego Malcolma przeskoczył od Duffa z powrotem na Macbetha.

– Na ciebie? Dlaczego?

– Ponieważ chciałem ich aresztować – wyjaśnił Macbeth.

– Za co? – spytał Lennox.

– Za zabójstwo.

– Sir. – Duff spojrzał na Malcolma. – Obawiam się, że mamy złe wieści.

Zobaczył, jak oczy Malcolma przesłonięte kanciastymi okularami się zwężają, a jednocześnie zastępca komendanta wychylił się nieco w przód niczym bokser szykujący się na cios, którego nie widzi, lecz który mimo wszystko przeczuwa. W drzwiach prowadzących do sąsiedniego pokoju pojawiła się jakaś postać. Wszyscy się do niej odwrócili.

– Komendant Duncan nie żyje – oznajmiła Lady. – Zginął we śnie, od ciosów nożem.

To ostatnie zdanie kazało Duffowi odruchowo spojrzeć na Macbetha. Nie dlatego, by mówiło coś, czego by jeszcze nie wiedział, ale zabrzmiało jak echo tego samego zdania wypowiedzianego przed laty w pewien wczesny poranek w jadalni w sierocińcu.

Ich spojrzenia na krótki moment się spotkały, lecz zaraz obaj odwrócili głowy.

CZĘŚĆ II

10

Rankiem w dniu, gdy w Inverness znaleziono zamordowanego komendanta Duncana, Lady po raz drugi w historii kasyna kazała natychmiast opróżnić je z gości, a na drzwiach wejściowych wywiesić tabliczkę z napisem *ZAMKNIĘTE*.

Caithness przybyła ze wszystkimi ludźmi z Wydziału Techniki Kryminalistycznej, jacy tylko byli w stanie chodzić, i zabroniła wstępu na całe piętro.

Pozostali policjanci uczestniczący poprzedniego dnia w przyjęciu zgromadzili się wokół dużego stołu do ruletki w pustym salonie gier.

Duff obserwował zastępcę komendanta policji Malcolma, który zasiadł u szczytu prowizorycznego stołu konferencyjnego. Malcolm zdjął okulary, może aby je przetrzeć, w każdym razie to właśnie robił, wpatrując się sztywno w zielony filc, jak gdyby tam mógł znaleźć odpowiedzi na wszystkie pytania. Malcolm górował nad pozostałymi wzrostem, a Duff niekiedy zastanawiał się, czy przyczyną nieustannego garbienia się zastępcy komendanta nie jest przypadkiem to, iż będąc jedynym urzędnikiem wśród ludzi, którzy mają praktyczne doświadczenie policyjne, czuje, że stąpa po kruchym lodzie i odruchowo pochyla się, by wyłapać każdą

radę, każdą wypowiadaną szeptem podpowiedź. A bladość Malcolma wynikała zapewne nie tylko z wielu drinków wypitych przy barze poprzedniego wieczoru, lecz również z faktu, iż nagle stał się pełniącym obowiązki komendanta policji w mieście.

Malcolm chuchnął na okulary i dalej je czyścił. Nie podnosił wzroku. Jakby nie miał odwagi napotkać skierowanych na niego spojrzeń kolegów, którzy czekali, aż zabierze głos.

Być może Duff oceniał go zbyt surowo. Wszyscy wiedzieli, że w pracy przy rzeźbieniu programu Duncana Malcolm był zarówno dłutem, jak i młotkiem. Ale czy będzie umiał nimi pokierować? Pozostali zebrani wokół stołu do ruletki mieli za sobą lata doświadczenia w dowodzeniu poszczególnymi wydziałami w komendzie, Malcolmowi natomiast dni upływały na bieganiu z pochylonymi plecami dwa kroki za Duncanem, jakby był kimś w rodzaju przepłacanego asystenta.

– Moi panowie – odezwał się wreszcie Malcolm, nie odrywając oczu od zielonego filcu. – Odszedł wielki człowiek. Tylko tyle zamierzam powiedzieć o Duncanie w tej chwili. – Założył okulary, podniósł głowę i powiódł wzrokiem wokół stołu. – Jako komendant policji nie pozwoliłby nam w takiej sytuacji popaść w sentymentalizm i rozpacz, żądałby, abyśmy zrobili to, co nakazuje nam nasza rola policjantów, czyli znaleźli winnego albo winnych i wsadzili ich za kratki. Czas na łzy i uczczenie jego pamięci przyjdzie później. Zaczniemy to zebranie od zaplanowania i skoordynowania naszych pierwszych działań. Następna narada odbędzie się w Komendzie Głównej o szóstej po południu. Proponuję, aby pierwszą rzeczą, jaką zrobicie po odejściu od tego stołu, było zadzwonienie do żon czy tego rodzaju osób...

Spojrzenie Malcolma zawadziło o Duffa, ale ten nie potrafił stwierdzić, czy kryje się w nim jakaś aluzja.

– ...i powiadomienie ich, że przez jakiś czas nie wrócicie do domu. – Malcolm zawiesił głos. – Ponieważ najpierw musicie się zająć schwytaniem człowieka, który odebrał nam komendanta Duncana. – Dłuższa przerwa. – Duff, ty kierujesz Wydziałem Zabójstw. Chcę za godzinę dostać wstępny raport, włącznie z informacjami o tym, co ludzie Caithness znaleźli albo czego nie znaleźli w miejscu zdarzenia.

– Tak jest.

– Lennox, życzę sobie, aby sprawdzono wszystko, co ma związek z ochroniarzami, i prześledzono ich ruchy przed zabójstwem. Gdzie byli, z kim rozmawiali, co kupowali, operacje na kontach bankowych, wnikliwe przesłuchania rodziny i bliskich przyjaciół. Masz do dyspozycji wszelkie środki, jakimi dysponujemy.

– Dziękuję, sir.

– Macbecie, ty już wiele zrobiłeś w tej sprawie, ale potrzeba mi czegoś więcej. Sprawdź, czy Pezet może połączyć to zabójstwo z jakimiś dużymi graczami. Oceń, dla kogo pozbycie się Duncana jest najbardziej korzystne.

– Czy to nie oczywiste? – spytał Macbeth. – Wrzuciliśmy narkotyki Swena do fiordu, zabiliśmy dwóch członków Norse Riders, a połowę pozostałych aresztowaliśmy. To zemsta Swena i...

– To wcale nie jest oczywiste – przerwał mu Malcolm.

Odpowiedzią były zaskoczone spojrzenia.

– Sweno mógł wiele zyskać na kontynuacji projektu Duncana. – Malcolm przesunął po stole kilka żetonów, które zostały na filcu po pospiesznej ewakuacji. – Jaka była pierwsza obietnica złożona przez Duncana temu miastu? Że rozprawi się z Hekate. A teraz, po zadaniu ciosu Norse Ridersom, Duncan skupiłby wszelkie działania policji właśnie na tym. A gdyby mu się udało, jaki byłby efekt?

– Oczyściłby rynek i Sweno mógłby mieć swój wielki comeback – odparł Lennox.

Malcolm pokiwał głową.

– Doprawdy? – obruszył się Macbeth. – Rzeczywiście uważasz, że żądny zemsty Sweno myśli aż tak racjonalnie?

Malcolm leciutko uniósł brew.

– To człowiek z klasy robotniczej, nieposiadający wykształcenia, który bez niczyjej pomocy przez ponad trzydzieści lat prowadził jeden z najbardziej dochodowych interesów w mieście, a ty się pytasz, czy on myśli racjonalnie? Czy moim zdaniem jest w stanie powściągnąć żądzę zemsty w sytuacji, gdy chodzi o dobro jego interesów?

– Czyli że to Hekate zarobi najwięcej na usunięciu Duncana – powiedział Duff. – Zakładasz więc, że on za tym stoi?

– Niczego nie zakładam, ale, jak wiemy, głośno dyskutowano o ekstremalnym nacisku, jaki Duncan kładł na unieszkodliwienie Hekate, więc zapewne Hekate sądzi, że ktokolwiek inny na stanowisku komendanta policji będzie lepszy.

– Zwłaszcza jeśli będzie to ktoś, na kogo Hekate ma haka – wtrącił Duff. Natychmiast zorientował się, co insynuuje, i aż zamknął oczy. – Przepraszam cię, Malcolmie, nie chciałem...

– W porządku – odparł Malcolm. – Tu wolno nam myśleć i mówić swobodnie. A to, co mówisz, zgadza się również z moją oceną. Niewykluczone, że Hekate przypuszcza, że będzie mu łatwiej za moich rządów niż za Duncana. Pokażmy mu więc, że się myli. – Malcolm przesunął wszystkie żetony na czarne pole. – A więc Hekate to nasza wstępna robocza hipoteza. Ale miejmy nadzieję, że o szóstej będziemy wiedzieć więcej. Do roboty.

Banquo czuł, że sen się oddala. Że oddalają się senne majaki. Że oddala się Vera. Zamrugał. Czy obudziły go kościelne dzwony?

Nie, ktoś był w pokoju. Ktoś siedział przy oknie i wpatrywał się w oprawioną w ramki fotografię.

– Masz kaca? – padło pytanie.

– Macbeth? W jaki sposób...

– Fleance mnie wpuścił. Widziałem, że odziedziczył mój pokój. Łącznie ze sztybletami, które mi kupiłeś.

– Która godzina?

– A ja myślałem, że buty z czubami już dawno wyszły z mody.

– Dlatego je zostawiłeś. Ale Fleance włoży na siebie cokolwiek, jeśli tylko wie, że należało do ciebie.

– Wszędzie książki i przybory szkolne. Jest pilny, ma odpowiednie nastawienie, żeby dojść na szczyt.

– Rzeczywiście, nie odpuszcza.

– Ale, jak wiemy, to nie zawsze wystarczy, bo na kawałek tortu jest więcej chętnych. Pozostaje więc kwestia wykorzystania okazji. Poza tym zdolności i odwagi, aby uderzyć, gdy odpowiednia okazja się nadarzy.

Macbeth wziął do ręki zdjęcie. Fleance i Banquo pod martwą jabłonią. I padający na nich cień fotografa.

– O co chodzi? – Banquo potarł twarz. Rzeczywiście miał kaca, Macbeth się nie mylił.

– Duncan nie żyje.

Banquo opuścił ręce na kołdrę.

– Co ty wygadujesz?

– Ochroniarze wbili mu noże w szyję, kiedy nocował w Inverness.

Banquo poczuł mdłości i musiał kilka razy głęboko odetchnąć, żeby nie zwymiotować.

– I to jest właśnie taka okazja – ciągnął Macbeth. – Rozdroże. Z tego punktu jedna droga prowadzi do piekła, a druga do nieba. Przyszedłem spytać, którą chcesz pójść.

– O czym ty mówisz?

– Chcę wiedzieć, czy pójdziesz za mną.

– Już na to odpowiedziałem. Twierdząco.

Macbeth odwrócił się do niego z uśmiechem.

– I mówisz to, nie pytając, czy moja droga prowadzi do nieba, czy do piekła? – Twarz miał bladą, źrenice nienormalnie zwężone. Banquo uznał, że to na pewno z powodu ostrego porannego światła, bo gdyby nie znał Macbetha, pomyślałby, że ten znów zaczął coś brać. Ale w momencie, gdy chciał całkiem odsunąć tę myśl od siebie, pewność zalała go jak lodowata fala.

– To ty? – spytał. – To ty go zabiłeś?

Macbeth przechylił głowę, bacznie obserwując Banqua. Przyglądał mu się uważnie, tak jak się bada spadochron przed skokiem albo kobietę, zanim się ją pocałuje pierwszy raz.

– Tak – odparł. – Zabiłem Duncana.

Banquo nie mógł złapać tchu. Zacisnął powieki. Miał nadzieję, że Macbeth, że to zniknie, kiedy je znów otworzy.

– I co teraz?

– Teraz muszę zabić Malcolma – usłyszał słowa Macbetha. – To znaczy, ty go musisz zabić.

Banquo otworzył oczy.

– Dla mnie – powiedział Macbeth. – I dla mojego następcy tronu, Fleance'a.

11

Banquo siedział w słabo oświetlonej piwnicy, słuchając kroków Fleance'a, krążącego po domu. Chłopak wybierał się do miasta.

Spotkać się z przyjaciółmi. Może z dziewczyną. To by było dla niego najlepsze.

Banquo przesunął w palcach łańcuch.

Dał Macbethowi swoją zgodę. Dlaczego? Dlaczego tak łatwo przekroczył tę granicę? Czy to z powodu zapewnień Macbetha, że jest z ludu, z ludem i dla ludu, inaczej niż człowiek z wyższych sfer jak Malcolm, który nigdy nie mógłby taki być? Nie. Zrobił to, bo po prostu synowi się nie odmawia. A już na pewno, gdy chodzi o dwóch synów.

Macbeth nazwał to pójściem za głosem przeznaczenia, utorowaniem drogi prowadzącej do gabinetu komendanta policji.

Nie wspomniał, że mózgiem całej tej akcji była Lady. Nie musiał. Banquo wiedział, że Macbeth preferuje proste plany. Niewymagające zbyt wiele myślenia w sytuacjach krytycznych. Banquo zamknął oczy. Próbował sobie wyobrazić, jak Macbeth obejmuje stanowisko komendanta i rządzi niczym jedynowładca, jak Kenneth, ale kierując się szczytnym celem uczynienia z miasta miejsca dobrego do życia dla wszystkich jego mieszkańców. Jeśli niezbędne są drastyczne posunięcia, na nic demokratyczna ospałość i naiwność. Potrzeba silnej, sprawiedliwej ręki. A potem, kiedy Macbeth już się zestarzeje, stery przejmie Fleance. Banquo nie będzie już wtedy żył, szczęśliwie umrze ze starości.

Może właśnie dlatego nie potrafił sobie tego wyobrazić.

Usłyszał trzaśnięcie drzwi wejściowych.

Ale to oczywiste, wyobrażenie sobie takich wizji zawsze wymaga czasu.

Włożył rękawiczki.

Było wpół do szóstej, deszcz bębnił o bruk i przednią szybę sunącego ulicami miasta chevroleta chevelle 454 SS. Malcolm miał świadomość, jakim idiotyzmem jest posiadanie masywnego

pochłaniacza benzyny w samym środku kryzysu naftowego, i chociaż auto kupił używane, za rozsądne, jak uważał, pieniądze, to nie najlepiej wypadł w dyskusji na temat odpowiedzialności społecznej. Najpierw ze swoją proekologicznie myślącą córką, a następnie z Duncanem, który podkreślał znaczenie okazywania umiaru przez osoby na wysokich stanowiskach. Malcolm w końcu wyznał szczerą prawdę: od chłopięcych lat kochał te amerykańskie wynaturzone potwory, na co Duncan stwierdził, iż to przynajmniej pokazuje, że wykształceni ekonomiści również są ludźmi.

Wpadł na chwilę do domu, wziął prysznic i zmienił ubranie. Na szczęście droga nie zajęła mu zbyt dużo czasu, ponieważ była niedziela, a co za tym idzie, ruch niewielki. Przed wejściem do komendy czekała duża grupa dziennikarzy, liczących zapewne na jakieś nadzwyczajne oświadczenie albo zdjęcia lepsze niż te z konferencji prasowej o wpół do ósmej. Burmistrz Tourtell już się wypowiadał w telewizji. „Niepojęte", „tragedia", „w myślach łączymy się w bólu z rodziną" i „miasto musi się zjednoczyć w walce przeciwko złym siłom" – przekazał tylko tyle, ale użył do tego o wiele więcej słów. W porównaniu z jego wypowiedzią komentarz Malcolma, proszącego prasę o zrozumienie i wstrzymanie się z pytaniami do konferencji prasowej, ponieważ teraz całkowicie skupia się na śledztwie, wydawał się wręcz minimalistyczny.

Malcolm zjechał po rampie do podziemnego garażu, skinieniem głowy powitał strażnika, który otworzył mu szlaban, i wtoczył się do środka. Odległość z miejsca parkingowego do windy była proporcjonalna do pozycji w policyjnej hierarchii, ale dopiero stanąwszy na dotychczas zajmowanym miejscu, Malcolm uświadomił sobie, że formalnie mógł zaparkować na tym, z którego do windy było najbliżej.

Już miał wyciągnąć kluczyk ze stacyjki, gdy uchyliły się tylne drzwi po stronie pasażera i ktoś bezszelestnie wśliznął się na siedzenie. Malcolmowi po raz pierwszy od śmierci Duncana przyszła do głowy myśl, że na stanowisku komendanta policji ma się nie tylko bliżej z parkingu do windy, lecz bliższe staje się również zagrożenie życia. Że śmierć może przyjść w każdej chwili, w każdym miejscu, a poczucie bezpieczeństwa jest przywilejem tych, którzy parkują samochody znacznie dalej.

– Niech pan włączy silnik – usłyszał polecenie z tylnego siedzenia.

Malcolm spojrzał w lusterko. Ten człowiek umiał poruszać się szybko i bezszelestnie, należało więc przyznać, że Gwardia najwyraźniej nie zaniedbuje treningów.

– Coś nie tak, Banquo?

– Owszem, sir. Odkryliśmy plany zamachu na pana.

– Tu, w Komendzie Głównej?

– Tak. Proszę wyjechać spokojnie, musimy się stąd oddalić. Nie wiemy jeszcze dokładnie, kto jest zamieszany w spisek. Ale podejrzewamy, że to te same osoby, które zabiły Duncana.

Malcolm wiedział, że powinien się bać. I rzeczywiście bał się. Ale nie tak bardzo, jak potrafił się bać. Często sytuacje wręcz trywialne – kiedy stał wysoko na drabinie lub gdy otoczył go rój rozwścieczonych os – wywoływały u niego żałosną panikę. Ale teraz, podobnie jak rano, sytuacja jakby nie dopuszczała tego rodzaju strachu – wręcz przeciwnie, zaostrzała zdolność szybkiego racjonalnego myślenia, umacniała zdecydowanie i w sumie paradoksalnie go uspokajała.

– Jeśli rzeczywiście tak jest, to skąd mogę wiedzieć, że nie jesteś jednym z nich, Banquo?

– Gdybym chciał pana zabić, już by pan nie żył, sir.

Malcolm pokiwał głową. Coś w tonie Banqua powiedziało mu, że ten niższy od niego, a przy tym o wiele starszy mężczyzna przypuszczalnie byłby w stanie uśmiercić go gołymi rękami, gdyby tylko zechciał.

– Dokąd więc jedziemy?

– Do portu kontenerowego, sir.

– A dlaczego nie do domu, do...

– Myślę, że nie chce pan ładować rodziny w ten pasztet, sir. Wyjaśnię, kiedy już będziemy na miejscu. Proszę jechać. Ja się trochę zniżę na siedzeniu, lepiej, żeby nikt mnie nie zobaczył i nie zrozumiał, że został pan poinformowany.

Malcolm wyjechał z garażu, gestem odpowiedział na skinienie głową strażnika, który nie zdążył jeszcze opuścić szlabanu, i znów znalazł się na deszczu.

– Mam zebranie za...

– Ktoś pana zastąpi, sir.

– A konferencja prasowa?

– Tam również. Teraz musi pan myśleć wyłącznie o sobie. I o swojej córce.

– O Julii? – Malcolm mimo wszystko poczuł panikę.

– Jest pod dobrą opieką. Proszę jechać. Zaraz tam będziemy.

– I co dalej?

– Zrobimy to, co musimy zrobić.

Pięć minut później wjechali do portu kontenerowego przez bramę, która przez ostatnie lata stała otwarta, ponieważ próby zamykania portu przed bezdomnymi i złodziejami skutkowały jedynie niszczeniem płotów i zamków.

Była niedziela, na nabrzeżu pusto.

– Proszę się zatrzymać za tamtym magazynem – polecił Banquo.

Malcolm usłuchał. Zaparkował przy stojącym tam już volvie PV.

– A teraz podpisać to. – Banquo przez szparę między siedzeniami podał Malcolmowi kartkę i długopis.

– A co to jest? – spytał zastępca komendanta.

– Kilka linijek wystukanych na pańskiej maszynie do pisania – wyjaśnił Banquo. – Proszę czytać na głos.

– *Norse Ridersi zagrozili, że zabiją moją córkę...* – Malcolm urwał.

– Dalej! – nakazał Banquo.

Malcolm odkaszlnął i czytał dalej:

– *...moją córkę Julię, jeśli nie będę z nimi współpracował w zamachu na komendanta Duncana. Ale teraz, kiedy już mają na mnie haka, domagają się kolejnych przysług. Zdaję więc sobie sprawę, że póki żyję, moja córka nie jest bezpieczna. Właśnie z tej przyczyny, a także ze wstydu spowodowanego tym, co zrobiłem, postanowiłem się utopić.*

– Rzeczywiście tak to wygląda – powiedział Banquo. – W istocie tylko podpis na tym liście może ocalić życie pańskiej córki.

Malcolm odwrócił się do siedzącego z tyłu Banqua. Spojrzał wprost w lufę pistoletu w obciągniętej rękawiczką dłoni.

– Nie było żadnego spisku. Okłamałeś mnie.

– I tak, i nie – odparł Banquo.

– Zwabiłeś mnie tutaj, żeby mnie zabić i wrzucić do tego kanału?

– Sam się pan utopi, tak jak mówi list.

– Dlaczego miałbym...

– Ponieważ innym rozwiązaniem jest strzelenie panu w głowę i odwiezienie do domu, a wtedy list pożegnalny będzie wyglądał tak... – Banquo wręczył Malcolmowi inną kartkę. – Tylko koniec jest zmieniony.

– *...ale dopóki ja i moja córka żyjemy, to zagrożenie zawsze będzie istniało. Dlatego postanowiłem, że oboje umrzemy, aby oszczędzić*

córce wstydu z powodu tego, co zrobiłem, i życia w nieustannym lęku.

Malcolm zamrugał. Rozumiał te słowa, bo układały się w sensowne zdania, lecz mimo to musiał je przeczytać jeszcze raz.

– Pozostaje tylko podpis. – Głos Banqua zabrzmiał wręcz pocieszająco.

Malcolm zamknął oczy. W samochodzie było tak cicho, że słyszał zgrzyt sprężyny cyngla. Potem otworzył oczy, sięgnął po długopis i podpisał się na pierwszym liście.

Na tylnym siedzeniu zabrzęczał metal.

– Proszę – powiedział Banquo. – To do obwiązania się w pasie pod płaszczem.

Malcolm zobaczył, że Banquo podaje mu łańcuchy na koła. Obciążnik.

Wziął je od niego i przepasał się nimi, ale jego mózg cały czas pracował nad znalezieniem jakiegoś rozwiązania.

– Muszę sprawdzić. – Banquo mocniej zacisnął łańcuchy. Potem umocował na nich kłódkę, którą zamknął. Na siedzeniu pasażera położył podpisany list, a na nim kluczyk – do kłódki, jak przypuszczał Malcolm.

– Idziemy – zakomenderował Banquo.

Wysiedli na deszcz. Banquo, szturchając Malcolma pistoletem, skierował go na skraj odchodzącego od głównej kei nabrzeża, biegnącego nad wąskim kanałem. Po obu stronach kontenery wznosiły się jak ściany. Nawet gdyby ktoś szedł główną drogą, nie zdołałby ich zauważyć.

– Tu się zatrzymamy – polecił Banquo.

Malcolm zapatrzył się w dal na czarną, zupełnie płaską powierzchnię morza, smaganą jedynie deszczem. Spuścił wzrok

i spojrzał na pokrytą warstwą oleju zielonkawoczarną wodę, a potem się odwrócił i wbił wzrok w Banqua.

A ten uniósł pistolet.

– Niech pan skacze, sir.

– Nie wyglądasz na kogoś, kto ma zamiar zabić, Banquo.

– Z całym szacunkiem, sir, ale nie przypuszczam, żeby pan wiedział, jak tacy ludzie wyglądają.

– Masz rację. Chociaż na ludziach znam się całkiem nieźle.

– Już niedługo.

Malcolm rozłożył ręce na boki.

– No to mnie wepchnij.

Banquo oblizał wargi. Inaczej chwycił pistolet.

– I co, Banquo? Musisz mi pokazać, że masz w sobie zabójcę.

– Ma pan zimną krew jak na cywila, sir.

Malcolm znów opuścił ręce.

– Tylko dlatego, że wiem coś o stracie, Banquo. Tak samo jak ty. Nauczyłem się, że jesteśmy w stanie znieść stratę większości rzeczy, jakie mamy. Ale jest też kilka takich, których straty nie wytrzymujemy, bo niszczy ona nasze istnienie jeszcze bardziej, niż gdybyśmy sami pożegnali się z życiem. Wiem, że straciłeś żonę przez chorobę, którą to miasto zsyła na swoich mieszkańców.

– Tak? A skąd pan to wie?

– Ponieważ Duncan mi o tym powiedział. A powiedział mi dlatego, że moją pierwszą żonę zabrała ta sama choroba. Rozmawialiśmy o tym, co możemy zrobić, by stworzyć miasto, w którym takie rzeczy się nie zdarzają. Gdzie nawet najpotężniejsi przemysłowcy muszą odpowiadać za popełnione przestępstwa. Gdzie zabójstwo to zabójstwo, bez względu na to, czy popełnione z bronią w ręku, czy przez zatruwanie gazem mieszkańców, aż oczy im żółkną i aż zaczynają śmierdzieć trupem.

– A więc pan stracił już to, czego nie można odżałować?

– Nie. Kiedy straci się żonę, życie ciągle zachowuje sens. Ponieważ ma się dziecko. Córkę. Syna. To straty naszych dzieci nie da się wytrzymać, Banquo. Jeśli umierając teraz, ocalę Julię, to niech tak będzie, uważam, że warto. A po mnie i po Duncanie przyjdą inni. Możesz mi nie wierzyć, ale na tym świecie jest pełno ludzi, którzy chcą dobra, Banquo.

– A kto decyduje o tym, co jest dobre? Pan i inne szychy?

– Spytaj swojego serca, bo mózg cię oszuka. Spytaj serca.

Malcolm zobaczył, że Banquo przestępuje z nogi na nogę. W ustach mu zaschło, już chrypiał.

– Możecie nam doczepić tyle łańcuchów, ile wam się podoba, i nic wam z tego nie przyjdzie, bo i tak wypłyniemy. Dobro potrafi utrzymać się na powierzchni. Przysięgam, wypłynę gdzieś i ujawnię twoje zbrodnie.

– One nie są moje.

– Zbrodnie Hekate. Twoje. Płyniecie w tej samej łodzi i obaj wiemy, jaką rzekę przetnie ta łódź i gdzie niedługo skończycie.

Banquo z namysłem pokiwał głową.

– Hekate – powiedział. – No właśnie.

– Słucham?

Banquo jakby wpatrywał się w punkt na czole Malcolma.

– Ma pan rację, sir. Pracuję dla Hekate.

Malcolm usiłował zrozumieć, co oznacza lekki uśmiech Banqua. Po jego twarzy spływała woda, jakby płakał. Czyżby się wahał? Malcolm wiedział, że musi dalej mówić i nakłonić do mówienia swojego oprawcę, bo każde słowo o sekundę wydłużało mu życie. Odrobinę zwiększało prawdopodobieństwo, że Banquo zmieni decyzję lub że ktoś się pojawi.

– Dlaczego utonięcie, Banquo?

– Co?

– Zastrzelenie mnie w samochodzie i upozorowanie samobójstwa byłoby o wiele łatwiejsze.

Banquo wzruszył ramionami.

– Jest wiele sposobów na obdarcie kota ze skóry. Przy utonięciu miejsce zdarzenia znajduje się pod wodą. Niewiele śladów do znalezienia, gdyby ktoś podejrzewał zabójstwo. No i samo utonięcie jest przyjemne, jak zaśnięcie.

– Co cię skłania, żeby tak myśleć?

– Ja to wiem. W młodości dwa razy się topiłem.

Lufa pistoletu Banqua leciutko opadła. Malcolm oceniał dzielącą ich odległość.

Przełknął ślinę.

– Dlaczego się topiłeś, Banquo?

– Ponieważ wychowałem się we wschodniej dzielnicy i nigdy nie nauczyłem się pływać. Czy to nie dziwne, że tu, w mieście nad morzem, żyją ludzie, którzy giną, kiedy wpadną do wody? Dlatego starałem się nauczyć swojego pierwszego syna pływać. Dziwne, że mi się nie udało. Może dlatego, że uczył go ktoś, kto sam tego nie potrafił. Jeśli utoniemy my, utoną oni, w taki sposób dziedziczone są nasze losy. Ale tacy ludzie jak pan umieją pływać, Malcolm.

– Domyślam się, że stąd te łańcuchy?

– Otóż to. – Lufa znów się uniosła, wahanie minęło i z oczu Banqua znów biło wyłącznie zdecydowanie. Malcolm nabrał powietrza. Miał swoją szansę, ale już minęła. – Dobrzy czy nie, wy macie ten pęd, którego nam brakuje. A ja muszę mieć pewność, że pan zostanie pod wodą. Że nie wypłynie na powierzchnię. Inaczej oznaczałoby to, że nie wykonałem właściwie swojej roboty, rozumie pan?

– Czy rozumiem?

– Niech pan mi odda odznakę policyjną.

Malcolm wyjął z kieszeni marynarki mosiężną odznakę i podał Banquowi, który zaraz ją wyrzucił. Poszybowała nad krawędzią nabrzeża, uderzyła o powierzchnię wody i zniknęła.

– To mosiądz. Błyszczy, ale idzie prosto na dno. Tak już jest z siłą ciążenia, sir. Wszystko wciąga w muł. Musi pan zniknąć, Malcolm. Zniknąć na wieki.

W sali konferencyjnej Macbeth spojrzał na zegarek. Dwadzieścia dziewięć minut po szóstej. Drzwi znów się otworzyły i osoba, w której Macbeth rozpoznał asystentkę Lennoxa, zajrzała, informując, że wciąż nie można się skontaktować z Malcolmem. Wiadomo jedynie, że przyjechał do Komendy Głównej, w garażu zawrócił i znów wyjechał, i że nikt, nawet jego córka Julia, nie potrafi powiedzieć, gdzie go szukać.

– Dziękuję ci, Priscillo. – Lennox odwrócił się do pozostałych. – W takim razie uważam, że powinniśmy rozpocząć to zebranie od...

Macbeth wiedział, że to jest właśnie ta chwila. Chwila, o której mówiła Lady. Chwila próżni, w której wszyscy podświadomie uznają osobę przejmującą prowadzenie za nowego przywódcę. Dlatego przerwał zdecydowanie i głośno:

– Przepraszam, Lennox. – Macbeth zwrócił się w stronę drzwi. – Priscillo, czy możesz zająć się rozesłaniem komunikatu, że poszukujemy Malcolma i jego samochodu? Na razie tylko do radiowozów patrolowych. I postaraj się sformułować treść jak najmniej dramatycznie. Może coś w rodzaju, że komenda pragnie jak najszybciej się z nim skontaktować. Dziękuję. – Następnie powiedział do Lennoxa: – Przepraszam, że angażuję twoją asystentkę, ale przypuszczam, że większość tu obecnych podziela mój lekki niepokój. No dobrze, wobec tego zaczynamy zebranie. Czy

ktoś ma coś przeciwko temu, że je poprowadzę do chwili pojawienia się Malcolma?

Powiódł wzrokiem wokół stołu. Caithness. Lennox. Duff. Widział, że muszą się chwilę zastanowić, zanim dotrze do nich to, co Lennox, chrząknąwszy dość sztywno, wyraził na głos:

– To ty zastępujesz teraz komendanta, Macbecie. Zaczynaj.

– Dziękuję, Lennox. Byłbyś tak miły i zamknął to okno za sobą? Zaczynamy od ochroniarzy. Czy Wydział Antykorupcyjny coś znalazł?

– Na razie nie – odparł Lennox, walcząc z zamkiem okna. – Nic nie wskazuje na żadne nieprawidłowości czy cokolwiek, co można by określić jako podejrzane. Podejrzenie może budzić jedynie brak jakichkolwiek nieprawidłowości.

– Żadnych nowych kontaktów, luksusowych zakupów czy dziwnych operacji na koncie?

Lennox pokręcił głową.

– Wyglądają na zupełnie czystych.

– Przypuszczam, że byli czyści – odezwał się Duff. – Ale nawet najczystszych rycerzy można zatruć i skorumpować, jeśli tylko znajdzie się dziurę w ich zbroi. I Hekate ją znalazł.

– W takim razie my również znajdziemy – oświadczył Macbeth. – Szukaj dalej, Lennox.

– Oczywiście.

Lennox powiedział to takim tonem, jakby miał zamiar dodać „sir". Słowo nie padło, lecz i tak wszyscy je usłyszeli.

– Duff, wspominałeś, że rozmawiałeś z wywiadowcami z twojego dawnego wydziału.

– Mówią, że ten zamach był szokiem dla wszystkich, którzy pracują na mieście, nikt o niczym nie wiedział. Przyjmują jednak za pewnik, że stoi za tym Hekate. Jakiś młody facet na dworcu

wspominał o policjancie, który pytał o narkotyki, nie wiem, czy to był jeden z naszych wywiadowców, ale w każdym razie nikt nie mówił nic o ochroniarzach. Dalej szukamy śladów, które mogłyby nas doprowadzić do miejsca, gdzie przebywa Hekate. Ale to jest oczywiście równie trudne jak odnalezienie Swena.

– Dziękuję, Duff. A wyniki z miejsca zdarzenia, Caithness?

– Takie, jakich mogliśmy się spodziewać – odparła, wpatrując się w trzymany przed sobą notes. – Zidentyfikowaliśmy wszystkie odciski palców w pokoju denata. Zgadzają się z odciskami pokojówek, ochroniarzy oraz osób, które, jak wiemy, wchodziły do apartamentu, a mianowicie Lady, Macbetha i Duffa. Oprócz tego mamy zestaw odcisków, których przez pewien czas nie mogliśmy przyporządkować, ale, jak się przed chwilą okazało, należą do poprzedniego gościa nocującego w tym pokoju. Kiedy więc mówię o znalezieniu tego, czego się spodziewaliśmy, to właściwie nie jest prawda, bo zwykle pokoje hotelowe są pełne niezidentyfikowanych odcisków palców.

– Szefowa Inverness bardzo poważnie podchodzi do sprzątania – stwierdził cierpko Macbeth.

– Sekcja medycyny sądowej potwierdza, że bezpośrednią przyczyną śmierci były dwie rany kłute zadane w szyję. Pasują do znalezionych sztyletów. I chociaż sztylety usiłowano wytrzeć o prześcieradło, a także o ubrania ochroniarzy, to i na ostrzu, i na rękojeści zostało dość krwi, aby mieć pewność, że to krew denata.

– Czy zamiast „denat" możemy mówić „Duncan"? – spytał Macbeth.

– Jak sobie życzysz. Jeden nóż był bardziej zakrwawiony niż drugi, ponieważ to ten przeciął tętnicę szyjną dena... hm... Duncana. Dlatego krew trysnęła na kołdrę, tak jak to widzicie na tym zdjęciu.

– Caithness przesunęła na środek stołu czarno-białą fotografię, na którą wszyscy zerknęli z obowiązku. – Pełny raport z sekcji dostaniemy jutro. Wtedy będziemy mogli powiedzieć coś więcej.

– Co więcej? – zniecierpliwił się Duff. – O tym, co zjadł na obiad? Przecież to już wiemy, bo jedliśmy to samo. Na jakie cierpiał choroby, na które nie umarł? Jeśli chcemy utrzymać tempo śledztwa, co w tej sytuacji jest najważniejsze, musimy się skoncentrować na tych informacjach, które są naprawdę ważne.

– Sekcja... – zaczęła Caithness, a Macbeth wychwycił drżenie w jej głosie – ...może potwierdzić zakładany przebieg zdarzenia albo go odrzucić. Wydaje mi się, że to dość ważne.

– Oczywiście, Caithness – przyznał jej rację Macbeth. – Coś jeszcze?

Pokazała kolejne zdjęcia, mówiąc o pozostałych ustaleniach medycznych i technicznych, ale nic z tego nie wskazywało na jakikolwiek inny kierunek niż ten, co do którego wokół stołu panowała zgodność, a mianowicie, że to dwaj ochroniarze zabili Duncana. Zgodność panowała również co do tego, że sprawcy nie mieli osobistego motywu, a za zabójstwem musiały stać inne siły, dlatego też dyskusja o tym, czy mógł to zrobić ktoś inny niż Hekate, była krótka i nie przyniosła żadnych rezultatów.

Macbeth zaproponował, by wstępnie odłożyć konferencję prasową do godziny dziesiątej, aby mieć czas na odnalezienie i poinformowanie Malcolma. Lennox był zdania, że dziewiąta jest lepszą godziną ze względu na wczesny *deadline* prasy w niedzielę.

– Dziękuję, Lennox – powiedział Macbeth. – Ale będziemy się kierować własnym rozkładem zajęć, a nie porą, o której gazety mają jutro rano trafić do sprzedaży.

– Uważam, że to niemądre – zaoponował Lennox. – Jesteśmy nowym dowództwem, więc nie powinniśmy wzbudzać wrogości prasy już przy pierwszej okazji.

– Twoja opinia została odnotowana – uciął Macbeth. – Jeżeli Malcolm się nie pojawi i nie wyda innych rozkazów, to zbierzemy się tutaj o dziewiątej i omówimy to, co zostanie przekazane na konferencji.

– A kto ją poprowadzi? – spytał Duff.

Zanim Macbeth zdążył odpowiedzieć, drzwi się uchyliły i znów pojawiła się w nich asystentka Lennoxa, Priscilla.

– Przepraszam – powiedziała. – Patrol, który sprawdzał port kontenerowy, zgłosił, że stoi tam zaparkowany samochód Malcolma. Auto jest puste, a zastępcy komendanta nigdzie nie widać.

Macbeth słuchał ciszy, która zapadła. Smakował to, czego pozostali jeszcze nie wiedzieli. I poczucie kontroli, jaką mu to dawało.

– W którym miejscu w porcie? – spytał.

– Na nabrzeżu przy jednym z kanałów.

Wolno skinął głową.

– Trzeba wezwać nurków.

– Nurków? – powtórzył Lennox. – Czy to nie przedwcze...

– Wydaje mi się, że komisarz Macbeth ma rację – przerwała szefowi Priscilla.

Wszyscy spojrzeli na nią zdumieni. Przełknęła ślinę.

– Na siedzeniu znaleziono list.

12

Konferencja prasowa zaczęła się punktualnie o dziesiątej. Kiedy Macbeth zbliżył się do mównicy w sali Scone, ze wszystkich stron spadł na niego deszcz fleszy, rzucających zniekształcone, krótko

żyjące cienie na ścianę za jego plecami. Położył przed sobą kartki, przyglądał im się przez kilka sekund, po czym chrząknął i spojrzał na wypełnione rzędy krzeseł. Nigdy nie lubił występować przed dużymi zgromadzeniami. Kiedyś już sama myśl o tym wydawała mu się gorsza od najbardziej ryzykownej akcji. Ale to się zmieniło na plus. A tego wieczoru czuł, że się wręcz z tego cieszy. Że wystąpienie sprawi mu przyjemność. Ponieważ miał kontrolę i wiedział to, czego nie wiedział nikt. Właśnie wciągnął kreskę wywaru. Tylko tego potrzebował.

– Dobry wieczór. Jestem komisarz Macbeth, naczelnik Wydziału Przestępczości Zorganizowanej. Jak wiecie, dziś rano o godzinie szóstej czterdzieści dwie w kasynie Inverness znaleziono zamordowanego komendanta policji Duncana. Wkrótce potem dwaj wstępnie podejrzani w tej sprawie, ludzie z ochrony Duncana, Andrianov i Hennessy, zostali zastrzeleni przez policję w przyległym pokoju, gdy sięgnęli po broń w chwili aresztowania. Przed godziną otrzymaliście komunikat prasowy, w którym dość szczegółowo przedstawiono przebieg zdarzeń oraz wyniki przeprowadzonych przez nas wstępnych badań, a także nasze przypuszczenia, w tej kwestii nie powinno więc być zbyt wiele pytań. Chciałbym jednak dodać parę informacji o bardziej technicznym charakterze.

Macbeth zrobił przerwę na oddech; któryś z dziennikarzy nie zdołał się powstrzymać.

– Co wiecie o Malcolmie? – rzucił.

– Czy on nie żyje? – dodał inny.

Macbeth spojrzał na kartki. Odłożył je na bok.

– Jeżeli to oznacza, że w opinii prasy wywiązaliśmy się już z naszego obowiązku przekazania informacji w sprawie zabójstwa komendanta, to równie dobrze możemy przejść do zniknięcia jego zastępcy.

– Najpierw to, co najważniejsze! – krzyknął jeden ze starszych dziennikarzy. – Przecież zaraz mamy *deadline*!

– Okej – powiedział Macbeth. – Zastępca komendanta Malcolm nie pojawił się – o czym najwyraźniej już wiecie – na zebraniu o osiemnastej zero zero, umówionym tu, w Komendzie Głównej. W dniu, w którym zabity został komendant policji, taka rzecz oczywiście wzbudziła niepokój. Dlatego rozesłaliśmy komunikat o poszukiwaniach i po południu zlokalizowano samochód Malcolma w porcie kontenerowym. Następnie przeszukano okolicę, między innymi z udziałem nurków. Znaleźli oni...

– Ciało?

– ...to. – Macbeth podniósł do góry okrągły kawałek metalu, który błysnął w reflektorach stacji telewizyjnych. – Odznakę policyjną Malcolma. Leżała na dnie, tuż przy nabrzeżu.

– Podejrzewacie, że ktoś go zabił?

– Owszem. – Zapadła grobowa cisza, Macbeth zachował kamienną twarz. Powiódł wzrokiem po zebranych, a następnie oznajmił: – Na przednim siedzeniu samochodu znaleziono list. – Pochylił się nad kartką, którą miał przed sobą. Odchrząknął. – *Norse Ridersi zagrozili, że zabiją moją córkę Julię, jeśli nie będę z nimi współpracował w zamachu na komendanta Duncana. Ale teraz, kiedy już mają na mnie haka, domagają się kolejnych przysług. Zdaję więc sobie sprawę, że póki żyję, moja córka nie jest bezpieczna. Właśnie z tej przyczyny, a także ze wstydu spowodowanego tym, co zrobiłem, postanowiłem się utopić.* Podpisano: *zastępca komendanta Malcolm*. – Macbeth podniósł wzrok na zebranych. – Pierwszym pytaniem, jakie sobie zadaliśmy, przypuszczalnie podobnie jak wy, było oczywiście to, czy list jest prawdziwy. W tej kwestii mogę powiedzieć, że nasz Wydział Techniki Kryminalistycznej potwierdził, że list został napisany tu,

w Komendzie Głównej, na maszynie do pisania należącej do Malcolma, oraz że na kartce są jego odciski palców. Podpis również jest autentyczny.

Wydawało się, że sala potrzebuje kilku sekund na przetrawienie tej informacji. Po chwili jednak podniosły się przejęte głosy:

– Czy coś więcej wskazuje na to, że Malcolm stał za zabójstwem Duncana?

– Jak Malcolm mógł pomagać Norse Ridersom w zabójstwie?

– Co łączyło Malcolma z ochroniarzami?

– Podejrzewacie, że jest w to zamieszanych więcej osób z policji?

Macbeth podniósł ręce, chcąc tym gestem uspokoić wzburzenie.

– Nie odpowiemy teraz na pytania dotyczące zabójstwa Duncana, gdyż byłyby to wyłącznie spekulacje. Jedynie pytania o zaginięcie. I bardzo proszę po jednym.

Cisza. W końcu odezwała się jedyna na sali kobieta dziennikarka.

– Czy mamy rozumieć, że wyłowiliście odznakę policyjną, ale nie znaleźliście ciała Malcolma?

– Nasz basen portowy ma zamulone dno, a woda nie zalicza się do najbardziej przejrzystych na świecie. Lekka mosiężna odznaka nie zapada się w muł tak łatwo, jak ciało. A poza tym mosiądz odbija światło. Zanim nurkowie odnajdą Malcolma, może upłynąć trochę czasu.

Macbeth zobaczył, że dziennikarze jak jeden mąż pochylili się nad notatnikami, zapisując gorączkowo.

– A czy najbardziej prawdopodobną przyczyną nieodnalezienia zwłok może być ich porwanie przez prąd?

– Owszem – potwierdził Macbeth, szukając twarzy, do której należał głos. Okazało się, że do jednej z nielicznych osób, które niczego nie notowały. Do Walta Kite'a. On nie musiał niczego

zapisywać, bo mikrofon jego stacji radiowej stał na stole przed Macbethem.

– Jeśli Malcolm zabił Duncana i żałował tego, co zrobił, to dlaczego...

– Stop! – Macbeth uniósł rękę. – Tak jak zapowiedziałem, nie odpowiem na żadne pytanie dotyczące zabójstwa komendanta Duncana, dopóki nie będziemy mieć pewnych informacji. A teraz proszę o wyrozumiałość, bo musimy wracać do pracy. W tej sytuacji ważne jest szybkie i skuteczne prowadzenie śledztwa z wykorzystaniem tych środków, jakie mamy do dyspozycji. Musimy również niezwłocznie powołać nowe dowództwo, abyśmy mogli zachować ciągłość realizacji pozostałych zadań policyjnych, które musimy wykonywać dla dobra miasta.

– Czy prawdą jest, że to pan pełni w tej chwili obowiązki komendanta policji?

– Formalnie rzecz biorąc, owszem.

– A w praktyce?

– W praktyce... – Macbeth zamilkł na chwilę. Prędko zajrzał do kartki. Oblizał wargi. – ...stanowimy grupę doświadczonych dowódców, którzy już przejęli stery, i mogę śmiało powiedzieć, że mają pełną kontrolę. Ale nie boję się również stwierdzić, że zastąpienie komendanta Duncana wymaga odpowiedniej osoby. Duncan był wizjonerem. Bohaterem poległym w walce ze złymi siłami, którym dzisiaj wydaje się, iż odniosły zwycięstwo. – Macbeth objął mównicę i pochylił się do przodu. – Ale udało im się jedynie wzbudzić w nas jeszcze większą determinację i przekonanie, że ta przegrana bitwa będzie początkiem tego, co ostatecznie pozwoli zwyciężyć dobru. Sprawiedliwości. Bezpieczeństwu. A dzięki temu zacznie się budowanie nowego dobrobytu. Ale nie damy rady zrobić tego sami. Aby to osiągnąć, potrzebujemy

zaufania waszego i całego miasta. Jeśli je zdobędziemy, będziemy kontynuować pracę rozpoczętą przez komendanta Duncana. A ja... – podniósł rękę jak do przysięgi – ...osobiście gwarantuję, że nie ustaniemy, dopóki nie osiągniemy celów, które postawił sobie Duncan w związku z miastem i ze wszystkimi – wszystkimi – jego obywatelami.

Puścił mównicę i stanął wyprostowany. Patrzył na twarze zlewające mu się w dywan ze wzorem oczu i otwartych ust. Nie, nie bał się. Widział oddziaływanie swoich słów i ciągle czuł ich smak. Smak słów Lady. Nachylił się dokładnie w tym momencie, w którym miał to zrobić. Poinstruowała go przed lustrem i wyjaśniła, w jaki sposób ofensywna mowa ciała potrafi wywołać wrażenie spontanicznego zaangażowania i woli walki. Mowa ciała jest jeszcze ważniejsza niż same słowa, ponieważ omija mózg i przemawia bezpośrednio do serca.

– Kolejna konferencja prasowa odbędzie się jutro przed południem. O jedenastej, tutaj, w sali Scone. Dziękuję.

Macbeth zebrał kartki, które miał przed sobą. Przez salę przebiegł jęk rozczarowania, po chwili posypały się protesty i kolejny grad pytań. Macbeth zmrużył oczy. Zamierzał postać tak jeszcze przez dwie sekundy. W ostatnim momencie zdołał stłumić cisnący mu się na usta uśmiech.

Do diabła, on wygląda jak kapitan statku, pomyślał siedzący w pierwszym rzędzie Duff. Jak kapitan, który bez lęku patrzy na wzburzone morze. Ktoś całkiem niedawno musiał go tego nauczyć. To, do cholery, nie jest ten Macbeth, którego znam. Znałem.

Macbeth szybko skinął głową, przemaszerował przez podium i zniknął w drzwiach, które otworzyła przed nim Priscilla.

– I co o tym myślisz, Lennox? – spytał Duff, podczas gdy dziennikarze okrzykami wciąż domagali się dalszych wypowiedzi, jakby żądali bisu.

– Jestem poruszony – odparł rudowłosy komisarz. – I zainspirowany.

– No właśnie. To przypominało raczej przemówienie wyborcze aniżeli konferencję prasową.

– Możesz tak uważać albo też zinterpretować to jako mądre i odpowiedzialne posunięcie taktyczne.

– Odpowiedzialne?! – prychnął Duff.

– Miasto, ba, cały kraj to twór oparty na wyobrażeniach. Na wyobrażeniu o tym, że pieniądze da się wymienić na złoto, że nasi przywódcy myślą o tobie i o mnie, a nie tylko o sobie, na wyobrażeniu, że przestępstwa zostaną ukarane. Gdybyśmy nie wierzyli w te wyobrażenia, cywilizowane społeczeństwo załamałoby się w straszliwie krótkim czasie. A w sytuacji, w której anarchia puka do drzwi, Macbeth właśnie nas zapewnił, że instytucje publiczne miasta są absolutnie nienaruszone. To była przemowa godna męża stanu.

– Albo żony stanu.

– Myślisz, że to słowa Lady, a nie Macbetha?

– Kobiety znają się na sercach, wiedzą, jak należy do nich przemawiać. Wprawdzie mózg jest większy, mówi głośniej i uważa, że to on jest mężem i rządzi w domu, ale decyzje w ciszy podejmuje serce. Te słowa poruszyły twoje serce, a mózg chętnie za nim pójdzie. Uwierz mi, Macbeth nie ma tego w sobie, ta przemowa to jej dzieło.

– I co z tego? Wszyscy potrzebujemy lepszej połowy. Dopóki osiągamy upragniony rezultat, może za nim stać sam diabeł. Chyba nie jesteś zazdrosny o Macbetha, Duff?

– Zazdrosny? – Duff roześmiał się krótko. – Dlaczego miałbym być zazdrosny? On przemawia i wygląda jak prawdziwy przywódca, więc jeśli na dodatek będzie tak samo działał, to oczywiście wspólnota odniesie największą korzyść, gdy to on będzie dowodził, nie kto inny.

Za ich plecami zaszurały krzesła. Macbeth nie wracał, a zbliżał się *deadline*.

Została godzina do północy. Wichura nieco ucichła, ale ulicami wciąż żeglowały śmieci i kawałki najprzeróżniejszych rzeczy pourywanych przez sztorm ubiegłej nocy. Wilgotny północno-zachodni wiatr, ściśnięty w korytarzach hali dworcowej, nabierał pędu. Gnał obok kupy szmat leżącej pod ścianą, a kilka metrów dalej mijał mężczyznę z szalikiem naciągniętym na nos i usta. Strega podeszła do niego.

– Boisz się, że cię rozpoznają, Macbecie?

– Pst! Nie wymawiaj mojego imienia. Wygłosiłem dziś wieczorem przemowę i boję się, że jednocześnie złożyłem w ofierze swoją anonimowość.

– Rzeczywiście, oglądałam wieczorne wiadomości. Świetnie się zaprezentowałeś. Uwierzyłam prawie we wszystko, co powiedziałeś. Ale przystojne twarze zawsze tak na mnie działały.

– Z jakiego powodu pojawiasz się zawsze, kiedy tylko się tu pokażę, Strego?

Uśmiechnęła się.

– Wywaru?

– A masz coś innego? Speed? Kokainę? Od tego wywaru nachodzą mnie przywidzenia i złe sny.

– To sztorm, a nie wywar, przyniósł ci złe sny, Macbecie. Ja nie ruszam prochów, a mimo to śniło mi się, że psy kompletnie oszalały podczas tej burzy. Widziałam, jak rzucają się na siebie, aż piana szła

im z pysków. I wciąż jeszcze żywe zaczęły się nawzajem zjadać. Obudziłam się spocona i z ulgą stwierdziłam, że to był tylko sen.

Macbeth wskazał na kopczyk leżący nieco dalej.

– Tam masz swój sen.

– A co to jest?

– Truchło na wpół zjedzonego psa, nie widzisz?

– Wydaje mi się, że to ty znów masz przywidzenia. Proszę. – Włożyła mu do ręki torebeczkę. – Wywar. Tylko nie zbłądź teraz, Macbecie. Pamiętaj, że droga jest łatwa. Prowadzi prosto przed siebie.

Macbeth minął Berthę i spieszył przez pusty plac Robotników, lekko nachylony ku oświetlonej fasadzie Inverness, gdy nagle w ciemności i deszczu dostrzegł jakąś postać. Podszedł bliżej i z zaskoczeniem zorientował się, że to Banquo.

– Co tu robisz? – spytał Macbeth.

– Czekam na ciebie.

– Na środku placu między Berthą a Inverness? Gdzie nic nie zapewni ci schronienia?

– Nie potrafiłem się zdecydować – powiedział Banquo.

– Na wybór strony?

– Na to, jak mam załatwić Malcolma.

– Nie obwiązałeś go łańcuchami? O to chodzi?

– Słucham?

– Nurkowie jeszcze nie znaleźli ciała. Bez obciążenia porwał je prąd.

– Nie w tym rzecz.

– Nie? Ale chodźmy do Inverness, zamiast stać tutaj, moknąć i marznąć.

– Dla mnie i tak już za późno. Dawno przemarzłem do szpiku kości. Czekałem na ciebie w tym miejscu, bo przed kasynem stoją

dziennikarze. Wypatrują ciebie, nowego komendanta policji.

– Wobec tego załatwmy to szybko tutaj. Co się stało?

– Obdarłem kota ze skóry w inny sposób. Nie masz się o co martwić. Malcolm odszedł na zawsze i już nigdy się nie pojawi. A nawet gdyby, to i tak nie ma pojęcia, że odegrałeś w tym jakąś rolę. Uważa, że za wszystkim stoi Hekate.

– O czym ty mówisz? Malcolm żyje?

Banquiem wstrząsnął dreszcz.

– Malcolm wierzy, że siedzę w kieszeni u Hekate. I że to ja zmanipulowałem ochroniarzy Duncana. Wiem, że nie tak się umawialiśmy, ale rozwiązałem nasz problem, jednocześnie oszczędzając życie dobrego człowieka.

– Gdzie on teraz jest?

– Zniknął.

– Gdzie? – Macbeth zorientował się po minie Banqua, że podniósł głos.

– Odwiozłem go na lotnisko i wyekspediowałem do Capitolu. Stamtąd pojedzie za granicę. Wie, że jeśli będzie próbował się z kimkolwiek skontaktować, jeśli da najmniejszy znak życia, to jego córka Julia zostanie natychmiast zlikwidowana. Malcolm jest ojcem, Macbecie. A ja wiem, co to znaczy. Nigdy nie zaryzykuje życia córki. Przenigdy. Pozwoli raczej, żeby miasto kompletnie zeszło na psy. Uwierz mi, nawet w najzimniejszej i pełnej przeciągów izdebce na strychu, pogryziony przez pluskwy, Malcolm będzie co rano budził się głodny, zmarznięty i samotny, ale będzie dziękował Stwórcy za to, że jego córka może przeżyć jeszcze jeden dzień.

Macbeth podniósł rękę i wówczas zobaczył w oczach Banqua coś, co wcześniej widział tylko jeden jedyny raz. Nigdy podczas akcji, jakie przeprowadzali przeciwko uzbrojonym desperatom czy szaleńcom przetrzymującym dzieci jako zakładników. Nigdy wtedy,

gdy Banquo stał naprzeciwko większego i silniejszego przeciwnika ze świadomością, że dostanie – i rzeczywiście dostawał – lanie. Widział to w jego spojrzeniu tylko raz, a było to wówczas, gdy Banquo wrócił do domu z odwiedzin u Very w szpitalu, po tym, jak lekarz poinformował go o wynikach ostatnich badań. Strach. Strach w czystej postaci. Właśnie dlatego Macbeth domyślił się, że Banquo nie o siebie się boi.

– Dzięki – powiedział i ciężko położył dłoń na ramieniu starego druha. – Dziękuję ci, drogi przyjacielu, że wymyśliłeś dobrze coś, co ja wymyśliłem źle. Uznałem, że jeden człowiek to niewielka ofiara, gdy chodzi o cel tak wielki jak nasz. Ale masz rację, miasta od zejścia na psy nie ocali niepotrzebna śmierć dobrych ludzi. A może również ocaliłeś nas od pójścia do piekła za taką zbrodnię.

– Bardzo się cieszę, że ty też tak na to patrzysz! – zawołał Banquo, a Macbeth poczuł, jak drżące mięśnie przyjaciela rozluźniają się pod naciskiem jego dłoni.

– Wracaj teraz do domu, Banquo. I pozdrów ode mnie Fleance'a.

– Pozdrowię. Dobranoc.

Macbeth zadumany szedł przez plac. Myślał o tym, że czasami dobrzy ludzie umierają niepotrzebnie. A czasami potrzebnie. Wszedł w krąg świateł kasyna. Zignorował natarczywe pytania dziennikarzy o Malcolma, o ochroniarzy Duncana, o to, czy naprawdę sam Macbeth zastrzelił ich obu.

W środku powitała go Lady.

– Transmitowali na żywo całą konferencję prasową. Wypadłeś fantastycznie – stwierdziła i mocno go objęła. Nie pozwolił się puścić, przytrzymywał ją, aż poczuł powracające w niego ciepło i przyjemny dreszcz na plecach, kiedy Lady musnęła wargami jego uszy, szepcząc: – Komendant policji.

W domu. U niej. We dwoje. Tylko tego pragnął. Lecz aby to osiągnąć, musiał zasłużyć. Tak to już jest na tym świecie. Na tym drugim również, pomyślał.

– Jesteś w domu? – Duff, słysząc za sobą zdumiony głos, odwrócił się w drzwiach do pokoju dziecinnego. Meredith włożyła szlafrok i skrzyżowała ręce na piersi, leciutko drżąc.

– Wpadłem tylko na chwilę – szepnął. – Nie chciałem cię budzić. Ewan nie śpi u siebie? – Wskazał na synka, który zwinął się w kłębek obok starszej siostry.

Meredith westchnęła.

– Zaczął przychodzić do Emilie, kiedy nie może usnąć. Sądziłam, że teraz, kiedy pracujecie nad tymi okropnymi sprawami, zostaniesz w mieście.

– Tak. Ale musiałem na chwilę się wyrwać, żeby zabrać jakieś czyste ubrania. Sprawdzić, czy wciąż istniejecie. Pomyślałem, że prześpię się ze dwie godziny w pokoju gościnnym i znów wrócę do roboty.

– Aha. Zaraz ci pościelę. Jadłeś coś?

– Nie jestem głodny. Zrobię sobie kanapkę, kiedy się obudzę.

– Mogę ci przygotować śniadanie, i tak nie usnę.

– Idź się położyć, Meredith. Postoję tu chwilę i sam sobie pościelę.

– Jak chcesz. – Dalej stała z rękami skrzyżowanymi na piersi, patrząc na niego, ale w ciemności nie zdołał uchwycić jej wzroku. W końcu odwróciła się i odeszła.

13

– Ale ja chcę wiedzieć dlaczego! – Duff oparł łokcie na stole i brodę na dłoniach. – Dlaczego Andrianov i Hennessy nie uciekli? Dlaczego ci dwaj zdrajcy najpierw postanowili uśmiercić swojego szefa, a potem położyli się spać w sąsiednim pokoju, uwalani krwią i z dowodami jak stąd aż do piekła? No dalej! To wy jesteście śledczymi taktycznymi! Musicie mieć przynajmniej jakieś pieprzone sugestie!

Rozejrzał się. Siedziała przed nim cała dwunastka śledczych z Wydziału Zabójstw, ale ten jedyny, który w ogóle otworzył usta, zrobił to, żeby ziewnąć. Był poniedziałek rano, może dlatego okazali się tak mało rozmowni, tak osowiali i niezaangażowani. Ale nie, te gęby będą równie zaspane jutro, jeśli ktoś nimi nie potrząśnie. Istniał jeszcze jeden powód, dla którego Wydział Zabójstw nie miał formalnego dowódcy od dwóch miesięcy, czyli od momentu, gdy Duncan postawił poprzedniemu szefowi wydziału ultimatum: wypowiedzenie albo zostanie wszczęte wewnętrzne śledztwo w związku z podejrzeniami o korupcję. Nie zgłosił się nikt z odpowiednimi kwalifikacjami. Za czasów Kennetha Wydział Zabójstw miał najniższy procent rozwiązanych spraw w kraju, a nie była temu winna wyłącznie korupcja. Podczas gdy jego odpowiednik w Capitolu przyciągał najlepszych, do tutejszego wydziału zmiatano tych najbardziej zrezygnowanych i największych nieudaczników.

„To trzeba zmienić” – oświadczył Duncan. „Sukcesy i fiaska wydziału zajmującego się wykrywaniem zabójców mają decydujące znaczenie dla kwestii zaufania ludności do policji. Dlatego chcę

powierzyć tę sprawę jednemu z naszych najlepszych ludzi. Tobie, Duff".

Duncan wiedział, jak przekazać swoim pracowników złe wieści w inspirujący sposób. Duff jęknął. Obok niego leżał cały stos raportów wartych mniej niż papier, na którym zostały napisane. Bezsensownie szczegółowe przesłuchania gości w Inverness, powtarzających to samo: nic nie widzieli ani nie słyszeli, oprócz tej piekielnej burzy. Duff rozumiał, że cisza wokół stołu może wynikać stąd, że śledczy po prostu bali się jego gniewu. Ale nic go to nie obchodziło. To nie był konkurs popularności. Jeśli trzeba ich trochę postraszyć, żeby się wzięli do roboty, gotów był to zrobić.

– Uważamy więc, że ochroniarze po zabójstwie po prostu spali snem niewiniątek. Bo mieli za sobą ciężki dzień w pracy. Który z was, idiotów, za tym głosuje?

Żadnej reakcji.

– A który w to nie wierzy?

– To nie był sen niewiniątek – zaprotestowała Caithness, która właśnie wpadła do sali. – To był sen pod wpływem leków nasennych. Przepraszam, że się spóźniłam, ale musiałam iść po to. – Pomachała czymś, co paskudnie przypominało kolejny raport. I rzeczywiście nim było, jak stwierdził Duff, gdy plik kartek uderzył przed nim o biurko. Konkretnie raportem patologa sądowego. – Badania próbek krwi pobranych od Andrianova i Hennessy'ego wykazują, że obaj mieli w sobie dostateczną ilość benzodiazepin, żeby przespać pół doby. – Caithness usiadła na jednym z wolnych krzeseł.

– Ochroniarze zażywający środki nasenne? – zdumiał się Duff.

– One działają też uspokajająco – odezwał się facet, który kołysał się na krześle na samym końcu pokoju. – Kiedy ma się dokonać

zamachu na własnego szefa, człowiek jest pewnie roztrzęsiony. Wielu z tych, którzy napadają na banki, zażywa te benzocośtam.

– I dlatego wszystko pieprzą – stwierdził śledczy z kaburą naramienną założoną na biały sweter polo; nasada nosa drgała mu lekko.

Śmiech. Ale krótki.

– Co o tym powiesz, Caithness? – spytał Duff.

Wzruszyła ramionami.

– Śledztwo taktyczne to nie moja działka. Ale według mnie to dość oczywiste, że potrzebowali czegoś na uspokojenie nerwów, a ponieważ nie mieli doświadczenia z narkotykami, nie trafili z dawką. Odruchy ciągle działały jak należy, ale nerwowość zniknęła, a czyste ciosy świadczą o tym, że nie stracili pewności ręki. Już po zabójstwie, kiedy narkotyk naprawdę zaczął działać, przestali panować nad sytuacją. Zaczęli się kręcić po pokoju, wybrudzili się krwią, aż w końcu zasnęli w fotelach.

– Typowe – stwierdził ten w polo. – Raz dopadliśmy dwóch naćpanych rabusiów, bo zasnęli na czerwonym świetle w samochodzie, którym uciekali. Wcale się nie wygłupiam. Przestępcy są, cholera, tacy durni, że można...

– Dziękuję – przerwał mu Duff. – Skąd wiesz, że odruchy ciągle działały jak należy?

Caithness wzruszyła ramionami.

– Ten, który jako pierwszy wbił nóż w Duncana, zdążył odsunąć rękę, zanim trysnęła krew. Nasz specjalista twierdzi, że krew trysnęła na rękojeść, a nie polała się na nią, nakapała czy została rozsmarowana.

– W takim razie zgadzam się z twoimi pozostałymi konkluzjami – powiedział Duff. – Ktoś się nie zgadza?

Żadnej reakcji.

– Ktoś się zgadza?

Milczące kiwnięcia głowami.

– Dobrze, wobec tego uznajemy, że mamy na to odpowiedź. I przechodzimy do kolejnego luźnego wątku. Do samobójstwa Malcolma. – Duff wstał. – W jego liście jest napisane, że Norse Ridersi zagrozili, że zabiją jego córkę, jeśli on nie pomoże im w zabójstwie Duncana. Moje pytanie jest następujące. Dlaczego zamiast zrobić to, czego chcieli Sweno i Norse Riders, a potem odbierać sobie życie, nie pójść z tym raczej do Duncana, a dziewczyny nie przenieść w sekretne bezpieczne miejsce? Groźby to przecież dla policjantów nic nowego. Co o tym sądzicie?

Pozostali śledczy gapili się w podłogę, na siebie albo przez okno.

– Żadnych przypuszczeń? Naprawdę? Cały Wydział Zabójstw i nikt...

– Malcolm wie, że Sweno ma kontakty w policji – powiedział w końcu ten, który bujał się na krześle. – Wie, że Sweno i tak znajdzie jego córkę.

– No dobrze, to już coś. – Duff zgarbiony zaczął krążyć przed śledczymi. – Załóżmy, że Malcolm uważa, iż może uratować córkę, jedynie wypełniając polecenia Swena. Albo ginąc samemu, żeby Sweno nie miał już powodu do uśmiercenia dziewczyny. Okej?

Zorientował się, że nikt z obecnych nie pojmuje sedna jego rozumowania.

– Skoro więc Malcolm – tak jak to sugeruje list – uważa, że nie wytrzyma życia, jeśli straci córkę lub jeśli będzie współwinny śmierci Duncana, to dlaczego nie popełnić samobójstwa wcześniej i nie uratować obojga?

Zobaczył twarze z rozdziawionymi ustami.

– Czy mogę...? – zaczęła Caithness.

– Bardzo proszę, pani komisarz.

– Ten wywód jest być może logiczny, ale ludzka psychika nie działa w ten sposób.

– Nie? A mnie się wydaje, że tak – sprzeciwił się Duff. – Dlatego coś mi się nie zgadza w tym tak zwanym samobójstwie Malcolma. Nasz mózg na podstawie dostępnych informacji z dużą dokładnością waży zalety przeciwko wadom i dopiero wówczas dokonuje niepodważalnych logicznych wyborów.

– Jeśli są niepodważalne, to dlaczego czasami nawet bez otrzymania nowych informacji mimo wszystko żałujemy?

– Żałujemy?

– Żal, komisarzu Duff – Caithness popatrzyła mu prosto w oczy – to takie odczucie u osób mających ludzkie cechy, które oznacza, że człowiek chciałby, aby coś, co zrobił, się nie stało. Nie możemy wykluczyć, że Malcolm był właśnie takim człowiekiem.

Duff pokręcił głową.

– Żal to oznaka choroby. Einstein mówił, że powtarzanie raz po raz tych samych obliczeń z nadzieją, że uzyska się inny wynik, jest dowodem szaleństwa.

– A więc to twierdzenie Einsteina można odrzucić, ponieważ ludzie od dawna dochodzą do innych wyników. I nie dlatego, że zmieniają się dane. Zmienia się człowiek.

– Ludzie się nie zmieniają!

Duff wyczuł, że pozostali w pokoju też się ocknęli i nareszcie słuchają z uwagą. Najwyraźniej domyślali się, że ta wymiana zdań między nim a Caithness nie dotyczy już tylko śmierci komendanta.

– Może Malcolm się zmienił – obstawała przy swoim Caithness. – Może zmieniła go śmierć Duncana. Tego nie da się wykluczyć.

– Nie możemy też wykluczyć, że zostawił list pożegnalny, odznakę policyjną wrzucił do morza, a sam gdzieś uciekł – powiedział Duff. – To tak à propos ludzkich cech.

Otworzyły się drzwi. Wszedł jeden z funkcjonariuszy z Wydziału Narkotykowego.

– Telefon do ciebie, Duff. Facet mówi, że to dotyczy Malcolma i że sprawa jest pilna. Chce rozmawiać wyłącznie z tobą.

Lady stała na środku sypialni i patrzyła na mężczyznę, który spał w jej łóżku. W ich łóżku. Było już po dziewiątej, Lady dawno zjadła śniadanie, ale ciało w jedwabnej pościeli wciąż leżało jak pozbawione życia.

Przysiadła na brzegu łóżka, pogładziła Macbetha po policzku, potem chwyciła go za gęste czarne loki i mocno pociągnęła. Spod powiek ukazała się wąska kreska białek.

– Komendancie, musisz się obudzić! Miasto się pali!

Roześmiała się, kiedy Macbeth, wzdychając, obrócił się na bok, plecami do niej.

– Która godzina?

– Późna.

– Śniło mi się, że jest niedziela.

– Chyba dużo różnych rzeczy ci się śniło.

– Tak, ten przeklęty...

– Co?

– Nic. Słyszałem dzwony ostrzegające przed burzą. Ale potem zrozumiałem, że to dzwony kościelne. Wzywały na pokutę, spowiedź i chrzest.

– Powiedziałam, że nie wolno ci wymawiać tego słowa!

– Chrzest?

– Macbeth!

– *Sorry*.

– Konferencja prasowa jest za niespełna dwie godziny. Na pewno wszyscy się zastanawiają, gdzie się podział ich komendant.

Macbeth spuścił nogi z łóżka. Lady go jednak zatrzymała. Ujęła jego twarz w dłonie i uważnie mu się przyjrzała. Źrenice miał maleńkie. Znów. Wyrwała dziko rosnący włos z jednej brwi.

– Poza tym wieczorem mamy kolację – przypomniała, szukając kolejnych niesfornych włosków. – Chyba nie wyleciało ci to z pamięci?

– Naprawdę wypada urządzać przyjęcie tak szybko po śmierci Duncana?

– To kolacja z partnerami biznesowymi, a nie wesoła zabawa. No i nadal musimy coś jeść, kochany.

– Kto przyjdzie?

– Wszyscy, których zaprosiłam. Burmistrz. Kilku twoich kolegów z pracy. – Uchwyciła siwy włos, ale wysunął się z jej długich, pomalowanych na czerwono paznokci. – Będziemy omawiać stosowanie przepisów prawa dotyczących prowadzenia kasyn. Na pierwszej stronie w gazecie napisali dzisiaj, że w Obelisku bez wątpienia uprawiana jest prostytucja, którą organizuje kasyno, dlatego należy je zamknąć.

– Twój kumpel redaktor może wypisywać wszystko, czego sobie zażyczysz, ale to i tak w niczym nie pomoże, skoro nikt nie czyta jego gazety.

– Wiem. Ale teraz mam męża komendanta policji.

– Au!

– Powinieneś trochę posiwieć. Szefom do twarzy z siwizną. Porozmawiam dziś ze swoim fryzjerem, mógłby ci dyskretnie ufarbować skronie.

– Moich skroni nie widać.

– No właśnie. Dlatego musimy przyciąć włosy, żeby skronie były widoczne.

– Nigdy!

– Może się okazać, że w opinii burmistrza Tourtella miasto powinno mieć komendanta policji, który wygląda jak dorosły mężczyzna, a nie jak chłopak.

– I co? Martwisz się tym?

Lady wzruszyła ramionami.

– Normalnie burmistrz nie wtrąca się w hierarchię policyjną, ale tym razem wyjątkowo to on mianuje nowego komendanta. Po prostu musimy mieć pewność, że do niczego się nie przyczepi.

– A w jaki sposób ją zdobędziemy?

– Hm. Możliwe, że potrzebna nam będzie jakaś broń w zanadrzu, gdyby Tourtell wbrew wszelkim oczekiwaniom zaczął robić trudności. Ale nie martw się o to, kochany.

– Dobrze. Co do trudności...

Przestała wyszukiwać niesforne włoski. Rozpoznała ten ton.

– Czegoś mi nie powiedziałeś, mój drogi?

– Banquo...

– Co z nim?

– Zacząłem się zastanawiać, czy można mu ufać. Czy przypadkiem nie uknuł jakiegoś chytrego planu dla siebie i Fleance'a. – Macbeth wziął głębszy oddech, a Lady zdała sobie sprawę, że już za moment to usłyszy. – Banquo wczoraj wcale nie zabił Malcolma, tylko wyprawił go do Capitolu. Tłumaczył mi, że oszczędzając Malcolmowi życie, nic nie ryzykujemy.

Wiedziała, że czeka na jej reakcję. Nic takiego nie nastąpiło, Macbeth zauważył, że Lady wcale nie jest zdziwiona. Uśmiechnęła się.

– Nie pora na zdziwienie. Jak sądzisz, co on planuje?

– Twierdzi, że solidnie nastraszył Malcolma, więc tamten będzie milczał. Ale przypuszczam, że we dwóch szykują coś, co zapewni Banquowi wyższy i pewniejszy zysk niż dałby mu sojusz ze mną.

– Kochany, nie sądzisz chyba, że stary dobry Banquo ma chrapkę na stanowisko komendanta?

– Nie, nie. Banquo zawsze chciał, aby nim kierowano, nigdy nie pragnął przewodzić. Chodzi o jego syna, Fleance'a. Jestem od niego starszy zaledwie o piętnaście lat i zanim odejdę ze stanowiska komendanta, Fleance sam może być już stary i siwy. W takim razie lepiej być następcą tronu kogoś starszego, na przykład Malcolma.

– Myśli ci się poplątały. Banquo jest zbyt lojalny na taki spisek. Sam mówiłeś, że za tobą poszedłby do piekła.

– Rzeczywiście był lojalny. Ja też byłem. – Macbeth podniósł się i stanął przed oprawionym w złote ramy lustrem na ścianie. – Ale jeśli przyjrzymy się temu bliżej, to czy ta wzajemna lojalność nie wypadała bardziej na korzyść Banqua? Czy nie był hieną depczącą lwu po piętach i żywiącą się padliną, której sama nie upolowała? Zrobiłem z niego zastępcę komendanta Gwardii, a potem wicenaczelnika Pezetu. Otrzymał więc niezłą zapłatę za te drobne przysługi, które mi wyświadczał.

– Tym bardziej możesz być pewien jego lojalności, kochany.

– I ja tak myślałem. Ale widzę teraz... – Macbeth zmarszczył czoło i zbliżył się do lustra. Przyłożył dłoń do jego tafli, jakby chciał sprawdzić, czy czegoś za nią nie ma. – Kochał mnie jak syna, ale ta miłość zmieniła się w nienawiść, kiedy napił się trucizny zazdrości. Wyprzedziłem go w awansach i chociaż to on powinien być moim szefem, stał się podwładnym. Oprócz tego, że musiał być posłuszny moim rozkazom, to jeszcze znosił milczącą, wyniosłą pogardę osoby zrodzonej z własnej krwi, Fleance'a, który widział, jak jego ojciec zgina kark przed kukułczym jajem, Macbethem. Patrzyłaś kiedyś w brązowe, lojalne oczy psa, który machając ogonem, wpatruje się w ciebie z nadzieją, że dostanie coś do jedzenia? Siedzi nieruchomo i czeka, bo tego został nauczony. Ty się do niego uśmiechasz,

głaszczesz go po łbie i nie widzisz nienawiści kryjącej się za posłuszeństwem. Nie dostrzegasz, że gdyby pies miał szansę, gdyby wiedział, że się z tego wywinie, zaatakowałby cię, rozszarpałby ci gardło, pożywiłby się twoją śmiercią i porzucił cię na wpół pożartą w brudnym korytarzu.

– Kochany, co się z tobą dzieje?

– Właśnie to mi się śniło.

– Popadasz w paranoję. Banquo jest przecież twoim dobrym przyjacielem! Gdyby planował cię zdradzić, poszedłby po prostu do Malcolma i opowiedział mu o twojej intrydze.

– Nie, on wie, że zdobędzie silniejszą pozycję, jeśli zagra wszystkimi kartami. Najpierw zabije mnie, niebezpiecznego mordercę, a potem sprowadzi Malcolma z powrotem na stanowisko komendanta. Jakiż bohaterski czyn! Takiemu człowiekowi i jego rodzinie należy się wielka nagroda!

– Naprawdę w to wierzysz?

– Nie – odparł Macbeth. Stał teraz tuż przy lustrze. Nosem dotykał szkła, które pokryło się parą. – Ja nie wierzę, ja to wiem. Widzę. Widzę ich dwóch. Banqua i Fleance'a. Powinienem uprzedzić ich działania, ale jak? – Gwałtownie odwrócił się w stronę Lady. – W jaki sposób? Musisz mi w tym pomóc, moja jedyna. Musisz pomóc nam!

Lady założyła ręce na piersi. Wprawdzie wywód Macbetha sprawiał wrażenie dość naciąganego, ale zawierał w sobie logikę. Macbeth mógł mieć rację. A nawet jeśli nie, to i tak Banquo był wtajemniczony, stał się potencjalnym świadkiem i źródłem plotek. Im mniej osób wiedziało o wszystkim, tym lepiej. I po cóż im właściwie Banquo i Fleance? Po nic. Westchnęła. Jak mawiał Jack, jeśli w blackjacku masz mniej niż dwanaście punktów, prosisz o jeszcze jedną kartę. Bo nie możesz na tym stracić.

– Zaproś ich tu na dzisiejszy wieczór – powiedziała. – Będziemy mieć nad nimi lepszą kontrolę.

– To się stanie tutaj?

– Nie, nie. Dość już zabójstw w Inverness. Kolejne mogłoby rzucić podejrzenia na nas. A poza tym odstraszyłoby klientów. To się musi wydarzyć gdzieś po drodze.

Macbeth kiwnął głową.

– Poproszę Banqua i Fleance'a, żeby przyjechali samochodem. Powiem, że obiecaliśmy komuś, że podrzucą go do domu. Wiem dokładnie, którędy będą jechać, więc jeśli poproszę, żeby stawili się punktualnie, będziemy wiedzieć co do minuty, w którym miejscu na trasie się znajdą. Wiesz co, kobieto moich snów?

Wiem, pomyślała, kiedy ją obejmował, ale i tak pozwoliła mu to powiedzieć.

– Kocham cię ponad wszystko na tej ziemi i ponad wszystko w niebie.

Duff zastał młodego chłopaka siedzącego na pachołku cumowniczym przy samym skraju nabrzeża. Deszcz akurat przestał padać i przez białą pokrywę obłoków przedzierało się więcej światła niż zwykle. Ale nad fiord nadciągały już kolejne oddziały sinoszarych chmur, gotowych dosiąść północno-zachodniego wiatru – jedynej rzeczy, jakiej w tym mieście można być pewnym.

– Jestem Duff. To ty dzwoniłeś w sprawie Malcolma?

– Fajna blizna. – Chłopak poprawił klapkę na oku. – Podobno nie jesteś już szefem narkotykowego.

– Mówiłeś, że sprawa jest pilna.

– Zawsze jest pilna, panie szefie od prochów.

– Bardzo mi to odpowiada. Gadaj!

– Płać, myślę, że tak należy powiedzieć.

– Aha, to dlatego tak się spieszy? Kiedy potrzebny ci kolejny strzał?

– Ze dwie godziny temu. A ponieważ sprawa jest na tyle ważna, że stawia się sam szef, to chyba się umówimy, że zapłacisz nie tylko za następny, ale za dziesięć następnych.

– Albo odczekam jeszcze pół godziny, a ty z radością zaczniesz gadać za pół ceny. Kolejne pół godziny i stawka znów się zmniejszy o połowę...

– Nie zamierzam zaprzeczać, panie szefie. Ale pytanie, któremu z nas bardziej się spieszy. Czytałem dziś rano w gazecie o tej historii z Malcolmem i poznałem go na zdjęciu. Tego, co się niby utopił. Zastępcę komendanta i w ogóle. Niezła historia.

– Mów, co masz do powiedzenia, chłopcze, a zapłacę ci tyle, ile to będzie warte.

Jednooki zaśmiał się cicho.

– *Sorry*, panie szefie, przestałem już wierzyć glinom. Ale dam ci pierwszy kawałek. No więc budzę się, bo trochę przysnąłem, siedzę między tamtymi rzędami kontenerów, tam można sobie strzelić w żyłę i odjechać, nie ryzykując, że ktoś cię obrabuje, co nie? Nikt mnie nie widzi, ale ja widzę jego, Malcolma. Po drugiej stronie kanału. No i co, szefie od narkotyków? Pierwszy strzał jest za darmo, ale następny kosztuje fortunę. Już to kiedyś słyszałeś? – Chłopak się roześmiał.

– Chyba aż tak się nie wciągnąłem – powiedział Duff. – Wiemy, że Malcolm tu był, bo znaleźliśmy jego samochód.

– Ale nie wiecie, że nie był tu sam. Ani z kim był.

Z drogo okupionego doświadczenia Duff wiedział, że ćpuny częściej kłamią, niż mówią prawdę, zwłaszcza jeśli w ten sposób mogą sfinansować kolejną porcję narkotyku. Ale jednocześnie na ogół wybierali prostsze i szybsze sposoby niż telefonowanie

do komendy i domaganie się rozmowy z którymś z szefów, żeby potem siedzieć godzinę na deszczu, czekając na i tak niezagwarantowaną wypłatę.

– A ty to wiesz? – spytał Duff. – Wiesz, kto to był?

– Owszem, widziałem go już wcześniej.

Duff wyciągnął portfel. Otworzył go, odliczył banknoty i podał je chłopakowi.

– Najpierw pomyślałem, że zadzwonię do Macbetha – ciągnął chłopak, przeliczając pieniądze. – Ale przyszło mi do głowy, że on może nie uwierzyć, kiedy mu powiem, kogo widziałem.

– Jakaś osobista historia?

– Ten cały Malcolm rozmawiał z przydupasem Macbetha. Z tym starym, siwym.

Duff mimowolnie jęknął.

– Z Banquiem?

– Nie wiem, jak on się nazywa. Ale widziałem go razem z Macbethem na dworcu.

– I o czym Banquo rozmawiał z Malcolmem?

– Za daleko, żeby coś usłyszeć.

– Hm... A jak ci się wydaje, o czym mogli mówić? Słyszałeś śmiech? Czy raczej podniesione, rozgniewane głosy?

– Trudno powiedzieć, deszcz walił o kontenery, a oni stali głównie odwróceni do mnie plecami. Możliwe, że się kłócili, przez chwilę wyglądało to tak, jakby ten stary wymachiwał giwerą. Ale potem się uspokoili, wsiedli do volva PV i odjechali. Stary prowadził.

Duff podrapał się w głowę. Współpraca między Banquiem a Malcolmem?

– To za dużo. – Chłopak oddał mu jeden banknot.

Duff spojrzał zdziwiony. Ćpun, który wydaje resztę? Wziął pieniądze.

– Powiedziałeś mi o tym nie tylko po to, żeby mieć kasę na działkę, prawda?

– Że co?

– Twierdzisz, że przeczytałeś gazetę i zrozumiałeś, że chodzi o jakąś wielką sprawę. I rzeczywiście jest wielka. Tak wielka, że gdybyś zadzwonił z tą historyjką do któregokolwiek dziennikarza, dostałbyś dziesięć razy tyle. Więc albo to Hekate cię wysłał, żebyś rozsiewał fałszywe informacje, albo masz jeszcze jakiś inny plan.

– Niech cię diabli porwą, panie szefie od narkotyków.

Duff chwycił ćpuna za kołnierz kurtki i ściągnął z pachołka. Chłopak prawie nic nie ważył.

– Posłuchaj! – Duff starał się nie wdychać zgniłego oddechu. – Mogę cię zapuszkować i zobaczymy, jak na to wszystko spojrzysz na głodzie. Ze świadomością, że masz przed sobą dwa dni wędrówki przez pustynię. Chyba że mnie przekonasz tu i teraz, dlaczego się do mnie zgłosiłeś. Masz pięć sekund na to, żeby zacząć. Cztery...

Chłopak patrzył na niego zimno.

– Trzy.

– Pieprzony gliniarzu, jesteś kompletnie...

– Dwa...

– Oko.

– Jeden...

– Oko, powiedziałem.

– Co to znaczy?

– Chcę wam po prostu pomóc w złapaniu tego, który mi zabrał oko.

– To znaczy kogo?

Chłopak prychnął.

– Tego, który stale was robi w jajo. Nie zrozumieliście, że to on za tym wszystkim stoi? Tylko jednemu człowiekowi w tym mieście zabicie komendanta policji może ujść na sucho. Niewidzialnej Ręce.

– Hekate?

14

Macbeth jechał błotnistą drogą między starymi halami fabrycznymi. Poniedziałkowe szare chmury wisiały nad kominami tak nisko, że trudno było się zorientować, które dymią, ale na części bram znajdowały się tabliczki z napisem *ZAMKNIĘTE* albo łańcuchy zawiązane niczym pełne ironii kokardy.

Konferencja prasowa minęła bezboleśnie. Bezboleśnie, bo Macbeth był na takim haju, że nie mógł nic poczuć. Skupił się na tym, by siedzieć wyluzowany, z założonymi rękami, a udzielanie odpowiedzi na pytania pozostawił Lennoxowi i Caithness. Z wyjątkiem tych kierowanych bezpośrednio do niego, na które odpowiadał: „W obecnej chwili nie możemy tego komentować", serwując przy tym taką minę, jakby mieli cholernie dużo informacji i pełną kontrolę. Spokój i bezpieczeństwo. Miał nadzieję, że takie właśnie wrażenie sprawia pełniący obowiązki komendanta policji, który nie ulega histerii wokół siebie, a na wykrzykiwane pretensje dziennikarza: „...czy mieszkańcy nie mają prawa wiedzieć..." reaguje lekko zrezygnowanym, wyrozumiałym uśmiechem.

Owszem, Kite, reporter radiowy, ten z gardłowym „r", w materiale nadanym tuż po konferencji prasowej stwierdził, że pełniący obowiązki komendanta policji dużo ziewał, sprawiał wrażenie niezaangażowanego i często patrzył na zegarek. Ale do diabła z Kite'em! W każdym razie w Wydziale Patrolowym

uznano, że nowy komendant jest dostatecznie zaangażowany, kiedy zajrzał do nich osobiście i przeniósł patrole z Dystryktu 2 Zachód do Dystryktu 1 Wschód. Wyjaśnił, że najwyższa pora, by radiowozy jeździły również po osiedlach zamieszkanych przez zwykłych zjadaczy chleba, i podkreślił, że to ważny sygnał. Trzeba pokazać, że policja patroluje nie tylko dzielnice, w których bywają zamożni i wpływowi.

A tak jak Kite był zły, tak Banquo był zadowolony, kiedy dostał zaproszenie na kolację z informacją, że ma zabrać również Fleance'a.

– Dobrze by było, żeby chłopak zaczął się oswajać z tymi, którzy naprawdę coś znaczą – powiedział Macbeth. – A ty powinieneś się zastanowić, czego byś chciał. Przejąć Gwardię, Pezet czy zostać zastępcą komendanta?

– Ja?

– Nie stresuj się, Banquo, po prostu się nad tym zastanów, okej?

Banquo śmiał się i kręcił głową, jak zawsze pogodny. Jakby nie miał żadnej złej myśli. A w każdym razie żadnych wyrzutów sumienia z jej powodu. No cóż, dziś wieczorem zdrajca spotka się ze swoim stwórcą i niszczycielem.

W bramie do klubu Norse Riders nikt nie stał. Pewnie brakowało ludzi do pełnienia dyżurów.

Macbeth wysiadł z samochodu i ruszył przez dziedziniec. Zatrzymał się w drzwiach i rozejrzał. Miał wrażenie, że stał tu obok Duffa i rozglądał się po tym samym pomieszczeniu całe wieki temu. Teraz nie było już podłużnego wielkiego stołu, tylko przy barze stało trzech facetów z obwisłymi brzuchami w klubowych kurtkach i dwie kobiety ze sterczącymi biustami. Jedna z niemowlęciem, wywijającym nóżkami i podtrzymywanym przez umięśnioną matczyną rękę z wytatuowanym imieniem Sean.

– Colin, czy to nie jest... – szepnęła.

– No – odpowiedział łysy facet z wąsami morsa, który stał koło niej. – To on tak załatwił Seana.

Macbeth przypomniał sobie to imię z raportu. Dziwne, że stale zapominał imiona nowo poznanych osób, ale nigdy te, o których pisano w raportach. Sean. To właśnie on trzymał wtedy wartę w bramie. To jemu Macbeth wbił sztylet w bark, a potem wykorzystali go jako zakładnika, jeden z tych, którzy ciągle siedzieli w areszcie.

Mężczyźni spojrzeli na Macbetha z wściekłością. Odetchnął głęboko. Było tak cicho, że kiedy podchodził do baru, słyszał, jak trzeszczą deski podłogi. Zwrócił się do skórzanej kurtki za kontuarem i w momencie, gdy otwierał usta, przemknęło mu jeszcze przez głowę, że nie powinien był przed wyjściem z komendy wciągać tej ostatniej kreski, bo wywar dodawał mu zuchwałości. Słuszność tej niespokojnej myśli potwierdziły w następnej chwili jego własne słowa:

– Coś mało ludzi dzisiaj. Gdzie się wszyscy podziali? Aha, już wiem, w pierdlu. Albo w trupiarni. Proszę o jeden glendoran.

Macbeth zobaczył, że barman ucieka wzrokiem, i już wiedział, że atak nadciąga z lewej strony, lecz ciągle jeszcze zostało morze czasu. Zawsze miał dobry refleks, ale na wywarze reagował jak mucha. Potrafił ziewnąć, podrapać się w plecy i obserwować zegarek, na którym wskazówka sekundnika poruszała się z nieprawdopodobną ospałością, podczas gdy ręka kierowała się w jego stronę. Ale potem, w chwili, gdy Colinowi z wąsami morsa wydawało się już, że trafił, Macbeth odchylił się do tyłu i pięść celująca w jego świeżo ostrzyżoną skroń uderzyła w powietrze. Macbeth uniósł łokieć i zamachnął się nim w bok. Prawie nie poczuł zderzenia, usłyszał tylko jęk, trzask chrząstki, chwiejne kroki i rumor wywracanych stołków barowych.

– Z lodem – dodał.

Potem odwrócił się do stojącego obok mężczyzny, w samą porę, by zobaczyć, że ten już zacisnął prawą rękę w pięść i gotuje się do zadania ciosu przez odciągnięcie barku w tył. Gdy uderzenie wreszcie padło, Macbeth podniósł rękę i spotkał się z Colinem w pół drogi. Zamiast jednak znajomego dźwięku kości uderzającej o kość rozległ się miękki odgłos stali wbijającej się w ciało, a następnie stłumione plaśnięcie, gdy knykcie Colina uderzyły o jelec. Potem dał się słyszeć przeciągły krzyk, gdy mężczyzna odkrył ostrze sztyletu przebijające zaciśniętą pięść i dalej zagłębiające się w przedramię. Macbeth wyrwał sztylet mocnym szarpnięciem.

– I trochę wody sodowej.

Facet z wąsami morsa osunął się na kolana.

– Co tu się, u diabła, dzieje? – dobiegł jakiś głos. Z bocznych drzwi, tych do garażu, wyłonił się typ z wielką brodą, w skórzanej kurtce z trzema krokiewkami na każdym ramieniu. A do tego z obrzynem w rękach.

– To zwyczajne zamówienie. – Macbeth odwrócił się do barmana, który jeszcze nie ruszył się z miejsca.

– Zamówienie czego? – Mężczyzna podszedł bliżej.

– Whisky. Między innymi.

– I czego jeszcze?

– Ty jesteś Sierżant. To ty zawiadujesz tą budą pod nieobecność Swena, prawda? A tak w ogóle to gdzie on się tym razem schował?

– Mów, po co przyszedłeś, i spieprzaj stąd, glino!

– Nie chcę źle się wyrażać o tym miejscu, ale obsługa mogłaby być sprawniejsza i bardziej uprzejma. Może porozmawialibyśmy w spokoju na zapleczu, Sierżancie?

Mężczyzna przyglądał mu się przez chwilę, aż w końcu opuścił lufę obrzyna.

– Dużo więcej szkód już i tak nie możecie tu narobić.

– Wiem. A Swenowi spodoba się moje zamówienie, gwarantuję.

W kantorku Sierżanta – bo tym w istocie było to miejsce – na ścianach wisiały plakaty z motocyklami, a na półkach mieścił się cały magazyn części, ale stały też biurko, telefon i szafka z szufladami. Oraz krzesło dla gości.

– Tylko za bardzo się tu nie rozsiadaj, gliniarzu.

– Mam zamówienie na likwidację.

Nawet jeśli Sierżant był zszokowany, nie pokazał tego po sobie.

– Zły adres. Nie świadczymy już takich usług dla glin.

– Więc te pogłoski to prawda? Zdarzało się, że likwidowaliście ludzi na zlecenie podwładnych Kennetha?

– Jeśli nie mogę pomóc w niczym więcej...

– Tyle że tym razem nie chodzi o waszą konkurencję. – Macbeth, siedząc na krześle, lekko się pochylił. – Tylko o dwóch gliniarzy. A zapłatą za to będzie niezwłoczne zwolnienie twoich ridersów i wycofanie zarzutów. Oczywiście już po wszystkim. Sierżant uniósł brew.

– A jak by to się miało udać?

– Błędy proceduralne. Zacieranie dowodów. Takie głupie rzeczy dzieją się u nas przez cały czas. A kiedy komendant policji mówi, że sprawy nie ma, to nie ma.

Sierżant skrzyżował ręce na piersi.

– Mów dalej.

– Z tych dwóch, którymi trzeba się zająć, jeden zatroszczył się o to, żeby narkotyki – wasza gwarancja na przeżycie – wpadły do fiordu. Komisarz Banquo.

Sierżant powoli skinął głową.

– Ten drugi to dopiero zadatek na gliniarza. Będzie jechał tym samym samochodem.

– A dlaczego trzeba ich załatwić?

– To ważne?

– Zwykle bym nie pytał, ale rozmawiamy o policjantach. A to oznacza, że zrobi się wielki hałas.

– Nie z ich powodu. Wiemy, że komisarz Banquo współpracuje z Hekate, tylko na razie nie potrafimy tego udowodnić, więc musimy się go pozbyć w inny sposób. Według nas ten jest najlepszy.

Sierżant znów kiwnął głową. Macbeth spodziewał się, że taka właśnie logika do niego przemówi.

– Skąd możemy wiedzieć, że dotrzymasz swojej części ewentualnej umowy?

– No cóż. – Macbeth popatrzył zmrużonymi oczami na dziewczynę z kalendarza wiszącego nad głową Sierżanta. – W barze jest pięcioro świadków, którzy zeznają, że pełniący obowiązki komendanta policji Macbeth był tu osobiście i chciał złożyć zamówienie. Nie sądzisz chyba, że mam ochotę dać wam powód, abyście to upublicznili.

Sierżant odchylił się razem z krzesłem, tak że oparcie dotykało ściany, i przyglądał się Macbethowi, burcząc przy tym coś w brodę.

– Gdzie i kiedy miałoby do tego dojść?

– Dziś wieczorem. Znasz Wzgórze Wisielców w Dystrykcie Dwa Zachód?

– Powiesili tam mojego prapradziadka.

– Na głównej drodze. Na wysokości uliczek, gdzie ci z zachodnich dzielnic przychodzą na zakupy, jest duże skrzyżowanie ze światłami.

– Wiem, o którym mówisz.

– Będą jechać czarnym volvem PV, które dotrze na to skrzyżowanie między wpół do siódmej a za dziesięć. Przypuszczalnie za kwadrans siódma, to punktualny człowiek.

– Hm. Za dużo patroli w tej okolicy.

– Nie dzisiaj – uśmiechnął się Macbeth.

– Ach tak? Wobec tego zastanowię się i dam ci odpowiedź przed czwartą.

Macbeth się roześmiał.

– Chcesz powiedzieć, że Sweno się nad tym zastanowi. W porządku. Weź długopis, podam ci numer telefonu do mnie i numer rejestracyjny volva. I jeszcze jedno.

– Tak?

– Chcę dostać ich głowy.

– Że co?

– Tych dwóch gliniarzy. Chcę mieć ich głowy. Dostarczone pod drzwi.

Sierżant wpatrywał się w Macbetha, jakby zobaczył szaleńca.

– Klient życzy sobie pokwitowanie – wyjaśnił Macbeth. – Ostatnio, kiedy zamawiałem likwidację, nie poprosiłem o paragon. Co okazało się błędem, bo zamówienia nie zrealizowano.

Dopiero późnym popołudniem Duff zdołał podjąć decyzję.

Wówczas jego myśli już od wielu godzin krążyły po mózgu, w którym ruch odbywał się tak powoli, a na ich drodze pojawiły się takie możliwości wyboru, jak na tej, która ciągnęła się przed nim. Na moście Kennetha ciągle jeszcze nie ustawiono nowej balustrady, więc cały ruch na wschód kierowano na Stary Most i korek ciągnął się w głąb Dystryktu 2, gdzie samochód Duffa wlókł się od świateł do świateł, jakby wszyscy zadawali sobie pytanie: jak będzie najszybciej – w prawo, w lewo czy prosto.

Osobiste światła drogowe Duffa wyglądały następująco:

Czy ma iść do Macbetha i pozostałych z tym, czego dowiedział się w porcie?

Czy może raczej powinien to zostawić? No bo co, jeśli jednooki nie mówił prawdy lub jeśli Banquo zdoła odeprzeć zarzuty? Jakie byłyby konsekwencje dla Duffa, gdyby w tej chaotycznej sytuacji wysunął fałszywe oskarżenia wobec Banqua, który razem z Macbethem nagle stał się wielką osobistością?

Oczywiście Duff mógł przedstawić informację w takiej formie, w jakiej ją otrzymał, żeby Lennox i Macbeth ocenili ją sami, ale tym samym zrezygnowałby z szansy na osobisty triumf, czyli własnoręczne aresztowanie i ujawnienie zdrady Banqua.

Z drugiej jednak strony nie mógł sobie pozwolić na kolejny blamaż po tamtym solowym występie w porcie kontenerowym. Zapłacił za to Pezetem, a kolejny wygłup pewnie kosztowałby go stanowisko, które już miał.

Następne skrzyżowanie ze światłami: Pezet znów wszedł do puli i gdyby Macbeth utrzymał się na stanowisku komendanta, a Duff śmiało i z powodzeniem wykorzystał swoją szansę, Pezet mógł mimo wszystko należeć do niego.

Zastanawiał się, czy nie naradzić się z Caithness, ale wtedy by się podłożył, nie mógłby odgrywać nieświadomego i musiałby coś zrobić. Zaryzykować.

Droga, którą w końcu wybrał, nie była zbyt ryzykowana, lecz mimo wszystko chwała przypadnie jemu, jeśli pójdzie tak, jak na to liczył.

Zjechał z niewielkiego mostu kolejowego i skręcił na plac przed skromnym murowanym budynkiem po drugiej stronie. Przebycie krótkiego odcinka między komendą a domem Banqua zajęło mu ponad trzy kwadranse.

– Duff! – Banquo otworzył zaledwie kilka sekund po dzwonku do drzwi. – Co się dzieje?

– Wygląda na to, że szykuje się impreza.

– Owszem, i właśnie dlatego nie mogę się zdecydować, czy mam go ze sobą zabrać, czy nie. – Banquo podniósł kaburę ze służbowym pistoletem.

– Lepiej zostaw. Garnitur będzie się wybrzuszać. Ale krawat zawiązany w ten sposób nie wchodzi w grę.

– Nie? – Banquo opuścił głowę, dotykając brodą kołnierzyka białej koszuli i na próżno usiłując zobaczyć węzeł własnego krawata. – Wiążę tak krawat od pięćdziesięciu lat, od mojej konfirmacji.

– To jest węzeł biedaka, Banquo. Poczekaj, zaraz ci pokażę, jak to ma wyglądać.

Banquo powstrzymał pomocną rękę Duffa, zasłaniając krawat.

– Ja jestem biedakiem, Duff. A poza tym wydaje mi się, że przyszedłeś tu po pomoc, a nie po to, żeby samemu pomagać.

– Zgadza się, Banquo. Mogę wejść?

– Mógłbyś nawet dostać kawy, ale niestety wychodzimy. – Banquo odłożył kaburę na półkę na kapelusze i krzyknął w górę schodów: – Fleance!

– Idę! – padła odpowiedź.

– Zaczekajmy na niego tutaj. – Banquo zapiął płaszcz.

Stanęli na zadaszonych, pomalowanych na biało, murowanych schodach. Deszcz śpiewnie spływał z rynien. Banquo poczęstował Duffa papierosem, a kiedy tamten odmówił, sam zapalił.

– Wróciłem dziś do portu kontenerowego – oznajmił Duff. – Spotkałem tam chłopaka, jednego z naszych młodych narkomanów. Chciał ze mną rozmawiać. Ma tylko jedno oko. Opowiedział mi, w jaki sposób stracił to drugie.

– Tak?

– Był na straszliwym głodzie, ale kompletnie spłukany. Chodził po dworcu. Nagle zobaczył jakiegoś staruszka i zaczął u niego żebrać o pieniądze. Stary miał spacerową laskę ze złotym okuciem.

– Hekate?

– Stary zatrzymał się, wyjął z kieszeni torebeczkę, którą pomachał chłopakowi przed nosem, i powiedział, że to wywar pierwszej klasy, prosto z kotła. Obiecał, że chłopak go dostanie, pod warunkiem że zrobi dla niego dwie rzeczy. Najpierw miał odpowiedzieć na pytanie, który zmysł najbardziej boi się stracić. Kiedy chłopak powiedział, że wzrok, tamten oświadczył, że chce od niego jedno oko.

– No tak, to musiał być Hekate.

– Chłopak spytał, po co mu jego oko. Hekate odparł, że ma już wszystko, więc może chcieć tylko czegoś, co jest najcenniejsze dla kupującego, a nie dla niego samego. No i przecież odbiera mu jedynie połowę wzroku, nawet tyle nie. Przecież jego drugie oko będzie później warte o wiele więcej. Tak, strata i zysk niemal się wyrównają.

– Tego już nie rozumiem.

– Możliwe, ale niektórzy ludzie tacy już są. Bardziej pragną samej władzy niż tego, co władza może im dać. Wolą raczej posiadać bezwartościowe drzewo niż jadalny owoc, który na nim rośnie, byle tylko mogli na nie wskazać i powiedzieć „to moje". A potem je ściąć.

Banquo wydmuchał dym.

– I co wybrał ten chłopak?

– Babochłop, który towarzyszył staruszkowi, pomógł mu wyjąć oko. A kiedy ćpun dał sobie w żyłę, zapomniał o całym bólu, jaki kiedykolwiek czuł. Wygładziły się wszystkie blizny, zniknęły

wszystkie złe wspomnienia. To było tak fantastyczne, że chłopak po dziś dzień nie może powiedzieć, że żałuje.

– A czego szukał, kiedy go dzisiaj spotkałeś?

– Tego samego. Plus człowieka, który zabrał mu oko tylko dlatego, że mógł to zrobić.

– No to musi się ustawić w kolejce tych, którzy chcą dopaść Hekate.

– Doszedł do wniosku, że raczej pomoże nam go złapać.

– A jak nieszczęsny niewolnik wywaru miałby to zrobić?

– Ten tak zwany list pożegnalny usiłuje zrzucić winę na Norse Ridersów. Ale zdaniem chłopaka za wszystkim stoi Hekate. I za listem, i za zabójstwem Duncana. Uważa też, że Hekate sprzymierzył się z Malcolmem. Może również z innymi policjantami.

– To ostatnio dość popularna teoria. – Banquo strzepnął popiół z papierosa i spojrzał na zegarek. – Dostał za to jakieś pieniądze?

– Nie. Nie dostał nic, dopóki nie powiedział, że tuż przed zniknięciem Malcolma widział go na nabrzeżu. Malcolm był razem z tobą.

Papieros wędrujący do ust Banqua znieruchomiał, a Banquo się roześmiał.

– Ze mną? Nie przypuszczam.

– Chłopak opisał i ciebie, i twój samochód.

– Nie było tam ani mnie, ani mojego samochodu. I trudno mi uwierzyć, że mogłeś publicznymi pieniędzmi zapłacić za coś takiego. Tylko który z was blefuje? Tamten ćpun czy ty teraz?

Powiało chłodem. Duff się wzdrygnął.

– Chłopak twierdzi, że zobaczył Malcolma razem ze starszym facetem, którego widywał w towarzystwie Macbetha. I volvo PV. I pistolet. Nie zapłaciłbyś za taką informację, Banquo?

– Wyłącznie w akcie desperacji. – Banquo zgasił niedopałek o żelazną balustradę. – I nawet wtedy bym się nie zdecydował, gdyby to miało uderzyć w kolegę policjanta.

– No tak, bo ty wysoko cenisz lojalność, prawda?

– Policja nie może działać bez lojalności poszczególnych jednostek, to warunek jej istnienia.

– A więc jak daleko sięga twoja lojalność wobec policji?

– Jestem prostym człowiekiem, Duff, i nie rozumiem, do czego pijesz.

– Jeśli naprawdę mówisz szczerze, musisz nam wydać Malcolma. Dla dobra całej naszej formacji. Dla dobra tego miasta. – Duff ręką wskazał na szarą zasłonę deszczu i mgły. – Gdzie w Capitolu ukrywa się morderca Duncana?

Banquo zdmuchnął popiół z niedopałka i schował go do kieszeni płaszcza.

– Nic nie wiem o Malcolmie. Fleance! Przepraszam, komisarzu, ale musimy zdążyć na tę kolację.

Duff skoczył za Banquiem, który zszedł po trzech stopniach na deszcz.

– Porozmawiaj ze mną, Banquo! Widzę, że ciążą ci wyrzuty sumienia i poczucie winy. Nie jesteś złym, przebiegłym człowiekiem, po prostu zwiedli cię na pokuszenie wyżsi rangą niż ty. Uwierzyłeś w ich zdolność osądu. A oni cię oszukali. Jego trzeba złapać, Banquo!

– Fleance! – ryknął Banquo w stronę domu, jednocześnie otwierając kluczykami samochód, który stał na podwórzu.

– Chcesz, żebyśmy dalej nakręcali tę spiralę chaosu i anarchii, Banquo? Nasi przodkowie budowali kolej i szkoły, my stawiamy burdele i kasyna.

Banquo wsiadł do auta i dwa razy zatrąbił. Wreszcie otworzyły się drzwi i Fleance w garniturze wyszedł na schody, siłując się z parasolem.

Duff zobaczył, że Banquo lekko uchylił szybę, prawdopodobnie po to, żeby okna nie zaparowały od środka. Duff wsunął ręce między jej krawędź a dach samochodu i nacisnął, próbując ją jeszcze bardziej opuścić i mówiąc przez szparę:

– Posłuchaj, Banquo. Jeśli się zdecydujesz, jeżeli się przyznasz, niewiele będę mógł dla ciebie zrobić, dobrze o tym wiesz. Ale obiecuję, że nikt nie tknie Fleance'a. Jego widoki na przyszłość nie będą widokami syna zdrajcy, tylko człowieka, który poświęcił się dla dobra miasta. Masz na to moje słowo.

– Pan to komisarz Duff, prawda?

Duff się wyprostował.

– Cześć, Fleance. Owszem, zgadza się. Miłego wieczoru.

– Dziękuję!

Duff odczekał, aż Fleance zajmie miejsce pasażera, a Banquo uruchomi silnik. Dopiero wtedy ruszył w stronę własnego samochodu.

– Duff!

Banquo otworzył drzwiczki.

– Nie jest tak, jak ci się wydaje! – zawołał.

– Nie?

– Nie. Spotkaj się ze mną o północy koło Berthy.

Duff skinął głową.

Banquo wrzucił bieg. Volvo z ojcem i synem wyjechało przez bramę i zniknęło we mgle.

Lady weszła na ostatnie szczeble metalowej drabiny prowadzącej do wyjścia na płaski dach Inverness. Otworzyła drzwi i zapatrzyła się w ciemność. Słychać było jedynie mamroczący szept deszczu. Miała wrażenie, że wszystko i wszyscy skrywają swoje tajemnice. Już chciała zawrócić do środka, gdy błyskawica z hukiem oświetliła dach – i wtedy go zobaczyła. Stał przy samej krawędzi, spoglądając w dół na ulicę Skromną, która biegła na tyłach Inverness. Zanim Lady skłoniła Radę Miasta do zaprowadzenia tu porządku, dziwki wystawały w słabo oświetlonym zaułku i nie tylko oferowały swoje wdzięki, lecz również świadczyły usługi – właśnie tam, w bramach, w samochodach albo na ich maskach, lub po prostu pod ścianą. Mówiono, że gdy mieścił się tu zarząd kolei, dyrektor kazał zamurować wszystkie okna wychodzące na Skromną, aby zatrudnieni przez niego urzędnicy koncentrowali się na pracy, a nie na bezeceństwach, które mogli tam oglądać.

Lady rozłożyła parasol i podeszła do Macbetha.

– Stoisz tu i mokniesz, kochany? Szukałam cię, goście niedługo przyjdą. – Spojrzała na czarne, gładkie, pozbawione okien ściany, które otaczały ulicę Skromną niczym twierdza. Znała każdy metr tej ulicy. I już to samo w sobie było powodem do pozostawienia okien zamurowanych. – Co widzisz tam w dole?

– Przepaść – odparł. – Lęk.

– Nie bądź taki ponury, kochany.

– Nie?

– Jaki sens miałyby wszystkie nasze zwycięstwa, gdyby nie wywoływały uśmiechu na naszych ustach?

– Wygraliśmy dopiero parę bitew, wojna ledwie się zaczęła, a mnie już zżera lęk, który bierze się nie wiadomo skąd. Wolałbym raczej mieć do czynienia z uzbrojonym gangiem motocyklistów niż z tą żmiją, którą rozdrażniliśmy, ale jej nie zabiliśmy.

– Przestań, kochany. Nikt nas teraz nie zatrzyma.

– Duncan. To jego widzę tam w dole. I mu zazdroszczę. On już nie żyje, zapewniłem mu spokój. A na mnie ściąga tylko niepokój i koszmary.

– To przez wywar, prawda? Te koszmary wywołuje wywar.

– Kochana...

– Pamiętasz, co powiedziałeś o Collumie? Mówiłeś, że wywar doprowadza ludzi do szaleństwa. Musisz z nim skończyć, inaczej ryzykujesz, że stracisz wszystko, co zyskaliśmy. Słyszysz? Ani odrobiny więcej tego eliksiru wiedźm!

– Moje koszmary wcale nie są przywidzeniem. Dzwonił do mnie Sierżant. Zgodził się na ten interes. A może już zapomniałaś o wielkiej zbrodni, którą zaplanowaliśmy na dzisiejszy wieczór? Wyparłaś z pamięci, że mój jedyny ojciec i najlepszy przyjaciel ma zostać zaszlachtowany?

– Nie wiem, o czym mówisz, i ty też nie wiesz. Kiedy stało się coś, co się nie odstanie, nie ma sensu dłużej się tym zadręczać. A wywar nie przyniesie ci pociechy ani odwagi. Zaczął się domagać zapłaty, którą jest twoja dusza, więc nie tykaj go więcej! Załóż krawat, ukochany. I uśmiech. – Ujęła go za rękę. – Chodźmy, spróbujmy ich oczarować.

Caithness siedziała w fotelu, z kieliszkiem czerwonego wina w dłoni, słuchała deszczu bębniącego o okno w dachu i głosu Kite'a w radiu. Mówił o problemach, jakie stwarza większa w praktyce władza pełniącego obowiązki komendanta policji aniżeli demokratycznie wybranego burmistrza, a taki właśnie skutek przyniosło grzebanie Kennetha w miejskich ustawach i statutach. Caithness podobało się gardłowe „r" dziennikarza i jego spokojny głos. Podobało jej się też to, że Kite nie boi się chełpić swoją wiedzą i inteligencją. Ale najbardziej podobało jej się, że on zawsze był

przeciw. Przeciw Kennethowi, przeciw Tourtellowi, tak, nawet przeciw Duncanowi, który sam przecież też był przeciw.

Kite kroczył samotną drogą. A kto chciałby być samotny, skoro mógł nie być?

Czasami zastanawiała się, czy nie wysłać do jego stacji radiowej anonimowego listu, napisać, jakie poczucie bezpieczeństwa daje świadomość istnienia tak zasadniczych ludzi jak on, podejmujących się zadania samotnego, nieulękłego psa stróżującego.

À propos. Czy ten odgłos od drzwi wejściowych nie dobiegł już po raz drugi? Ściszyła radio. Nasłuchiwała. Znów to samo. Na palcach podeszła do drzwi i przyłożyła do nich ucho. Znajome skrzypienie. Otworzyła.

– Duff, co robisz?

– Eee... hm... stoję. I myślę. – Ręce miał zanurzone głęboko w kieszeniach płaszcza i kołysał się na stopach w swoich za dużych butach ze skrzypiącymi podeszwami.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś do drzwi?

– Dzwoniłem. Hm... Widać dzwonek nie działa.

Caithness otworzyła drzwi na oścież, ale Duff dalej stał, jakby się zgubił.

– Skąd taka ponura mina?

– Ja jestem ponury?

– Przepraszam, rozumiem, że nie za bardzo jest się z czego śmiać. Ale wchodzisz czy nie?

Uciekł wzrokiem.

– Mogę tu zostać do północy?

– Oczywiście. Tylko wejdź do środka, bo mi zimno.

Sierżant oparł dłonie na kierownicy hondy CB450 „Black Bomber". Sprawił ją sobie niespełna pięć lat temu i w dobre dni był w stanie wycisnąć z niej sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. A mimo to

miał wrażenie, że jest już trochę za stara, odkąd firma wypuściła na rynek supermotocykl CB750. Spojrzał na zegarek. Za szesnaście siódma. Popołudniowe godziny szczytu minęły, zmierzch zapadł wcześnie. Stojąc przy drodze, Sierżant miał na oku każdy samochód wjeżdżający na skrzyżowanie przy Wzgórzu Wisielców. Sweno przysłał im posiłki z oddziału klubu na południu; trzej członkowie, tak zwani kuzyni, dosiedli swoich maszyn i dotarli do miasta w mniej niż trzy godziny. Czekali teraz w gotowości przy dystrybutorach na stacji benzynowej na drodze, którą miało nadjechać to auto. Starannie sprawdzali modele i tablice rejestracyjne. Po drugiej stronie skrzyżowania Sierżant widział Colina w słupołazach, stojącego przy skrzynce elektrycznej na jednym z sygnalizatorów. Do tej pory mieli tylko jedną rozrywkę – kiedy Colin, przeprowadzając próbę, wetknął śrubokręt do skrzynki i dwa razy przekręcił. Gwałtownie zapiszczały hamulce na drodze, bo nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, zielone światło zmieniło się na czerwone. Parę sekund później, kiedy zielone znów się zapaliło, ponownie wzrosły obroty silników, ostrożnie, z wahaniem, i samochody ruszyły dalej, jakby się skradając, a Sierżant przednimi światłami zasygnalizował Colinowi, że wszystko zadziałało jak należy.

Jeszcze raz spojrzał na zegarek. Za piętnaście siódma.

Sweno potrzebował trochę czasu na podjęcie decyzji, ale Sierżant miał wrażenie, że szef wstrzymywał się z odpowiedzią raczej z ostrożności niż wiedziony rzeczywistymi wątpliwościami. Potwierdziło się to, kiedy przed bramę klubu zajechali trzej kuzyni z południa – na chopperze Harley-Davidson z wysoką kierownicą, harleyu FL 1200 Electra Glide i radzieckim uralu z boczną przyczepką i mocowaniem dla karabinu maszynowego. Facet, który przyjechał electra glide'em, przywiózł ze sobą miecz. Co prawda nie

była to zakrzywiona szabla Swena, ale powinien poradzić sobie z robotą.

Za czternaście siódma.

– Fleance...

Coś w głosie ojca kazało Fleance'owi na niego spojrzeć. Banquo był zawsze spokojny, ale kiedy działo się coś naprawdę złego, zaczynał mówić tym swoim jeszcze spokojniejszym głosem. Takim jak wtedy, kiedy Fleance miał siedem lat, a ojciec wrócił do domu ze szpitala od mamy i zaczął od wymówienia imienia Fleance'a w taki sam straszliwie spokojny sposób jak teraz.

– Tak, tato?

– Nastąpiła pewna zmiana planów na dzisiejszy wieczór. – Ojciec zjechał na drugi pas, ustawił się za fordem galaxie. – I na najbliższe dni.

– Jak to?

– Pojedziesz do Capitolu. Dziś wieczorem.

– Do Capitolu?

– Coś się wydarzyło. Będziesz miał mnóstwo pytań, synku, ale akurat w tej chwili nie dostaniesz na nie odpowiedzi. Wyrzucisz mnie przy Inverness, a sam od razu ruszysz dalej. Zajrzysz do domu, weźmiesz tylko najpotrzebniejsze rzeczy i pojedziesz do Capitolu. Jedź spokojnie i nie za szybko, a dotrzesz tam jutro w ciągu dnia, jasne?

– Tak, ale...

– Żadnych pytań. Zostaniesz kilka dni, może tygodni. Jak wiesz, twoja matka odziedziczyła malutkie mieszkanko, które stoi puste. Wyjmij ze schowka notes!

– To jednopokojowe, które nazywała szczurzą norą?

– Tak. Chyba nic dziwnego, że nigdy nie udało nam się go sprzedać. Ale teraz powiem: całe szczęście. Adres to Garbarska

sześćdziesiąt sześć w Dystrykcie Sześć. Ściana w ścianę z nocnym klubem Delfin. Trzecie piętro na prawo. Tam znajdziesz bezpieczną przystań. Zanotowałeś?

– Tak. – Fleance wyrwał kartkę i wrzucił notes z powrotem do schowka na rękawiczki. – Ale chyba potrzebny mi klucz. No bo kto mi otworzy, jeśli mieszkanie jest puste?

– Nie jest puste.

– Lokator?

– Właściwie go nie wynająłem, ale pozwoliłem tam mieszkać biednemu kuzynowi Alfiemu. Jest już tak stary i głuchy, że nie wiadomo, czy w ogóle ci otworzy, kiedy zadzwonisz. Ale z tym jakoś będziesz musiał sobie poradzić.

– Tato...

– Tak?

– Czy to ma jakiś związek z tym, czego chciał Duff? Sprawiał wrażenie bardzo... natrętnego.

– Owszem, ale nie zadawaj mi więcej pytań, Fleance. Po prostu tam zostań, weź ze sobą podręczniki, poczytaj je, ponudź się, tylko żadnych telefonów, żadnych listów. Nikomu ani słowa, że tam jesteś. Zrób tak, jak mówię. A ja po ciebie poślę, kiedy będziesz już mógł bezpiecznie wrócić.

– A ty będziesz bezpieczny?

– Słyszałeś, co powiedziałem.

Fleance kiwnął głową.

Przez chwilę jechali w milczeniu, tylko zniszczona guma wycieraczek piszczała cicho, ocierając się o przednią szybę. Brzmiało to, jakby próbowała coś im przekazać.

– Tak – odezwał się w końcu Banquo. – Będę bezpieczny. I nie przejmuj się tym, co powiedzą w wiadomościach. Prawdopodobnie będą powtarzać same kłamstwa. Akurat w tej chwili oprócz Alfiego

mieszka tam ktoś jeszcze. Wydaje mi się, że śpi na podłodze na materacu, więc ty możesz zająć kanapę. Chyba że szczury ją zżarły.

– Zabawne. Obiecujesz, że będziesz na siebie uważał?

– Nie martw się o mnie.

– Czerwone!

Banquo gwałtownie zahamował i prawie walnął w zderzak galaxie, który najwyraźniej również nie uchwycił żadnej zapowiedzi zmiany świateł.

– Proszę. – Banquo wręczył synowi gruby, zniszczony portfel. – Weź pieniądze, wystarczą ci na jakiś czas.

Fleance wyjął banknoty.

– Cholernie długo to czerwone... – usłyszał mamrotanie ojca.

Fleance spojrzał we wsteczne lusterko. Za nimi ustawiła się już długa kolejka aut. Po jej zewnętrznej stronie sunął rząd motocykli.

– Dziwne – powiedział ojciec. I znów ten stanowczo zbyt spokojny głos. – Wygląda na to, że ci na przecznicy też mają czerwone. I to już od pewnego czasu.

– Tato, jadą jakieś motocykle!

Banquo przez sekundę wpatrywał się we wsteczne lusterko. Potem gwałtownie dodał gazu, mocno skręcił kierownicą w prawo i puścił sprzęgło. Stary samochód pośliznął się na mokrym, poplamionym olejem asfalcie, ale przedostał się na prawą stronę korka. Dekle uderzyły o wysoki krawężnik i oba samochody aż wrzasnęły z bólu, kiedy volvo otarło się o bok galaxie i przeciskając się do przodu, zerwało tamtemu lusterko.

Ze skrzyżowania dobiegł grzmiący odgłos. Na przecznicy zapaliło się zielone.

– Tato! Stop...

Ale ojciec się nie zatrzymał, przeciwnie, dodał gazu. Wpadli na skrzyżowanie, idąc na zderzenie z ciężarówką skręcającą z lewej i z autobusem z prawej. Usłyszeli dwa klaksony, z obu stron, w pełnym dysharmonii akordzie, gdy prześlizgiwali się między tymi pojazdami. Fleance nie odrywał oczu od lusterka, gdy nabierali prędkości, oddalając się od Wzgórza Wisielców w stronę centrum, a nieprzyjemna muzyka za nimi cichła. Zobaczył, że światła znów zmieniły się na zielone i motocykle już przejeżdżają przez skrzyżowanie.

Macbeth stał mocno wparty nogami w solidne kamienne płyty przed wejściem do kasyna Inverness, ale i tak wydawało mu się, że ziemia faluje jak morze. Patrzył, jak otyły mężczyzna w czarnym garniturze gramoli się z tylnego siedzenia czarnej limuzyny. Ubrany na czerwono odźwierny z Inverness przytrzymywał drzwiczki samochodu i parasol, wyraźnie się wahając, czy pociągnąć pasażera i pomóc mu wysiąść, czy też raczej pozwolić, by zachował godność. Gdy zasapany mężczyzna wreszcie dał sobie radę sam, podbiegła do niego Lady.

– Nasz drogi... Mój drogi burmistrz! – Roześmiała się i objęła go.

Niełatwe zadanie, pomyślał Macbeth i usłyszał własny idiotyczny chichot, gdy obserwował, jak szczupłe ręce Lady obejmują żółwiową skorupę tłustych pleców Tourtella.

– Pan przystojnieje i nabiera męskości z każdym naszym kolejnym spotkaniem – zaszczebiotała Lady.

– A pani jest coraz piękniejsza i coraz lepiej kłamie. Witam, Macbecie...

Macbeth uścisnął wyciągniętą do niego rękę i zafascynowany patrzył, jak tłuszcz dłoni burmistrza zapada się pod naciskiem jego kciuka. – A kim jest ten młody człowiek? – spytała Lady.

Piękny jak dziewczyna piwnooki i gładkoskóry chłopak, bardzo młody, zapewne jeszcze nastolatek, wysiadł z drugiej strony i obszedł limuzynę. Nieśmiało uśmiechnął się do Tourtella, jakby szukał u niego pomocy.

– To mój syn, Lady – oznajmił Tourtell.

– Żartowniś z pana, przecież pan nie ma dzieci. – Lady lekko trzepnęła burmistrza w klapę marynarki.

– Mój pozamałżeński syn – poprawił się Tourtell, lekko pogładził chłopca po krzyżu i ze śmiechem puścił oko do Macbetha. – Całkiem niedawno skierowałem na niego swoją uwagę, ale widać podobieństwo, nieprawdaż, Lady?

– Pana zawsze trzymają się żarty, drogi Tourtell. Nadamy mu jakieś imię?

– Może Kasi Tourtell junior? – zaproponował burmistrz, pogładził swoje wąsy *à la* Salvador Dalí i wybuchnął dźwięcznym śmiechem, kiedy Lady przewróciła oczami.

– Zapraszam na coś orzeźwiającego już w cieple – powiedziała.

Tourtell z chłopakiem zniknęli w środku, a Lady podeszła do Macbetha.

– Że też on ma czelność, ta zboczona świnia! – prychnął Macbeth. – A ja myślałem, że Tourtell jest godnym szacunku obywatelem.

– W każdym razie jest obywatelem szanowanym i tylko to się liczy, kochany. Władza zapewnia swobodę robienia tego, co się chce. Bez utraty ludzkiego szacunku. A ty przynajmniej wreszcie się uśmiechasz.

– Naprawdę?

– Jak chory na wściekliznę klaun. – Lady sama rozpromieniła się w uśmiechu, bo pod wejście podjechała taksówka. – Może nie przesadzaj z tym szczerzeniem zębów, mój drogi. Jest już Janovic, deweloper z Capitolu.

– Kolejny padlinożerca, który chce za bezcen wykupić grunty po naszych fabrykach.

– Ogląda kasyna. Przywitaj się z nim ładnie, a przy okazji zapewnij go, że przestępczość na ulicach naszego miasta już zaczęła spadać.

Kiedy eksplodowała tylna szyba, Fleance krzyknął i odruchowo się pochylił.

– Ilu? – spytał go spokojnie ojciec, ostro skręcając w prawo w wyłożoną brukiem boczną ulicę.

Fleance się odwrócił. Hurgot pędzących za nimi motorów jeszcze się wzmógł, przypominając ryk wściekłego smoka.

– Pięciu albo sześciu! – zawołał Fleance. – Daj mi swój pistolet!

– Mój pistolet wolał dziś zostać w domu – odparł Banquo. – Trzymaj się mocno! – Obrócił kierownicą, koła uderzyły o krawężnik, volvo podskoczyło, ścinając narożnik jednego z modnych butików, w chwili gdy skręcało w lewo w jeszcze węższą uliczkę. Fleance zrozumiał taktykę. W tych jednokierunkowych zaułkach motocykliści nie mogli przynajmniej się z nimi zrównać i szybko ich załatwić. Nieubłaganie jednak się zbliżali. Z tyłu rozległ się kolejny huk. Fleance jeszcze się nie nauczył rozróżniać broni na słuch, co – jak wiedział – potrafił jego ojciec. Ale nawet on pojął, że to strzał ze strzelby, co mimo wszystko było lepsze niż...

Na karoserię jakby posypał się grad.

...broń automatyczna.

Ojciec jeszcze raz gwałtownie skręcił, zdecydowanie, jakby wiedział, dokąd jedzie. Zagłębili się w dzielnicę handlową, ale sklepy już pozamykano, a zalane deszczem ulice prawie zupełnie się wyludniły. Czy ojciec znał drogę, która mogłaby ich wyprowadzić

z tego labiryntu? W tym momencie Banquo jakby w odpowiedzi ostro skręcił w prawo, mijając znak ze złą wiadomością.

– Tato! Ślepa ulica!

Ale Banquo nie reagował.

– Tato!

Wciąż żadnej reakcji, tylko to skupione spojrzenie skierowane przed siebie i ręce ściskające kierownicę. Fleance dopiero teraz odkrył krew ściekającą z boku głowy ojca za koszulę, widział, jak biały kołnierzyk niczym bibuła wolno zabarwia się od środka. A w miejscu, z którego płynęła krew, na głowie ojca czegoś brakowało. Fleance znów spojrzał przed siebie. To dlatego ojciec nie odpowiedział. Ucho. Leżało przyklejone do tablicy rozdzielczej, niewielki blady strzęp skóry, poszarpana, zakrwawiona tkanka.

Fleance przeniósł wzrok na przednią szybę. I tam zobaczył, i to dosłownie, koniec. Ślepa ulica kończyła się wyglądającym solidnie drewnianym domem. Na parterze ciągnęła się duża, częściowo oświetlona witryna sklepowa, która z każdą chwilą zbliżała się coraz bardziej, a ojciec wyraźnie nie zamierzał hamować.

– Pas, Fleance!

– Tato!

– Już!

Fleance sięgnął po pas, przeciągnął go przez pierś i akurat zdążył zapiąć, gdy przednie koła walnęły o krawężnik i samochód podskoczył. Maską zarył w sam środek witryny. Fleance miał wrażenie, że sklep jakby się przed nimi otworzył i przez zasłonę z białego szkła przepłynęli do środka. Potem, kiedy zdumiony rozejrzał się dokoła, uświadomił sobie, że nastąpiło jakieś przesunięcie, że linia wydarzeń się załamała, zrozumiał, że musiał stracić przytomność. W uszach piekielnie mu dzwoniło. Ojciec leżał nieruchomo, czołem dotykając kierownicy.

– Tato! – Fleance nim potrząsnął. – Tato!

Żadnej reakcji. Przedniej szyby nie było, a na masce coś błyszczało. Fleance musiał zamrugać, zanim dotarło do niego, że nic mu się nie zwiduje. To były pierścionki. Naszyjniki. Bransoletki. A przed nim na ścianie widniały złote litery układające się w napis: *JACOBS I SYNOWIE, JUBILER*. Wbili się w jakiś pieprzony sklep jubilerski. A dzwonienie, które słyszał, nie pochodziło wcale z wnętrza jego mózgu – to wył alarm przeciwwłamaniowy. Zaczęło mu się rozjaśniać w głowie. Alarm. Który we wszystkich bankach, kasynach i większych sklepach złotniczych w mieście był połączony bezpośrednio z centralą w Komendzie Głównej, natychmiast przekazującą informację wszystkim patrolom w dystrykcie. A więc tata mimo wszystko wiedział, dokąd jedzie.

Fleance usiłował uwolnić się od pasa bezpieczeństwa, ale mu się nie udało. Szarpał i ciągnął, zamek jednak nie puszczał.

Sierżant siedział na motorze, liczył sekundy i patrzył na samochód do połowy wbity w sklep. Alarm zagłuszał prawie wszystkie inne dźwięki, ale dym z rury wydechowej mówił mu, że silnik ciągle pracuje.

– Kujwa, na co czekamy? – spytał facet na electra glidzie. Mówił irytującym dialektem z południa, gdzie „r” wymawiano jak „j”. – Zabiejajmy się do nich.

– Zaczekamy jeszcze trochę. – Sierżant dalej liczył w duchu. Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa.

– Kiedy wjeszcie?

– Aż będziemy mieć pewność, że ten, kto złożył zamówienie, dotrzymał umowy – odparł Sierżant. Dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć.

– Ty, chciałbym mieć tę egzekucję już za sobą, żeby jak najpjędzej wyjechać z tego zasjanego miasta.

– Czekaj. – Sierżant patrzył na niego spokojnie. Facet wyglądał jak dorosły mężczyzna. Jak dwóch dorosłych mężczyzn. Wielki niczym drzwi do stodoły, wszędzie miał mięśnie, nawet na gębie. A mimo to nosił aparat na zębach jak chłopczyk. Sierżant miał okazję widzieć podobne przypadki już wcześniej, w więzieniu, gdzie osadzeni dźwigali ciężary, żując przy tym koks. Potrafili w ten sposób wyhodować sobie tak mocne mięśnie szczęki, że wypychały im zęby. Dwadzieścia dziewięć. Trzydzieści. Trzydzieści sekund i żadnej syreny.

– Bardzo proszę – powiedział Sierżant.

– Dziękuję.

Mięśniak wyciągnął zza paska spodni colta z długą lufą, wyjął miecz z pochwy, zsiadł z motocykla i ruszył w stronę samochodu. Ostrzem miecza niefrasobliwie szorował o mur, uderzył nim też w słupek ze znakiem zakazu parkowania. Sierżant patrzył na tył jego skórzanej kurtki. Piracka flaga z trupią czaszką, a pod nią swastyka. Kompletny brak stylu. Westchnął.

– Osłaniaj go strzelbą, Colin.

Colin zabandażowaną ręką pogładził wąsy morsa, potem przełamał krótkolufową strzelbę i wsunął do niej dwa naboje.

Sierżant zobaczył jakieś dwie twarze ukazujące się w oknach po drugiej stronie ulicy, ale wciąż nie słyszał żadnej syreny, jedynie monotonne, uporczywe wycie alarmu, kiedy kuzyn z południa wszedł do sklepu i stanął obok samochodu. Wetknął sobie miecz pod pachę, wolną ręką otworzył drzwi po stronie pasażera i wymierzył rewolwer w stronę tego, który tam siedział. Sierżant mimowolnie zacisnął zęby, czekając na huk.

Fleance wił się i szarpał, chcąc się uwolnić od pasa bezpieczeństwa, ale przeklęty skobel na dobre ugrzązł w zamku. Musiał próbować jakoś się wyplątać. Uniósł kolana pod brodę, obrócił się

na siedzeniu i wcisnął podeszwy butów w drzwiczki auta, żeby się wypchnąć w stronę ojca i siedzenia kierowcy. W tym samym momencie dostrzegł mężczyznę z mieczem i rewolwerem, który wchodził do sklepu. Było już za późno na ucieczkę, Fleance nie zdążył nawet pomyśleć o tym, jak bardzo się boi.

Drzwi od strony pasażera otwarto mocnym szarpnięciem. Fleance dostrzegł błysk aparatu na zębach napastnika i zobaczył, że rewolwer się unosi. Zrozumiał, że facet pozostaje poza zasięgiem zaplanowanego kopniaka, w czystej desperacji wyciągnął więc nogę w kierunku otwartych drzwiczek. Zwykły but nie zmieściłby się pod wewnętrzną klamką, ale długi wąski czub starych sztybletów Macbetha wsunął się pod nią bez trudu. Fleance zdążył jeszcze popatrzeć w czarną czeluść lufy rewolweru, a potem z całej siły przyciągnął stopę do siebie. Rozległo się klaśnięcie, gdy drzwi uderzyły w nadgarstek mężczyzny, przytrzaskując mu rękę. I stłumiony stukot, kiedy rewolwer upadł na podłogę auta.

Fleance usłyszał przekleństwo. Jedną ręką przytrzymywał drzwi, a drugą zaczął szukać rewolweru.

Drzwi znów się otworzyły i facet z aparatem na zębach stanął przed nimi z mieczem uniesionym nad głową. Fleance macał ręką po podłodze, pod siedzeniem. Gdzie, u diabła, podział się ten rewolwer? Zbir najwyraźniej zrozumiał, że otwór drzwiowy jest za ciasny na zamachnięcie się mieczem, więc musi kłuć. Cofnął łokieć, jak tylko mógł, czubek miecza skierował na Fleance'a i rzucił się do przodu. Fleance spotkał się z napastnikiem w pół drogi, witając go dwiema wyprostowanymi nogami; ich uderzenie pchnęło faceta do tyłu. Upadając, rozbił kolejną przeszkloną gablotę.

– Colin! – westchnął Sierżant. – Idź tam i zakończ tę komedię.

– W porządku, szefie.

Zanim Colin zsiadł z motocykla, sprawdził jeszcze, czy będzie w stanie nacisnąć cyngiel tą ręką, którą Macbeth przebił sztyletem.

Fleance przestał się szarpać, bo zrozumiał, że jest uwięziony i nie zdoła uwolnić się od pasa, zanim będzie za późno. Leżał więc nieruchomo w poprzek siedzenia i patrzył, jak facet z mieczem wstaje zza rozbitej gabloty, a z jego szerokich barów sypią się odłamki szkła. Tym razem był ostrożniejszy. Zatrzymał się poza zasięgiem Fleance'a. Sprawdził, czy miecz dobrze leży w dłoni. Fleance zrozumiał, że gość celuje w punkt, w którym jednym ruchem zdoła wyrządzić największe szkody, nie narażając się na kolejny cios. W podbrzusze.

– Piejdolone miasto! – wyrzucił z siebie facet, splunął na ostrze miecza, cofnął go trochę, zrobił niezbędny krok w przód i odsłonił rząd zaciśniętych zębów. Przytłumione ciepłe światło zamigotało w aparacie ortodontycznym, który przez moment wyglądał na jeden z klejnotów eksponowanych w sklepie. Fleance podniósł rewolwer i wypalił. Zdążył jeszcze, zanim facet upadł, zarejestrować jego zdumioną minę i niewielką czarną dziurę po kuli pośrodku zębów.

Miękkie, dyskretne tony przygrywającego gościom pianisty łaskotały Macbetha w ucho.

– Drodzy goście, partnerzy biznesowi, koledzy i przyjaciele domu! – zaczął, rozglądając się po otaczających go twarzach. – Wprawdzie jeszcze nie wszyscy przybyli, ale chciałbym w imieniu kobiety, którą znacie i której się boicie... – przytłumiony lekki śmiech i skinienie głowy w stronę roześmianej Lady – ...powitać wszystkich i prosić, abyśmy, zanim zasiądziemy do stołu, wznieśli toast.

Colin zatrzymał się, gdy ujrzał kuzyna z południa upadającego na ziemię. Huk wystrzału przedarł się przez wycie alarmu, Colin dostrzegł też rękę z rewolwerem wystającą z otwartych drzwiczek auta. Zareagował błyskawicznie. Wypalił z jednej lufy i zobaczył, że kula trafiła. Jasne obicie drzwiczek zabarwiło się na czerwono, boczna szyba wyleciała, a rewolwer upadł na podłogę sklepu.

Colin szybkim krokiem ruszył do unieruchomionego samochodu. Adrenalina sprawiła, że zmysły miał tak wyostrzone, iż zauważał wszystko. Lekkie drganie rury wydechowej, brak jakiegokolwiek tyłu głowy, która powinna być widoczna zza stłuczonej tylnej szyby, i odgłos, który ledwie się przedzierał przez wycie alarmu. Bekające dźwięki dodawania gazu. Psiamać...

Ostatnie kilka kroków do drzwiczek auta Colin pokonał biegiem. Na siedzeniu pasażera zobaczył ubranego w garnitur chłopaka, przypiętego pasem w dziwacznie wykręconej pozycji, z zakrwawioną ręką i z lewą nogą przełożoną przez środkową konsolę na drugą stronę, tam gdzie kierowca leżał bez życia z głową na kierownicy. Colin uniósł strzelbę w momencie, kiedy silnik załapał, przyspieszył i samochód skoczył do tyłu. Otwarte drzwiczki uderzyły Colina w pierś, mimo to zdążył zacisnąć lewą dłoń na ich górnej krawędzi. Auto wyjechało ze sklepu, ale Colin nie puszczał. W obolałej prawej dłoni ciągle trzymał strzelbę, po to jednak, żeby strzelić do wnętrza samochodu, musiał przełożyć lufę pod lewym ramieniem...

Fleance zdołał wysunąć lewą stopę w stronę pedałów, odepchnął nią stopy ojca i wcisnął sprzęgło, dzięki czemu mógł zmienić bieg z luzu na wsteczny. Potem udało mu się delikatnie unieść stopniowo piętę z pedału sprzęgła, jednocześnie czubkiem buta wciskając gaz. Otwarte drzwi po stronie pasażera uderzyły faceta, który ciągle na nich wisiał, ale wyjechali już ze sklepu i cofali się

ulicą. Fleance nic nie widział, mimo to z całej siły docisnął pedał, z nadzieją, że nie wpadną na nic, co natychmiast by ich zatrzymało.

Facet na drzwiach z czymś się szarpał i Fleance przez mgnienie oka dostrzegł, co to jest. Spod pachy faceta wystawała lufa strzelby. W następnej chwili rozległ się huk.

Fleance zamrugał.

Gość ze strzelbą zniknął. Podobnie jak drzwi po stronie pasażera. Fleance spojrzał ponad deską rozdzielczą i zobaczył drzwiczki razem z facetem owinięte wokół słupka ze znakiem zakazu parkowania.

I zobaczył też boczną uliczkę.

Wcisnął hamulec i sprzęgło, zanim silnik się zadławił. Spojrzał w lusterko. Czterech facetów zsiadało z motocykli i ruszało w jego stronę. Motory stały jeden przy drugim, barykadując wąską uliczkę, volvo nie zdołałoby się przebić przez nie tyłem. Fleance chwycił drążek zmiany biegów, dopiero teraz zauważył, że ręka mu krwawi. Próbował wrzucić jedynkę, ale się nie dawało, pewnie dlatego, że w pozycji, w której siedział, nie mógł docisnąć sprzęgła. Niech to wszystko szlag trafi. Silnik zaczął kaszleć, zaraz mógł wyzionąć ducha. W lusterku Fleance zobaczył, że motocykliści wyciągnęli pistolety. Nie zwykłe, tylko maszynowe. A więc to już koniec. O dziwo, zrobiło mu się przykro, że nie będzie mógł zdawać ostatniego egzaminu z prawoznawstwa, i to teraz, kiedy wreszcie złamał szyfr i pojął sposób myślenia: różnicę między tym, co złe, a tym, co nielegalne, między moralnością a zasadami, między władzą a przestępstwem.

Nagle na swojej dłoni zaciśniętej na drążku zmiany biegów poczuł dotyk ciepłej ręki.

– Kto prowadzi, chłopcze, ty czy twój ojciec?

Banquo miał lekko zamulony wzrok, ale siedział prosto i obie ręce trzymał na kierownicy. Chwilę później odgłos silnika zmienił

się w ochrypły ryk i ruszyli z poślizgiem po mokrym bruku, a kule z broni maszynowej świstały i waliły z hukiem jak w chiński Nowy Rok.

Macbeth patrzył na Lady. Siedziała dwa krzesła dalej i z ożywieniem konwersowała z towarzyszącym jej przy stole Jano coś tam, rekinem nieruchomości z Capitolu. Położyła mu rękę na ramieniu. Rok wcześniej na krześle rekina zasiadał jeden z najpotężniejszych fabrykantów w mieście i to jego obdarzała swoją uwagą. Ale w tym roku fabryka była już zamknięta i jej właściciela nie zaproszono.

– Powinniśmy pogadać – odezwał się Tourtell.

– Na pewno. – Macbeth odwrócił się do burmistrza, który właśnie wsuwał do otwartych ust widelec ciężko wyładowany cielęciną. – A o czym?

– O czym? O mieście, rzecz jasna.

Macbeth zafascynowany obserwował, jak podbródki żującego burmistrza rozciągają się i ściągają niczym akordeon.

– O dobru miasta. – Tourtell uśmiechnął się, jakby powiedział świetny dowcip.

Macbeth wiedział, że powinien skupić się na rozmowie, ale nie był w stanie zebrać myśli i zatrzymać ich tu, na ziemi. Teraz na przykład zastanawiał się, czy matka cielaka jeszcze żyje. A jeżeli tak, to czy jest w stanie wyczuć, że w tej chwili, właśnie w tej chwili jej dziecko jest zjadane.

– Jest problem z tym dziennikarzem radiowym – powiedział Macbeth. – Kite'em. Rozsiewa złośliwe plotki i ma wyraźnie niecne zamiary. Jak się neutralizuje takie osoby?

– Dziennikarze! – Tourtell przewrócił oczami. – To rzeczywiście trudna materia. Odpowiadają tylko przed swoimi naczelnymi. A nawet jeśli naczelni z kolei odpowiadają przed właścicielami,

którzy chcą zarabiać, to dziennikarze są święcie przekonani, że służą wyższym celom. Bardzo trudna sprawa. Ale ty nic nie jesz, Macbecie. Martwisz się?

– Ja? Ani trochę.

– Naprawdę? Mając zabójstwo komendanta policji, zaginięcie jego zastępcy i całą odpowiedzialność rzuconą ci wprost w objęcia? Jeśli ty się nie martwisz, to chyba ja zacznę, Macbecie.

– Nie to miałem na myśli. – Macbeth szukał wzrokiem pomocy Lady, siedzącej po drugiej stronie Tourtella. Lady była jednak zajęta rozmową z doradczynią finansową burmistrza czy kimś takim. – Przepraszam na chwilę. – Wstał.

Lady posłała mu lekko zaniepokojone spojrzenie, ale mimo to szybkim krokiem ruszył do recepcji.

– Podaj mi telefon, Jack.

Recepcjonista wystawił aparat i Macbeth wybrał numer centrali telefonicznej komendy. Odebrano po piątym dzwonku. Czy to długo, czy krótko dla kogoś, kto chciał się porozumieć z policją? Nie wiedział, nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał. Ale teraz chyba musiał. Powinien o tym pomyśleć. O tym także.

– Tu komisarz Macbeth. – Powinien też coś zrobić ze swoim stopniem, żeby bardziej pasował do stanowiska. – Proszę mnie połączyć z Wydziałem Patrolowym.

– Łączę.

Usłyszał, że po przełączeniu telefon na drugim końcu zaczyna dzwonić. Spojrzał na zegarek. Trochę to trwało.

– W ogóle cię nie widuję w salonie gier, Jack.

– Nie jestem już krupierem. Odkąd... od tamtego wieczoru, sam pan wie.

– Rozumiem. Takie rzeczy często zostają w człowieku na długo.

Jack wzruszył ramionami.

– Nie tylko o to chodzi. Wydaje mi się, że bardziej pasuję na stanowisko recepcjonisty niż krupiera, więc to żadna tragedia.

– Ale czy krupierzy nie zarabiają dużo więcej niż recepcjoniści?

– Kiedy się jest rybą wyrzuconą na brzeg, duże wynagrodzenie nie pomoże. Ryba na brzegu nie może oddychać i umiera obok sakiewki z pokaźną wypłatą. To dopiero tragedia, sir.

Macbeth już miał odpowiedzieć, gdy jakiś głos wreszcie oznajmił, że połączył się z wydziałem.

– Tu Macbeth. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy mieliście w ciągu ostatniej godziny jakieś zgłoszenia o strzelaninie na Wzgórzu Wisielców?

– Nie. A powinniśmy?

– Jeden z naszych gości wspomniał, że właśnie tamtędy przejeżdżał i słyszał głośny huk. No ale komuś mogła po prostu strzelić opona.

– Pewnie tak musiało być.

– Więc nic się nie wydarzyło w Dystrykcie Dwa Zachód?

– Tylko włamanie do jubilera, sir. Najbliższy radiowóz był dość daleko, ale już tam jedziemy.

– Rozumiem. Wobec tego miłego wieczoru.

– Ja też panu tego życzę, komisarzu.

Macbeth odłożył słuchawkę. Zapatrzył się w dywan, w niezwykłe haftowane girlandy kwiatów. Nigdy nie zwracał na nie uwagi, ale teraz jakby usiłowały mu coś przekazać.

– Sir?

Macbeth podniósł głowę. Jack miał zaniepokojoną minę.

– Krew panu leci z nosa.

Macbeth dotknął dłonią miejsca nad górną wargą i stwierdziwszy, że recepcjonista ma rację, pospieszył w stronę męskiej toalety.

Banquo wyjechał na główną ulicę i dodał gazu. Wiatr ze świstem wpadał przez dziurę po drzwiach po stronie pasażera. Minęli Obelisk. Za chwilę powinni być przy dworcu.

– Widzisz ich?

Fleance coś odpowiedział.

– Głośniej!

– Nie!

Banquo nie słyszał na ucho od strony Fleance'a – widocznie przewód słuchowy został albo zalany krwią, albo uszkodzony przez kulę. W każdym razie nie ten celny strzał przeciwnika go martwił. Obserwował wskaźnik benzyny, który w ciągu tych czterech czy pięciu minut, odkąd opuścili ulice handlowe, wyraźnie opadł. Pistolety maszynowe może i brzmiały niewinnie, ale przedziurawiły bak. Choć nawet nie te szkody niepokoiły go najbardziej. Benzyny wystarczyłoby im na dotarcie w bezpieczne miejsce, do Inverness.

– Kim oni są, tato? Dlaczego się na nas uwzięli?

Przed nimi widać już było dworzec.

– Nie wiem, Fleance. – Banquo koncentrował się na drodze. I na oddychaniu. Musiał oddychać. Musiał wtłaczać powietrze w płuca. Jechać dalej. Aż Fleance będzie bezpieczny. Tylko to miało znaczenie. Nie to, że droga przed jego oczami zaczęła się rozpływać, i nie dziurawy bak.

– Ktoś musiał się orientować, że będziemy tamtędy przejeżdżać, tato. Te światła nie działały jak trzeba. Dokładnie wiedzieli, kiedy będziemy mijać Wzgórze Wisielców.

Banquo też już o tym myślał. Ale teraz nie miało to żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, że minęli już dworzec, a przed nimi pojawiły się światła kasyna Inverness. Musi zatrzymać samochód przed głównym wejściem i wepchnąć Fleance'a do środka.

– Już ich widzę, tato! Są ze dwieście metrów za nami.

Więcej niż trzeba, jeśli po drodze nie władują się w korek. Powinien był włączyć koguta i syrenę. Wpatrywał się w Inverness. Kogut. W razie potrzeby mógł przejechać przez plac Robotników. Syrena. Nagle coś ścisnęło go w gardle. Zaczęło pulsować w głowie.

– Słyszałeś jakieś syreny, Fleance?

– Co?

– Syreny. Radiowozy patrolowe. Słyszałeś je w pobliżu jubilera?

– Nie.

– Jesteś pewien? W Dystrykcie Dwa Zachód zawsze jest pełno patroli.

– Na pewno ich nie było.

Banquo poczuł nadciągający ból i ciemność.

– Nie – szepnął. – Nie, Macbecie, mój synu... – Chwycił mocniej kierownicę i skręcił w lewo.

– Tato! Do Inverness nie tędy!

Banquo wcisnął klakson, wyprzedził samochód jadący z przodu i dodał gazu. Poczuł, że paraliżujący ból kręgosłupa przenosi się na pierś, i zdał sobie sprawę, że wkrótce nie będzie już w stanie trzymać kierownicy prawą ręką. Kula być może nie zrobiła wielkiej dziury w oparciu siedzenia, ale trafiła. A to trafienie, owszem, go martwiło.

Przed nimi nie było nic. Tylko port kontenerowy, morze i ciemność.

Ale to była jedyna, ostatnia możliwość.

Macbeth przejrzał się w lustrze nad umywalką. Krew przestała lecieć, ale wiedział, co taki krwotok oznacza. Śluzówki nie tolerowały już więcej wywaru, powinien spauzować. Inaczej niż kiedy był młody, wtedy organizm wytrzymywał wszystko. Ale wiedział, że jeśli teraz będzie dalej brał w ten sposób, nos zacznie

boleć i krwawić, a mózg wirować tak, że głowa sama odkręci się od szyi. Tak, powinien zrobić przerwę. Dlaczego więc, gdy o tym myślał, jednocześnie rolował banknot i umieszczał go przy prawym końcu kreski usypanej na blacie? Ponieważ to była sytuacja wyjątkowa, punkt krytyczny, bardzo tego potrzebował. Musiał sobie poradzić z tym tłustym, zboczonym burmistrzem z jednej strony, a bandytą z Norse Riders, który najwyraźniej nie zdołał wywiązać się z zawartej umowy, z drugiej. I Lady z trzeciej. Nie, ona nie stanowiła problemu, była początkiem i końcem, jego narodzinami, życiem i śmiercią. Uzasadnieniem jego istnienia. Ale tak jak ich miłość wypełniała go drżącą radością, tak czuł ból na myśl o tym, co mogło mu zostać odebrane, wiedział, że jej moc nad nim polega w równym stopniu na kochaniu go i niekochaniu. Wdychał wywar, zasysał go aż do mózgu, mocno, aż substancja zdawała się uderzać o czaszkę od środka. Przejrzał się w lustrze. Jego twarz uległa zniekształceniu, przemianie. Włosy mu posiwiały, wargi zmieniły się w czerwone, kobiece, przez środek twarzy biegła blizna, pod brodą wyrosły nowe podbródki. Do oczu napłynęły mu łzy i ściekły po policzkach. Musi to przerwać. Widział ludzi, którzy snifowali tak długo, że skończyli z protezami nosa. Musi to przerwać, póki jeszcze jest czas i da się to odwrócić. Musi przejść na zastrzyki.

* * *

Sierżant widział zbliżające się światła stopu volva PV. Jeszcze dodał gazu, wiedząc, że pozostali będą mieć problemy z dotrzymaniem mu tempa, chociaż jego motocykl miał silnik o pojemności zaledwie czterystu pięćdziesięciu centymetrów sześciennych. Na mokrym, śliskim jak oliwa asfalcie doświadczenie i wyczulenie były ważniejsze od rozmiarów. Dlatego ze zdumieniem odkrył

w lusterku motor, który coraz bardziej się przybliżał. Rozpoznał go, chociaż nie dowierzał. Rozpoznał też kask kierowcy. Czerwony indian chief minął Sierżanta tak blisko, że motocyklista omal nie zawadził o niego rogiem na kasku. Przednie światła motoru Sierżanta odbiły się w szabli, gdy tamten go wyprzedził. Skąd się wziął? Skąd wiedział? Jak to możliwe, że zawsze wyczuwał, kiedy jest potrzebny? Sierżant zwolnił. Pozwolił, żeby Sweno jechał przodem i im przewodził.

Banquo jechał tą samą drogą co wtedy, kiedy gonili rosyjską ciężarówkę. Po drodze kilkakrotnie ryzykownie wyprzedzał, dzięki czemu na pewien czas zwiększył odległość dzielącą go od motocyklistów. Wiedział, że wkrótce zostaną dopędzeni, ale może zdążą. Przed tunelem ustawiono drewniany szlaban i tablicę z informacją, że most jest zamknięty z powodu remontu. Drzazgi poleciały w powietrze, kiedy volvo wyłamało szlaban i światło przednich reflektorów wbiło się w ciemność tunelu. Banquo prowadził, trzymając kierownicę jedną ręką, druga jak truchło leżała na kolanach. Widzieli już wyjazd, gdy dotarł do nich wściekły ryk motocykli wjeżdżających do tunelu po drugiej stronie.

Banquo przyhamował przed ostrym zakrętem przy wjeździe na most i znów wcisnął gaz do dechy.

Nagle znaleźli się na zewnątrz, w nieoczekiwanej ciszy pod pogodnym niebem, w blasku księżyca, w którym fiord w dole daleko pod nimi lśnił niczym brązowozłota miedź. Słychać było jedynie silnik volva, dający z siebie wszystko. A potem rozległ się pisk gumy trącej o asfalt, kiedy Banquo gwałtownie zahamował na środku mostu, w miejscu, w którym niegdyś stał pomnik Kennetha, i podjechał pod samą jego krawędź, gdzie łagodny wiatr lekko szarpał czerwone taśmy Zarządu Dróg – rozciągnięto je zamiast balustrady zniszczonej przez zisa-5. Fleance zdumiony

spojrzał na ojca, który wrzucił luz, nachylił się nad synem ze scyzorykiem w ręku i zabrał do przecinania jego pasa.

– Co... – zaczął Fleance.

– Bak cieknie, synu. Niedługo zabraknie nam benzyny, więc słuchaj mnie uważnie. Nigdy nie byłem kaznodzieją, dobrze o tym wiesz, ale chcę ci coś powiedzieć... – Banquo oparł się o drzwi po swojej stronie. Uniósł kolana i obrócił się na siedzeniu, tak samo jak wcześniej Fleance. – Ty możesz zajść wysoko, Fleance, więc nie zatrzymuj się w tym miejscu co ja. Nie stań się lokajem lokajów.

– Tato...

– I ląduj na nogi.

Przycisnął podeszwy butów do biodra i barku syna, zdążył zobaczyć, że Fleance próbuje się czegoś przytrzymać, ale mimo to pchnął z całej siły. Syn zaczął krzyczeć w proteście, ze strachu, tak jak krzyczał, kiedy się urodził, ale już był na zewnątrz, ostatnia nitka pępowiny została przecięta i znalazł się sam w wielkim świecie, lecąc w dół na spotkanie z przeznaczeniem.

Banquo, jęcząc z bólu, wrócił do normalnej pozycji za kierownicą, wrzucił bieg i dodając gazu, ruszył ku własnemu przeznaczeniu.

Kiedy trzy kilometry za zjazdem z mostu skończyła mu się benzyna, prawie go dopadli. Samochód potoczył się przez kilka ostatnich metrów, a Banquo poczuł, że jest senny, i odchylił głowę. Chłód opanował mu już całe plecy i brzuch, zaczynał sięgać serca. Myślał o Verze. A kiedy wreszcie i po tej stronie tunelu zaczęło padać, z nieba leciały ołowiane krople. Krople przeszywające karoserię, siedzenia i ciało Banqua. Wyjrzał przez boczne okno, popatrzył na zbocze góry. I tam, niemal na jej szczycie, zobaczył to, co od strony miasta wyglądało na hołd złożony złu. Ale tu, w blasku księżyca, ujrzał krzyż. Był tak blisko. Wskazywał drogę. Brama została otwarta.

– Stopniowy wzrost – wymamrotał Banquo. – Stopniowy...

16

Duff wsłuchiwał się w rozedrgany oddech wyciszającej się powoli Caithness. W końcu uwolnił się z jej objęć i odwrócił w stronę nocnej szafki.

– I co, Kopciuszku? – spytała szeptem. – Zbliża się dwunasta?

– Mamy dużo czasu, ale nie mogę się spóźnić.

– Odkąd przyszedłeś, co pół godziny patrzysz na zegarek. Można by przypuszczać, że chciałbyś stąd wyjść jak najszybciej.

Znów odwrócił się do niej. Położył jej rękę na karku.

– To nie dlatego, moja piękna. Po prostu będąc z tobą, tracę poczucie czasu. – Lekko pocałował ją w usta.

Roześmiała się cicho.

– Potrafisz słodko bajdurzyć. Ale trochę myślałam.

– Zabrzmiało strasznie.

– Przestań. Myślałam o tym, że cię kocham i...

– Mówiłem, że to straszne.

– A ja powiedziałam, żebyś przestał. Myślałam, że nie chcę cię mieć tylko od czasu do czasu. Nie chcę, żebyś stale znikał jak niedokończony sen.

– Ja też tego nie chcę, moja kochana, ale...

– Żadnych więcej ale, Duff. Ciągle powtarzasz, że jej o nas powiesz, i zawsze pojawia się jakieś ale. Coś, co każe ci to odłożyć, jak twierdzisz, ze względu na nią, ze względu na dzieci, ze względu na...

– Bo muszę brać różne rzeczy pod uwagę, Caithness, zrozum to. Mam rodzinę, a rodzinie towarzyszy...

– ...odpowiedzialność, od której nie można po prostu uciec – zaczęła go przedrzeźniać. – A co z braniem pod uwagę mnie? Nigdy

nie masz problemów z uciekaniem stąd.

– Dobrze wiesz, że tak nie jest. Ale ty jesteś młoda, masz inne możliwości.

– Inne możliwości? Co masz na myśli? Kocham ciebie.

– Chodzi mi po prostu o to, że Meredith i dzieci są akurat teraz zdane na mnie. Jeśli zaczekamy, aż dzieci będą o rok starsze, wszystko będzie prostsze, będziemy mogli...

– Nie! – Caithness uderzyła ręką o kołdrę. – Chcę, żebyś powiedział jej o tym już teraz. I wiesz, pierwszy raz wypowiedziałeś przy mnie jej imię.

– Caithness...

– Meredith. Ładne imię. Od dawna jej go zazdroszczę.

– Dlaczego nagle zaczęło ci się tak spieszyć?

– Bo w ostatnich dniach coś sobie uświadomiłam. Że jeśli chcesz dostać to, czego pragniesz, nie możesz czekać, aż ktoś ci to da. Trzeba być twardym, może wręcz bezwzględnym, ale czyste cięcie jest lepsze. Uwierz, niełatwo mi prosić, żebyś poświęcił rodzinę, bo ten cios dotknie niewinne osoby, a takie rzeczy nie leżą w mojej naturze.

– Rzeczywiście, Caithness, to nie leży w twojej naturze, więc skąd wzięłaś to sformułowanie o czystym cięciu?

– Duff. – Usiadła po turecku na środku łóżka. – Czy ty mnie kochasz?

– Tak! O Boże, tak!

– A więc zrobisz to? Zrobisz to dla mnie?

– Posłuchaj, Caithness.

– Meredith bardziej mi się podoba.

– Najdroższa, kocham cię najbardziej na świecie, oddałbym za ciebie życie. Swoje własne. Bez najmniejszego trudu. Ale cudze? – Duff pokręcił głową. Nabrał powietrza, żeby mówić dalej, ale tylko

je wypuścił. Czyste cięcie. Czy musiało nastąpić teraz? Myśl go zdumiała. Czyżby przez cały czas ku temu podążał? Drogą oddalającą go od Caithness, a prowadzącą do domu, do Fife? Znów wziął głęboki oddech. – Moja matka, której nigdy nie poznałem, poświęciła swoje życie dla mnie. Oddała je, żebym mógł żyć. Więc chociaż w mojej naturze, podobnie jak w naturze mojej matki, leży poświęcenie życia dla miłości, to moja miłość do dzieci i tak jest największa. Już sama myśl o tym, że miałbym złożyć w ofierze swoje dzieci, odebrać im rodzinę z powodu egoistycznej miłości do innej kobiety, jest jak oplucie mojej świętej pamięci matki.

Caithness zasłoniła ręką usta, bo wydarł się z nich mimowolny szloch, a jej oczy napełniły się łzami. W końcu wstała z łóżka i wyszła z sypialni.

Duff zacisnął powieki i mocno uderzył głową o poduszkę. Potem poszedł za Caithness. Znalazł ją w salonie. Stała pod oknem w dachu i patrzyła w górę. Naga, lśniąca bielą w neonowym świetle padającym z zewnątrz, w którym smugi deszczu na szybie wyglądały identycznie jak łzy płynące jej po policzkach.

Stanął za nią i objął jej nagie ciało. Szepnął jej we włosy:

– Jeśli chcesz, żebym teraz sobie poszedł, to pójdę.

– Nie płaczę nad tym, że nie mogę mieć cię całego. Płaczę nad własnym twardym sercem. A ty masz prawdziwe serce, ukochany. Jesteś mężczyzną, któremu może ufać dziecko. Nie potrafię cię nie kochać. Wybacz mi. Więc jeśli nie mogę dostać wszystkiego, to daj mi ten kawałek swojego czystego serca, który możesz mi ofiarować.

Duff nie odpowiadał, tylko dalej ją obejmował. Całował ją w szyję i nie wypuszczał z uścisku. Jej biodra zaczęły się poruszać. On myślał o godzinie. O spotkaniu z Banquiem przy lokomotywie. Ale do północy wciąż jeszcze było daleko.

– Halo, tu kasyno Inverness, Jack przy telefonie.

– Dobry wieczór, Jack, chciałbym rozmawiać z Macbethem.

– Bierze udział w uroczystym przyjęciu, czy mógłbym...

– Ściągnij go, Jack.

Pauza.

Sierżant spojrzał na motocykle, które otoczyły budkę telefoniczną. Ich sylwetki zniekształcały grube sznury wody wijące się po szybie, lecz mimo to uważał ten widok za najpiękniejszy na świecie. Silniki na dwóch kołach. I bracia, którzy je ujeżdżają.

– Mogę spróbować go poprosić, sir. A z kim rozmawiam?

– Powiedz po prostu, że to telefon, którego się spodziewał.

– Dobrze, sir.

Sierżant czekał. Przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę. Zakrwawiony pakunek przełożył spod jednej pachy pod drugą.

– Słucham, Macbeth.

– Dobry wieczór. Dzwonię zameldować, że rybka jest złowiona i wypatroszona, ale narybek odpłynął.

– Dokąd?

– Prawdopodobieństwo, że jedna sztuka narybku przeżyje, jest jak jeden do tysiąca, więc sądzę, że w tym wypadku możemy być spokojni, zapewne leży martwy na dnie.

– Ach, tak. I co?

– Rybi łeb jest już w drodze. I muszę powiedzieć, że zyskałeś mój szacunek, Macbecie. Mało kto ma takie podniebienie i żołądek, aby gustować w tego rodzaju delikatesach.

Macbeth odłożył słuchawkę i mocno przytrzymując się kontuaru, oddychał głęboko.

– Jest pan pewien, że dobrze się pan czuje? – spytał Jack.

– Tak, Jack, dziękuję. Trochę tylko zakręciło mi się w głowie.

Macbeth odsuwał od siebie kolejne myśli i obrazy. Wreszcie, poprawiwszy marynarkę i krawat, wrócił do jadalni.

Goście przy długim stole konwersowali i wznosili toasty, ale w atmosferze czegoś brakowało. Może ci ludzie nigdy nie ucztowali tak hałaśliwie i serdecznie jak Gwardia, ale niewykluczone też, że cień śmierci Duncana zawisł nad kasynem wyraźniej, niż Lady chciała to przyznać. Macbeth zauważył, że ktoś zajął jego miejsce. Przypuszczał, że to towarzysz Tourtella, przywołany przez korzystającego z okazji burmistrza. Ale gdy zorientował się, że się pomylił, stanął za swoim krzesłem jak wryty. Serce prawie przestało mu bić.

Banquo.

Siedział tu. Teraz.

– Co się dzieje, kochany? – Lady patrzyła na niego zdziwiona. – Usiądź.

– Moje miejsce jest zajęte – odparł.

Odwrócił się również Tourtell.

– Chodź, siadaj, Macbecie!

– Ale gdzie?

– Na swoim miejscu – odpowiedziała Lady. – Co jest nie tak?

Macbeth krzyknął w momencie, gdy Banquo niczym sowa obrócił głowę o sto osiemdziesiąt stopni. Nad białym kołnierzykiem biegła wielka nieprzerwana rana. Spływała z niej krew jak z napełnionego po sam rant kieliszka, do którego ktoś wciąż próbuje dolewać.

– Kto... kto ci to zrobił? – wydusił z siebie Macbeth, łapiąc Banqua za szyję obiema rękami. Zacisnął je, żeby zatamować wypływ krwi, okazała się jednak rzadka i dalej sączyła się między jego palcami jak wino.

– Co ty wyprawiasz, mój drogi? – spytała z wyraźnym chłodem Lady.

Usta Banqua się otworzyły.

– To. Byłeś. Ty. Mój syn.

Słowa zostały wypowiedziane monotonnie obojętnym tonem, a twarz pozostała bez wyrazu, jak u lalki brzuchomówcy.

– Nie!

– Widziałem. Cię. Mistrzu. Czekam. Na. Ciebie. Mistrzu.

– Milcz!

– Ty. Mnie. Dusisz. Mordbecie.

Macbeth przerażony opuścił ręce. Poczuł, że ktoś mocno łapie go za ramię.

– Chodź! – To była Lady. Chciał jej się wyrwać, ale syknęła mu do ucha: – Chodź, dopóki jesteś komendantem policji!

Wsunęła mu rękę pod ramię, jakby to ona podążała za nim, i w ten sposób wyszli z jadalni, odprowadzani spojrzeniami gości.

– Co się stało? – warknęła, gdy zamknęły się już za nimi drzwi ich apartamentu.

– Nie widziałaś Banqua? Siedział na moim krześle!

– O Boże, jesteś pod wpływem narkotyków i masz halucynacje! Chcesz, żeby burmistrz pomyślał, że jego komendant to szaleniec?

– Jego?

– Gdzie chowasz ten wstrętny wywar? No gdzie? – Włożyła mu rękę do kieszeni. – Masz się go pozbyć!

Macbeth chwycił ją za nadgarstek.

– Jego komendantem policji?

– Tourtell zamierza cię mianować, Macbecie. Posadziłam was razem, bo myślałam, że przynajmniej nie będziesz udowadniał, że nie jesteś właściwym człowiekiem na to stanowisko. Au, puść!

– Burmistrz Tourtell może sobie robić, co chce. Mam na niego dość haków, żeby go wsadzić już jutro. A gdybym nawet nie miał, to mogę je zdobyć. Jestem komendantem policji, kobieto! Nie

rozumiesz, co to oznacza? Dowodzę sześcioma tysiącami ludzi. Dwa tysiące spośród nich nosi broń. To armia, moja kochana!

Zobaczył, że spojrzenie Lady łagodnieje.

– O tak – szepnęła. – Nareszcie rozum znów przez ciebie przemawia.

Wciąż ściskał jej szczupły, delikatny nadgarstek, ale jej dłoń zaczęła się poruszać w jego kieszeni.

– Teraz cię poznaję.

– Chodźmy...

– Nie, jeszcze nie – odpowiedziała szybko, wyrywając rękę. – Mamy gości. Ale przygotowałam dla ciebie coś innego. Mały prezent, żeby uczcić twoje nowe stanowisko.

– Naprawdę?

– Zajrzyj do szuflady szafki nocnej.

Macbeth wyjął z szuflady etui. W środku leżał gładki, błyszczący sztylet. Uniósł go pod światło.

– Srebro?

– Zamierzałam podarować ci go po przyjęciu, ale sądzę, że przyda ci się już teraz. Srebro to, jak wiadomo, jedyna rzecz, która może uśmiercić duchy.

– Dziękuję, kochana.

– Bardzo proszę. Powiedz mi, że Banquo nie żyje.

– Banquo nie żyje. Nie żyje.

– Będziemy go opłakiwać później. Teraz wrócimy do gości i wytłumaczysz im, że twoje poprzednie zachowanie to był taki nasz wewnętrzny żart. Chodźmy!

Było dziesięć minut po jedenastej. Caithness ciągle leżała w łóżku, ale Duff już się ubrał, stał przy blacie w kuchni. Zaparzył sobie herbatę, z lodówki wyjął cytrynę, ale jedyny nóż, jaki znalazł, bardziej nadawał się do zadawania ciosów niż do krojenia

plasterków. Duff wbił czubek w skórkę i w powietrze trysnął maleńki prysznic kropelek.

O tak późnej porze dojazd do dworca, znalezienie miejsca do zaparkowania i podejście do Berthy nie powinno zająć więcej niż pół godziny. Nie zamierzał się spóźnić – Banquo sprawiał wrażenie, że skorzysta z każdej wymówki, byle tylko nie powiedzieć mu tego, co wiedział. Ale z drugiej strony Duff widział, że Banquo chce mówić, że pragnie pozbyć się ciężaru... czego? Winy? A może tylko wiedzy? Banquo nie był owcą z dzwonkiem, przewodniczką stada, lecz zwyczajną owcą. Jedynie ogniwem. A wkrótce Duff może się dowiedzieć, kto jeszcze jest w to zamieszany. Uzbrojony w tę wiedzę pójdzie...

Ciszę przerwał nagły dzwonek telefonu wiszącego na ścianie obok tablicy korkowej.

– Telefon! – zawołał.

– Słyszę, odbiorę tutaj – odpowiedziała mu Caithness z sypialni. Miała aparaty we wszystkich pokojach – to między innymi przez takie rzeczy czuł się przy niej stary. Meredith i on byli być może nieco staroświeccy, ale żywili przekonanie, że jeden aparat telefoniczny na gospodarstwo domowe wystarczy. Nikomu nie zaszkodzi, jak się trochę porusza.

Znalazł ścierkę i wytarł dłoń. Wsłuchiwał się w głos Caithness, aby zorientować się, co to za rozmowa. Kto może dzwonić tak późnym wieczorem? Meredith? Ta myśl pojawiła się sama z siebie i szybko ją odpędził. Druga myśl zatrzymała się na dłużej. Kochanek. Inny kochanek, młodszy. Nie, zalotnik. Potencjalny narzeczony. Ktoś, kto czekał za kulisami, gotów wejść na scenę, gdyby Duff dzisiaj nie odpowiedział Caithness tak, jak się tego domagała. Na pewno to dlatego nagle zaczęło jej się tak spieszyć. Duff wprawdzie nie do końca zachował się po jej myśli, ale

odwrócił jej ultimatum, a ona to przyjęła. Wybrała jego. W chwili, gdy przyszedł mu do głowy ten zalotnik, pojął, że właściwie trochę chciał, żeby ktoś taki istniał. My, ludzie, jesteśmy czasami bardzo dziwni.

– Możesz powtórzyć? – dobiegł z sypialni głos Caithness. Oficjalny ton, służbowy. W dodatku przejęty bardziej niż zazwyczaj. – Zaraz przyjeżdżam. Ściągnij pozostałych.

Tak, to z pewnością miało związek z pracą. Z grupą badającą na przykład miejsce zbrodni.

Usłyszał, że zaczęła się kręcić po sypialni. Miał nadzieję, że do zdarzenia nie doszło gdzieś po drodze do Fife, bo jeszcze wpadłoby jej do głowy prosić go o podwiezienie. Poczuł pieczenie na grzbiecie dłoni. Polizał go, patrząc na cytrynę. Sok z owocu musiał się dostać do otarć, których się nabawił, kiedy padał na asfalt na nabrzeżu. Duff przez chwilę postał nieruchomo. Potem wyciągnął nóż z cytryny i wbił go ponownie. Tym razem mocno i szybko. Najprędzej, jak potrafił, wypuścił rękojeść, przyciągając rękę do siebie, ale znów poczuł pieczenie. To niemożliwe. Nie da się zadać ciosu nożem i odsunąć dłoni od rękojeści, unikając opryskania płynem.

Caithness weszła do kuchni, ciężko stąpając. W ręku trzymała czarną lekarską torbę.

– Co jest? – spytał Duff, widząc wyraz jej twarzy.

– Dzwonili z komendy. Zastępca Macbetha, jeszcze z Gwardii...

– Banquo? – Duff poczuł, że ściska go w gardle.

– Tak – odparła, wyciągając szufladę. – Znaleziono go w okolicach mostu Kennetha.

– Znaleziono? Mówisz prawdę?

– Tak. – Z irytacją dalej grzebała w szufladzie.

– Jak... – Na usta cisnęło się zbyt wiele pytań. W poczuciu bezradności aż złapał się za głowę.

– Jeszcze nie wiem, ale policjanci, którzy są na miejscu, mówią, że jego samochód jest cały podziurawiony kulami. A głowę usunięto.

– Usunięto? To znaczy... ucięto?

– Zobaczymy. – Wyjęła z szuflady parę białych lateksowych rękawiczek i wrzuciła je do torby. – Myślisz, że mógłbyś mnie podwieźć?

– Wiesz, mam to spotkanie...

– Nie mówiłeś gdzie, więc jeśli to duże nadłożenie drogi, to...

Znów spojrzał na nóż.

– Jadę z tobą – zdecydował. – Oczywiście, że jadę z tobą. Jestem naczelnikiem Wydziału Zabójstw, a tej sprawie należy nadać najwyższy priorytet.

Potem mocno rzucił nożem w korkową tablicę. Nóż zrobił półtora obrotu wokół własnej osi, po czym uderzył w korek rękojeścią i z brzękiem upadł na kuchenną posadzkę.

– Co ty wyprawiasz? – spytała.

Duff wpatrywał się w nóż.

– Coś, co trzeba długo trenować, żeby sobie z tym poradzić. Chodźmy.

17

– No i co, Seyton? – spytał Macbeth. – W czym mogę ci pomóc?

Promienie słońca akurat znalazły szczelinę w ołowianej pokrywie chmur, przebiły się przez brudne okna gabinetu komendanta policji i padły na biurko, na zdjęcie Lady, na kalendarz, który pokazywał,

że jest wtorek, na rysunek przedstawiający działko Gatling i na lśniącą łysą czaszkę stojącego przed biurkiem chudego, żylastego policjanta.

– Potrzebujesz ochrony osobistej.

– Doprawdy? Jakiego rodzaju?

– Kogoś, kto potrafi złem zwalczać zło. Duncan miał dwóch ochroniarzy. A po tym, co się stało z Banquiem, błogosławiona niech będzie jego dusza, są wszelkie powody, by przypuszczać, że oni będą chcieli dopaść również ciebie, komendanta.

– Jacy oni?

Seyton spojrzał na Macbetha z lekkim zdziwieniem, zanim odpowiedział:

– Norse Riders. Z tego, co zrozumiałem, egzekucja to sprawka tego gangu, prawda?

Macbeth kiwnął głową.

– Świadkowie z Dystryktu Dwa widzieli kilku motocyklistów w kurtkach Norse Ridersów, strzelających do volva PV tuż przed sklepem jubilerskim, w który wjechał samochód. Przypuszczamy, że to auto Banqua.

– Jeżeli był w to zamieszany Malcolm, to zagrożenie dla komendanta może kryć się w wewnętrznych szeregach. Nie wszystkim naszym tak zwanym dowódcom ufam. Uważam na przykład, że komuś takiemu jak Duff brakuje moralności i kręgosłupa. Wśród zagrożeń poza komendą jest oczywiście Hekate – powiedział Seyton.

– Hekate to człowiek interesu. A podejrzenia o zabójstwo rzadko są dla interesów korzystne. Natomiast Sweno ma motyw, przy którym zmysł do interesów schodzi na drugi plan.

– Zemstę.

– Owszem, starą dobrą zemstę. Niektórzy z naszych ekonomistów zdają się nie doceniać ludzkiej tendencji do kierowania się najniższymi instynktami zamiast książeczką czekową. Kiedy kochanek czarnej wdowy leży na jej plecach, syty i wycieńczony miłosnym aktem, wie, że wkrótce zostanie pożarty. Mimo to nigdy nie potrafiłby dokonać innego wyboru. To cały Sweno.

– To znaczy, że mniej się boisz Hekate?

– W każdym razie wydałem dziś polecenie, aby rozsądnie rozdzielać środki i nieco przyhamować tę koncentrację na walce z Hekate, żeby dało się zrobić porządek również z innymi, bardziej dotkliwymi problemami miasta.

– Na przykład?

– Na przykład z tym, że uczciwi, ciężko pracujący ludzie są jawnie oszukiwani i pozbawiani oszczędności w jednym z kasyn o bardzo wątpliwej reputacji. Wróćmy do rzeczy. Poprzedni komendanci mieli złe doświadczenia z ochroniarzami, ale ja nie zapomniałem, jak skutecznie i odważnie zainterweniowałeś wtedy, gdy zaatakował mnie pies u Cawdora. Dlatego pozwól, że się nad tym zastanowię, Seyton. Właściwie miałem zamiar przydzielić ci nieco inne zadanie, które jednak nie różni się aż tak bardzo od tego, co sam proponujesz.

– To znaczy...

– Teraz, kiedy jestem komendantem, a Banqua już nie ma, Gwardia została bez dowódcy. Ty, Seyton, jesteś najstarszy i najbardziej doświadczony.

– Dziękuję, komendancie, to naprawdę nieoczekiwany zaszczyt i wyraz zaufania. Problem w tym, że nie wiem, czy jestem tego zaufania wart. Żaden ze mnie polityk czy dowódca.

– Wiem, znam ten typ. Jesteś raczej jak stróżujący pies, który potrzebuje pana i gospodyni. A Gwardia to właśnie taki pies.

Zdziwiłbyś się, jak szczegółowe są instrukcje, sam w ogóle nie musiałem się nad niczym zastanawiać, oprócz sposobu, w jaki powalić bandziorów na ziemię. A biorąc pod uwagę ostatnie zabójstwa, nie ma wątpliwości: zagrożenie osoby zajmującej moją pozycję jest na tyle duże, że Gwardię trzeba wykorzystać do czynnej ochrony szefa Komendy Głównej.

– Chcesz powiedzieć, że Gwardia ma być osobistą ochroną komendanta?

– Nie wyobrażam sobie, żeby takie rozporządzenie spotkało się z protestami, których nie da się odrzucić. Upieczemy więc dwie pieczenie przy jednym ogniu, spełnią się życzenia i moje, i twoje. Co ty na to, Seyton?

Chłód na policzku powiedział Macbethowi, że słońce znów zaszło. Może to właśnie nagły półmrok, który zapadł w pokoju, kazał Seytonowi zniżyć głos, brzmiący teraz jak konspiracyjny szept:

– Dopóki szczegółowe rozkazy dla mnie będą przychodziły bezpośrednio od ciebie, komendancie.

Macbeth przyglądał się stojącemu przed nim mężczyźnie. *Błogosławiona niech będzie jego dusza*, powiedział Seyton o Banqu. Macbeth zastanawiał się, o jakie błogosławieństwo mu chodziło.

– Tych rozkazów, mój lojalny Seytonie, nie będzie można źle zrozumieć. A jeśli chodzi o protesty, które da się odrzucić, to właśnie zamówiłem dwa egzemplarze działka typu Gatling. – Podał Seytonowi rysunek. – Ekspresowa dostawa. Trochę droższe, ale będziemy je mieli już za dwa dni. Co ty na to?

Seyton powiódł wzrokiem po rysunku, z namysłem kiwając głową.

– Ładne – stwierdził w końcu. – A właściwie śliczne.

Duff ziewnął, jadąc pod pogodnym niebem w kierunku ciemnych chmur.

Ewan zbudził go, wskakując do łóżka w pokoju gościnnym, a jego siostra zaraz przypędziła za nim.

– Tatusiu, jesteś w domu!

Zjedli śniadanie w kuchni, w porannym słońcu padającym ukośnie od strony jeziora. Meredith poprosiła dzieci, żeby przestały walczyć o to, które będzie siedziało u taty na kolanach, i zamiast tego jadły, bo musiały zdążyć do szkoły. Nie zdołała jednak utrzymać w głosie surowości, którą, jak Duff wiedział, chciała okazać, zauważył też jej śmiejące się oczy.

Minął teraz miejsce zdarzenia, z którego odholowano już podziurawiony samochód, a z asfaltu zmyto krew. Caithness i jej ludzie pracowali skutecznie i zabezpieczyli wszystkie możliwe ślady. On sam mógł zdziałać niewiele więcej oprócz skonstatowania rzeczy oczywistej, a mianowicie tego, że Banquo został zastrzelony i obcięto mu głowę. Fleance zniknął bez śladu, ale Duff zauważył, że pas bezpieczeństwa przy siedzeniu pasażera został przecięty. Przyczyn mogło być wiele, na razie pozostawało im jedynie ogłosić poszukiwania syna Banqua. Ze względu na zamknięcie mostu ten odcinek drogi był pusty, trudno zatem liczyć na jakichkolwiek świadków, którzy znaleźliby się w pobliżu, więc po godzinie Duff zdecydował, że skoro już i tak jest w połowie drogi do domu, równie dobrze może przenocować w Fife.

W domu długo nie mógł zasnąć, dręczony rozmaitymi myślami przy akompaniamencie cykania koników polnych. On już bowiem zrozumiał. Zrozumiał, ale nie mógł pojąć. Nie zobaczył nagle całościowego obrazu, a rozsypane puzzle wcale nie od razu do siebie pasowały. Dostrzegł tylko jeden jedyny szczegół. Związany z nożem w kuchni u Caithness. Ale w trakcie rozmyślań nad nim pojawiły

się także inne puzzle i powolutku zaczęły składać się w całość. W końcu zasnął i o świcie obudziły go atakujące z zasadzki dzieci.

Przejechał przez Stary Most, wąski i skromniutki w porównaniu z mostem Kennetha, ale zbudowany solidnie; niektórzy uważali, że przetrwa o wiele dłużej.

Problem Duffa polegał na tym, że nie wiedział, do kogo się zwrócić.

Musiał rozważyć, kto ma dostatecznie dużą władzę, wpływy i zdolność do działania, lecz również komu może ufać, kto na pewno nie jest w to zamieszany.

Kiedy zbliżał się do garażu pod Komendą Główną, szczelina w chmurach się zamknęła, kończąc krótką wizytę słońca w mieście.

Lennox podniósł głowę znad maszyny do pisania, kiedy Duff wszedł do jego pokoju.

– Niedługo pora lunchu, a ty ziewasz, jakbyś dopiero wstał.

– Pytam ostatni raz. To jest prawdziwe? – Duff wskazał na zakończony bryłką zardzewiałego metalu kawałek zaśniedziałego pręta, którego Lennox używał jako przycisku do papieru, i usiadł na krześle przy drzwiach.

– A ja odpowiadam po raz ostatni – westchnął Lennox. – Odziedziczyłem go po dziadku, który dostał nim w głowę w okopach nad Sommą podczas pierwszej wojny światowej. Na szczęście Niemiec, jak widzisz, zapomniał wyrwać zapalnik. Towarzysze broni dziadka nieźle się uśmiali z tej historii.

– Chcesz powiedzieć, że tak dużo się śmiali nad Sommą?

– Według mojego dziadka śmiali się tym więcej, im było straszniej. Nazywał to wojennym śmiechem.

– A mnie ciągle się wydaje, że kłamiesz, Lennox. Nie jesteś typem, który trzymałby niewybuch na biurku.

Lennox się uśmiechnął, nie przestając walić w klawisze maszyny.

– Dziadek przechowywał go w domu przez całe swoje życie. Twierdził, że przypomina mu o rzeczach ważnych, a mianowicie o przemijaniu, o grze przypadków, o własnej nieśmiertelności i o niezdarności innych.

– Nie masz sekretarki, która by się tym zajęła? – Duff ruchem głowy wskazał na maszynę do pisania.

– Zacząłem sam przepisywać własne listy i chodzić na pocztę, żeby je wysłać. Wczoraj dowiedziałem się od prokuratora, że jeden z moich listów wyglądał na otwarty i ponownie zaklejony.

– W ogóle mnie to nie szokuje. Dziękuję, że zgodziłeś się mnie przyjąć bez wcześniejszej zapowiedzi.

– Przyjąć? Bardzo formalnie to ująłeś. Przez telefon nie wyjaśniłeś, o co chodzi.

– Rzeczywiście. Tak jak już powiedziałem, w ogóle nie jestem zszokowany tym, że otwierają listy.

– Centrala? Myślisz, że...

– Ja nic nie myślę, Lennox. Po prostu zgadzam się z tobą, że w takiej sytuacji jak ta nie ma sensu ryzykować.

Lennox z namysłem skinął głową.

– A mimo to, mój drogi, zdecydowałeś się podjąć ryzyko?

– Możliwe. Mam dowody na to, kto zabił Duncana.

Biurowe krzesło zazgrzytało, gdy Lennox gwałtownie się wyprostował. Odsunął się od maszyny do pisania i oparł łokciami o biurko.

– Zamknij drzwi!

Duff usłuchał, sięgając ręką do klamki.

– Jakie to dowody? Namacalne?

– Dziwne, że użyłeś akurat tego określenia... – Duff wziął leżący na biurku Lennoxa nóż do papieru i zważył go w dłoni. – Jak wiesz,

zarówno w pokoju Duncana, jak i ochroniarzy pozornie nie było nic dziwnego.

– Określenia „pozornie" używa się wtedy, kiedy coś wygląda na normalne, a jednak takie nie jest.

– No właśnie. – Duff położył nóż do papieru na palcu wskazującym w taki sposób, by nóż sam się na nim trzymał, tworząc wraz z palcem kształt krzyża. – Jeśli miałbyś wbić komuś sztylet w szyję, żeby go zabić, to czy nie trzymałbyś sztyletu mocno, na wypadek gdybyś nie wcelował w tętnicę i musiał zadać jeszcze jeden cios?

– Przypuszczam, że tak. – Lennox nie spuszczał oczu z noża.

– A gdybyś jednak trafił w tętnicę już za pierwszym razem, tak jak tamten sztylet, to parokrotnie trysnęłaby gwałtownie duża ilość krwi, a potem ciśnienie by spadło i serce przestałoby bić. Potem krew już by tylko ciekła.

– Nadążam za tobą. Tak mi się wydaje...

– A mimo to rękojeść sztyletu znalezionego przy Hennessym była całkowicie pokryta krwią. Odcisnęły się w niej jego linie papilarne, wnętrze jego dłoni też było pokryte krwią Duncana. – Duff wskazał na nóż do papieru. – To oznacza, że kiedy krew trysnęła z szyi Duncana, morderca nie trzymał za rękojeść, tylko chwycił ją później. Albo ktoś potem zacisnął dłoń ochroniarza wokół rękojeści. Ponieważ wcześniej ktoś – ktoś inny – rzucił sztyletem w szyję Duncana.

– Rozumiem. – Lennox podrapał się w głowę. – Ale co to za różnica, cios czy rzut z bliskiej odległości. Rezultat jest taki sam.

Duff podał nóż Lennoxowi.

– Spróbuj rzucić tym nożem tak, żeby wbił się w tę tablicę.

– Ja?

– No spróbuj.

Lennox wstał. Od tablicy korkowej dzieliła go odległość ponad dwóch metrów.

– Musisz rzucać mocno – poinstruował Duff. – Potrzeba siły, żeby ostrze przebiło szyję.

Lennox się zamachnął, nóż uderzył w tablicę i z brzękiem upadł na podłogę.

– Możesz spróbować jeszcze dziesięć razy. – Duff podniósł nóż i znów położył go na swoim palcu wskazującym. – Założę się o butelkę dobrej whisky, że nie uda ci się wbić czubka w korek.

– Taką małą masz wiarę w moje umiejętności i szczęście?

– Gdybym dał ci niewyważony nóż, albo z cięższą rękojeścią, albo z cięższym ostrzem, miałbyś większą szansę. Ale ten nóż, tak samo jak sztylety, które przebiły szyję Duncana, jest dobrze wyważony. Potrzeba specjalisty, żeby poradził sobie z takim rzutem. A nikt w komendzie, z kim rozmawiałem, nigdy nie widział ani nie słyszał, żeby ochroniarze Duncana ćwiczyli rzucanie nożami. Prawdę powiedziawszy, znam tylko jedną osobę, która się tym zajmowała. O mało nie przyjęto jej do cyrku właśnie ze względu na te umiejętności. I była tego wieczoru w Inverness.

– Co to za osoba?

– Człowiek, któremu powierzyliście Pezet. Macbeth.

Lennox znieruchomiał, jakby jego uwagę przykuł jakiś punkt na czole Duffa.

– Chcesz powiedzieć, że...

– Tak, właśnie to chcę powiedzieć. Komendant Duncan został zamordowany przez Macbetha. Ten sam człowiek z zimną krwią zabił niewinnych ochroniarzy.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece. – Lennox opadł ciężko na krzesło. – Rozmawiałeś o tym z technikami i z Caithness?

Duff pokręcił głową.

– Zauważyli krew na rękojeści sztyletu, ale uważają, że zadziałał automatyczny odruch wypuszczenia noża z ręki, nie przypuszczają, że sztylet został rzucony. To zrozumiałe, bo takie umiejętności są dość rzadkie. Jedynie najbliżsi koledzy Macbetha wiedzą, że właśnie on to potrafi.

– Dobrze. Nie możemy nikomu o tym wspomnieć. Nikomu. – Lennox złożył ręce i przygryzł knykcie. – Masz świadomość, w jakiej sytuacji mnie to stawia, Duff?

– Owszem. Teraz już wiesz to, co ja, i nie da się tego cofnąć. Twoja głowa legła na pieńku razem z moją. Przepraszam, że nie dałem ci wyboru, ale co innego mogłem zrobić? Wybiła godzina naszego przeznaczenia, Lennox.

– Rzeczywiście. Jeżeli prawdą jest to, co mówisz, a Macbeth jest takim potworem, jak twierdzisz, polując na niego, nie można go tylko zranić, bo stanie się po dwakroć niebezpieczny. Należy go powalić jednym decydującym ciosem.

– No tak, ale w jaki sposób?

– Chytrością i sprytem, Duff. Muszę to sobie przemyśleć, a nie jestem geniuszem, więc to zajmie trochę czasu. Spotkajmy się znów. Tylko nie tutaj, gdzie ściany mają uszy.

– O szóstej. – Duff wstał. – Przy Dworcu Centralnym. Koło Berthy.

– Przy tej starej lokomotywie? Dlaczego właśnie tam?

– Bo tam byłem umówiony z Banquiem, który miał mi powiedzieć to, co już i tak wiem.

– W takim razie to rzeczywiście odpowiednie miejsce. Do zobaczenia.

Macbeth wpatrywał się w telefon na swoim biurku.

Właśnie zakończył rozmowę ze Swenem.

Miał wrażenie, że nerwy podskubują mu skórę od środka. Potrzebował czegoś. A właściwie nie czegoś. Dobrze wiedział, co to

ma być. Chwycił wielki kapelusz, który kupiła mu Lady.

Priscilla uśmiechnęła się, kiedy Macbeth przemaszerował przez sekretariat.

– Jak długo pana nie będzie, komendancie?

Na polecenie Macbetha przeniosła się z pokoju piętro niżej na górę. Cała operacja zajęła mniej niż dwie godziny. Chciał całkowicie się pozbyć dawnej asystentki Duncana, ale kiedy szef administracji wyjaśnił mu, że w sektorze publicznym nawet komendant policji nie może zwalniać ludzi z pracy bez konkretnego powodu, zamiast na bruk, wyrzucił ją na dolne piętro.

– Godzinę – odparł Macbeth. – Albo dwie.

– Wobec tego przekażę to tym, którzy będą dzwonić.

– Dobrze, Priscillo.

Stanął przy windzie i wcisnął guzik parteru. „Tym, którzy będą dzwonić". Żadnego „jeśli". Bo telefony się urywały. Naczelnicy wydziałów, sędziowie, członkowie Rady Miasta. Nie miał pojęcia, czym połowa z tych ludzi, do cholery, się zajmuje. Oprócz zadręczania go pytaniami, które nie wiadomo do czego miały prowadzić. Dlatego kończył, wymawiając się, że inni rozmówcy już są na linii. Dziennikarze. Śmierć Duncana. Zniknięcie Malcolma. A teraz zabójstwo jeszcze jednego policjanta plus zaginięcie jego syna. Pytano, czy sprawy już całkiem wymknęły się spod kontroli. Czy komendant policji może zapewnić, że...? *Bez komentarza. Zapraszam na kolejną konferencję prasową, która odbędzie się...*

A teraz na dodatek Sweno.

Drzwi windy otworzyły się i dwaj policjanci w mundurach, którzy chcieli wsiąść, gwałtownie się cofnęli. Regułę, że komendant ma mieć windę tylko dla siebie, wprowadził Kenneth, ale Duncan ją zniósł. Zanim jednak Macbeth zdążył zaprosić funkcjonariuszy

do środka, drzwi windy zasunęły się z powrotem i ruszył dalej w dół sam.

Na chodniku przed wejściem do komendy wpadł na jakiegoś ubranego w szary prochowiec faceta czytającego gazetę, który mruknął: „Przepraszam, komisarzu". Nic dziwnego, bo kiedy Macbeth podniósł głowę, na pierwszej stronie gazety zobaczył własną gębę. *PIERWSZY OFICER PRZEJMUJE STER*. Niezły nagłówek. Niewykluczone, że zaproponowany przez Lady. Naczelny był w jej rękach jak mokra glina.

Macbeth nasunął wielki kapelusz na czoło i ruszył szybkim krokiem. Teraz, w środku dnia, ulice były tak zakorkowane, że do dworca szybciej dało się dojść, niż dojechać. W dodatku lepiej, żeby nikt w tym miejscu nie widział limuzyny komendanta policji.

Tylko bogowie wiedzieli, co Sweno powiedział Priscilli, że go przełączyła. W każdym razie nie przedstawił się, gdy Macbeth odebrał. Wcale nie musiał. Kiedy raz usłyszało się jego głos, już się go nie zapominało. Od tego basu plastik telefonu wpadał w drżenie. Sweno przypomniał, że Macbeth obiecał niezwłoczne zwolnienie z aresztu członków Norse Riders, a minęło już pół doby. Macbeth odparł, że to nie takie proste, ponieważ wystąpiono już z aktem oskarżenia, więc sędziowie i adwokaci muszą podpisać odpowiednie dokumenty. Zapewnił jednak, że Sweno może zacząć przygotowywać mowę na imprezę powitalną za dwa dni.

– To o dwa dni za dużo – oświadczył Sweno. – I będą to ostatnie dwa dni, jakie kiedykolwiek ode mnie dostałeś. Pojutrze, punkt jedenasta, jeden z nas zadzwoni do domu sędziego – nie powiem do którego – przyzna się do udziału w zabójstwie Banqua i wyjawi, skąd tak dokładnie wiedzieliśmy, gdzie i kiedy można się spodziewać jego i Fleance'a.

– Jeden z twoich kamikadze?

– Poza tym mamy siedmioro świadków na to, że odwiedziłeś nasz klub.

– Uspokój się. I myśl o tej przemowie, Sweno. Przywieziemy i wypuścimy twoich chłopaków przed bramą klubu pojutrze o piętnastej trzydzieści.

Połączenie zostało przerwane.

U stóp schodów prowadzących na dworzec Macbeth się rozejrzał. Zauważył kolejny szary prochowiec, ale to nie był ten sam człowiek. Kapelusz zakrywał mu twarz, lecz poza tym nie wyróżniał się niczym spośród wielu dobrze ubranych mężczyzn, którzy codziennie wbiegali po tych schodach, aby kupić tę jedną rzecz niezbędną im do tak zaskakująco dobrego funkcjonowania.

Zatrzymał się w tym samym miejscu, w którym stał ostatnio: w korytarzu przy schodach prowadzących do toalety. Jednookiego chłopaka nie było tam dzisiaj widać. Zniecierpliwiony Macbeth przestępował z nogi na nogę. Głód odezwał się już kilka godzin temu, ale dopiero teraz, kiedy już tak mało brakowało, aby go zaspokoić, zaczął mu naprawdę dokuczać.

Wydawało mu się, że upłynęła co najmniej godzina, kiedy ona wreszcie się pojawiła, ale zegar twierdził, że minęło zaledwie dziesięć minut. W ręku trzymała białą laskę. Nie wiedział, co to może oznaczać.

– Muszę dostać dwie torebki – oświadczył.

– Musisz się z kimś spotkać – odparła Strega. – Wepchnij to sobie do uszu i włóż to. – Podała mu parę zatyczek i okulary wyglądające jak skrzyżowanie okularów pływackich ze spawalniczymi, z rodzaju tych, które noszą ślepcy.

– Po co?

– Bo to dla ciebie jedyny sposób zdobycia wywaru.

Zawahał się. Nie, właściwie wcale się nie wahał, po prostu się nie spieszył. Stanąłby na rękach, gdyby go o to poprosiła. Szkła okularów były zamalowane, więc nie widział kompletnie nic. Strega kilka razy okręciła go w kółko, najwyraźniej chcąc, żeby stracił orientację. Potem wcisnęła mu do ręki białą laskę i poprowadziła. Dziesięć minut później poczuł, że wyszli na deszcz, a ponieważ zatyczki do uszu nie odcinały wszystkich dźwięków, zrozumiał, że wokół nich są ludzie i ruch uliczny. Strega pomogła mu wdrapać się na półtorametrowy cementowy mur, dalej szli już po żwirze albo piasku. Potem znów półtora metra w górę po cemencie i znaleźli się w jakimś miejscu, gdzie przynajmniej było cieplej, a powietrze bardziej suche. Tam posadzono go na krześle, ktoś wyjął mu zatyczki z uszu, lecz kazał zostać w okularach.

Usłyszał, że coś się zbliża. Stukanie urwało się tuż przy nim.

– Przepraszam, że musiałem cię tu sprowadzić w taki sposób. – Głos brzmiał niezwykle łagodnie i miękko. Wydawało się, że należy do starszego mężczyzny. – Uznałem jednak, zważywszy na sytuację, że najlepiej będzie spotkać się twarzą w twarz. To znaczy ty mojej twarzy nie widzisz, ale akurat z tego bym się na twoim miejscu cieszył, Macbecie.

– Rozumiem. Bo to oznacza, że zamierzasz wypuścić mnie stąd żywego.

– Nie jesteś zbyt bystry. Ale bystrzejszy niż głupiec. Właśnie dlatego cię wybraliśmy.

– Dlaczego tu jestem?

– Ponieważ się niepokoimy. Oczywiście już wcześniej wiedzieliśmy o twojej skłonności do używek, ale nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że wywar tak prędko zdoła przejąć nad tobą pełną władzę. Krótko mówiąc, musimy stwierdzić, czy można na tobie polegać, czy też jednak będziemy zmuszeni cię wymienić.

– Wymienić? Na kogo?

– Wydaje ci się, że jesteś taki wyjątkowy? Mam nadzieję, że tytuł komendanta policji nie uderzył ci do głowy jak woda sodowa i pojmujesz, iż to jedynie przykrywka, a beze mnie jesteś nikim. Duncan sądził, że da sobie radę beze mnie. Ba, że jest w stanie mnie pokonać. Tobie też się tak wydaje, Macbecie?

Macbeth zacisnął zęby, przełknął złość. Chciał tylko dostać swoje torebki i jak najszybciej stąd odejść.

– Z tego, co widzę, nasza współpraca układa się z korzyścią dla nas obu, Hekate. Ty być może uruchomiłeś łańcuch wydarzeń, które zrobiły ze mnie komendanta policji, a ja mam usunąć z drogi Swena i zadbać o to, żeby policja nie przeszkadzała za bardzo tobie i twojemu monopolowi.

– Hm. Więc nie masz żadnych moralnych zastrzeżeń?

– Może i jakieś mam, ale jestem praktykiem. W każdym mieście tej wielkości znajdzie się rynek dla podobnych tobie sprzedawców marzeń. Jeśli to nie będziesz ty czy Sweno, znajdą się inni. Współpracując ze sobą, przynajmniej utrzymujemy z daleka innych, być może gorszych handlarzy. Akceptuję cię jako środek do osiągnięcia celu, czyli zbudowania lepszej przyszłości dla tego miasta.

Stary roześmiał się cicho.

– Te słowa zabrzmiały jak wyjęte wprost z ust Lady. Lekkie i słodkie w smaku, ale mało sycące. Jestem na rozstaju dróg, Macbecie. I abym mógł dokonać wyboru, muszę sprawdzić, czy się nadajesz. Widzę, że gazety używają metafor o pierwszym oficerze, który przejął ster po kapitanie. No cóż, twój statek akurat w tym momencie dopadł sztorm. Na Duncanie, Banqu i studencie szkoły policyjnej wykonano egzekucję. Sprawa Cawdora. Malcolm i dwaj ochroniarze nie żyją, przypuszczalnie byli skorumpowani. Twój

statek, twoja formacja, już jest wrakiem, Macbecie, zarówno pod względem fizycznym, jak i moralnym, więc jeśli mam ci pomóc, muszę wiedzieć konkretnie, jak zamierzasz go sprowadzić na spokojniejsze wody.

– Oczywiście winni zostaną ujęci i ukarani.

– Cieszę się, że to słyszę. A kim są winni?

– Czy to nie oczywiste? Norse Ridersi. To oni zmusili Malcolma i ochroniarzy do współpracy.

– Dobrze. W takim razie nas obu, i ciebie, i mnie, można uniewinnić. Ale co się stanie, jeśli Sweno będzie potrafił udowodnić swoją niewinność w związku z zabójstwem Duncana?

– Mam przeczucie, że nie zdąży.

– Hm. To brzmi nieźle. Spodziewam się, że wystarczy ci determinacji, aby zrealizować to, o czym mówisz, Macbecie.

– Wystarczy, Hekate. I liczę na to, że tego samego mogę oczekiwać od ciebie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Utorowałem ci drogę do stanowiska komendanta, to za mało?

– Muszę mieć ochronę. Widzę teraz, że wszyscy się na mnie uwzięli. Sędziowie, dziennikarze, kryminaliści, a z pewnością również koledzy z komendy. Ich bronią są pistolety albo słowa. Telefon nie milknie. I zobacz tylko, można mnie w biały dzień porwać i poprowadzić jak ślepca.

– Nie masz Gwardii, która by cię chroniła?

– A kto wie, czy mogę ufać wszystkim jej członkom? Potrzebna mi lepsza ochrona.

– Rozumiem. A oto moja odpowiedź: moją ochronę już masz. Jest tak od pewnego czasu, tylko tego nie zauważyłeś.

– Gdzie ona jest?

– Nie myśl o tym. Po prostu wiedz, że Hekate chroni swoje inwestycje. Moja osoba stanowi gwarancję tego, że nikt w tym mieście, absolutnie nikt, nie może cię skrzywdzić, dopóki należysz do mnie, Macbecie.

– Nikt?

– Obiecuję ci. Nie narodził się jeszcze człowiek, z którego powodu włos mógłby spaść z twojej pięknej głowy. A stara Bertha znów zacznie jeździć, zanim ktoś cię wyrzuci z gabinetu komendanta policji. Czy to ci wystarczy, Macbecie?

– Tak. Te dwie obietnice mnie zadowalają.

– To dobrze. Wobec tego powiem ci jeszcze ostatnią rzecz: masz się strzec komisarza Duffa.

– Duffa?

– Odkrył, że to ty zabiłeś Duncana.

Macbeth wiedział, że powinien czuć przerażenie. Lęk. Panikę. A mimo to czuł tylko znajomy znienawidzony głód.

– Na szczęście dla ciebie na razie tylko jeden człowiek wie to samo, co Duff.

– Kto? – spytał Macbeth.

– Ten, który na moje polecenie wysunął i wspierał twoją kandydaturę na szefa Pezetu. I zrobił to bardzo dyskretnie – Duncan był później przekonany, że to jego własny pomysł.

– Kto to taki?

– Sam zobacz.

Nogi krzesła zaszurały, kiedy Macbetha obrócono, a potem zdjęto mu okulary.

Najpierw pomyślał, że zagląda do dźwiękoszczelnego pokoju przesłuchań. Znajdowało się w nim takie samo lustro weneckie, dzięki któremu osoba przesłuchiwana nie widziała ani nie słyszała ludzi pozostających na zewnątrz. Różnica polegała na tym, że to

mocno oświetlone pomieszczenie przypominało wielkie laboratorium ze szklanymi kolbami, rurkami i wężykami prowadzącymi do ogromnego kotła. Stanowił on niemalże komiczny kontrast z otaczającym go nowoczesnym sprzętem i skojarzył się Macbethowi z satyrycznymi rysunkami, które przedstawiały kanibali gotujących swoje ofiary. Na ścianie za kotłem wisiała tabliczka z napisem *PALENIE WZBRONIONE*. Przed kotłem, przy samej szybie, siedział na leżaku blady, rudowłosy mężczyzna. Rękaw koszuli miał podwinięty, twarz zwróconą do sufitu, półotwarte usta, oczy na wpół przymknięte. Znajdował się tak blisko nich, że Macbeth widział drżenie niebieskich tęczówek widocznych spod uchylonych powiek. Rozpoznał jedną z sióstr Chinek, to ona trzymała strzykawkę z igłą wbitą w przedramię komisarza Lennoxa.

Zza pleców Macbetha dobiegł łagodny głos.

– To Lennox podrzucił Duncanowi pomysł, że nie powinien mianować nikogo należącego do elity, ale człowieka, którego mieszkańcy miasta uznają za swojego.

– Lennox powiedział Duncanowi, że powinien mnie zrobić szefem Pezetu?

– Oczywiście mówił coś zupełnie innego. Twierdził, że Duncan nie może wybrać ciebie, bo brak ci kwalifikacji formalnych i za blisko ci do zwykłych ludzi. Właśnie w taki sposób manipuluje się samowładnymi uparciuchami o wielkim ego.

– Więc po prostu powiedziałeś „hop" i Lennox skoczył?

– A Lennox powiedział „nie skacz" i Duncan skoczył.

Rozległ się powolny, kląskający śmiech, jakby ktoś nalewał whisky z butelki.

– Podobno w ludzkim umyśle jest mnóstwo niezbadanych zakamarków, Macbecie. Ale przede wszystkim są szerokie aleje,

po których łatwo się poruszać. Lennox należy do mnie od ponad dziesięciu lat. Wierny sługa, komisarz Lennox.

Macbeth usiłował dojrzeć odbicie stojącego za nim mężczyzny, ale zobaczył jedynie Stregę, jakby Hekate w ogóle nie odbijał się w szybie. Był tam jednak, bo jego głos rozlegał się tuż przy uchu Macbetha.

– Więc kiedy ja mówię „skacz", to znaczy, że masz skoczyć.

– Tak?

– Zabij Duffa.

Macbeth przełknął ślinę.

– Duff jest moim przyjacielem, ale o tym zapewne wiesz.

– Banquo był dla ciebie jak ojciec, a to cię nie powstrzymało. Usunięcie Duffa jest konieczne, Macbecie. Poza tym mam dla ciebie lepszego przyjaciela. Na imię mu power.

– Nie potrzebuję nowych przyjaciół.

– Owszem, potrzebujesz. Po wywarze tracisz stabilność i stajesz się nieobliczalny. Miałeś halucynacje, prawda?

– Możliwe. Może to też halucynacja. A co to jest power?

– Nowy, a zarazem prastary produkt. Wywar to power dla ubogich. Power jest siedem razy mocniejszy i o połowę mniej szkodliwy. Wyostrza umysł i dodaje sił. A właśnie tego potrzeba w obecnych czasach.

– Wolę wywar.

– Ty, Macbecie, wolisz zostać na stanowisku komendanta.

– Czy ta nowa substancja mnie uzależni?

– Powiedziałem ci, że power jest stary i zastąpi wszystko, od czego już jesteś uzależniony. Więc co ty na to? Duff w zamian za power.

Macbeth zobaczył, że głowa Lennoxa opada do przodu, a za plecami usłyszał szept Stregi. Siostra złożyła oparcie leżaka

Lennoxa i wróciła do kotła.

– Daj mi to.

– Słucham?

Macbeth musiał odchrząknąć.

– Powiedziałem, żebyś mi to dał.

– Daj mu torebki – polecił Hekate.

Macbeth usłyszał oddalające się postukiwanie laseczki i zaraz znów włożono mu okulary, a otaczający go świat zniknął.

18

– Piękna, prawda? – Lennox pogładził dłonią czarną damę.

– Nie – zaprotestował Duff. – O Bercie można wiele powiedzieć, ale nie to, że jest piękna.

Lennox roześmiał się i spojrzał na swoją dłoń, poczerniałą od sadzy.

– Wszyscy mówią o niej Bertha, ale jej pełna nazwa brzmi Bertha Birnam. Pochodzi od pewnej czarnowłosej kucharki ze stołówki, jedynej osoby, która pracowała na budowie przez wszystkie lata, jakie zajęło pociągnięcie linii kolejowej stąd do Capitolu.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ mój dziadek budował te tory. Stąd do Capitolu.

– Więc twój dziadek wywijał młotem i dźwigał podkłady kolejowe? – zdumiał się Duff.

– Nie, oczywiście, że nie. Uczestniczył w finansowaniu budowy kolei.

– To już lepiej się rymuje.

Duff spojrzał na światła Inverness, zapraszające w popołudniowym zmroku.

– No tak, my, Lennoxowie, jesteśmy właściwie bankierami. Pod tym względem stałem się kimś w rodzaju czarnej owcy. A jak wyglądają twoje korzenie, Duff?

– Zwyczajnie.

– Policjanci?

– Odkąd sięga pamięć.

– Znam w mieście kilku Duffów, ale żaden nie pracuje w policji.

– Przyjąłem nazwisko dziadka, kiedy się tu przeprowadziłem.

– A on jest...

– Nie żyje. Po jego śmierci byłem w sierocińcu. Potem skończyłem szkołę policyjną.

– Jeśli nie jesteś stąd, to dlaczego nie wybrałeś szkoły policyjnej w Capitolu? Jest lepsza, podobnie jak tamtejsza pogoda i powietrze.

– Tutaj były grube ryby, Norse Riders, Hekate...

– Rozumiem. Naprawdę chciałeś dowodzić Pezetem, prawda?

– Tak. Chyba tak.

– No cóż, stanowisko ciągle jest wolne. A kiedy już wsadzimy Macbetha za zabójstwo Duncana, będziesz mógł wybrać sobie wydział, który zechcesz objąć. Będą nas czcić jako wybawicieli miasta, Duff.

– Doprawdy? Sądzisz, że kogokolwiek to obchodzi? – Duff ruchem głowy wskazał na plac, który ludzie przemierzali pospiesznie, pragnąc jak najszybciej stąd zniknąć, znaleźć się w cieniu, w bezpiecznym miejscu.

– Rozumiem, co masz na myśli. Ale bardzo łatwo nie docenić przeciętnego obywatela tego miasta.

– Istnieją dwa różne sposoby rozprawienia się z problemem, Lennox. Można go rozwiązać albo zignorować. Kenneth nauczył miasto tego ostatniego. Ignorowania korupcji i spychania

odpowiedzialności za wspólnotę na innych. Spójrz na nich! Uciekają jak karaluchy po włączeniu światła.

– Godne pogardy miasto z godnymi pogardy mieszkańcami. A mimo to jesteś skłonny zaryzykować dla niego wszystko?

Duff z rezygnacją pokręcił głową.

– Na miłość boską, Lennox! Co cię skłania do tego, by sądzić, że ktoś coś robi dla miasta? To tylko taki sposób mówienia, którym wszyscy się posługują, kiedy przychodzi czas wyborów do ratusza albo obsadzenia stanowiska komendanta policji. Powiedz mi raczej, do jakich wniosków doszedłeś od czasu naszej poprzedniej rozmowy.

– Rozmawiałem z pewnym sędzią w Capitolu...

– Przecież mieliśmy nikomu o tym nie wspominać!

– Spokojnie, Duff. Nie powiedziałem, o co ani o kogo chodzi, tylko że sprawa dotyczy korupcji na wysokim szczeblu. Rzecz w tym, że ten sędzia jest godny zaufania. Pochodzi spoza miasta, więc nie ma powiązań z Macbethem, Swenem czy Hekate. Jako sędzia sądu federalnego może zaangażować policję federalną, będziemy mogli ominąć Komendę Główną i wnieść oskarżenie w Capitolu, skąd Macbeth nie dosięgnie żadnych sznurków, za które mógłby pociągnąć. Sędzia za trzy dni przyjeżdża do naszego miasta w innej sprawie i zgodził się na spotkanie z nami, przy zachowaniu pełnej tajemnicy.

– Jak on się nazywa?

– Jones.

Lennox zorientował się, że Duff się w niego wpatruje.

– Lars Jones – powtórzył Lennox. – Coś nie tak?

– Masz źrenice jak ćpun.

Lennox oblizał usta i się roześmiał.

– Tak to już jest, kiedy człowiek się urodzi na poły albinosem. Oczy wrażliwe na światło. To jeden z powodów, dla których w naszej rodzinie preferowano pracę pod dachem.

Duffa przeszedł dreszcz, chociaż w płaszczu było mu ciepło. Znów spojrzał w stronę Inverness.

– Czyli trzy dni. Co będziemy robić przez ten czas?

Lennox wzruszył ramionami.

– Trzymać język za zębami. Siedzieć cicho jak mysz pod miotłą. I... nie potrafię już wymyślić trzeciego sposobu na powiedzenie tego samego.

– Już się boję następnego spotkania z Macbethem.

– Dlaczego?

– Marny ze mnie aktor.

– Nigdy nikogo nie zdradziłeś?

– Owszem, ale mnie odkrywano.

Lennox zerknął na niego z ukosa.

– Tak? W domu?

Duff wzruszył ramionami.

– Nawet mój synek, który za parę dni kończy dziewięć lat, dobrze wie, kiedy tata opowiada głupstwa. A Macbeth zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny.

– To dziwne. – Lennox się zamyślił. – Że dwóch ludzi tak różnych jak wy było tak bliskimi przyjaciółmi.

– Pogadamy o tym później. – Duff spojrzał na zachód. – Jeśli wyjadę teraz, zdążę na zachód słońca w Fife.

Po jego odejściu Lennox stał, spoglądając w tę samą stronę co Duff. I z wdzięcznością pomyślał o przyrodzie, która urządziła wszystko tak, że deszczowe chmury zasłaniały widok powracającym do miasta, zawsze więc mogli mieć nadzieję na poprawę pogody.

– Mam wrażenie, że najgorsze już za nami. – Macbeth sięgnął na szafkę nocną po zapalniczkę i przypalił papierosa. – Teraz będzie tylko lepiej. Znaleźliśmy się w punkcie, w którym powinniśmy. Miasto jest nasze.

Lady leżała pod jedwabnym prześcieradłem z ręką na piersi, wyczuwając dłonią swoje wciąż szybko bijące serce. Mówiła, z trudem łapiąc oddech.

– Jeśli twoja świeżo nabyta namiętność jest miarą twojej siły, najdroższy...

– Mhm?

– ...to jesteśmy niepokonani. Zdajesz sobie sprawę, jak bardzo ludzie cię kochają? Mówią o tobie w kasynie. Powtarzają, że ocalisz miasto. A czytasz w ogóle gazety? Dzisiaj w „Dzienniku" w artykule wstępnym zaproponowali, żebyś kandydował w wyborach na burmistrza.

– Napisał tak naczelny, twój przyjaciel? – Macbeth się roześmiał. – Ponieważ go o to poprosiłaś?

– Nie, nie. Wstępniak nie dotyczył ciebie; to był komentarz do tego, że nie ma żadnego dobrego kontrkandydata dla Tourtella, więc zostanie ponownie wybrany, chociaż nie cieszy się sympatią.

– Nie zdobywa się sympatii, będąc lokajem Kennetha.

– Zostałeś wymieniony jako jedna z kilku osób, które teoretycznie mogłyby rzucić wyzwanie Tourtellowi. Co ty na to?

– Miałbym kandydować w wyborach na burmistrza? – Macbeth ze śmiechem podrapał się po przedramieniu. – Dziękuję, ale nie skorzystam. Mam już wystarczająco duży gabinet. A poza tym zdobyliśmy dostatecznie dużą władzę, żeby osiągnąć to, co chcemy. – Paznokieć zaczepił o maleńką dziurkę w skórze. Power. Wstrzyknął go sobie – okazało się, że rzeczywiście nie jest przereklamowany.

– Masz rację, kochany – powiedziała. – Ale i tak prześpij się z tym pomysłem. Kiedy dojrzeje, może spojrzysz na to inaczej. A tak w ogóle to przyszła dziś do ciebie paczka. Jack ją odebrał. Przywiózł ją jakiś motocyklista. Ciężka i bardzo starannie zapakowana.

Macbeth czekał na wrażenie krwi lodowaciejącej w żyłach, ale się nie pojawiło. Pewnie za sprawą tego nowego narkotyku.

– Gdzie ją położyłaś?

– Na górnej półce w twojej szafie na ubrania.

– Dziękuję.

Powoli wypalił papierosa, wsłuchany w oddech zasypiającej Lady. Wpatrywał się w solidne dębowe drzwi szafy. Potem położył głowę na poduszce i zaczął wydmuchiwać kółka z dymu. Patrzył, jak we wpadającym przez okno blasku księżyca wiją się i wyginają niczym arabskie tancerki brzucha. Nie bał się. Miał ochronę Gwardii, miał ochronę Hekate, a bogowie losu patrzyli na niego łaskawie. Uniósł głowę i znów spojrzał na szafę. Nie dochodził stamtąd żaden dźwięk. Duchy odeszły. Bo przecież po deszczu zawsze przychodzi pogoda. Przecież miłość potrafi po walce oczyścić człowieka z krwi. Przecież po grzechu następuje odpuszczenie.

19

– Dzień dobry wszystkim. – Macbeth obrzucił spojrzeniem zebranych wokół stołu konferencyjnego. – Chociaż, rzecz jasna, nie jest to dobry dzień, tylko drugi dzień po śmierci Banqua i trzydziesta siódma godzina, w której jego mordercy pozostają na wolności. Zacznijmy od minuty ciszy dla uczczenia Banqua.

Duff zamknął oczy.

Niezwykły był widok Macbetha wchodzącego do sali z taką powagą na twarzy. Przecież zazwyczaj każdy dzień i każdą osobę witał uśmiechem, bez względu na to, czy świeciło słońce, czy padał deszcz, i czy widział znajomych, czy obcych. Tak jak za pierwszym razem, gdy wpadli na siebie w sierocińcu. Musiał się zorientować, zarówno po ubraniu, jak i po włosach Duffa, że bardzo się od siebie różnią, a mimo to uśmiechnął się, jakby łączyło ich coś głębszego, jakby coś ich ze sobą wiązało i sprawiało, że w gruncie rzeczy byli braćmi. Ale może wszyscy tak czuli pod wpływem jego szerokiego, serdecznego uśmiechu. Ten uśmiech mówił o naiwnej wierze w to, że ludzie wokół niego pragną dla siebie nawzajem tylko tego, co najlepsze, i już wtedy kazał Duffowi poczuć się starym wyrachowanym cynikiem. Duff wiele dałby za to, by taki uśmiech okazał się zaraźliwy dla otoczenia.

– Duff? – Ktoś odezwał się do niego szeptem. Odwrócił się i spojrzał wprost w przejrzyste zielone oczy Caithness. Ruchem głowy wskazała na szczyt stołu, skąd patrzył na niego Macbeth.

– Spytałem, czy możemy poznać aktualne informacje ze śledztwa.

Duff wyprostował się, odchrząknął, poczuł, że się czerwieni. Potem zaczął mówić. O świadkach, którzy widzieli członków Norse Riders oraz – jeśli sądzić po symbolach na skórzanych kurtkach –

innego klubu motocyklowego, strzelających do volva przed sklepem jubilerskim Jacobs i Synowie. O kurtce i portfelu Fleance'a znalezionych przy brzegu pod mostem Kennetha i o bezskutecznych na razie poszukiwaniach zwłok. Caithness uzupełniła jego sprawozdanie komentarzem o innych śladach, które tylko potwierdzały to, co już wiedzieli, a mianowicie, że to gang Swena zamordował Banqua, a być może również Fleance'a, w każdym razie spowodował, że ciało chłopaka leżało gdzieś w fiordzie.

– Poza tym są poszlaki wskazujące na to, że Sweno osobiście uczestniczył w egzekucji. Niedopałek cygaretki na asfalcie koło samochodu.

– Wiele osób pali cygaretki – wtrącił Lennox.

– Ale nie Davidoff Long Panatellas – odparował Duff.

– Ty wiesz, jakiej marki cygaretki pali Sweno? – spytał Lennox, unosząc brew.

Duff nie odpowiedział.

– Nie możemy się godzić na takie rzeczy – oświadczył Macbeth. – Bo mieszkańcy nie dają nam na to przyzwolenia. Zabójstwo policjanta to atak na samo miasto. Jeśli dowództwo zebrane w tym pokoju chce utrzymać zaufanie mieszkańców jeszcze do jutra, to coś musi się wydarzyć już dzisiaj. Dlatego nie mamy czasu na wahanie. Jeżeli nie chcemy ryzykować śmierci kolejnych policjantów, powinniśmy uderzyć z całą mocą. To wojna, dlatego musimy posługiwać się wojenną retoryką. A ona, jak wiadomo, nie składa się ze słów, tylko z kul. Dlatego zatrudniłem nowego szefa Gwardii i udzieliłem jego wydziałowi rozszerzonych pełnomocnictw co do użycia broni, zawartych w instrukcji dotyczącej zwalczania przestępczości zorganizowanej.

– Przepraszam – wtrącił Lennox. – Co to za instrukcja?

– Niedługo się z nią zapoznacie, na razie, właśnie teraz, jest opracowywana.

– A kto ją pisze? – spytała Caithness.

– Seyton – wyjaśnił Macbeth. – Nowy szef Gwardii.

– Pisze instrukcję dla samego siebie? – zdumiała się Caithness. – A my nie...

– Pora na działanie – przerwał jej Macbeth. – A nie na szlifowanie sformułowań w instrukcji. Wkrótce zobaczycie rezultat. Jestem pewien, że będziecie równie zadowoleni jak ja. I jak reszta miasta.

– Ale...

– Oczywiście będziecie mogli skomentować tę instrukcję, kiedy już zostanie opracowana. Koniec zebrania. Bierzmy się do roboty, moi drodzy. – I teraz pojawił się uśmiech. – Duff, mogę zamienić z tobą kilka słów?

Niepewnie zaszurały odsuwane krzesła.

– Ty też możesz wyjść, Priscillo – powiedział Macbeth. – I zamknij za sobą drzwi, dobrze?

Sala opustoszała. Duff cały się spiął.

– Podejdź tutaj, usiądź bliżej – polecił Macbeth.

Duff przeniósł się na krzesło obok niego. Usiłował się rozluźnić, oddychać spokojnie, unikać mimowolnego napięcia mięśni twarzy, nie myśleć o tym, że siedzi w odległości splunięcia od człowieka, który zabił Duncana.

– Mam do ciebie pytanie – zaczął Macbeth. – Chciałbym, żebyś odpowiedział mi całkiem szczerze.

Duff poczuł, że gardło mu się zaciska, a serce o mało nie wyskakuje z piersi.

– Zamierzam zaproponować stanowisko szefa Pezetu komu innemu. Wiem, że twoją pierwszą reakcją będzie rozczarowanie.

Duff tylko kiwnął głową. W ustach zaschło mu tak, że nie miał pewności, czy głos go usłucha.

– Ale wyłącznie dlatego, że chcę, abyś został moim zastępcą. Co ty na to?

Duff odkaszlnął.

– Dziękuję – odparł nieswoim głosem.

– Źle się czujesz, Duff? – Macbeth ze zmartwioną miną położył rękę na jego ramieniu. – Czy jesteś po prostu rozczarowany? Wiem, jak bardzo ci zależało na Pezecie. Rozumiem, że wolałbyś stanowisko, na którym się działa, zamiast pomagać takiemu niezgrabiaszowi jak ja w panowaniu nad językiem i gestami. – Uśmiechnął się swoim białym uśmiechem, na który Duff starał się zareagować najlepiej, jak umiał. – Jesteś moim przyjacielem, Duff, i chcę, żebyś był blisko. Jak to było w tym przysłowiu?

Duff chrząknął.

– W jakim przysłowiu?

– To ty się znasz na przysłowiach, Duff, ale wszystko jedno. Jeśli będziesz się upierać przy Pezecie, to jeszcze się nad tym zastanowię, na razie nic nie mówiłem Lennoxowi. Naprawdę źle wyglądasz, przynieść ci szklankę wody?

– Nie, dziękuję, wszystko w porządku. Jestem po prostu trochę wykończony. W ogóle nie spałem przed tą akcją na nabrzeżu i prawie wcale od śmierci Duncana.

– I jesteś tylko trochę wykończony?

Duff przez chwilę się zastanawiał, w końcu pokręcił głową.

– Nie. Prawdę mówiąc, chciałem prosić o dwa dni wolnego. Wiem, że jesteśmy w samym środku śledztwa, ale Caithness może...

– Oczywiście, oczywiście, Duff. Na cóż zda się pośpiech rycerza, jeśli zajedzie konia na śmierć? Wracaj do domu, do Fife. Pozdrów ode mnie Meredith i przekaż jej, że masz co najmniej dwa dni

spędzić w łóżku. I możesz mi wierzyć albo nie, ale to rozkaz komendanta policji.

– Dziękuję.

– Dużo tu dzisiaj podziękowań, Duff, ale ostrzegam cię, przyjadę sprawdzić, czy rzeczywiście siedzisz w Fife.

– Dobrze.

– A za trzy dni wrócisz tu z odpowiedzią, czy chcesz zostać zastępcą komendanta.

– Umowa stoi.

Duff poszedł prosto do toalety i zwymiotował do sedesu. Koszulę miał przesiąkniętą potem i dopiero godzinę później, kiedy przejechał przez Stary Most, jego puls odzyskał normalny rytm.

Lady przeszła przez restaurację i salon gier. Naliczyła dziewięciu gości. Starała się tłumaczyć sobie, że pora po lunchu to najspokojniejszy okres dnia. Wyszła do recepcji, do Jacka.

– Ktoś się dzisiaj zameldował w hotelu?

– Na razie jeszcze nie, madam.

– Jeszcze nie? A czy ktoś zgłosi się później?

Uśmiechnął się przepraszająco.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Zajrzałeś do Obelisku, jak cię o to prosiłam?

– Oczywiście, madam.

– I tam było...

– Cicho i spokojnie, powiedziałbym.

– Kłamiesz, Jack.

– Tak, madam.

Lady nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Zawsze potrafisz mnie pocieszyć, Jack. Sądzisz, że chodzi o te zabójstwa?

– Możliwe. Chociaż dzwoniło też kilka osób, prosząc o wynajęcie pokoju, w którym zginął Duncan. W ostateczności pokoju ochroniarzy.

– Naprawdę nie brakuje ludzi chorych na głowę. Aha, skoro już mówimy o chorobach, chciałabym, żebyś trochę powęszył wokół tego chłopaka, którego przyprowadził Tourtell. Dowiedz się, ile ma lat.

– Sądzi pani...

– Ze względu na dobro chłopaka miejmy nadzieję, że skończył szesnaście. A na nasze – że nie skończył.

– Jakieś specjalne wykorzystanie tej informacji, madam?

– Jedynie magazynowanie amunicji na wszelki wypadek, Jack. To burmistrz mianuje nowego komendanta policji. I chociaż zazwyczaj w takim wypadku jak ten to tylko formalność, to jednak nigdy nie możemy mieć pewności, prawda?

– Tylko to?

– No cóż. Oczywiście ucieszylibyśmy się też, gdyby Tourtell mocniej przycisnął komisję do spraw kasyn, aby uważnie przyjrzała się Obeliskowi. Wykazywałam się cierpliwością i próbowałam działać po dobroci, ale jeśli to wkrótce nie odniesie skutku, będziemy musieli się uciec do bardziej drastycznych metod.

– Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć.

– Jack?

– Tak, madam.

– Czy ja ostatnio chodziłam we śnie?

– Nie podczas moich nocnych dyżurów, madam.

– Znowu kłamiesz?

– Być może zajrzała pani na chwilę do recepcji dziś w nocy, ale trudno było stwierdzić, czy pani spała, czy nie.

Lady się roześmiała.

– Jack, Jack. Szkoda, że nie wszyscy są tak dobrzy jak ty. Podejrzewałam coś podobnego. Klucz był w zamku od zewnątrz, kiedy się obudziłam.

– Coś szczególnego nie daje pani spokoju? Pani chodzi we śnie tylko wtedy, kiedy coś panią dręczy.

– A czy istnieje coś innego niż udręki? – westchnęła Lady.

– A sny? Znów ma pani ten sam sen?

– Mówiłam ci przecież, Jack, że to nie sen, tylko wspomnienie.

– Bardzo przepraszam, ale tego nie może pani wiedzieć na pewno, madam. Nie może pani mieć pewności, że to się stało właśnie tak, jeśli widzi to pani co noc, bo wówczas to sen staje się wspomnieniem. Z tego, co pani wiadomo, dziecko zmarło śmiercią naturalną.

– Ty zawsze pocieszasz. Ale ja nie potrzebuję pociechy. Nie potrzebuję zapomnienia. Przeciwnie, muszę to pamiętać. Pamiętać, z czego zrezygnowałam, żeby znaleźć się tu, gdzie teraz jestem, aby móc doceniać swoje bezdzietne życie każdego dnia rano, kiedy budzę się w jedwabnej pościeli obok mężczyzny, którego sama wybrałam na tę noc, i kiedy mogę po schodach zejść do domu, do życia, które sama dla siebie stworzyłam. Gdzie szanują mnie za to, kim jestem.

– Nikt z nas nie jest szanowany za to, kim jest, madam. Jesteśmy szanowani za to, co możemy albo potrafimy zrobić. Zwłaszcza jeśli możemy zrobić coś przeciwko tym, których szacunku pragniemy...

– Jesteś za mądry na to, żeby stać w recepcji, Jack.

– Dlatego mądrość recepcjonisty nie przysparza mu niestety szczególnego szacunku. Recepcjonista to niegroźny obserwator, eunuch, a niekiedy pocieszyciel szanowanych.

– Cieszę się, że nie masz dzieci, Jack. Jesteś jedyną osobą, z którą mogę rozmawiać o zaniedbaniu własnego dziecka, nie budząc przy

tym obrzydzenia, z jakim niewątpliwie spotkałabym się ze strony każdego rodzica. Jesteś mądrym, tolerancyjnym człowiekiem, który stara się zrozumieć, a nie potępiać.

– A co tu potępiać? Młoda dziewczyna, wychowująca się w ubogiej rodzinie, zgwałcona jako trzynastolatka, zachodzi w ciążę i rodzi dziecko, którego – pozostawiona samej sobie bez dachu nad głową – nie jest w stanie utrzymać przy życiu.

– A jeśli nie starałam się dostatecznie mocno?

– Chce pani powiedzieć, że nie poświęciła pani własnego życia? W wieku trzynastu lat nie była pani jeszcze dorosła, chociaż miała pani w pełni rozwinięte zdolności umysłowe. Czy powinna pani poświęcić swoją przyszłość dla czegoś, co się dopiero narodziło, dla nasionka, które nie ma świadomości, że żyje, jeszcze nie czuje tęsknoty, winy, wstydu, prawdziwej miłości, które właściwie nie jest jeszcze człowiekiem, tylko kamieniem młyńskim u szyi młodej dziewczyny, już i tak dostatecznie ciężko pokaranej przez los? To, że ta trzynastolatka nie zdołała utrzymać przy życiu ich obojga i z nich dwojga to ona przeżyła, należy nazwać szczęściem w nieszczęściu. No bo proszę spojrzeć, co później osiągnęła. Założyła nieduży burdel. Potem większy, bardziej luksusowy, obsługujący wszystkich, od komendanta policji poczynając, po najważniejszych polityków w mieście. Sprzedała go i założyła najlepsze kasyno. A teraz – hokus-pokus – i została królową miasta.

Lady pokręciła głową.

– Za daleko się posuwasz, Jack. Zarówno upiększając moje motywy, jak i udzielając mi amnestii za moje złe uczynki. Czym jest kasyno? Czym są marzenia głupców w porównaniu z życiem prawdziwego dziecka? Gdybym mniej wymagała od własnego życia, może zdołałabym je uratować.

– Czy pani naprawdę wymagała tak wiele?

– Wymagałam akceptacji innych ludzi. Nie, więcej. Wymagałam szacunku. A nawet miłości. To dary, którymi mogą się cieszyć tylko nieliczni, a ja chciałam właśnie do nich należeć. Ceną za to jest tracenie własnego dziecka raz po raz. Noc po nocy.

Jack pokiwał głową.

– A gdyby mogła pani wybierać jeszcze raz, madam?

Lady popatrzyła na niego.

– Może wszyscy, i dobrzy, i źli, jesteśmy wyłącznie niewolnikami swojego pożądania. Nie sądzisz, że tak jest?

– Nie wiem, madam. Ale à propos niewolników pożądania, postaram się jutro dowiedzieć czegoś o tym chłopaku Tourtella.

Macbeth wysiadł z windy w piwnicy i przez parę sekund stał, wdychając zapach skóry, smaru do broni i męskiego potu. Popatrzył na sztandar z mottem Gwardii pod czerwonym, plującym ogniem smokiem. *Wierność, braterstwo, ochrzczeni ogniem, związani krwią.* O Boże, miał wrażenie, że od czasu, gdy był tu ostatnio, minęła cała wieczność.

Wszedł do wspólnego pokoju Gwardii.

– Olafson! Angus! Hej, co to za wygłupy! Siadajcie, nie podrywajcie się jak rekruci! Gdzie Seyton?

– Tam, w środku – odpowiedział Angus swoim pełnym przejęcia kaznodziejskim tonem. – Przykra sprawa z Banquiem. Chłopaki zbierają pieniądze na wieniec. Ale ty chyba już nie jesteś...

– Jednym z chłopaków? Oczywiście, że jestem. – Macbeth sięgnął po portfel. – Myślałem, że poszedłeś na zwolnienie, Olafson. Gdzie masz temblak?

– Wyrzuciłem. Lekarz uważał, że mam zniszczone wszystkie ścięgna w barku i już nigdy nie będę strzelał. – Świszczące „s" Olafsona przywodziło na myśl hiszpański. – No ale Seyton na to spojrzał i nagle wszystko się wygoiło.

– No widzisz, nie można wierzyć lekarzom. – Macbeth wręczył Olafsonowi kilka banknotów.

– Trochę za dużo, szefie.

– Bierz.

– Wystarczy na całą trumnę.

– Bierz, mówię!

Macbeth poszedł do swojego dawnego pokoju. Właściwie trudno było go tak nazwać, przypominał raczej warsztat, bo części do broni i amunicja zajmowały półki i blaty, nawet maszynę do pisania przeniesiono na krzesło.

– I co? – spytał Macbeth.

– Chłopcy zostali poinformowani – odparł Seyton, pochylony nad grubą instrukcją. – Są gotowi.

– A nasze dwie damy? – Macbeth wskazał na instrukcję.

– Gatlingi przyjadą w czwartek koło ósmej, czyli jutro rano. Po twojej rozmowie z kapitanem portu wpuszczą statek, który je przywiezie, poza kolejką, o ile dobrze zrozumiałem.

– Nie mogliśmy ryzykować, że damy spóźnią się na przyjęcie. A jeśli już jesteśmy przy damach, czeka was jutro jeszcze jedna robota, ciut później.

– Dobrze. A gdzie?

– W Fife.

20

Czwartek przed południem. Fife leżało skąpane w blasku słońca.

Duff płynął. Długimi, powolnymi pociągnięciami rąk przedzierał się przez chłodną, ciężką wodę jeziora.

Kiedyś wolał słony fiord, nad którym leżało miasto. Wydawało mu się, że pływa się w nim łatwiej, co właściwie go dziwiło, bo przecież uczył się, że słona woda ma większą gęstość, czyli powinno się w niej pływać trudniej niż w wodzie słodkiej. Mimo to do niedawna preferował fiord, który oprócz tego, że był lodowaty, to jeszcze tak zanieczyszczony, że Duff czuł się brudny za każdym razem, gdy z niego wychodził. Ale teraz był czysty. Wstał wcześnie, pogimnastykował się na chłodnej drewnianej podłodze przy łóżku gościnnym, przygotował śniadanie dla rodziny, zaśpiewał Ewanowi urodzinową piosenkę, odwiózł dzieciaki do szkoły, a potem razem z Meredith poszedł nad jezioro, oddalone od domu zaledwie o kilometr. Meredith mówiła, że zapowiada się dobry zbiór jabłek jesienią, że córka dostała pierwszy list miłosny, ale ku swojemu wielkiemu rozczarowaniu od chłopca o trzy lata młodszego, a na dwunaste urodziny zażyczyła sobie gitarę. Że Ewan wdał się w bójkę na szkolnym podwórzu i dostał uwagę do dzienniczka. Umówił się z mamą, że sam powie o tym tacie, ale może się z tym wstrzymać, aż będzie po uroczystym obiedzie z okazji wigilii urodzin, wtedy będą mieli na to dużo czasu. Duff spytał, czy takie odkładanie na później nie przysporzy Ewanowi niepotrzebnych nerwów.

– Nie wiem, co u niego przeważa. – Meredith się uśmiechnęła. – Czy bardziej się martwi, czy cieszy. Chłopak, z którym się pobił, chodzi do klasy wyżej, a zanim Ewan go uderzył, on najpierw kopnął małego Petera.

– Kogo?

– Najlepszego przyjaciela Ewana.

– A, jego – zablefował Duff.

– Ewan powiedział, że żałuje tego, co zrobił, ale musiał bronić przyjaciela, bo tata też by tak postąpił. Na pewno jest bardzo

ciekaw twojej reakcji.

– Spróbuję ją jakoś wypośrodkować. Zganię go za zachowanie, ale pochwalę moralność. Powiem parę słów o tym, że zamiast walczyć, lepiej podjąć inicjatywę załagodzenia, pogodzenia zwaśnionych stron.

– Byłabym ci bardzo wdzięczna.

W chwili, gdy oboje z Meredith zanurzyli się w wodzie, Duff przyrzekł sobie, że nie będzie pływać nigdzie indziej niż w ich własnym cudownym jeziorku w Fife.

– To tutaj! – parsknęła wodą płynąca za nim Meredith.

Duff obrócił się na plecy, aby móc ją widzieć. Lekko poruszając rękami i nogami, utrzymywał równowagę. Jego ciało pod wodą było blade z zielonkawym odcieniem, jej natomiast nawet w tym świetle wydawało się złocistobrązowe. Za dużo czasu spędzał w mieście, powinien złapać więcej słońca.

Meredith wyminęła go i wyszła na brzeg.

To była skała. Ale nie pierwsza lepsza, tylko ich skała. Ta, na której w pewien letni dzień dwanaście lat temu poczęta została ich córka. Wybrali się do Fife, ponieważ chcieli wyrwać się z miasta, i prawie przypadkiem natknęli się na to jezioro. Zatrzymali się na widok niedużego, opuszczonego gospodarstwa, które Meredith wydało się śliczne. Właśnie stamtąd dostrzegli błysk wody, a po dziesięciu czy piętnastu minutach marszu znaleźli jezioro. Chociaż nad jego brzegiem towarzyszyły im jedynie dwie krowy, przepłynęli na ukrytą przed ludzkim wzrokiem skałkę po drugiej stronie, gdzie już na pewno nikt nie mógł ich zobaczyć. Miesiąc później Meredith oznajmiła, że jest w ciąży. Odurzeni radością, wrócili w to miejsce i kupili tamten dom stojący w połowie drogi między szosą a jeziorem, a gdy na świat przyszło drugie dziecko,

Ewan, dokupili też niedużą działkę nad brzegiem, gdzie stał teraz domek kąpielowy.

Duff wdrapał się na skałę obok Meredith. Mieli stąd widok na pomalowany na czerwono domek.

Ułożył się na plecach na nagrzanym od słońca kamieniu. Zamknął oczy i poczuł przyjemne mrowienie. Pomyślał, że czasami warto zmarznąć wyłącznie po to, by docenić przyjemność, jaką daje ogrzanie ciała.

– Wróciłeś do domu?

Bo kiedy coś się traci i odnajduje z powrotem, radość jest większa, niż zanim się to coś zgubiło.

– Tak – odparł.

Padł na niego jej cień.

Kiedy się całowali, zastanawiał się, dlaczego dopiero teraz stwierdził, że kobiece wargi wilgotne od słodkiej wody smakują lepiej niż zwilżone słoną. Ale doszedł do wniosku, że to po prostu jego organizm w jakimś momencie przypomina, że słodką wodę, w przeciwieństwie do słonej, można pić.

Później, kiedy leżeli objęci, spoceni od słońca i miłości, powiedział, że musi jeszcze wybrać się do miasta.

– Dobrze. Ale zupa będzie czekać o zwykłej porze.

– Wrócę odpowiednio wcześnie. Muszę tylko pojechać po prezent dla Ewana. Zostawiłem go w szufladzie biurka.

– To przebranie wywiadowcy, o którym tak marzył?

– Tak. I mam jeszcze jedną rzecz do załatwienia. Im szybciej, tym lepiej.

Powiodła palcem wskazującym po jego czole i nasadzie nosa.

– Coś, co wyskoczyło dopiero teraz?

– I tak, i nie. Powinienem był się z tym uporać już dawno temu.

– W takim razie – jej palec, który tak dobrze go znał, przesunął się na jego wargi – musisz zrobić to, co twoim zdaniem konieczne. Będę na ciebie czekać.

Duff uniósł się i oparł na łokciu. Spojrzał na nią.

– Meredith.

– Słucham.

– Kocham cię.

– Wiem. Tylko na chwilę o tym zapomniałeś.

Duff się uśmiechnął. Jeszcze raz pocałował jej wilgotne od słodkiej wody usta i wstał. Już miał wskoczyć do jeziora, ale nagle się zatrzymał.

– Słuchaj...

– Tak?

– A czy Ewan wspominał, kto wygrał tę bójkę?

– Czy kancelaria komendanta wspominała, dlaczego trzeba ich odwieźć do tego klubu? – spytał kierowca.

Strażnik więzienny spojrzał na pęk kluczy, żeby znaleźć ten do następnej celi.

– Brak decydujących dowodów, a podejrzenia nie są dostatecznie uzasadnione, żeby ich trzymać w areszcie.

– Podejrzenia? Do diabła, przecież całe miasto wie, że to Norse Ridersi przyjechali po te narkotyki! A w komendzie wiedzą też, że to oni zabili policjanta i jego syna. Ale ja nie pytam, dlaczego ich zwalniacie, do takiego szaleństwa jestem przyzwyczajony, tylko dlaczego po prostu nie wypuścimy ich za bramę. Kiedy przewożę więźniów, to z reguły kursuję z jednego więzienia do drugiego, nie jestem jakąś cholerną taksówką, dzięki której nie muszą wracać do domu piechotą.

– Skąd mogę wiedzieć? – Strażnik otworzył drzwi celi. – Hej, Sean, podnoś się! Wracasz do domu, do swojej kobiety i córeczki.

– *Heil Macbeth*! – dobiegło z głębi celi.

Strażnik pokręcił głową i odwrócił się do kierowcy.

– Podjedź autobusem do wyjścia, tam ich zbierzemy. Wyślemy z tobą dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy.

– Dlaczego? To ci chłopcy nie wychodzą na wolność?

– Kancelaria komendanta chce mieć pewność, że zostaną dostarczeni na miejsce bez żadnych awantur.

– Mogę im też założyć kajdanki na nogi?

– To nieprzepisowe, ale rób, jak chcesz. Hej, zawiąż wreszcie te buty! Nie możemy tracić całego dnia!

– Mówisz prawdę? Czyżby wracały dobre czasy, jak za rządów Kennetha?

– He, he, trochę za wcześnie, żeby coś powiedzieć. Ale podobno Macbeth nieźle się zapowiada.

– Jego problemem są te nierozwiązane zabójstwa policjantów. Jak się takich spraw nie rozwiąże dostatecznie szybko, to wkrótce wszystko zaczyna się walić.

– Może i tak. Kite powiedział dziś w radiu, że Macbeth to katastrofa. – Strażnik wymówił to słowo z przesadnie gardłowym „r" i kierowca się roześmiał. Ale ciarki przebiegły mu po plecach na widok tatuażu na czole wychodzącego z celi ridersa.

– Transport zwierząt – mruknął do siebie, a strażnik pchnął więźnia we właściwą stronę.

Duff zajrzał do swojego pokoju w komendzie, schował prezent dla Ewana do kieszeni kurtki i prędko wyszedł. W Wydziale Techniki Kryminalistycznej na trzecim piętrze dowiedział się, że Caithness jest w ciemni w garażu. Zjechał windą na sam dół i otworzył drzwi do garażu kluczem. W jakimś momencie, kiedy Caithness mieszkała z koleżanką, Duff przekonał dozorcę, że jako naczelnik Wydziału Narkotykowego powinien mieć klucz do garażu, w którym technicy

urządzili między innymi strzelnicę do badań balistycznych, laboratorium chemiczne, ciemnię do wywoływania zdjęć z miejsc zdarzenia; mieli też trochę wolnej przestrzeni za wjazdem do garażu od strony ulicy – mogli tam umieszczać większe przedmioty wymagające badań w celu zebrania dowodów, na ogół samochody. Po godzinach pracy zazwyczaj nikogo nie kusiło dłuższe przebywanie w wilgotnych, zimnych podziemiach, każdy wolał raczej pokoje na trzecim piętrze. Przez rok Duff i Caithness, oprócz stałych cotygodniowych spotkań w porze lunchu w hotelu Grand, pokój trzysta dwadzieścia trzy, pod nazwiskiem Mittbaum, umawiali się na randki w piwnicy. Kiedy Caithness przeprowadziła się do mieszkania na poddaszu, Duffowi, o dziwo, brakowało tych ukradkowych, pospiesznych schadzek.

Teraz, gdy po otwarciu drzwi buchnęła mu w twarz wilgoć garażu, pomyślał, że musieli wtedy być w sobie bardzo zakochani. Na środku stało posiekane kulami volvo PV Banqua. Nakryto je brezentem, przypuszczalnie dlatego, że drzwiczki po stronie pasażera były urwane, a chciano ochronić ewentualne ślady w kabinie przed szczurami, które grasowały tu nocą. Duff zatrzymał się przed ciemnią i głęboko odetchnął. Decyzja została podjęta, teraz należało tylko obrócić ją w czyn. Czyn. Nacisnął klamkę i zagłębił się w ciemność. Zamknął drzwi za sobą i stanął, wciągając zapach amoniaku z wywoływacza zmieszany z utrwalaczem. Czekał, aż źrenice się rozszerzą.

– Duff? – rozległo się z ciemności. Ten sam przyjazny, nieco ostrożny głos, który obudził go w sali konferencyjnej dziś rano. Ten sam przyjazny, nieco ostrożny głos, który tyle razy budził go rano w jej mieszkaniu. Ten przyjazny, nieco ostrożny głos, którego nie miał już więcej słyszeć w takich sytuacjach, w takich miejscach.

– Caithness, nie możemy...

– Roy – zwróciła się do podwładnego. – Zostawisz nas na chwilę samych?

Oczy Duffa przyzwyczaiły się do ciemności w porę, by mógł zobaczyć wychodzącego fotografa.

– Widziałeś to? – spytała Caithness, kierując czerwoną lampę na trzy duże, świeże, bo ociekające jeszcze płynami, odbitki, które wisiały na sznurkach.

Na jednym zdjęciu było volvo Banqua, na drugim pozbawione głowy ciało Banqua na asfalcie przy samochodzie. Na trzecim – zbliżenie powierzchni cięcia na szyi Banqua. Caithness wskazała na tę ostatnią fotografię.

– Naszym zdaniem użyto jakiegoś dużego ostrza, czegoś w rodzaju tej szabli, którą, jak mówiłeś, ma Sweno.

– Aha. – Duff przypatrywał się zdjęciu.

– Znaleźliśmy na kręgosłupie Banqua ślady krwi innych ludzi. Czy to nie ciekawe?

– Co masz na myśli?

– Sweno, czy ten, kto to zrobił, najwyraźniej niezbyt dokładnie umył przedtem szablę, więc kiedy ostrze przejechało po ostrych krawędziach kręgu w tym miejscu – pokazała – zeskrobana została z niego stara, zakrzepła krew. Jeśli zdołamy określić jej grupę, może nam się to przydać w sprawach innych zabójstw.

Duff poczuł gwałtowny skurcz żołądka i musiał oprzeć się o stół.

– Ciągle źle się czujesz? – spytała Caithness.

Wziął kilka głębszych oddechów.

– Tak... Nie. Po prostu potrzebowałem trochę wolnego. Ale musimy porozmawiać.

– O czym?

Po jej tonie poznał, że już wiedziała. Prawdopodobnie zrozumiała to w momencie, gdy się tu zjawił, a cała ta rozmowa o zdjęciach

była tylko czymś w rodzaju reakcji na panikę.

– O naszych spotkaniach. Nie możemy dłużej tego ciągnąć.

Próbował dojrzeć wyraz jej twarzy, ale było za ciemno.

– Więc tylko się spotykaliśmy? – spytała głosem zduszonym od płaczu.

– Nie. Oczywiście, masz rację, to było coś więcej niż spotkania. Tym bardziej należy to uciąć.

– Chcesz mnie rzucić? Zerwać ze mną teraz, tu, w pracy?

– Caithness...

Przerwał mu jej gorzki śmiech.

– Właściwie pasuje, żeby romans nieznoszący światła dziennego zakończyć w ciemni.

– Bardzo mi przykro. To ze względu na...

– ...na ciebie, Duff. Nie na dzieci, nie na rodzinę, tylko na ciebie. Jesteś największym egoistą, jakiego w życiu spotkałam, więc nie próbuj mi wmawiać, że robisz cokolwiek ze względu na innych.

– Jak chcesz. Ze względu na mnie.

– A niby ze względu na kogo mnie porzucasz? Znalazłeś jakąś jeszcze młodszą? Jeszcze bardziej naiwną dziewczynę, która przynajmniej na razie nie będzie suszyć ci głowy, że powinieneś się trochę dla niej poświęcić?

– Będzie ci łatwiej, jeśli powiem, że myślę wyłącznie o własnym egoistycznym spokoju sumienia? Że mam nadzieję go poczuć, kiedy będę mógł sobie powiedzieć, że postępuję słusznie w stosunku do tych, wobec których mam zobowiązania? Że rezygnację z ciebie traktuję jako pokutę, ponieważ śmiertelnie się boję, że w dniu sądu nie zostanę zaliczony do grona błogosławionych?

– A teraz uważasz, że tak się stanie?

– Nie. Ale podjąłem już decyzję, Caithness, więc powiedz mi tylko, jak wolisz, żebym wyrwał ten ząb: powoli czy jednym

mocnym szarpnięciem?

– A dlaczego powolna udręka miałaby się skończyć już teraz? Przyjdź do mnie do domu o czwartej.

– W jakim celu?

– Posłuchasz, jak płaczę, krzyczę i błagam. Tutaj nie wypada.

– Umówiłem się z rodziną na piątą.

– Jeśli nie przyjdziesz, najpierw wyrzucę na ulicę wszystkie twoje rzeczy, które są u mnie, a potem zadzwonię i opowiem o twoich ekscesach...

– Ona wie o wszystkim, Caithness.

– ...twoim teściom. Powiem im, jak zdradziłeś ich córkę i wnuki.

Duff przełknął ślinę.

– Caithness...

– Powtórzysz teraz, że nie możesz przyjść? O czwartej. Jeśli będziesz miły i pokażesz, że umiesz słuchać, to może zdążysz na ten przeklęty obiad.

– Okej, okej, przyjdę. Ale nie myśl sobie, że to cokolwiek zmieni.

Po wyjściu z ciemni Duff zobaczył, że fotograf stoi oparty o bramę do garażu i pali papierosa.

– Straszne? – spytał.

– Słucham? – zdziwił się Duff.

– Obciąć komuś głowę w taki sposób.

– Każde morderstwo jest straszne – oświadczył Duff i ruszył do wyjścia.

Lady stała w sypialni przy szafie Macbetha. Słuchała dreptania mokrych szczurów wodnych po drewnianej podłodze. Powtarzała sobie, że ten dźwięk rozlega się tylko w jej głowie, bo przecież tu są grube dywany. Dźwięki w głowie. Wkrótce zmienią się w głosy. W te głosy, o których matka mówiła, że nie dają jej spokoju. Te same głosy słyszała też babka. To odzywali się ich przodkowie,

nakazywali im lunatykować nocą, zmierzać ku śmierci. Tak się wystraszyła, kiedy Macbeth zaczął majaczyć przy stole podczas przyjęcia. Czyżby zaraziła swego jedynego ukochanego tą samą chorobą?

Odgłos szczurzych łap rozlegał się w jej głowie już od dawna i nie chciał umilknąć.

Jedynym sposobem pozbycia się go była ucieczka. Ucieczka od dźwięków, ucieczka z własnej głowy.

Lady otworzyła drzwi szafy.

Wysunęła szufladę pod półką. Leżała tam malutka torebka z proszkiem. Ucieczka Macbetha. Działała? Czy i ona zdołałaby umknąć, uciekając w to samo miejsce, gdzie on? Nie wierzyła. Zamknęła szufladę z powrotem.

Spojrzała na półkę na kapelusze. Na przesyłkę, którą przyjął Jack. Była zapakowana w papier i opleciona sznurkiem, a dodatkowo jeszcze owinięta przezroczystą folią. To tylko paczka. A jednak zdawała się na nią patrzeć.

Lady znów otworzyła szufladę i wyjęła tamtą torebeczkę. Wysypała odrobinę proszku na blat toaletki, zrolowała banknot, trochę niepewna, jak to się właściwie robi, jeden koniec przyłożyła do dziurki w nosie, drugi umieściła nad proszkiem, wzięła głęboki wdech, częściowo nosem, a częściowo ustami. Po kilku nieskutecznych próbach usypała z proszku kreskę, wsunęła banknot głębiej do nosa i mocno wciągając powietrze, wessała proszek jak odkurzacz. Przez chwilę przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze, odgłos szczurzych łap zniknął. Lady położyła się do łóżka.

– Jadą! – zawołał Sierżant.

Stał w bramie klubu Norse Riders, patrząc, jak żółty więzienny autobus nadjeżdża drogą. Była dokładnie piętnasta trzydzieści, a więc rzeczywiście okazali się punktualni. Zerknął na tych, którzy

mimo mżawki zebrali się przed budynkiem. Wszyscy mieli obowiązek powitania rannych, których tamtego wieczoru musieli oddać w ręce policji. Przyszły też dziewczyny, zarówno będące w stałych związkach z facetami zwolnionymi z aresztu, jak i te, którymi członkowie klubu się wymieniali. Sierżant uśmiechnął się do rozradowanego niemowlęcia na rękach Betty, wypatrującej swojego Seana. Nawet kuzyni z południa postanowili zostać jeszcze jeden dzień, żeby uczestniczyć w imprezie, która już zapowiadała się na legendarną. Sweno kazał zrobić zapasy alkoholu i narkotyków, które wystarczyłyby do zabawienia pułku wojska, bo mieli do uczczenia nie tylko uwolnienie kumpli. Dzięki zabójstwu Banqua Norse Ridersi zemścili się za poniesioną stratę i, co ważniejsze, zawarli nowy świetny sojusz. Bo, jak powiedział Sweno, Macbeth, osobiście przychodząc do klubu i zlecając zabójstwo, sprzedał swoją duszę diabłu, a w tej transakcji nie obowiązywało prawo zwrotu. Mieli teraz na niego haka, tak jak on na nich.

Sierżant wyszedł na ulicę i dał znak, żeby autobus zatrzymał się przed bramą. Na teren klubu wpuszczano wyłącznie członków zidentyfikowanych na sto procent – wprowadzono taką nową regułę.

Zaczęli wysiadać, a w tym czasie w budynku pogłośniono muzykę. *Let's Spend the Night Together*. Niektórzy zwolnieni z aresztu szli normalnie, inni przekraczali bramę tanecznym krokiem. Powitały ich oklaski i dłonie kumpli, uściski i mokre pocałunki kobiet.

– Fajnie jest! – zawołał Sierżant. – Gorzała czeka w środku!

Okrzyki i śmiechy. Weszli do klubu. Ale Sierżant stanął w drzwiach i jeszcze raz uważnie przeskanował otoczenie. Autobus odjeżdżający drogą. Chang, który wraz z dwoma innymi pilnował

bramy. Puste lokale fabryczne, wcześniej dokładnie sprawdzone, czy nikt nie szpieguje stamtąd klubu. Niebo na zachodzie, na którym rysowała się niespodziewana zapowiedź błękitu. Może jednak mógł się trochę rozluźnić. Może Sweno rzeczywiście miał rację, mówiąc, że nadchodzą dla nich lepsze czasy.

Sierżant wszedł do środka i podziękował za mocniejszy alkohol, ale przyłożył do ust kufel z piwem. Bo impreza czy nie impreza, czasy były krytyczne. Rozejrzał się. Sean i Betty obejmowali się w kącie, tak mocno ściskając między sobą dziecko, że Sierżantowi przyszło na myśl, iż byłby to dziwaczny sposób na przerwanie młodego życia. Ale, cholera, może to i nie najgorsza śmierć, zostać zaduszonym z czystej miłości.

– Norse Riders! – zawołał.

Muzykę przyciszono, umilkły też rozmowy.

– To dla nas radosny dzień, ale i dzień żałoby, bo nie zapomnieliśmy o naszych poległych. Jest jednak czas na płacz i czas na śmiech, a dzisiaj się bawimy. Wypijmy za to!

Okrzyki radości i uniesione szklanki. Sierżant pociągnął wielki łyk i wytarł pianę z brody.

– To również nowy początek – podjął.

– Przemowy? – spytał Sean, a nagrodą za jego żart był wybuch śmiechu.

– My straciliśmy kilku ludzi, oni stracili kilku ludzi – mówił Sierżant. – Cała partia narkotyków z Rosji rozpłynęła się w wodzie pod mostem. – Tym razem śmiechów nie było. – Ale jak pewien człowiek, którego imię wszyscy znacie, powiedział mi dziś rano: „Z tym szaleńcem na stanowisku komendanta policji czekają nas lepsze czasy".

Kolejny wybuch radości. Sierżant czuł, że mógłby przemawiać jeszcze przez chwilę, powiedzieć kilka rzeczy o klubie,

o koleżeństwie i poświęceniu. I tak jednak zajął już za dużo miejsca i czasu. Nikt inny oprócz niego nie wiedział, że gdzieś za kulisami czeka Sweno. Przyszła pora na wielkie *entrée*.

– I tymi słowami – kontynuował – oddaję głos...

Zrobił teatralną pauzę i w ciszy, która zapadła, coś usłyszał. Głęboki, gardłowy warkot ciężarówki z dużym silnikiem na nieco zbyt niskim biegu. No cóż, kierowcy bywają różni.

– ...oddaję głos...

Usłyszał huk. I wiedział, że to brama wyleciała z zawiasów. I że bohater wielkiego *entrée* ma konkurencję.

Duff stał na ulicy przed szarą pięciopiętrową kamienicą. Spojrzał na zegarek. Za pięć czwarta. Ciągle jeszcze mógł zdążyć na urodzinowy obiad. Zadzwonił.

– Wejdź – powiedziała Caithness przez domofon.

Po ich rozmowie w ciemni poszedł do Murarza i zamówił piwo. Oczywiście mógł spędzić czas oczekiwania, pracując w swoim pokoju w komendzie, ale Macbeth wydał mu rozkaz nieruszania się z łóżka w Fife. Wypił piwo i zamówił jeszcze jedno. Miał chwilę na przemyślenia.

Ruszył na górę, ale nie ciężkim, szurającym krokiem człowieka, który idzie na szafot, tylko szybkimi, lekkimi stąpnięciami kogoś, kto chce jak najprędzej mieć coś za sobą, ale mimo wszystko przeżyć. I zdążyć na nowe życie.

Drzwi mieszkania były otwarte.

– Wejdź – usłyszał głos Caithness z głębi. Odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył, że zgromadziła jego rzeczy w przedpokoju. Kosmetyczkę z przyborami toaletowymi, maszynkę do golenia, dwie koszule i bieliznę. Rakietę tenisową, którą mu kupiła, ponieważ oboje grali – nigdy nieużytą. Naszyjnik i dwie pary kolczyków z perłami. Duff dotknął palcami biżuterii, którą jej kupił. Często ją nosiła.

– Tutaj! – Wołanie Caithness dobiegło z sypialni.

Sprzęt stereo był włączony. Elvis. *Love Me Tender.*

Duff skierował się w stronę otwartych drzwi sypialni, z wahaniem i krokiem już nie tak lekkim. Poczuł zapach jej perfum.

– Duff – zaczęła nieco bełkotliwie, kiedy stanął w progu. – Oddaję ci to, co mi dałeś, ale spodziewam się czegoś na pożegnanie.

Leżała na łóżku w czarnym gorsecie i nylonowych pończochach. Również kupionych przez niego. Przy łóżku w kubełku z lodem stała otwarta butelka szampana, z której Caithness najwyraźniej sporo już wypiła. Duff chłonął jej widok. Była najpiękniejszą i najcudowniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek miał. Za każdym razem, kiedy ją widział, jej uroda go powalała, jakby to był pierwszy raz. I czuł każdą pieszczotę, jaką się obdarzyli, każde dzikie ujeżdżanie. A teraz zamierzał z tego zrezygnować. Już na zawsze.

– Caithness... – powiedział, czując ściskanie w gardle. – Moja kochana piękna Caithness.

– Chodź!

– Nie mogę...

– Oczywiście, że możesz. Mogłeś tak długo, tyle razy. A ten będzie po prostu ostatni. Przynajmniej tyle jesteś mi winien.

– Nie będziesz miała z tego przyjemności. Żadne z nas nie będzie jej miało.

– Ja nie chcę przyjemności, Duff. Chcę zadośćuczynienia. Chcę, żebyś wyjątkowo to ty się przede mną czołgał. Żebyś schował dumę do kieszeni i zrobił to, co ja chcę. A ja chcę właśnie tego. Tylko tego. Potem możesz sobie stąd iść choćby do piekła, do domu na obiad z tą, której już nie kochasz. Chodź, nawet stąd widzę, że już jesteś gotowy.

– Nie, Caithness, nie mogę. Powiedziałaś, że z podziękowaniem przyjmiesz ten kawałek mojego serca, który będziesz mogła dostać.

Ale nie potrafię dać ci tylko kawałka. Zdradzę wtedy podwójnie, i ciebie, i kobietę, która jest matką moich dzieci. A to, że już jej nie kochałem... – Wziął głębszy oddech. – Rzeczywiście tak było. Dlatego że o tym zapomniałem. Ale teraz już pamiętam. Przypomniałem sobie, że ją kocham i że kochałem ją zawsze. Właśnie cię zdradziłem z własną żoną.

Zobaczył, że te słowa do niej trafiły. Widział, jak cienka warstwa fałszywego werniksu uwodzicielstwa znika, ustępując miejsca czystemu szokowi. W oczach Caithness wezbrały łzy. Skuliła się i zakryła prześcieradłem.

– Żegnaj, Caithness. Możesz mnie nienawidzić tak, jak na to zasługuję. Odchodzę.

W przedpokoju Duff wziął pod pachę ubrania i przybory toaletowe. Rakieta mogła zostać. W małym wiejskim domku nie gra się w tenisa. Przez chwilę patrzył na kolczyki i naszyjnik. Z sypialni dobiegał bolesny płacz Caithness. To kosztowna biżuteria. Właściwie nie było go stać na taki zakup, ale teraz w jego rękach nie miała żadnej wartości. Nikomu też nie mógł jej podarować, chyba że oddałby ją do lombardu. Ale czy zniósłby myśl, że te klejnoty nosiłaby jakaś obca kobieta?

Wahał się. Spojrzał na zegarek. W końcu odłożył inne rzeczy, wziął biżuterię i zawrócił do sypialni.

Przestała płakać, kiedy go zobaczyła. Twarz miała mokrą od łez, tusz do rzęs się rozmazał. Jej ciało jeszcze się trzęsło od ostatniego szlochu. Jedna pończocha się obsunęła, opadło też ramiączko od gorsetu.

– Duff – szepnęła.

– Caithness. – Przełknął ślinę. Słodycz w brzuchu, szum krwi w głowie. Biżuteria upadła na podłogę.

Sierżant chwycił karabin zza baru i podbiegł do okna. Za jego plecami pozostali ridersi już kierowali się do szafy z bronią. Na zewnątrz rzeczywiście stała ciężarówka, zwrócona bokiem w stronę budynku. Silnik pracował, a na zderzaku ciągle wisiała brama. Razem z Changiem. Sierżant przyłożył karabin do ramienia akurat w chwili, gdy z ciężarówki opadła brezentowa plandeka. Ukazali się gwardziści w swoich paskudnych czarnych mundurach, z uniesioną bronią. Ale na pace znajdowało się coś jeszcze paskudniejszego, coś, co zmroziło krew w żyłach Sierżanta. Trzy potwory. Dwa stalowe, umieszczone na podstawach, miały podajniki do amunicji, obrotowe lufy i komory chłodzące. Trzeci stał między nimi: łysy, żylasty, chudy mężczyzna, którego Sierżant nigdy wcześniej nie widział, lecz jakby znał od zawsze, bo ten zawsze czaił się gdzieś w pobliżu. A teraz właśnie uniósł rękę i zawołał:

– Wierność, braterstwo!

– Ochrzczeni ogniem, związani krwią! – odpowiedzieli mu chórem pozostali gwardziści.

Potem padł prosty rozkaz:

– Ognia!

Oczywiście. Ognia.

Sierżant wycelował w mężczyznę i nacisnął spust. Jeden strzał. Ostatni.

Kropla deszczu spadała z nieba przez mgłę na brudne portowe miasto w dole. Kierowała się w stronę okna dachowego, pod którym kochała się jakaś para. Mężczyzna milczał, poruszały się tylko jego biodra, w górę i w dół, powoli, ale z mocą. Leżąca pod nim kobieta z rękami zaciśniętymi na prześcieradle przyjmowała go z niecierpliwością i ze szlochem. Igła gramofonu dawno już przestała wygrywać słodką melodię, podskakiwała, tak jak

mężczyzna, monotonnie, obijając się o etykietę z zaleceniem *Love Me Tender*. Spleciona w uścisku para zdawała się tego nie zauważać, jakby nie docierało do niej nic oprócz tego powtarzalnego ruchu, w który była schwytana. Kochankowie nie zauważali nawet siebie nawzajem; uderzając jedno o drugie, wybijali z siebie demony, wybijali rzeczywistość, świat zewnętrzny, to miasto, ten dzień, te minuty składające się na krótką godzinę. Ale kropla nie dotarła do szyby nad nimi, porywy zimnego wiatru z północnego zachodu pchnęły ją na wschód od rzeki, dzielącej miasto wzdłuż, i na południe od nieczynnej linii kolejowej, dzielącej je w poprzek.

Tam spadała dalej, kierując się ku obszarowi przemysłowemu, minęła wygaszony komin Estexu i poleciała na wschód ku ogrodzonemu niskiemu drewnianemu budynkowi, stojącemu wśród zamkniętych fabryk. Tam kropla zakończyła swoją powietrzną podróż, uderzając w łysą czaszkę chudego mężczyzny. Spłynęła po jego czole, na moment zatrzymała się na krótkich rzęsach i ściekła po policzku, który nigdy nie zaznał prawdziwych łez.

Seyton nie poczuł, że został trafiony. Nie poczuł ani przypadkowej kropli deszczu, ani też kuli wystrzelonej przez Sierżanta. Stał z podniesioną ręką na szeroko rozstawionych nogach w ładowni ciężarówki. Gdy gatlingi zaczęły plucć ogniem, czuł tylko wibracje podłogi roznoszące się od podeszew butów do bioder i silny, naciskający błony bębenkowe odgłos, który od cichego pomruku przeszedł w ryk, a potem w nieprzerwane wycie, gdy lufy coraz szybciej wypluwały z siebie kule. A kiedy budynek klubowy rozpadał się na coraz mniejsze kawałeczki, poczuł też ciepło bijące od obu machin. Bo to właśnie były dwie piekielne machiny mające tylko jedną funkcję: pochłaniać metal, którym je karmiono, a potem

go wypluwać, niczym dwa roboty cierpiące na bulimię, tylko działające szybciej niż cokolwiek innego na świecie.

Początkowo gwardziści nie bardzo mogli się zorientować w szkodach, jakie wyrządzili, ale w miarę, jak wypadały okna i drzwi, a ściany dosłownie szły w drzazgi, zaczęły one stawać się coraz lepiej widoczne. Na podłodze za drzwiami wejściowymi ukazała się kobieta. Brakowało jej części głowy, a mimo to ciało drgało niczym podłączone do prądu. Seyton poczuł erekcję, pewnie przez te wibracje ładowni.

Jedno z działek przestało strzelać.

Seyton odwrócił się do obsługującego je gwardzisty.

– Coś nie tak, Angus?

– Robota wykonana! – odkrzyknął Angus, odgarniając na bok jasną grzywkę.

– Nikomu nie wolno przestać, dopóki nie powiem „stop".

– Ale...

– Jasne?! – ryknął Seyton.

Angus przełknął ślinę.

– Za Banqua?

– Przecież mówiłem. Za Banqua. Dalej!

Działko Angusa znów zaczęło pracować. Ale Seyton zobaczył, że Angus ma rację. Robota została wykonana. Przed nimi nie było decymetra kwadratowego, który nie zostałby podziurawiony. Nie było niczego, co nie byłoby zniszczone. Niczego, co nie byłoby martwe.

Mimo wszystko jeszcze trochę odczekał. Zamknął oczy i próbował się wczuć. Ale przyszła już najwyższa pora, żeby zarządzić odpoczynek dla dam.

– Stop! – zawołał.

Działka umilkły.

Ze zrujnowanego budynku klubu unosiła się chmura pyłu. Seyton z zamkniętymi oczami wciągał powietrze przez nos. Chmura dusz.

– Co się dzieje? – wyseplenił Olafson z końca ciężarówki.

– Oszczędzamy amunicję – odparł Seyton. – Niedługo mamy jeszcze jedną robotę.

– Krwawisz, szefie! Ramię.

Seyton spojrzał na kurtkę. Przykleiła się do ciała w okolicy łokcia, z którego wypływała krew. Nakrył ranę dłonią.

– Zagoi się – powiedział. – Wszyscy przygotować broń ręczną. Wchodzimy, żeby policzyć ciała. Ten, który znajdzie Swena, zgłasza to mnie.

– A jeśli odkryjemy kogoś żywego? – spytał Angus.

Ktoś się roześmiał.

Seyton starł z policzka kroplę deszczu.

– Powtarzam: Macbeth powiedział, że żaden z morderców Banqua nie może ujść z życiem. To ci wystarczy za odpowiedź, Angus?

21

Meredith rozwieszała świeżo uprane prześcieradła na tarasie przed wejściem. Kochała ten dom, jego wiejskość, bezpretensjonalność, tradycyjność i skromność, a przy tym praktyczność. Ludzie dowiadujący się, że ona i Duff mieszkają na wsi w Fife, automatycznie uznawali, że mają wielki, elegancki dwór, i za kokieterię przyjmowali jej wyjaśnienia o prostocie tego miejsca. No bo co kobieta z takim nazwiskiem może robić w dawnej wiejskiej zagrodzie?

Uprała pościel ze wszystkich pokoi w całym domu, aby Duff nie pomyślał, że zmieniła tylko komplet z małżeńskiego łóżka. Mieli w nim razem spędzić dzisiejszą noc. Zapomnieć o tym, co złe, odrzucić to, co było. Obudzić na powrót to, co ich kiedyś związało. To nie zniknęło, po prostu leżało uśpione. Na samą myśl o tym oblało ją gorąco. Miłosne chwile na skale przed południem były tak cudowne, jak w ich pierwszych wspólnych latach. A nawet bardziej. Nucąc melodię, którą musiała usłyszeć w radiu – sama nie bardzo wiedziała jaką – powiesiła ostatnie prześcieradło i pogładziła dłonią wilgotną bawełnę, wdychając przyjemny zapach świeżości. Wiatr podniósł prześcieradło, blask słońca przesunął się po twarzy i sukience Meredith. Ciepło, jasno, przyjemnie. Tak powinno wyglądać życie. Kochać, pracować, żyć. To były rzeczy, do jakich ją wychowano, i wciąż w nie wierzyła.

Usłyszała krzyk mewy, przysłoniła dłonią oczy. Co tu robi mewa, tak daleko od słonej wody?

– Mamo!

Wielkie pranie wisiało na kilku sznurkach, Meredith musiała przemykać, niemal tańczyć między nimi, aby dotrzeć do drzwi wejściowych.

– Tak, Ewan?

Synek siedział na ławie przy oknie, podpierając ręką brodę, i wyglądał na drogę. Mrużył oczy w popołudniowym słońcu.

– Kiedy przyjedzie tata?

– Już niedługo. Jak tam zupa, Emilie?

– Od dawna gotowa. – Córka z obowiązku zamieszała w wielkim garnku.

Zupa jarzynowa na mięsie. Proste, pożywne wiejskie jedzenie.

Ewan wysunął dolną wargę.

– Powiedział, że przyjedzie przed obiadem.

– Wobec tego jeśli przyjedzie później, powiesisz go za złamanie obietnicy. – Matka zwichrzyła mu jasną grzywkę.

– Czy tych, którzy kłamią, trzeba wieszać?

– Wszystkich co do jednego. – Meredith spojrzała na zegarek. Oczywiście w sytuacji, kiedy czynny był tylko Stary Most, w godzinach popołudniowego szczytu mógł utworzyć się duży korek.

– A kto ma to robić? – spytał chłopiec.

– Co?

– Kto ma wieszać tych, którzy kłamią? – Ewanowi nagle wzrok się zamglił, jakby chłopiec mówił do siebie.

– Oczywiście uczciwi.

Ewan odwrócił się do matki.

– To znaczy, że ci, co kłamią, są głupi, bo jest ich o wiele więcej niż uczciwych, więc mogliby wygrać z uczciwymi i sami ich powiesić.

– Słyszycie?! – zawołała Emilie.

Meredith nadstawiła uszu. Teraz już i ona słyszała. Daleki, ale zbliżający się odgłos silnika.

Chłopiec zeskoczył z ławy.

– Już jedzie! Emilie, schowajmy się, to go przestraszymy!

– Dobrze!

Dzieci zniknęły w sypialni, a Meredith podeszła do okna. Usiłowała dłonią osłonić oczy przed słońcem. Czuła niepokój, którego nie potrafiła wyjaśnić. Może po prostu się bała, że Duff, który teraz przyjedzie, nie będzie tym samym, który odjeżdżał stąd przed południem.

Duff wrzucił luz i pozwolił, żeby samochód przez ostatni odcinek żwirowej drogi do domu stoczył się z górki. Żwir mamrotał i chrzęścił pod kołami jak podziemne trolle. Po wyjściu od Caithness

Duff jechał jak szaleniec. Złamał zasadę, której trzymał się do tej pory: nigdy nie wykorzystywać prywatnie koguta, wożonego w schowku na rękawiczki. Dzięki umieszczeniu go na dachu przynajmniej wyminął korek ciągnący się do Starego Mostu, tam jednak zrobiło się już tak ciasno, że nawet z kogutem musiał wykrzesać z siebie resztki cierpliwości, bo auta poruszały się w ślimaczym tempie.

Przed domem ostro zahamował i podziemne stwory umilkły. Wyłączył silnik i wysiadł. Słońce oświetlało białe prześcieradła, które zdawały się do niego machać, witając go z powrotem w domu. Meredith zrobiła pranie. Uprała całą pościel, żeby nie pomyślał, że pierze tylko tę z małżeńskiego łóżka. I chociaż był syty miłości fizycznej, to zrobiło mu się ciepło na sercu. Bo rzucił Caithness. A ona rzuciła jego. Stojąc w drzwiach, otarła ostatnią łzę, po raz ostatni pocałowała go na pożegnanie i powiedziała, że od tej pory zamyka przed nim drzwi. I że raz podjąwszy decyzję, potrafi dotrzymać obietnicy. Może pewnego dnia w tych drzwiach, którymi on teraz wychodził, stanie ktoś inny.

Odparł, że właśnie taką ma nadzieję. I że ten drugi będzie miał szczęście. Na ulicy aż podskoczył, rozpierało go poczucie ulgi, szczęścia i świeżo odzyskanej wolności. Nie mógł uwierzyć, że jest wolny. Razem z żoną i dziećmi. Życie jest dziwne. I cudowne.

Ruszył w stronę tarasu.

– Ewan! Emilie!

Zwykle, kiedy wracał do domu, dzieci wybiegały mu na powitanie. Ale czasami się chowały, żeby znienacka go napaść.

Zagłębił się między rzędy prania.

– Ewan! Emilie!

Zatrzymał się. Był ukryty wśród prześcieradeł, które rzucały długie cienie, poruszające się po podłodze tarasu. Wciągnął aromat

mydła i czystej wody, w której zostały uprane. Towarzyszył temu jeszcze inny zapach. Uśmiechnął się. Zupa. Uśmiechnął się jeszcze szerzej na myśl o dyskusji, którą podejmie Ewan, bo będzie chciał przykleić sobie sztuczną brodę przed zjedzeniem zupy. Było zupełnie cicho. Atak z zasadzki mógł nastąpić w każdej chwili.

Cienie prześcieradeł były całe w kropki.

Zapatrzył się w nie.

Potem spojrzał na siebie. Również na jego swetrze i spodniach widoczne były malutkie plamki słonecznego światła. Serce na moment zamarło mu w piersi. Powiódł palcem po jednym z prześcieradeł. Palec prędko znalazł dziurkę. I jeszcze jedną.

Duff przestał oddychać.

Odsunął na bok prześcieradło wiszące na ostatnim sznurku.

W podziurawionych raz koło razu ścianach nie było już kuchennego okna. Spojrzał tam. Garnek na kuchence przypominał sito, a kuchenka i podłoga wokół niej były zalane żółtozieloną, ciągle parującą zupą.

Chciał wejść do środka. Musiał. Ale nie mógł. Buty jakby przymarzły mu do desek tarasu.

W kuchni nie ma przecież nikogo, powiedział sobie. Jest pusta. Może cały dom jest pusty. Zniszczony, ale pusty. Może zdołali się przedostać do domku kąpielowego. Może. Może nie wszystko stracone.

Wreszcie zdołał poruszyć nogami. Wszedł w otwór, w którym kiedyś były drzwi. Skierował się do pokoi dzieci. Najpierw do Emilie, potem do Ewana. Zajrzał do ostrzelanych szaf i pod łóżka. Nikogo tam nie było. W pokoju gościnnym też. Ruszył do ostatniego pokoju. Do sypialni jego i Meredith. Stało tam wygodne szerokie podwójne łóżko, w którym w dobre niedzielne poranki mieścili się wszyscy czworo, leżeli wtuleni w siebie,

łaskotali się w stopy przy wtórze pisków, drapali się po plecach, rozmawiali o dziwnych i całkiem zwyczajnych rzeczach i walczyli na niby o to, kto ma wstać pierwszy.

Drzwi do sypialni nie rozstrzelano na wióry, ale dziur po kulach było nie mniej niż w pozostałej części domu. Duff wziął głęboki oddech.

Może nie wszystko stracone.

Położył rękę na klamce. Otworzył.

Oczywiście wiedział, że się okłamuje. Nieźle się w tym wyćwiczył. Im dłużej trenował samooszukiwanie się, z tym większą łatwością przychodziło mu widzieć różne rzeczy takimi, jakimi nie były. Ale w ostatnich dniach zasłona spadła mu z oczu i teraz w tym, co zobaczył, nie potrafił dostrzec nic innego. Wszystko zasypane pierzem z materaca, jakby w sypialni napadało śniegu. Może dlatego całość wyglądała tak spokojnie. Meredith sprawiała wrażenie, że chce ogrzać w objęciach Ewana i Emilie, siedzących na podłodze w samym kącie. Wokół nich do ścian przylgnęły czerwone piórka. Duff z trudem złapał oddech. Z jego ust wydarł się szloch. Pojedynczy, bolesny, pełen wściekłości szloch.

Wszystko stracone.

Absolutnie wszystko.

22

Duff stał w progu. Patrzył na narzutę na łóżku. Wiedział, że to w niczym nie pomoże, a jedyną rzeczą, jaką osiągnie, stąpając po warstwie pierza, będzie zanieczyszczenie miejsca zdarzenia, a nawet ewentualne zniszczenie śladów. Ale musiał ich okryć. Okryć po raz ostatni, nie mogli tak siedzieć. Zrobił krok i znieruchomiał.

Usłyszał jakiś odgłos. Wołanie.

Wycofał się i prędko przeszedł do salonu, do zbitego okna wychodzącego na południowy wschód, na jezioro. Wołanie rozległo się znów. Z tak daleka, że nie widział, kto woła, lecz w ciche popołudnie dźwięk niósł się dobrze. W głosie wołającego brzmiała złość. Powtarzał to samo słowo, ale Duff nie mógł go zrozumieć. Wyciągnął z komody szczątki szuflady, wyjął lornetkę i skierował ją na domek kąpielowy. Jeden okular był przedziurawiony, drugi jednak wystarczył, aby mógł dojrzeć jasnowłosego człowieka maszerującego wąską ścieżką w jego stronę. Za nim, przed domkiem, stała ciężarówka, a na pace mężczyzna, którego rozpoznał. Seyton. Stał między czymś, co przypominało dwie ogromne maszynki do mięsa umieszczone na stojakach. Duffowi przypomniały się słowa Macbetha. *Masz co najmniej dwa dni spędzić w łóżku... To rozkaz.*

Macbeth wiedział. Wiedział, że Duff zrozumiał, że to on zabił Duncana. Lennox, ten zdrajca. Nie było żadnego sędziego z Capitolu, który miał jutro przyjechać do miasta. Duff zobaczył poruszające się usta Seytona, zanim jeszcze dotarł do niego dźwięk. Powtarzane z wściekłością słowo:

– Angus!

Duff odsunął się od okna, żeby nie zdradził go nagły błysk szkła lornetki. Musiał uciekać.

Kiedy nad miastem zapadły ciemności, wieść o masakrze w klubie Norse Riders już się rozeszła. A o dziewiątej większość pracujących w mieście dziennikarzy prasowych, radiowych i telewizyjnych zgromadziła się w sali Scone. Macbeth stał z boku i słuchał, jak Lennox wita przybyłych na konferencję prasową.

– Prosimy o nieużywanie fleszy, dopóki komendant nie skończy. Chęć zadania pytania należy zgłaszać poprzez podniesienie ręki i odzywać się dopiero po udzieleniu głosu. A teraz komendant policji naszego dumnego miasta: Macbeth.

Wstęp, a może również plotki o zwycięstwie nad Norse Ridersami podczas bitwy w klubie, skłoniły paru mniej doświadczonych dziennikarzy do przywitania wchodzącego na podium Macbetha oklaskami. Brawa prędko jednak ucichły pod wpływem wymownych spojrzeń starych wyjadaczy.

Macbeth wszedł na mównicę, a raczej ją zajął, tak się czuł. Dziwne, że to, czego dawniej obawiał się najbardziej – wystąpienia przed dużym zgromadzeniem – teraz nie tylko mu się podobało, lecz za tym tęsknił, wręcz tego potrzebował. Chrząknął, zajrzał w kartki. I zaczął:

– W dniu dzisiejszym policja przeprowadziła dwie zbrojne akcje przeciwko osobom stojącym za zabójstwami policjantów, do których doszło w ostatnich dniach, między innymi za zabójstwem komendanta Duncana, a także za przemytem największej partii narkotyków, jaką kiedykolwiek widziało to miasto. Cieszę się, że pierwsza z tych akcji, zważywszy na okoliczności, powiodła się w stu procentach. Gang kryminalistów działający pod nazwą Norse Riders przestał istnieć. – Ciszę przerwał pojedynczy okrzyk „brawo” z sali. – Przez okoliczności

rozumiem aresztowanie zaplanowane na podstawie nowych informacji, które wypłynęły tuż po zwolnieniu pewnej liczby gangsterów. Ale gdy Norse Ridersi zaczęli strzelać do Gwardii, nie mieliśmy innego wyjścia, niż odpowiedzieć ogniem.

– Czy wśród tych, którzy zginęli, był też Sweno? – zawołał ktoś z końca sali.

– Tak – odparł Macbeth. – Co prawda jego ciało znajduje się wśród zwłok, których na razie nie udało się zidentyfikować z uwagi na rozległe obrażenia, ale sądzę, że wszyscy rozpoznajecie to. – Podniósł błyszczącą szablę. Kolejne okrzyki aplauzu, do którego przyłączyli się również niektórzy z bardziej doświadczonych dziennikarzy. – A wraz z tym skończyła się pewna era. Na szczęście.

– Podobno wśród zmarłych są niewinne kobiety i dzieci.

– I tak, i nie – odpowiedział Macbeth. – To były dorosłe kobiety, które same zdecydowały o wstąpieniu do klubu. Wiele z nich miało tak zwaną brudną kartotekę i żadna nie zrobiła nic, aby zapobiec rozpoczęciu przez Norse Riders wymiany ognia. A z dziećmi to oczywiście bzdura. Nie było żadnych niewinnych ofiar.

– Wspomniał pan o jakiejś innej akcji. O co chodzi?

– Doszło do niej tuż po tej pierwszej, poza miastem, w Fife, w dość odludnym miejscu, więc media pewnie by się o niej nie dowiedziały. Była to próba aresztowania policjanta, który, jak wiemy, od dłuższego czasu współpracował z Norse Ridersami. Oczywiście z przykrością stwierdzam, że ktoś taki znajdował się w naszych szeregach, lecz to pokazuje, że komendant Duncan nie był nieomylny, oddając Wydział Narkotykowy, a później Wydział Zabójstw w ręce tego człowieka, komisarza Duffa. My również nie jesteśmy nieomylni. Wzięliśmy pod uwagę, że komisarz będzie przebywał z rodziną. Sądziliśmy, że on również to uwzględni i się podda, nie doprowadzając do rozlewu krwi. Kiedy przybyliśmy

na miejsce i szef Gwardii, aspirant Seyton, ruszył w stronę domu, prosząc, żeby Duff się poddał i wyszedł sam, ten w odpowiedzi strzelił do Seytona.

Macbeth skinieniem głowy wskazał na Seytona stojącego pod lampą z przodu sali, tak aby wszyscy mogli zobaczyć biały temblak.

– Tylko przypadek sprawił, że strzał nie był śmiertelny. Aspirant Seyton na szczęście otrzymał szybko pomoc medyczną, są więc duże szanse, że nie poniesie trwałego uszczerbku na zdrowiu. Ale wtedy, chociaż nie wiedział, jak poważne są jego obrażenia, dowodził kontratakiem. Niestety Duff, wiedziony desperacją i tchórzostwem, posłużył się własną rodziną jako żywą tarczą, co miało tragiczny finał i rodzina przypłaciła to życiem. On sam skrył się za domem i odjechał własnym samochodem. Jest poszukiwany, pościg trwa. Przyrzekam tu i teraz, że znajdziemy Duffa i poniesie on karę. Poza tym chciałbym wykorzystać tę okazję, aby ogłosić, że do aspiranta Seytona wkrótce będzie można się zwracać „panie komisarzu".

Tym razem do oklasków przyłączyło się jeszcze więcej osób. Kiedy entuzjastyczne okrzyki ucichły, rozległo się chrząknięcie, a po nim głos, którego „r" drapało struny głosowe.

– Doskonale, komendancie, ale co z dowodami... – słowo „dowody" wymówił powoli, z przesadnie wyraźną dykcją, jakby wypowiadał obce słowo – ...przeciwko tym, których wyrżnęliście?

– Jeśli chodzi o gang Norse Riders, mamy świadków, którzy widzieli, jak jego członkowie strzelają do samochodu komisarza Banqua. Znaleźliśmy też ich odciski palców zarówno na karoserii, jak i wewnątrz auta, a na siedzeniu Banqua także krew zgodną pod względem grupy z krwią niektórych osób zastrzelonych w lokalu klubowym Norse Ridersów w wyniku dzisiejszej akcji. Wydział Techniki Kryminalistycznej może również potwierdzić, że na szybie

od strony kierowcy, od wewnątrz, znaleziono odciski... – Macbeth na moment zawiesił głos – ...komisarza Duffa.

Przez salę przebiegł szmer.

– W tym miejscu chcę zresztą wyrazić wdzięczność technikom pracującym na miejscu zdarzenia. Duff zjawił się tam, gdzie zginął komisarz Banquo, tuż po jego zabójstwie, co jest dość zaskakujące, ponieważ nikt z Wydziału Zabójstw nie mógł się z nim skontaktować, gdy chciano go poinformować o śmierci Banqua. Najwyraźniej przybył w celu zatarcia odcisków palców i zniszczenia innych śladów, które pozostawił. Ale nasi technicy nie pozwolili nikomu, absolutnie nikomu zbliżyć się do zwłok, aby nikt tych śladów nie mógł zatrzeć. Od siebie mogę dodać, że podejrzenie współpracy Duffa z Norse Riders zrodziło się już w trakcie akcji w porcie kontenerowym. Wówczas zarówno Wydział Narkotykowy, jak i Gwardia dostały z anonimowego źródła informacje o takim stopniu szczegółowości, że Duff nie mógł nie zareagować bez wzbudzania podejrzeń o to, że rozpiął parasol ochronny nad ridersami. Sprytnie zorganizował z góry skazaną na niepowodzenie akcję, w którą zaangażował zbyt małą liczbę zbyt mało doświadczonych ludzi wyłącznie ze swojego wydziału, nie trzymając się zwykłych procedur przyjętych w takich wypadkach, i nie poprosił Gwardii o wsparcie. Na szczęście dowiedzieliśmy się o tym przedsięwzięciu, więc sami podjęliśmy inicjatywę – i ośmielę się powiedzieć, bez przeceniania własnych osiągnięć, że właśnie ta akcja była początkiem upadku Norse Ridersów i komisarza Duffa. Norse Ridersi i komisarz Duff sami wykopali sobie grób, w ramach zemsty za utratę partii narkotyków i śmierć pięciu swoich członków zabijając komendanta Duncana, a potem komisarza Banqua i jego syna. Poza wszystkim po raz ostatni użyłem w powiązaniu z nazwiskiem Duffa stopnia policyjnego. My w policji uważamy je

za tytuły honorowe, bez względu na to, czy mowa o najwyższym, czy o najniższym ze stopni. – Ku swemu zdumieniu Macbeth zorientował się, że lekkie drżenie jego głosu wywołane oburzeniem jest szczere, najzupełniej szczere.

– Naprawdę uważa pan, komendancie...

– Proszę podnieść rękę, zanim... – zaczął Lennox, ale Macbeth uciszył go gestem i skinieniem głowy dał znak, że Kite może kontynuować. Był gotów stawić czoło temu przeklętemu, zbuntowanemu pieniaczowi.

– Naprawdę chce pan powiedzieć, komendancie, że policji nie można krytykować za żaden błąd popełniony w związku z tymi akcjami? W ciągu jednego popołudnia uśmierciliście siedem osób godzinę wcześniej zwolnionych z aresztu, dziewięciu innych członków gangu, którym nie postawiliście żadnych zarzutów, plus sześć kobiet, według naszej wiedzy niepowiązanych z ewentualnymi przestępstwami Norse Ridersów. A teraz jeszcze na dokładkę mówi pan, że zginęła cała rodzina z Fife, a więc śmierć poniosły zdecydowanie niewinne osoby. I pan twierdzi, że nie popełniliście żadnego błędu?

Macbeth patrzył na Kite'a. Wianuszek ciemnych włosów otaczał łysą czaszkę reportera, a wąsy w kształcie zawsze smutnych ust – jego wargi. Dla niego każda wiadomość była zła. Macbeth zastanawiał się, jaki los czeka takiego człowieka. Uporządkował kartki. Odnalazł stronę, na której sam zanotował jeszcze jeden szkic do wystąpienia, nad jego szczegółami pracowała później Lady, a następnie Lennox. Wziął głęboki oddech. Wiedział, że uzyskał idealną równowagę. Że zażył idealną dawkę lekarstwa. Że ten serw będzie idealny.

– Racja. – Macbeth spojrzał na zgromadzonych. – Popełniliśmy błędy. – Odczekał, aż na sali zrobi się jeszcze ciszej niż cicho, aż cisza

stanie się nieznośna, aż nie da się w niej oddychać i zacznie się domagać dźwięków. Spuścił wzrok na zapiski. Musiał ożywić swoją wypowiedź, nie mogła wyglądać na czytaną z kartki. – W demokracji – zaczął – istnieją reguły gry, które kazały nam dziś zwolnić z aresztu wielu zatrzymanych członków klubu. Do tych reguł się zastosowaliśmy. – Kiwnął głową, jakby chciał powiedzieć „amen". – W demokracji istnieją reguły pozwalające i nakazujące policji zatrzymywać podejrzanych, jeżeli w sprawie pojawią się nowe dowody. Do tych reguł się zastosowaliśmy. – Kolejne kiwnięcie głową. – W demokracji istnieją reguły mówiące, jak ma reagować policja, jeśli podejrzany podczas aresztowania stawia opór i, jak było w tym wypadku, strzela do funkcjonariuszy. I do tych reguł też się zastosowaliśmy. – Oczywiście mógł to kontynuować, ale ustalili, że trzykrotne powtórzenie „zastosowaliśmy się" wystarczy. Podniósł palec i wzrok. – I nie zrobiliśmy nic poza tym. Niektórzy już okrzyknęli naszą akcję bohaterskim wyczynem. Inni – najskuteczniejszą i najbardziej uprawnioną akcją policyjną w historii cierpienia tego miasta. A jeszcze inni – punktem zwrotnym w walce z przestępczością na naszych ulicach, z przestępczością wymierzoną przeciwko naszej młodzieży. – Obserwował, jak jego własne kiwanie głową zaraża słuchaczy. Ten i ów wymamrotał nawet pod nosem coś jakby „tak". – Ale ja jako komendant widzę tylko, że wykonaliśmy pracę, którą nam wyznaczono. Nic więcej ponad to, czego możecie wymagać od nas jako policjantów.

Zobaczył, że na górze, na pustej galerii, Lennox stoi gotowy przy rzutniku slajdów, uważnie śledząc swoją kopię szkicu.

– Przyznaję jednak, że dzisiaj – podjął Macbeth – sprawia mi przyjemność wypowiadanie słowa „policja" i towarzyszące temu poczucie dumy. Cholera, ludzie, odłóżmy na chwilę wszelkie

oficjalne sformułowania! Faktem jest, że dokonaliśmy dzisiaj wielkiej czystki, odpłaciliśmy Swenowi i jego zbirom ich własną monetą! Pokazaliśmy im, co czeka tych, którzy ograbiają nas z naszych najlepszych ludzi.

Wokół niego zrobiło się jaśniej. Wiedział, że w tym momencie na ekranie za jego plecami wyświetliło się zdjęcie Duncana, które wkrótce zmieni się w fotografię Banqua i Fleance'a w mundurze pod jabłonią za ich domem.

– Rzeczywiście popełniliśmy błąd. Polegał on na tym, że nie przeprowadziliśmy tej czystki wcześniej! Zanim było za późno dla komendanta Duncana. Zanim było za późno dla komisarza Banqua, który służył temu miastu przez całe swoje życie. I dla jego syna Fleance'a, przyszłego policjanta, który pragnął zajmować się tym samym. – Macbeth musiał wziąć głębszy oddech, żeby zapanować nad drżeniem w głosie. – Ale dziś po południu zyskaliśmy pewność, że nastał nowy dzień. Dzień, w którym kryminaliści przestaną rządzić. Dzień, w którym mieszkańcy miasta powstaną i powiedzą: „Nie, nie godzimy się na to". A teraz mamy już wieczór tego dnia, będącego zaledwie pierwszym z nowych dni, które nadejdą. W tych dniach wciąż będziemy czyścić ulice miasta, bo ta wielka czystka jeszcze się nie skończyła.

Macbeth, zakończywszy podziękowaniem za uwagę, nie usiadł. Dalej stał podczas burzy oklasków, która się rozpętała, i podczas szurania krzeseł, kiedy ludzie wstawali, a brawa nie cichły. Poczuł, że wilgotnieją mu oczy – łzy wywołała niesfałszowana reakcja cynicznych dziennikarzy na fałszywą grę. A gdy w końcu nawet Kite wstał i zaczął klaskać, choć może z nieco mniejszą częstotliwością niż inni, Macbeth pomyślał, że ten facet wreszcie zrozumiał, co dla niego dobre, ponieważ zobaczył, że Macbeth

zdobył miłość zebranych, zdobył władzę. A ponadto zobaczył i usłyszał, że nowy komendant nie boi się tej władzy wykorzystać.

* * *

Macbeth długimi krokami przemierzał korytarz za salą Duncana.

Power. Czuł, że wciąż ma harmonię w żyłach. Wprawdzie nie tak idealną jak jeszcze przed chwilą, bo niepokój powoli zaczynał się budzić, ale na razie lekarstwo działało jak trzeba. A w nocy będzie tylko się rozkoszował. Rozkoszował jedzeniem i piciem, rozkoszował Lady, rozkoszował widokiem na miasto, rozkoszował wszystkim, co należy do niego.

– Znakomita przemowa, mistrzu! – rzucił Seyton, który najwyraźniej nie miał problemów z dotrzymaniem tempa Macbethowi.

Podbiegł też Lennox.

– Fantastycznie, Macbecie! – zawołał zdyszany. – Są tu dziennikarze z Capitolu, którzy przyjechali w tej sprawie. Chcieliby przeprowadzić z tobą wywiad i...

– Odmówimy – oświadczył Macbeth, nie zwalniając. – Żadnych wywiadów dla uczczenia zwycięstwa. Żadnego spoczywania na laurach, dopóki nie osiągniemy celu. Coś nowego o Duffie?

– Jego samochód znaleziono w mieście, zaparkowany tuż przy Obelisku. Wszystkie drogi wyjazdowe z miasta, lotnisko i statki pasażerskie zaczęliśmy sprawdzać pół godziny po odkryciu, że odjechał z Fife w stronę miasta. Wiemy więc, że wciąż gdzieś tu się ukrywa. Sprawdziliśmy już dom Banqua i dom teściów Duffa. Tam go nie ma. Ale przy tej pogodzie człowiek musi mieć dach nad głową, kiedy nadchodzi noc. Teraz bierzemy pod lupę każdy hotel,

pensjonat, schronisko i burdel. Dzisiejszej nocy wszyscy, absolutnie wszyscy polują na Duffa.

– Dobrze, że polujecie, ale jeszcze lepiej byłoby go schwytać.

– Dopadniemy go, to wyłącznie kwestia czasu.

– Okej. Zostawisz nas na chwilę samych?

– Oczywiście. – Lennox zatrzymał się i natychmiast pozostał w tyle.

– Coś cię martwi, Seyton? Ta rana postrzałowa?

– Nie, mistrzu. – Seyton wyjął rękę z temblaka.

– Nie? Sierżant trafił cię w ramię, prawda?

– Rany niesamowicie szybko mi się goją – odparł Seyton. – To u mnie rodzinne.

– Naprawdę? Masz coś takiego?

– Szybkie gojenie się ran?

– Rodzinę. To znaczy, że gnębi cię coś innego.

– Dwie rzeczy.

– Mów.

– To niemowlę, które znaleźliśmy i zabraliśmy z klubu po strzelaninie.

– No i?

– Nie bardzo wiem, co z nim zrobić. Zamknąłem je w swoim pokoju.

– Zajmę się tym – obiecał Macbeth. – A ta druga rzecz?

– Angus, mistrzu.

– Co z nim?

– W Fife nie usłuchał rozkazu. Odmówił strzelania. A w końcu odszedł, zanim zarządziłem koniec akcji. Stwierdził, że to rzeź, a nie zgłosił się na służbę w Gwardii, żeby brać udział w czymś takim. Boję się, że nie utrzyma języka za zębami. Musimy coś zrobić.

Zatrzymali się przed windą.

Macbeth potarł podbródek.

– Więc uważasz, że Angus stracił wiarę? To nie byłby pierwszy raz. Mówił ci, że studiował teologię?

– Nie mówił, ale potrafię wyczuć zapach. Poza tym nosi na szyi paskudny krzyż.

– Teraz to ty jesteś szefem Gwardii, Seyton. Co twoim zdaniem należy zrobić?

– Musimy się go pozbyć, mistrzu.

– Śmierć?

– Sam powiedziałeś, mistrzu, że trwa wojna, a podczas wojny zdrajców i tchórzy karze się śmiercią. Zróbmy tak jak z Duffem. Ogłośmy, że jest skorumpowany, i zaaranżujmy sprawę tak, jakby stawiał opór przy aresztowaniu.

– Pozwól mi się nad tym zastanowić. W tym momencie zwrócone są na nas oczy całego miasta. Powinniśmy wykazać się jednością i zgodą. Cawdor, Malcolm, Duff, a teraz jeszcze Angus... Trochę za dużo. Miasto woli martwych kryminalistów od zdrajców w policji. Gdzie on jest?

– Siedzi sam w pomieszczeniach Gwardii i gapi się w jeden punkt. Nie chce z nikim rozmawiać.

– Okej. Pogadam z nim, zanim podejmiemy jakieś działanie.

Macbeth zastał Angusa we wspólnej sali Gwardii. Chłopak siedział z głową opartą na rękach i nie zareagował, kiedy Macbeth postawił przed nim na stole duże pudełko po butach, a sam usiadł na krześle naprzeciwko.

– Słyszałem, co się stało. Jak się czujesz?

Żadnej odpowiedzi.

– Jesteś chłopakiem z zasadami, Angus. Właśnie to mi się w tobie podoba. Te zasady są dla ciebie ważne, prawda?

Angus uniósł głowę i popatrzył na Macbetha przekrwionymi oczami.

– Widzę ich ogień w twoich oczach – ciągnął Macbeth. – Urażone poczucie sprawiedliwości. To ci rozgrzewa serce, prawda? Czujesz się dzięki temu człowiekiem, jakim pragniesz być. Ale kiedy braterstwo wymaga prawdziwej ofiary, czasami właśnie tego żądamy, Angus. Poświęcenia swoich zasad. Rezygnacji z przyjemnego ciepła, będącego rezultatem czystego sumienia. Udręki takich samych koszmarów, jakie dręczą pozostałych. Oddania tego, co najcenniejsze. Tak jak twój poprzedni Bóg domagał się, by Abraham oddał mu swego syna.

Angus odchrząknął, ale głos mimo to miał zachrypnięty.

– Mogę je oddać, ale w imię czego?

– W imię odległego celu. Dobra wspólnoty. W imię miasta, Angus.

Gwardzista pociągnął nosem.

– Wyjaśnij mi, jak można zabijać niewinnych dla dobra wspólnoty?

– Dwadzieścia pięć lat temu amerykański prezydent zrzucił bomby atomowe na dwa japońskie miasta, zamieszkane przez dzieci, cywilów, niewinnych ludzi. To zakończyło wojnę. Właśnie takimi paradoksami dręczy nas Bóg.

– Łatwo ci tak mówić, bo ciebie tam nie było.

– Wiem, jaki to koszt, Angus. Niedawno własnoręcznie poderżnąłem gardło niewinnemu człowiekowi. Dla dobra wspólnoty. To nie znaczy, że dobrze śpię w nocy. Wątpliwości, wstyd, poczucie winy to część ceny, jaką musimy zapłacić, jeśli naprawdę chcemy zrobić coś dobrego, a nie tylko pławić się w przytulnym, bezpiecznym cieple samozadowolenia.

– Boga nie ma, a ja nie jestem prezydentem.

– Racja. – Macbeth zdjął pokrywę z pudełka. – Ale ponieważ tu, w komendzie, ja jestem jednym i drugim, umożliwię ci naprawienie tego błędu, który popełniłeś w Fife.

Angus zajrzał do pudełka. I przerażony, odskoczył.

– Masz to zabrać i spalić w piecu w Estexie dziś w nocy – polecił Macbeth.

Trupioblady Angus przełknął ślinę.

– T-t-to jest dziecko z klubu...

– Żołnierze frontowi, tacy jak ty i ja, rozumieją, że na wojnie trzeba się liczyć ze śmiercią niewinnych istnień. Ale nie wiedzą o tym ci, w których imieniu walczymy. Dlatego musimy to przed nimi ukrywać, żeby nie wpadli w histerię. Ty wpadasz w histerię, Angus?

– Ja...

– Posłuchaj. Okazuję ci zaufanie, wybierając cię do tego zadania. Możesz z tym pudłem pojechać do Estexu albo wykorzystać je do wydania swoich braci z Gwardii. A mimo wszystko przychodzę z tą sprawą do ciebie. Robię to, ponieważ muszę wiedzieć, czy mogę ci zaufać.

Angus pokręcił głową, z jego piersi wydarł się szloch.

– Żeby mieć pewność, że możesz mi ufać, chcesz ze mnie zrobić współwinnego!

– Współwinny jesteś już i tak. Muszę jedynie wiedzieć, czy jesteś dostatecznie silny, aby udźwignąć winę, nie mówiąc ludziom o cenie, jaką płacimy za ich obronę. Dopiero wtedy będę miał pewność, że jesteś prawdziwym mężczyzną, Angus.

– W twoich ustach brzmi to tak, jakbyśmy to my byli ofiarami, a nie to dziecko. Nie mogę! Już raczej mnie zastrzel.

Macbeth patrzył na Angusa. Nie czuł gniewu. Może go lubił. Może wiedział, że chłopak nie może im zaszkodzić. Ale głównie

było mu go żal. Macbeth nakrył pudełko i wstał.

– Zaczekaj – odezwał się Angus. – Jak masz zamiar mnie ukarać?

– Sam się ukarzesz – odparł Macbeth. – Przeczytaj to, co jest napisane na naszym sztandarze. To nie krzyk tego dziecka będziesz słyszał, kiedy spocony obudzisz się z koszmaru, tylko te słowa. *Wierność, braterstwo, ochrzczeni ogniem, związani krwią.*

Zabrał pudełko i wyszedł.

Do północy pozostała jeszcze ponad godzina, kiedy Macbeth otworzył kluczem drzwi do apartamentu.

Lady, w nocnej koszuli, stała przy oknie, zwrócona do Macbetha plecami. Pokój ledwie oświetlała pojedyncza świeca. Macbeth położył pudełko na toaletce, podszedł do Lady i pocałował ją w kark.

– Prąd wysiadł, akurat kiedy wchodziłem. Jack sprawdza bezpieczniki. Mam nadzieję, że żaden z gości nie skorzysta z okazji, żeby zgarnąć pulę.

– Prądu nie ma w połowie miasta. – Lady odchyliła głowę, kładąc mu ją na ramieniu. – Widziałam stąd. Przed chwileczką. Co masz w tym pudełku?

– A co się ma w pudełku na buty?

– W każdym razie nosisz te buty tak ostrożnie, jakby to była bomba.

Niebo rozświetliła wielka błyskawica niczym jaskrawobiała żyła przebiegająca przez chmury i przez moment mogli zobaczyć miasto. Chwilę później znów zrobiło się ciemno i rozległ się grzmot.

– Prawda, że to piękne? – spytał Macbeth, chłonąc zapach włosów Lady.

– Przecież nie wiem, co to jest.

– Miałem na myśli miasto. A stanie się jeszcze piękniejsze. Kiedy nie będzie w nim Duffa.

– Ciągle pozostanie burmistrz, który przydaje mu brzydoty. Nie powiesz mi, co jest w tym pudełku? – Głos miała chropowaty, jakby przed chwilą się obudziła.

– Tylko coś, co trzeba spalić. Poproszę Jacka, żeby jutro zawiózł to do pieców w Estexie.

– Ja też chcę spłonąć, kochany.

Macbeth zdrętwiał. Co ona wygaduje? Czyżby lunatykowała? Ale przecież lunatycy nie prowadzą rozmów.

– A więc ciągle jeszcze nie znaleźliście Duffa? – spytała.

– Nie, jeszcze nie, ale szukamy wszędzie.

– Biedny człowiek. Stracił dzieci, a teraz krąży gdzieś zupełnie sam.

– Ktoś mu pomaga, inaczej już byśmy go znaleźli. Nie ufam Lennoxowi.

– Bo wiesz, że służy Hekate i jego wywarowi?

– Lennox z natury jest słabym człowiekiem. Może uległ i zaczął konspirować, tak jak Banquo. Może ukrywa Duffa. Powinienem go aresztować. Seyton mówi, że za czasów Kennetha rażono aresztantów prądem w dolne partie ciała, jeśli nie chcieli mówić. A potem dostawali kolejną dawkę, żeby więcej nie gadali.

– Nie.

– Nie?

– Nie. Aresztowanie człowieka z twojej własnej grupy źle by teraz wyglądało. Na razie wybrałeś z niej dwa zgniłe jabłka: Duffa i Malcolma. Trzy – to już będzie kojarzyło się z czystką. A czystka prowokuje pytania nie tylko o nieczystych, ale też o ich szefa. Przecież nie chcemy budzić w Tourtellu jakichkolwiek wątpliwości przed twoim mianowaniem. A jeśli chodzi o elektrowstrząsy, to na razie w twojej części miasta nie ma prądu.

– Więc co mam zrobić?

– Obudź elektryka i każ mu to naprawić.

– Jesteś dzisiaj zła, kochana. I to w taki wieczór, kiedy powinnaś mi przyklaskiwać, uczcić mnie jako bohatera.

– A ty mnie jako bohaterkę, Macbecie. Szukaliście u Caithness?

– U Caithness? Dlaczego o niej pomyślałaś?

– Podczas tamtego przyjęcia Duff powiedział, że będzie nocował u kuzyna.

– Tak, rzeczywiście o tym wspomniał.

– I nie zdziwiło cię, że chłopak z sierocińca ma tu w mieście kuzyna?

– Nie każdy kuzyn może się podjąć... – Macbeth zmarszczył czoło. – Chcesz powiedzieć, że Duff i Caithness...

– Kochany Macbecie, mój bohaterze, byłeś i pozostaniesz naiwnym mężczyzną pozbawionym kobiecego oka, wyczulonego na spojrzenia pary zakochanych.

Macbeth zamrugał w ciemności. Potem objął Lady, zamknął oczy i przyciągnął ją do siebie. Jak poradziłby sobie bez niej?

– Widzę je, kiedy razem stajemy przed lustrem – szepnął jej do ucha. – Dziękuję ci, kochana. Połóż się już, a ja tylko dam znać Lennoxowi, żeby natychmiast poszli do Caithness.

– Wrócił.

– Co?

– Prąd. Zobacz. W naszym mieście znów jest jasno.

Macbeth otworzył oczy i popatrzył na jej oświetloną twarz. Na nich oboje. Neonowa reklama marki Bacardi na budynku po drugiej stronie ulicy Skromnej rzucała na nich czerwoną poświatę.

– Lennox? – Caithness z zimna aż szczękała zębami, kiedy stała z rękami założonymi na piersiach w drzwiach swojego mieszkania na poddaszu. – Aspirant Seyton?

– Komisarz Seyton – odezwał się chudzielec, odsunął ją na bok i wszedł do środka.

– O co chodzi? – spytała.

– Przykro mi, Caithness – odparł Lennox. – Taki mamy rozkaz. Czy jest tu Duff?

– Duff? A dlaczego, na miłość boską, miałby tu być?

– A dlaczego, na miłość boską, miałabyś odpowiedzieć twierdząco? – Seyton dał znak czterem uzbrojonym w pistolety maszynowe ludziom w mundurach Gwardii, że mają sprawdzić cztery pokoje mieszkania. – Jeśli tu jest, to dlatego że go tu ukrywasz. Dobrze wiesz, że jest poszukiwany.

– Szukajcie sobie, gdzie chcecie – powiedziała.

– Dzięki za pozwolenie – rzucił ze złością Seyton. Pod jego spojrzeniem pożałowała, że ma na sobie wyłącznie cienką nocną koszulę. Nagle się uśmiechnął, a Caithness zadrżała – usta Seytona zmieniły się w wąską kreskę, ich kąciki gwałtownie uniosły się ku lekko skośnym jak u węża oczom. – Próbujesz nas zatrzymywać, prawda?

– Zatrzymywać? – powtórzyła z nadzieją, że nie wyczuł lęku w jej głosie.

– Sir? – To przyszedł jeden z gwardzistów. – Są drzwi prowadzące na schody na dach.

– Doprawdy? – powiedział Seyton spokojnie, nie odrywając oczu od Caithness. – Interesujące. To znaczy, że od chwili, kiedy zadzwoniliśmy do drzwi na dole, do czasu, gdy weszliśmy na poddasze, wypuściłaś kota schodami na dach, zgadza się?

– Ani trochę.

– Oczywiście masz świadomość zaostrzenia kary, jeśli oprócz ukrywania osoby poszukiwanej będziesz okłamywać policję?

– Ja nie kłamię, aspirancie.

– Komisa... – Seyton urwał, zdołał znów się uśmiechnąć. – Ale ma pani do czynienia z Gwardią, panno Caithness, a my znamy się na swojej robocie. Na przykład sprawdzamy przed szturmem plany budynku. – Podniósł do ust krótkofalówkę. – Alfa do Charlie. Jakieś ślady Duffa przy wyjściu na schody na dach? *Over*.

Krótkie szumy, które się rozległy, gdy Seyton wcisnął guzik krótkofalówki, skojarzyły się Caithness z falami bijącymi o brzeg, gdzieś daleko, bardzo daleko stąd.

– Jeszcze nie, Alfa – padła odpowiedź. – Tu są całkiem niezłe warunki do aresztowania, więc prosimy o potwierdzenie, że obiekt zauważony ma od razu zostać zlikwidowany. *Over*.

Caithness zobaczyła, że spojrzenie Seytona twardnieje, a głos się wyostrza.

– Duff jest śmiertelnie niebezpieczny. Zabił już dostatecznie wielu policjantów. To rozkaz samego komendanta, który mamy wypełnić co do joty.

– Tak jest. *Over and out*.

Czterej mężczyźni wrócili do salonu.

– Tutaj go nie ma, szefie.

– Nic?

– Na podłodze w sypialni przy drzwiach znalazłem to. – Jeden z gwardzistów podał Seytonowi rakietę tenisową i biżuterię.

Seyton wziął rakietę i nachylił się nad dłonią trzymającą biżuterię. Caithness miała wrażenie, że ją obwąchuje. Potem znów zwrócił się do niej, lubieżnie gładząc trzonek rakiety.

– Duża rakieta jak na tak małą rączkę, panno Caithness. Ma pani też zwyczaj rzucania kolczyków na podłogę?

Caithness się wyprostowała. Odetchnęła głęboko.

– Wydaje mi się, że to powszechna ludzka przywara, aspirancie. Rzucanie pereł przed wieprze. Ale mam nadzieję, że człowiek

z czasem się tego oducza. A jeśli już skończyliście przeszukanie i dokonaliście egzekucji kota na schodach, to chętnie położę się z powrotem spać. Dobranoc panom.

Zobaczyła, że oczy Seytona ciemnieją, a jego usta się otwierają, ale milczał, bo Lennox położył mu rękę na ramieniu.

– Przepraszamy za zakłócenie spokoju, Caithness. Ale jako policjantka sama rozumiesz, że w takiej sprawie trzeba bezwzględnie zajrzeć w każdy kąt.

Lennox i gwardziści już skierowali się do drzwi, Seyton jednak nie ruszał się z miejsca.

– Chociaż nie zawsze podobają nam się brudy, które w tych kątach znajdujemy – wycedził. – Nigdy nie kupił ci obrączki, prawda?

– Czego ty właściwie chcesz, Seyton?

Uśmiechnął się obrzydliwie.

– No właśnie, czego człowiek właściwie chce?

Odwrócił się i wyszedł.

Caithness zamknęła za nimi drzwi i oparła się o nie. Gdzie był Duff? Gdzie spędzał tę noc? I czego dla niego chciała? Piekła, w którym musiał się znaleźć, czy zbawienia, na które nie zasłużył?

* * *

Lennox usiłował coś dojrzeć przez strugi deszczu spływające po przedniej szybie. Załamanie światła sprawiało, że czerwień na sygnalizatorze zdawała się rozpływać i wić. O Boże, tak bardzo chciał, żeby te godziny, ten dyżur, ta noc już się skończyły. Boże, tak bardzo chciał usiąść w salonie, nalać sobie szklankę whisky i wpuścić w żyłę wywar. Nie był uzależniony. A przynajmniej nie stanowiło to problemu. On tylko zażywał, a nie nadużywał. To on miał kontrolę, a nie narkotyk. Był jednym ze szczęśliwców, którzy

mogli brać, a mimo to świetnie funkcjonować na wymagających stanowiskach, być też dobrymi ojcami i mężami. Tak – prawdę mówiąc, to narkotyki pomagały mu funkcjonować. Gdyby nie te minuty wytchnienia, nie wiadomo, czy dałby radę. Czy umiałby zachować równowagę, cały czas trzymać język za zębami, żeby nie zrobić błędnego kroku, iść na kompromis tam, gdzie należało, z uśmiechem zjadać najgorsze gówno, siedzieć spokojnie w rozchybotanej łodzi, rozumieć, kto, o czym i kiedy decyduje, uginać się na wietrze. Ale któregoś dnia przyjdzie czas, kiedy to on będzie rządził i decydował. A nawet jeśli nie, to są ważniejsze rzeczy. Rodzina. To przecież dla niej to wszystko. Żeby mogli z Sheilą mieszkać w wygodnym domu w spokojnej okolicy na zachodzie miasta, żeby troje ich wspaniałych dzieci chodziło do dobrej szkoły, propagującej solidne wartości, żeby raz w roku mogli jeździć na zasłużone wakacje nad Morzem Śródziemnym, mieć ubezpieczenie zdrowotne, dentystę i całą resztę. Boże, jak on kochał swoją rodzinę! Czasami potrafił odłożyć gazetę i tylko patrzeć na zajętych swoimi sprawami najbliższych, siedzących wokół niego w salonie; myślał wówczas, że nigdy nie przypuszczał, iż będzie mu dany taki dar. Miłość innych. Jemu, którego przezywano Albert Albinos i któremu spuszczano lanie na każdej przerwie, dopóki nie przyniósł zaświadczenia lekarskiego – było tam napisane, że nie toleruje światła dziennego, więc od tej pory mógł na przerwach zostawać w klasie. Ale chociaż był biały, mały i delikatny, to jednak mocny w gębie. Właśnie dzięki temu zdobył Sheilę. Mówił głośno i dużo, wystarczyło za nich oboje. A jeszcze więcej, gdy pierwszy raz spróbował kokainy. Pod wpływem narkotyku był lepszą wersją samego siebie. Energiczną, gotową do działania, nieznającą lęku. Przynajmniej przez jakiś czas. Później kokaina zaczęła być niezbędna, żeby nie stawał się gorszą wersją siebie. Zmienił więc narkotyk

w nadziei, że istnieje inna droga niż wytyczona przez kokainę jednokierunkowa uliczka. Maksymalnie jeden strzał dziennie. Nie więcej. Niektórzy potrzebowali pięciu. Ci niefunkcjonujący. On był daleki od takiego życia. Ojciec się mylił. On miał kręgosłup. Miał kontrolę.

– Masz kontrolę?

Lennox drgnął.

– Słucham?

– Nad swoją listą – wyjaśnił Seyton z tylnego siedzenia. – Masz kontrolę nad tym, co jeszcze zostało?

Lennox ziewnął.

– Komenda Główna. To ostatni przystanek.

– Komenda Główna jest duża.

– Owszem, ale według dozorcy Duff ma tylko trzy klucze. Do Wydziału Narkotykowego i do Wydziału Zabójstw.

– A trzeci?

– Do garażu Wydziału Techniki Kryminalistycznej. Ale nie wierzę, że ryzykowałby zapalenie płuc w tej piwnicy, jeśli może się ukryć pod stołem w suchym, ciepłym biurze.

Zatrzeszczało radio policyjne i nosowy głos obwieścił, że sprawdzono wszystkie pokoje hotelowe w Obelisku, z penthouse'em włącznie, ale bez rezultatu.

Dozorca czekał z wielkim pękiem kluczy przed wejściem do komendy przeznaczonym dla personelu. Lennoxowi, Seytonowi i ośmiu innym policjantom przeszukanie pomieszczeń Wydziału Narkotykowego zajęło mniej niż dwadzieścia minut. Jeszcze krócej trwało sprawdzenie Wydziału Zabójstw. Zajrzeli nawet pod płyty na suficie i do rur systemu wentylacyjnego.

– No to już. – Lennox ziewnął. – Kończymy na dzisiaj. Idźcie się przespać kilka godzin. Kontynuujemy jutro.

– Garaż – przypomniał Seyton.

– Powiedziałem...

– Garaż.

Lennox wzruszył ramionami.

– Masz rację, to pójdzie szybko. Chłopaki, wracajcie do domu, a Seyton, ja i Olafson zajmiemy się garażem.

We trzech zjechali windą na najniższy poziom razem z dozorcą, który ich wpuścił i włączył światło.

Gdy prąd pracował nad rozjarzeniem luminoforu w świetlówkach, Lennox uchwycił jakiś dźwięk.

– Słyszeliście? – spytał szeptem.

– Nie – odparł dozorca. – Ale jeżeli coś tu jest, to szczury.

Lennox miał wątpliwości. To, co do niego dotarło, to wcale nie było szuranie czy szelest, ale wyraźne skrzypienie. Takie, jakie wydają buty.

– Prawdziwa plaga – westchnął dozorca. – Nie można się ich pozbyć.

Wielkie pomieszczenie piwniczne wreszcie się rozjaśniło. Było puste, z wyjątkiem stołu na kółkach, zawalonego różnymi narzędziami, i volva PV Banqua, nakrytego brezentem, które stało przy samym wejściu. I pięciorga zamkniętych drzwi.

– Jeżeli chcesz się pozbyć szczurów – Seyton odbezpieczył pistolet maszynowy – to po prostu skontaktuj się ze mną. Olafson, zaczynamy od lewej!

Lennox patrzył, jak łysy policjant zaskakująco szybko posuwa się miękkimi ruchami w głąb pomieszczenia z Olafsonem depczącym mu po piętach. Po kolei sprawdzali drzwi, poruszając się jak w opracowanym według starannej choreografii i wyćwiczonym tańcu. Seyton otwierał, Olafson wchodził z pistoletem maszynowym przyłożonym do ramienia i opadał na kolana,

a wtedy Seyton go wymijał. Lennox odliczał. Czuł, że zastrzyk już wkrótce stanie się niezbędny. Wreszcie ostatni pokój.

Seyton szarpnął za klamkę.

– Zamknięte! – zawołał.

– Tak, tak, ciemnia zawsze jest zamykana – wyjaśnił dozorca. – Zdjęcia stanowią materiał dowodowy. Duff nie miał do niej klucza, w każdym razie ode mnie go nie dostał.

– No to się zbieramy – zarządził Lennox.

Seyton i Olafson wrócili do nich z opuszczonymi lufami pistoletów. Dozorca już otworzył drzwi wejściowe.

Nareszcie.

Ale Seyton wyciągnął do niego rękę.

– Klucz.

– Słucham?

– Klucz do ciemni.

Dozorca zawahał się i zerknąwszy na Lennoxa, od którego w odpowiedzi uzyskał tylko westchnienie i kiwnięcie głową, odłączył jeden klucz od pokaźnego pęku i wręczył go Seytonowi.

– Co on robi? – spytał jeszcze, patrząc, jak Seyton i Olafson powoli mijają volvo i kierują się do drzwi ciemni.

– Swoją robotę – warknął Lennox.

– Chodzi mi o to, że tak rusza nosem. Wygląda, jakby węszył, jak zwierzę.

Lennox pokiwał głową. A więc nie tylko on uważał, że Seyton niekiedy potrafi przybrać formę... nie bardzo wiedział czego. W każdym razie czegoś nieludzkiego.

Seyton już go wyczuwał. Zapach. Ten sam, co w domu w Fife i w mieszkaniu Caithness. Duff albo był tu teraz, albo niedawno stąd wyszedł. Seyton włożył klucz w zamek, otworzył drzwi. Olafson wszedł do środka i rzucił się na kolana. Kiedy dozorca

wcisnął przełącznik przy drzwiach wejściowych, zapaliły się światła w całym garażu i we wszystkich bocznych pokojach, ale tutaj wciąż panował mrok. Oczywiście. Przecież to ciemnia.

Seyton wszedł do środka. Smród chemikaliów zatarł zapach zwierzyny, Duffa. Seyton odnalazł przełącznik po wewnętrznej stronie drzwi, przekręcił go, ale światła dalej nie było. Naturalnie podczas przerwy w dostawie prądu mógł się przepalić bezpiecznik. Albo ktoś wykręcił żarówkę. Seyton włączył latarkę. Całą ścianę nad stołem pokrywały duże odbitki suszące się na sznurku. Seyton oświetlił je latarką. Widniał na nich sztylet z zakrwawionym ostrzem i pokrytą krwią rękojeścią. Duff musiał tutaj być. Seyton miał stuprocentową pewność.

– Hej, co się dzieje?

To Lennox. Ten mały słabowity albinos chciał iść do domu. Pocił się i ziewał, cholerna baba.

– Już idziemy! – krzyknął Seyton i zgasił latarkę. – Chodź, Olafson!

Pozwolił Olafsonowi się wyminąć, potem zatrzasnął za nim drzwi, a sam został w środku. Nasłuchiwał w ciemności. Czekał, aż Duff uzna, że niebezpieczeństwo minęło, i się rozluźni. Wycelował pistolet maszynowy w zdjęcia. Nacisnął spust. Broń w jego rękach zadrżała, dźwięk wbijał się w błonę bębenkową.

Narysował kulami krzyż. Potem znów zapalił latarkę, podszedł do podziurawionych zdjęć i odsunął je na bok.

Zapatrzył się w dziury po kulach w murze.

Duffa nie było.

Huk strzałów ciągle dźwięczał mu w uszach. Zauważył, że jedna z dziur była wyjątkowo głęboka. Widać przypadek zrządził, że dwa pociski trafiły dokładnie w to samo miejsce.

Oczywiście.

Wyszedł z ciemni i dołączył do pozostałych.

– O co chodziło? – spytał Lennox.

– Nie podobały mi się te zdjęcia – odparł Seyton. – Zapomnieliśmy o jednym miejscu.

– Owszem – jęknął Lennox. – O własnym łóżku.

– Duff myśli tak, jak myślano podczas nalotów bombowych w czasie wojny. Ukrył się w leju po bombie, bo uważa, że dwie bomby nie mogą trafić w jedno i to samo miejsce.

– Co, u diabła...

– Wrócił do domu w Fife. Jedziemy!

Kiedy w garażu zgasło światło, szczur wyłonił się ze swojej kryjówki, usłyszał trzaśnięcie drzwi i oddalające się kroki. Podreptał po wilgotnej posadzce w stronę stojącego na środku samochodu. Ciągnęła go tam krew na fotelu kierowcy. Słodka, pożywna, zakrzepła. Musiał tylko przedostać się przez brezent, którym nakryto wóz. Prawie już mu się to udało, kiedy mu przeszkodzono, ale teraz przegryzł ostatni kawałek i wreszcie znalazł się w środku. Przebiegł po podłodze po stronie pasażera, minął drążek zmiany biegów i zeskoczył na gumowy dywanik przy siedzeniu kierowcy. Przemknął po dużych skórzanych butach. Przestraszył się, gdy jeden z tych butów drgnął i lekko się uniósł. Szczur stanął na tylnych łapach i syknął. Wspaniały zakrwawiony fotel kierowcy okazał się zajęty.

Duff słuchał cichnącego szelestu szczura. W końcu rozluźnił palce zaciśnięte na kierownicy i poczuł, że jego serce po prostu bije, już nie wali tak mocno, jak wtedy, gdy Seyton i jego ludzie przeszukiwali garaż – wówczas był pewien, że musieli je usłyszeć. Spojrzał na zegarek. Jeszcze pięć godzin do świtu. Próbował się poruszyć, ale spodnie przylepiły się do krwi na siedzeniu. Do krwi

Banqua. Jakby go wiązała z tym miejscem. Musiał jednak stąd odejść. Iść dalej.

Ale dokąd? I jak?

Kiedy rzucił się do ucieczki, uznał, że łatwiej zgubi się w mieście, w tłumie niż na drodze, później na szosie i autostradzie. Zostawił więc samochód w uliczce w pobliżu Obelisku, wszedł do kasyna, będącego, jak wiedział, jedynym oprócz Inverness miejscem otwartym przez całą noc. Oczywiście nie mógł wynająć tu pokoju, miał świadomość, że Macbeth przede wszystkim będzie sprawdzał miejsca noclegowe w mieście. Ale mógł posiedzieć w wielkiej hali jednorękich bandytów, równie samotny, jak osoba przy sąsiedniej maszynie, karmić swoją monetami i pozwalać powoli się obrabowywać. I rzeczywiście tak zrobił, zastanawiając się jednocześnie, to znaczy próbując się zastanawiać, w jaki sposób się uratować. Nie odrywał oczu od złych wyników ukazujących się przed nim w trzech małych okienkach. Serce. Sztylet. Korona królewska. Po kilku godzinach poszedł do baru po piwo, żeby sprawdzić, czy nie rozjaśni mu myśli, i wtedy w wiszącym nad barem telewizorze z wyłączoną fonią, w którym nadawano akurat relację z konferencji prasowej w Komendzie Głównej, na ekranie nagle pojawiła się znajoma twarz z białą blizną biegnącą na ukos jak kreska na znaku zakazu. Zbliżenie jego własnej twarzy i wielkie litery napisu *POSZUKIWANY*. Natychmiast stamtąd wyszedł, z opuszczoną głową i podniesionym kołnierzem kurtki, a zimne nocne powietrze rozjaśniło mu mózg na tyle, by zdołał wpaść na pomysł, że ich dawne miłosne gniazdko – garaż – to najlepsza możliwość noclegu.

Ale wkrótce miał nadejść piątkowy świt, dzień roboczy, musiał więc się stąd wydostać, zanim ludzie wyjdą do pracy i zobaczą kioskowe stojaki udekorowane jego wizerunkiem. Sięgnął

do kieszeni kurtki. Poczuł pod palcami gładki papier, wyciągnął paczkę. Nie zdążył nad sobą zapanować. Wyobraził sobie buzię Ewana, który widzi, że dostał wymarzony prezent, i usłyszał własny niekontrolowany szloch. Dosyć! Nie wolno mu. Poprzysiągł sobie, że nie będzie teraz myślał o rodzinie. Na przeżywanie żałoby będzie mógł sobie pozwolić, jeśli uda mu się uniknąć śmierci.

Zapalił światło w kabinie, otarł łzy, rozerwał papier, wyjął sztuczną brodę, otworzył tubkę z klejem i wycisnął z niej odrobinę mazidła, którym posmarował podbródek i okolicę ust, a także sztuczną brodę od środka. Przeglądając się we wstecznym lusterku, przykleił brodę. Na czoło naciągnął ciasną wełnianą czapkę, zakrywającą górną część blizny. Włożył okulary. Ich komicznie szeroka ramka zasłoniła bliznę na policzku i na nosie. W lusterku zauważył na policzku resztkę kleju. Na próżno przeszukał kieszenie, chcąc znaleźć coś, czym mógłby go wytrzeć. Otworzył schowek na rękawiczki, zobaczył w nim notes, wyjął go i już miał wyrwać kartkę, kiedy się zawahał. W świetle górnej lampki dostrzegł w papierze zagłębienia. Ktoś niedawno musiał napisać coś na poprzedniej kartce. I co z tego? Wyrwał kartkę, starł nią klej z policzka, papier zgniótł i schował do kieszeni. Notes odłożył z powrotem do schowka.

Już.

Oparł się na siedzeniu. Zamknął oczy.

Pięć godzin. Dlaczego przykleił brodę tak wcześnie? Już go swędziała.

Znów zaczął się zastanawiać. Walczył z myślami, które krążyły wokół Fife. Musiał sobie znaleźć jakąś kryjówkę w mieście, wszystkie drogi wyjazdowe będą przecież zamknięte. Zresztą poza miastem też nie miał żadnego schronienia, żadnego miejsca umożliwiającego nocleg, żadnych znajomych, którzy zgodziliby się

ukryć poszukiwanego zabójcę policjantów. Nagle uświadomił sobie, że nie zna nikogo, kto chciałby mu pomóc. Ani tu, ani nigdzie indziej. Ludzie jakoś z nim wytrzymywali, nie wyczuwał z ich strony bezpośredniej antypatii. Ale nie czuł też sympatii. Zresztą dlaczego mieliby go lubić? Co takiego zrobił kiedykolwiek, co przysłużyłoby się innym, jeśli zarazem nie służyło jemu? Miał sojuszników, nie przyjaciół. A teraz, kiedy naprawdę potrzebował pomocy, przyjaciela, odruchu serca, okazało się, że jest człowiekiem bez zdolności kredytowej, projektem z góry skazanym na przegraną. Spojrzał na swoje żałosne, mocno owłosione oblicze. Lis. Krąg polujących na niego myśliwych coraz bardziej się zacieśniał. Seyton, nowy przewodnik stada psów tropiących Macbetha, już obszczekiwał mu pięty. Trzeba uciekać. Ale dokąd? Gdzie lis mógłby znaleźć dziurę, przez którą zdołałby się przecisnąć?

Pięć godzin do świtu. Do piątku. Do urodzin...

Nie! Nie wolno płakać. Musi przeżyć. Martwy nikogo nie pomści.

Trzeba wytrzymać i nie spać aż do świtu, a potem poszukać sobie innego miejsca. Może w którejś z zamkniętych fabryk? Nie, przecież już rozważał takie wyjście i je odrzucił. Macbeth wiedział, gdzie Duff mógłby szukać kryjówki. Do diabła, jego myśli krążą w kółko, chodzą po własnych śladach jak ludzie, którzy zabłądzili.

Był strasznie zmęczony, ale musiał wytrzymać do świtu. Ewan nie dożył dziesięciu lat. Niech to szlag trafi! Spróbował czymś się zająć. Obejrzał dokładnie wszystkie urządzenia na tablicy rozdzielczej, w końcu wyjął z kieszeni kartkę, rozwinął ją, wygładził. Próbował czytać. Pogrzebał w schowku i znalazł ołówek. Przyłożył go ukosem do kartki i zaczął delikatnie wodzić nim po zapiskach w taki sposób, by grafitowy pył układał się wokół zagłębień. W końcu ukazało się to, co zostało napisane na tamtej usuniętej kartce. Biało na czarnym.

Delfin. Ul. Garbarska 66. Dystrykt 6. Alfie. Bezpieczna przystań.

Adres. W mieście była ulica Garbarska, ale nie było Dystryktu 6, a jeszcze tylko jedno miasto zostało podzielone na dystrykty. Capitol. Kiedy ta notatka mogła powstać? Nie miał pojęcia, po jakim czasie znika wgłębienie w papierze. I co oznacza „bezpieczna przystań"?

Zgasił światło w samochodzie i zamknął oczy. Może się prześpi choć chwilę?

Capitol. Piątek. Gdzieś już widział taką kombinację, całkiem niedawno.

Powoli zapadał w sen, pełen skojarzeń z tymi dwoma słowami, gdy nagle gwałtownie drgnął na siedzeniu. Znów włączył światło.

23

– Meredith i ja się pobieramy – oznajmił Duff. Jakby miał w sobie słońce, bo blask bił mu z oczu.

– Naprawdę? To... hm... szybko.

– Tak! Będziesz moim świadkiem, Macbecie?

– Ja?

– Oczywiście! Któżby inny?

– Hm... Kiedy...

– Szóstego lipca. W letnim domu rodziców Meredith. Wszystko jest już przyklepane i gotowe. Dzisiaj wyszły pocztą zaproszenia.

– Bardzo miło z twojej strony, Duff. Zastanowię się.

– Zastanowisz się?

– No... planowałem w lipcu dłuższy wyjazd. W lipcu to raczej nie wchodzi w grę, Duff.

– Wyjazd? Nic mi o tym nie mówiłeś.

– Może i nie.

– Ale też dawno nie rozmawialiśmy. Gdzie ostatnio bywałeś? Meredith pytała o ciebie.

– Naprawdę? Tu i tam. Byłem trochę zajęty.

– A dokąd się wybierasz?

– Do Capitolu.

– Do Capitolu?

– Tak. Bo... nigdy tam nie byłem. Najwyższa pora odwiedzić stolicę, prawda? Podobno jest o wiele ładniejsza od naszego miasta.

– Posłuchaj mnie, kochany Macbecie. Stawiam ci bilet lotniczy do Capitolu i z powrotem. To niemożliwe, żeby mojego najlepszego kumpla nie było na moim ślubie. Ależ będzie impreza! Pomyśl o wszystkich przyjaciółkach Meredith, wciąż pannach...

– A z Capitolu wybieram się dalej, za granicę. To długa podróż, Duff, nie będzie mnie przez cały lipiec.

– Ale... czy to ma jakiś związek z tym, że ty i Meredith kiedyś ze sobą flirtowaliście?

– Więc jeśli przez pewien czas nie będziemy się widywać, to życzę ci udanego wesela i... powodzenia we wszystkim.

– Macbeth!

– Muszę już iść.

– Macbeth!

– Ale dziękuję ci, Duff, nie zapomnę, że jestem ci winien smoczą krew. Pozdrów Meredith i podziękuj jej ode mnie za tamten mały flirt.

– Sir!

Macbeth otworzył oczy. Leżał w łóżku. Sen. A jednak czy nie takie właśnie słowa wtedy padły? Smocza krew. Lorreal. Czy on naprawdę tak powiedział?

– Sir! – Głos dochodził zza drzwi sypialni, a teraz rozległo się jeszcze gorączkowe pukanie. Spojrzał na zegarek stojący na szafce nocnej. Trzecia w nocy. – Sir, tu Jack!

Macbeth odwrócił się w drugą stronę. Był sam. Lady zniknęła.

– Sir, musi pan...

Macbeth jednym ruchem otworzył drzwi.

– Co się dzieje, Jack?

– Ona chodzi we śnie.

– I co, nie pilnujesz jej?

– Tym razem to coś innego. Ona... Musi pan przyjść!

Macbeth ziewnął, zapalił światło, włożył szlafrok i już miał wyjść z pokoju, gdy jego spojrzenie padło na toaletkę. Pudełko po butach zniknęło.

– Szybko, pokaż mi drogę, Jack!

Znaleźli ją na dachu. Jack zatrzymał Macbetha w progu otwartych metalowych drzwi. Przestało padać i słychać było jedynie wiatr i równy szum samochodów, który nigdy nie ustawał. Lady stała na samej krawędzi, w świetle reklamy Bacardi, odwrócona do nich plecami. Wiatr szarpał cienką koszulą nocną.

– Lady! – westchnął Macbeth i już chciał do niej pobiec, ale Jack go powstrzymał.

– Psychiatra mówił, że kiedy chodzi we śnie, nie wolno jej budzić, sir.

– Przecież może spaść!

– Często przychodzi właśnie tutaj i staje w tym miejscu – wyjaśnił Jack. – Widzi, chociaż śpi. Psychiatra twierdzi, że lunatycy prawie nigdy nie robią sobie krzywdy. Natomiast ktoś, kto ich obudzi, może namieszać im w głowie i doprowadzić do tragedii.

– Dlaczego nikt mi nie powiedział, że ona przychodzi tutaj? Miałem wrażenie, że urządza sobie krótkie przechadzki

po korytarzu!

– Lady surowo mi przykazała, żebym nie mówił panu o tym, co robi we śnie, sir.

– A co robi?

– Czasami to tylko krótki spacer, tak jak pan powiedział. Kiedy indziej idzie do pralni i bierze silnie działające mydło. Szoruje ręce. Bywa, że skórę ma zupełnie czerwoną. A potem wchodzi na dach.

Macbeth patrzył na Lady. Jego ukochana. Tak obnażona i krucha wśród tej wiecznej ciemności. Tak bardzo osamotniona w mroku swojego umysłu, w tym mroku, o którym mu opowiadała, lecz nie mogła go tam zabrać. Nie był w stanie temu zaradzić, pozostawało jedynie czekać z nadzieją, że sama postanowi stamtąd powrócić. Tak bliska, a mimo to niedostępna.

– Co cię skłania do podejrzeń, że właśnie dzisiaj mogłaby odebrać sobie życie?

Jack zdumiony spojrzał na Macbetha.

– Wcale o tym nie myślałem, sir.

– A o co ci chodziło?

– Słucham, sir?

– Co cię tak zaniepokoiło, że aż mnie obudziłeś?

W tej samej chwili przez szczelinę w pokrywie chmur wyjrzał księżyc, a Lady jak na umówiony sygnał odwróciła się i ruszyła w ich stronę.

– To, sir.

– Boże, miej nas w swojej opiece! – Macbeth cofnął się o krok.

Lady trzymała w rękach tobołek. Zsunęła koszulę nocną, odsłaniając pierś, do której przykładała otwartym końcem zawiniątko. Macbeth dostrzegł tył głowy niemowlęcia. Naliczył w niej cztery czarne dziury.

– Czy ona śpi? – spytał szeptem Macbeth.

– Wydaje mi się, że tak – odszepnął Jack.

Zeszli za Lady z dachu po schodach do apartamentu. Stali teraz nad łóżkiem, na którym leżała wraz z dzieckiem pod kołdrą.

– Odbierzemy je?

– Nie, niech je zatrzyma – zdecydował Macbeth. – W czym to może zaszkodzić? Ale chciałbym, żebyś tu posiedział i czuwał nad nią. Mam jutro rano bardzo ważny wywiad i muszę się przespać, więc daj mi klucz do innego pokoju.

– Oczywiście – powiedział Jack. – Ściągnę kogoś, kto zajmie się recepcją.

Pod nieobecność Jacka Macbeth dotknął policzka niemowlęcia. Był zimny, sztywny. Zniszczone dziecko. Tak jak zniszczeni byli niegdyś on i Lady. Ale oni zdołali się naprawić, a raczej Lady zdołała naprawić się sama, Macbethowi natomiast musiał w tym ktoś pomóc. Banquo. A wcześniej, jeszcze w sierocińcu, Duff. Gdyby Duff nie zabił Lorreala, Macbeth przypuszczalnie prędzej czy później odebrałby sobie życie. Nawet kiedy już opuścił sierociniec, wciąż miał w sercu cztery czarne dziury. Cztery dziury, które należało czymś wypełnić. Najszybciej działającym i najłatwiej dostępnym materiałem uszczelniającym okazał się wywar. Przynajmniej utrzymał go przy życiu. Dzięki Duffowi, niech go diabli porwą.

No i oczywiście pomogła mu też Lady. Pokazała, jak można zatkać dziurę w sercu miłością, a ból uśmierzyć kochaniem. Pogładził ją po policzku. Ciepłym i miękkim.

Czy były jakieś drogi powrotu, czy też zapomnieli zaplanować ewentualny odwrót? Czy ich plany obejmowały wyłącznie zwycięstwo? Tak, i odnieśli je. Ale co robić, jeśli zwycięstwo ma kwaśny smak, kosztuje za dużo i człowiek wolałby je zamienić na tanią przegraną? Co się wtedy robi? Czy się abdykuje, rezygnuje z korony i tronu, pokornie prosi o wybaczenie i wraca do swojego

codziennego życia? Kiedy się robi krok poza krawędź dachu, a bruk ulicy prostytutek błyskawicznie się przybliża, czy błaga się wówczas siłę ciążenia o cofnięcie tego nieprzemyślanego kroku? Nie. Człowiek przyjmuje to, co ma nadejść. Stara się wyjść z tego jak najlepiej. Próbuje wylądować na nogi, złamać jedną czy nawet obie. Ale przeżyć. I staje się dzięki temu lepszym człowiekiem, który się nauczył, że następnym razem trzeba stąpać ostrożniej.

W drzwiach pojawił się Jack.

– Załatwiłem osobę na dyżur – oznajmił, wręczając Macbethowi klucz.

– Pokój Duncana? – zdziwił się Macbeth, obejrzawszy klucz dokładniej.

Jack przerażony aż zasłonił usta ręką.

– Pomyślałem jedynie o tym, że to najlepszy pokój. Ale może woli pan...

– W porządku, Jack. W takim razie będę tuż obok, gdyby coś się działo. Poza tym nie wierzę w duchy. Zresztą, jak wszyscy wiedzą, ze strony ducha Duncana nie mam się czego obawiać.

– No tak, co by to miało być?

– Właśnie. Dobranoc.

Zjawili się natychmiast, gdy tylko zamknął oczy.

Duncan i Malcolm. Ułożyli się pod kołdrą po obu jego stronach.

– Tu nie ma miejsca dla nas wszystkich! – krzyknął Macbeth i kopniakami zwalił ich na podłogę, gdzie przez chwilę syczeli ze złości, po czym rozległ się szelest szczurzych ogonów pod ścianą i obaj zniknęli.

Ale potem otworzyły się drzwi i skradając się, do środka weszli Banquo, Fleance i Duff. Każdy ze sztyletem, gotowym do zadania ciosu.

– Czego chcecie?

– Sprawiedliwej zemsty, przywrócenia snu.

– Ha, ha, ha! – Macbeth, wybuchnąwszy śmiechem, wił się na łóżku. – Jeszcze się nie narodził taki, który mógłby mi zaszkodzić! Jedynie Bertha może mnie wypędzić z gabinetu komendanta policji! Jestem wieczny! Macbeth jest wieczny! Znikajcie, martwi śmiertelnicy!

24

Fred Ziegler ziewnął.

– Przydałaby ci się kawa, Fred – roześmiał się kapitan m/s Glamis. – W taką pogodę nie możemy sobie pozwolić na pilota, który zasypia na stojąco. Powiedz mi, zawsze jesteś taki zmęczony?

– Pracowite dni, mało spania – wyjaśnił Fred. Nie mógł zdradzić kapitanowi, że powodem, dla którego ciągle ziewa, jest lęk. Zaobserwował ten sam objaw strachu u swojego psa, ale na szczęście u ludzi z reguły uznawano ziewanie za objaw czegoś przeciwnego. Całkowitego odprężenia. Znudzenia. Albo po prostu niewyspania.

Kapitan sięgnął po mikrofon interkomu i jego prośba o kawę pobiegła przewodem do kambuza, mijając kolejne pokłady. Bo m/s Glamis był wielkim statkiem. Wysokim statkiem. No właśnie.

Fred Ziegler zdusił kolejne ziewnięcie i zapatrzył się w fiord. Znał tu każdy szkier, każdą mieliznę, każdą zmierzoną głębokość. Każdy najdrobniejszy paragraf w regulaminie dotyczący wchodzenia do portu i wychodzenia w morze. Wiedział, gdzie są morskie prądy, w którym miejscu załamują się fale, gdzie można się schronić przed wiatrem i jak na nabrzeżu ustawione są pachołki cumownicze. Nie to stanowiło problem. Fiord był w porządku. Fred potrafił

wprowadzić do niego statki i wyprowadzić je z zawiązanymi oczami – często tak robił, działał dosłownie na oślep. Problemu nie stanowiła też pogoda, chociaż ostro wiało i szyba, przy której siedzieli, już pobielała od rozbryzgów morskiej wody i soli. Wprowadzał do portu większe i mniejsze jednostki, nawet gdy wiatr osiągał siłę orkanu albo wiał jeszcze mocniej, i nie musiał się oglądać na znaki nawigacyjne czy wbite pale. Nie przerażała go też podróż powrotna na ląd w małej łódeczce, chociaż sterowało się nią równie ciężko jak krową i już przy silniejszej bryzie woda zaczynała się wlewać przez burtę, a przy mocniejszym wietrze łódka kręciła się w kółko, jakby sternik nie potrafił właściwie nakierować jej na fale.

Fred Ziegler ziewał, ponieważ bał się chwili, w której zostanie zwinięta czerwono-biała flaga informująca, że na pokładzie jest pilot, a konkretnie momentu, gdy przyjdzie mu opuścić statek i zejść po bocznym trapie.

Pracował jako pilot od dwunastu lat i ciągle nie mógł się przyzwyczaić do wchodzenia i schodzenia po drabince umieszczonej na burcie statku. Nie bał się wpadnięcia do wody, chociaż miał świadomość, że powinien, ponieważ nie umiał pływać.

Bał się wysokości. Ogarniał go paraliżujący lęk, gdy tak jak teraz mieli wkrótce wypłynąć dostatecznie daleko na pełne morze, a on miał zrobić ten jeden krok w tył i zejść ze statku. Statek był duży i nawet przy tej pogodzie chronił przed wiatrem na tyle, że samo zejście po trapie nie powinno być trudne pod względem technicznym. Chodziło raczej o to, co się widzi lub czego ma się świadomość. Świadomość piętnastu metrów rzadkiego powietrza dzielących go od otchłani. Zawsze tak było i już zawsze miało tak pozostać. Każdy przeklęty dzień pracy wiązał się z piekłem, przez które musiał przebrnąć. Była to pierwsza rzecz, o której myślał, kiedy się budził rano, i ostatnia tuż przed zaśnięciem. Ale co z tego?

Przecież to nic niezwykłego. Gdziekolwiek spojrzał, widział ludzi całe życie pracujących na stanowiskach, do których się nie nadawali.

– Wpływał pan do tego portu już tyle razy, że mógłby pan prosić kapitanat o zezwolenie na wejście bez pilota.

– Bez pilota? – zdumiał się kapitan. – Za nic nie zrezygnowałbym z twojego towarzystwa, Fred. A o co chodzi? Nie lubisz mnie?

Nie lubię twojego statku, pomyślał Fred. Jestem małym człowieczkiem, który nie lubi wysokich statków.

– Poza tym od teraz będziesz mnie już rzadziej widywał – ciągnął kapitan.

– Tak? Dlaczego?

– Za mało towaru do przewozu. W zeszłym roku straciliśmy Graven, kiedy zbankrutowali, a teraz zamknęli też Estex. Mamy na pokładzie ostatnie resztki z magazynu.

Fred rzeczywiście już wcześniej po zanurzeniu statku poznał, że ładunek jest lżejszy niż zazwyczaj.

– Szkoda – powiedział.

– Właściwie może to i lepiej – stwierdził z ponurą miną kapitan. – Świadomość, że wszystkie te trucizny, które woziliśmy przez tyle lat, nasi współmieszkańcy okupili życiem... Uwierz mi, spędzało mi to sen z powiek. A czasami nawet zastanawiałem się, czy tak samo czuli się kapitanowie statków przewożących niewolników. Trzeba być kreatywnym, żeby wymyślić dla siebie dobre usprawiedliwienie. Być może zanim zaczynamy korzystać z naszych wielkich cudownych mózgów, potrafimy odróżnić dobro od zła. Ale mając w głowach takie maszyny, możemy wysnuć piękne przemyślenia, które osobno brzmią całkiem nieźle, a w sumie mogą nas zawieść tam, dokąd chcemy dotrzeć, bez względu na to, o jaką głębię szaleństwa nam chodzi. Nie, Fred, nie będę występować

do kapitanatu o zezwolenie na pływanie po tych niebezpiecznych wodach bez pilota. W środę, kiedy czekaliśmy w kolejce, nagle dostałem od samego szefa portu informację, że mamy pierwszeństwo. Zupełnie za darmo.

– To chyba była miła niespodzianka?

– Owszem, dlatego przyjrzałem się bliżej dokumentom załadunkowym. Okazało się, że wzięliśmy na pokład dwa działka, gatlingi. To zaczyna przypominać czasy Kennetha. Hej, ostrożnie! Chcesz poparzyć naszego pilota?

W chwili, gdy statek uderzył dziobem w falę, mężczyzna w kraciastym stroju pracowników kambuza stracił równowagę i wylał kawę na czarny uniform pilota. Wymamrotał jakieś niewyraźne przeprosiny, bo usta zasłaniała mu broda. Odstawił filiżanki i czym prędzej wyszedł.

– Przykro mi, Fred. Nawet tam, gdzie pół miasta nie ma pracy, trudno znaleźć ludzi, którzy potrafią zachować się na pokładzie. Ten tutaj zgłosił się dziś rano, twierdził, że już wcześniej pracował w kambuzie, ale zgubił wszystkie papiery.

Fred, siorbiąc, wypił łyk kawy.

– Nigdy wcześniej nie był na pokładzie. Kawy też nie umie zaparzyć.

– Wiem, wiem – westchnął kapitan. – Ale jakoś damy radę, płyniemy tylko do Capitolu. No, minęliśmy już Hornholm, więc najgorsze za nami. Zaraz wezwę twoją łódź, a naszego bosmana poproszę, żeby zrzucił trap.

– Tak. Wtedy będziemy już mieli za sobą najgorsze.

Macbeth siedział na krześle w korytarzu i pocierał ręce, wpatrzony w drzwi do apartamentu.

– Co on tam właściwie robi?

– Nie bardzo znam się na psychiatrii – odparł Jack. – Czy mam przynieść więcej kawy, sir?

– Nie, nie, siedź. Ale mówisz, że on jest dobry?

– Tak. Podobno doktor Alsaker jest najlepszy w mieście.

– To dobrze, Jack. Dobrze. Bo to naprawdę straszne. – Macbeth pochylił się i zasłonił rękami twarz. Do wywiadu radiowego została jeszcze godzina. Przed świtem obudziły go krzyki dochodzące z pokoju Lady. A kiedy do niej wbiegł, stała przy łóżku i palcem wskazywała na martwe dziecko.

– Zobacz! – krzyczała. – Zobacz, co zrobiłam!

– Przecież to nie twoja wina, kochana! – Macbeth próbował ją objąć, ale wyrwała mu się i ze szlochem osunęła na kolana.

– Nie nazywaj mnie ukochaną! Mnie nie można kochać! Morderczyni dzieci nie wolno kochać! – Odwróciła się do Macbetha i popatrzyła na niego pociemniałym, oszalałym spojrzeniem. – Nawet morderca dzieci nie może kochać morderczyni dzieci. Wyjdź stąd!

– Połóż się ze mną na chwilę, moja kochana.

– Wyjdź z mojej sypialni i nie dotykaj dziecka!

– To szaleństwo! Ono zostanie dzisiaj spalone!

– Jeśli je dotkniesz, zabiję cię, Macbecie, przysięgam! – Chwyciła ciałko dziecka w objęcia i zaczęła je kołysać.

Przełknął ślinę. Potrzebował porannego zastrzyku.

– Wezmę coś do ubrania i zostawię cię w spokoju. – Podszedł do szafy. Wysunął szufladę. Nie wierzył własnym oczom.

– Bardzo mi przykro, ale się skończyło – powiedziała Lady. – Musisz iść po nowy zapas. Oboje tego potrzebujemy.

Wyszedł z pokoju, ale zamiast iść po power, polecił Jackowi wezwać psychiatrę.

Teraz znów spojrzał na zegarek. Ile czasu mogła zająć naprawa takiego krótkiego spięcia, jakiego najwyraźniej doznała Lady?

Jakby w odpowiedzi drzwi się otworzyły, więc Macbeth poderwał się z krzesła. Z pokoju wyszedł niewysoki mężczyzna z postrzępioną siwą brodą i powiekami, które wydawały się o dwa numery za duże.

– I co? – spytał Macbeth. – Doktorze... hm...

– Doktorze Alsaker – podpowiedział Jack.

– Dałem jej coś na uspokojenie – odparł psychiatra.

– A co jej dolega?

– Trudno stwierdzić.

– Trudno? Podobno pan jest najlepszy.

– Miło mi to słyszeć. Ale nawet najlepsi nie znają wszystkich zakamarków umysłu, proszę pana.

– Musi ją pan uleczyć.

– Jak już mówiłem, przy tak ograniczonej wiedzy o ludzkim umyśle to doprawdy zbyt wiele, prosić, żebym...

– Ja nie proszę, doktorze, ja stawiam ultimatum.

– Ultimatum?

– Jeśli nie przywróci jej pan do normalnego stanu, będę musiał pana ukarać z paragrafu dotyczącego szalbierstwa.

Alsaker spojrzał na niego spod przerośniętych powiek.

– Widzę, że źle pan spał i jest pan wyprowadzony z równowagi, komendancie. Zalecałbym, aby nie szedł pan dzisiaj do pracy, tylko pozostał w domu. A jeśli chodzi o pańską żonę...

– Myli się pan. – Macbeth wyjął sztylet z naramiennej pochwy. – A w obecnym stanie wyjątkowym kara za niewykonywanie swojej pracy bywa surowa.

– Sir... – zaczął Jack.

– Chirurgia – ciągnął Macbeth. – Właśnie tego tu potrzeba i tym zajmuje się prawdziwy medyk – wycinaniem chorej tkanki. Odrzuca myśl o bólu chorego, ponieważ mógłby przez to się zawahać. Niszczy i usuwa niewielką wadę, guz czy gnijącą stopę, aby uratować całość. Guz czy stopa nie są złem samym w sobie, po prostu należy je poświęcić. Czy nie tak, doktorze?

Psychiatra przechylił głowę.

– Jest pan pewien, że to pańską żonę należy zbadać, a nie pana, Macbecie?

– Słyszał pan moje ultimatum.

– Odchodzę. A pan, jeśli musi, niech mi to wbije w plecy.

Macbeth zobaczył, że Alsaker odwraca się do niego tyłem i kieruje w stronę schodów. Spojrzał na sztylet, który trzymał w dłoni. Co on, u diabła, wyczynia?

– Alsaker! – Macbeth ruszył za psychiatrą. Dopędził go i upadł przed nim na kolana. – Bardzo proszę, pan musi, musi jej pomóc! Ona jest dla mnie wszystkim! Muszę ją odzyskać! Pan musi ją odzyskać dla mnie. Zapłacę tyle, ile będzie trzeba.

Alsaker dwoma palcami pogładził bródkę.

– Czy to wywar tych czarownic?

– Power – wyjaśnił krótko Macbeth.

– No tak, oczywiście.

– Pan to zna?

– Pod rozmaitymi nazwami, ale zawarte w nim substancje czynne są te same. Ludzie uważają, że to środek antydepresyjny, ponieważ po pierwszych kilku razach poprawia im się nastrój. Aż w końcu popadają w psychozę.

– Tak. Ona właśnie to zażywa.

– Pytałem o to, co pan bierze, panie Macbecie. I teraz to widzę. Od jak dawna zażywa pan power?

– No cóż...

– Wygląda na to, że niedługo. Najpierw w ruinę obracają się zęby, potem umysł. A z więzienia psychozy niełatwo uciec. Wie pan, jak nazywają ludzi całkowicie uzależnionych od poweru? POW. *Prisoner of war*.

– Proszę posłuchać...

– Jeniec wojenny. Zabawne, prawda?

– Na razie nie jestem jeszcze pańskim pacjentem, doktorze Alsaker. Błagam, żeby pan stąd nie wychodził, dopóki nie zrobi pan wszystkiego, co w pana mocy.

– Obiecuję, że wrócę, ale teraz muszę iść do innych pacjentów.

– Jack – powiedział Macbeth, nie ruszając się z miejsca i nie odrywając oczu od psychiatry.

– Tak, sir?

– Pokaż mu to.

– Ale...

– Wiąże go obowiązek dochowania tajemnicy.

Jack odwinął kawałki płótna z zawiniątka i podsunął je doktorowi. Alsaker cofnął się, zasłaniając ręką usta i nos.

– Ona uważa, że to jej własne – wyjaśnił Macbeth. – Jeśli nie chce pan tego zrobić dla mnie i dla niej, doktorze, to niechże pan to zrobi dla tego miasta.

Macbeth poczuł dziwny ucisk w uszach, gdy drzwi się za nim zamknęły. I pomyślał, że wreszcie znalazł się w domu wariatów. Ściany w niedużym kwadratowym pokoju były obite jakąś miękką materią, wolne od nich pozostawało jedynie niewielkie okienko, przez które obserwowały go trzy osoby.

– Proszę się nie bać – odezwał się siedzący przed nim przy stole mężczyzna. – Zadam tylko kilka pytań. Prędko się z nimi uporamy.

– Nie boję się pytań – odparł Macbeth, zajmując miejsce. – Tylko odpowiedzi.

Muzyka w głośnikach nad okienkiem powoli cichła, mężczyzna z uśmiechem położył palec na ustach w momencie, gdy na ścianie zapaliła się czerwona lampka.

– Tu program „Aktualności", wita państwa prowadzący Walt Kite – powiedział mężczyzna do stojącego przed nim mikrofonu, w charakterystyczny sposób wymawiając „r". – Odwiedził nas nowy ulubieniec naszego miasta, komendant policji Macbeth. Po rozprawieniu się z najbardziej uprzykrzonym w mieście gangiem narkotykowym Norse Riders i podjęciu bez wahania pościgu za jego sprzymierzeńcami, skorumpowanymi policjantami, podbił on serca ludzi i obudził w nich nadzieję inspirującymi przemówieniami, w których między innymi mówił o tym, że stoimy w obliczu nowych czasów. Pan jest komendantem policji, Macbecie, ale czy to nie retoryka stosowana przez polityków?

Macbeth odchrząknął. Czuł, że jest naładowany energią. Jak nowo narodzony. Znów zażył lekarstwo w idealnej dawce.

– Jestem prostym człowiekiem i na retoryce się nie znam, Walt. Powiedziałem po prostu to, co mi leżało na sercu, a mianowicie, że jeśli miasto wykaże się wolą, to ma też odpowiednie mięśnie, które pozwolą mu dźwignąć się z kolan. Lecz żaden komendant policji ani żaden polityk nie zdołają podnieść miasta, muszą to zrobić sami mieszkańcy.

– Mieszkańców można zainspirować, można też nimi pokierować.

– Tak, to oczywiste.

– Już mówi się o panu jako „zadatku na burmistrza". Czy to stanowisko pana interesuje?

– Jestem komendantem policji i pragnę jedynie służyć miastu, wykonując pracę, która została mi wyznaczona.

– A więc pokorny sługa ludu. Pański poprzednik, komendant Duncan, również uważał się za sługę ludu, choć nie aż tak pokornego. Obiecał, że w ciągu roku rozprawi się z najpotężniejszym przestępcą dręczącym miasto, Hekate, nazywanym również Niewidzialną Ręką. Pan już pokonał Norse Ridersów. Jaki termin daje pan sobie na rozprawienie się z Hekate?

– Przede wszystkim istnieje przyczyna, dla której Hekate jest nazywany Niewidzialną Ręką. Wiemy o nim bardzo mało, jedynie to, że prawdopodobnie to on stoi za wytwarzaniem wywaru. Ale zważywszy na wielkość produkcji i dystrybucję tego towaru, równie prawdopodobne jest, że mówimy o całej siatce lub o różnych dostawcach.

– Czy ja dobrze słyszę? Nie zamierza pan nadać pościgowi za Hekate tego samego priorytetu co komendant Duncan?

– Słyszy pan komendanta, który nie zgadza się na poświęcenie wszelkich sił i środków na aresztowania, które być może poskutkują wielkimi tytułami w gazetach, okryją komendanta chwałą i doprowadzą do wznoszenia toastów w ratuszu, ale w rzeczywistości będą miały niewielkie znaczenie dla codziennego życia ludzi. Jeśli nawet złapiemy faceta, który może nazywa się Hekate, inni po prostu przejmą jego miejsce na rynku. Musimy rozprawić się z prawdziwym problemem, który gnębi to miasto.

– Czyli?

– Najważniejsza jest praca, Walt. Trzeba dać ludziom pracę. To najlepszy i najtańszy krok w walce z przestępczością. Można zapełnić więzienia, ale dopóki ludzie wałęsają się po ulicach i nie mają co do garnka włożyć...

– Naprawdę mówi pan tak, jakby zamierzał pan wystartować w wyborach, komendancie.

– Nie obchodzi mnie, jak to brzmi. Chcę po prostu skierować miasto na właściwy kurs.

– I w jaki sposób zamierza pan to zrobić?

– Osiągniemy to, czyniąc z naszego miasta miejsce, w którym dba się zarówno o inwestorów, jak i o pracowników. Inwestorzy nie będą mogli się wymigać od płacenia podatków do wspólnej kasy, nie będą też mogli załatwiać dla siebie korzyści za łapówki. W zamian miasto zapewni im przewidywalność i bezpieczeństwo poprzez trzymanie się ustalonych reguł gry. A pracownicy będą mieć pewność, że wykonują pracę w miejscach, które ich nie trują. Nasz niedawno zmarły kolega i bohater, Banquo, stracił przed laty żonę, bo przez wiele lat musiała wdychać truciznę w fabryce, w której pracowała. Vera była wspaniałą, ciężko pracującą żoną i matką, znałem ją osobiście i kochałem. Jako komendant policji obiecuję mieszkańcom, że żadne z przyszłych miejsc pracy w naszym mieście nie odbierze nam więcej Ver. Są inne sposoby zagwarantowania ludziom pracy. Lepsze. Zapewniające lepsze życie.

Po uśmiechu Walta Kite'a Macbeth poznał, że zaimponował dziennikarzowi. Zaimponował nawet sam sobie. Nigdy dotąd nie miał tak jasnych myśli. To musiało być działanie tego nowego proszku. Power przenosił słowa, takie treściwe i pewne, z mózgu na język.

– Pańska popularność urosła błyskawicznie i gwałtownie, komendancie. Czy to dlatego ośmiela się pan wypowiadać w sposób, który na miejscu burmistrza Tourtella uznałbym za wyzwanie? Burmistrz jest formalnie pańskim zwierzchnikiem i musi zaakceptować pańską kandydaturę na komendanta.

– Podlegam jeszcze innym zwierzchnikom oprócz burmistrza, Walt. Między innymi własnemu sumieniu i ocenie mieszkańców miasta. A dla mnie sumienie i dobro miasta stanowią wartości

nadrzędne wobec wygodnego fotela w gabinecie komendanta policji.

– Za cztery miesiące mamy wybory nowego burmistrza. A termin zgłaszania kandydatur upływa za trzy tygodnie.

– Wierzę, skoro pan tak mówi, Walt.

Walt Kite roześmiał się i machnął ręką nad głową.

– W tym miejscu podziękujemy komendantowi policji Macbethowi, chociaż nie mam pewności, czy mówi prawdę, kiedy twierdzi, że nie ma pojęcia o retoryce polityków. A teraz Miles Davis... – Opuścił rękę, wskazał na okienko. Czerwona lampka zgasła, z głośników popłynęły suche, miękkie dźwięki trąbki.

– Dziękuję. – Kite się uśmiechnął. – „Nikt nie odbierze nam więcej Ver"? Ma pan świadomość, że zostanie pan wybrany na burmistrza już dzięki samemu temu hasłu?

– Dziękuję za wywiad. – Macbeth nie ruszał się z krzesła.

Kite spojrzał na niego pytająco.

– Czy ja się przesłyszałem? – spytał Macbeth, cicho i powoli. – Czy rzeczywiście na końcu zarzucił mi pan kłamstwo?

Dziennikarz zamrugał zdezorientowany.

– Kłamstwo?

– „Nie mam pewności, czy mówi prawdę, kiedy twierdzi..."

– Ach, to... – Grdyka Kite'a wykonała niewielki podskok. – To był oczywiście żart. Taki sposób... mówienia. Tylko...

– Żartowałem. – Macbeth uśmiechnął się i wstał. – Do zobaczenia.

Kiedy wyszedł z radia na deszcz, czuł, że Walt Kite nie będzie już stwarzał problemów.

A kiedy usiadł z tyłu w limuzynie, poczuł, że Obelisk, Duff i choroba Lady również nie będą stwarzać problemów. Bo myślał teraz przytomniej niż kiedykolwiek.

– Jedź trochę wolniej – polecił szoferowi.

Chciał się napawać podróżą przez miasto. Swoje miasto.

Co prawda nie należało jeszcze do niego w pełni, ale już wkrótce miało się to stać. Był niezwyciężony. I zażył idealną dawkę lekarstwa.

Kiedy zatrzymali się na czerwonym świetle, jego spojrzenie padło na mężczyznę, który stał przy przejściu dla pieszych, chociaż miał zielone światło. Górną połowę jego ciała i twarz skrywał duży czarny parasol, więc Macbeth mógł zobaczyć tylko jasny prochowiec, brązowe buty i dużego czarnego psa, którego mężczyzna trzymał na smyczy. Przyszła mu do głowy pewna myśl. Ciekawe, czy pies zastanawia się nad tym, dlaczego jest czyjąś własnością, dlaczego jest na smyczy. Dostaje trochę jedzenia, odmierzoną porcję, akurat tyle, by brał niepewność za pewność, aby był trzymany w szachu. To jedyna rzecz, która powstrzymuje psa przed zaatakowaniem swojego właściciela we śnie, przegryzienia mu gardła i przejęcia panowania nad domem. Bo przecież wystarczy tak zrobić. Kiedy się już zrozumie, w jaki sposób otworzyć drzwi do spiżarni, to w zasadzie jedyna naturalna rzecz.

CZĘŚĆ III

25

– Wełna najwyższej jakości – oznajmił ekspedient, gładząc z czcią materiał wiszącego na wieszaku czarnego garnituru.

Za oknami sklepu z konfekcją padał lekki deszcz, a fale na fiordzie z wolna się uspokajały po sztormowej pogodzie ostatnich dni.

– Co o tym myślisz, Bonus? – spytał Hekate. – Będzie pasował Macbethowi?

– Sądziłem, że wybierze pan smoking, a nie czarny garnitur.

– Jak oczywiście wiesz, w smokingu nie chodzi się do kościoła, a Macbetha czeka w tym tygodniu wiele pogrzebów.

– A więc nie bierze pan dziś żadnego smokingu? – zapytał ekspedient.

– Biorę jedno i drugie, Al.

– Chciałem tylko zwrócić uwagę, że jeśli to uroczyste przyjęcie, najlepszym wyborem byłby frak, sir.

– Dziękuję ci, Al, ale to nie będzie się odbywać na zamku, tylko w naszym miejscowym ratuszu. Co powiesz, Bonus? Czy frak nie byłby nieco zbyt... – Hekate cmoknął – ...zbyt pretensjonalny?

– Zgadzam się – potwierdził Bonus. – Kiedy nuworysze usiłują przebierać się w szaty starych pieniędzy, dopiero wtedy naprawdę wyglądają jak klauni.

– Dobrze, wobec tego czarny garnitur i smoking. Wyślesz krawca do Inverness, Al? Oczywiście zapisz wszystko na moje konto.

– Załatwimy to, sir.

– No i potrzebny nam jeszcze smoking dla tego tu pana.

– Dla mnie? – zdumiał się Bonus. – Ale przecież ja już mam ładny...

– Dziękuję, widziałem go. Uwierz mi, potrzebny ci nowy.

– Naprawdę?

– Twoje stanowisko wymaga nienagannej prezencji, Bonus. A ponadto pracujesz dla mnie.

Bonus nie odpowiedział.

– Przynieś nam prędko jeszcze kilka smokingów, Al.

– Oczywiście. – Ekspedient z obowiązku podbiegł kilka kroków na krzywych nogach do schodów prowadzących do magazynu.

– Wiem, co sobie myślisz – powiedział Hekate. – I przyznaję, że ubieranie was jest formą sprawowania władzy, podobnie jak wówczas, kiedy król ubiera swoich żołnierzy i sługów. Ale co mogę na to poradzić? Podoba mi się to.

Bonus nigdy nie zyskał pewności, czy ukazywane w uśmiechu nienaturalnie białe i równe zęby starego są jego własne. W każdym razie byłaby to dość ekscentryczna proteza, wyposażona została bowiem w trzy duże złote korony.

– A jeśli mówimy o sprawowaniu władzy... – ciągnął Hekate. – Czy ten piękny młody chłopiec, który był na przyjęciu w Inverness, ma na imię Kasi?

– Tak.

– Ile ma lat?

– Piętnaście i pół – odparł Bonus.

– Hm. Młody.

– Wiek to...

– Nie mam żadnych zastrzeżeń moralnych, ale też i nie gustuję w młodych chłopcach tak jak ty, Bonus. Wskazuję jedynie, że jego wiek podpada pod kodeks karny, a to może poważnie zaszkodzić. Ale widzę, że niezbyt odpowiada ci ten temat, zatem go zmieńmy. A więc Lady jest chora?

– Tak mówi psychiatra. Twierdzi, że to głęboka psychoza i może minąć sporo czasu, zanim Lady z tego wyjdzie. Obawia się, że mogą u niej wystąpić tendencje samobójcze.

– Czy lekarzy nie obowiązuje tajemnica zawodowa?

– Doktor Alsaker chyba wkrótce też będzie potrzebował nowego smokingu.

Hekate się roześmiał.

– Po prostu wyślij mi rachunek. Czy on potrafi ją uzdrowić?

– Twierdzi, że bez pobytu w szpitalu to niemożliwe. Ale my chyba tego nie chcemy?

– Zobaczymy, jak się rozwinie sytuacja. Rzeczywiście, raczej powszechnie wiadomo, że Lady jest jednym z najważniejszych doradców komendanta policji. Tak więc niedobrze by się stało, gdyby akurat w tych krytycznych dniach publicznie ogłoszono, że oszalała.

– Psychoza to...

– Słucham?

Bonus przełknął ślinę.

– Nie... nic, nic.

Co takiego miał w sobie Hekate, że Bonus zawsze czuł się przy nim jak niepewny siebie nastolatek? To było coś więcej niż wyższość, jaką daje władza – coś takiego, czego Bonus śmiertelnie się bał, ale czego nie potrafił nawet nazwać. Nie chodziło o to, co widział w oczach Hekate, raczej o to, czego w nich nie widział.

O przerażającą świadomość nicości. Pustki i paraliżującego chłodu nocy.

– Wszystko jedno – powiedział Hekate. – Chciałem porozmawiać o Macbecie. Martwię się o niego. On się zmienił.

– Naprawdę?

– Obawiam się, że wpadł w nałóg. Może to nic dziwnego, przecież to najbardziej uzależniający narkotyk na świecie.

– Power?

– Owszem. Ale nie w postaci proszku. Mam na myśli realną władzę. Po prostu nie przewidziałem, że Macbeth tak prędko się wciągnie. Zdołał już pozbyć się uczuć wiążących go z moralnością i bliźnimi, a władza stała się jego nową i jedyną kochanką. Słuchałeś tego wywiadu w radiu. Bękart chce zostać burmistrzem.

– Ale jako komendant policji ma w praktyce większą władzę...

– Jako komendant policji oczywiście zadba o to, by realna władza wróciła do ratusza, zanim sam zajmie gabinet burmistrza. Wspomnisz moje słowa. Macbeth marzy o przejęciu miasta. Akurat w tej chwili wydaje mu się, że jest niezwyciężony i może sprzeciwić się nawet mnie.

Bonus zdziwiony spojrzał na Hekate, który położył dłonie na rączce laski i przyglądał się własnemu odbiciu.

– Tak, tak, Bonus, powinno być odwrotnie. To ty powinieneś mnie uprzedzić, że Macbeth zamierza mnie zniszczyć. Za to ci płacę. A w tej chwili twój móżdżek flądry zastanawia się, skąd o tym wiem. No dobrze, pytaj.

– Eee... Skąd pan wie?

– Ponieważ powiedział o tym w programie radiowym, którego ty również słuchałeś.

– Przeciwnie, moim zdaniem oznajmił, że polowanie na Hekate nie będzie miało takiego priorytetu jak za czasów Duncana.

– A kiedy ostatnio słyszałeś, żeby ktoś, kto ma ambicje polityczne, informował swoich wyborców przez radio o tym, czego nie zrobi? Mógłby raczej powiedzieć, że rozprawi się z Hekate i zorganizuje nowe stanowiska pracy. Przytomni politycy zawsze obiecują za dużo. Ale to, co mówił Macbeth, nie było przeznaczone dla wyborców, tylko dla mnie, Bonus. Nie musiał, mimo to publicznie padł przede mną plackiem i zaczął merdać ogonem. A właśnie kiedy ludzie merdają ogonem, trzeba się pilnować.

– Sądzi pan, że chce zdobyć pańskie zaufanie... – Bonus spojrzał na Hekate, aby się upewnić, czy wpadł na właściwy trop – ...ponieważ ma nadzieję, że dzięki temu straci pan czujność, dopuści pan go do siebie i pozwoli, żeby się pana pozbył?

Hekate wyrwał czarny włosek z brodawki na policzku i teraz uważnie mu się przyglądał.

– Oczywiście, mógłbym rozgnieść Macbetha obcasem. Ale wiele zainwestowałem w to, żeby umieścić go tam, gdzie jest teraz, a doprawdy, Bonus, nienawidzę nietrafionych inwestycji. Dlatego życzę sobie, żebyś miał oczy i uszy otwarte. Musisz poznać jego plan. – Hekate rozłożył ręce. – Ach, zobacz, jest już Al z kolejnymi smokingami. Znajdźmy coś, co będzie pasowało na twoje długie macki.

Bonus przełknął ślinę.

– A jeśli nie zdołam się tego dowiedzieć?

– To nie będziesz mi już potrzebny.

Zostało to powiedziane w sposób prosty i lekki, a na dodatek okraszony uśmiechem. Bonus usiłował dojrzeć, co się za nim kryje. Ale znalazł tylko nicość. Mrok i chłód.

* * *

– Patrz na zegarek! – nakazał doktor Alsaker, wprawiając w wahadłowy ruch zegarek na łańcuszku, który trzymał przy twarzy pacjentki. – Jesteś rozluźniona, twoje ręce i nogi stają się coraz cięższe, ogarnia cię senność, zasypiasz. Zbudzisz się dopiero wówczas, gdy powiem „kasztany".

Pacjentka z łatwością ulegała hipnozie. Z taką łatwością, że Alsaker już kilka razy sprawdzał, czy nie symuluje. Za każdym razem, gdy doktor przybywał do Inverness, recepcjonista Jack prowadził go do apartamentu, gdzie czekała już w szlafroku, ponieważ odmawiała ubrania się w cokolwiek innego. Dłonie miała czerwone od codziennego szorowania – odczuwała taki przymus i chociaż twierdziła, że niczego nie zażywa, Alsaker po jej źrenicach poznawał, że jest pod wpływem jakiegoś narkotyku. Niestety, nie zgodzono się na zamknięcie pacjentki na oddziale psychiatrycznym, gdzie mógłby kontrolować zażywane przez nią leki, jej sen i posiłki, a także na bieżąco obserwować jej zachowanie.

– Zacznijmy od tego, na czym skończyliśmy ostatnio. – Alsaker zajrzał do notatek, chociaż wcale ich nie potrzebował, bo szczegóły były drastyczne do tego stopnia, że dobrze wryły mu się w pamięć. Potrzebował natomiast tych zapisków, aby móc wierzyć w to, co pacjentka mu opowiedziała. W pierwszych linijkach nie było nic niezwykłego, brzmiały raczej jak refren powtarzany w związku z wieloma podobnymi przypadkami w tym mieście. – Bezrobotny, zapijaczony ojciec i depresyjna, skłonna do przemocy matka. Dorastałaś nad rzeką, w domu, który nazywasz ruderą albo szczurzą norą. Dosłownie. Opowiedziałaś mi o jednym ze swoich pierwszych wspomnień: patrzyłaś, jak o zachodzie słońca szczury płyną w stronę waszego domu, i wierzyłaś, że to ich dom, że śpisz w szczurzym łóżku, że zjadacie szczurom jedzenie, rozumiałaś, dlaczego wchodzą pod kołdrę i cię gryzą.

Jej głos zabrzmiał miękko i cicho:

– One tylko przychodziły po swoje.

– To samo mówił twój ojciec, kiedy kładł się do twojego łóżka.

– On też tylko przychodził po swoje.

Alsaker przebiegł wzrokiem po notatkach. Nie była to pierwsza historia molestowanej dziewczynki, ale niektóre szczegóły działały... frustrująco.

– Zaszłaś w ciążę, kiedy miałaś trzynaście lat, i urodziłaś dziecko. Matka nazwała cię dziwką. Kazała ci wrzucić bękarta do rzeki, ale się nie zgodziłaś.

– Chciałam mieć coś swojego.

– Wypędzono cię więc z domu razem z dzieckiem i już tę noc spędziłaś u pierwszego mężczyzny, na którego się natknęłaś.

– Najpierw powiedział, że zabije dziecko, jeśli nie przestanie płakać, więc wzięłam je do łóżka. Ale wtedy on stwierdził, że dziecko nie pozwala mu się skupić, bo patrzy.

– Kiedy zasnął, ukradłaś mu pieniądze z kieszeni i jedzenie z kuchni.

– Wzięłam tylko swoje.

– A co jest twoje?

– To, co mają wszyscy inni.

– I co było później?

– Rzeka wyschła.

– Przestań, Lady. Co się wydarzyło potem?

– Zbudowano więcej fabryk. Do miasta zjechało się wielu robotników. Zarabiałam trochę lepiej. Przyszła do mnie matka z wiadomością, że ojciec nie żyje. Umarł na płuca. To bolesna śmierć. Powiedziałam, że żałuję, że mnie przy tym nie było i nie mogłam tego zobaczyć.

– Nie obchodź tego, Lady, wejdź w sam środek. Co się stało z dzieckiem?

– Widział pan, jak twarze niemowląt potrafią się zmienić niemal z dnia na dzień? Nagle ono miało jego twarz.

– Twarz twojego ojca?

– Tak.

– I co wtedy zrobiłaś?

– Dałam mu więcej mleka niż zwykle. Uśmiechało się do mnie, zanim zasnęło. A potem rozbiłam jego główkę o mur. Wie pan, jak łatwo rozbić taką główkę? Jak kruche jest ludzkie życie?

Alsaker przełknął ślinę i odchrząknął.

– Zrobiłaś to, ponieważ twarz dziecka upodobniła się do twarzy twojego ojca?

– Nie. Ale wreszcie to się stało możliwe.

– Czyli nosiłaś się z tym zamiarem już od pewnego czasu?

– Tak, oczywiście.

– Możesz mi wyjaśnić, dlaczego to takie oczywiste?

Przez chwilę milczała. Alsaker dostrzegł nagłe drgnięcie jej źrenic i z czymś mu się to skojarzyło. Z żabim skrzekiem. Z kijanką, która usiłuje się wyrwać z lepkiego jajeczka.

– Jeśli chcesz osiągnąć swoje cele, musisz umieć zrezygnować z tego, kogo kochasz. Jeśli ten, z którym wspinasz się na szczyt, osłabnie, musisz albo nakłonić go do tego, by dał z siebie wszystko, albo przeciąć linę.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Bo jeśli on spadnie, pociągnie w przepaść was obu. A jeśli chcesz przeżyć, to twoja ręka musi zrobić to, przed czym wzbrania się serce.

– Zabić tego, kogo kochasz?

– Tak jak Abraham złożył w ofierze swego syna Izaaka. Niech popłynie krew, amen.

Alsaker wzdrygnął się, ale zanotował te słowa.

– Co właściwie jest na tym szczycie? Do czego musisz dotrzeć?

– Na szczycie jest szczyt. Po prostu jest się na szczycie. Wyżej niż wszystko i wszyscy.

– Trzeba tam iść?

– Nie, oczywiście, można pełzać po nizinach. Po wysypisku śmieci, w mule rzecznym. Ale kiedy człowiek już raz zacznie się wspinać, jest za późno. Wówczas nie ma drogi odwrotu. Zostają tylko albo szczyt, albo przepaść.

Alsaker odłożył pióro.

– I dla osiągnięcia tego szczytu jesteś skłonna poświęcić wszystko, również to, co kochasz. Czy przetrwanie góruje nad miłością?

– Naturalnie. Ale ostatnio zrozumiałam też, że człowiek nie może żyć bez miłości. Dlatego całe to moje przetrwanie stanie się moją śmiercią, doktorze.

Jej spojrzenie nabrało nagle całkiem przytomnego wyrazu i Alsakerowi przemknęło przez myśl, że może to wcale nie psychoza. Ale, rzecz jasna, było to jedynie działanie hipnozy, które wyrwało Lady na krótko z tego stanu. Alsaker już wcześniej nieraz miał okazję obserwować, jak pacjent pogrążony w ciężkiej psychozie lub depresji pozornie się budzi, niczym tonący, który ogromnym wysiłkiem woli zdołał wydostać się z głębi – co oczywiście budziło nadzieję zarówno w bliskich pacjenta, jak i w samym lekarzu, doświadczonym psychiatrze – jak utrzymuje się przez kilka dni na powierzchni, aż w końcu ostatnie resztki woli poświęca na zrealizowanie tego, czym wcześniej groził, lub po prostu zapada się z powrotem w mrok, z którego przybył. Ale to z pewnością była

tylko kwestia hipnozy, bo błona żabiego skrzeku znów nasunęła się na oczy kobiety.

– W tej gazecie napisali, że po twoim wywiadzie w radiu wszyscy już tylko czekają, aż zgłosisz swoją kandydaturę na burmistrza – odezwał się Seyton, który rozłożył dziennik na niskim stoliku, żeby spadały na niego kawałki obcinanych paznokci.

– Niech sobie piszą. – Macbeth spojrzał na zegarek. – Tourtell powinien tu być już dziesięć minut temu.

– No ale zrobisz to, mistrzu? – Rozległ się wyraźny trzask, gdy długi, ostro zakończony paznokieć palca wskazującego został skrócony.

Macbeth wzruszył ramionami.

– To pomysł z rodzaju tych, które muszą dojrzeć. Kto wie, może kiedy wszystko sobie przemyślę, będzie to wyglądało inaczej.

Uchyliły się drzwi. W wąskiej szparze ukazała się śliczna, przesadnie umalowana twarz Priscilli.

– On już tu jest, sir.

– Dobrze, wpuść go. – Macbeth wstał. – I przynieś nam kawę.

Priscilla uśmiechnęła się szeroko, aż jej oczy zniknęły w pucołowatych policzkach, i sama również zniknęła.

– Czy mam... – Seyton poruszył się tak, jakby chciał się podnieść z kanapy.

– Zostajesz – polecił Macbeth.

Seyton wrócił do obcinania paznokci.

– Ale na stojąco.

Seyton wstał.

Drzwi otworzyły się na oścież.

– Macbeth, mój przyjacielu! – zagrzmiał Tourtell, a Macbeth zadał sobie pytanie, czy drzwi są dość szerokie, żeby burmistrz się w nich zmieścił. I czy jego własne żebra są dostatecznie wytrzymałe, kiedy

Tourtell walnął go tłustą ręką w plecy. – Naprawdę szybko pan działa, Macbecie.

– Dziękuję. I zapraszam.

Tourtell lekko skinął głową Seytonowi i usiadł.

– Dziękuję. Dziękuję też, że komendant policji zgodził się mnie przyjąć tak prędko.

– Jest pan moim pracodawcą, Tourtell, więc to raczej ja powinienem czuć się zaszczycony, że chce mi pan poświęcić swój czas. Zwłaszcza że to pan przyszedł do mnie, a nie ja do pana.

– To drobiazg. Nie lubię wywoływać w ludziach uczucia, że zostali wezwani na dywanik.

– Czy właśnie tak mam to rozumieć? – spytał Macbeth.

Burmistrz się roześmiał.

– Ależ skąd! Chciałem po prostu zobaczyć, jak idzie, czy pan sobie radzi. Chodzi mi o to, że to jednak znaczny awans. A biorąc pod uwagę wszystko, co wydarzyło się w ostatnich dniach... – Tourtell przewrócił oczami. – Każdemu może się pomieszać w głowie.

– Chce pan powiedzieć, że właśnie to się stało? Pomieszało mi się w głowie?

– Nie, nie, nie! Uważam, że radzi sobie pan dobrze ponad wszelkie oczekiwania. Przecież mimo wszystko jest pan nowy w tej grze.

– Nowy w grze.

– Tak, rzeczy dzieją się trochę zbyt szybko. Trzeba reagować błyskawicznie. Wypowiadać się. A wówczas zdarza się, że człowiek coś palnie, chociaż w gruncie rzeczy wcale tak nie myśli.

Weszła Priscilla, postawiła na stole tacę z kawą, nalała, po czym absurdalnie dygnęła i wyszła.

Macbeth wypił łyk kawy.

– Hm... Ma pan na myśli ten wywiad w radiu?

Tourtell sięgnął po cukierniczkę, wziął trzy kostki cukru i jedną wsunął do ust.

– Część pańskich słów mogła zostać zrozumiana jako krytyka pod adresem Rady Miasta i moim. Oczywiście bardzo sobie cenimy komendanta policji, który mówi jasno i wprost. Nikt nie ma zamiaru zakładać nikomu kagańca. Pytanie tylko, czy ta krytyka nie zabrzmiała ostrzej, niż to było zamierzone. Jak pan sądzi?

Macbeth wsunął palec pod brodę i zrobił zamyśloną minę.

– Dla mnie nie było w tym przesadnej ostrości, panie burmistrzu.

– Tak właśnie sobie myślałem. Pan wcale nie zamierzał być ostry! Przecież obaj chcemy tego samego: dobra miasta. Chcemy, żeby koła wreszcie zaczęły się kręcić, żeby spadło bezrobocie. Z doświadczenia wiadomo, że niższe bezrobocie oznacza spadek przestępczości i zmniejszone zainteresowanie narkotykami, co z kolei skutkuje mniejszą liczbą przestępstw z chęci zysku. Wkrótce kolejki do więzień zdecydowanie się skrócą i wszyscy zaczną zadawać sobie pytanie, w jaki sposób komendant Macbeth zdołał osiągnąć to, czego nie był w stanie zrobić żaden z jego poprzedników. Jak pan wie, stanowisko burmistrza można piastować jedynie przez dwie kadencje, więc kiedy zostanę ponownie wybrany, na co mam nadzieję, i zakończę swoją drugą kadencję, ktoś inny będzie musiał przejąć po mnie schedę. A wówczas mieszkańcy naszego miasta być może uznają, że człowiekiem, którego potrzebują, jest właśnie ktoś, kto osiągnął tak świetne wyniki, jak komendant policji.

– Jeszcze kawy? – Macbeth dolał Tourtellowi do już i tak pełnej filiżanki. Kawa przelała się przez rant i spłynęła na spodeczek. – Wie pan, co mawiał mój przyjaciel Banquo, panie burmistrzu? Całuj dziewczynę, dopóki jest zakochana.

– I co to ma znaczyć? – Tourtell wpatrywał się w zalany spodeczek.

– Że uczucia są zmienne. Miasto kocha mnie w tej chwili. A cztery lata to długi okres.

– Może i tak. Ale trzeba sobie wybierać wojny. Pan musi teraz dokonać wyboru: rzucić wyzwanie sprawującemu urząd burmistrzowi – co, patrząc z perspektywy historycznej, rzadko prowadzi do zwycięstwa – czy raczej odczekać cztery lata i uzyskać w walce wyborczej wsparcie odchodzącego burmistrza – co, patrząc z perspektywy historycznej, prowadzi do zwycięstwa bardzo często.

– Złożenie takiej obietnicy kosztuje bardzo niewiele, a jej złamanie jeszcze mniej.

Tourtell pokręcił głową.

– Swoje długie życie polityczne oparłem na strategicznych sojuszach i współpracy. Kenneth zatroszczył się o zapewnienie komendantowi policji na tyle rozszerzonych pełnomocnictw, że jako burmistrz byłem – i jestem – całkowicie uzależniony od dobrej woli komendanta. Niech pan mi wierzy, wiem, że złamanie obietnicy będzie mnie drogo kosztowało. Jest pan człowiekiem inteligentnym i szybko się pan uczy, Macbecie. Ale brak panu doświadczenia w tej skomplikowanej taktycznej grze, która nazywa się polityka. Chwilowa popularność i kilka godnych zacytowania wypowiedzi w radiu nie wystarczą. Samo moje wsparcie to również za mało, ale dzięki niemu osiągnie pan więcej, niż gdyby działał pan w pojedynkę.

– Nie przyszedłby pan tu, żeby mnie przekonywać do rezygnacji z kandydowania w najbliższych wyborach, gdyby nie uważał mnie pan za człowieka, który może panu poważnie zagrozić.

– Tak pan sądzi, ponieważ na razie za mało zna się pan na polityce, żeby zobaczyć szerszą perspektywę. A szeroka perspektywa wygląda tak, że jeśli przez następne cztery lata ja pozostanę burmistrzem, a pan komendantem policji, w mieście

pojawi się problem, bo dwaj najpotężniejsi ludzie na szczytach władzy będą mieli za sobą niszczącą walkę wyborczą, która utrudni im dalszą współpracę. Uniemożliwi to również późniejsze wspieranie pańskiej kandydatury, to z pewnością pan rozumie.

To z pewnością pan rozumie. Delikatna pogarda. Macbeth już otworzył usta, żeby zaprotestować, ale myśl, która miała nadać kształt słowom, jakby się nie pojawiła.

– Pozwoli pan złożyć sobie propozycję – ciągnął Tourtell. – Nie będzie pan kandydował w wyborach, a w zamian za to nie będzie pan musiał czekać na moje poparcie aż cztery lata.

– Doprawdy?

– Owszem. W dniu, w którym schwyta pan Hekate – co będzie wielkim zwycięstwem nas obu – wystąpię publicznie i powiem, że mam nadzieję, iż w kolejnych wyborach zostanie pan moim następcą. Co pan na to, Macbecie?

– Przecież powiedziałem w radiu, że Hekate nie jest naszym głównym celem.

– Słyszałem. I odebrałem to tak, że nie chce pan czuć presji, jaką sobie i całej policji narzucił Duncan, składając tamte pełne nadziei i stanowczo zbyt konkretne obietnice. Jeśli teraz schwytacie Hekate, będzie to dla pana po prostu wielki bonus, bo właśnie to miał pan na myśli, czyż nie tak?

– Oczywiście – przyznał Macbeth. – Hekate rzeczywiście trudno dopaść, ale gdyby nadarzyła się okazja...

– Moje doświadczenie mówi, że okazje niestety się nie nadarzają – oświadczył Tourtell. – Przeciwnie, trzeba je stwarzać, a następnie wykorzystywać. Jaki jest więc pański plan w związku z Hekate?

Macbeth kaszlnął. W palcach obracał filiżankę. Usiłował zebrać myśli. Zorientował się, że ma z tym problemy, jakby nagle wszystkiego było za dużo. Jakby za dużo piłek należało utrzymać

w powietrzu. A gdy już jedna upadła, to spadały wszystkie i żonglowanie należało zaczynać od nowa. Czyżby wziął za dużo poweru? A może za mało? Spojrzał na Seytona, który usiadł przy niskim stoliku. Od niego nie uzyska żadnej pomocy. To oczywiste. Tylko ona może mu pomóc. Lady. Musi skończyć z narkotykami i po prostu z nią rozmawiać. Tylko ona jest w stanie zdmuchnąć mgłę. Uporządkować i posortować jego myśli.

– Chcę go zwabić w pułapkę – odpowiedział Tourtellowi.

– Jaką?

– Nie ustaliliśmy jeszcze szczegółów.

– Rozmawiamy o wrogu miasta numer jeden, więc pragnąłbym otrzymywać informacje na bieżąco. – Tourtell podniósł się z miejsca. – Może przedstawiłby mi pan zarys planu na jutrzejszym pogrzebie Duncana? Wraz ze swoją decyzją dotyczącą kandydowania w wyborach.

Macbeth uścisnął wyciągniętą rękę Tourtella, nie wstając z krzesła. Burmistrz ruchem głowy wskazał na ścianę za plecami Macbetha.

– Zawsze podobał mi się ten obraz. Sam trafię do wyjścia.

Macbeth długo za nim patrzył. Tourtell z każdym kolejnym spotkaniem wydawał się większy. Nie tknął kawy. Macbeth obrócił się na krześle, żeby spojrzeć na wiszący za nim obraz. Obraz z szeroką perspektywą. Duże malowidło przedstawiało mężczyznę i kobietę w robotniczych strojach, trzymali się za ręce, za nimi maszerował pochód dzieci, a na jeszcze dalszym planie wschodziło słońce. Prawdopodobnie obraz powiesił Duncan. Wcześniej Kenneth miał tu, zdaje się, własny portret. Macbeth przechylił głowę, ale nie bardzo pojmował, jak należy to rozumieć.

– Powiedz mi, Seyton, co o tym myślisz?

– Co ja myślę? Do diabła z Tourtellem! Ty jesteś bardziej popularny wśród ludzi, mistrzu.

Macbeth pokiwał głową. Seyton był taki sam jak on. Brakowało mu umiejętności spojrzenia z szerszej perspektywy. Miała ją tylko ona.

Lady zamknęła się w pokoju na klucz.

– Muszę z tobą porozmawiać! – zawołał Macbeth.

Bez odpowiedzi.

– Kochana!

– Chodzi o dziecko – wyjaśnił Jack.

Macbeth odwrócił się do niego.

– Odebrałem jej to niemowlę. Zaczęło już cuchnąć i nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić. Lady sądzi, że to na pańskie polecenie.

– Dobrze, Jack. Ale potrzebuję jej rady w pewnej sprawie i... No tak.

– W tym stanie, w jakim się teraz znajduje, Lady nie udzieli panu żadnej rady. Czy wolno mi spytać... Nie, nie, przepraszam, zapomniałem się. Pan nie jest Lady, sir.

– Wziąłeś mnie za Lady?

– Nie, ja tylko... Lady czasami zwierza mi się ze swoich myśli i wówczas staram się jej pomóc jak potrafię. Wprawdzie nie mam zbyt wielu dobrych rad, ale nieraz już samo powiedzenie czegoś na głos w obecności kogoś innego rozjaśnia w głowie.

– Hm... Napijmy się kawy, Jack.

– Zaraz przyniosę, sir.

Macbeth wszedł na galerię. Z góry zajrzał do salonu gier. Kolejny spokojny wieczór. Nie zauważył żadnej znajomej twarzy. Gdzie się podziały?

– W Obelisku. – Jack podał Macbethowi filiżankę parującej kawy.

– Słucham?

– Nasi stali goście. Są teraz w Obelisku. Nad tym się pan zastanawiał, prawda?

– Możliwe.

– Byłem wczoraj w Obelisku i naliczyłem ich pięciu. Z dwoma rozmawiałem. Okazuje się, że nie tylko my szpiegujemy Obelisk, oni też przysyłają do nas swoich ludzi. Zorientowali się, kto do nas stale przychodzi, i zaproponowali im lepszy układ u siebie.

– Lepszy układ?

– Kredyt.

– To nielegalne.

– Oczywiście nieoficjalnie. Nie zostanie to zaksięgowane, a gdyby ktoś spytał właścicieli, zaprzeczą.

– Wobec tego my też musimy zacząć proponować to samo.

– Obawiam się, że problem sięga głębiej, sir. Widzi pan, jak niewiele osób jest w barze? A w Obelisku ustawia się kolejka. Piwo i drinki kosztują o trzydzieści procent mniej, a to nie tylko zwiększa liczbę gości i obroty w barze, ale też ludzie grają śmielej.

– Lady uważała, że musimy dążyć do czegoś innego, być atrakcyjni dla klientów, którzy bardziej cenią sobie jakość.

– Bywalców kasyn w naszym mieście można z grubsza podzielić na trzy grupy, sir. Są zwykli hazardziści, których nie obchodzi jakość dywanów ani drogi koniak. Im zależy na skutecznym krupierze, na stoliku do pokera z wieśniakami, którzy przyjechali do miasta na wycieczkę i dadzą się łatwo oszukać, oraz – jeśli to możliwe – na kredycie. Tę grupę ma Obelisk. No i są też wspomniani wieśniacy bawiący w mieście, którzy dawniej przychodzili tu, do Inverness, bo mieliśmy opinię prawdziwego kasyna. Ale już się zorientowali, że wolą prostą, weselszą i bardziej grzeszną atmosferę Obelisku. To ludzie bardziej skłonni iść na bingo niż do opery.

– A my jesteśmy operą?

– Im chodzi o tanie piwo, tanie kobiety. Inaczej jaki sens ma wyprawa do miasta?

– A ostatnia grupa?

Jack wskazał na salę.

– Mieszkańcy zachodnich dzielnic. Ci, którzy nie chcą mieszać się z plebsem. Ostatni wierni nam klienci. Na razie. Bo Obelisk w nowym roku planuje otwarcie drugiego salonu gier, w którym będą obowiązywać odpowiednie stroje i wyższe minimalne stawki, a w barze znajdą się droższe marki koniaku.

– Hm. Więc co według ciebie powinniśmy zrobić?

– Według mnie? – Jack się roześmiał. – Ja jestem tylko recepcjonistą, sir.

– I krupierem. – Macbeth spojrzał na stolik do blackjacka, przy którym Lady, Jack i on spotkali się po raz pierwszy. – Pozwól, że spytam cię o radę, Jack.

– Krupier jedynie sprawdza, czy ludzie właściwie obstawiają, sir. Nigdy nie doradza.

– W porządku, wobec tego tylko mnie wysłuchaj. Tourtell przyszedł mi powiedzieć, że nie życzy sobie, abym startował w wyborach na nowego burmistrza.

– Miał pan taki zamiar, sir?

– Nie wiem. Pewnie taka myśl przyszła mi do głowy i ją odpędziłem. Ale potem znów wróciła. Zwłaszcza kiedy Tourtell z taką pogardą chciał mi wytłumaczyć, o co właściwie chodzi w polityce. Co o tym sądzisz?

– O, jestem pewien, że byłby pan wspaniałym burmistrzem. Proszę pomyśleć, ile mógłby pan razem z Lady zdziałać dla miasta!

Macbeth patrzył na rozpromienioną twarz Jacka, na jego szczerą radość i naiwny optymizm. Niczym lustrzane odbicie człowieka,

którym sam kiedyś był. I nagle przyszła mu do głowy dziwna myśl: że chciałby być Jackiem, recepcjonistą.

– Ale mogę na tym również wiele stracić – zauważył. – Jeśli teraz nie będę kandydował, Tourtell poprze mnie w następnych wyborach. No i miał rację, mówiąc, że sprawujący urząd burmistrz niemal zawsze zostaje wybrany na drugą kadencję.

– Hm. – Jack podrapał się w głowę. – Chyba że tuż przed wyborami wybuchnie jakiś skandal. Skandal, który tak pogrąży Tourtella, że miasto nie będzie mogło mu pozwolić na dalsze sprawowanie funkcji.

– O czym myślisz?

– Lady prosiła mnie, żebym zainteresował się trochę tym chłopakiem, którego Tourtell przyprowadził na przyjęcie. Według moich źródeł żona Tourtella przeniosła się do letniego domu w Fife, a ten chłopak sprowadził się do burmistrza. Jest małoletni, że tak powiem. Potrzeba nam konkretnych dowodów na wykorzystanie seksualne. Świadków. Na przykład pracowników zatrudnionych w domu burmistrza.

– Ależ, Jack, to przecież fantastyczne! – Podniecenie na myśl o przygwożdżeniu Tourtella aż rozgrzało Macbethowi policzki. – Zdobędziemy te dowody. A potem nakłonię Kite'a do zorganizowania debaty przedwyborczej na żywo, podczas której rzucę ten niemoralny związek Tourtellowi prosto w twarz, na co on nie będzie przygotowany. Co ty na to?

– Być może.

– Być może? Masz jakieś wątpliwości?

– Myślę tylko o tym, sir, że pan sam jako piętnastolatek wprowadził się do domu bezdzietnego mężczyzny. Burmistrz zatem będzie mógł odparować takim samym ciosem.

Macbeth poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

– Co? Że niby ja i Banquo...

– Tourtell się nie zawaha, jeśli pan pierwszy rzuci kamieniem, sir. W miłości i w polityce dozwolone są wszystkie chwyty. Przy tym źle by się stało, gdyby wyglądało na to, że wykorzystał pan stanowisko komendanta policji do grzebania w prywatnym życiu Tourtella.

– Hm, masz rację. Więc jak byś to załatwił?

– Pozwoli pan, że przez chwilę się zastanowię. – Jack wypił łyk kawy. Potem jeszcze jeden. Wreszcie odstawił filiżankę na stolik. – Informacja o chłopaku musiałaby w takim razie wyciec okrężną drogą. Ale dopóki będzie pan kontrkandydatem Tourtella, i tak nie uniknie pan podejrzeń o to, że jest pan jej źródłem. Przeciek musiałby więc nastąpić, zanim pan zgłosi swoją kandydaturę. Aby mieć pewność, że nikt pana z tym nie powiąże, powinien pan ogłosić, że nie zamierza kandydować w wyborach, przynajmniej w tych najbliższych, ponieważ najpierw musi pan wypełnić zadania komendanta policji. A potem, kiedy już skandal zdyskwalifikuje Tourtella, z pewną niechęcią będzie pan mógł oznajmić, że w tej trudnej sytuacji oddaje się miastu do dyspozycji, skoro w tak krótkim terminie trzeba wybrać nowe władze. Gdy dziennikarze zaczną pytać, będzie pan odmawiał komentowania skandalu związanego z Tourtellem, pokaże pan, że wznosi się ponad takie brudy, a skupia jedynie na mieście i na tym, co należy zrobić, żeby... hm... W wywiadzie w radiu użył pan takiego świetnego określenia, sir. Jak to szło?

– Skierować miasto na właściwy kurs – powiedział Macbeth. – Rozumiem już, dlaczego Lady korzysta z twoich rad, Jack.

– Dziękuję, sir, ale proszę mnie nie przeceniać.

– Daleko mi do tego. Muszę jednak przyznać, że potrafisz patrzeć na te sprawy z niezwykłą wnikliwością.

– Możliwe, że łatwiej być krupierem i obserwatorem niż graczem, zważywszy na całe ryzyko i silne emocje, jakie się z tym wiążą, sir.

– Moim zdaniem jesteś znakomitym krupierem, Jack.

– Jako krupier poradziłbym panu uważniejsze studiowanie kart, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie da się ich rozegrać jeszcze lepiej.

– To znaczy?

– Tourtell obiecał panu poparcie przy następnych wyborach, jeśli nie zgłosi pan teraz swojej kandydatury. Ale to poparcie będzie niewiele warte, kiedy zostaną ujawnione jego pedofilskie skłonności, mam rację?

Macbeth pogładził się po brodzie.

– Owszem.

– A więc już w tej chwili powinien pan go poprosić o inną przysługę. Niech pan mu powie, że nie ma pan pewności nawet co do tego, czy będzie pan kandydował za cztery lata, i dlatego woli pan coś konkretniejszego – coś, co Tourtell może panu dać od razu.

– Mianowicie?

– A czego pan pragnie?

– Czego ja... – Macbeth zobaczył, że Jack wskazuje ruchem głowy na salon gier. – Hm. Więcej gości?

– Właśnie. Gości Obelisku. Ale jako komendant policji nie ma pan odpowiednich uprawnień do zamknięcia tamtego kasyna, nawet gdyby poszlaki wskazywały na udzielane tam nielegalnie kredyty.

– Nie mam?

– Jestem krupierem i przypadkiem wiem, że policja może oskarżyć wyłącznie pojedyncze osoby. Zamknąć kasyno władna jest jedynie komisja do spraw gier hazardowych i kasyn, sir. A ta komisja podlega...

– Ratuszowi. Tourtellowi.

Macbeth widział to teraz wyraźnie. Nie potrzebował poweru. Spuści w toalecie to, co mu jeszcze zostało.

Gdzieś zadźwięczał dzwonek.

– Zdaje się, że mamy jakichś gości w recepcji, sir. – Jack wstał.

Macbeth chwycił go za ramię.

– Zaczekaj tylko, aż Lady się dowie, co wymyśliliśmy. Jestem pewien, że od razu jej się polepszy. Jak zdołamy ci się odwdzięczyć, Jack?

– Nie trzeba. – Jack uśmiechnął się krzywo. – Wystarczy, że uratowaliście mi życie.

26

Duff przełknął mdłości wywołane chorobą morską. Był to już jego czwarty dzień na pokładzie, ale na razie nie dało się zauważyć żadnych oznak poprawy. Jedną rzeczą było kołysanie, zupełnie inną duchota panująca w kambuzie. Tu, za wahadłowymi drzwiami, wyczuwało się woń zjełczałego tłuszczu i skwaśniałego mleka, a po drugiej stronie, w mesie, gdzie jedli marynarze – zapach potu i tytoniu. Steward pozostawił śniadanie w gestii Duffa. Stwierdził, że Duff przynajmniej z tym musi poradzić sobie sam, przecież wystarczy tylko wyłożyć produkty do kanapek, usmażyć jajecznicę i ugotować kawę, nic trudnego nawet dla cierpiącego na chorobę morską jungi, który pierwszy raz znalazł się na morzu.

Zbudzono go o szóstej. Natychmiast zwymiotował do wiadra stojącego przy koi. Jeszcze nie spędził dwóch nocy w tej samej kajucie, bo brak miejsc do spania na statku zmuszał go do korzystania z łóżek tych, którzy w danej chwili mieli wachtę. Na szczęście przypadały mu tylko dolne koje, więc przynajmniej nie

musiał rzygać pod siebie. Zdążył wciągnąć przez głowę sweter, gdy pojawiła się następna fala mdłości. Po drodze do kambuza musiał zrobić sobie kolejne przerwy na wymioty, zarówno w kiblu obok kajuty sternika, jak i przy zlewie przed ostatnimi stromymi schodami.

Zdołał jakoś przyszykować śniadanie i ci członkowie załogi, którzy szli na wachtę, najwyraźniej już je pochłonęli. Nadeszła pora sprzątania przed przygotowywaniem lunchu.

Duff trzykrotnie głęboko zaczerpnął powietrza wątpliwej jakości, po czym wstał i wyszedł do mesy.

Przy najbliższym stoliku siedziały cztery osoby. Akurat głośno perorował mechanik z lekką nadwagą i owłosionymi przedramionami, w koszulce z napisem *Esso*, wybrudzonej smarem i z plamami potu pod pachami. Na głowie miał bejsbolówkę w tygrysie paski z napisem *Hull City AFC*. Rozpoczynając i kończąc każdą wypowiedź, wydawał z siebie prychnięcia niczym cudzysłowy. To, co znajdowało się między cudzysłowami, bez wyjątku atakowało tych, którzy stali w hierarchii niżej od niego.

– Hej, Radio! – zawołał, chcąc mieć pewność, że do wszystkich dotarło, iż zwraca się do chłopaka w okularach, siedzącego przy końcu stołu. – Może byś poprosił tego nowego jungę z kambuza, żeby ci podgrzał rybny pudding! Będziesz mógł zanurzyć w nim fiuta, bo niczego bardziej zbliżonego do cipki nie zaznasz. – Prychnął i zaczął się śmiać. Pozostali odpowiedzieli mu jedynie krótkim, wymuszonym śmiechem. Młody radiotelegrafista tylko przelotnie się uśmiechnął i jeszcze niżej pochylił głowę nad talerzem.

Mechanik, którego – jak Duff dosłyszał – inni nazywali Hutch, znów prychnął.

– Ale sądząc po dzisiejszym śniadaniu, to ty nawet nie wiesz, jak się podgrzewa pudding rybny, prawda? – Kolejne prychnięcie.

Duff zachował się tak jak telegrafista – spuścił głowę. Musiał wytrzymać do czasu, aż przybiją do brzegów Capitolu. Musiał trzymać gębę na kłódkę, zachować maskę, nie wychylać się.

– Odpowiadaj, junga! Nazwiesz to jajecznicą?

– Coś nie tak? – odezwał się Duff.

– Nie tak? – Mechanik przewrócił oczami i popatrzył na pozostałych. – Ten zielony gnojek pyta, czy coś jest nie tak. Tylko to, że ta jajecznica wygląda i smakuje jak rzygi. Twoje rzygi. Z tej twojej zzieleniałej gęby z chorobą morską.

Duff spojrzał na niego. Facet szczerzył zęby, a z oczu biło mu coś złego. Duff widział to już wcześniej. W oczach Lorreala, kierownika sierocińca.

– Przepraszam, jeśli jajecznica nie spełniła oczekiwań – powiedział Duff.

– „Nie spełniła oczekiwań"? – przedrzeźniał go mechanik, nie zapominając o prychnięciach. – Wydaje ci się, że jesteś w jakiejś restauracji dla słodkopierdzących? Na morzu mamy dostawać jedzenie, a nie gówno! Co wy na to, chłopaki?

Siedzący razem z nim mężczyźni pomrukami przyznali mu rację, ale Duff zauważył, że dwóch z zażenowaniem spuszcza wzrok. Przypuszczalnie nie protestowali, bo sami nie chcieli stać się ofiarami tego człowieka.

– Przy lunchu wachtę będzie miał znów steward – odparł Duff, przestawiając kartony z mlekiem ze stołu na tacę. – Miejmy nadzieję, że wtedy będzie to wyglądało lepiej.

– Ale ty nie będziesz lepiej wyglądał – stwierdził mechanik. – Masz wszy, że tak ciągle chodzisz w tej czapce? I co to za broda jak włosy na cipie? Co ci się przytrafiło? Cipka twojej matki przykleiła ci się tam, gdzie inni mają gębę?

Mechanik rozejrzał się wyczekująco, ale tym razem już wszyscy wbili wzrok w podłogę.

– Mam propozycję. – Duff wiedział, że nie powinien. Przecież przyrzekł sobie, że się powstrzyma. – Radio może ci włożyć fiuta pod pachę, to zazna mokrej cipki, a ty prawdziwego chuja.

Wokół stołu zapadła kompletna cisza, słychać było jedynie odgłosy stawiania na tacy talerzy z serem, serwolatką i ogórkiem.

– Co powiedziałeś, chłopcze? – wysyczał w końcu mechanik. Tym razem obyło się bez prychania.

– Powtórzę to, co interesuje cię najbardziej. – Duff odstawił tacę. – Nareszcie poznasz smak chuja. – „U" w słowie „chuj" przeciągnął, żeby nikt nie miał wątpliwości, o co chodzi.

Potem odwrócił się w stronę stołu. Mechanik zdążył już wstać i zbliżał się do niego.

– Zdejmij okulary – rzucił.

– Bez okularów gówno widzę – odparł Duff. – A w okularach widzę gówno.

Mechanik odsunął do tyłu rękę, anonsując tym samym, z której strony padnie cios, i uderzył. Duff cofnął się o krok, lekko się przechylił i gdy czarna od smaru pięść mechanika go minęła, zrobił dwa szybkie kroki do przodu, złapał drugą rękę mechanika, który najwyraźniej tracił równowagę, i przygiął jego dłoń do nadgarstka, drugą chwytając go za łokieć i pozwalając, by mężczyzna kontynuował ruch przed siebie, a sam jednocześnie znalazł się za nim. Mechanik zaczął krzyczeć, odruchowo pochylił się do przodu, aby zmniejszyć bolesny nacisk na nadgarstek, i w tym momencie Duff pchnął go tak, aby głową uderzył o ścianę. Potem go odciągnął. I znów pchnął. Głowa jeszcze raz uderzyła o ścianę. Duff nacisnął rękę bezbronnego mechanika jeszcze mocniej, czuł, że coś wkrótce musi się poddać, musi się złamać. Krzyk mechanika

przeszedł w pisk, a palce rozpaczliwie usiłowały pochwycić czapkę Duffa. Ten walnął jego głową o ścianę po raz trzeci. Szykował się już do czwartego, gdy nagle rozległ się głos:

– Wystarczy, Johnson!

Minęła chwila, zanim Duff uświadomił sobie, że właśnie takie podał nazwisko, zaciągając się na statek. I że głos należy do kapitana. Podniósł głowę. Kapitan stał tuż przed nimi. Duff puścił mechanika, który ze szlochem upadł na kolana.

– Co tu się wyprawia?

Duff dopiero teraz poczuł, że z trudem łapie powietrze. Uświadomił sobie swoje podniecenie. I wściekłość.

– Nic, kapitanie.

– Wiem, jaka jest różnica między niczym a czymś, Johnson, więc co tu się dzieje? Hutchinson?

Duff nie był pewien, ale miał wrażenie, że klęczący mężczyzna płacze.

Odchrząknął.

– To taki przyjacielski zakład, kapitanie. Chciałem pokazać, że ta sztuczka z Fife jest skuteczniejsza niż słynny cios z Hull. Możliwe, że posunąłem się trochę za daleko. – Poklepał drgające plecy mechanika. – Przepraszam, kolego, ale zgodzimy się chyba, że tym razem Fife pokonało Hull?

Mechanik ze szlochem pokiwał głową.

Kapitan zdjął czapkę i uważnie przyjrzał się Duffowi.

– Sztuczka z Fife, co?

– No właśnie.

– Hutchinson, potrzebują cię w maszynowni. Reszta chyba też ma robotę?

Mesa prędko opustoszała.

– Nalej mi kawy i siadaj – powiedział kapitan.

Duff spełnił polecenie.

Kapitan ze dwa razy upił odrobinę z filiżanki, przyjrzał się czarnej kawie, mrucząc coś pod nosem, i w chwili gdy Duff już zaczął się zastanawiać, czy kapitan przypadkiem nie zapomniał o jego obecności, podniósł wzrok.

– Z reguły nie chce mi się tracić czasu na szczegółowe sprawdzanie przeszłości tych, których mam na pokładzie, Johnson. Większość to prości ludzie o ograniczonych horyzontach, ich przeszłości lepiej nie tykać, a z pewnością nie czeka ich też przyszłość na pokładzie m/s Glamis. Wiem, że nie pozostaną u mnie na służbie i nie będą stwarzać problemów na tyle długo, żeby warto było się angażować. Interesuje mnie jedynie, jak funkcjonują jako grupa, jako moja załoga.

Kapitan wypił jeszcze jeden łyk. Skrzywił się, ale Duff nie wiedział, czy to z powodu kawy, bólu, czy może trudnego tematu.

– Wyglądasz mi na wykształconego, energicznego człowieka, Johnson. Ale nie będę pytał, dlaczego tu trafiłeś. I tak nie usłyszę prawdy. Domyślam się jednak, że wiesz co nieco o zasadach funkcjonowania grupy. Wiesz, że zawsze istnieje coś takiego jak kolejność dziobania i w tej hierarchii każdy ma swoją rolę, swoje miejsce. Kapitan na samej górze, junga – pierwszy raz na pokładzie – na samym dole. Dopóki wszyscy akceptują miejsce swoje i innych w tym porządku, załoga funkcjonuje. Chcę, żeby tak właśnie było. Ale tym razem na samym dole hierarchii m/s Glamis powstało pewne zawirowanie. Mamy trzy potencjalne kurczaki, które będą dziobane przez inne kury. Radio, ponieważ jest najmłodszy. Ciebie, ponieważ płyniesz pierwszy raz. I Hutchinsona, bo jest najgłupszy i najbardziej antypatyczny.

Kolejny łyk.

– Radio przeżyłby rejs w roli kurczaka do dziobania. Jest młody i dostatecznie inteligentny, nauczy się. A ciebie, Johnson, właśnie zobaczyłem awansującego w tej hierarchii, dzięki temu, co zrobiłeś z Hutchinsonem. Domyślam się, że sprowokowałeś sytuację, aby to właśnie osiągnąć. Ale jeśli dobrze znam Hutcha, to on zaczął. Głupek sam sobie podstawił nogę. Dlatego wypatruje teraz nowej osoby, którą będzie mógł sobie podporządkować. Prawdopodobnie okaże się nią nieszczęśnik, który zamustruje w Capitolu, bo będziemy potrzebowali ze dwóch nowych; załoganci niestety cały czas schodzą z pokładu. Rozumiesz?

Duff tylko wzruszył ramionami.

– I właśnie na tym polega mój problem, Johnson. Hutch dalej będzie próbował, ale i tak pozostanie wiecznym kurczakiem do dziobania. A ja wolałbym innego kurczaka, takiego, który w milczeniu zaakceptowałby swój los, przynajmniej na początku. Ponieważ jednak Hutch jest złośliwym awanturnikiem, który uważa, że dość już dostał cięgów od życia, więc teraz kolej na kogoś innego, to dalej będzie psuł atmosferę na pokładzie. Jest nie najgorszym mechanikiem, ale przez niego moja załoga funkcjonuje gorzej, niż funkcjonowałaby, gdyby go nie było.

Głośne siorbnięcie.

– Pewnie zadajesz sobie pytanie, dlaczego w takim razie go nie wyrzucę. A pytasz, ponieważ nie jesteś marynarzem i nie znasz warunków w kontraktach Związku Marynarzy, które oznaczają, że jestem skazany na Hutcha, dopóki nie zdobędę na niego czegoś, co będzie stanowiło uzasadniony powód wysadzenia go na ląd. Fizyczny atak na kolegę byłby takim powodem.

Duff pokiwał głową.

– I jak? Potrzebuję tylko potwierdzenia i podpisu na zgłoszeniu do Związku Marynarzy, resztę powiedzą mi świadkowie.

– Myśmy się tylko bawili, kapitanie. To się więcej nie powtórzy.

– No tak, pewnie tak. – Kapitan podrapał się pod brodą. – Mówiłem już, że zwykle nie przyglądam się zbyt wnikliwie przeszłości swojej załogi. Ale znajomość tego chwytu, który zastosowałeś na Hutchu, widziałem tylko u dwóch grup ludzi: w policji wojskowej i policji portowej. Wspólnym mianownikiem jest tu policja. Dlatego chcę teraz usłyszeć prawdę.

– Prawdę?

– Tak. Czy on cię zaatakował?

Duff długo przyglądał się kapitanowi, który zapewne już dawno wpadł na to, że Cliff Johnson nie jest jego prawdziwym imieniem i nazwiskiem oraz że nowy junga z kambuza nigdy wcześniej nie pracował w restauracji. Kapitan prosił tylko o fałszywy podpis. A kiedy ktoś się zainteresuje prawdziwą tożsamością tego Johnsona, Duff już dawno będzie za górami, za lasami.

– No cóż. Prawda wygląda tak. – Duff zobaczył, że kapitan pochyla się nad stołem. – Myśmy się tylko bawili, sir.

Kapitan opadł z powrotem na krzesło. Podniósł filiżankę do ust, spojrzenie ponad ceramicznym naczyniem twardo wbił w Duffa, ale nie patrzył mu w oczy, tylko wyżej, na czoło. Grdyka kapitana poruszała się, gdy przełykał. W końcu z głośnym stuknięciem odstawił pustą filiżankę na stół.

– Johnson?

– Tak, kapitanie.

– Podobasz mi się.

– Kapitanie?

– Nie mam powodu, by sądzić, że tolerujesz Hutcha lepiej niż którykolwiek z nas. Ale nie jesteś donosicielem. Może niezbyt mi to odpowiada jako przełożonemu, mimo to świadczy o niezależności. Szanuję to i nie będę więcej wracał do tej sprawy. Nie nawykłeś

do morza, chorujesz i kłamiesz. Ale przydałoby mi się w załodze więcej takich jak ty. Dziękuję za kawę.

Wstał i wyszedł.

Duff jeszcze przez kilka sekund siedział, w końcu zabrał pustą filiżankę do kambuza i wstawił do zlewu. Zamknął oczy, oparł ręce na chłodnym, błyszczącym metalowym blacie, walcząc z mdłościami. Co on wyprawia? Dlaczego po prostu nie powiedział, jak było? Dlaczego nie przyznał, że Hutch to kawał sukinsyna?

Otworzył oczy. Spojrzał wprost we własne odbicie w rondlu, który wisiał pod półką tuż przed nim. Serce podskoczyło mu w piersi. Wcześniej nie poczuł, że czapka podsunęła mu się aż do nasady włosów. Widocznie Hutchinson ją ściągnął, gdy próbował palcami sięgnąć do jego twarzy. Blizna na czole była wyraźnie widoczna niczym szeroka smuga kondensacyjna pozostawiona na niebie przez samolot. Blizna. To w nią tak się wpatrywał kapitan, zanim odstawił filiżankę.

Duff zamknął oczy, mówiąc sobie, że musi zachować spokój i przemyśleć to wszystko.

Wyszli z portu tak wcześnie rano, że gazety jeszcze nie zdążyły się ukazać, więc kapitan nie mógł zobaczyć zdjęcia Duffa z podpisem, że jest poszukiwany. Mógł jednak widzieć jego twarz w relacji telewizyjnej z konferencji prasowej poprzedniego wieczoru. Ale czy w oczach kapitana dało się dostrzec szok na widok blizny – jeśli ją zauważył? Nie. Czy kapitan był dobrym aktorem i nie chciał się zdradzić, że go rozpoznał, bo dopiero później się z nim rozprawi? Duff niewiele mógł z tym zrobić, postanowił więc uznać, że kapitan niczego nie spostrzegł, ale co z pozostałymi? Nie, stał obrócony plecami do wszystkich, aż do chwili, gdy kapitan kazał im wyjść. Z wyjątkiem Hutchinsona, który leżał przed nim. Ale nawet gdyby

mechanik zauważył bliznę, Duff nie podejrzewał go o zbyt wnikliwe czytanie i oglądanie wiadomości.

Otworzył oczy.

Będą na miejscu za dwie doby, w środę.

Czterdzieści osiem godzin. Nie wychylać się przez dwie doby. Powinien wytrzymać.

Zagrały organy i Macbeth stojący między rzędami ławek w katedrze poczuł, że podnoszą mu się włoski na całym ciele. O dreszcze nie przyprawiała go muzyka, słowa pastora czy burmistrza wspominającego Duncana ani trumna, którą właśnie środkiem nawy niosło sześciu mężczyzn, czy nawet fakt, że nie zażył poweru. Przyczyną był ten przeklęty nowy mundur. Za każdym razem, kiedy Macbeth się poruszył, szorstka wełna tarła o skórę, wywołując ciarki. Tamten poprzedni, znacznie wygodniejszy, uszyto z tańszego materiału, przyjemniejszego w dotyku, no i był bardziej znoszony. Oczywiście Macbeth miał możliwość włożenia nowego czarnego garnituru, który dostarczono mu do komendy, a który mógł pochodzić jedynie od Hekate. Jakością wełny, z której został uszyty, znacznie przewyższał mundur, ale, o dziwo, gryzł jeszcze bardziej. Poza tym stawienie się na pogrzebie policjanta w stroju innym niż mundur oznaczałoby złamanie tradycji.

Trumna minęła ławkę, w której siedział. Za trumną szli z pochylonymi głowami żona Duncana i jego dwóch synów, lecz nagle jeden z chłopców podniósł oczy i przypadkiem napotkał spojrzenie Macbetha, a ten odruchowo odwrócił wzrok.

Powoli wszyscy opuszczali ławki i wychodzili na środek, przyłączając się do konduktu. Macbeth zajął miejsce obok Tourtella.

– Piękna przemowa – powiedział.

– Dziękuję. Naprawdę mi przykro, że ratusz nie zdecydował się urządzić pogrzebu na koszt miasta. Niestety, przy zamkniętych

fabrykach i malejących dochodach z podatków trudniej o takie uhonorowanie niż kiedyś. Chociaż moim zdaniem to niecywilizowane.

– W pełni to rozumiem.

– Wydaje mi się, że nie możemy tego samego oczekiwać od rodziny Duncana. Dzwoniła do mnie jego żona i powiedziała, że powinniśmy obwieźć trumnę ulicami – umożliwić mieszkańcom miasta zademonstrowanie, że przejmują się jego śmiercią i chcą tego, czego chciał Duncan.

– Myśli pan, że ludzie by to zrobili?

Tourtell wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, Macbecie. Z mojego doświadczenia wynika, że mieszkańców tego miasta nie obchodzą tak zwane reformy, dopóki się nie przekonają, że dzięki nim mają co włożyć do garnka i stać ich na jeszcze jedno piwo. Sądziłem, że następują zmiany, ale gdyby tak było, zabójstwo Duncana wprawiłoby ludzi w stan wrzenia. Wygląda jednak na to, że wszyscy zaakceptowali, iż w tym mieście dobro przegrywa. Jedyną osobą, która ośmiela się otwierać usta, jest Kite. Wybiera się pan jutro na pogrzeb Banqua i jego syna?

– Naturalnie. Do kościoła Robotników. Banquo nie był szczególnie religijny, ale na tamtym cmentarzu została pochowana Vera, jego żona.

– Z tego, co zrozumiałem, żona i dzieci Duffa mają spocząć przy katedrze.

– Tak. W tym pogrzebie nie będę uczestniczył osobiście.

– Nie?

– Będą tam nasi ludzie, na wypadek gdyby Duff miał się pojawić.

– Aha. No cóż, człowiek nie powinien odprowadzać do grobu własnych dzieci. Zwłaszcza ze świadomością, że sam jest winien ich

śmierci.

– Rzeczywiście, to dziwne, że poczucie winy wypala piętno, natomiast honor i zaszczyty spływają z wodą jeszcze tego samego dnia.

– Przez moment pana słowa zabrzmiały tak, jakby pan wiedział coś o poczuciu winy, Macbecie.

– Proszę więc pozwolić mi na wyznanie, że pozbawiłem życia najbliższą osobę, panie burmistrzu.

Tourtell stanął jak wryty.

– Co pan mówi?

– Swoją matkę. Umarła w połogu. Chodźmy dalej.

– A ojciec?

– Uciekł na morze, kiedy dowiedział się, że matka jest w ciąży, i nigdy więcej się nie pojawił. Wychowywałem się w sierocińcu. Podobnie zresztą jak Duff. Mieszkaliśmy w jednym pokoju. Ale pan pewnie nigdy nie widział na oczy, jak wygląda pokój w sierocińcu.

– O, zdarzyło mi się otworzyć jedną czy dwie takie placówki.

Dotarli już na kościelne schody, gdzie natychmiast uderzył w nich wicher z północnego zachodu. Macbeth zauważył, że na żwirowej alejce trumna niebezpiecznie się przechyla.

– Tak, tak – westchnął Tourtell. – Morze to też jakiś sposób na ucieczkę.

– Krytykuje pan mojego ojca?

– Żaden z nas go nie znał. A ja chciałem tylko powiedzieć, że na morzu pełno jest mężczyzn, którzy nie potrafią udźwignąć odpowiedzialności, jaką nakłada na nich natura.

– Tym samym odpowiedzialność, którą dźwigają tacy jak my, jest jeszcze większa.

– Otóż to. I do czego pan doszedł?

Macbeth chrząknął.

– Widzę, że dla dobra miasta najlepiej będzie, jeśli komendant policji dalej pozostanie komendantem, kontynuując na tym stanowisku dotychczasową bliską współpracę z burmistrzem.

– Mądre słowa, Macbecie.

– Oczywiście przy założeniu, że ta współpraca będzie owocna.

– Co pan ma na myśli?

– Plotki o tym, że w Obelisku uprawia się prostytucję organizowaną przez kasyno, a ponadto niektórym graczom udziela się nielegalnych kredytów.

– Ten pierwszy zarzut jest bardzo stary, ale ten drugi to nowość. Zapewne jednak pan wie, jak trudno dotrzeć do samego dna takich plotek. Na ogół pozostają tylko plotkami i niczym więcej.

– Mam konkretne podejrzenia wobec co najmniej dwóch graczy. A przy zastosowaniu skutecznych metod przesłuchania i obietnicy amnestii z pewnością uda mi się udowodnić, że Obelisk proponował im kredyt. Komisja do spraw gier hazardowych i kasyn będzie pewnie musiała zamknąć ten przybytek, aby zbadać zasięg nielegalnych działań.

Burmistrz pociągnął się za najdłuższy z podbródków.

– Czy mam rozumieć, że zrezygnuje pan z kandydowania w zamian za zamknięcie Obelisku?

– Chcę powiedzieć tylko tyle, że polityczni i administracyjni przywódcy miasta muszą być konsekwentni w egzekwowaniu prawa, inaczej prędko ktoś może uznać, że zostali kupieni i opłaceni przez tych, którzy potrafią się wykręcić.

Burmistrz cmoknął. Jak dziecko ssące oliwkę – pomyślał Macbeth – które potrzebuje nieco czasu na polubienie nowego smaku.

– Przecież w grę wchodzi mnóstwo rozmaitych nieprawidłowości – powiedział Tourtell jakby do siebie. – Tak jak mówiłem, zgłębienie takich plotek jest trudne. Poza tym to może potrwać.

– I to długo – dodał Macbeth.

– Uprzedzę komisję, że mogą wpłynąć informacje, w wyniku których konieczne będzie zamknięcie Obelisku. A tak w ogóle to gdzie jest piękna Lady? Sądziłem, że z uwagi na Duncana...

– Niestety, nie czuje się najlepiej. Ale to przejściowe.

– Ach tak. Proszę ją pozdrowić i życzyć jej ode mnie zdrowia. Teraz powinniśmy chyba złożyć kondolencje rodzinie.

– Proszę iść jako pierwszy, ja zaraz dołączę.

Macbeth obserwował, jak Tourtell stacza się ze schodów, ujmuje w obie ręce dłoń pani Duncan, a jego wargi poruszają się, gdy, lekko przechylając głowę, wyraża swoje szczere współczucie. Burmistrz naprawdę przypominał żółwia. Ale powiedział jedną mądrą rzecz: morze jest pełne mężczyzn, którzy uciekają przed odpowiedzialnością.

– Wszystko w porządku, szefie? – odezwał się Seyton, który czekał przed wejściem do katedry, bo, jak twierdził, nie znosi kościołów. Równie dobrze mógł stać na zewnątrz – ci, którzy czyhali na życie komendanta policji, raczej też nie weszliby do świątyni.

– Sprawdziliśmy wszystkie statki pasażerskie wypływające z miasta – powiedział Macbeth. – Ale czy komuś przyszło do głowy sprawdzić inne jednostki?

– Poszukać na nich pasażera na gapę? O to chodzi?

– Tak. Albo kogoś, kto po prostu dołączył do załogi.

– Raczej nie.

– Roześlij dokładny rysopis Duffa do wszystkich statków, które wyszły w morze od tamtego dnia. Natychmiast.

– W porządku, szefie. – Seyton w dwóch skokach pokonał schody i zniknął za węgłem.

Meredith. Meredith przestała istnieć. Ale blizna na sercu ciągle pozostała. Mimo to Macbeth nie zamierzał iść na ten pogrzeb.

Dlatego że Meredith przestała istnieć już dawno temu. Tak dawno, że zapomniał, kim była. Tak dawno, że zapomniał, kim sam wtedy był. Przestąpił z nogi na nogę. Poczuł szorstki wełniany materiał, ocierający o wnętrze ud, i zapach wilgotnej wełny. Przeszył go dreszcz.

27

Duff stał w kambuzie i obserwował siedzącą w mesie załogę. Marynarze zjedli już lunch, a teraz skręcali sobie papierosy i prowadzili ściszone rozmowy, trochę się śmiali, palili, pili kawę. Tylko jeden siedział sam. Hutchinson. Wielki plaster w cielistym kolorze przyklejony na czole mówił tym, których nie było na miejscu, o laniu, jakie mu spuszczono. Hutchinson starał się wyglądać tak, jakby myślał o czymś, co wymaga wielkiej koncentracji. Cmokał swojego skręta, ale nie był na tyle dobrym aktorem, by ukryć przygnębienie.

– Już jutro będziemy w porcie – odezwał się steward, który też zapalił papierosa i oparł się o kuchenkę. – Szybko się uczysz. Masz ochotę na powtórkę?

– Słucham?

– Popłyniesz w następny rejs?

– Nie – odparł Duff. – Ale dzięki za zainteresowanie.

Steward wzruszył ramionami.

Duff obserwował marynarza, który spóźnił się na lunch. W skupieniu niósł talerz w kierunku stołu, przy którym zazwyczaj jadał, ale gdy podniósł wzrok i zobaczył, kto przy nim siedzi, wcisnął się między kolegów przy stole, przy którym i tak już było tłoczno. Duff dostrzegł, że Hutchinson również to zarejestrował

i teraz jeszcze bardziej skupił się na niedopałku, gwałtownie mrugając.

– Zostało trochę wczorajszego sernika?

Duff się odwrócił.

W drzwiach stał starszy mechanik z miną wyrażającą nadzieję.

– *Sorry* – odparł steward. – Cały wyszedł.

– Chwileczkę – wtrącił Duff. – Wydaje mi się, że odłożyłem ostatni kawałek.

Poszedł do chłodni, znalazł talerzyk owinięty folią i zaniósł go starszemu mechanikowi.

– Trochę zimny.

– W porządku. – Marynarz się oblizał. – Lubię na zimno.

– Jedna rzecz...

– Tak?

– Hutchinson...

– Hutch?

– Owszem. Wygląda na przybitego. Pomyślałem o czymś, co powiedział mi kapitan. Podobno Hutchinson jest dobrym mechanikiem. To prawda?

Starszy mechanik przechylił głowę, trochę niepewnie patrząc na Duffa.

– No, nadaje się.

– Może dobrze by było, gdyby ktoś mu o tym powiedział.

– Ale co?

– Że się nadaje.

– Po co?

– Pewnie dobrze by mu zrobiło, gdyby coś takiego usłyszał.

– No nie wiem. Jak się za bardzo chwali ludzi, to tylko domagają się wyższej płacy i dłuższych przerw.

– A kiedy ty byłeś świeżym mechanikiem, to miałeś nad sobą starszego, który dawał ci do zrozumienia, że jesteś mu przydatny?

– No bo byłem.

– Spróbuj sobie przypomnieć, jak dobrym mechanikiem byłeś wtedy tak naprawdę.

Mężczyzna aż otworzył usta ze zdziwienia.

W tym momencie statek się przechylił, z mesy dobiegł brzęk, a za Duffem rozległ się głośny huk.

– Diabelska fala! – krzyknął steward, a kiedy Duff się odwrócił, zobaczył, że na podłogę spadł wielki gar. Nie mógł oderwać wzroku od gęstej zupy z zielonego groszku, która wylała się na podłogę. Przewróciło mu się w żołądku bez najmniejszego ostrzeżenia. Poczuł gwałtowne mdłości i ledwie zdążył przytrzymać się futryny, a już puścił pawia.

– No i co? – rzucił drwiąco starszy mechanik. – Junga ma więcej dobrych rad?

– Do diabła ciężkiego, Johnson, jeszcze ci nie przeszło? – jęknął steward, podając Duffowi kawałek papieru.

– Co to było? – spytał Duff, ocierając usta.

– Pewnie jakaś większa fala, takie rzeczy się zdarzają.

– Idź odpocząć, ja tu posprzątam.

Kiedy Duff umył już podłogę, poszedł do mesy pozbierać brudne naczynia. Przy stołach siedziało zaledwie trzech mężczyzn plus Hutch, który nie ruszył się z krzesła.

Duff przysłuchiwał się rozmowie, ustawiając talerze i szklanki na tacy.

– Tę falę musiało wywołać trzęsienie ziemi, lawina czy coś takiego – stwierdził jeden z marynarzy.

– A może próbne wybuchy. Podobno Sowieci urządzali na Morzu Barentsa jakieś próby, od których fale wstrząsowe rozniosły się

na całą Ziemię.

– Radio, nie odebrałeś meldunku o niczym takim?

– Nie. – Chłopak się roześmiał. – Jedyna ciekawa informacja to ta, że poszukują faceta z białą blizną biegnącą przez twarz.

Duff zdrętwiał. Dalej zbierał szklanki, nastawiając uszu.

– Dobrze będzie jutro zejść na ląd.

– Cholera, pewnie, że tak. Żona mówi, że znów jest w ciąży.

– Nie patrz tak na mnie!

Dobroduszny śmiech.

Duff odwrócił się z tacą w rękach. Hutchinson podniósł głowę i nagle wyprostował się jakby kij połknął. Po tamtej bójce spotkali się w mesie kilka razy i Hutchinson za każdym razem spuszczał wzrok, unikając spojrzenia Duffa, ale teraz wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami. Jak sęp, który niespodziewanie dojrzał ranne, bezbronne zwierzę.

Duff nogą pchnął drzwi do kambuza i słuchał, jak się za nim zamykają. Odstawił tacę na blat. Do diabła! Nie teraz. Przecież już za dwadzieścia cztery godziny miał zejść na ląd.

– Proszę zwolnić – powiedziała Caithness, patrząc przez przednią szybę.

Taksówkarz wcisnął hamulec i powoli przejechali obok Obelisku. Głównym wejściem wypływał na ulicę strumień ludzi. Na chodniku stały zaparkowane dwa policyjne radiowozy. Niebieskie koguty obracały się niespiesznie.

– Co tu się dzieje? – Lennox wysunął między siedzeniami swoją bladą twarz. Podobnie jak Caithness, ciągle był w mundurze, ponieważ taksówka zabrała ich spod kościoła tuż po pogrzebie Banqua. – Uruchomił się alarm przeciwpożarowy?

– Komisja do spraw gier hazardowych i kasyn zamyka dzisiaj ten lokal – odparła Caithness. – Podejrzewają złamanie przepisów

ustawy.

Patrzyli, jak jeden z policjantów wyprowadza gniewnie gestykulującego mężczyznę z imponującymi bokobrodami, ubranego w jasny garnitur i kwiaciastą koszulę. Facet usiłował coś tłumaczyć funkcjonariuszowi, który w ogóle go nie słuchał.

– Przykra sprawa – stwierdził taksówkarz.

– Co jest przykre? – zdziwił się Lennox. – Stosowanie prawa?

– Stosowanie jak stosowanie. W Obelisku można było napić się piwa i zagrać partyjkę bez konieczności wbijania się w garnitur. Poza tym człowiek nie wychodził stamtąd zrujnowany. A jeśli chodzi o zamykanie, to wiecie, że ta fabryka, do której chcecie jechać, jest zamknięta?

– Tak – potwierdziła Caithness i pomyślała, że właściwie to jedyne, co wie. Aspirant Angus zadzwonił do niej rano. Upierał się, że Caithness ma zabrać komisarza Lennoxa z Wydziału Antykorupcyjnego i przyjechać razem z nim do Estexu, a reszty dowiedzą się już na miejscu. Twierdził, że chodzi o korupcję na wysokim szczeblu, dlatego na razie nie mogą nikogo informować o tym spotkaniu. Kiedy Caithness powiedziała, że nie zna żadnego aspiranta Angusa, wyjaśnił, że jest gwardzistą z nieprzepisowo długimi włosami, do którego uśmiechała się w windzie. Przypomniała go sobie. Rzeczywiście sprawiał wrażenie miłego. Wyglądał raczej na życzliwego, oderwanego od rzeczywistości hipisa niż na policjanta z Gwardii.

Sunęli dalej ulicami. Caithness patrzyła na bezrobotnych mężczyzn opartych o mury, chroniących się w ten sposób przed deszczem. Papierosy w kącikach ust, mokre płaszcze, głodne, zmęczone spojrzenia. Hieny. Nie urodzili się tacy, to miasto ich tak zmieniło. Duncan mówił, że jeśli w menu jest wyłącznie padlina, to człowiek staje się padlinożercą, bez względu na to, za kogo się

uważa. I nieważne, co zrobią w komendzie – i tak środkiem, który najbardziej ograniczy przestępczość, będzie przywrócenie ludziom miejsc pracy.

– Zamierzacie znów otworzyć Estex? – spytał kierowca.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Bo wydaje mi się, że Macbeth jest mądrzejszy od tego głupka Duncana.

– Ponieważ?

– Jak można zamykać dobrą fabrykę tylko dlatego, że wypuszcza trochę czegoś niedobrego? Cholera, przecież wszyscy, którzy tam pracowali, palą, więc i tak umrą zatruci. Pięć tysięcy miejsc pracy. Pięć tysięcy miejsc pracy, których to miasto tak potrzebowało! Tylko słodkopierdzącemu gościowi z Capitolu mogło to przeszkadzać. Natomiast Macbeth to jeden z nas, on to rozumie, na pewno jakoś temu zaradzi. Niech trochę porządzi, a może ludzi z czasem znów będzie stać na taksówkę.

– À propos Macbetha. – Caithness odwróciła się do tyłu. – Dwa dni z rzędu odwoływał poranną odprawę, a w kościele wyglądał bardzo blado. Jest chory?

– Nie on – odparł Lennox. – Lady. Macbeth ledwie zagląda do komendy.

– To oczywiście bardzo szlachetne z jego strony, że się nią zajmuje, ale jest komendantem policji i musi panować nad porządkiem w całym mieście.

– Dobrze, że ma nas. – Lennox się uśmiechnął.

Taksówka zatrzymała się przed bramą, na której wisiał przecięty łańcuch z kłódką. Tabliczka z napisem *ZAMKNIĘTE* upadła na dziurawy asfalt. Caithness wysiadła, stanęła przy otwartym oknie kierowcy i czekając na resztę, omiotła wzrokiem krajobraz

przemysłowej pustyni. Żadnej budki telefonicznej, a telefony w Estexie prawdopodobnie odłączono.

– Jak znajdziemy taksówkę, kiedy będziemy chcieli wracać? – spytała.

– Postoję tu i zaczekam – odparł kierowca. – W mieście i tak nie można liczyć na żaden kurs.

Za bramą fabryki zobaczyli zardzewiały wózek widłowy i wieżę gnijących drewnianych palet. Drzwi obok wielkich podnoszonych wrót były uchylone.

Caithness i Lennox weszli do hali fabrycznej. Na dworze było zimno, a w środku, pod wysokim sklepieniem, jeszcze zimniej. Przez całą długość olbrzymiego pomieszczenia ciągnęły się piece, przypominające gigantyczne kościelne ławy.

– Halo! – zawołała Caithness. Echo, którym odbił się jej głos, przyprawiło ją o dreszcz.

– Tutaj! – Odpowiedź padła z góry, gdzie do ściany dobudowano pokój i punkt obserwacyjny dla brygadzisty. Jak wieża strażnicza w więzieniu, pomyślała Caithness. Albo ambona.

Stojący na górze chłopak pokazał im stalowe schody.

Caithness i Lennox wspięli się po nich.

– Aspirant Angus. – Uścisnął im dłonie. Jego szczera twarz zdradzała zdenerwowanie, lecz również determinację.

Poszli za nim do pokoju brygadzisty, miejsca cuchnącego marynatą zakrzepłego potu i tytoniu. Wielkie okna wychodzące na halę fabryczną pokrywał dziwny, przypominający glazurę żółty osad, który wyglądał tak, jakby wtopił się w szkło. Na blatach leżały rozłożone segregatory, najwyraźniej wyjęte z półek ciągnących się pod ścianami. Chłopak był nieogolony, ubrany w znoszone obcisłe dżinsy i zieloną wojskową kurtkę.

– Dziękuję, że przyszliście, chociaż wezwałem was tak nagle. – Angus wskazał im drewniane krzesła, z których łuszczyła się farba.

– Nie chcę cię stresować, ale mam nadzieję, że to naprawdę ważna sprawa. – Lennox usiadł. – Musiałem przełożyć istotne spotkanie.

– Ponieważ macie mało czasu, tak jak zresztą my wszyscy, pozwólcie, że przejdę od razu do sedna.

– Dobrze, dziękujemy.

Chłopak założył ręce na piersi. Poruszał szczękami i umykał gdzieś wzrokiem, ale miał w sobie pewien rodzaj przygnębienia, jak człowiek, który wie, że niestety ma rację.

– Dwa razy wierzyłem – zaczął powoli Angus i przełknął ślinę, a Caithness zrozumiała, że odtwarzał w pamięci coś, co napisał i czego nauczył się na pamięć specjalnie na tę okazję. – I dwa razy traciłem wiarę. Za pierwszym razem to była wiara w Boga, za drugim w Macbetha. Za pierwszym razem straciłem wiarę, bo Boga nie ma. Za drugim, bo Macbeth nie jest tym, za kogo się podaje. Nie jest zbawcą, to zdeprawowany morderca. Chciałem od tego zacząć, żebyście wiedzieli, dlaczego to robię. Chodzi o uwolnienie miasta od Macbetha.

W ciszy, która zapadła, słychać było głębokie westchnienia kropel spadających na podłogę fabrycznej hali. Angus zaczerpnął powietrza.

– Zostaliśmy...

– Stop! – przerwała mu Caithness. – Dziękujemy ci za szczerość, Angus. Ale zanim powiesz coś więcej, komisarz Lennox i ja musimy zdecydować, czy w ogóle chcemy tego słuchać.

– Niech Angus powie, co ma do powiedzenia – stwierdził Lennox. – Potem możemy to przedyskutować na osobności.

– Chwileczkę – zaprotestowała Caithness. – Nie będzie już drogi odwrotu, jeśli usłyszymy teraz informacje, które...

– Wysłano nas do tego klubu, żebyśmy wszystkich zabili – oznajmił Angus.

– Nie chcę tego słuchać. – Caithness wstała.

– Nikogo nie zamierzaliśmy aresztować – ciągnął Angus już głośniej. – To my zaczęliśmy strzelać do ridersów, oni zdążyli oddać jeden... – podniósł palec, który drżał tak samo jak głos – ...jeden cholerny strzał w samoobronie! W przeciwieństwie do...

Caithness ruszyła do drzwi, głośno tupiąc, żeby zagłuszyć głos Angusa. Już miała wyjść, gdy usłyszała jego nazwisko – i zamarła.

– ...Duffa w Fife. Tam z domu nie padł ani jeden strzał. Bo Duffa tam nie było. Po ostrzelaniu budynku weszliśmy do środka. Zastaliśmy w nim chłopczyka i dziewczynkę, razem z matką, która...

Angusowi załamał się głos.

Caithness odwróciła się do niego. Chłopak pochylał się nad stołem i mocno zaciskał powieki.

– ...która w sypialni usiłowała osłonić dzieci własnym ciałem.

– O nie! – Caithness usłyszała własny szept.

– To Macbeth wydał rozkaz – kontynuował Angus. – A Seyton zadbał, żeby zostało to wypełnione co do joty. Przez Gwardię. Włącznie... – chrząknął – ...ze mną.

– Dlaczego, na miłość boską, Macbeth miałby nakazać likwidację? – spytał Lennox z niedowierzaniem w głosie. – Przecież mógł ich po prostu aresztować, i Duffa, i ridersów.

– Może nie mógł – odparł Angus. – Może coś na niego mieli, dlatego chciał ich zmusić do milczenia.

– Na przykład co?

– Nie zadaliście sobie pytania, dlaczego ridersi zemścili się na Banqu? Dlaczego nie zabili tego, który wydawał rozkazy, czyli samego Macbetha?

– To proste – obruszył się Lennox. – Macbeth jest lepiej chroniony. Masz jakiekolwiek dowody?

– Te oczy. – Angus wskazał na swoją twarz.

– To są twoje oczy, podobnie jak twoje są te zarzuty. Podaj mi jeden powód, dla którego mielibyśmy ci wierzyć.

– Jest coś takiego. – Caithness wróciła do krzesła. – Oskarżenia Angusa łatwo zweryfikować, rozmawiając z innymi gwardzistami. Jeżeli są fałszywe, Angus straci pracę, zostanie skazany i czekają go nie najlepsze, łagodnie mówiąc, widoki na przyszłość. A on ma tego świadomość.

Angus zaśmiał się krótko.

Caithness uniosła brew.

– Przepraszam, powiedziałam coś niemądrego?

– Chodzi o Gwardię – wyjaśnił Lennox. – „Wierność, braterstwo, ochrzczeni w ogniu, związani krwią".

– Słucham?

– Nigdy nie skłonisz nikogo z Gwardii do wypowiedzenia słowa, które mogłoby zaszkodzić Macbethowi – powiedział Angus. – Albo Seytonowi. Albo któremukolwiek z braci.

Caithness ujęła się pod boki.

– Więc przychodzisz do nas z tymi opowieściami o zaplanowanych likwidacjach, chociaż wiesz, że nie ma sposobu na to, by je udowodnić?

– Macbeth kazał mi spalić zwłoki dziecka zabitego podczas masakry w klubie Norse Ridersów. – Angus dotknął łańcuszka na szyi. – Tutaj, w jednym z pieców.

Caithness zadrżała. I pożałowała. Dlaczego zawróciła? Dlaczego nie siedziała w taksówce, która wiozłaby ją daleko stąd?

– Odmówiłem – podjął Angus. – Ale to znaczy, że zajął się tym ktoś inny. Może on sam. Sprawdziłem piece. Jeden był całkiem

niedawno używany. Pomyślałem, że gdyby komisarz Caithness sprowadziła tu swoich techników, może znaleźliby jakieś ślady. Odciski palców, resztki kości, sam nie wiem. A gdybyście wy coś znaleźli, Wydział Antykorupcyjny mógłby pociągnąć tę sprawę.

Lennox i Caithness porozumieli się wzrokiem.

– Policja nie może prowadzić śledztwa wymierzonego przeciwko własnemu komendantowi – oznajmił Lennox. – Nie wiedziałeś o tym?

Angus zmarszczył czoło.

– Ale... Czy Antykorupcyjny to nie...

– Nie, nie możemy prowadzić wewnętrznego śledztwa – przerwał mu Lennox. – Jeżeli chcesz wszcząć sprawę przeciw komendantowi, musisz się zwrócić do Rady Miasta i do Tourtella.

Angus z rozpaczą pokręcił głową.

– Nie, nie. Oni wszyscy są kupieni. Musimy to zrobić na własną rękę. Obalić Macbetha siłami od środka.

Caithness milczała. Stwierdziła tylko, że Angus ma rację. Nikt z Rady Miasta z Tourtellem włącznie nie odważyłby się otwarcie wystąpić przeciwko Macbethowi. Kenneth zatroszczył się o to, by kancelaria komendanta miała odpowiednie podstawy prawne i mogła ostro reagować na tego rodzaju polityczny bunt.

Lennox spojrzał na zegarek.

– Mam spotkanie za dwadzieścia minut. Zalecam, abyś na razie nic nie robił w tej sprawie, dopóki nie przedstawisz nam konkretów. Wtedy możesz zaryzykować i zgłosić się ze swoimi ustaleniami do Rady Miasta.

Angus zamrugał z niedowierzaniem.

– Zaryzykować? – wymamrotał i odwrócił się do Caithness. W jego szczerej twarzy dało się wyczytać rozpacz, błaganie, lęk i nadzieję.

I nagle Caithness uświadomiła sobie, że Angus poprosił ją o przyjazd wcale nie dlatego, że potrzebował pomocy techników do zbadania pieców. Potrzebował świadka. Żeby w momencie, gdy będzie o wszystkim informował Wydział Antykorupcyjny, Lennox nie mógł udawać, że o niczym nie wiedział, że nie posiadał tych informacji, które bez względu na rezultat mogły uprzykrzyć mu życie. Angus wybrał Caithness po prostu dlatego, że kiedyś życzliwie uśmiechnęła się do niego w windzie. Ponieważ wyglądała na osobę, której można zaufać.

– Komisarz Caithness? – odezwał się cicho, wręcz błagalnie Angus.

Caithness nabrała powietrza.

– Lennox ma rację, Angus. Prosisz, żebyśmy zaatakowali niedźwiedzia, uzbrojeni w tekturowy miecz.

Oczy Angusa zwilgotniały.

– Wy się boicie – wyrzucił z siebie. – Wierzycie mi, bo inaczej już by was tu nie było. Ale się boicie. Boicie się, bo mi wierzycie. Pokazałem wam, do czego zdolny jest Macbeth.

– Umówmy się, że to spotkanie nigdy się nie odbyło. – Lennox ruszył do drzwi.

Caithness chciała iść za nim, ale Angus złapał ją za rękę.

– Niemowlę – szepnął głosem zduszonym od płaczu. – Zmieściło się w pudełku po butach.

– To była niewinna ofiara walki z syndykatem zbrodni – powiedziała Caithness. – Takie rzeczy się zdarzają. To, że Macbeth chciał to ukryć przed prasą, aby uniknąć skandalu związanego z policją, nie robi z niego zabójcy.

Caithness poczuła, że Angus ją puszcza, jakby się sparzył. Cofnął się o krok i tylko na nią patrzył. Caithness odwróciła się i wyszła.

Na stalowych schodach prowadzących do hali fabrycznej chłód uderzył ją w gorące policzki.

Idąc do wyjścia, zatrzymała się przed jednym z pieców. W warstwie szarego kurzu widać było smugi.

Lennox stał w drzwiach do fabryki i machał na taksówkę, aby podjechała pod samo wejście, oszczędzając im tym samym biegu w ulewnym deszczu.

– Jak myślisz, o co chodzi Angusowi? – spytał.

– O co mu chodzi? – Caithness odwróciła się i zadarłszy głowę, patrzyła na pomieszczenia brygadzisty.

– Musi rozumieć, że jest za młody na stanowisko szefa – zauważył Lennox. – Halo, tutaj! Czy chodzi tylko o zaszczyty i sławę?

– Może mówił prawdę. Może ktoś musi powstrzymać Macbetha.

– Obowiązek wzywa? – Lennox się roześmiał. – Każdy czegoś chce, Caithness. Idziesz?

Caithness usłyszała już chrzęst żwiru pod kołami auta.

– Tak. – Ledwie dostrzegała zarys sylwetki Angusa za szybą w górze. Nie ruszył się z miejsca, odkąd go tam zostawili. Po prostu stał. Wyglądał tak, jakby na coś czekał.

Ile czasu upłynie, zanim Lennox poinformuje Macbetha o tej próbie przewrotu?

Co zrobi ona sama z informacjami przekazanymi przez Angusa?

Dotknęła dłonią policzka. Wiedziała, dlaczego jest taki gorący. To rumieniec. Rumieniec wstydu.

Lennox szedł na skróty przez halę dworcową. Lubił drogi na skróty. Od zawsze. W dzieciństwie kupował cukierki, aby zdobyć przyjaciół, kłamał, że skoczył do wody z dźwigu na nabrzeżu, i zapłacił dziewczynie z kiosku Indygo za zrobienie laski. Chodził w butach na wyższych koturnach niż wszyscy inni, ściągał na egzaminach, a mimo to kiedy odbierał cenzurkę, musiał kłamać, że dostał lepsze stopnie. Jego ojciec zwykle mawiał – często na spotkaniach rodzinnych i nie ukrywając, do kogo pije – że tylko ludzie bez

kręgosłupa wybierają drogi na skróty. Gdy ofiarował niewielką darowiznę działającemu w mieście prywatnemu uniwersytetowi, oszczędzając sobie i Lennoxowi wstydu studiowania na uczelni publicznej, Lennox sfałszował również dyplom. Nie z myślą o potencjalnych pracodawcach, ale o ojcu, który zażądał, aby syn mu go pokazał. Oszustwo, rzecz jasna, wyszło na jaw, ponieważ Lennox nie miał kręgosłupa umożliwiającego wytrzymanie podejrzliwych spojrzeń i przesłuchania, a ojciec stwierdził, że nie rozumie, jak taki mięczak jak Lennox może w ogóle stać wyprostowany, skoro nie ma w ciele ani jednej kości.

No cóż, w każdym razie Lennox miał kręgosłup dostatecznie twardy, by ignorować dilerów, którzy podchodzili do niego i mamrocząc, proponowali swój towar. Już z daleka rozpoznawali ćpuna. Lennox jednak nie w ten sposób zdobywał wywar. Przysyłano mu go w brązowych kopertach bez nazwiska nadawcy lub gdy czasami prosił o specjalną terapię, prowadzono go z zawiązanymi oczami – jak jeńca wojennego przed pluton egzekucyjny – do tajnej kuchni i tam dostawał swoją porcję prosto z kotła.

Minął Berthę Birnam, koło której Duff dał się złapać na blef o sędzim z Capitolu. Ale Hekate nie mówił nic o tym, że Macbeth ma zabić żonę i dzieci Duffa.

Na placu Robotników Lennox przyspieszył, jakby chciał zdążyć, zanim coś się stanie. Coś w jego wnętrzu.

– Macbeth jest zajęty – poinformował recepcjonista w Inverness.

– Proszę przekazać, że przyszedł komisarz Lennox. Sprawa jest ważna i zajmie tylko minutę.

– Zaraz zadzwonię, sir.

Czekając, Lennox się rozglądał. Nie potrafił określić, o co chodzi, ale czegoś jakby tu brakowało. Ostatniego szlifu. Może to tylko

zmieniła się atmosfera, a może różnica polegała na tym, że do salonu gier wchodzili nieco mniej elegancko ubrani mężczyźni, którzy śmiali się trochę za głośno. Wcześniej nie widział tu tego rodzaju gości.

Macbeth zszedł z góry.

– Dzień dobry, Lennox.

– Dzień dobry, komendancie. Dużo tu dzisiaj ludzi.

– To hazardziści. Przyszli prosto z Obelisku. Komisja do spraw gier hazardowych kilka godzin temu zamknęła tamto kasyno. Usiądźmy tutaj, niestety mam mało czasu.

– Dziękuję, sir. Chciałem tylko poinformować o pewnym spotkaniu, które odbyło się dzisiaj.

Macbeth ziewnął.

– No i?

Lennox zaczerpnął tchu. Zawahał się. Oczywiście istniało milion sposobów na sformułowanie zdania, od którego powinien zacząć. Tysiąc sposobów na sformułowanie tej samej informacji. Setki pierwszych słów. A mimo to tylko dwa wyjścia.

Macbeth zmarszczył czoło.

– Sir! – odezwał się recepcjonista. – Wiadomość ze stolika do blackjacka. Proszą o jeszcze jednego krupiera. Zrobiła się kolejka.

– Zaraz przyjdę, Jack. Przepraszam, że ci przerwałem, Lennox. Zwykle to Lady zajmuje się takimi sprawami. O co chodzi?

– No tak. To spotkanie... – Lennox pomyślał o rodzinie. O własnym domu. O ogrodzie. O bezpiecznym sąsiedztwie, gdzie dzieciaki nie natykały się na świństwa. O uniwersytecie, na którym miały studiować. O pensji, która to wszystko umożliwiała. I o dodatkowych dochodach, które stały się absolutnie konieczne, żeby to się jakoś plotło. Robił to nie dla siebie, lecz dla rodziny, dla rodziny, dla rodziny. Dla swojej rodziny, nie dla domu w Fife, nie...

– No słucham.

Otworzyły się drzwi wejściowe.

– Szefie!

Odwrócili się. To był Seyton, zdyszany.

– Mamy go, szefie!

– Znaleźliśmy...?

– Duffa. Miałeś rację. Jest na pokładzie statku, który stąd wypłynął. M/s Glamis.

– Fantastycznie! – Macbeth odwrócił się do Lennoxa. – Twoja sprawa musi poczekać, już pędzę.

Lennox nie ruszył się z krzesła, gdy tamci dwaj wybiegli.

– Zajęty człowiek. – Recepcjonista się uśmiechnął. – Kawy, sir?

– Nie, dziękuję. – Lennox dalej patrzył przed siebie. Zaczęło się już ściemniać, ale do następnego zastrzyku ciągle zostało jeszcze kilka godzin. Cała wieczność. – A zresztą poproszę.

Wieczność dla człowieka bez kręgosłupa.

28

– Dokąd chcesz pójść? – szepnęła Meredith.

– Nie wiem. – Duff próbował pogłaskać ją po policzku, ale nie mógł jej dosięgnąć. – Znalazłem jakiś adres, ale nie mam pojęcia, co tam jest.

– To dlaczego chcesz tam iść?

– Zapisano go tuż przed śmiercią Banqua i Fleance'a. Z dopiskiem „bezpieczna przystań", więc jeśli oni uciekali w to miejsce, może i ja będę tam bezpieczny. Nie wiem, nie mam nic innego, kochana.

– Więc zrób tak.

– A gdzie wy jesteście?

– Tutaj.

– Gdzie jest to tutaj? I co robicie?

Meredith się uśmiechnęła.

– Czekamy na ciebie. Ciągle jest wigilia urodzin Ewana.

– Bolało?

– Trochę. Ale ból szybko minął.

Duff poczuł ściskanie w gardle.

– A Ewan i Emilie bali się?

– Cicho, kochany, nie będziemy o tym teraz rozmawiać...

– Ale...

Nakryła mu usta dłonią.

– Cicho. Śpią, nie budź ich.

Jej dłoń. Nie mógł oddychać. Próbował tę dłoń odsunąć, ale okazała się za silna. Otworzył oczy.

W ciemności ujrzał nad sobą jakąś postać. To właśnie ten człowiek zakrywał mu usta. Duff usiłował krzyczeć i chwycił owłosiony nadgarstek, ale tamten był silniejszy. Duff zrozumiał, kto

to jest, kiedy usłyszał pierwsze prychnięcie. Hutchinson, który nachylił się i szepnął mu do ucha:

– Ani słowa, Johnson. A raczej Duff.

Został więc odkryty. Czy za jego głowę wyznaczono cenę? Za żywego czy martwego? Czy nadeszła godzina zemsty? Nóż? Śrubokręt? Młotek?

– Słuchaj mnie, Johnson. Jeśli obudzimy faceta z górnej koi, to będzie po wszystkim, rozumiesz?

Dlaczego Hutch ściągał go z łóżka, zamiast po prostu go zabić?

– Kiedy przybijemy do portu w Capitolu, będzie na ciebie czekać policja, Johnson. – Odsunął rękę od ust Duffa. – Ostrzegłem cię, więc teraz jesteśmy kwita.

W kajucie na moment zrobiło się jaśniej, kiedy otworzyły się drzwi, ale znów się zamknęły i Hutchinson zniknął.

Duff zamrugał. Przez chwilę myślał, że Hutchinson też mu się przyśnił. Ktoś kaszlnął na górnym łóżku. Duff nie wiedział, kto tam leży – z miejsc do spania korzystali na zmianę. Steward wyjaśnił mu, że łóżek brakuje, ponieważ podczas poprzedniego rejsu transportowali „jakieś cholernie ważne skrzynie z amunicją". Musieli wyrzucić koje i zamienić dwie kajuty na ładownie, bo przepisy pozwalały na przewóz w jednym miejscu na statku określonej ilości materiałów wybuchowych. Tylko ci z paskami na mundurach mieli stałe miejsca do spania.

Duff spuścił nogi z koi i pospiesznie wyszedł na korytarz. Zobaczył plecy w brudnej koszulce Esso znikające w zejściówce do maszynowni.

– Zaczekaj!

Hutchinson się odwrócił.

Duff podszedł do niego.

Mechanik i teraz miał wilgotne oczy, ale nie było w nich zła.

– O czym ty mówisz? – spytał Duff. – Jaka policja? Jakie kwita?

Hutchinson skrzyżował ręce na piersi. Prychnął.

– Zajrzałem do Radia, żeby... – kolejne prychnięcie – ...żeby go przeprosić. Kapitan rozmawiał tam z kimś na lądzie. Obaj siedzieli tyłem i nie słyszeli, że wszedłem.

Duff poczuł, że serce przestaje mu bić, też przyłożył ręce do piersi.

– Mów dalej.

– Kapitan powiedział, że ma na pokładzie niejakiego Johnsona, którego rysopis zgadza się z tym w komunikacie. Mówił, że masz bliznę na gębie i zamustrowałeś tego dnia, który tam podano. Głos w radiu polecił kapitanowi, żeby nic nie robił, bo Duff jest niebezpieczny i policja będzie na niego czekać, gdy dobijemy do brzegu. Kapitan odpowiedział, że się cieszy, bo widział cię podczas akcji w mesie. – Hutchinson pogładził się dwoma palcami po czole.

– Dlaczego mnie ostrzegasz?

Mechanik wzruszył ramionami.

– To kapitan powiedział, że mam przeprosić Radio. I że mogę jeszcze trochę zatrzymać tę robotę wyłącznie dzięki temu, że na mnie nie doniosłeś. A ja chętnie bym tu został.

– Naprawdę?

Hutchinson prychnął.

– Muszę. To jedyna rzecz, w jakiej jestem dobry, przynajmniej według starszego mechanika.

– Tak ci powiedział?

Hutchinson się zaśmiał.

– Przyszedł do mnie dziś wieczorem i oświadczył, żebym sobie za wiele nie wyobrażał, bo jestem na tym statku jak wrzód na dupie, ale mechanik ze mnie niezły. A potem sobie poszedł.

Dużo dziwaków na pokładzie, co nie? – Roześmiał się, wyglądał na wręcz uradowanego. – No, idę tam, gdzie mnie potrzebują.

– Zaczekaj! – Duff go zatrzymał. – Co pomoże skazanemu na śmierć człowiekowi poinformowanie go, że ma pętlę na szyi? Nie mam żadnej możliwości, żeby uciec przed dobiciem do portu.

– To już nie mój problem, Johnson. Jesteśmy kwita.

– Doprawdy? Twój statek przewiózł działa, które zabiły moją żonę i dzieci, Hutchinson. Rzeczywiście, to nie twój problem, tak jak nie moim problemem było to, że kapitan poprosił mnie o podkładkę na wyrzucenie cię z roboty.

Prychnięcie.

– No to skocz do morza. I odpłyń. To tylko kilka mil morskich. ETA[1] to dziewięć godzin, Johnson. – Prychnięcie.

Odwrócił się i zniknął w brzuchu statku.

Duff podszedł do bulaja i wyjrzał na morze. Zaczynało się rozwidniać. Dziewięć godzin do wejścia do portu. Wysokie fale. Jak daleko można dotrzeć wpław przy takiej pogodzie? Ile da się wytrzymać w zimnej wodzie? Dwadzieścia minut? Pół godziny? A poza tym, gdy będą zbliżać się do lądu, kapitan z pewnością wyznaczy kogoś, żeby miał go na oku.

Oparł się czołem o szkło.

Nie ma żadnej drogi ucieczki.

Wrócił do kajuty. Spojrzał na zegarek. Za piętnaście piąta. Już i tak za kwadrans będzie musiał wstawać na wachtę. Położył się na koi i zamknął oczy.

Zobaczył Meredith. Stała na skale za wodą i machała do niego. Przyzywała go.

– Czekamy na ciebie.

Jak we śnie, pomyślał Macbeth. Albo jak po wpłynięciu do podwodnej groty. Mniej więcej tak musi wyglądać

lunatykowanie. W jednej ręce trzymał kieszonkową latarkę, a w drugiej dłoń Lady. Omiótł światłem stolik do ruletki i puste krzesła. Szli dalej. Cienie przesuwały się po ścianach jak duchy. Nad ich głowami skrzyły się fałszywe kryształy.

– Dlaczego tu nikogo nie ma? – spytała Lady.

– Wszyscy sobie poszli. – Macbeth poświecił na szklankę z resztką whisky, pozostawioną na jednym ze stolików do pokera, i odruchowo pomyślał o narkotykach. Już czuł ich brak, ale się trzymał. Był silny, silniejszy niż kiedykolwiek. – Jesteśmy tylko ty i ja.

– Ale przecież my nigdy nie zamykamy. – Puściła jego rękę. – Zamknąłeś Inverness? I wszystko pozmieniałeś! W ogóle nie poznaję tego miejsca. Co to jest?

Przeszli do kolejnej sali, w której snop światła wyłowił z ciemności ciągnący się w głąb rząd jednorękich bandytów. Przypominają armię małych uśpionych robotów, pomyślał Macbeth. Mechanicznych pudełek, które już nigdy się nie obudzą.

– Spójrz, dziecięce trumienki! – jęknęła Lady. – I jest ich dużo, tak dużo! – Głos jej się załamał i znów zaniosła się bezgłośnym płaczem.

Macbeth odciągnął ją od automatów do gry.

– Nie jesteśmy w Inverness, kochana. To Obelisk. Chciałem ci pokazać, co dla ciebie zrobiłem. Zobacz, zamknęli kasyno. Odcięli nawet prąd. To nasze zwycięstwo. Pole bitwy, na którym leży pokonany wróg.

– Tu jest wstrętnie, obrzydliwie! I cuchnie! Czujesz ten zapach? Śmierdzi trupem! Ten smród bije z szafy na ubrania!

– Kochana, to zapach z kuchni. Policja wyrzuciła wszystkich naraz, żeby nikt nie zdążył zatrzeć dowodów. Zobacz, na talerzach ciągle leżą befsztyki!

Macbeth oświetlił stoły nakryte białymi obrusami, stały na nich nadpalone świece i talerze z niedojedzonymi daniami. Zdrętwiał, kiedy światło latarki odbiło się w parze wpatrujących się w nich żółtych ślepi. Lady krzyknęła. Macbeth sięgnął pod kurtkę, ale zdążył dostrzec jedynie mignięcie chudego, żylastego ciała, które zaraz zniknęło w ciemności. Zorientował się, że trzyma w ręku srebrny sztylet.

– Spokojnie, kochana – odezwał się. – To tylko pies. Widocznie wyczuł zapach i jakoś dostał się do środka. Już go nie ma.

– Chcę stąd wyjść! Wyprowadź mnie! Muszę stąd odejść.

– Tak, tak. Widzieliśmy już dość. Wrócimy teraz do Inverness.

– Powiedziałam odejść.

– O co ci chodzi? Odejść dokąd?

– Odejść!

– Ale... – Nie dokończył zdania, a jedynie myśl. Przecież nie mają dokąd odejść. Nigdy nie mieli. Tyle że do tej pory o tym nie myślał. Wszyscy inni mają rodziny, domy dzieciństwa, krewnych, letniska i przyjaciół. Oni mieli tylko siebie i Inverness. Ale nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że to nie wystarczy. Dopiero teraz, kiedy rzucili światu wyzwanie i Macbeth poczuł, że traci Lady. Ona musi do niego wrócić, musi się obudzić. To on powinien wyprowadzić ją z tego ciemnego miejsca, w którym tkwiła uwięziona. Właśnie dlatego zabrał ją tutaj. Ale nawet triumf nie był w stanie przywrócić jej do rzeczywistości. A on tak bardzo jej teraz potrzebował. Jej racjonalnie myślącego mózgu i mocnej dłoni, a nie tej szlochającej bezgłośnie kobiety, która nie miała pojęcia, co się wokół niej dzieje.

– Znaleźliśmy Duffa – powiedział, prowadząc ją szybkim krokiem do wyjścia. – Seyton poleciał samolotem do Capitolu. O drugiej m/s Glamis przybije do brzegu.

Na dworze było już jasno, ale w Obelisku wszystkie okna pozostawały zasłonięte, w środku panował wieczny mrok północy, czas zabawy. Nagle w świetle latarki pojawiły się stoły do gry, nie przypominał sobie, by je widział, kiedy tu wchodzili, teraz zagrodziły im drogę. Odgłos kroków tłumił dywan. Wydało mu się, że słyszy warkot i kłapanie psich zębów za plecami. Cholera, gdzie jest ten pies? I gdzie jest wyjście?

Lennox stanął na zielonej trawie. Zaparkował przy szosie i założył ciemne okulary.

To był jeden z powodów, dla których nigdy nie zamieszka w Fife. Za jasno. Już czuł, że słońce przypieka jego bladoróżową skórę, jakby wkrótce cały miał stanąć w ogniu, niczym jakiś cholerny wampir. Ale on przecież nie był wampirem, prawda?

Niektórych rzeczy nie da się dostrzec, dopóki nie podejdzie się całkiem blisko. Właśnie tak było z wznoszącym się przed nim białym domem. Dopiero z bliska widziało się, że cała ta biel jest nakrapiana małymi czarnymi dziurkami.

29

– Witam na pokładzie – powiedział kapitan m/s Glamis, kiedy pilot wszedł na mostek. – Chciałbym, żebyśmy dzisiaj przybili zgodnie z ETA. Ktoś na nas czeka.

– Damy radę – zapewnił pilot, potrząsnąwszy dłonią kapitana, i usiadł obok niego. – Jeśli maszyny będą działać jak należy.

– A nie działają?

– Jeden z pańskich mechaników prosił, żeby mógł zabrać się moją łodzią na brzeg. Potrzebna mu część do mechanizmu, której starszy

mechanik zażyczył sobie natychmiast po wejściu do portu.

– Tak? – zdziwił się kapitan. – Nic mi o tym nie wiadomo.

– Pewnie jakiś drobiazg.

– Co to był za mechanik?

– Jakiś Hutch. Tam jest. – Pilot wskazał na łódkę, która szybko się od nich oddalała.

Kapitan sięgnął po lornetkę. Na rufie ujrzał bejsbolówkę w tygrysie paski nad plecami w białym T-shircie z logo Esso.

– Coś nie tak? – spytał pilot.

– Nikomu nie wolno opuszczać statku bez mojej wiedzy. A już na pewno dzisiaj. – Wziął do ręki mikrofon interkomu i wcisnął guzik łączący z kambuzem. – Steward!

– Tak, kapitanie – rozległo się na drugim końcu.

– Przyślij Johnsona z dwiema kawami.

– Już idę, kapitanie.

– Johnsona, powiedziałem!

– Ma skurcze żołądka, więc pozwoliłem mu poleżeć, zanim wejdziemy do portu.

– Sprawdź, czy jest w kajucie.

– Tak jest, kapitanie.

Kapitan zwolnił przycisk.

– Trzy stopnie na bakburtę – powiedział pilot.

– *Aye aye* – odparł sternik.

Komisarz Seyton mówił, że najbezpieczniej będzie, jeśli ci, którzy już są poinformowani – czyli kapitan i radiotelegrafista – dalej będą utrzymywać całą sprawę w tajemnicy, tak aby Duff nie mógł się zorientować, że został odkryty. Seyton z dwoma swoimi najlepszymi ludźmi miał czekać na nabrzeżu, gdy statek przybije, a potem wejść na pokład i obezwładnić Duffa. Seyton podkreślał, że podczas akcji załoga ma się trzymać z daleka, żeby nikt nie

ucierpiał w razie ewentualnej strzelaniny. Chociaż w uszach kapitana zabrzmiało to tak, jakby Seyton miał pewność, że do niej dojdzie.

– Kapitanie. – To był steward. – Johnson śpi w swojej koi jak dziecko. Mam go obudzić?

– Nie. Niech śpi. Jest sam w kajucie?

– Tak, kapitanie.

– Dobrze, bardzo dobrze.

Kapitan spojrzał na zegarek. Za godzinę powinno już być po wszystkim. Będzie mógł wrócić do domu, do żony. Kilka dni wolnego. Jeszcze tylko wezwanie na jutro do armatora, w sprawie raportu towarzystwa ubezpieczeniowego o podejrzanie wielu przypadkach tej samej choroby wśród tych członków załogi, którzy pracowali w ładowni m/s Glamis w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Coś z krwią.

– Kurs wygląda na właściwy – stwierdził pilot.

– Miejmy taką nadzieję – mruknął kapitan. – Miejmy taką nadzieję.

Dziesięć po pierwszej. Dziesięć minut temu wielki łeb łosia wyłonił się z zegara na ścianie i zaryczał. Angus się rozejrzał. Żałował teraz wyboru tego miejsca. Wprawdzie w ciągu dnia w Murarzu przesiadywali jedynie bezrobotni i pijacy, ale jednak był to stały bar Gwardii, więc gdyby ktoś z Komendy Głównej zobaczył go tu rozmawiającego z reporterem, wieść o tym prędko dotarłaby do Macbetha. Ale z drugiej strony to mimo wszystko mniej podejrzane, że siedział tu, w swojej stałej knajpie, a nie w jakimś barze na odludziu.

Angusowi się tu jednak nie podobało. Nie podobał mu się łoś. Nie podobało mu się spóźnienie dziennikarza. Dawno już by stąd poszedł, gdyby nie uważał, że to jego ostatnia szansa.

– Przepraszam za spóźnienie.

Gardłowe „r”. Angus podniósł głowę. Jedynie dzięki temu głosowi upewnił się, że stojący przed nim człowiek w żółtym sztormiaku to Walter Kite. Angus czytał, że dziennikarz konsekwentnie odmawia pokazywania się w telewizji, a także publikowania swoich zdjęć w gazetach i magazynach z życia celebrytów, ponieważ uważa, że wygląd odciąga od meritum, a najważniejsze jest słowo.

– Deszcz i duży ruch – wyjaśnił Kite, rozpinając kurtkę. Z jego rzadkich włosów spływała woda.

– Zawsze jest deszcz i duży ruch – odparł Angus.

– I zawsze korzystamy z tego usprawiedliwienia. – Dziennikarz zajął w boksie miejsce naprzeciwko niego. – Prawda jest taka, że spadł mi łańcuch w rowerze.

– Nie sądziłem, że Walter Kite kłamie – powiedział Angus.

– Reporter radiowy Kite nie kłamie nigdy. – Kite uśmiechnął się krzywo. – Z osobą prywatną jest o wiele gorzej.

– Jest pan sam?

– Jak zawsze. Proszę mówić to, czego nie chciał mi pan powiedzieć przez telefon.

Angus głęboko odetchnął i zaczął opowiadać. Nie czuł zdenerwowania, które go dopadło, gdy przedstawiał sprawę Lennoxowi i Caithness. Może dlatego, że karty już zostały wyłożone, nie było drogi odwrotu. Użył mniej więcej tych samych słów co w Estexie dzień wcześniej. Opowiedział też o spotkaniu z Lennoxem i Caithness. Dał Kite’owi wszystko. Nazwiska. Szczegóły z ataku na klub i na Fife. Rozkaz spalenia zwłok dziecka. W trakcie rozmowy Kite sięgnął po serwetkę z pudełka na stole i zaczął czyścić palce z czarnego smaru.

– Dlaczego ja? – Dziennikarz wziął kolejną serwetkę.

– Ponieważ uważa się pana za śmiałego i niezależnego reportera – wyjaśnił Angus.

– Miło słyszeć, że ludzie tak myślą. – Kite przyjrzał mu się uważnie. – Posługuje się pan bardziej wyrafinowanym językiem niż inni młodzi policjanci.

Angus wzruszył ramionami.

– Studiowałem teologię.

– Aha. To tłumaczy zarówno język, jak i sam fakt, że chce się pan narażać. Wierzy pan w zbawienie w zamian za dobre uczynki.

– Myli się pan, panie Kite. Nie wierzę ani w zbawienie, ani w boskość.

– Rozmawiał pan z jakimiś innymi dziennikarzami? – spytał Kite, uśmiechając się krzywo. – Niezależnymi czy zależnymi.

Angus zaprzeczył ruchem głowy.

– To dobrze. Bo jeśli mam pracować nad tą sprawą, to chcę ją mieć na wyłączność. Więc ani słowa innym dziennikarzom. Żadnemu. Zgoda?

Angus kiwnął głową.

– Gdzie mogę pana złapać?

– Mój numer telefonu to...

– Żadnych telefonów. Adres.

Angus zapisał go na poplamionej smarem serwetce Kite'a.

– Co teraz?

Reporter głęboko westchnął. Jak człowiek, który wie, że ma przed sobą ciężką pracę.

– Najpierw muszę sprawdzić kilka rzeczy. To poważna sprawa. Nie chcę być przyłapany na błędzie ani podejrzewany o działanie w czyimś interesie.

– Moim jedynym interesem jest ujawnienie prawdy. I powstrzymanie Macbetha.

Angus zrozumiał, że podniósł głos, bo Kite rozejrzał się po pustawym lokalu, jakby chciał się upewnić, że nikt tego nie słyszał.

– Jeśli to prawda, to kłamstwem jest, że nie wierzy pan w boskość.

– Boga nie ma.

– Myślę o tym, co boskie w człowieku.

– Ma pan na myśli to, co ludzkie w człowieku, Kite. Pragnienie dobra jest równie ludzkie jak grzech.

Kite z namysłem pokiwał głową.

– To pan z nas dwóch jest teologiem. Chociaż przyznaję, że wierzę panu, to muszę sprawdzić całą tę historię. A także pana jako osobę. Chyba właśnie to jest określane jako... – wstał i zapiął sztormiak – ...niezależność.

– Jak pan myśli, kiedy to się ukaże w druku? – Angus nabrał powietrza i znów je wypuścił. – Nie ufam Lennoxowi, on pójdzie z tym do Macbetha.

– Nadam tej sprawie priorytet – obiecał Kite. – W ciągu dwóch dni wiele powinno dać się zrobić. – Wyjął portfel.

– Dziękuję, sam zapłacę za swoją kawę.

– W porządku. – Kite schował portfel z powrotem do kieszeni. – Jest pan rzadkim gatunkiem w tym mieście.

– W każdym razie zagrożonym wyginięciem. – Angus uśmiechnął się blado.

Odprowadził wzrokiem reportera, aż ten zniknął w drzwiach. Dopiero wtedy rozejrzał się po lokalu. Żadnych rzucających się w oczy osób. Wszyscy wyglądali na zainteresowanych swoimi sprawami. Dwa dni. Musi postarać się przeżyć dwa dni.

Seytonowi nie podobał się Capitol. Nie podobały mu się szerokie aleje, okazałe stare budynki parlamentu czy też inne wymysły,

zielone parki, biblioteki i opera, uliczni artyści, malutkie gotyckie kościoły i katedra, wielka tak, że aż śmieszna. Uśmiechnięci ludzie w restauracjach pod chmurką i Teatr Narodowy, którego wybudowanie kosztowało masę pieniędzy, z jego pompatycznymi sztukami, niezrozumiałymi dialogami i cierpiącymi na żądzę władzy królami, którzy umierają w ostatnim akcie.

Dlatego wolał stać obrócony plecami do miasta, ze spojrzeniem utkwionym w murze.

Znajdowali się w kapitanacie portu, m/s Glamis już było widać.

– Na pewno nie chcecie wsparcia? – spytał funkcjonariusz z wyszytym na mundurze logo stołecznej policji.

Przed ich przybyciem doszło do dyskusji na temat jurysdykcji, ale tutejszy komendant był skłonny do współpracy – częściowo, jak stwierdził, ponieważ chodzi o zabójstwo policjanta w innym mieście, a częściowo dlatego, że na pokładzie statku możliwe są wyjątki.

– Jeszcze raz dziękuję, ale jestem najzupełniej pewien – odparł Seyton.

– W porządku, przypominam tylko, że kiedy już zostanie zatrzymany i będziecie go sprowadzać na ląd, my go przejmujemy.

– Oczywiście. Pod warunkiem że będziecie pilnować trapu i statku.

– Nie wymknie się, panie komisarzu. – Policjant z Capitolu wskazał na dwie łodzie wiosłowe, unoszące się na wodzie w odległości pięćdziesięciu metrów od nabrzeża, z funkcjonariuszami w cywilu udającymi, że łowią ryby, ale gotowymi złapać Duffa, gdyby ten wskoczył do morza.

Seyton kiwnął głową. Nie tak dawno to Duff stał i czekał na nabrzeżu w kapitanacie innego portu. Wtedy to on, ten głupek, odmówił przyjęcia wsparcia, ale teraz role się odwróciły – i Duff to

poczuje. Poczuje aż nazbyt mocno. Przez kilka niemających końca sekund. Policja z Capitolu, rzecz jasna, nie znała rozkazu Macbetha. Duffa nie wolno sprowadzić na ląd. Ma zostać zniesiony. W worku na zwłoki.

Statek dał wstecz, woda się zapieniła. Biała piana wzniosła się na powierzchnię jak bąbelki w szampanie. Seyton naładował swój MP5.

– Olafson, Ricardo. Gotowi?

Dwaj gwardziści skinęli głowami. Przeglądali plany statku. Wiedzieli, gdzie jest kajuta Duffa. Spuszczono trap.

– Już – powiedział Seyton.

Wybiegli z budynku i ruszyli na trap. Marynarze gapili się na nich z rozdziawionymi ustami. Kapitan najwyraźniej zdołał utrzymać sprawę w tajemnicy.

Zbiegli po żelaznej drabince, minęli drzwi oznaczone jako kajuta sternika.

Jeszcze niżej. I jeszcze. Zatrzymali się przy drzwiach do kajuty numer dwanaście.

Seyton nasłuchiwał. Ale słyszał wyłącznie własny oddech i warkot silnika statku. Ricardo ustawił się nieco bardziej w głębi korytarza, obserwując wszystkie drzwi, na wypadek gdyby Duff przebywał w innej kajucie i usłyszawszy ich, próbował uciec.

Seyton włączył latarkę, skinieniem głowy dał znak Olafsonowi i wszedł do środka. Latarka okazała się zbędna. W środku było dostatecznie dużo światła. Duff leżał na dolnej koi, obrócony twarzą do ściany i przykryty kocem. Na głowie miał zieloną czapkę, której, jak mówił kapitan, „Johnson" nigdy nie zdejmował. Zawsze naciągał ją na czoło aż po grube okulary. Tylko raz podsunęła mu się do góry i wtedy kapitan zauważył bliznę. Seyton wyjął pistolet, który zamierzał włożyć Duffowi do ręki, i dwukrotnie strzelił

w ścianę za sobą. Huk wystrzału na moment pozbawił go słuchu i przez chwilę Seyton słyszał jedynie głośny pisk. Duff wyraźnie zdrętwiał na koi. Seyton przysunął usta do jego ucha.

– Krzyczeli – wycedził. – Krzyczeli tak, że aż przyjemnie było tego słuchać. Ty też możesz trochę pokrzyczeć, Duff. Bo pomyślałem, że zacznę od strzelenia ci w brzuch. Ze względu na starą znajomość, ty arogancki fiucie!

Od Duffa bił wyraźny odór. Seyton wciągnął go w nozdrza. Ale to nie był przyjemny zapach strachu. To był smród... potu. Starego męskiego potu. Starszego niż tych kilka dni, które minęły od zniknięcia Duffa.

Mężczyzna na koi obrócił się twarzą do Seytona.

To nie była twarz Duffa.

– Że co? – spytał, zrzucając koc i odsłaniając nagi tors i owłosione przedramię.

Seyton przyłożył mu lufę pistoletu maszynowego do czoła.

– Policja. Co tu robisz i gdzie jest Duff?

Mężczyzna prychnął.

– Śpię, chyba widać? I nie mam pojęcia, kto to jest Duff.

– Johnson. – Seyton mocniej przycisnął lufę do czoła mężczyzny, zmuszając go do położenia głowy na poduszce.

Kolejne prychnięcie.

– Junga? A sprawdzaliście na przykład w kambuzie? Albo w innych kajutach? Na tym rejsie kładziemy się w tej koi, która jest wolna. A co ten Johnson zrobił? Wygląda na to, że coś poważnego. Ty, jak chcesz mi zrobić dziurę w głowie, to lepiej, żebyś strzelił, niż masz tak dźgać.

Seyton opuścił pistolet.

– Olafson, weź Ricarda i przeszukajcie statek. – Seyton uważnie przyglądał się twarzy o obwisłych policzkach, którą miał przed

sobą. Węszył. Czy ten człowiek naprawdę się nie bał? Czy też po prostu tylko zakrzepły smród innych funkcji organizmu zagłuszył odór lęku?

Olafson ciągle stał za nim.

– Przeszukać statek! – wrzasnął Seyton i już po sekundzie usłyszał ciężkie walenie butów Olafsona i Ricarda w korytarzu, odgłosy otwierania kolejnych drzwi.

Seyton się wyprostował.

– Jak się nazywasz i dlaczego masz na głowie czapkę Johnsona?

– Hutchinson. A czapkę mogę ci oddać. Wygląda na to, że potrzebujesz czegoś, w co będziesz mógł walić konia.

Seyton uderzył. Broń rozcięła skórę na policzku, pociekła krew. Ale facet nawet się nie skrzywił, chociaż jego oczy napełniły się łzami.

– Odpowiadaj! – syknął Seyton.

– Obudziłem się, bo było zimno. Chciałem włożyć koszulkę, którą zostawiłem tam, na tej skrzyni. Ale moja koszulka i czapka zniknęły. Zamiast nich znalazłem tę czapkę. Zmarzłem, więc ją sobie pożyczyłem, okej? – Hutchinsonowi drżał głos, ale wśród łez przebłyskiwała nienawiść. Strach i nienawiść. Nienawiść i strach. Zawsze to samo, pomyślał Seyton, wycierając krew z lufy.

Z korytarza dobiegły rozzłoszczone głosy. Seyton już wiedział. Wiedział, że mogą przeszukać cały statek, zajrzeć w każdy, nawet najmniejszy zakamarek, a i tak go nie znajdą. Duff zniknął.

30

Duff spieszył szerokimi alejami Capitolu, mijał okazałe stare budynki, parki, ulicznych muzykantów i malarzy portrecistów.

Uśmiechnięta para przy stoliku w restauracji pod chmurką powiedziała mu, jak trafić, kiedy pokazał kartkę z adresem. Młodzi ludzie wpatrywali się w jego brodę, która z jednej strony zaczęła się odklejać. Duff starał się spokojnie minąć katedrę.

Hutchinson zawrócił.

Zawrócił w zejściówce prowadzącej do maszynowni. Przyszedł z powrotem na górę. Wysłuchał historii Duffa. I nawet kiedy Duff opowiadał mu szczegóły, w które, jak wiedział, sam by nie uwierzył, gdyby ktoś mu o nich mówił, Hutchinson dalej kiwał głową, jakby rozpoznawał tę opowieść. Jakby nie było mu obce nic, co ludzie są w stanie sobie nawzajem zrobić. Kiedy Duff skończył, mechanik przedstawił mu plan ucieczki. Zrobił to bez wahania i w sposób tak prosty i oczywisty, iż Duff przypuszczał, że Hutchinson musiał w pewnym momencie wymyślić taką ucieczkę dla samego siebie. Duff miał po prostu włożyć ubranie Hutchinsona, przygotować trap dla pilota i czekać w pogotowiu przy relingu.

– Tylko się pilnuj, musisz stać plecami do mostku, żeby kapitan nie zauważył twojej gęby i żeby myślał, że to ja. Bosman zostawi ci robotę z trapem, kiedy zobaczy, że i tak tam sterczysz. Zrzucisz wcześnie trap, zejdziesz po nim i będziesz stał gotowy na samym końcu, kiedy podpłynie łódź pilota. Wtedy powiesz, że musisz się nią zabrać na ląd, zanim Glamis przybije do brzegu, bo masz odebrać w biurze armatora jakąś część zapasową, potrzebną do kołowrotu napinającego cumy na kei.

– Dlaczego?

– Co?

– Dlaczego to dla mnie robisz?

Hutchinson wzruszył ramionami.

– Wyładowywałem te skrzynie z amunicją. Na kei stał chudy, łysy gliniarz z rękami założonymi na piersi i wyglądał tak, jakby miał zamiar napluć na nas, na gości ładujących je na jego ciężarówkę.

Duff czekał. Na resztę wyjaśnienia.

– Ludzie robią dla siebie różne rzeczy – prychnął Hutchinson. – Jak się okazuje. – Prychnięcie. – Jeśli dobrze cię rozumiem, to jesteś całkiem sam przeciwko... – Wskazał na górne pokłady. – Tym tam. A ja trochę wiem, jak to jest.

Sam. I ci tam.

– Dzięki.

– Nie ma za co, Johnson. – Hutchinson uścisnął wyciągniętą rękę Duffa. Krótko, prawie z zakłopotaniem. A potem znów przesunął dłonią po plastrze na czole. – Następnym razem będę przygotowany i to ty oberwiesz.

– Jasne.

Duff wyszedł już nieco poza centrum.

– Przepraszam, Dystrykt Sześć?

– W tamtą stronę.

Minął kiosk z gazetami na stojaku. Domy stawały się coraz mniejsze, ulice ciaśniejsze.

– Ulica Garbarska?

– Do tamtego skrzyżowania ze światłami, a potem druga albo trzecia w lewo.

Odgłos policyjnej syreny wznosił się i opadał. Tu, w stolicy, brzmiał inaczej. Nie tak twardo i ostro. I miał inną melodię. Mniej ponurą. Nie tak rozdzierająco pozbawioną harmonii.

– Delfin?

– Ten klub nocny? Nie jest przypadkiem zamknięty? Wszystko jedno. Widzi pan tamtą kawiarnię? To obok.

Spojrzenie tego człowieka trochę zbyt długo zawisło na jego bliźnie. Jakby próbowało sobie coś przypomnieć.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Ulica Garbarska 66.

Duff przyglądał się uważnie nazwiskom przy dzwonkach koło dużej spróchniałej drewnianej bramy. Żadne nic mu nie powiedziało. Pociągnął za skrzydło. Otwarte. A raczej zamek zepsuty. W środku było ciemno, postał więc chwilę, czekając, aż źrenice się rozszerzą. Klatka schodowa. Mokre gazety, smród moczu. Dobiegający zza którychś drzwi gruźliczy kaszel. Klaśnięcie przypominające odgłos mocno wymierzonego mokrego policzka. Duff ruszył na górę po schodach. Na każdym piętrze było dwoje drzwi wejściowych do mieszkań, a oprócz tego na każdym półpiętrze jakieś niskie drzwiczki. W końcu nacisnął jeden z dzwonków. Ze środka dobiegło złośliwe ujadanie i szuranie kroków. Otworzyła drobna, niemal komicznie pomarszczona kobieta. Żadnego łańcucha na drzwiach.

– Słucham, mój drogi.

– Dzień dobry pani, jestem komisarz Johnson.

Zmierzyła go wzrokiem pełnym powątpiewania. Domyślał się, że wyczuwa również zapach Hutchinsona bijący z koszulki Esso. W każdym razie zdołał nim zamknąć pysk puchatej ujadającej kulki.

– Szukam... – No właśnie, czego on właściwie szukał? – ...kogoś, do kogo podał mi adres mój przyjaciel Banquo.

– Przykro mi, młody człowieku, ale nie znam żadnego Banqua.

– A Alfiego?

– Alfiego znam. Mieszka na trzecim piętrze po prawej stronie. Przepraszam, ale... hm... broda ci odpada.

– Dziękuję.

Idąc na trzecie piętro, Duff zerwał brodę i okulary. Na drzwiach z prawej strony nie było żadnej wizytówki, tylko dzwonek z przyciskiem wiszącym na metalowej sprężynie.

Duff zapukał. Czekał. Zapukał jeszcze raz, mocniej. Z parteru dobiegł odgłos kolejnego klaśnięcia. Nacisnął klamkę. Zamknięte. Czy powinien poczekać, aż ktoś przyjdzie? To i tak lepsze wyjście, niż pokazywać się na ulicy.

Ściszony kaszel. Odgłos dochodził zza niskich drzwi na półpiętrze. Duff zszedł pięć stopni w dół i szarpnął za klamkę. Drzwi nieco ustąpiły, ale ktoś jakby przytrzymywał je od środka. Zapukał.

Żadnej odpowiedzi.

– Halo? Halo, czy jest tam ktoś?

Wstrzymał oddech i przyłożył ucho do drzwi. Coś usłyszał, jakby szelest papieru. Ktoś się tam chował.

Duff, ciężko tupiąc, zszedł piętro niżej, tam zdjął buty i na palcach wrócił na górę.

Ujął klamkę i mocno szarpnął. Coś pękło, kiedy drzwi ustąpiły.

Sznurek.

Zobaczył samego siebie.

Zdjęcie było niezbyt duże, umieszczone pod nagłówkiem w prawym dolnym rogu stronicy gazety. Gazeta opadła i Duff ujrzał twarz staruszka z bujną zaniedbaną, splątaną brodą. Siedział pochylony do przodu na jakiejś skrzynce, a spodnie miał spuszczone do kostek.

Klaskający kibel. Duff widział takie rozwiązanie już wcześniej w stojących wzdłuż rzeki starych kamienicach dla robotników. Przypuszczał, że nazwa wzięła się od odgłosu, który powstawał, gdy ekskrementy z górnych pięter wpadały do zbiornika na parterze. Jak odgłos mokrego policzka.

– Przepraszam – powiedział Duff. – Czy ty jesteś Alfie?

Mężczyzna się nie odezwał, tylko na niego patrzył. Potem powoli odwrócił gazetę, spojrzał na zdjęcie, a później znów na Duffa. Oblizał wargi.

– Głośniej! – Wskazał na ucho.

Duff podniósł głos.

– Ty jesteś Alfie?

– Głośniej!

– Alfie!

– Cicho. Tak. Alfie.

Może to przez ten krzyk Duff nie zauważył nadejścia kolejnej osoby. Stwierdził tylko, że z tyłu do głowy przyciśnięto mu coś twardego i że jest coś znajomego w głosie szepczącym mu do ucha:

– Tak, tak, to pistolet, komisarzu. Więc się nie ruszaj i po prostu powiedz, jak nas tu znalazłeś i kto cię przysłał.

Duff chciał się odwrócić, ale dłoń tego człowieka kazała mu patrzeć przed siebie, na Alfiego, który najwyraźniej uznał sytuację za wyjaśnioną i wrócił do swojej gazety.

– Nie wiem, kim jesteście. Znalazłem odcisk notatki zapisanej w notesie, który leżał w samochodzie Banqua. I nikt mnie tu nie przysłał. Jestem sam.

– Dlaczego tu przyszedłeś?

– Bo Macbeth próbuje mnie zabić. Tak jak, czego właściwie jestem pewien, zabił Banqua i Fleance'a. Więc doszedłem do wniosku, że jeśli Banquo znał adres, który nazwał bezpieczną przystanią, może to być bezpieczna przystań również dla mnie.

Pauza. Chyba na zastanowienie.

– Chodź.

Duff został obrócony, ale w taki sposób, że osoba z pistoletem ciągle znajdowała się za nim. Podprowadzono go do drzwi, do których wcześniej pukał, a które teraz były otwarte. Wepchnięto

go do dużego pokoju, zatęchłego mimo otwartych na oścież okien. Stał tu duży stół z trzema krzesłami, był też kuchenny blat ze zlewem, lodówka, wąskie łóżko, kanapa i materac na podłodze. I jeszcze jeden człowiek. Siedział na krześle, przedramiona i dłonie położył na stole. Patrzył wprost na Duffa. Miał te same okulary i te same długie nogi, wystające spod stołu. Ale z jakiegoś powodu wyglądał inaczej. Może z powodu brody. A może miał bardziej pociągłą twarz.

– Malcolm – powiedział Duff. – Ty żyjesz.

– Witaj, Duff. Siadaj.

Duff usiadł na krześle naprzeciwko zastępcy komendanta.

Malcolm zdjął okulary. Wyczyścił je.

– Więc myślałeś, że się utopiłem po uśmierceniu Duncana?

– Rzeczywiście początkowo tak myślałem. Dopóki nie zrozumiałem, że za zabójstwo Duncana odpowiada Macbeth. Wtedy dotarło też do mnie, że przypuszczalnie cię utopił, żeby utorować sobie drogę do gabinetu komendanta policji, a ten list pożegnalny był sfałszowany.

– Macbeth groził, że zabije moją córkę, jeśli tego nie podpiszę. Czego chcesz, Duff?

– On mówi... – zaczął głos za plecami Duffa.

– Słyszałem was – przerwał mu Malcolm. – I widzę, że gazety potwierdzają to, co mówisz: Macbeth na ciebie poluje, Duff. Ale oczywiście nie jest wykluczone, że wy dwaj współpracujecie ze sobą, a te notki zamieszczono, żebyś mógł nas podejść.

– Chcesz powiedzieć, że egzekucja mojej rodziny była operacją przykrywkową?

– O tym też czytałem, ale w nic już nie wierzę, Duff. Gdyby Macbeth i cała policja naprawdę szukali cię z takim zacięciem, powinni cię znaleźć.

– Miałem szczęście.

– I przyszedłeś tutaj. – Malcolm zabębnił palcami o blat stołu. – Dlaczego?

– Bezpieczna przystań.

– Bezpieczna? – Malcolm pokręcił głową. – Jesteś policjantem, Duff, i dobrze wiesz, że jeśli tak łatwo nas namierzyć, Macbethowi też może się to udać. Każdy w miarę inteligentny poszukiwany ukrywa się sam i siedzi cicho jak mysz pod miotłą, nie przyłącza się do ludzi, którzy są ścigani tak jak on. Więc daj mi lepszą odpowiedź. Dlaczego tutaj?

– A jak myślisz?

– Chcę, żebyś ty mi to powiedział. Pistolet jest wymierzony w to miejsce, gdzie masz skrwawione serce lub gdzie go nie masz.

Duff przełknął ślinę. Dlaczego tutaj? Oczywiście robił sobie zbyt wielkie nadzieje. Ale też to jego jedyna nadzieja. Szanse miał marne, lecz rachunek był prosty. Wziął głęboki oddech i zaczął mówić:

– Tej nocy, kiedy Banquo zginął, miał się ze mną spotkać i coś mi powiedzieć. A w dniu, w którym zniknąłeś, widział cię jako ostatni. Uznałem za możliwe, że cię znajdę. I że możemy sobie pomóc. Mam dowody, że to Macbeth zabił Duncana. On o tym wie, dlatego chce się mnie pozbyć.

Malcolm uniósł brew.

– A w jaki sposób możemy pomóc sobie nawzajem? Chyba nie wyobrażasz sobie, że pomoże nam policja z Capitolu?

Duff pokręcił głową.

– Mają nakaz aresztowania nas i natychmiastowego odesłania do miasta. Ale wspólnymi siłami możemy obalić Macbetha.

– Żeby pomścić twoją rodzinę.

– Taka była moja pierwsza myśl.

– Ale?

– Ale istnieje coś większego niż zemsta.

– Stanowisko komendanta policji?

– Nie.

Duff wskazał na otwarte okno.

– Capitol to piękne miasto, prawda? Trudno go nie lubić. Można się nawet w nim zakochać, jak w uśmiechniętej pięknej blondynce z blaskiem słońca w oczach. Ale ty i ja nie możemy jej kochać, prawda? Bo my już oddaliśmy serca temu przeklętemu zgniłemu miastu na zachodnim wybrzeżu. Wyparłem się go, myślałem, że nic dla mnie nie znaczy. Że ja i moja kariera jesteśmy ważniejsi od tego miasta, które nie zrobiło nic, oprócz zamroczenia naszych umysłów, skorumpowania naszych serc i skrócenia naszego życia. To idiotyczna, zmarnowana miłość. No ale jest, jak jest. Za późno dociera do nas, kogo naprawdę kochamy.

– Jesteś skłonny poświęcić się dla takiego miasta?

– To nietrudne. – Duff się uśmiechnął. – Już i tak straciłem wszystko. Nie zostało mi do poświęcenia nic oprócz własnego życia. A jak jest z tobą, Malcolm?

– Mam do stracenia córkę.

– Możesz ją uratować tylko wtedy, gdy obalimy Macbetha. Posłuchaj, to ty możesz kontynuować pracę Duncana. Dlatego jestem tutaj, żeby ci towarzyszyć, jeśli zgodzisz się przyjąć stanowisko komendanta policji i rządzić sprawiedliwie.

Malcolm długo mu się przyglądał.

– Ja?

– Tak.

Roześmiał się.

– Dziękuję ci za moralne wsparcie, Duff, ale najpierw wyjaśnijmy sobie kilka kwestii.

– Słucham.

– Przede wszystkim: nigdy cię nie lubiłem.

– To zrozumiałe – przyznał Duff. – Nigdy nie poświęciłem ani jednej myśli nikomu oprócz siebie. Nie twierdzę, że teraz jestem innym człowiekiem, ale to, co się wydarzyło, przynajmniej otworzyło mi oczy. Nadal nie jestem mądry, ale może mniej głupi.

– Może tak to wygląda, a może mówisz tylko coś, co chciałbym usłyszeć. Ale tym, czego nie chcę słyszeć, są brednie nowo nawróconego. Wierzę, że odrobinę się zmieniłeś, ale świat jest taki sam.

– Co masz na myśli?

– Cieszę się, że traktujesz mnie jak osobę względnie uczciwą. Ale jeśli mam cię przyjąć do swojej drużyny, to muszę mieć pewność, że nie masz anielskich skrzydeł, które nie pozwolą ci mocno stąpać po ziemi. Nie sądzisz chyba, że można zajść tak wysoko jak ja bez patrzenia przez palce na niektóre rzeczy? Bez zaakceptowania kilku... wypracowanych procedur dotyczących tego, komu może się upiec, a komu nie. I kto ma dostać brązowe koperty. Jeśli z dnia na dzień odbiera się źle opłacanemu policjantowi wszystkie bonusy, to w jaki sposób pozyskać jego lojalność? I czy nie lepiej wygląda wygranie kilku małych bitew od czasu do czasu niż nieustanne upieranie się przy przegrywaniu dużych?

Duff patrzył na człowieka z brodą, jakby chciał się upewnić, że to naprawdę Malcolm.

– Chodzi ci o to, by odpuścić sobie Hekate, a w zamian zająć się walką z jego drobnymi konkurentami?

– Chodzi mi o realistyczne spojrzenie na świat, mój drogi. Nikt nie potrzebuje komendanta policji, który nie wie, jak ten świat funkcjonuje. Mamy sprawić, aby miasto było lepsze i czyściejsze niż

za naszych poprzedników, Duff, ale za tę pracę należy nam się zapłata.

– Mamy ją sobie wziąć, to chcesz powiedzieć?

– Pragnę dobra, tak samo jak ty, ale nie od razu Rzym zbudowano. Jesteś człowiekiem walki, Duff, ale nie walcz ze swoimi. Znajdź pewien margines, a mnóstwo rzeczy na dłuższą metę się polepszy. Przyłączysz się do mnie?

– Chcesz brać pieniądze od Hekate, zamiast z nim walczyć?

– Z Hekate nie zdołamy wygrać, Duff. Przynajmniej na razie. W tym czasie możemy mu kazać częściowo finansować nasze płace, żebyśmy byli dobrze uzbrojeni do walki z inną przestępczością w mieście. Wiadomo przecież, że mamy tam co robić.

Duff dopiero teraz poczuł zmęczenie. I dziwną ulgę. Bój dobiegł końca. Duff mógł się poddać. Mógł odpocząć. U Meredith. Pokręcił głową.

– Na to nie mogę się zgodzić. Nie na takiego Malcolma liczyłem. A z tobą przepadła moja ostatnia nadzieja.

– Chcesz powiedzieć, że istnieją lepsi ludzie? Że ty jesteś lepszym człowiekiem?

– Nie ja. Ale spotkałem na statku ludzi lepszych od ciebie i ode mnie, Malcolmie. Dlatego kiedy za chwilę wstanę, żeby wyjść, musisz się prędko zdecydować, czy pozwolisz mi odejść, czy mnie zastrzelisz.

– Nie mogę ci pozwolić odejść, teraz, kiedy wiesz, gdzie się ukrywam. Chyba że przysięgniesz, że mnie nie zdradzisz.

– Przysięga złożona jednemu zdrajcy przez drugiego niewiele byłaby warta, Malcolmie, ale mimo to i tak nic ci nie obiecam. Czy mogę prosić o strzał w głowę? Rodzina na mnie czeka.

Duff wstał, ale Malcolm też się podniósł. Położył mu obie ręce na ramionach i zmusił, by z powrotem usiadł.

– Zadałeś mi sporo pytań, Duff. A w wywiadzie pytania najczęściej wiele ujawniają i zawierają więcej prawdy niż odpowiedzi. Kłamałem, a twoje pytania były właściwe. Ale nie miałem pewności, czy twoje święte oburzenie jest szczere. Przekonałem się o tym dopiero teraz, kiedy wstałeś i byłeś gotów przyjąć kulę w imię czystości szeregów policji i miasta.

Duff zamrugał. Ciało wydało mu się nagle straszliwie ciężkie. Poczuł, że jeszcze chwila, a osunie się na ziemię.

– Jest nas w tym pokoju trzech – ciągnął Malcolm. – Trzech chętnych do poświęcenia wszystkiego dla kontynuowania dzieła Duncana. – Założył na nos wyczyszczone okulary. – Trzech mężczyzn, którzy może nie są lepsi od innych. Może chodzi o to, że już tyle straciliśmy, więc poświęcenie reszty niewiele nas kosztuje. Ale takie jest ziarno i logika rewolucji. Więc nie upajajmy się własną moralną doskonałością. Przyjmijmy, że mamy wolę postępować słusznie bez względu na to, czy paliwem dla tej woli jest wyłącznie poczucie sprawiedliwości, czy również... – wzruszył ramionami – ...żądza zemsty ojca rodziny, wstyd zdrajcy, samozachwyt moralny uprzywilejowanego i lęk bogobojnego przed smażeniem się w piekle. Bo to jest słuszne, a nam w tej chwili potrzebna jest właśnie ta wola. Nie ma bowiem prostych dróg do sprawiedliwości i czystości, jest tylko droga trudna.

– Trzech mężczyzn – powtórzył Duff.

– Ty, ja i...

– ...Fleance – dokończył Duff. – Jak ci się to udało, chłopcze?

– Ojciec kopniakiem zrzucił mnie z mostu – odpowiedział mu głos za plecami. – A wcześniej nauczył mnie tego, czego nigdy nie zdołał nauczyć Macbetha. Pływać.

Duff spojrzał na Malcolma, który westchnął, ale potem na jego twarzy pojawił się uśmiech. I ku swojemu zdumieniu Duff poczuł,

że sam się uśmiecha. Coś chciało mu się wydrzeć z gardła. Szloch. Zrozumiał jednak, że to śmiech, a nie płacz, kiedy zobaczył, że Malcolm też zaczyna się śmiać, a za nim Fleance. Wojenny śmiech.

– Co?

Odwrócili się do starego Alfiego, który stał w drzwiach jak żywy znak zapytania z gazetą w ręku, i roześmiali się jeszcze głośniej.

31

Lennox wyglądał przez okno. W ręku ważył granat. Och, Angus, Angus! Wciąż jeszcze nie powiedział nikomu o spotkaniu w Estexie. Dlaczego? Nie wiedział. Wiedział jedynie, że nie zrobił kompletnie nic przez cały dzień. Podobnie jak wczoraj. I przedwczoraj. Za każdym razem, gdy próbował przeczytać jakiś raport, tracił koncentrację. Litery jakby się przesuwały, tworząc nowe słowa. „Doręczyciel" układało się w „donosiciel", a „narada" w „zdrada". Za każdym razem, gdy podnosił słuchawkę, żeby zadzwonić, zdawała się ważyć tonę, musiał więc czym prędzej ją odkładać. Próbował czytać gazetę, ale dotarło do niego tylko to, że swoją kandydaturę na burmistrza zgłosił stary zacny Zimmermann. Nie był człowiekiem ani kontrowersyjnym, ani charyzmatycznym – owszem, szanowano jego zdolności, lecz oczywiście nie stanowił żadnego realnego zagrożenia dla Tourtella. Lennox zaczął też studiować artykuł o rosnącym handlu narkotykami, który według ONZ-etu stał się drugą co do wielkości po przemyśle zbrojeniowym gałęzią gospodarki – zanim zrozumiał, że tylko wpatruje się w zdania, ale z treści nic do niego nie dociera.

Minęło osiem dni od czasu, gdy Duff wymknął im się z rąk w Capitolu. Kiedy Lennox i Seyton stawili się w gabinecie komendanta, Macbeth był taki wściekły, że dosłownie toczył pianę z ust. Białe banieczki śliny zbierały mu się w kącikach warg, kiedy wrzeszczał, że Lennox i Seyton zrobili z niego w stolicy idiotę, a wszystko przez to, że nie wywiązali się ze swojego zadania i nie złapali Duffa, kiedy jeszcze przebywał w mieście. Lennox paradoksalnie czuł ulgę na myśl o tym, że Duff ciągle żyje i jest na wolności.

Na zewnątrz zostało już niewiele światła, lecz mimo to oczy go piekły. Może dziś potrzebował dodatkowej dawki. Tylko po to, żeby jakoś przetrwać ten dzień, bo jutro na pewno będzie lepiej.

– Czy to prawdziwy granat ręczny, czy coś, z czego masz zamiar zrobić popielniczkę?

Lennox odwrócił się, słysząc głos od strony drzwi.

Macbeth stał w dziwnej pozycji, lekko pochylony do przodu, z rękami wzdłuż boków, jakby opierał się silnemu wiatrowi, głowę miał nieco wysuniętą i opuszczoną. Patrzył na Lennoxa spode łba.

– Mój dziadek dostał nim w głowę podczas pierwszej wojny światowej.

– Kłamstwo. – Macbeth się roześmiał. Wszedł i zamknął za sobą drzwi. – To niemiecki stielhandgranate dwadzieścia cztery, zaczęto ich używać dopiero w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym. Czyli popielniczka.

– Nie sądzę, żeby dziadek...

Macbeth wyjął granat z ręki Lennoxa, chwycił za sznurek na końcu trzonka i zaczął go wyciągać.

– Nie!

Macbeth, unosząc brew, spojrzał na przerażonego szefa Wydziału Antykorupcyjnego. Lennox wyjąkał:

– B-bo wybuchnie...

– ...i zniszczy historię twojego dziadka? – Macbeth wepchnął sznurek z powrotem do trzonka i odłożył granat na biurko. – Tego, rzecz jasna, nie chcemy. Nad czym tak dumałeś, komisarzu?

– Nad korupcją. – Lennox schował granat do szuflady. – I antykorupcją.

Macbeth wysunął krzesło przeznaczone dla gości na środek pokoju.

– Czym właściwie jest korupcja, Lennox? Czy święcie przekonany o swoich racjach rewolucjonista, któremu płaci się za szpiegowanie naszego aparatu państwowego, jest skorumpowany? Czy posłuszny, ale bierny sługa, nierobiący nic oprócz przyjmowania stałego, choć nierozsądnie wysokiego wynagrodzenia w systemie, o którym wie, że jest skorumpowany, sam jest skorumpowany?

– Jest wiele szarych stref, komendancie. Z reguły człowiek sam wie, czy jest skorumpowany, czy nie.

– Chcesz powiedzieć, że to sprawa odczuć? – Macbeth usiadł, więc Lennox również zajął miejsce, żeby nie górować nad komendantem. – Czyli jeśli nie czujesz się skorumpowany, ponieważ rodzina, którą utrzymujesz, jest uzależniona od tych dochodów, to wówczas nie mamy do czynienia z korupcją? Jeśli motyw jest dobry – dobro rodziny, dobro miasta – to możemy słowo „korupcja" zamienić na określenie... hm... na przykład „polityka praktyczna"?

– Wydaje mi się, że jest odwrotnie – zaoponował Lennox. – Kiedy człowiek wie, że jego jedynym motywem jest chciwość, ucieka się do eufemistycznych określeń samego siebie. Natomiast moralnie usprawiedliwione przestępstwo nie wymaga żadnych eufemizmów. Radzimy sobie, nazywając je po imieniu. Korupcja, napad, morderstwo.

– A więc siedzisz tu sobie i rozmyślasz. – Macbeth podparł brodę dłonią. – Zastanawiasz się, czy jesteś skorumpowany, czy nie.

– Ja? – Lennox zaśmiał się krótko. – Ja mówię o tym, czym zajmuje się nasz wydział.

– A jednak zawsze mówimy o nas samych. I wciąż będę twierdził, że sytuacja przymusu każe ludziom określać swoje własne skorumpowanie innym mianem. Jeśli zapłatą, jaką otrzymujesz za wykorzystywanie stanowiska, nie są pieniądze, ale łaska. Życie. Na przykład życie twojej rodziny. Rozumiesz?

– Nie jestem pewien... – Lennox się zawahał.

– Dam ci przykład – powiedział Macbeth. – Młody funkcjonariusz policji kontaktuje się z pewnym reporterem radiowym, znanym ze swojej niezależności. Uważa, że ma do opowiedzenia historię, która może obalić ze stanowiska komendanta policji. Ten zdradziecki funkcjonariusz, nazwijmy go Angus, nie wie, że ów reporter ma pewne... związki z komendantem i nie bez powodu będzie się obawiał o życie własnej rodziny, jeśli nie zrobi tego, co komendant policji mu poleci. Dlatego reporter informuje komendanta o niecnych planach funkcjonariusza. Reporter obiecał wrócić do młodego policjanta, komendant kazał mu się z nim spotkać w miejscu, w którym nikt nie może ich zobaczyć ani usłyszeć, gdzie szef albo jego ludzie mogą... Sam rozumiesz.

Lennox nie odpowiedział. Wytarł tylko dłonie o spodnie.

– Szef jest więc bezpieczny, ale oczywiście zadaje sobie pytanie, kto tu właściwie jest skorumpowany: młody funkcjonariusz, reporter czy... kto, jak myślisz?

Lennox chrząknął niepewnie.

– Sam komendant policji?

– Nie, nie. – Macbeth pokręcił głową. – Ten trzeci. Ten, który od razu powinien był powiadomić o wszystkim komendanta. Trzecia osoba, która wiedziała o planach tego funkcjonariusza. Ktoś, kto nie chciał się w nie zaangażować, lecz mimo wszystko został pośrednio wplątany w spisek, bo nie zwrócił się z tym do szefa policji, a tym samym go nie wyratował. W każdym razie nie zrobił tego do tej pory. Ponieważ musi pomyśleć. I myśli. A podczas tego myślenia sam staje się człowiekiem skorumpowanym, prawda?

Lennox usiłował wytrzymać spojrzenie Macbetha. Ale czuł się tak, jakby patrzył na słońce.

– Spotkanie w Estexie, Lennox. Nie wiem, kiedy zamierzałeś mi o nim powiedzieć.

Lennox mrugał i mrugał.

– Ja... ja... myślałem...

– Trudno nie myśleć. Myśli same przychodzą do głowy, prawda? A bez względu na to, za jak niezależną uważamy wolę, to kierują nią myśli, zarówno proszone, jak i nieproszone. Powiedz mi, jakie myśli przyszły do ciebie, Lennox.

– Ta osoba...

– Powiedz, jak się nazywa.

– On jest...

– Powiedz, jak się nazywa.

Lennox wziął głęboki wdech.

– Aspirant Angus.

– Mów dalej.

– Przecież znasz Angusa. Jest młody. Impulsywny. A po tym wszystkim, co się wydarzyło ostatnio, każdy może zareagować nieracjonalnie. Pomyślałem, że zanim zwrócę się do ciebie z tymi ciężkimi oskarżeniami, spróbuję go przekonać, żeby poszedł po rozum do głowy, trochę otrzeźwiał.

– Przez ten czas o niczym mnie nie informując? Ponieważ uznałeś, że twoja ocena sytuacji będzie lepsza niż moja? Że nie dam Angusowi, którego osobiście zatrudniałem w Gwardii, szansy numer dwa? Że pozwolę, by jego przegrzana, ale poza tym niewinna głowa została od razu obcięta?

– Ja... – Lennox nie mógł znaleźć dalszego ciągu tego zdania.

– Mylisz się, Lennox. Zawsze daję swoim podwładnym dwie szanse. Zasada ta dotyczy zarówno Angusa, jak i ciebie.

– Cieszę się, że to słyszę.

– Wierzę w wielkoduszność. W ogóle więc nie ruszałbym tej sprawy, gdyby Angus pożałował tego, co zrobił, i odmówił kolejnego spotkania z reporterem. Więcej bym o tym nie myślał. Poszedłbym dalej. Niestety, aspirant Angus tak się nie zachował. Zgodził się na to spotkanie. A ja nie mam trzeciego policzka, który mógłbym nadstawić.

Macbeth wstał i podszedł do okna.

– Co mi przypomina o twojej drugiej szansie, Lennox. Mój reporter został poinformowany, że ty i Seyton przyjdziecie na to spotkanie. Odbędzie się dziś wieczorem w fabryce Estex. Angus jest przekonany, że zjawi się też fotograf, mający zrobić zdjęcie pieca, w którym, jak Angus sądzi, unicestwiono zwłoki niemowlęcia. Właśnie tam osobiście ukarzesz zdrajcę.

– Ukarzę?

– Karę wymierzysz i wyegzekwujesz sam. Moim jedynym wymogiem jest to, że ma ona mieć skutek śmiertelny. – Macbeth odwrócił się do Lennoxa, który ciężko oddychał przez usta. – Później Seyton pomoże ci pozbyć się ciała.

– Ale...

– Z pewnością istnieją też trzecie szanse. A jak w ogóle czuje się twoja rodzina?

Lennox otworzył usta i wydał z siebie nieokreślony dźwięk.

– To świetnie. Wobec tego Seyton przyjdzie po ciebie o szóstej. W zależności od tego, jaką karę wybierzesz, i tak powinniście uporać się z tym w półtorej godziny. Dlatego proponuję, żebyś zadzwonił do swojej czarującej żony i zapowiedział, że spóźnisz się na obiad, ale tylko trochę. Zakupy, które zrobiła, wskazują, że planuje krwawy pudding[2].

Macbeth wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Lennox oparł głowę na rękach. Mięczak. Stworzenie bez jednej kości w ciele.

Strzał. Potrzebował tego jak nigdy.

Idąc przez korytarz, Macbeth mocno stukał obcasami. Starał się w ten sposób zagłuszyć głos, który wołał, że musi dostać power. Albo wywar. Cokolwiek. Nie brał już ponad tydzień. Musiało być gorzej, zanim się polepszy, ale polepszy się na pewno. Udało mu się to już wcześniej i uda się znów. Tylko ten przeklęty pot, który tak cuchnął. Śmierdział złością, strachem i bólem. Ale to minie. Wszystko minie. Musi minąć. Macbeth przeszedł przez sekretariat.

– Komendancie...

– Żadnych wiadomości, żadnych telefonów, Priscillo.

– Ale...

– Nie teraz, później!

– Ma pan gościa.

Macbeth gwałtownie wyhamował.

– Wpuściłaś kogoś... – wskazał na drzwi do gabinetu – ...tam?

– Nalegała. – Na twarzy Priscilli malowała się rozpacz. – To pańska żona.

– Co? – wyrwało mu się ze zdumienia. Zapiął dolny guzik mundurowej kurtki i wszedł do pokoju.

Stała za jego biurkiem, wpatrzona w obraz na ścianie.

– Kochany, naprawdę musisz coś zrobić z tym dziełem sztuki.

Macbeth wpatrywał się w Lady z niedowierzaniem. Była w futrze, pod którym miała skromny, elegancki kostium, i najwyraźniej przyszła prosto od fryzjera. Wyglądała na wypoczętą i pełną energii. Zbliżył się do niej ostrożnie.

– Jak... jak się czujesz, kochana?

– Znakomicie – odparła. – Widzę, że to propagandowy obraz. Ale co właściwie usiłuje przekazać?

Macbeth nie mógł oderwać od niej oczu. Gdzie się podziała ta szalona osoba, którą widział wczoraj? Zniknęła.

– Kochany?

Macbeth podniósł wzrok i spojrzał na obraz. Na grubo ciosane twarze robotników.

– Został po moich poprzednikach. Na pewno go wymienię. Tak się cieszę, że lepiej się czujesz. Czy... dostałaś jakiś nowy lek?

Pokręciła głową.

– Żadnych leków. Skończyłam z lekami. Ze wszystkimi lekami.

– Bo nie ma już leku?

Uśmiechnęła się przelotnie.

– Rzeczywiście, zauważyłam, że się skończył. Ty też go rzuciłeś. – Usiadła na jego fotelu za biurkiem. – Trochę... ciasny, prawda?

– Możliwe. – Macbeth zajął jedno z krzeseł dla gości.

Może jej szaleństwo było tylko labiryntem, z którego znalazła wreszcie wyjście.

– Dobrze, że się ze mną zgadzasz. Bo widzisz, rozmawiałam dziś rano z Jackiem. O tym planie, który ułożyliście w związku z wyborami burmistrza.

– Aha. I co o nim myślisz?

Lady ściągnęła usta i zakołysała głową na boki.

– Postaraliście się, jak umieliście. Ale zapomnieliście o jednej rzeczy.

– O czym?

– Uważacie, że powinniśmy wypuścić informację o romansie Tourtella z tym chłopcem tuż przed wyborami. A potem ty, pogromca Swena, pojawisz się, żeby zapełnić pustkę tuż przed pójściem ludzi do urn wyborczych.

– No tak – przyznał Macbeth z entuzjazmem.

– Problem polega na tym, że ta pustka właśnie się zapełniła, kiedy Zimmermann obwieścił, że będzie kandydował w wyborach.

– Ten nudziarz? Przecież on nikogo nie obchodzi.

– Zimmermann wprawdzie nie ma wielkiej charyzmy, ale ludzie go znają i wiedzą, czego mogą się po nim spodziewać. Czują się przy nim bezpiecznie. A poczucie bezpieczeństwa jest bardzo ważne w tych dramatycznych czasach. Właśnie dlatego wybraliby ponownie Tourtella.

– Naprawdę sądzisz, że Zimmermann mógłby mnie pokonać?

– Tak – odparła Lady. – Chyba że dostaniesz oficjalne poparcie od Tourtella jeszcze niepowiązanego z żadnym skandalem. A ponadto rozprawisz się z Hekate. Jeśli udadzą ci się te dwie sztuczki, będziesz niepokonany.

Macbeth poczuł pewną ulgę. Lady wydostała się z labiryntu. Znów była tutaj, przy nim.

– No dobrze, ale jak to zrobić?

– Stawiając Tourtellowi ultimatum. Albo dobrowolnie wycofa swoją kandydaturę, uzasadniając rezygnację wiekiem i stanem zdrowia, a oficjalnie udzieli ci pełnego poparcia. Albo zostanie zmuszony do rezygnacji, ponieważ zagrozimy ujawnieniem jego perwersyjnych świństw, w wyniku czego zostanie aresztowany i pójdzie siedzieć, a sam dobrze wie, co czeka w więzieniu pederastów. To nie powinien być dla niego zbyt trudny wybór.

– Hm. – Macbeth podrapał się w brodę. – Zrobilibyśmy sobie z niego wroga.

– Z Tourtella? Przeciwnie. On rozumie walkę wyborczą i będzie wdzięczny za umożliwienie mu odpowiedniego wyjścia.

– Pozwól mi to sobie przemyśleć.

– To już jest przemyślane, kochany. Nie musisz się nad tym zastanawiać. Pozostaje jeszcze kwestia mistrza marionetek, Hekate.

Najwyższa pora usunąć go z drogi.

– Nie jestem pewien, czy to takie mądre, moja kochana. Pamiętaj, że jest naszym gwarantem i obrońcą w walce z przeciwnikami.

– Na razie Hekate jeszcze się nie upomniał o zapłatę za zrobienie z ciebie komendanta policji – zauważyła Lady. – Ale wkrótce przyjdzie czas rozliczeń. A wówczas musisz zrobić tak... – uniosła łokieć, jakby był przymocowany do sznurka – ...i tak. – Wymierzyła kopniaka. – Chcesz być marionetką Hekate, kochany? On nie zadowoli się lekkim zwolnieniem pościgu za nim. Będzie chciał coraz więcej, aż w końcu zażąda wszystkiego. Ludzie jego pokroju tacy już są. Należy więc zadać sobie pytanie, czy chcesz, aby Hekate rządził miastem za twoim pośrednictwem, czy raczej... – oparła łokcie o blat – ...wolisz sam być mistrzem marionetek. Zostać bohaterem, który pokonał Hekate, a potem objął funkcję burmistrza.

Macbeth długo na nią patrzył. W końcu powoli skinął głową.

– Zaproszę Tourtella na prywatną partię blackjacka – podjęła Lady, wstając. – A ty prześlesz Hekate wiadomość, że chcesz się z nim spotkać w cztery oczy.

– Dlaczego sądzisz, że się na to zgodzi?

– Ponieważ w podzięce za fotel komendanta policji ofiarujesz mu walizkę pełną złota.

– Myślisz, że chwyci tę przynętę?

– Niektórych ludzi zaślepia możliwość posiadania władzy, innych możliwość posiadania pieniędzy. Hekate należy do tego ostatniego typu. Szczegóły podam ci później.

Macbeth odprowadził ją do drzwi.

– Kochana – powiedział, kładąc jej rękę na plecach i delikatnie gładząc gęste futro. – Dobrze, że wróciłaś.

– I ja się cieszę – odparła, nadstawiając policzek do pocałunku. – Bądź silny. Starajmy się nawzajem dodać sobie siły.

Popatrzył jeszcze, jak majestatycznie przechodzi przez sekretariat, i zadał sobie pytanie, czy kiedykolwiek w pełni zrozumie, kim jest ta kobieta. I czy na pewno chciałby to zrozumieć. Czy właśnie przez to tak nieodparcie go pociągała.

Lennox i Seyton zaparkowali na drodze naprzeciwko Estexu. Było tak ciemno, że Lennox nie widział deszczu, słyszał jedynie jego szept, gdy delikatne krople padały na dach i przednią szybę.

– Jest reporter – powiedział Seyton.

Na drodze zamajaczyło światełko roweru. Skręciło w bramę i zniknęło.

– Dajemy mu dwie minuty. – Seyton sprawdził swój pistolet maszynowy.

Lennox ziewnął. Na szczęście udało mu się zdobyć działkę.

– Już – oznajmił Seyton.

Wysiedli, w ciemności przebiegli za bramę, weszli do fabryki.

Z pokoju brygadzisty na górze dobiegały głosy.

Seyton powęszył w powietrzu. W końcu ruchem głowy wskazał na żelazne schody.

Po cichu przekradli się na górę. Lennox napawał się cudowną nieobecnością myśli i chłodem stali balustrady, dosłownie szczypiącym w ręce. Stanęli tuż przed drzwiami. Narkotyk sprawiał, że Lennox czuł się tak, jakby siedział w ciepłym, bezpiecznym pokoju i przyglądał się samemu sobie. Szum głosów dobiegających zza drzwi przypominał mu, jak będąc dzieckiem, po położeniu się spać wsłuchiwał się w głosy rodziców.

– Kiedy to się ukaże drukiem? – dało się słyszeć głos Angusa.

Arogancka odpowiedź padła z gardłowym „r”.

– Pomijając fakt, że w radiu nic się nie ukazuje drukiem, mam nadzieję...

Kiedy Seyton otworzył drzwi, ktoś jakby wcisnął przycisk stopu w magnetofonie kasetowym. Oczy Walta Kite'a osłonięte szkłami okularów były ogromne. Z lęku. Z podniecenia. Z ulgi? W każdym razie nie z zaskoczenia, bo Lennox i Seyton stawili się punktualnie.

– Dobry wieczór – odezwał się Lennox. Czuł, jak po jego twarzy rozlewa się ciepły uśmiech.

Angus zerwał się z miejsca, przewracając krzesło, na którym do tej pory siedział, i sięgnął pod kurtkę. Zamarł jednak, gdy zobaczył pistolet maszynowy Seytona.

Zapadła cisza. Kite zaczął zapinać swój żółty sztormiak. Sytuacja zaczęła przypominać tę w męskiej toalecie. Nie wymieniono żadnych spojrzeń, nie padło żadne słowo. Kite prędko wyszedł ze spuszczoną głową. Zrobił już swoje. Smród zostawił innym.

– Na co czekasz, Lennox? – spytał Angus.

Lennox dopiero teraz zauważył własną wyciągniętą rękę i trzymany w niej pistolet.

– Na to, by reporter odszedł dostatecznie daleko. Tak żeby nie usłyszał wystrzału – odparł.

Grdyka Angusa poruszyła się w górę i w dół.

– Więc zamierzasz mnie zastrzelić?

– Chyba że masz jakąś inną propozycję. Dostałem wolną rękę co do wyboru sposobu, w jaki ma się to stać.

– Okej.

– Okej, czyli „rozumiem" czy „tak, chcę zostać zastrzelony"?

– Czyli...

Lennox nacisnął spust. W zamkniętym pokoju poczuł fizyczne uderzenie dźwięku o błony bębenkowe. Otworzył oczy. Ale Angus

ciągle przed nim stał. Teraz z otwartymi ustami. Za to w segregatorze stojącym na półce była dziura.

– Przepraszam. – Lennox zrobił dwa kroki do przodu. – Pomyślałem, że nagły strzał w głowę byłby najbardziej humanitarnym rozwiązaniem w tej sytuacji. Ale głowy są takie małe, więc stój spokojnie, proszę... – Z ust wydobył mu się mimowolny chichot.

– Komisarzu Lennox, nie...

Drugi strzał był celny, trzeci także.

– Nie żebym miał krytykować – odezwał się Seyton, patrząc na martwego Angusa. – Ale o wiele praktyczniejszym rozwiązaniem byłoby, gdybyś kazał mu zejść w pobliże pieców i dopiero tam to zrobił. Teraz będziemy musieli go znieść.

Lennox nie odpowiedział, obserwował tylko kałużę krwi wypływającą z ciała młodego mężczyzny i kierującą się w jego stronę. Kształty i kolory miały w sobie jakieś niesłychane piękno, lśniąca czerwień i sposób, w jaki rozpościerała się we wszystkich kierunkach. Jak czerwone balony.

Pozbierali puste łuski, umyli podłogę, wydłubali ze ściany kulę z chybionego strzału. Przenieśli Angusa do hali fabrycznej, zdjęli mu zegarek, łańcuszek ze złotym krzyżykiem, a potem umieścili zwłoki w jednym z pieców, zamknęli go i uruchomili. Czekali. Lennox wpatrywał się w rynienkę odchodzącą od dołu pieca do naczynia na podłodze. Z pieca dobiegały ciche syki.

– Co się dzieje z...

– Wyparowuje – odparł Seyton. – W temperaturze ponad dwóch tysięcy stopni wszystko wyparowuje albo zmienia się w popiół. Z wyjątkiem metalu, który po prostu się topi.

Lennox pokiwał głową. Nie był w stanie oderwać wzroku od rynienki. Wreszcie ukazała się w niej szara drżąca kropla pokryta

błoną, jakby kożuchem.

– Ołów – wyjaśnił Seyton. – Topi się w temperaturze około trzystu trzydziestu stopni.

Nadal czekali. Syki w środku ustały.

Wreszcie pojawiła się złota kropla.

– No to zarobiliśmy tysiaka – stwierdził Seyton.

– Co... co to jest?

– Złoto.

– Ale przecież zdjęliśmy...

– Z zębów. Zaczekamy, aż będzie ponad tysiąc sześćset stopni. Na wypadek gdyby miał w ciele coś ze stali. Później wystarczy tylko wyciągnąć odkurzaczem popiół. Hej, dobrze się czujesz?

– Trochę mi się tylko kręci w głowie. Jeszcze nigdy... hm... nikogo wcześniej nie zastrzeliłem. Dla ciebie to nie pierwszyzna, ale pewnie pamiętasz swój pierwszy raz.

– Owszem – powiedział Seyton cicho.

Lennox chciał spytać, co Seyton wtedy czuł, ale jakiś błysk w oczach dowódcy Gwardii kazał mu milczeć.

32

Macbeth stał na dachu Inverness i patrzył przez lornetkę skierowaną na wschód. W ciemności trudno było coś stwierdzić z całą pewnością, ale czy ze szczytu murowanego komina Estexu nie unosił się dym? Jeśli tak, to sprawa została załatwiona, a w ich pajęczej sieci znalazło się dwóch kolejnych mężczyzn z krwią na rękach. Kite i Lennox. Kite mógł się przydać w walce wyborczej o urząd burmistrza. Jeśli w ogóle pojawią się jacyś kontrkandydaci.

A Lennox niedługo będzie musiał sobie poszukać innego dostawcy narkotyków, bo Hekate wkrótce przejdzie do historii.

Macbeth przez piętnaście minut czekał przy schodach do toalety na Dworcu Centralnym, zanim wreszcie pojawiła się Strega. Najpierw odmówił przyjęcia torebeczek z powerem i oświadczył, że przyszedł tylko po to, aby przekazała Hekate wiadomość, iż Macbeth chce się z nim jak najszybciej spotkać – poinformować go nieco o swoich planach na przyszłość, a poza tym wręczyć upominek w dowód wdzięczności swojej i Lady za to, co Hekate dla nich zrobił. Upominek, który Hekate – jeśli plotki o tym, że lubi złoto, były prawdziwe – z pewnością doceni.

Strega odpowiedziała, że się do niego zgłosi. Być może.

Tak, z komina naprawdę unosił się dym.

– Kochany, jest tutaj Tourtell.

Macbeth się odwrócił. W drzwiach stała Lady. Włożyła czerwoną suknię.

– Już idę. Ślicznie wyglądasz, mówiłem ci to?

– Owszem, i to jedyna rzecz, jaką przez pewien czas powinieneś mówić, kochany. Pozwól, że to ja będę zabierać głos, a dalej działamy według planu.

Macbeth się roześmiał. Lady rzeczywiście wróciła na dobre.

Zarówno w salonie gier, jak i w restauracji było tylu gości, że musieli dosłownie przeciskać się między nimi do stolika, który polecili wstawić do osobnego pomieszczenia na końcu restauracji, gdzie już czekał na nich Tourtell.

– Dzisiaj sam? – spytał Macbeth, ściskając rękę burmistrza.

– Młodzież musi się uczyć do egzaminu. – Tourtell się uśmiechnął. – Widziałem, że na zewnątrz ustawiła się kolejka.

– Już od osiemnastej. – Lady usiadła obok niego. – Jest tylu ludzi, że musiałam namawiać Jacka, aby był tu naszym krupierem.

– Co mi mówi, że w mieście jest dość miejsca dla dwóch kasyn. – Tourtell pociągnął się za muszkę. – Wiecie przecież, jak bardzo niezadowoleni mogą być wyborcy, jeśli nie będą mieli dokąd chodzić, żeby przegrać swoje pieniądze.

– Zgadzam się. – Lady skinęła na kelnera. – Czy burmistrz ma dzisiaj swój szczęśliwy wieczór, Jack?

– Trochę za wcześnie, żeby coś powiedzieć – odparł z uśmiechem Jack ubrany w czerwoną krupierską marynarkę. – Jeszcze jedna karta, panie burmistrzu?

Tourtell spojrzał na dwie karty, które już dostał.

– Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa. Nie mam racji, Lady?

– Ależ oczywiście. Ma pan rację. Dlatego zamierzam panu opowiedzieć o pewnym konsorcjum, które chętnie wyłoży pieniądze nie tylko na przejęcie Obelisku, lecz także na wyremontowanie go i powtórne otwarcie jako najwspanialszego kasyna w kraju. To oczywiście ryzyko ekonomiczne, zważywszy, że renoma Obelisku została wdeptana w błoto, ale jesteśmy skłonni postawić na to, że nowy właściciel i nowy profil zdołają to odmienić.

– My, Lady?

– Owszem, wchodzę w skład tego konsorcjum, między innymi z deweloperem Janovicem z Capitolu. Tak jak pan powiedział, dźwignięcie Obelisku z powrotem na nogi jest ważne dla miasta. Proszę tylko pomyśleć o wpływach z podatków, jakie ta inwestycja przyciągnie z sąsiednich regionów. A gdy za kilka miesięcy otworzymy świeżo wyremontowany, niezwykle efektowny Obelisk, stanie się on natychmiast atrakcją turystyczną. Ludzie zaczną przyjeżdżać z Capitolu, żeby zagrać w naszym mieście, panie Tourtell.

Burmistrz spojrzał na kartę, którą podał mu Jack, i westchnął.

– Nie zapowiada się, żeby to był mój wieczór.

– Sytuacja może się jeszcze zmienić – stwierdziła Lady. – Akcje konsorcjum nie zostały finalnie rozdzielone i braliśmy pod uwagę pana jako ewentualnego inwestora. Musi pan przecież mieć jakieś zaplecze, kiedy przestanie pan sprawować urząd burmistrza.

– Ja inwestorem? – Tourtell się roześmiał. – Jako burmistrz nie mogę kupować akcji spółek działających w mieście, a poza tym nie stać mnie na nie, więc obawiam się, że ta niewątpliwa uczta akcyjna niestety musi się odbyć beze mnie.

– Akcje można spłacić na różne sposoby – zauważyła Lady. – Na przykład poprzez wyświadczane przysługi.

– A co piękna księżna ma teraz na myśli?

– Że oficjalnie poprze pan Macbetha w wyborach na nowego burmistrza.

Tourtell znów zajrzał w swoje karty.

– Tej obietnicy już udzieliłem, a jestem znany z dotrzymywania słowa.

– Chodzi nam o najbliższe wybory.

Tourtell podniósł głowę znad kart i popatrzył na Macbetha.

– Najbliższe?

Lady położyła burmistrzowi rękę na ramieniu i nachyliła się w jego stronę.

– Tak, bo pan nie będzie kandydował.

Zamrugał.

– Nie będę?

– Wprawdzie sugerował pan, że stanie w szranki, ale zmienił pan decyzję.

– A to dlaczego?

– Stan pańskiego zdrowia nie jest najlepszy, a piastowanie urzędu burmistrza to wymagające zajęcie. Potrzeba na nim człowieka, który

ma przed sobą przyszłość. Poza tym nie będąc burmistrzem, ma pan też swobodę wyboru i może przyłączyć się do konsorcjum. W praktyce zmonopolizuje ono działalność kasyn w naszym mieście i w przeciwieństwie do tych kart, które trzyma pan teraz w ręku, uczyni z pana człowieka bogatego.

– Ale ja nie chcę...

– Zaleci pan wyborcom głosowanie na Macbetha jako swojego następcę, ponieważ to on jest człowiekiem z ludu, pracuje dla ludu i przewodzi ludowi. W dodatku to komendant policji, który rozprawił się zarówno ze Swenem, jak i z Hekate. Pokazał, że jest zdolny do działania.

– Z Hekate?

– Macbeth i ja nieco uprzedzamy bieg wydarzeń, ale Hekate należy już uważać za martwego. Zamierzamy umówić się z nim na spotkanie, z którego nie wyjdzie żywy. To obietnica, a ja też jestem znana z dotrzymywania słowa, drogi panie burmistrzu.

– A jeśli nie zgodzę się na ten... pakiet akcji? – Tourtell wypluł te słowa, jakby miał w ustach zgniłe winogrono.

– Byłaby wielka szkoda.

Odsunął się do tyłu na krześle i chwycił w dwa palce jeden z podbródków.

– Co masz jeszcze w zanadrzu, kobieto?

– Jest pan pewien, że nie powinniśmy się zatrzymać w tym miejscu? – spytała Lady.

Jack kaszlnął i popukał palcem w talię.

– Ma pan dość kart, panie burmistrzu?

– Nie – warknął Tourtell, nie odrywając wzroku od Lady.

– Jak pan sobie życzy – westchnęła. – Zostanie pan aresztowany i oskarżony o nieobyczajny związek z małoletnim chłopcem. –

Wskazała na kartę, którą Jack położył przed burmistrzem. – Proszę zobaczyć. Posunął się pan za daleko. Przegrał pan.

Tourtell wpatrywał się w nią ciężkimi oczami dorsza. Wystająca dolna warga drgała.

– Nie zdołacie mnie zniszczyć! – syknął. – Słyszycie? Nie zdołacie!

– Jeśli zdołamy zniszczyć Hekate, to zdołamy i pana.

Tourtell wstał. Spojrzał na nich z góry. Podbródki, czerwona twarz, ba, całe ciało, wszystko w nim trzęsło się ze złości. W końcu obrócił się na pięcie i wymaszerował z sali. Nogawki spodni na udach ocierały się o siebie.

– I co o tym myślisz? – spytał Macbeth po odejściu burmistrza.

– Ach, zatańczy, jak mu zagramy – odparła Lady. – Tourtell nie jest głupim źrebakiem. Potrzebuje tylko trochę czasu na obliczenie szans, zanim zdecyduje, ile i co ma postawić.

Caithness śnił się Angus. Zadzwonił do niej, ale bała się podnieść słuchawkę, bo wiedziała, że ktoś majstrował przy telefonie i aparat wybuchnie. W końcu obudziła się i odwróciła do budzika, który stał na nocnej szafce obok dzwoniącego telefonu. Było już po północy. Czyli kolejna zbrodnia. Miała nadzieję, że to zwykłe zabójstwo, a nie...

– Halo. – Usłyszała kliknięcie, które rozlegało się w słuchawce od czasu tamtego spotkania w Estexie.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno – odezwał się nieznajomy głos młodego mężczyzny. – Chciałem tylko uzyskać potwierdzenie, że pani przyjdzie do trzysta dwadzieścia trzy o zwykłej godzinie, jutro, w piątek.

– Że co zrobię?

– Przepraszam, może wybrałem zły numer. Czy to pani Mittbaum?

Caithness usiadła w łóżku, rozbudzona w jednej chwili. Oblizała wargi. Wyobraziła sobie obracającą się szpulę magnetofonu

stojącego gdzieś w jakimś pokoju, może służby bezpieczeństwa na drugim piętrze.

– Nie, nie jestem panią Mittbaum – odparła. – Ale nie martwiłabym się, bo ludzie noszący niemieckie nazwiska są z reguły punktualni.

– Wobec tego przepraszam, dobranoc.

– Dobranoc.

Caithness leżała z bijącym sercem.

Trzysta dwadzieścia trzy. Numer pokoju w hotelu Grand, w którym spotykała się z Duffem w przerwach na lunch. Rezerwowanego na nazwisko Mittbaum.

33

Hekate obrócił statyw lornetki. Przedpołudniowe słońce przedzierało się przez chmury, snopy światła wyglądały jak kolumny.

– Więc Macbeth powiedział, że zamierza mnie zabić podczas tego spotkania?

– Tak – odparł Bonus.

Hekate przyłożył oko do lornetki.

– No proszę. Przed Inverness już ustawiła się kolejka.

Bonus rozejrzał się po pokoju.

– Czy kelnerzy mają dzisiaj wolne?

– Masz na myśli chłopców? Zamawiam ich tylko wtedy, kiedy potrzebuję. Podobnie jest z tym penthouse'em. Posiadanie rzeczy oznacza przywiązywanie się do nich. Tak jak do ludzi, Bonus. Ale kiedy czujesz, że twój wóz jest tak wypełniony rupieciami, że cię spowalnia, pozbywasz się rupieci, a nie wozu. Właśnie tego nie

zrozumiał Macbeth. Tego, że ja jestem wozem, a nie rupieciem. Udało ci się dodzwonić do Macbetha, Strego?

Wysoka mężczyzno-kobieta, która akurat weszła do pokoju, wyłoniła się z cienia.

– Tak.

– I jak się umówiliście?

– Że przyjdzie tu jutro o szóstej sam, żeby się z tobą spotkać.

– Dziękuję.

Znów zniknęła w cieniach.

– Że też on ma odwagę! – powiedział Bonus.

– Odwagę? – zdziwił się Hekate. – On nie może się powstrzymać. Macbeth stał się nieopanowaną ćmą, którą przyciąga światło władzy.

– I tak jak ćma spłonie.

– Być może. Tym, kogo Macbeth – tak jak ćma – powinien najbardziej się obawiać, nie jestem ja, tylko on sam.

Caithness spojrzała na zegarek. Dwunasta w południe. Potem znów skierowała wzrok na hotelowe drzwi. Na mosiężne cyfry, których miała nigdy nie zapomnieć, bez względu na to, jak długo będzie żyć i ilu mężczyzn pozna, ilu pokocha, z iloma podzieli dni i noce.

Trzysta dwadzieścia trzy.

Ciągle jeszcze mogła zawrócić. Ale przyszła tutaj. Dlaczego? Ponieważ sądziła, że znów spotka Duffa i coś się zmieni? Przecież zmieniło się jedynie to, że już wiedziała, iż doskonale radzi sobie bez niego. A może domyślała się, że za tymi drzwiami będzie czekać nowa szansa, szansa zrobienia czegoś dobrego? Tego, czego nie zrobiła, zostawiając Angusa w Estexie. Zdobyła w Gwardii jego prywatny numer telefonu, ale nie odbierał.

Uniosła rękę.

A jeśli te drzwi wybuchną, kiedy zapuka?

Zapukała.

Czekała. Już miała zapukać jeszcze raz, kiedy się otworzyły. Stał w nich młody człowiek.

– Kim jesteś? – spytała.

– Fleance, syn Banqua. – To był ten sam głos, który słyszała wcześniej przez telefon. Chłopak odsunął się na bok, żeby ją przepuścić. – Zapraszam, pani Mittbaum.

Hotelowy pokój się nie zmienił.

Malcolm się nie zmienił.

Ale Duff tak. Postarzał się. Nie tylko w ciągu tych miesięcy i lat, podczas których widywała go siedzącego na obitym pluszem hotelowym łóżku, czekającego na nią tak jak teraz, lecz w ciągu tych dni, które minęły od chwili, gdy ostatnio opuścił jej mieszkanie.

– Przyszłaś – powiedział Duff.

Skinęła głową.

Malcolm chrząknął i zaczął czyścić okulary.

– Nie wyglądasz na specjalnie zdziwioną tym, że nas tu widzisz, Caithness.

– Dziwi mnie przede wszystkim to, że ja tu jestem – odparła. – Co się dzieje?

– A co byś chciała, żeby się działo?

– Chciałabym, żebyśmy odsunęli od władzy Macbetha mordercę.

Seyton przesunął w dół drążek na żelaznych drzwiach i pociągnął je do siebie. Macbeth wszedł do środka i przekręcił włącznik na ścianie. Świetlówki dwa razy mrugnęły, a potem rzuciły zimne niebieskie światło na półki zapełnione skrzynkami z amunicją i rozmaitymi rodzajami broni. Na podłodze kwadratowego pokoju stał sejf i dwa częściowo zdemontowane działka Gatlingi. Macbeth podszedł do sejfu, obrócił tarczę z cyframi i otworzył drzwiczki. Wyjął z niego walizkę pasiastą jak zebra.

– Magazyn z amunicją był jedynym pomieszczeniem z dostatecznie grubymi ścianami, tak że nie baliśmy się jej tu przechowywać – wyjaśnił. – A i tak dodatkowo umieściliśmy ją w sejfie.

– A więc to bomba?

– Owszem. – Macbeth przykucnął i otworzył walizkę. – Zakamuflowana jako walizka ze złotem. – Wyjął sztabki zasłaniające dno. – Złoto to wprawdzie zwykłe żelazo pomalowane złotą farbą, ale bomba, która znajduje się pod nimi... – uniósł klapę – ...jest prawdziwa.

– No proszę. – Seyton cicho gwizdnął. – Klasyczna samoróbka.

– Genialny pomysł, prawda? Złoto sprawia, że nikt nie zwraca uwagi na jej ciężar. Swego czasu miała wybuchnąć w Inverness.

– Aha, to tamta sprawa. A dlaczego bomby nie zniszczono?

– To moja inicjatywa. – Macbeth przyglądał się badawczo maszynerii przypominającej werk zegarka. – Niesamowita robota. Poza tym udało nam się ją idealnie rozbroić. Pomyślałem, że może któregoś dnia przyda się Gwardii. No i rzeczywiście... – Lekko wysunął metalowy patyczek wielkości zapałki. – Wystarczy to wyciągnąć, a zegar znów zacznie tykać. Wygląda na prostą rzecz, ale jej rozbrojenie zajęło nam prawie czterdzieści minut. Teraz do końca odliczania zostało już tylko dwadzieścia pięć minut i pięćdziesiąt pięć sekund, więc kiedy to wyciągnę, w praktyce nie będzie już drogi odwrotu.

– Wobec tego musisz się spieszyć podczas negocjacji z Hekate.

– O, to nie będzie długie spotkanie. Powiem, że złoto to dowód mojej wdzięczności za wszystko, co już dla nas zrobił, a będzie go więcej, jeśli zgodzi się nas wesprzeć w wyborach na burmistrza.

– Sądzisz, że zechce?

– Tego nie wiem, ale i tak dziesięć minut później już nie będzie żył. Chodzi jedynie o to, żeby nie nabrał podejrzeń, a przecież wie, że tu, w mieście, nikt nie dostaje niczego bez żądania czegoś w zamian. Poproszę, żeby to sobie przemyślał. Potem spojrzę na zegarek, powiem, że mam zebranie dowództwa w komendzie, co zresztą jest zgodne z prawdą, i wyjdę stamtąd.

– Przepraszam... – Odwrócili się w stronę drzwi. To był Ricardo. – Telefon.

– Powiedz, że oddzwonię – powiedział Seyton.

– Nie do ciebie, do komendanta.

Macbeth uchwycił prawie niezauważalny chłód w jego głosie. Podobny chłód wyczuł również, kiedy tylko wszedł do pomieszczeń zajmowanych przez Gwardię. Gwardziści jakby z obowiązku odpowiadali na powitanie, lecz odwracali głowy, sprawiając wrażenie bardzo zajętych innymi sprawami.

– Do mnie?

– Sekretarka komendanta przełączyła, mówi, że to burmistrz.

– Zaprowadź mnie.

Ruszył za weteranem Gwardii. Coś w wąskiej arystokratycznej twarzy Ricarda, w lśniącej czerni jego skóry i majestatycznej miękkości ruchów podsunęło Macbethowi myśl, że funkcjonariusz musi pochodzić z tego plemienia łowców lwów, jak ono się nazywało? Ricardo, lojalny człowiek honoru. Ktoś, kto – jak Macbeth wiedział – jest gotów iść dla swych braci na śmierć, jeśli zajdzie taka konieczność. Człowiek wart swojej wagi w złocie. W prawdziwym złocie.

– Coś nie tak, Ricardo?

– Słucham, sir?

– Strasznie jesteście dziś milkliwi. Czy powinienem o czymś wiedzieć?

– Po prostu trochę się martwimy o Angusa.

– Rzeczywiście, słyszałem, że jest nieco wytrącony z równowagi. To praca nie dla wszystkich.

– Myślałem głównie o tym, że w ogóle dziś nie przyszedł i nikt nie wie, gdzie się podziewa.

– Na pewno wróci. Widać potrzebował trochę wolnego, żeby zastanowić się nad różnymi rzeczami. Ale rozumiem twoje obawy, że mogło mu przyjść do głowy coś drastycznego.

– Jeżeli wydarzyło się coś drastycznego... – Ricardo zatrzymał się w otwartych drzwiach do pokoju, w którym na biurku stał telefon – ...to nie przypuszczam, żeby spowodował to sam Angus.

Macbeth stanął i popatrzył na niego.

– Co masz na myśli?

Ich spojrzenia się spotkały. I Macbeth nie dostrzegł w oczach Ricarda ani odrobiny podziwu i radości z poświęcenia mu uwagi, które przywykł widzieć u swoich ludzi z Gwardii.

Ricardo spuścił wzrok.

– Nie wiem, sir.

Macbeth zamknął drzwi do pokoju i podniósł słuchawkę.

– Słucham, burmistrzu.

– Skłamałem i podałem się za burmistrza, żeby mnie przełączono, tak jak ty skłamałeś. Obiecałeś mi, że nikt nie umrze.

Macbeth ze zdziwieniem stwierdził, że lęk potrafi zwyciężyć arogancję. Po tej ostatniej w głosie Walta Kite'a nie pozostał żaden ślad.

– Musiałeś mnie źle zrozumieć – powiedział. – Miałem na myśli to, że nie zginie nikt z twojej rodziny.

– Jesteś...

– I nie zginie. Pod warunkiem że dalej będziesz postępował tak, jak ci powiem. Mam sporo pracy, więc jeśli to już wszystko, Kite...

Na drugim końcu linii słychać było jedynie elektryczne trzaski.

– Dobrze, żeśmy to sobie wyjaśnili – stwierdził Macbeth i odłożył słuchawkę. Spojrzał na fotografię przytwierdzoną do ściany nad biurkiem. Była na niej cała Gwardia w Murarzu. Szerokie uśmiechy i wzniesione kufle z piwem świadczyły o uczczeniu kolejnej udanej akcji. Na zdjęciu był Banquo. Ricardo. Angus i inni. A także on sam. Taki młody. Tak idiotycznie uśmiechnięty. Niczego nieświadomy. Tak fantastycznie nieposiadający żadnej władzy.

– Tak więc wygląda plan – podsumował Malcolm. – Oprócz ciebie znamy go jedynie my trzej. I co ty na to, Caithness? Jesteś z nami?

Siedzieli w ciasnym pokoju hotelowym. Caithness przenosiła wzrok z jednego na drugiego.

– A jeśli powiem, że ten plan jest szalony i nie chcę z nim mieć nic wspólnego, to pozwolicie mi po prostu stąd wyjść, żebym mogła donieść Macbethowi?

– Tak – odparł Malcolm.

– Czy to nie zbytnia naiwność?

– No cóż. Gdybyś rzeczywiście zamierzała iść z tym do Macbetha, to chyba najpierw powiedziałabyś, że twoim zdaniem plan jest genialny i że się do nas przyłączasz, a dopiero potem byś doniosła. Pytając cię, wkalkulowaliśmy ryzyko. Ale nie chcemy wierzyć, że nie ma dobrych ludzi. Takich, którzy się przejmują i którzy dobro miasta stawiają ponad własne.

– Uważacie mnie za kogoś takiego?

– Duff tak sądzi – odpowiedział Malcolm. – Używa nawet mocniejszych słów. Twierdzi, że on to wie. Mówi, że jesteś lepsza od niego.

Caithness popatrzyła na Duffa.

– Pomysł jest genialny, a ja się do was przyłączam – oświadczyła.

Malcolm i Fleance roześmiali się i nawet smutne, martwe oczy Duffa na moment rozbłysły.

34

Za pięć szósta Macbeth wszedł do recepcji w hotelu Obelisk. W wielkim lobby było prawie pusto, zobaczył tylko odźwiernego, dwóch pikolaków i rozmawiających ze sobą ściszonymi głosami trzech recepcjonistów w czarnych garniturach, którzy przypominali pracowników zakładu pogrzebowego. Zamknięcie kasyna najwyraźniej źle wpłynęło również na ten interes.

Macbeth ruszył prosto do windy, która stała na parterze, wsiadł i wcisnął guzik dwudziestego piętra. Zacisnął szczęki i wydmuchnął powietrze przez nos, żeby wyrównać ciśnienie w uszach. Najszybsza winda w kraju, nawet tak się reklamowali, pewnie żeby zainteresować tym wieśniaków. Uchwyt walizki był śliski w dotyku. Dlaczego Collum, ten nieszczęsny hazardzista, wybrał do ukrycia bomby walizkę w czarno-białe paski?

Drzwi windy się rozsunęły, Macbeth wysiadł. Z planów budynku wiedział, że schody prowadzące do penthouse'u są z lewej strony. Pokonał piętnaście stopni i ruszył korytarzem do jedynych drzwi na piętrze. Podniósł rękę, żeby zapukać. Wstrzymał się jednak, uważnie obejrzał własną dłoń. Czyżby dostrzegł jej leciutkie drżenie, to, o którym opowiadali weterani? Podobno pojawiało się po siedmiu latach służby w Gwardii. Siedmioletnia trzęsionka. Do tej pory nic takiego nie zaobserwował. Mówiono, że jeszcze gorzej, jeśli w ogóle się nie pojawiała, bo wówczas z pewnością był już najwyższy czas na opuszczenie służby.

Zapukał.

Usłyszał kroki.

Własny oddech.

Nie miał przy sobie żadnej broni. Wiedział, że zostanie przeszukany, a nie było sensu nikogo straszyć, przecież całe to spotkanie miało wyglądać na negocjacje. Powtórzył sobie, że ma mówić wyłącznie o swoim zamiarze kandydowania na urząd burmistrza, a potem przekazać walizkę w podziękowaniu za już wyświadczone i przyszłe usługi. Takie wyjaśnienie powinno zabrzmieć przekonująco.

– Pan Macbeth, sir?

Otworzył mu chłopak w białych bryczesach i rękawiczkach.

– Tak.

Młodzieniec odsunął się, żeby go wpuścić.

– Proszę wejść.

Apartament miał widok na wszystkie strony świata. Przestało już padać i na zachodzie za Inverness spód cienkiej warstwy chmur zabarwiło na pomarańczowo popołudniowe słońce. Macbeth powiódł wzrokiem dalej, w kierunku portu położonego na południu i wież fabryk na wschodzie.

– Pan Hand zapowiedział, że się spóźni, ale tylko trochę – oznajmił chłopak. – Przyniosę szampana.

Drzwi zamknęły się cicho i Macbeth został sam. Usiadł w jednym ze skórzanych foteli ustawionych wokół stolika z pleksiglasu. Pan Hand. Ach tak.

Spojrzał na zegarek. Od momentu, gdy siedząc razem z Seytonem w samochodzie Gwardii, wyciągnął zawleczkę uruchamiającą odliczanie, minęły dokładnie trzy minuty i trzydzieści pięć sekund. Dwadzieścia dwie minuty i dwadzieścia sekund do detonacji.

Wstał, podszedł do dużej brązowej lodówki stojącej pod ścianą, otworzył ją. Pusta. Podobnie było z szafą na ubrania. Zajrzał do sypialni. Nietknięta. Nikt tu nie mieszkał. Wrócił na fotel.

Dwadzieścia minut i sześć sekund.

Próbował nie myśleć, ale myśli same napływały.

Mówiły, że czas ucieka.

Że mrok gęstnieje.

Że śmierć przysuwa się coraz bliżej.

Oddychał spokojnie i głęboko. Co z tego, że śmierć przyszłaby teraz? Oczywiście byłby to bezsensowny koniec, ale czy nie takie są wszystkie końce? Przerywa nam się w pół zdania opowieść o sobie samych i to urwane zdanie zawisa w powietrzu, bez sensu, bez konkluzji, bez żadnego wyjaśniającego wszystko końcowego aktu. Krótkie echo ostatniego, do połowy wypowiedzianego słowa – i odchodzimy w zapomnienie. Tego zapomnienia nie zmieni nawet największy pomnik. To, kim byłeś, kim byłeś naprawdę, znika szybciej niż kręgi na wodzie. A jaki jest sens tych krótkich, nagle przerwanych gościnnych występów? Bawić się najlepiej, jak się potrafi, chwytać przyjemności i rozkosze ofiarowane przez życie, póki jeszcze trwa? Czy raczej zostawić po sobie ślad, zmienić kierunek świata, uczynić go lepszym miejscem, zanim trzeba będzie samemu go opuścić? A może sens stanowi rozmnażanie się, wydawanie na świat lepiej przystosowanych istot, w nadziei, że ludzie pewnego dnia zostaną półbogami, których sobie wymyślili? Albo może nie ma żadnego sensu? Może jesteśmy tylko urwanymi zdaniami w wiecznym chaotycznym bełkocie, w którym wszyscy mówią, ale nikt nie słucha, a na koniec spełniają się nasze najgorsze przeczucia: że jesteśmy sami. Zupełnie sami.

Siedemnaście minut.

On też był sam. Potem pojawił się Banquo i wziął go do siebie. Uczynił członkiem rodziny. A on się go teraz pozbył. Pozbył się wszystkich. I znów został sam. Sam z Lady. Co chciał przez to osiągnąć? Chciał coś mieć? Czy może chciał coś komuś dać? Czy zrobił to dla niej, dla Lady?

Czternaście minut.

Naprawdę wierzył, że taki stan przetrwa? Czy to wszystko nie wydawało się równie kruche jak umysł Lady? Czy królestwo, które budowali, nie było z góry skazane na obrócenie się w ruinę? Czy nie pozostawało to jedynie kwestią czasu? Może i tak, ale co innego mamy oprócz czasu, odrobiny czasu, frustrującej tymczasowości przeciwieństwa wieczności?

Jedenaście minut.

Co z tym Hekate? Już za późno na przetransportowanie walizki do portu i ciśnięcie do morza. Innym wyjściem mogło być wrzucenie jej do studzienki kanalizacyjnej gdzieś na ulicy, ale był jasny dzień, a prawdopodobieństwo, że go rozpoznają, duże, zwłaszcza po ostatnich relacjach telewizyjnych i publikacjach prasowych.

Siedem minut.

Macbeth podjął decyzję. Jeśli Hekate nie zjawi się za dwie minuty, on wychodzi. Zostawiając walizkę. Opuści ten apartament z nadzieją, że Hekate przyjdzie, zanim bomba wybuchnie.

Pięć minut. Cztery.

Macbeth wstał, podszedł do drzwi, przez chwilę nasłuchiwał.

Nic.

Trzy i pół.

Pora wykonać odwrót.

Ujął klamkę. Nacisnął. Szarpnął mocniej. Zamknięte. Był uwięziony.

– Chce pan powiedzieć, że został pan oszukany, sir?

Lady stała przy stole do ruletki. Wezwano ją, ponieważ jeden z gości zaczął się awanturować. Mężczyzna nie był całkiem trzeźwy, ale też i nie pijany. Miał na sobie wymiętą kraciastą marynarkę.

Lady nie musiała nawet zgadywać: przybyły ze wsi, dawny klient Obelisku.

– Kurde, no pewnie – odpowiedział jej mężczyzna, podczas gdy Lady rozglądała się po sali. Znów było pełno. Widziała, że musi zatrudnić więcej personelu, w samym barze przydałyby się co najmniej dwie dodatkowe osoby. – Kulka wylądowała na czternastce trzy razy z rzędu. Jakie niby jest tego prawdopodobieństwo?

– Dokładnie takie samo jak to, że wypadnie trzy, dwadzieścia cztery albo szesnaście – wyjaśniła Lady. – Jak jeden do pięćdziesięciu tysięcy. Dokładnie takie samo dla każdej kombinacji liczb.

– Ale...

– Sir... – Lady się uśmiechnęła, lekko dotykając jego ramienia. – Czy ktoś panu mówił, że podczas nalotu bombowego należy się chować w leju po bombie, bo prawdopodobieństwo, że drugi pocisk uderzy dokładnie w to samo miejsce, jest znikome? To właśnie wtedy pana oszukano. Ale teraz jest pan w Inverness, sir... – Wręczyła mu bon. – Niech pan zamówi w barze drinka na mój koszt. Proszę tylko, aby przemyślał pan sobie logikę tego, co powiedziałam, i dokończymy tę rozmowę później, dobrze?

Mężczyzna lekko się odchylił i przez chwilę się w nią wpatrywał, w końcu zabrał bon i wyszedł.

– Lady.

Odwróciła się. Nad nią wznosiła się wielka barczysta kobieta. Albo mężczyzna.

– Pan Hand chciałby z panią porozmawiać. – Mężczyzno-kobieta wskazała na starszego pana, który stał kilka metrów dalej. Był w białym garniturze, miał ciemne farbowane włosy i opierając się

na złoconej lasce spacerowej, z zainteresowaniem oglądał kryształowy żyrandol nad głową.

– Jeśli to mogłoby zaczekać dwie minuty... – Lady się uśmiechnęła.

– On ma także przezwisko. Również zaczynające się na „H".

Lady znieruchomiała.

– Woli jednak używać nazwiska Hand – dodała z uśmiechem mężczyzno-kobieta.

Lady podeszła do starszego pana.

– Baccarat czy czeski? – spytał, nie odrywając wzroku od żyrandola.

– Czeski. Jak pan być może widzi, to nieco mniejsza kopia żyrandola z pałacu Dolmabahçe w Stambule.

– Tam, niestety, nigdy nie byłem, madam. Ale odwiedziłem raz pewną kaplicę w niewielkiej miejscowości w Czechosłowacji. W wyniku epidemii dżumy mieli tam tyle szkieletów, że nigdzie się nie mieściły. W końcu kazano jednookiemu mnichowi uprzątnąć gdzieś te szczątki, a on, zamiast je zakopać, użył ich do udekorowania kaplicy. Wisi tam prześliczny żyrandol, wykonany w całości z ludzkich czaszek i innych kości. Niektórzy uważają, że to brak szacunku wobec zmarłych, a moim zdaniem jest odwrotnie. – Starszy pan oderwał wreszcie wzrok od żyrandola i spojrzał na Lady. – Jaki większy dar może otrzymać człowiek, madam, niż okruszynę nieśmiertelności tkwiącą w funkcjonowaniu również po śmierci? Przemiana w rafę koralową. W żyrandol. Albo w symbol i gwiazdę przewodnią. Komendant policji umiera tak wcześnie, że ludziom wciąż pozostaje wyobrażenie o dobrym człowieku, myślącym nieegoistycznie przywódcy; tak cudownie wcześnie, że nie zdążyło wyjść na jaw, iż był kolejnym chorym z żądzy władzy skorumpowanym królem. Jestem zdania, że potrzebujemy

takich zmarłych, madam. Mam nadzieję, że jednooki mnich doczekał się takiej wdzięczności, na jaką zasługiwał.

Lady przełknęła ślinę. Zwykle w spojrzeniu każdego człowieka potrafiła dostrzec mnóstwo rzeczy, które umiała odczytać, zrozumieć i wykorzystać. Ale w oczach tego mężczyzny nie znalazła nic, jakby wpatrywała się w oczy ślepca.

– Czym mogę panu służyć, panie Hand?

– Jak zapewne pani wie, powinienem w tej chwili być na spotkaniu z pani mężem. Siedzi właśnie w apartamencie hotelowym i czeka na możliwość zabicia mnie.

Lady poczuła, że gardło jej się zaciska, i zdała sobie sprawę, że gdyby się teraz odezwała, jej głos zabrzmiałby piskliwie. Zdecydowała więc, że będzie milczeć.

– Ale ponieważ nie widzę możliwości służenia dobrym celom jako trup, pomyślałem, że przemówię do rozsądku osobie rozsądniejszej z was dwojga.

Lady patrzyła na niego. Kiwał głową z tym swoim łagodnym, lekko zasmuconym uśmiechem, jak mądry dziadek. Jak ktoś, kto ją rozumie. I mówił jej, że wszelkie wykręty są niepotrzebne i nie odniosą skutku.

– Ach tak. – Lady odchrząknęła z wysiłkiem. – W takim razie muszę się napić. A co mogę zaproponować panu?

– Hm. Nie wiem, czy pani barmani wiedzą, jak przyrządzić Dirty Martini.

– Chodźmy.

Przeszli do baru, gdzie ludzie tłoczyli się w kolejce. Lady przecisnęła się za kontuar, sięgnęła po dwa kieliszki do martini, nalała do nich dżinu, uzupełniła martini, a dalej mieszała drinki już na blacie pod kontuarem. W niespełna minutę podała starszemu panu jeden kieliszek.

– Mam nadzieję, że jest dostatecznie brudne.

Spróbował.

– Zdecydowanie. Chociaż, o ile się nie mylę, zawiera jakiś dodatkowy składnik.

– Nawet dwa. To moja własna receptura. Proszę za mną.

– A jakie są te składniki?

– To naturalnie tajemnica firmy, ale pozwolę sobie zauważyć, że moim zdaniem drinki zawsze powinny mieć lokalny charakter. – Lady zaprowadziła starszego pana i tamtego babochłopa do pustego boksu w głębi restauracji.

– Człowiek na moim stanowisku oczywiście rozumie chęć ochrony tajemnic firmy. – Hekate zaczekał, aż mężczyzno-kobieta przysunie mu fotel. – Dlatego przepraszam, że odkryłem tę tajemnicę o chęci przejęcia przez was mojego miasta. Szanuję wasze ambicje, ale mam inne plany.

Lady wypiła łyczek martini.

– Zamierza pan zabić mojego męża?

Hekate nie odpowiedział.

Powtórzyła pytanie.

* * *

Macbeth wpatrywał się w drzwi. Poczuł, że zaschło mu w ustach. Zamknięty. Wydawało mu się teraz, że za plecami słyszy tykanie bomby. Nie było stąd innego wyjścia. Takie rzeczy zawsze sprawdzał, oglądając plany budynków. Za oknami znajdowała się gładka ściana schodząca dwadzieścia pięter w dół do asfaltu.

Zamknięty.

Schwytany w pułapkę. W pułapkę Hekate. We własną pułapkę.

Oddychał przez usta, próbując odeprzeć wdzierającą się do jego wnętrza panikę.

Omiótł wzrokiem pokój. Nie było gdzie się ukryć. Bomba miała zbyt dużą moc. Jego spojrzenie znów padło na drzwi. Na blokadę zamka pod klamką.

Blokada zamka.

Z sykiem wypuścił z płuc powietrze w przeciągłym oddechu ulgi. Cholera, co się z nim dzieje? O mało się nie roześmiał. Drzwi w pokoju hotelowym powinny się zatrzaskiwać po zamknięciu. Do diabła, przecież sam mieszkał w hotelu. Wystarczy zwolnić blokadę i drzwi dadzą się otworzyć.

Wyciągnął rękę. Zawahał się. Dlaczego coś mu podpowiadało, że to nie może być takie proste? Że nigdy nie było? Że stąd, z tego miejsca, w którym się zamknął, nie da się już wyjść? Że jest skazany na wysadzenie się w powietrze?

Kiedy położył palce na blokadzie, poczuł, że są śliskie od potu. Przekręcił.

Blokada się obróciła.

Nacisnął klamkę.

Pchnął drzwi.

Wyszedł. Zbiegł ze schodów i przeklinając w duchu, pognał korytarzem.

Stanął przy windzie i wcisnął guzik.

Na wyświetlaczu na ścianie zobaczył, że winda rusza z parteru.

Spojrzał na zegarek. Dwie minuty czterdzieści sekund.

Winda się zbliżała. Czy coś usłyszał? Jakiś brzęk, głosy? Czy w windzie byli ludzie? A jeśli to Hekate? Nie miał już czasu na powrót do apartamentu i rozmowę.

Puścił się biegiem. Według planów schody przeciwpożarowe powinny być za rogiem z lewej strony.

To się zgadzało.

Pchnął drzwi na klatkę schodową w momencie, gdy usłyszał brzęczyk sygnalizujący, że winda dotarła na górę. Zostawił drzwi uchylone i wstrzymał oddech.

Głosy. Dwa młode wysokie głosy.

– Nie bardzo rozumiem, co...

– Pan Hand nie przyjdzie. Kazano nam tylko zatrzymać przez pół godziny tego faceta, który tam jest. Mam nadzieję, że lubi szampana.

Odgłos wózka na kółkach.

Macbeth zamknął drzwi za sobą i ruszył biegiem w dół schodów.

Każde piętro było oznakowane cyframi.

Zatrzymał się na osiemnastym.

Lady skinęła głową. Odetchnęła.

– Ale zabije go pan innego dnia?

– To zależy. Dodała pani soku jabłkowego?

– Nie. Zależy od czego?

– Od tego, czy to tylko chwilowe zamroczenie. Oboje najwyraźniej przestaliście zażywać moje produkty, co jest być może najlepsze dla obu stron.

– Pan go nie zabije, ponieważ jest panu potrzebny jako komendant policji. A teraz, kiedy pan już raz odkrył jego plan, liczy pan na to, że Macbeth potraktuje to jako nauczkę. Pies nie jest w pełni wytresowany, dopóki nie okaże nieposłuszeństwa i nie otrzyma za nie kary.

Starszy pan odwrócił się do mężczyzno-kobiety.

– Rozumiesz teraz, dlaczego uważam, że to ona z nich dwojga jest mądra?

– Czego zatem oczekuje pan ode mnie, panie Hand?

– Imbir? No tak, pani receptura jest sekretna, więc, tak czy inaczej, nie będzie można wierzyć w pani odpowiedź. Chciałem tylko

zwrócić wam obojgu uwagę na wybór, przed którym stoicie. Jeśli usłuchacie, będę chronił Macbetha przed wszystkim, co może mu zaszkodzić, stanie się pani Titonosem. Jeśli natomiast mnie nie usłuchacie, uśmiercę was oboje, tak jak się postępuje z psami, które nie poddają się tresurze. Proszę się rozejrzeć, Lady. Proszę spojrzeć na wszystko, co pani ma do stracenia. Ma pani to, o czym pani marzyła, więc może nie powinna pani marzyć o niczym więcej. A jeśli chodzi o receptury, to zbyt wygórowane marzenia są idealnym przepisem na nieszczęście. – Starszy pan wlał w siebie resztę drinka i odstawił kieliszek na stół. – Pieprz. To jedna z dwóch tajemnic.

– Krew – powiedziała Lady.

– Naprawdę? – Hekate położył obie dłonie na rączce laski, odepchnął się i wstał. – Ludzka?

Lady wzruszyła ramionami.

– Czy to takie ważne? Wydaje mi się, że odpowiadał panu ten przepis.

Roześmiał się.

– W innych okolicznościach moglibyśmy się zaprzyjaźnić, Lady.

– W innym życiu – odparła.

– W innym życiu, moja mała Lilio. – Dwa razy stuknął laską w podłogę. – Proszę nie wstawać, sami trafimy do wyjścia.

Lady zachowała uśmiech na twarzy do chwili, kiedy Hekate zniknął jej z oczu. Dopiero wtedy wypuściła powietrze z płuc. Czuła, że pokój wiruje jej przed oczami. Musiała mocno uchwycić się podłokietnika. Lilia. On wiedział. Skąd mógł wiedzieć?

Osiemnaste piętro.

Macbeth spojrzał na zegarek. Została minuta. Dlaczego więc się zatrzymał? Muszą wnieść ten barek po schodach. Do pokoju. Będą w środku w momencie, gdy bomba wybuchnie. I co z tego? To

przecież ludzie Hekate. Stanowią element całości, więc w czym problem? W tym mieście nie ma niewinnych, więc dlaczego to coś musiało mu się przypomnieć akurat w tej chwili? Czy to z jakiegoś przemówienia, napisanego przez Lady, a wygłoszonego przez niego? Czy też z jeszcze dawniejszych czasów? Z przysięgi, którą składali po ostatnich egzaminach w szkole policyjnej? A może to coś, co jeszcze wcześniej powiedział Banquo? Coś, coś, nie mógł sobie przypomnieć co. Tylko że...

Niech to szlag!

Pięćdziesiąt sekund.

Macbeth puścił się biegiem.

Na górę.

35

– Chodźcie ze mną! – wrzasnął Macbeth.

Dwaj chłopcy ze zdumieniem wpatrywali się w mężczyznę, który tak nagle pojawił się w drzwiach do apartamentu na ostatnim piętrze. Jeden trzymał butelkę szampana i już zaczął zdejmować metalową siatkę przytrzymującą korek.

– Natychmiast! – dorzucił Macbeth.

– Sir, my...

– Macie trzydzieści sekund, jeśli nie chcecie umrzeć!

– Spokojnie, sir...

Macbeth chwycił kubełek z lodem i cisnął nim w okno. Kostki lodu rozsypały się po parkiecie. Zapadła cisza i Macbeth zniżył głos.

– Za dwadzieścia pięć sekund wybuchnie tu bomba!

Potem się odwrócił i ruszył biegiem. W dół po schodach. Za plecami słyszał plączące się kroki. Minął windę. Przytrzymał

chłopcom drzwi na klatkę schodową.

– Biegiem, biegiem!

Zamknął drzwi i pognał za nimi.

Piętnaście sekund. Nie miał pojęcia, jak wielką moc ma bomba, lecz jeśli została skonstruowana, aby zniszczyć budynek tak solidny jak Inverness, musieli się od niej jak najbardziej oddalić. Siedemnaste piętro. Poczuł nadchodzący ból głowy, jakby już czuł nacisk fali uderzeniowej na bębenki, na gałki oczne, w ustach. Piętnaste. Spojrzał na zegarek. Piętnaście sekund po czasie.

Dwunaste. Ciągle nic. Oczywiście takie wyłączniki czasowe nie musiały działać zbyt precyzyjnie, albo też celowo zaprogramowano pewne opóźnienie. Biegnący przed nim chłopcy zaczęli zwalniać. Macbeth krzyknął i znów przyspieszyli.

Na dziewiątym wśliznęli się na korytarz, ale Macbeth dalej zbiegał po schodach. Wolał schody. Według rysunków technicznych kable windy były zamocowane na szczycie budynku. Kiedy dotarł na parter, bomba miała już blisko trzy minuty opóźnienia.

Wpadł do recepcji. Stali tam ci sami ludzie, oparci o kontuar, jakby nic się nie wydarzyło. Nie zwracali na niego uwagi. Wyszedł na deszcz. Zadarł głowę. Stał tak, aż rozbolał go kark. Potem ruszył przez wyludniony plac w stronę Seytona i czekającego samochodu. Co się, u diabła, stało? A raczej, co się nie stało? Czyżby bomba nie wytrzymała wilgoci w piwnicy komendy? Może ktoś zdołał wstrzymać zegar, gdy on za pierwszym razem wyszedł z penthouse'u? Lub może bomba wybuchła, ale z siłą mniejszą niż ta, jaką wyliczył wtedy ekspert Gwardii? I co teraz? Zatrzymał się. A jeśli Hekate albo jego ludzie przyjdą później do apartamentu i zobaczą, że Macbeth zostawił bombę? Powinien zabrać tę walizkę!

Zawrócił. Uszedł dwa kroki. Nagle zobaczył własny cień rysujący się na bruku i jego uszu dobiegł głuchy huk, jakby grzmotu. Przez

moment wziął za śrut białe kawałeczki, które uderzyły go w czoło i w dłonie, zachrzęściły na bruku i zatańczyły na zaparkowanych samochodach. W odległości kilku metrów od niego uderzyła o ziemię główka prysznica. Ledwie zdążył podnieść głowę, gdy został pociągnięty i powalony na ziemię – w tym samym momencie usłyszał łoskot. Chciał osłonić się ręką, ale mężczyzna, który go przewrócił, sam już się podniósł, otrzepał szary prochowiec i zaczął uciekać. Macbeth w miejscu, w którym stał zaledwie sekundę wcześniej, zobaczył zdeformowaną brązową lodówkę.

Przyłożył głowę do chłodnego bruku.

Ze szczytu Obelisku buchały płomienie, czarny dym wzbijał się w niebo. Coś kilka razy podskoczyło na kamieniu i wreszcie znieruchomiało tuż przy nim. Macbeth podniósł korek. Wciąż opleciony metalową siatką.

– Co się stało, u diabła? – spytał Seyton, kiedy Macbeth wsiadł do samochodu.

– Tourtell. Ostrzegł Hekate. Jedź.

– Tourtell? – zdziwił się Seyton. Odbił od krawężnika, a wycieraczki zaczęły zmiatać z przedniej szyby białe kawałeczki szkła.

– Burmistrz jako jedyny znał nasz plan i zapewne poinformował Hekate w nadziei, że ten mnie zabije.

– A Hekate nie próbował cię zabić?

– Przeciwnie, ocalił mnie.

– Dlaczego?

– Potrzebuje swoich marionetek.

– Co?

– Nic takiego, Seyton. Jedź do Inverness.

Macbeth spojrzał na chodnik, na ludzi z otwartymi ustami, z twarzami zwróconymi w górę. Rozglądał się za szarymi

prochowcami. Ilu ich było? Czy wszyscy nosili prochowce, czy tylko niektórzy? Czy byli przy nim zawsze? Zamknął oczy. Nieśmiertelny. Nieśmiertelny jak drewniana lalka. Ciśnienie w głowie jeszcze się zwiększyło. I nasunęła mu się dziwaczna myśl: że obietnica Hekate uczynienia go nietykalnym nie była wcale błogosławieństwem, tylko przekleństwem. Obracając w palcach korek od szampana i dotykając metalowych drutów, słuchał pierwszej policyjnej syreny.

Seyton zatrzymał się przed Inverness, a Macbeth już wysiadał z samochodu, kiedy dobiegł go głos Tourtella.

– Podkręć radio – polecił, wsiadając z powrotem.

– ...a żeby uprzedzić plotki i z szacunku dla was, drodzy współmieszkańcy, ponieważ macie prawo wiedzieć, kim naprawdę są wybrani przez was reprezentanci, zdecydowałem się w dniu dzisiejszym poinformować, że przed ponad piętnastoma laty miałem krótki pozamałżeński romans. W jego wyniku zostałem ojcem pewnego chłopca. Zgodnie z umową zawartą z osobami, których sprawa ta dotyczyła, a więc z matką mojego syna i z moją żoną, postanowiliśmy wówczas zachować to w tajemnicy. Przez cały czas utrzymywałem kontakt z synem i jego matką, łożyłem na nich ze swoich prywatnych środków. Decyzja nieupubliczniania wówczas tej sprawy została podjęta po głębokich przemyśleniach. Należało uwzględnić interesy kilku stron. Miasto nie było jedną z nich, bo w tamtym czasie nie piastowałem żadnego publicznego stanowiska i nie musiałem odpowiadać przed nikim innym oprócz swoich najbliższych i siebie samego. Obecnie jednak sytuacja przedstawia się inaczej i słuszne wydaje mi się wyjawienie tej informacji. Matka mojego syna poważnie zapadła na zdrowiu, dlatego dwa miesiące temu za jej zgodą przyjąłem syna pod swój dach. W ciągu tego czasu zabierałem Kasiego na publiczne

spotkania, podczas których przedstawiałem go jako syna, ale paradoksalnie wygląda na to, że moja szczerość doprowadziła do pojawienia się innych plotek. Jak wiadomo, prawda to ostatnia rzecz, w którą się wierzy. Nie jestem dumny z tego, że piętnaście lat temu zdradziłem żonę, lecz oprócz uzyskania wybaczenia ze strony swoich najbliższych niewiele mogę na to poradzić. Podobnie jak na to, że moje życie prywatne może wpłynąć na opinię niektórych o moich zdolnościach przywódczych. Mogę jedynie prosić o wasze zaufanie, jak sam je w tej chwili okazuję, upubliczniając szczegóły dotyczące tego, co najbardziej kruche i najbardziej dla mnie cenne. Bo nawet jeśli zrobiłem coś, z czego nie jestem dumny, to jednak powód do dumy według mnie istnieje. Jest nim mianowicie mój piętnastoletni syn Kasi, z którym odbyłem wczoraj długą rozmowę, aż w końcu poprosił, abym zrobił to, co właśnie czynię. Abym obwieścił całemu miastu, że jestem jego ojcem...

Tourtell głęboko westchnął i zakończył z lekkim drżeniem w głosie:

– ...a on moim synem. – Chrząknął. – I abym wygrał nadchodzące wybory.

Pauza.

Potem kobiecy głos, również wyraźnie wzruszony:

– Przedstawiliśmy oświadczenie burmistrza Tourtella. Wracamy do wiadomości. Jak już informowaliśmy, otrzymaliśmy wiadomość o silnej eksplozji w Dystrykcie Cztery, a konkretnie na szczycie kasyna Obelisk. Na razie nie ma żadnych informacji o ofiarach śmiertelnych czy rannych, ale...

Macbeth wyłączył radio.

– Cholera – zaklął krótko. A potem głośno się roześmiał.

36

Lady ułożyła się na poduszkach i wysunęła spod szlafroka stopę w stronę Macbetha, który siedział na niskim stołeczku przy nogach łóżka. Wcześniej wyjęła z szafy dwie czerwone suknie. Pogładził jej szczupłą kostkę i gładką, świeżo ogoloną łydkę.

– Więc Hekate wiedział o naszych planach jego zabójstwa – odezwał się. – Wyszło na jaw, kto o nich doniósł?

– Nie. Ale stwierdził, że jeśli będziemy się dobrze sprawować, staniesz się moim Titonosem.

– A kto to jest Titonos?

– Piękny Grek obdarzony życiem wiecznym. Hekate dodał też, że jeśli od tej pory nie będziemy mu posłuszni, to uśmierci nas jak psy, które nie nadają się do tresury.

– Hm. Jedynie Tourtell mógł go poinformować.

– Powtarzasz to już trzeci raz, kochany.

– Ten podstępny łajdak nie tylko nas wydał. Chłopak naprawdę jest jego synem. Pozostaje tylko pytanie, czy ludzie w tym mieście będą chcieli mieć dziwkarza za burmistrza.

– Z powodu jednego skoku w bok piętnaście lat temu? – powiedziała Lady z powątpiewaniem. – W dodatku Tourtell od razu się wtedy przyznał, przeprosił i jeszcze łożył na utrzymanie matki i nieślubnego dziecka, a teraz, kiedy się rozchorowała, święty Tourtell wziął syna do siebie. Ludzie go za to pokochają, mój drogi. Popełnił błąd, wobec którego wszyscy okażą wyrozumiałość, a potem pełen skruchy wykazał się dobrym sercem. Tourtell stał się jednym z ludu. To oświadczenie jest genialnym posunięciem. Będzie pospolite ruszenie, zagłosują na niego tłumy.

– A więc zdecydował się kandydować w wyborach i wygra. A co my zrobimy?

– No właśnie, co zrobimy? Najpierw to, co najważniejsze. Która suknia, Jack?

– Ta hiszpańska – odparł Jack, przestawiając filiżankę Lady z tacy na nocną szafkę.

– Dziękuję. A co z Tourtellem i Hekate, Jack? Podejmiemy jakieś kroki czy to zbyt ryzykowne?

– Nie jestem strategiem, madam, ale czytałem, że w sytuacji, kiedy ma się wrogów na dwóch frontach, można zastosować jedną z dwóch klasycznych taktyk. Pierwsza to wynegocjowanie zawieszenia broni z jednym i zebranie sił na pokonanie tego drugiego, a następnie zerwanie zawieszenia broni bez żadnego uprzedzenia. Druga to napuszczenie obu wrogów na siebie nawzajem, odczekanie, aż obaj osłabną, i dopiero wtedy atak.

Podał filiżankę Macbethowi.

– Przypomnij mi, że mam cię awansować – powiedział Macbeth.

– O, Jack już awansował – odezwała się Lady. – Mamy komplet rezerwacji na najbliższe dwa tygodnie, więc Jack dostał dziś asystenta. Takiego, który ma się zwracać do niego na pan i używać formy sir.

– To nie był mój pomysł. – Jack się roześmiał.

– Mój – oświadczyła Lady. – I to wcale nie jest żaden pomysł. Po prostu rozsądne jest wprowadzenie reguł dotyczących form zwracania się do siebie, bo to przypomina wszystkim o hierarchii i pozwala uniknąć nieporozumień. Na przykład kiedy jakiś burmistrz wprowadza stan wyjątkowy, ważne jest, aby wiedzieć, kto wówczas rządzi miastem. A mianowicie?

Jack pokręcił głową.

– Komendant policji. – Macbeth upił łyczek kawy. – Dopóki komendant nie odwoła stanu wyjątkowego.

– Naprawdę? – zdziwił się Jack. – A gdyby burmistrz umarł? Czy wówczas jego funkcję też przejąłby komendant policji?

– Tak – potwierdził Macbeth. – Do czasu wybrania nowego burmistrza.

– Takie zasady Kenneth wprowadził tuż po wojnie – wyjaśniła Lady. – W tym czasie kładziono nacisk na sprawne wojskowe dowodzenie w sytuacjach kryzysowych.

– Brzmi całkiem rozsądnie – przyznał Jack.

– Dobrą stroną stanu wyjątkowego jest to, że komendant policji kontroluje absolutnie wszystko. Może całkowicie wyłączyć aparat sprawiedliwości, cenzurować prasę i odkładać wybory na czas nieokreślony, staje się, krótko mówiąc...

– Dyktatorem.

– Otóż to, Jack. – Lady zamieszała herbatę. – Niestety Tourtell raczej się nie zgodzi na wprowadzenie stanu wyjątkowego, dlatego musimy się zadowolić drugim z kolei dobrym rozwiązaniem.

– Czyli?

– Śmiercią Tourtella, rzecz jasna.

– Śmiercią? Jak...

– W zamachu. – Macbeth delikatnie ścisnął łydkę Lady. – To masz na myśli, prawda, kochana?

Kiwnęła głową.

– Komendant policji obwieszcza, że przejmuje rządy w mieście na czas śledztwa w sprawie zamachu. Czy za morderstwem mogą stać przeciwnicy polityczni? Hekate? Czy on miał jakiś związek ze zdradą Tourtella? Śledztwo naturalnie się przeciąga.

– Będę mógł rządzić jedynie tymczasowo – zauważył Macbeth. – Do wyboru nowego burmistrza.

– Ale, ukochany, spójrz tylko: na ulicach leje się krew. Zabójstwa policjantów i zamachy na polityków. Komendant policji, obecnie

pełniący obowiązki burmistrza, rozsądnie postanawia wprowadzić stan wyjątkowy. I odsuwa wybory na czas nieokreślony, dopóki sytuacja się nie uspokoi. A o tym, kiedy można ją uznać za opanowaną, decyduje właśnie on.

Macbeth poczuł tę samą dziecięcą radość, co wtedy, gdy to on i Duff byli królami podwórza w sierocińcu i nawet starsi twardziele musieli to zaakceptować.

– W praktyce będziemy mieć nieograniczoną władzę tak długo, jak będziemy tego chcieli. Jesteś pewna, że Capitol nie może interweniować?

– Mój kochany, odbyłam dziś długą i bardzo interesującą rozmowę z jednym z sędziów Sądu Najwyższego. Capitol ma niewielką, wręcz żadną możliwość interwencji, dopóki prawa wprowadzone przez Kennetha nie pozostają w sprzeczności z prawem federalnym.

– Aha. – Macbeth potarł podbródek. – To w istocie ciekawe. Czyli potrzeba jedynie śmierci Tourtella albo ogłoszenia przez niego stanu wyjątkowego.

Jack dyskretnie zakasłał.

– Coś jeszcze, madam?

– Nie, dziękuję ci, Jack. – Lady odprawiła go z uśmiechem.

Kiedy Jack otworzył drzwi, Macbeth usłyszał dochodzący z dołu głuchy basowy dźwięk, a potem pełną skargi syrenę karetki pogotowia rozrywającą ciszę, która znów zapadła po zamknięciu drzwi.

– Tourtell z pewnością układa plany powstrzymania nas – stwierdziła Lady. – Ten zamach musi się odbyć szybko.

– A co z Hekate? Jeśli wężem są Tourtell i Hekate, to Tourtell jest ogonem, Hekate głową. A odrąbany ogon czyni węża jeszcze groźniejszym. Musimy zacząć od głowy!

– Nie.

– Nie? On mówi, że nas uśmierci, jeśli nie poddamy się tresurze. Chcesz być jego tresowanym pieskiem?

– Siedź spokojnie i wysłuchaj mnie do końca, kochany. Słyszałeś, co mówił Jack. Zawrzyj rozejm z jedną stroną i zajmij się drugą. To nie jest odpowiednia pora na rzucanie wyzwania Hekate. Poza tym wcale nie jestem pewna, czy Hekate i Tourtell współpracują ze sobą. Gdyby tak było, Hekate kazałby nam trzymać się z daleka od Tourtella i urzędu burmistrza. Ale tego nie zrobił, nawet kiedy wybuchły spekulacje o twoim kandydowaniu w wyborach. Dopóki Hekate uważa, że się czegoś nauczyliśmy i teraz już będziemy jego posłusznymi pieskami, tylko nam przyklaśnie, że przejmujemy – a pośrednio również on – polityczne rządy w mieście. Rozumiesz? Zajmiemy się teraz tym jednym wrogiem i uzyskamy to, o co nam chodzi. A później się zastanowimy, co zrobić z Hekate.

Macbeth przesunął dłonią po jej łydce w górę, nad kolano. Lady umilkła i zamknęła oczy, a on wsłuchiwał się w jej oddech. Ten oddech, który wydając polecenia bez słów, decydował, co ma robić jego ręka.

Przez całe popołudnie i noc deszcz dalej spłukiwał miasto, którego nigdy nie mógł umyć do czysta. Bębnił w dach hotelu Grand, w którym Fleance, Duff, Malcolm i Caithness zdecydowali się zatrzymać do czasu, aż będzie po wszystkim. Była druga w nocy, kiedy Caithness obudziło pukanie do drzwi jej pokoju. Od razu się domyśliła, kto przyszedł.

Nie chodziło o liczbę uderzeń, częstotliwość ani siłę, tylko o rodzaj uderzenia. On stukał płaską dłonią. A ona znała tę dłoń. Każdy jej najmniejszy zakamarek.

Uchyliła drzwi.

Z ubrania i włosów Duffa ściekała woda, szczękał zębami, a twarz miał tak bladą, że blizna była prawie niewidoczna.

– Przepraszam, ale muszę wziąć gorący prysznic.

– Nie możesz...

– Fleance i ja mamy w pokoju piętrowe łóżko i umywalkę.

Otworzyła drzwi szerzej i Duff wsunął się do środka.

– Gdzie byłeś?

– Na grobie – odpowiedział jej z łazienki.

– W środku nocy?

– Mniej ludzi kręci się po mieście.

Caithness usłyszała, że Duff odkręca wodę. Stanęła przy otwartych drzwiach łazienki.

– Duff?

– Słucham.

– Chciałam tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro.

– Co? – zawołał.

Odchrząknęła i dodała głośniej:

– Z powodu tego, co spotkało twoją rodzinę!

Słuchała szumu lecącej wody, która zagłuszała jej słowa, i wpatrywała się w parę zasłaniającą Duffa przed jej oczami.

Kiedy wyszedł w szlafroku, który zdjął z wieszaka w łazience, z mokrym ubraniem przewieszonym przez ramię, Caithness zdążyła już włożyć coś na siebie i leżała na szerokim łóżku. Spojrzał na nią, wyjmując z kieszeni przemoczonych spodni paczkę papierosów. Kiwnęła głową, więc położył się przy niej. Caithness wtuliła głowę w jego ramię, wpatrując się w żółty szklany abażur, na którego dnie zebrały się martwe owady.

– Tak to już bywa, kiedy ktoś za bardzo chce się zbliżyć do światła – odezwał się Duff.

A więc ciągle umiał czytać w jej myślach.

– Ikar – powiedziała.

– Macbeth. – Duff zapalił papierosa.

– Nie wiedziałam, że znów zacząłeś palić.

– Rzeczywiście to trochę dziwne, bo właściwie nigdy nie lubiłem tego gówna. – Skrzywił się i wydmuchnął do góry duże kółko z dymu.

Roześmiała się.

– To dlaczego zacząłeś palić?

– Nigdy ci nie mówiłem?

– Wielu rzeczy nigdy mi nie mówiłeś.

Zaczął kasłać i oddał jej papierosa.

– Bo chciałem być taki jak Macbeth.

– Sądziłam, że to raczej on chciał być taki jak ty.

– Był cholernie przystojny. I taki... wolny. Harmonijny i wesoły. W pełni zadowolony z siebie. Mnie się to nigdy nie udało.

– Ale ty miałeś inteligencję. – Zaciągnęła się i oddała mu papierosa. – I zdolność przekonywania ludzi, że masz rację.

– Ludzie nie cierpią przyznawać się do błędów. A ja nie miałem zdolności przekonania ich, żeby mnie lubili. W przeciwieństwie do niego.

– To tani wdzięk, Duff. Zobacz, kim on się teraz stał. Oszukał wszystkich.

– Nie. – Duff pokręcił głową. – Macbeth nikogo nie oszukał. Był szczery i prostolinijny. Daleko mu do świętości, ale nie miał w zanadrzu żadnych złych myśli. Dostawałaś to, co widziałaś. Może nie imponował wiedzą czy oryginalnością, ale ufało się w każde jego słowo. I słusznie.

– Ufało się? Duff, to pozbawiony uczuć morderca!

– Mylisz się. Macbeth ma w sobie mnóstwo uczuć. Dlatego nie jest w stanie zabić muchy, a konkretniej – zwłaszcza muchy.

Rozwścieczoną, atakującą osę, owszem. Ale bezbronną muchę? Nigdy. Bez względu na to, jak będzie dokuczliwa.

– Jak możesz go bronić, Duff? Ty, który straciłeś...

– Ja go nie bronię. Bo oczywiście jest mordercą. Mówię tylko, że sam nie potrafi zabić nikogo, kto się nie broni. Zrobił to tylko raz. Po to, żeby ratować mnie.

– Naprawdę? Chcesz mi o tym opowiedzieć?

– Nie. – Mocno zaciągnął się dymem. – Ale to wydarzyło się wtedy, kiedy zabił tamtego ridersa na drodze koło Forres. Chłopaka, który chwilę wcześniej był świadkiem tego, jak zaszlachtowałem jego kumpla, ponieważ wziąłem go za Swena.

– Więc oni nie celowali do was z broni?

Duff pokręcił głową.

– Ale wobec tego Macbeth nie jest wcale lepszy od ciebie – stwierdziła Caithness.

– Jest. Ja zabiłem dla siebie, on zrobił to dla kogoś innego.

– Bo właśnie tak postępujemy w policji. Dbamy o siebie nawzajem.

– Nie. On uważał, że jest mi to winien.

Caithness uniosła się na łokciach.

– Winien?

Duff wycelował papierosem w sufit, zmrużył jedno oko, a drugim wpatrywał się w żar.

– Kiedy po śmierci dziadka trafiłem do sierocińca, byłem już właściwie na to za duży. Miałem czternaście lat. Macbeth był w tym samym wieku, ale przebywał tam od piątego roku życia. Zamieszkaliśmy w jednym pokoju i od razu się zaprzyjaźniliśmy. Macbeth się wtedy jąkał. Wzmagało się to, gdy nadchodziła noc z soboty na niedzielę, bo właśnie wtedy znikał z pokoju w środku nocy i wracał godzinę później. Nigdy nie chciał wyznać, gdzie był.

Dopiero kiedy zażartowałem, że doniosę o tym Lorrealowi, kierownikowi, którego wszyscy się bali, powiedział, że nie wyniknęłoby z tego nic dobrego. – Duff jeszcze raz mocno pociągnął papierosa. – Bo Macbeth chodził właśnie do Lorreala.

– Chcesz powiedzieć, że kierownik...

– Wykorzystywał Macbetha, odkąd Macbeth pamiętał. Nie wierzyłem własnym uszom. Lorreal robił z nim takie rzeczy... Nie potrafiłabyś sobie wyobrazić, że ktoś mógłby tak postępować z drugą osobą i jeszcze znajdować w tym przyjemność. Raz, kiedy Macbeth się sprzeciwił, Lorreal zbił go prawie na śmierć i zamknął na dwa tygodnie w tak zwanym pokoju poprawy, w regularnej celi. Byłem tak wściekły, że się rozpłakałem. Wiedziałem, że każde słowo jest prawdziwe. Macbeth nigdy nie kłamie. Powiedziałem, że musimy zabić Lorreala i że mu w tym pomogę. Przyjął moją deklarację z wdzięcznością.

– Planowaliście zabić człowieka?

– Nie. – Duff przekazał jej papierosa. – Niczego nie planowaliśmy. Po prostu go zabiliśmy.

– Zabi...

– Poszliśmy do pokoju Lorreala w jakiś czwartek, zamiast w sobotę. Podsłuchując pod drzwiami, sprawdziliśmy, że kierownik chrapie. Weszliśmy. Macbeth umiał się poruszać po tym pomieszczeniu na ślepo. Ja stanąłem na czatach przy drzwiach, a Macbeth podszedł do łóżka i uniósł sztylet. Ale to się przeciągało. A kiedy wzrok przyzwyczaił mi się do ciemności, zobaczyłem, że on tylko tam stoi, nieruchomy jak słup soli. W końcu jakby zapadł się w sobie, wrócił do mnie i szeptem wyjąkał, że n-n-nie może. Odebrałem mu więc sztylet, podszedłem do Lorreala i wbiłem z całej siły w otwarte chrapiące usta. Lorreal raz drgnął i po prostu

przestał chrapać. Krwi było niewiele. A potem zwyczajnie stamtąd wyszliśmy.

– O mój Boże! – Caithness skuliła się w pozycji płodu. – I co się wydarzyło później?

– Nic takiego. Było dwustu młodych podejrzanych. Nikt się nie zorientował, że Macbeth zaczął się jąkać mocniej. A gdy po dwóch tygodniach uciekł, nikt nie powiązał tego z zabójstwem. Bo ucieczki zdarzały się tam nieustannie.

– Potem ty i Macbeth znów się spotkaliście?

– Widywałem go czasem w okolicach dworca. Chciałem z nim porozmawiać, pomóc mu, ale uciekał. Wiesz, jak bankrut przed wierzycielem. Spotkaliśmy się dopiero po latach w szkole policyjnej. Był już wtedy czysty i całkowicie przestał się jąkać. Stał się zupełnie innym chłopakiem. Takim, jakim ja pragnąłem się stać.

– Dlatego że był szczery, miał dobre serce i był miłosiernym człowiekiem bez zbrodni na sumieniu, w przeciwieństwie do ciebie?

– Macbeth nigdy nie uważał niezdolności do zabicia z zimną krwią za cnotę, tylko za słabość. Przez cały okres służby w Gwardii zabijał tylko wtedy, gdy on sam lub któryś z jego ludzi został zaatakowany.

– A wszystkie te morderstwa?

– Kazał innym, żeby popełnili je za niego.

– Zabójstwa kobiet i dzieci. Chyba jednak stał się innym człowiekiem niż ten, którego znałeś, Duff.

– Ludzie się nie zmieniają.

– Ty się zmieniłeś.

– Naprawdę?

– Inaczej nie byłoby cię tutaj. Nie podjąłbyś tej walki. Nie mówiłbyś tak o Macbecie. Byłeś czystej wody egoistą, gotowym

rozjechać wszystko i wszystkich, którzy tylko stanęli ci na drodze. Kolegów, rodzinę. Mnie.

– Przypominam sobie, że naprawdę chciałem się zmienić tylko raz. Właśnie wtedy, kiedy chciałem stać się taki jak Macbeth. A gdy zrozumiałem, że to niemożliwe, musiałem stać się kimś lepszym. Kimś, kto może sobie brać to, co chce, nawet to, co miało wartość mniejszą dla mnie niż dla niego. Tak jak Hekate odebrał oko temu chłopakowi. Wiesz, kiedy zakochałem się w Meredith?

Caithness pokręciła głową.

– Kiedy siedzieliśmy we czwórkę za pierwszym razem: my dwaj, Meredith i jej koleżanka, a ja zobaczyłem, w jaki sposób Macbeth na nią patrzy.

– Powiedz, że to nieprawda, Duff!

– Przykro mi, ale niestety, nie mogę zaprzeczyć.

– Jesteś strasznie podły.

– Właśnie to usiłuję ci powiedzieć. Dlatego kiedy mówisz, że toczę tę walkę dla innych, to nie wiem, czy rzeczywiście tak jest, czy może tylko chcę odebrać Macbethowi coś, na czym mu zależy.

– Ale on wcale tego nie chce, Duff. Nie chce miasta, władzy, bogactwa, w ogóle go to nie obchodzi. On chce jedynie jej miłości.

– Lady?

– W tym wszystkim chodzi o Lady. Nie zrozumiałeś tego?

Duff wydmuchnął zdeformowane kółko pod sufit.

– Macbetha napędza miłość, natomiast mnie zazdrość i nienawiść. Tam, gdzie on potrafił okazać łaskę, ja zabijałem. A jutro mam zaatakować człowieka, który kiedyś był moim najlepszym przyjacielem. Napaść na niego z zasadzki. Łaska i miłość znów przegrają.

– Przemawiają przez ciebie jedynie cynizm i pogarda dla samego siebie, Duff.

– Hm. – Zgasił papierosa w popielniczce na nocnej szafce. – Zapomniałaś o użalaniu się nad sobą.

– Owszem. I użalanie się nad sobą.

– Przez całe życie byłem aroganckim egoistą. Nie pojmuję, jak mogłaś mnie kochać.

– Niektóre kobiety mają słabość do mężczyzn, którzy, jak sądzą te kobiety, mogą je zbawić. Inne do takich, których mogą zbawić same.

– Amen. – Duff wstał. – Nie rozumiecie, że my, mężczyźni, się nie zmieniamy. Nie zmieniamy się, kiedy odkryjemy miłość ani kiedy dociera do nas, że umrzemy.

– Niektórzy uciekają się do fałszywej arogancji, żeby zasłonić nią swoją niepewność. Ale twoja arogancja jest szczera, Duff. Wynika z pewności siebie.

Duff uśmiechnął się i wciągnął wilgotne spodnie.

– Spróbuj się trochę przespać. Jutro musimy mieć jasne głowy.

Po jego wyjściu Caithness podniosła się z łóżka, odsunęła na bok zasłonę i wyjrzała na ulicę. Szum opon przejeżdżających przez kałuże. Zniszczony szyld baru z hamburgerami U Joeya. Pralnia chemiczna Pekin i hala do gry w bingo Tandrella. Papieros przez moment żarzący się w zaułku.

Za kilka godzin zacznie się rozwidniać.

Caithness wiedziała, że już nie zaśnie.

37

Sobota przyniosła jeszcze więcej deszczu. Na pierwszych stronach obydwu miejskich gazet królowały oświadczenie burmistrza Tourtella i eksplozja na szczycie Obelisku. „Dziennik" w artykule wstępnym komentował, że wywiad radiowy Macbetha należy rozumieć tak, iż komendant kategorycznie odrzucił ewentualność kandydowania w wyborach na burmistrza. Pisano również, że od Tourtella nie można uzyskać żadnego komentarza, burmistrz jest bowiem niedostępny – spędza dni przy łóżku matki swego syna w Szpitalu Sant Jordi. Przed południem deszcz ustał.

– Wcześniej wróciłeś do domu – stwierdziła Sheila, wycierając ręce w fartuch. Stała w przedpokoju i z lekkim niepokojem patrzyła na męża.

– Nie znalazłem nic do roboty. Chyba byłem w pracy jedyny. – Lennox postawił skórzaną torbę obok komody, wyjął z szafy wieszak i odwiesił płaszcz. Minęły dwa lata, odkąd Rada Miasta uchwaliła pięciodniowy tydzień pracy, ale w komendzie niepisaną regułą pozostawało, że jeśli ktoś chce awansować, musi się tam pokazywać również w soboty.

Lennox lekko pocałował żonę w policzek. Wyczuł nowy, nieznany zapach perfum i przez głowę przeleciała mu całkowicie dotychczas obca myśl: co by było, gdyby zastał Sheilę w łóżku z innym mężczyzną? Prędko jednak to odrzucił. Po pierwsze, Sheila nie była takim typem kobiety. Po drugie, nie była zbyt atrakcyjna i to między innymi stanowiło powód, dla którego skończyła jako żona niewyrośniętego albinosa. Trzeci i najlepszy powód do odrzucenia tej myśli był najprostszy: nie dało się jej znieść.

– Coś się stało? – spytała, idąc za nim do salonu.

– Nie. Jestem tylko trochę zmęczony. Gdzie dzieci?

– W ogrodzie. Nareszcie pogoda pozwoliła im wyjść trochę na powietrze.

Lennox stanął przy dużym oknie w salonie. Obserwował dzieci, które baraszkowały, śmiejąc się i krzycząc, pochłonięte zabawą, która polegała nie wiadomo na czym, chyba na wyślizgiwaniu się. Dobrze coś takiego trenować. Spojrzał w niebo. Nie padało. Krótka przerwa, zanim znów zacznie lać. Opadł na fotel. Jak długo zdoła wytrzymać?

– Obiad będzie dopiero za godzinę – oznajmiła Sheila.

– Dobrze, skarbie. – Spojrzał na nią. Szczerze ją kochał, ale czy kiedykolwiek był w niej naprawdę zakochany? Nie pamiętał. Może zresztą to nie takie ważne. Ona też nigdy o tym nie wspominała, ale wiedział, że i ona się w nim nie zakochała. Sheila w ogóle niewiele się odzywała. Może właśnie dlatego uległa jego namowom i w końcu zgodziła się zostać jego dziewczyną, a po pewnym czasie żoną. Znalazła kogoś, kto potrafił mówić za nich dwoje.

– Jesteś pewien, że nic złego się nie stało?

– Z całą pewnością, skarbie. Ładnie pachnie. Co to?

– No... dorsz. – Zdziwiona, zmarszczyła czoło.

Chciał sprecyzować, że chodziło mu o perfumy, a nie o obiad, który ledwie zaczęła przygotowywać, ale poszła już do kuchni, a on odwrócił fotel w stronę ogrodu. Najstarsza córka zauważyła go, rozpromieniła się i zawołała coś do pozostałej dwójki. Pomachał do dzieci. Jak to możliwe, że dwoje tak niełądnych ludzi mogło mieć takie śliczne potomstwo?

I znów odezwała się tamta myśl: jeśli naprawdę są jego.

Niewierność i zdrada.

Synek coś do niego krzyknął, ale Lennox nie usłyszał słów. Gdy jednak chłopiec zobaczył, że ściągnął na siebie uwagę ojca, zrobił gwiazdę na trawie.

Lennox pochwalił go, wysoko podnosząc ręce, i teraz cała trójka zaczęła robić gwiazdy. Dzieci chciały mu zaimponować – tacie, którego wciąż podziwiały, człowiekowi, do którego ich zdaniem warto się upodobnić. Krzyki, śmiechy i ruch. Lennox pomyślał o ciszy w Fife, o świetle słońca, o firance powiewającej w ostrzelanym oknie, o łagodnej bryzie cichutko wygwizdującej smutne tony w podziurawionych ścianach. Nie mógł tego znieść. Jest tak wiele sposobów tracenia tych, których się kocha. Co będzie, gdy pewnego dnia jego najbliżsi dowiedzą się i zrozumieją, jakim człowiekiem był tak naprawdę ich mąż i ojciec? Czy wiatr będzie wówczas wyśpiewywał tę samą smutną melodię?

Zamknął oczy. Chwila odpoczynku. Chwila pogody pozwalającej na wyjście z domu.

Zorientował się, że ktoś się nad nim pochyla i dyszy mu w twarz. Otworzył oczy. Sheila.

– Nie słyszałeś, że cię wołam?

– Co?

– Telefon do ciebie. Komisarz Seyton.

Lennox wyszedł do przedpokoju, sięgnął po słuchawkę.

– Halo.

– Wcześnie w domu, Lennox? Będę dziś wieczorem potrzebował trochę pomocy.

– Nie czuję się całkiem zdrowy, spróbuj poprosić kogoś innego.

– Komendant był zdania, że powinienem wziąć ciebie.

Lennox przełknął ślinę. W ustach miał smak ołowiu.

– Do czego?

– Wizyta w szpitalu. Bądź gotów za godzinę. Przyjadę po ciebie.

Połączenie zostało przerwane.

Lennox odłożył słuchawkę. Ołów.

– O co chodziło? – zawołała Sheila z kuchni.

Blady metal, który chętnie przybiera kształt otoczenia. Truje i zabija. Ciężki, ale bezwolny materiał, topniejący w temperaturze zaledwie trzystu trzydziestu stopni.

– Nic takiego, skarbie. Nic takiego.

Macbeth zbudził się ze snu o śmierci. Ktoś pukał do drzwi. A coś w tym pukaniu powiedziało mu, że trwa ono już od dłuższej chwili.

– Sir! – To był głos Jacka.

– Już, już – burknął Macbeth i rozejrzał się. Pokój zalewało dzienne światło. Która mogła być godzina? Śniło mu się, że stoi nad łóżkiem, ze sztyletem w ręku, ale po każdym mrugnięciu twarz na poduszce się zmieniała.

– Dzwoni komisarz Caithness, sir. Mówi, że to pilna sprawa.

– Przełącz ją. – Macbeth obrócił się w stronę szafki nocnej. Zapatrzył się w bordowy dywan. W wyhaftowane kwiaty.

Telefon zadzwonił i Macbeth podniósł słuchawkę, nie odrywając oczu od dywanu.

– Słucham, o co chodzi, Caithness?

– Przepraszam, że dzwonię w sobotę, ale znaleziono zwłoki. I właściwie muszę prosić, żebyś przyjechał nam pomóc. – Sprawiała wrażenie zdyszanej.

– Dlaczego?

– Bo wydaje mi się, że to może być Fleance, syn Banqua. Ciało jest w złym stanie, a ponieważ on nie miał bliskich krewnych w mieście, wygląda na to, że najbliższą osobą, która mogłaby go zidentyfikować, jesteś ty.

– Aha. – Macbeth poczuł ściskanie w gardle.

– Słucham?

– Pewnie tak. – Macbeth otulił się kołdrą. – Kiedy ktoś przeleżał tyle czasu w słonej wodzie...

– Właśnie o to chodzi.

– Czyli o co?

– Znaleźliśmy te zwłoki wcale nie w morzu, tylko w zaułku między Czternastą a Piętnastą Ulicą.

– Gdzie?

– Dlatego przed podjęciem dalszych działań chcemy się upewnić, że to Fleance.

– Mówisz, że między Czternastą a Piętnastą?

– Dojdź do skrzyżowania Czternastej z Doheney, będę na ciebie czekać przed barem z hamburgerami U Joeya.

– Okej, Caithness, będę tam za dwadzieścia minut.

– Dziękuję.

Macbeth odłożył słuchawkę. Lilie. Te kwiaty na dywanie to lilie. Lilia. Tak miało na imię dziecko Lady. Dlaczego wcześniej tego nie skojarzył? Śmierć. Dlatego, że nie widział, nie smakował, nie jadł i nie śnił wcześniej tyle śmierci. Zamknął oczy. Przywołał tamte zmieniające się twarze ze snu. Twarz kierownika sierocińca Lorreala, który chrapał niczego nieświadomy, zmieniła się nagle w twarz komendanta policji Duncana z oczami, które otwarły się i patrzyły na niego z pełną świadomością tego, co się dzieje. Potem pojawiły się sztywne martwe oczy Banqua. Bez ciała. Sama głowa na poduszce. I jeszcze tamten bezimienny chłopak, przerażony, ogarnięty paniką, gdy klęczał na asfalcie, patrząc na swojego już nieżywego kolegę, a potem na Macbetha, idącego w jego stronę. Spojrzał na sufit. I przypomniał sobie wszystkie te chwile, kiedy budził się z koszmaru i oddychał z ulgą. Z ulgą, że w rzeczywistości nie zapada się w ruchome piaski ani nie zjadają go psy. Ale czasami wydawało mu się, że się budzi, a dalej mu się to śniło, dalej tonął.

Wciąż musiał przedzierać się przez kolejne warstwy, by się obudzić. Mocno zacisnął powieki. Potem znów otworzył oczy. I wstał.

Śniada kobieta z obfitym biustem w recepcji Szpitala Sant Jordi podniosła wzrok znad identyfikatora, który pokazał jej Lennox.

– Przykazano nam, żeby nikt nie miał dostępu... – znów spojrzała na identyfikator – ...komisarzu.

– To sprawa policyjna – oświadczył Lennox. – Ma wysoki priorytet. Burmistrz musi być o niej pilnie poinformowany.

– Jeśli zostawi pan wiadomość, to mogę...

– Tajne.

Westchnęła.

– Sala dwieście cztery, drugie piętro.

Burmistrz Tourtell i chłopak siedzieli na drewnianych krzesełkach przy jednym z łóżek w wielkiej sali. Starszy obejmował młodszego, ale obaj podnieśli głowy, kiedy Lennox stanął za nimi i chrząknął. W łóżku leżała blada kobieta w średnim wieku o rzadkich włosach. Lennox od razu zauważył podobieństwo łączące ją z chłopcem.

– Dobry wieczór, panie burmistrzu. Może mnie pan nie pamięta, ale poznaliśmy się na kolacji w kasynie Inverness.

– Komisarz Lennox, prawda? Wydział Antykorupcyjny.

– Imponująca pamięć. Przepraszam, że zakłócam spokój.

– Czym możemy panu służyć, komisarzu?

– Otrzymaliśmy wiarygodne zawiadomienie o planowanym bliskim zamachu na pańską osobę.

Chłopak drgnął, lecz Tourtell nawet się nie skrzywił.

– Więcej szczegółów, komisarzu.

– Na razie niewiele wiemy, ale ostrzeżenie traktujemy poważnie. Dlatego zjawiłem się tu, aby eskortować pana w jakieś bezpieczniejsze miejsce.

Tourtell uniósł brew.

– A co mogłoby być bezpieczniejsze niż szpital?

– W dzisiejszej gazecie napisali, że pan tu przebywa, panie burmistrzu. W miejscu, do którego dostęp mają wszyscy. Niech pan pozwoli odprowadzić się do samochodu i odwieźć do własnych czterech ścian, gdzie będzie pan bezpieczny. To nam da, miejmy nadzieję, więcej czasu na lepsze rozeznanie się w sytuacji. Dlatego bardzo proszę iść ze mną.

– Teraz? Tak od razu? Jak pan widzi...

– Widzę i bardzo mi przykro, ale to pański obowiązek. Tak jak moim jest chronić burmistrza.

– Wobec tego niech pan stanie przy drzwiach i pilnuje.

– Nie taki mam rozkaz.

– Ale taki dostał pan w tej chwili, komisarzu.

– Idź. – Głos kobiety w łóżku był ledwie słyszalny. – Idź i weź ze sobą Kasiego.

Tourtell nakrył dłonią jej rękę.

– Ależ, Edith, ty...

– Jestem zmęczona, mój drogi, i chciałabym zostać sama. Przy tobie Kasi będzie bezpieczniejszy. Usłuchaj tego człowieka.

– Czy jesteś...

– Tak, jestem pewna.

Kobieta zamknęła oczy.

Tourtell pogłaskał ją po ręce i spojrzał na Lennoxa.

– Okej, wobec tego chodźmy.

Wyszli. Chłopiec wyprzedzał ich o kilka kroków.

– On wie? – spytał Lennox.

– Że ona umrze? Tak.

– I jak to przyjmuje?

– Niektóre dni są trudniejsze od innych. A on ma tę świadomość już od pewnego czasu. – Szli po schodach, kierując się w stronę

kiosku przy wyjściu. – Ale twierdzi, że będzie dobrze. Będzie dobrze, dopóki ma przynajmniej jedno z nas. Kupię tylko papierosy, zaczekacie?

– Widzę ją, stoi tam. – Macbeth pokazał palcem.

Jack podjechał pod chodnik vis-à-vis hotelu Grand, między pralnią chemiczną a barem z hamburgerami. Wysiedli, Macbeth rozejrzał się w obie strony pełnej przechodniów ulicy.

– Dziękuję, że przyjechałeś tak szybko – powiedziała Caithness.

– Nie mogłem inaczej – odparł Macbeth.

Caithness pachniała jakimiś ciężkimi perfumami. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek wcześniej je u niej wyczuwał.

– No to prowadź – polecił.

Razem z Jackiem ruszyli za Caithness ulicą, na której ledwie rozpoczynał się sobotni wieczór. Na wysokości neonowej reklamy z migającymi sylwetkami nagich kobiet ubrany w smoking naganiacz uważnie obejrzał Caithness, po czym rzucił peta na ziemię i mocno go przydeptał.

– Myślałam, że weźmiesz ze sobą Seytona – odezwała się Caithness.

– Miał dziś wizytę w Sant Jordi. To tutaj?

Caithness zatrzymała się przy wejściu w ciasny zaułek, zagrodzony pomarańczowymi taśmami Wydziału Zabójstw. Macbeth zajrzał w głąb. Było tu tak wąsko, że pojemniki na śmieci wystawione przed tylne drzwi po obu stronach prawie się dotykały. Było też za ciemno, żeby mógł cokolwiek dostrzec.

– Przyjechałam pierwsza. Reszta grupy powinna zjawić się niedługo. Tak to już jest w weekendy, ludzie się rozjechali. – Caithness uniosła taśmę, Macbeth schylił się i przeszedł pod nią. – Idź sam go obejrzeć. Nakryłam ciało prześcieradłem. Ale nie ruszaj

nic innego, nie chcemy zadeptać śladów. Kierowca może tu zaczekać, a ja zawrócę do Joeya, żeby odebrać stamtąd patologa. Powinien tu być w każdej chwili.

Macbeth spojrzał na nią. Nie dostrzegł niczego na jej twarzy. A jednak. Myślała, że będzie mu towarzyszył Seyton. Te ciężkie perfumy, które mogły maskować inne wydzielane przez nią zapachy.

– W porządku. – Ruszył w głąb zaułka.

Nie uszedł nawet dziesięciu metrów, gdy już wszelkie odgłosy z głównej ulicy ucichły i słychać było jedynie szmer wentylatorów, kaszel z otwartego okna i brzęczenie radia – *Hello, It's Me* Todda Rundgrena. Przecisnął się między pojemnikami na śmieci, skradał się, chociaż sam nie wiedział dlaczego. Przypuszczalnie zboczenie zawodowe.

Zwłoki leżały na samym środku uliczki, częściowo w kręgu światła rzucanego przez lampę na ścianie. U wylotu zaułka widział Piętnastą Ulicę, ale było za daleko, żeby dojrzeć, czy i od tamtej strony wstęp został zagrodzony taśmami.

Spod białego prześcieradła wystawała para stóp. Natychmiast rozpoznał buty w szpic.

Podszedł bliżej. Wziął głęboki oddech. Powietrze miało słodki zapach chemikaliów z pralni, który roznosił się od hałasującego wentylatora nad drzwiami bezpośrednio za nim. Chwycił prześcieradło na środku i pociągnął.

– Cześć, Macbeth.

Macbeth patrzył w lufę strzelby, z której celował w niego leżący na plecach mężczyzna. Jaśniała blizna. Macbeth powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Cześć, Duff.

Duff, mówiąc, wpatrywał się w ręce Macbetha.

– Macbecie, niniejszym zostajesz aresztowany. Ale jeśli poruszysz bodaj palcem, to cię zastrzelę. Twój wybór.

Macbeth spojrzał w stronę Piętnastej Ulicy.

– Jestem komendantem policji w tym mieście, Duff, więc nie możesz mnie aresztować.

– Są inne władze.

– Burmistrz? – Macbeth zaśmiał się krótko. – Raczej nie powinieneś się spodziewać, że on tego dożyje.

– Nie mówię o nikim stąd. – Duff wstał, nawet na moment nie przestając celować w Macbetha. – Jesteś aresztowany za współudział w zabójstwie w okręgu Fife i właśnie tam zostaniesz przewieziony, żeby stanąć przed sądem. Już rozmawialiśmy z tamtejszymi władzami. Zostaniesz oskarżony o zabójstwo Banqua, do którego doszło w tym okręgu. Podnieś ręce nad głowę i obróć się do ściany.

Macbeth usłuchał.

– Nic na mnie nie macie, dobrze o tym wiesz.

– Biorąc pod uwagę zeznania komisarz Caithness o tym, co jej opowiedział aspirant Angus, mamy dość, żeby zatrzymać cię w areszcie w Fife przez tydzień. A tydzień bez ciebie na stanowisku komendanta da nam dość czasu na wniesienie oskarżenia przeciwko tobie również tu, w mieście. Oskarżenia o zabójstwo Duncana. Mamy dowody techniczne. – Duff wyjął kajdanki. – Ręce za plecy. Znasz procedurę.

– Naprawdę mnie nie zastrzelisz, Duff? Daj spokój, przecież jesteś człowiekiem, który żyje dla zemsty.

Duff podszedł bliżej.

– Rozumiem cię, Duff. Ciężko przeżyłeś to, że chłopak, którego zabiłeś, nie był Swenem. Ale teraz, kiedy masz całkowitą pewność,

że stoi przed tobą właściwy człowiek, nie pomścisz ich? A może matka znaczyła dla ciebie więcej niż Meredith i dzieci?

– Stój spokojnie i zamknij gębę!

– Miałem gębę zamkniętą całymi latami, Duff. Nie zdradziłem, że funkcjonariuszka, którą Sweno zabił w Stoke, była twoją matką. W którym roku to się stało, tam w Stoke? Nie mogłeś być duży.

– Rzeczywiście, byłem jeszcze mały. – Duff zamknął kajdanki na nadgarstkach Macbetha.

– A dlaczego przyjąłeś nazwisko po dziadku, zamiast pozostać przy nazwisku rodziców?

Duff odwrócił Macbetha. Stali teraz twarzą w twarz, blisko siebie.

– Nie musisz odpowiadać – ciągnął Macbeth. – Zrobiłeś to, żeby nikt, ani z policji, ani spośród ridersów, nie powiązał twojego nazwiska z masakrą w Stoke. Żeby nikt nie zrozumiał, że wcale nie zostałeś policjantem dla służenia miastu i tak dalej, dla tych wszystkich bzdur. Chodziło ci wyłącznie o pościg za Swenem. O możliwość zemsty. Napędzała cię nienawiść, Duff. W sierocińcu, kiedy zabiłeś Lorreala, to było łatwe, prawda? Wystarczyło ci wyobrazić sobie Swena. Lorreal był jeszcze jednym człowiekiem, który odebrał komuś dzieciństwo.

– Możliwe. – Duff stał tak blisko, że w piwnych oczach Macbetha widział odbicie własnej postaci.

– Więc co się stało, Duff? Dlaczego teraz nie chcesz zabić? Przecież to ja odebrałem ci twoją rodzinę i masz taką szansę.

– Musisz ponieść odpowiedzialność za to, co zrobiłeś.

– A co ja zrobiłem?

Duff zerknął w stronę Piętnastej Ulicy, gdzie czekał już na nich samochód z Malcolmem i Fleance'em, tam też poszła Caithness.

– Zabiłeś niewinnych ludzi.

– Naszym przeklętym obowiązkiem jest zabijać niewinnych ludzi, Duff. Dopóki to służy wyższym celom. Musimy stłumić swoją sentymentalną, uległą naturę. Ten chłopak, któremu poderżnąłem gardło na drodze... Nie zrobiłem tego dla ciebie ani w ramach wdzięczności za to, że ty zabiłeś Lorreala. Zostałem mordercą, żeby nikt nie mógł wdeptać policji w błoto. Zrobiłem to dla miasta, by zapobiec anarchii.

– Chodź, idziemy.

Duff chwycił Macbetha za ramię, ale ten się wyrwał.

– Czy żądza władzy przewyższyła w tobie żądzę zemsty, Duff? Sądzisz, że jeśli aresztujesz samego komendanta policji, dostaniesz Pezet?

Duff wcisnął mu lufę strzelby pod brodę.

– Oczywiście mógłbym im powiedzieć, że stawiałeś opór.

– Trudny wybór? – spytał Macbeth.

– Nie. – Duff opuścił lufę. – To miasto nie potrzebuje kolejnych trupów.

– Więc nie kochałeś Meredith, dzieci? No tak, zapomniałem. Przecież ty nie umiesz kochać...

Duff uderzył. Lufa trafiła Macbetha w szczękę.

– Pamiętaj, Macbecie, że ja nigdy nie miałem problemów z zabiciem bezbronnego człowieka z bliska.

Macbeth roześmiał się i splunął krwią. Coś – najprawdopodobniej ząb – podskoczyło na ziemi.

– Więc to udowodnij. Zastrzel jedynego przyjaciela, jakiego kiedykolwiek miałeś. No dalej! Zrób to dla Meredith.

– Nie wymawiaj jej imienia.

– Meredith! Meredith!

Duffowi krew zaszumiała w uszach, serce zabiło mocno i boleśnie. Nie wolno mu... Czoło Macbetha łupnęło Duffa w nos, rozległ się

chrzęst, ale stali zbyt blisko siebie, Macbeth nie mógł wziąć odpowiedniego rozpędu, żeby go przewrócić. Duff cofnął się o dwa kroki i przyłożył strzelbę do ramienia.

W tym samym momencie za plecami Macbetha otworzyły się drzwi.

Pojawiła się w nich jakaś postać, w przód wystrzeliła ręka w szarym prochowcu, prawdopodobnie chwyciła kajdanki za plecami Macbetha i mocno go do siebie pociągnęła. Szarpnięcie było tak silne, że Macbeth dosłownie uniósł się nad ziemią i zniknął w ciemności wnętrza domu.

Duff wypalił.

Huk wystrzału uderzył w błony bębenkowe i zadrgał między ścianami zaułka.

Duff, na wpół ogłuszony, przekroczył próg i zanurzył się w mrok.

W powietrzu coś się uniosło, wpadło mu do ust, więc prędko to wypluł. Miał wrażenie, że przed nim stoją ustawieni rzędem ludzie. Zapach perchloroetylenu wiercił w nosie. Duff wolną ręką odnalazł przełącznik na ścianie przy drzwiach. Postaci okazały się stojakami, na których wisiały płaszcze w przezroczystej folii, przypięte były do nich kartki z nazwiskami i datami. Przed sobą zobaczył wielką dziurę w plastiku i futrze, zrozumiał, że pluje zwierzęcą sierścią. Stanął, nasłuchując, ale docierał do niego jedynie warkot zielonej maszyny do prania chemicznego Garretta, stojącej pod ścianą. A potem rozległ się dźwięk dzwonka, jakby jednego z tych, które potrąca się drzwiami przy wejściu do sklepu. Duff rzucił się w stronę ściany ubrań, mijał kolejne wieszaki, przeszedł przez jakieś drzwi i za kontuar, gdzie wpatrywała się w niego przerażona chińska para. Wyminął Chińczyków i wybiegł na ulicę. Rozejrzał się w jedną i drugą stronę. Trwał sobotni ruch. Jakiś mężczyzna go szturchnął i Duff na moment stracił równowagę.

Za plecami usłyszał śmiech. Odwrócił się i zobaczył obdartusa aż brązowego od brudu, z kilkoma pieńkami po zębach widocznymi w otwartych ustach.

– Ktoś pana obrabował, mister?

– Tak. – Duff opuścił strzelbę. – Obrabowano mnie.

38

Lennox stał razem z Kasim przed wejściem do szpitala. Spoglądał w stronę kiosku, gdzie Tourtell ustawił się w kolejce, żeby kupić papierosy, po czym skierował wzrok na parking. Wewnątrz limuzyny burmistrza paliło się światło. Dzieliło ich od niej około stu metrów, mniej więcej tyle samo, ile od dachu piętrowego parkingu. Lennoxa przeszedł dreszcz. Rzadko zdarzający się północno-wschodni wiatr na ogół przynosił dobrą pogodę, ale wraz z nią chłód. Gdyby jeszcze trochę powiało, niebo oczyściłoby się z chmur. W blasku księżyca Olafson zapewne zdołałby zastrzelić Tourtella z dowolnego miejsca, ale z powodu ciemności zaplanowali, że stanie się to na parkingu pod którąś z latarni.

Lennox znów spojrzał na zegarek. Zakasłał. Chłód przenikał całe jego ciało. Płuca. Nie tolerował słońca, nie tolerował chłodu. Co właściwie Bóg miał na myśli, pozwalając przychodzić na świat komuś takiemu jak on? Samotnemu, cierpiącemu mózgowi bez zbroi, mięczakowi bez skorupy.

– Dziękuję, że nam pomagasz.

– Słucham? – Lennox odwrócił się do chłopca.

– Dziękuję, że ratujesz mojego ojca.

Lennox szeroko otworzył oczy. Jego syn nosił dżinsowe kurtki podobnego typu, w jaki ubrany był ten chłopak. Lennox nie zdołał

też powstrzymać następnej myśli. Oto stoi przed nim niewiele starszy od jego rodzonego syna chłopiec, który w dodatku właśnie traci matkę. A także ojca. *Twierdzi, że będzie dobrze, dopóki ma przynajmniej jedno z nas.*

– No to idziemy. – Tourtell zaciągnął się świeżo kupionym papierosem.

– Tak, idziemy – odparł Lennox.

Przeszli przez ulicę na parking. Lennox przesunął się na lewą stronę Tourtella. Kasi wyprzedzał ich o kilka kroków. Lennox musiał teraz jedynie się zatrzymać w momencie, kiedy wejdą w krąg światła pierwszej latarni, i usunąć się z linii strzału. Reszta należała już do Olafsona.

Lennox poczuł dziwne drętwienie języka oraz palców u rąk i nóg.

– Idą! – Seyton opuścił lornetkę.

– Widzę – wyseplenił Olafson. Klęczał na jednym kolanie na dachu parkingu. Jedno oko miał przymknięte, drugie szeroko otwarte, wpatrzone w celownik optyczny karabinu opartego o murek. Seyton powiódł wzrokiem po dachu, by się upewnić, że nadal są sami. Ich samochód jako jedyny parkował na górze. Najwidoczniej nikt nie odwiedzał pacjentów w sobotni wieczór. Z pobliskich ulic płynęła muzyka i aż tutaj docierał zapach perfum i testosteronu.

W dole na placu parkingowym chłopiec szedł przed Tourtellem i Lennoxem, poza linią strzału. To dobrze. Seyton usłyszał, że Olafson bierze głęboki wdech. Dwaj mężczyźni dotarli do kręgu światła pod latarnią.

Seytonowi serce podskoczyło z radości.

– Teraz!

Ale żaden strzał nie padł. Tamci dwaj opuścili krąg światła. Ich sylwetki znów rozmyły się w ciemności.

– Co się stało? – spytał Seyton.

– Lennox był na linii strzału – wyjaśnił Olafson. – Pewnie usunie się z drogi przy następnej latarni.

Seyton znów podniósł lornetkę.

– Ma pan jakiś pomysł, kto na mnie poluje, Lennox?

– Owszem.

Aby dotrzeć do limuzyny, musieli minąć jeszcze dwie latarnie.

– Naprawdę? – Tourtell zdziwiony popatrzył na niego i zwolnił.

Lennox czujnie dostosował tempo kroków.

– Niech pan się nie ogląda na parking z tyłu, Tourtell. Na jego dachu leży znakomity strzelec wyborowy i właśnie w tej chwili ma nas na celowniku. A raczej mnie. Więc niech pan idzie w tym samym tempie co ja, bo inaczej strzeli panu w głowę.

Lennox po spojrzeniu Tourtella poznał, że burmistrz mu wierzy.

– Chłopiec...

– Nic mu nie grozi. Niech pan dalej idzie i udaje, że nic się nie dzieje.

Lennox zobaczył, że Tourtell otwiera usta, jakby tylko w ten sposób mógł dostarczyć wielkiemu ciału odpowiedniej ilości tlenu, teraz, gdy częstotliwość uderzeń serca wzrosła. W końcu burmistrz kiwnął głową i przyspieszył drobnymi kroczkami.

– Jaka jest w tym pana rola, Lennox?

– Łotra. – Lennox zobaczył, że kierowca, który najwyraźniej obserwował wejście do szpitala, wysiada z samochodu, żeby otworzyć tylne drzwi. – To auto jest kuloodporne?

– Jestem burmistrzem, a nie prezydentem. Dlaczego pan to robi, skoro jest pan łotrem?

– Ponieważ ktoś musi ocalić to miasto przed Macbethem. Ja nie mogę, więc niechże zrobi to pan.

– Co, u diabła, ten Lennox wyprawia? – Seyton oderwał lornetkę od oczu, jakby chciał się upewnić, że to, co przez nią widzi, zgadza się z rzeczywistością na parkingu. – Czy on celowo osłania Tourtella?

– Nie wiem, szefie. Ale musimy się pospieszyć, bo oni zaraz będą przy wozie.

– Czy twoje kule przebiją Lennoxa na wylot?

– Słucham, szefie?

– Czy przelecą przez Lennoxa i zabiją Tourtella?

– Używam pocisków pełnopłaszczowych, szefie.

– Tak czy nie?

– Tak!

– To zastrzel zdrajcę.

– Ale...

– Milcz! – szepnął Seyton.

– Co? – Na czoło młodego funkcjonariusza wystąpił pot.

– Nie mów i nie myśl, Olafson. To był rozkaz.

Kierowca obszedł samochód i z uśmiechem przytrzymał otwarte tylne drzwi. Uśmiech zniknął mu jednak z twarzy, kiedy zobaczył minę Tourtella. Chłopiec podszedł do tylnych drzwi z lewej strony.

– Wsiadajcie i pochylcie się! – syknął Lennox. – A pan niech ich stąd zabiera, natychmiast!

– Sir, co...

– Rób, co ci każe – powiedział Tourtell. – To...

Lennox poczuł uderzenie w plecy, jeszcze zanim usłyszał huk przypominający trzaśnięcie z bata. Nogi się pod nim ugięły, runął do przodu i odruchowo oplótł rękami Tourtella, przy okazji przewracając również jego.

Wszystko rejestrował. Asfalt, który się do nich zbliżał. Nie poczuł, kiedy w niego uderzył, rozpoznał jednak każdy element jego zapachu. Kurz, benzynę, gumę, mocz. Nie był w stanie się ruszyć ani

wydobyć z siebie żadnego dźwięku, ale słyszał. Słyszał sapanie leżącego pod nim Tourtella. Przerażone „sir, sir!" kierowcy.

I głos Tourtella:

– Uciekaj, Kasi, uciekaj!

Prawie im się udało. Jeszcze metr, a osłoniłaby ich limuzyna. Lennox próbował coś powiedzieć, wymówić nazwę zwierzęcia, ale ciągle brakowało mu głosu. Na próżno usiłował przesunąć rękę. Był martwy. Niedługo uniesie się i z góry zobaczy własne ciało. Jeden metr. Zarejestrował odgłos oddalających się szybko kroków. Wiedział, że kierowca nachyla się nad nimi i próbuje go ściągnąć z Tourtella.

– Pomogę panu wsiąść do samochodu, sir!

Odgłos kolejnego trzaśnięcia batem i Lennox poczuł coś mokrego w oczach. Zamrugał. A więc mógł poruszać przynajmniej powiekami. Zobaczył, że kierowca leży obok nich i patrzy przed siebie pustym wzrokiem. Jego czoło zniknęło.

– Żółw – szepnął Lennox.

– Co?

– Pełznij. Będę twoją skorupą.

– Kierowca wyeliminowany. – Olafson wkładał nowy nabój do komory.

– Pospiesz się! Tourtell próbuje przeczołgać się za samochód – powiedział Seyton. – A chłopiec ucieka.

Olafson załadował broń. Znów przyłożył kolbę karabinu do ramienia i zmrużył jedno oko.

– Mam chłopaka na muszce.

– On mnie gówno obchodzi! – warknął Seyton. – Zastrzel Tourtella!

Seyton zobaczył, że lufa karabinu Olafsona porusza się z boku na bok. Gwardzista zamrugał, żeby strącić kroplę potu z rzęs.

– Nie widzę go, szefie.

– Za późno! – Seyton płaską dłonią uderzył o mur. – Są już za wozem. Musimy zejść na dół i tam dokończyć robotę.

* * *

Tourtell, stękając, uwalniał się spod Lennoxa, który w końcu opadł na mokry asfalt i całkowicie bezradny leżał na brzuchu. Zorientował się, że nogi ciągle wystają mu poza tył auta, ale Tourtell chwycił go pod pachy i przeciągnął w bezpieczne miejsce.

Gdzieś zapiszczały na asfalcie opony. Podjeżdżał do nich samochód. Lennox zajrzał pod limuzynę, zobaczył jednak tylko ciało kierowcy po drugiej stronie. Tourtell usiadł oparty plecami o bok auta. Lennox próbował otworzyć usta, powiedzieć burmistrzowi, że musi wsiąść do samochodu i uciekać, ratować siebie. Nic z tego nie przyszło, powtórzyła się ta sama historia, jakby podsumowująca całe jego życie. Nie był w stanie zrobić tego, co chciały mózg i serce.

Jakieś auto się zatrzymało, trzasnęły drzwiczki.

Kroki na wciąż mokrym asfalcie.

Lennox usiłował obrócić głowę, ale nie mógł. Kątem oka dostrzegł lufę karabinu zwisającą równolegle do nogawek spodni.

Byli skończeni. Poczuł dziwną ulgę.

Nogawki się przybliżyły. Jakaś dłoń dotknęła jego szyi. A więc ma zostać zabity bezgłośnie, przez uduszenie. Lennox wbił wzrok w buty. Wyszły z mody już jakiś czas temu. Sztyblety z ostrymi czubami.

– Ten tutaj nie żyje – rozległ się zza samochodu znajomy głos.

– Tourtellowi nic się nie stało – stwierdził mężczyzna, który dusił Lennoxa. – Lennox się nie rusza, ale puls ma wyczuwalny. Skąd oni strzelali?

– Z dachu budynku parkingu – wyszlochał Tourtell. – Lennox mnie uratował.

Uratował?

– Przejdź na tę stronę, Malcolm!

Ręka odsunęła się od szyi Lennoxa, a w jego polu widzenia znalazła się twarz.

Prosto w oczy patrzył mu Duff.

– Jest przytomny? – dobiegł do niego kobiecy głos. Caithness.

– Sparaliżowany albo w szoku – odparł Duff. – Wodzi oczami. Ale się nie rusza ani nie mówi. Musimy go przetransportować do szpitala.

– Samochód! – odezwał się kolejny głos, tym razem młodego chłopaka. – Wyjeżdża z parkingu piętrowego.

– Wygląda na jeden z pojazdów Gwardii. – Duff się wyprostował i przyłożył broń do ramienia.

Przez chwilę trwała cisza. Odgłos silnika się oddalał.

– Niech uciekają – powiedział Malcolm.

– Kasi. – Głos Tourtella.

– Słucham?

– Musicie znaleźć Kasiego.

Kasi biegł. Serce dudniło mu w gardle, a stopy klaskały o asfalt, coraz szybciej, aż osiągnęły rytm piosenki, która zazwyczaj rozbrzmiewała mu w głowie, kiedy się bał. *Help!* Akurat wsiadał do samochodu, gdy usłyszał huk i zobaczył, jak wydymają się plecy płaszcza tego bladego policjanta i jak ten pada na tatę, który zawołał, że Kasi ma uciekać.

Odruchowo wybrał drogę ku okolicy, gdzie się wychował, nad rzekę. Stał tam częściowo spalony dom, w którym zwykle się bawili; nazywali go Szczurzą Norą.

Na białym murze domu wokół drzwi i okien widać było czarne obramowania sadzy – kojarzył się przez to ze starą wymalowaną dziwką. Tu, nad rzeką, domy stały jeden przy drugim, szukając u siebie nawzajem schronienia. Z wyjątkiem tego stojącego osobno, jakby pozostałe go unikały. Był drewniany, pomalowany na niebiesko, wokół niego wyrosła wysoka trawa. Kasi szybko ją pokonał i wbiegł na górę po schodach do pozbawionego drzwi wejścia, prowadzącego do pomieszczenia, które kiedyś służyło za kuchnię. Pozostała z niej tylko cuchnąca uryną skorupa z nabazgranymi na ścianach imionami i wulgarnymi słowami. Wąskimi schodami pobiegł dalej do sypialni. W jednej leżał zapleśniały materac, Kasi po raz pierwszy w życiu całował się na nim z dziewczyną, wśród pustych butelek po alkoholu i sztywnych trucheł szczurów wodnych walających się po podłodze. Któregoś popołudnia, kiedy miał dziesięć czy jedenaście lat, leżeli tu o zachodzie słońca i kaszląc, próbowali swoich pierwszych papierosów. Właśnie wtedy widzieli, jak szczury drepczą po popękanej, zaśmieconej glinie w suchym łożysku rzeki. Może przychodziły tu, żeby umrzeć.

Czy powinien tam wrócić? Nie, tata kazał mu uciekać. No a ten Lennox był z policji. Poza tym policjantów musiało być więcej, skoro wiedzieli o planowanym zamachu na burmistrza.

Powinien na razie tu się ukryć, a potem wrócić do domu.

Kasi otworzył stojącą w rogu wielką szafę na ubrania. Była pusta, ogołocona ze wszystkiego. Skulił się w środku i zamknął drzwi. Głowę oparł o ścianę. W głowie ciągle rozbrzmiewała mu ta piosenka. *Help!* Przypomniał sobie komiczny, szybko dziejący się film – Beatlesi biegają zdezorientowani i wygłupiają się w świecie, w którym właściwie nic złego się nie stało. Tutaj nikt go nie znajdzie, jeśli nie wie, gdzie szukać. A poza tym on przecież nie był

burmistrzem, tylko chłopakiem, który nie zrobił w życiu nic złego oprócz wypalenia ukradkiem kilku papierosów, wypiciem na spółkę z kumplem butelki rozwodnionej whisky i pocałowaniem paru dziewczyn chodzących z innymi chłopakami.

Serce powoli się uspokajało.

Nasłuchiwał. Nic. Ale musiał jeszcze trochę odczekać. Odzyskał oddech. Na tyle, że mógł już wciągać powietrze przez nos. Nie wiedział, ile lat minęło, odkąd w tej szafie wisiały ubrania, lecz mimo to czuł ich zapach. Zapach. Duch cudzego życia. Bóg jeden wie, gdzie są teraz ci ludzie. Mama mówiła, że to był nieszczęśliwy dom. Alkohol, bicie i jeszcze gorsze rzeczy. A on powinien się radować, że ma ojca, który go kocha i nigdy nie tknął go nawet palcem. I Kasi rzeczywiście się z tego cieszył. O tym, że ma ojca burmistrza, nie wiedział nikt, i on też nikomu o tym nie mówił. Ani tym, którzy przezywali go bękartem, ani innym bękartom, które nigdy nie widziały swoich ojców i nawet nie wiedziały, kto nimi jest. Tych było mu żal. Powiedział tacie, że pewnego dnia będzie im pomagał. Im i wszystkim tym, którym tak trudno się żyło po zamknięciu Estexu. A tata nie pogłaskał go po głowie i nie roześmiał się, jak zareagowaliby inni ojcowie. Wysłuchał go z powagą i powiedział, że jeśli Kasi naprawdę będzie chciał coś z tym zrobić, gdy przyjdzie na to czas, to obiecuje mu pomóc. I kto wie, może któregoś dnia Kasi sam zostanie burmistrzem. Przecież zdarzały się już większe cuda. Tak powiedział tata i nazwał go Tourtellem juniorem.

Help!

Ale świat nie był taki. Świat nie składał się z dobrych uczynków i komicznych sytuacji piosenkarzy w filmie. Nie można pomóc nikomu. Ani swojemu ojcu, ani swojej matce, ani innym dzieciom. Tylko sobie.

Olafson przyhamował, kiedy jadący przed nimi autobus się zatrzymał. Na chodnik wysypali się młodzi ludzie, głównie dziewczyny. Wystrojone. Sobotni wieczór. Właśnie to powinien robić dziś wieczorem. Napić się piwa, potańczyć. Alkoholem i tańcem przegonić obraz tamtego kierowcy. Obok niego Seyton wyciągnął rękę i wyłączył radio, ucichli Lindisfarne i ich *Meet Me on the Corner*.

– Skąd oni się, u diabła, wzięli? Duff. Malcolm. Caithness. A ten młody, niech mnie cholera weźmie, jeśli to nie był syn Banqua!

– Wracamy do komendy? – spytał Olafson. Jeszcze nie było za późno na porządny sobotni wieczór.

– Na razie nie. Musimy złapać tego chłopaka.

– Syna Tourtella?

– Nie chcę wracać do Macbetha z pustymi rękami. A chłopca można wykorzystać. Tu w lewo. Jedź jeszcze wolniej.

Olafson wjechał w ciasną uliczkę, zerkając na Seytona, który otworzył okno i tak mocno wciągał powietrze, że aż mu falowały nozdrza. Chciał spytać, skąd Seyton wiedział, dokąd pobiegł chłopak, ale się powstrzymał. Skoro ten człowiek potrafił wyleczyć bark, ledwie go dotykając, to pewnie umiał też wywęszyć, gdzie się podział człowiek. Czy Olafson bał się swojego nowego szefa? Może i tak. W każdym razie zadawał sobie pytanie, czy nie żałuje tamtej transakcji wymiennej. Skąd jednak mógł wiedzieć, że dojdzie do czegoś takiego? Wiedział tylko, że chirurg w szpitalu, wskazując na zdjęcie rentgenowskie, wyjaśnił mu, że kula zniszczyła staw, a on jest już inwalidą i musi się pogodzić z tym, że nigdy nie wróci do Gwardii jako snajper. Lekarz w ciągu kilku minut odebrał mu wszystkie marzenia, łatwo więc było przystać na propozycję Seytona, kiedy ten oświadczył, że jest w stanie naprawić szkodę, pod warunkiem że Olafson zgodzi się na tę transakcję. Właściwie

nie za bardzo w to uwierzył, bo kto potrafi wyleczyć takie obrażenia w ciągu doby? No ale co miał do stracenia, przecież przysięgał wierność braterstwu, jakim była Gwardia, więc na to, czego Seyton od niego żądał, pod wieloma względami zgodził się już wcześniej.

Nie, nie ma sensu czegokolwiek teraz żałować. I trzeba mieć w pamięci, jaki los spotkał jego najlepszego kumpla Angusa. Ten idiota zdradził Gwardię, zdradził to, co mieli najdroższego. Chrzest w ogniu i związanie krwią to nie były puste słowa. Zobowiązywały, bez jakiejkolwiek alternatywy. Olafson zresztą wcale jej nie chciał. Pragnął, żeby było właśnie tak. Chciał mieć poczucie sensu tego, co robi, wiedzieć, że coś znaczy dla kogoś. Dla kumpli. Nawet kiedy nie rozumiał sensu ich działań. Określanie sensu było zadaniem innych. Nie należało do Angusa, głupiego uparciucha. Musiało mu kompletnie odwalić. Angus próbował go nakłonić, żeby się do niego przyłączył, ale Olafson posłał go w diabły. Nie chciał mieć do czynienia z kimś, kto zdradza Gwardię. Angus wbił w niego wzrok i spytał, jak to się stało, że bark tak prędko mu się wygoił, przecież rana postrzałowa nie zrasta się w ciągu dwóch dni. Olafson nie odpowiedział i natychmiast wyrzucił go za drzwi.

Ulica się skończyła. Dotarli do łożyska rzeki.

– Ciepło, coraz cieplej, gorąco – mruknął Seyton. – Chodź.

Wysiedli i ruszyli wzdłuż ruder stojących między drogą a rzeką. Mijali kolejne domy, Seyton węszył w powietrzu. Zatrzymał się przy budynku pomalowanym na czerwono.

– Tutaj? – spytał Olafson.

Seyton znów kilkakrotnie wciągnął powietrze przez nos, a potem rzucił głośno:

– Dziwka!

Poszedł dalej. Minęli spalony murowany dom, garaż z metalową bramą i dotarli do pomalowanego na niebiesko drewnianego domku. Na schodach siedział kot. Seyton znów się zatrzymał.

– Tutaj – oświadczył.

– Tutaj?

Kasi spojrzał na zegarek. Dostał go od taty. Wskazówki i cyfry połyskiwały zielonkawo w mroku, wyobrażał sobie, że właśnie tak błyskają oczy wilków w ciemności wokół ogniska. Minęło ponad dwadzieścia minut. Był pewien, że kiedy uciekał z parkingu, nikt go nie ścigał. Wielokrotnie się odwracał i nie zauważał nikogo. Chyba już jest bezpieczny. Znał tę okolicę jak własną kieszeń, właśnie dlatego przybiegł tutaj. Mógł iść do mostu Penny i tam wsiąść w autobus linii 22 jadący na zachód, w stronę domu. W domu będzie tata. Musi tam być. Nagle Kasi zdrętwiał. Czyżby coś usłyszał? Skrzypnięcie schodów? Uchowały się w całości, nie wiedział jakim cudem. Tyle że trzeszczały, kiedy wiało lub gdy pogoda się zmieniała. Albo kiedy ktoś szedł. Kasi wstrzymał oddech. Nasłuchiwał. Nie. To na pewno tylko zmiana pogody.

Wolno policzył do sześćdziesięciu.

Potem nogą pchnął drzwi szafy.

I szeroko otworzył oczy.

– Boisz się – powiedział mężczyzna, który na niego patrzył. – Sprytnie zrobiłeś, chowając się w szafie, bo w ten sposób zamknąłeś w niej zapach. Prawie. – Wysunął ręce, obracając dłonie wnętrzem do góry, wciągnął powietrze. – Ale teraz cudownie pachnie tu twoim strachem, chłopcze.

Kasi zamrugał. Mężczyzna był chudy, a oczy miał właśnie takie jak wskazówki na zegarku. Wilcze. I musiał być stary. Wprawdzie nie wyglądał staro, lecz Kasi czuł, że mężczyzna musi mieć bardzo, bardzo dużo lat.

– Ratun... – zaczął wołać, ale tamten wyrzucił rękę w przód i chwycił go za szyję. Kasi nie mógł oddychać. Pomyślał, że już wie, dlaczego przyszedł właśnie tutaj. Że jest jak te szczury wodne. Przyszedł tu umrzeć.

39

Duff zerknął na zegarek, ziewnął i jeszcze bardziej obsunął się na krześle. Jego długie nogi wyciągnięte przez prawie całą szerokość korytarza szpitalnego sięgały do stóp Caithness i Fleance'a. Spojrzenia Duffa i Caithness się spotkały.

– Miałeś rację – powiedziała.

– Oboje mieliśmy.

Nie upłynęła jeszcze godzina od chwili, kiedy, przeklinając, wskoczył do samochodu czekającego na Piętnastej Ulicy i przekazał, że Macbeth się wymknął. Powiedział też, że najwyraźniej coś się dzieje, bo Macbeth wspomniał, że burmistrz nie pożyje długo.

– Zamach – stwierdził Malcolm. – Przejęcie władzy. On kompletnie oszalał.

– Co?

– Ustawy Kennetha. Jeśli burmistrz umrze lub ogłosi wprowadzenie stanu wyjątkowego, rządy w mieście przejmuje komendant policji, zyskując w zasadzie nieograniczoną władzę. Trzeba ostrzec Tourtella.

– Sant Jordi – podsunęła Caithness. – Seyton tam jest.

– Jedź! – zawołał Duff, a Fleance wcisnął gaz.

Dojazd zajął im mniej niż dwadzieścia minut. Kiedy zatrzymali się przed głównym wejściem do szpitala i wysiadali z auta, usłyszeli pierwszy strzał na parkingu.

Duff zamknął oczy. Tej nocy w ogóle nie spał. Właściwie powinno już być po wszystkim. Macbeth miał siedzieć w areszcie w Fife.

– Są – odezwała się Caithness.

Duff otworzył oczy. Korytarzem szli w ich stronę Tourtell z Malcolmem.

– Lekarz twierdzi, że Lennox przeżyje. – Malcolm usiadł. – Jest przytomny, może mówić i poruszać rękami. Ale jest sparaliżowany od pasa w dół. Najpewniej nieodwracalnie. Kula trafiła w kręgosłup.

– Zatrzymała się w kręgosłupie – poprawił go Tourtell. – Inaczej przebiłaby go na wylot i uderzyła we mnie.

– W świetlicy siedzi jego rodzina – dodał Malcolm. – Byli już u niego, ale lekarz stwierdził, że dość wizyt na dzisiaj. Lennox dostał morfinę i musi odpoczywać.

– Ma pan jakieś wieści od Kasiego? – spytała Caithness.

– Jeszcze nie wrócił do domu – odparł Tourtell. – Ale on dobrze zna okolicę. Mógł iść do jakichś znajomych albo gdzieś się schować. Nie martwię się o niego.

– Nie?

Tourtell się skrzywił.

– Na razie.

– Więc co teraz robimy? – spytał Duff.

– Odczekamy kilka minut, aż rodzina wyjdzie – powiedział Malcolm. – Tourtell przekonał lekarza, żeby pozwolił nam porozmawiać z Lennoxem dwie minuty. Potrzebujemy oficjalnego przyznania się Lennoxa do winy, i to jak najszybciej, żebyśmy mogli poprosić Capitol o wydanie federalnego nakazu aresztowania Macbetha.

– Nasze zeznania nie wystarczą? – spytał Duff.

Malcolm pokręcił głową.

– Żadne z nas nie otrzymało bezpośrednio pogróżek od Macbetha ani osobiście nie słyszało jego rozkazów dokonania zabójstw.

– A może szantaż? – podsunęła Caithness. – Panie burmistrzu, opowiadał pan przecież, jak w Inverness grał pan w blackjacka z Macbethem w osobnym pokoju, a Macbeth i Lady usiłowali nakłonić pana do rezygnacji z wyborów, zarówno kusząc akcjami Obelisku, jak i grożąc ujawnieniem zabronionych relacji z nieletnim.

– W mojej branży tego rodzaju szantaż nazywamy polityką. – Tourtell westchnął. – To raczej nie jest karalne.

– A więc Macbeth ma rację? – powiedział Duff. – Nic na niego nie mamy?

– Przypuszczalnie Lennox coś ma – stwierdził Malcolm. – Kto z nas z nim porozmawia?

– Ja – oświadczył Duff.

Malcolm spojrzał na niego z namysłem.

– W porządku. Ale rozpoznanie mnie albo ciebie pozostaje jedynie kwestią czasu. Ktoś może podnieść alarm.

– Wiem, kiedy Lennox kłamie – upierał się Duff. – A on ma tego świadomość.

– Ale czy zdołasz go nakłonić, żeby publicznie przyznał się do współudziału i tym samym...

– Tak – zapewnił Duff.

– Tylko nie przekonuj go tak jak tamtego ridersa.

– Tamto zrobił ktoś inny, szefie. Już nie jestem tym samym człowiekiem.

– Nie jesteś?

– Nie, szefie.

Malcolm na kilka sekund przytrzymał jego wzrok.

– Okej. Tourtell, weźmie pan Duffa, dobrze?

Kiedy Duff wstawał, Caithness mocno uścisnęła mu rękę.

– A tak z czystej ciekawości – odezwał się Duff, gdy wraz z burmistrzem znaleźli się w głębi korytarza. – Kiedy Macbeth postawił panu to ultimatum, dlaczego nie wyjawił mu pan od razu, że Kasi jest pańskim synem?

Tourtell wzruszył ramionami.

– A po co mówić człowiekowi, który celuje do ciebie z karabinu, że karabin jest nienabity? Przecież natychmiast zacznie szukać innej broni.

Lekarz czekał na nich przy zamkniętych drzwiach. Otworzył.

– Tylko jeden z nas. – Tourtell wskazał na Duffa.

Duff wszedł do środka.

Lennox miał twarz białą jak prześcieradło, pod którym leżał. Od jego ciała odchodziły wężyki do kroplówek na stojakach i kable do popiskujących urządzeń. Przypominał zdziwione dziecko, kiedy rozdziawił usta i patrzył na Duffa szeroko otwartymi oczami. Duff zdjął czapkę i okulary.

Lennox zamrugał.

– Potrzebne nam twoje publiczne oświadczenie o winie Macbetha – odezwał się Duff. – Jesteś skłonny je wydać?

Z kącika ust Lennoxa spływała przezroczysta strużka śliny.

– Posłuchaj, Lennox, mam dwie minuty i...

– Macbeth stoi za tym wszystkim. – Lennox miał głos tak ochrypły, jakby postarzał się o dwadzieścia lat. Ale oczy zaczęły patrzeć przytomniej. – Kazał Seytonowi, Olafsonowi i mnie zlikwidować Tourtella, ponieważ chce przejąć władzę w mieście. Poza tym uważa, że Tourtell jest informatorem Hekate. Ale to nieprawda.

– A kto nim jest?

– Powiem ci w zamian za przysługę.

Duff głośno wypuścił powietrze przez nos. Skupił się na panowaniu nad głosem.

– Chcesz powiedzieć, że jestem ci coś winien?

Lennox zamknął oczy. Duff zobaczył wypływające z nich łzy. Pewnie coś go zabolało.

– Nie... – szepnął Lennox nagle osłabłym głosem.

Duff nachylił się nad nim. Z ust Lennoxa bił słodkawy duszący zapach, przypominający oddech cukrzyka, kiedy szeptał:

– To ja jestem informatorem Hekate.

– Ty? – Duff usiłował przetrawić tę informację, dopasować ją do wszystkiego, co już wiedział.

– Tak. A jak sądzisz, dzięki czemu Hekate przez tyle lat udawało się wymykać nam z rąk? Zawsze nas o krok wyprzedzać.

– Jesteś szpiegiem zarówno...

– ...Hekate, jak i Macbetha. Tyle że Macbeth nie ma o tym pojęcia. Ale stąd wiem, że Tourtell nie siedzi w kieszeni u Hekate. Ani u Macbetha. Ale to nie ja ostrzegłem Hekate, więc musi mieć jeszcze jakiegoś innego informatora. Kogoś z otoczenia Macbetha.

– Seyton?

– Możliwe. Ale to niekoniecznie mężczyzna.

– Kobieta? Dlaczego tak sądzisz?

– Nie wiem. To ktoś niewidoczny, ktoś, kto po prostu jest.

Duff z namysłem pokiwał głową. Podniósł wzrok i wyjrzał na wieczorną ciemność za oknem.

– Jakie to uczucie?

– Które?

– Nareszcie powiedzieć głośno o tym, że jesteś zdrajcą. Czy czujesz ulgę, czy ciąży ci to jeszcze bardziej, kiedy za pośrednictwem słów dociera do ciebie, że to prawda, że te zniszczenia to twoja wina?

– Dlaczego chcesz wiedzieć?

– Ponieważ zdarzyło mi się zastanawiać nad tym samym – odparł Duff. Niebo na zewnątrz było mroczne, zachmurzone. Nie dawało żadnych odpowiedzi ani znaków. – Co bym czuł, gdybym powiedział o wszystkim swojej rodzinie?

– Ale im tego nie powiedziałeś – stwierdził Lennox. – Nie mówimy. Wolimy zniszczyć samych siebie, niż zobaczyć ból na ich twarzach. Ty nie zdążyłeś dokonać wyboru.

– Owszem, zdążyłem. Dokonywałem go codziennie. Zdradzałem.

– Pomożesz mi, Duff?

Duff, wyrwany z zamyślenia, przetarł oczy. Czuł, że natychmiast musi się przespać.

– Mam ci pomóc?

– Wyświadcz mi tę przysługę. Weź poduszkę. Połóż mi ją na twarzy i przyciśnij. Będzie wyglądało na to, że umarłem od tego postrzału. Powiesz moim dzieciom, że ich ojciec, morderca i zdrajca, przynajmniej żałował?

– Ja...

– Jesteś jedyną osobą, jaką znam, która jest w stanie mnie zrozumieć, Duff. Wiesz, że można kogoś kochać tak mocno, a mimo wszystko go zawieść. A kiedy jest za późno, to jest za późno. Można tylko zrobić coś... co jest słuszne. Ale i tak jest za późno.

– Na przykład ocalić życie burmistrzowi.

– Tyle że to nie wystarczy, prawda, Duff? – Suchy śmiech Lennoxa przeszedł w kaszel. – Ostatni desperacki czyn, który z zewnątrz wygląda na poświęcenie, ale w głębi duszy masz nadzieję, że zostanie nagrodzony odpuszczeniem grzechów i otworzy wrota niebios. To jednak byłaby zbyt hojna zapłata, Duff. Ty też nie uważasz, żebyś kiedykolwiek mógł spłacić to wszystko, prawda?

– Owszem – odparł Duff. – Nigdy się nie wypłacę. Ale mogę zacząć od przebaczenia tobie.

– Nie! – zaprotestował Lennox.

– Właśnie, że tak.

– Nie, nie możesz, nie rób tego. – Głos mu się załamał i Duff zobaczył, że po białych policzkach spływają małe przezroczyste krople.

– Zastanowię się nad niewybaczaniem ci, Lennox, ale pod jednym warunkiem.

Lennox kiwnął głową.

– Że zgodzisz się jeszcze dziś udzielić wywiadu radiowego, w którym opowiesz o wszystkim i oczyścisz Malcolma.

Lennox z wysiłkiem uniósł rękę i wytarł policzki. Potem mokrą od łez dłonią chwycił Duffa za nadgarstek.

– Zadzwoń do Priscilli i poproś, żeby tu przyszła.

Duff wstał i uwolnił się z jego uścisku. Ostatni raz spojrzał na Lennoxa. Zastanawiał się, czy widzi człowieka, który się zmienił, czy też tylko takiego, który szuka najprostszego wyjścia.

– I co? – spytał Tourtell. Na widok wychodzącego Duffa wstał z krzesła, które stało pod ścianą korytarza.

– Lennox potwierdza, że to Macbeth usiłował pana zabić, i zgadza się na wywiad – powiedział Duff. – Ale Hekate ma informatora, infiltratora, który jest blisko Macbetha. To może być ktoś z komendy...

– Tak czy owak... – zagrzmiał Tourtell, gdy już szli korytarzem – ...po zeznaniach Lennoxa Macbeth będzie skończony. Zadzwonię do Capitolu, żeby wydali federalny nakaz aresztowania.

Podeszła do nich pielęgniarka.

– Pan burmistrz, prawda?

– Tak.

– Telefonowała Agnes, pańska gospodyni. Prosiła o przekazanie, że Kasi jeszcze nie wrócił do domu.

– Dziękuję – powiedział Tourtell. Szli dalej. – Na pewno poszedł do jakichś znajomych i czeka, aż wszystko się uspokoi.

– Z całą pewnością – zgodził się Duff. – Pańska gospodyni... Nigdy nie miałem gospodyni. Ale przypuszczam, że po pewnym czasie staje się ona niejako elementem umeblowania. Człowiek w obecności kogoś takiego mówi całkiem swobodnie i nawet nie pomyśli, że taka osoba słyszy coś nieprzeznaczonego dla jej uszu. Mam rację?

– No tak, rzeczywiście tak się dzieje. Z Agnes również, odkąd nabrałem do niej zaufania. Ale to wymaga czasu.

– A mimo to nigdy nie ma pewności, co ten ktoś myśli i czuje, prawda?

– Hm. Masz na myśli osobistą sekretarkę Macbetha?

– Priscillę? – Duff się zastanowił. – Nie. Sam pan powiedział, że nabranie do kogoś zaufania wymaga czasu.

– I?

– Mówił pan, że kiedy Macbeth i Lady przedstawiali panu plan zabicia Hekate, grał pan z nimi w blackjacka. Ale czy do tego nie potrzeba jeszcze jednej osoby?

– Słucham?

– Do blackjacka. Czy nie jest potrzebny krupier?

– Jack?

– Tak, Lady?

Jack przyciągnął rękę do siebie. Wcześniej niby przypadkiem opadła na wygięte lędźwie Billy'ego, gdy pochylili się nad książką gości i Jack tłumaczył, jak należy wpisywać nowo przybyłych.

– Muszę z tobą o czymś porozmawiać. Chodźmy do mnie na górę.

– Oczywiście. Będziesz bronił fortu, Billy?

– Zrobię, co w mojej mocy, panie Bonus.

Jack uśmiechnął się ze świadomością, że przytrzymał wzrok świeżo zatrudnionego chłopaka za długo akurat o tę chwilkę, jaka była potrzebna. Potem szybkim krokiem ruszył po schodach za Lady.

– Co myślisz o tym nowym? – spytała, kiedy się z nią zrównał.

– Trochę za wcześnie, żeby go oceniać, madam. Jest młody i niedoświadczony. Ale mogą być z niego ludzie.

– To dobrze. Musimy zatrudnić jeszcze dwóch kelnerów w restauracji, ale ci, którzy się dziś zgłosili, byli kompletnie do niczego. Jak młodzi ludzie wyobrażają sobie przeżycie na tym świecie, jeżeli do niczego nie podchodzą poważnie i niczego się nie uczą? Wydaje im się, że wszystko zostanie im podane na srebrnej tacy?

– Rzeczywiście – przyznał Jack, wchodząc do apartamentu. Lady przytrzymała mu drzwi. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że je zamknęła i z płaczem osunęła się na krzesło. – Lady! Co się stało?

– Lilia! – zaszlochała. – Lilia! On to powiedział!

– Lilia, madam. Chodzi o kwiat?

Lady ukryła twarz w dłoniach. Płacz wstrząsał całym jej ciałem.

Jack stał, nie wiedząc, jak zareagować. Zrobił krok w stronę Lady, ale się zatrzymał.

– Czy pani... czy pani chce o tym porozmawiać?

– Nie! – zawołała, z trudem łapiąc oddech. – Nie chcę o tym mówić. Doktor Alsaker chciał mnie do tego zmusić. To szaleniec, wiesz o tym? Sam mi o tym powiedział. Ale twierdzi, że przez to wcale nie jest gorszym psychiatrą, wręcz przeciwnie. Nie potrzebuję słów, Jack. Już je wszystkie słyszałam. Swoje własne i cudze. Nie przynoszą mi już ukojenia. Potrzebuję lekarstwa. – Pociągnęła nosem i delikatnie otarła wierzchem dłoni okolice oczu. – Po prostu lekarstwa. Bez niego nie zdołam być tą, którą muszę.

– Czyli kim?

– Lady. – Popatrzyła na ubrudzoną tuszem rękę. – Tą, która żyje i pozwala umrzeć. Ale Macbeth przestał zażywać lek, dlatego go tu nie mam. Wyobraź to sobie! On jest ode mnie silniejszy. Z pewnością tak nie myślałeś, prawda? Musisz więc iść i kupić mi to lekarstwo, Jack.

– Lady...

– Inaczej wszystko się zawali. Cały czas słyszę płacz dziecka, Jack. Wchodzę do salonu gier, uśmiecham się i rozmawiam. – Z jej oczu znów płynęły łzy. – Mówię głośno i się śmieję, żeby to dziecko zagłuszyć. Ale nie mam już na to siły. On wiedział, jak miało na imię. Powtórzył moje własne słowa pożegnania.

– O czym pani mówi?

– O Hekate. On wiedział. Znał słowa, które wypowiedziałam, zanim rozbiłam małą główkę z tymi zdziwionymi niebieskimi oczami. *W innym życiu, moja mała Lilio.* Nigdy nikomu o tym nie mówiłam. Nigdy! Przynajmniej na jawie. Ale może przez sen. Może kiedy chodziłam... – urwała. Zmarszczyła czoło, jakby coś jej przyszło do głowy.

– W hipnozie – podsunął Jack. – Powiedziała to pani w hipnozie. Hekate wie to od doktora Alsakera.

– W hipnozie? – Wolno skinęła głową. – Tak sądzisz? Myślisz, że to Alsaker mnie zdradził? I chcesz powiedzieć, że dostał za to zapłatę?

– Ludzie są chciwi, madam. Taka już ich natura. Bez chciwości gatunek ludzki nie wygrałby walki o Ziemię. Proszę spojrzeć, co pani sama stworzyła, madam.

– Uważasz, że powodowała mną chciwość?

– Ale nie żądza pieniędzy, madam. Wydaje mi się, że ludzie są chciwi na różne sposoby. Pożądają władzy, seksu, podziwu,

jedzenia, miłości, wiedzy, strachu.

– A czego ty pożądasz, Jack?

– Ja? – Wzruszył ramionami. – Ja lubię wesołych, zadowolonych gości. Pożądam cudzej radości. Na przykład radości pani, madam. Kiedy pani jest zadowolona, to ja też.

Długo mu się przyglądała. Wreszcie wstała, podeszła do lustra, chwyciła szczotkę do włosów leżącą na stoliku.

– Posłuchaj, Jack...

Nie spodobał mu się ton jej głosu, ale popatrzył jej w oczy w lustrze.

– Tak, madam?

– Ty powinieneś coś wiedzieć o samotności.

– Dobrze pani wie, że tak, madam.

Zaczęła szczotkować długie płomiennorude włosy, które tak pociągały mężczyzn albo służyły im jako ostrzeżenie.

– Ale czy wiesz, na czym polega jeszcze większa samotność, niż kiedy nigdy się nie miało kogoś bliskiego? Na wierze w to, że się go ma, a potem nagle okazuje się, że ten jedyny, którego uważało się za najbliższego przyjaciela, mimo wszystko nigdy nim nie był. – Szczotka zaplątała się w gęste, nieokiełznane loki, ale Lady siłą przesunęła ją niżej. – Na byciu zdradzanym przez cały czas. Potrafisz sobie wyobrazić taką samotność, Jack?

– Nie, madam, nie potrafię.

Patrzył na nią. Nie wiedział, co zrobić ani co powiedzieć.

– Ciesz się, że nie masz doświadczeń ze zdradą, Jack. – Odłożyła szczotkę i podała mu kilka banknotów. – Jesteś jak ryba podnawka. Za mały, żeby zostać zdradzony, możesz tylko zdradzać. Rekin pozwala ci się do siebie przyssać, bo czyścisz go z innych, gorszych pasożytów, a w zamian on obwozi cię po oceanach świata. I tak sobie podróżujecie. Ku obopólnemu zadowoleniu, związani taką

intymnością i bliskością, że można ją pomylić z przyjaźnią. I tak to trwa, dopóki nie pojawi się większy, zdrowszy rekin. A teraz idź i kup mi wywar, Jack.

– Jest pani pewna, madam?

– Powiedz, że chcesz taki, który działa. Mocny. Który potrafi unieść wysoko w górę. Tak wysoko, że spadając, możesz rozbić czaszkę. Bo kto chce żyć w takim zimnym, pozbawionym przyjaźni świecie?

– Postaram się zrobić, co w mojej mocy, madam.

Bezszelestnie zamknął za sobą drzwi.

– Jestem pewna, że wiesz, gdzie tego szukać, Jacku Bonus – szepnęła do swojego odbicia w lustrze. – I pozdrów Hekate. – Po policzku słonym śladem po poprzedniej łzie spłynęła następna. – Mój kochany dobry Jack. Mój biedny Jack.

– Panie Lennox!

Lennox otworzył oczy. Spojrzał na zegarek. Półtorej godziny do północy. Jego powieki znów opadły. Wyprosił więcej morfiny, chciał tylko spać, nawet pełnym udręki snem winnego.

– Panie Lennox!

Znów podniósł powieki. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegł, była ręka trzymająca mikrofon. Za nią znajdowało się coś żółtego. Powoli obraz się wyostrzył. Obok szpitalnego łóżka siedziała osoba w żółtym sztormiaku.

– To ty? – spytał szeptem Lennox. – Ze wszystkich dziennikarzy na świecie przysłali właśnie ciebie?

Walt Kite poprawił okulary.

– Tourtell, Malcolm i reszta nie wiedzą, że ja... że ja...

– Że siedzisz w kieszeni u Macbetha. – Lennox uniósł głowę ze szpitalnej poduszki. Byli w pokoju sami. Obrócił się, żeby znaleźć przy łóżku przycisk alarmu, ale dziennikarz zakrył go ręką.

– Nie potrzebujesz tego – zapewnił ze spokojem.

Lennox próbował odsunąć jego rękę od alarmu, ale zabrakło mu sił.

– Żebyś mógł mnie rzucić na pożarcie Macbethowi? – wydyszał. – Tak jak nam rzuciłeś Angusa?

– Znajdowałem się w tej samej sytuacji co ty, Lennox. Nie miałem wyboru. Zagroził mojej rodzinie.

Lennox poddał się i opadł na łóżko.

– A co chcesz zrobić teraz? Przyniosłeś nóż, truciznę?

– Tak. – Kite zamachał mikrofonem.

– Chcesz mnie zabić tym?

– Nie ciebie, tylko Macbetha.

– Jak to?

Walt Kite odłożył mikrofon, rozpiął sztormiak i wytarł zaparowane okulary.

– Kiedy Tourtell zadzwonił, zrozumiałem, że mają na Macbetha dostatecznie dużo, żeby go pokonać. Tourtell namówił lekarza, by dał mi pięć minut, więc musimy się pospieszyć. Opowiedz mi całą tę historię, a ja pojadę prosto do radia i ją nadam. Od razu. Surowy materiał bez redakcji.

– W środku nocy?

– Wyrobię się przed północą. A wystarczy, że ktokolwiek to usłyszy i rozpozna twój głos. Posłuchaj, łamię wszystkie dziennikarskie zasady dotyczące sprawdzania źródeł i wysłuchania drugiej strony. Jedynie po to, żeby ratować...

– ...własną skórę – dokończył Lennox. – Jedynie po to, żeby znów zmienić stronę. Jedynie po to, żeby mieć pewność, że znalazłeś się w drużynie zwycięzców.

Zobaczył, że Kite otwiera usta i zaraz je zamyka. Przełyka ślinę. I mruga. Za ciągle zachodzącymi mgłą okularami.

– Po prostu przyznaj się do tego, Kite. To w porządku, nie jesteś osamotniony. Żadni z nas bohaterowie. Jesteśmy całkiem zwyczajnymi ludźmi, którym być może marzy się bohaterstwo, ale postawieni w obliczu wyboru między życiem a tymi zasadami, o których tak głośno mówimy, wypadamy całkiem przeciętnie.

Kite uśmiechnął się przelotnie.

– Masz rację. Byłem aroganckim, mocnym w gębie, ale tchórzliwym moralistą.

Lennox odetchnął głębiej. Nie wiedział już, czy to on sam mówi, czy morfina.

– Ale gdybyś miał szansę, to sądzisz, że mógłbyś w jakimś momencie postąpić inaczej?

– O co ci chodzi?

– Czy mógłbyś być innym człowiekiem? Zmusić się do poświęcenia czegoś w imię sprawy większej niż uznanie, którym się cieszysz?

– Na przykład?

– Na przykład w imię bohaterstwa, które będzie nim naprawdę właśnie dlatego, że obróci w ruinę sławę szanowanego dziennikarza.

Macbeth zamknął oczy. Miał nadzieję, że kiedy znów je otworzy, obudzi się ze złego snu i przyjdzie kres zbyt długiej nocy. Z radia na półce za biurkiem dochodziły monotonne dźwięki. Każde gardłowe „r" brzmiało jak wystrzał z pistoletu maszynowego.

– A więc dobrze, komisarzu Lennox, podsumujmy. Twierdzi pan, że to komendant policji Macbeth stoi za zabójstwem zarówno komendanta Duncana, jak i komisarza Banqua, za masakrą w klubie Norse Ridersów, za zabójstwem rodziny komisarza Duffa, a także za egzekucją aspiranta Angusa, której na jego rozkaz dokonał pan osobiście wraz z komisarzem Seytonem. Oraz że dziś po południu

komendant Macbeth wraz z szefem Gwardii, komisarzem Seytonem, i aspirantem Olafsonem usiłowali dokonać zamachu na burmistrza Tourtella.

– Zgadza się.

– Dziękujemy teraz komisarzowi Lennoxowi, który rozmawiał ze mną z łóżka w Szpitalu Sant Jordi. Ośmielamy się przekazać państwu tę rozmowę, ponieważ nagrano ją w obecności świadków, będzie więc mogła zostać wykorzystana podczas procesu, nawet gdyby komisarza Lennoxa również zamordowano. A na koniec, drodzy słuchacze, dodam, że ja, Walt Kite, jestem osobiście współwinny zabójstwa aspiranta Angusa, ponieważ swoją niezależność, za którą mnie ceniliście, oddałem do dyspozycji komendantowi policji, a zarazem mordercy – Macbethowi. Fakt, że grożono mnie i mojej rodzinie, może z całą pewnością zostać uznany za okoliczność łagodzącą, kiedy będzie mnie skazywał sąd, a także podczas rozmów z moimi najbliższymi w nadchodzących dniach. Ale nie jest to okoliczność łagodząca w mojej pracy dziennikarskiej, ponieważ okazało się, że można mi grozić, można mnie wykorzystać i zmanipulować, zmusić do kłamstwa wobec was. Zawiodłem sam siebie i zawiodłem was, co oznacza, że słyszycie mnie, Walta Kite'a, po raz ostatni przedstawiającego relację w radiu. Będę za wami tęsknił bardziej niż wy za mną. Pokażcie, że jesteście lepszymi obywatelami ode mnie, wyjdźcie na ulice i usuńcie Macbetha. Dobranoc i niech Bóg błogosławi nasze miasto.

Sygnał muzyczny.

Macbeth otworzył oczy. Ciągle jednak był w swoim gabinecie, Seyton wciąż leżał na kanapie, Olafson siedział na krześle, a radio grało.

Macbeth wstał i je wyłączył.

– I co teraz? – spytał Seyton.

– Cicho – powiedział Macbeth.

– Co?

– Zamknij się na trochę. – Dwoma palcami ścisnął grzbiet nosa. Był zmęczony, tak strasznie zmęczony, że trudno mu było myśleć jasno, tak jak musiał. Bo że musiał, to oczywiste. Kolejne decyzje, które podejmie, będą brzemienne w skutki. To w najbliższych godzinach rozstrzygnie się walka o miasto.

– Moje nazwisko – odezwał się Olafson.

– Co?

– Wymienili w radiu moje nazwisko. – Uśmiechnął się głupio. – Chyba o nikim z mojej rodziny nie mówili w radiu.

Macbeth wsłuchiwał się w ciszę. Ruch uliczny. Gdzie się podział nieustający, przytłumiony szum samochodów? Miasto jakby wstrzymało oddech. Wstał.

– Chodźcie.

Zjechali windą do piwnicy.

Minęli sztandar Gwardii z czerwonym smokiem. Seyton otworzył magazyn z amunicją i zapalił światło.

Chłopak siedział między podstawami gatlingów, zakneblowany i przywiązany do sejfu. Piwne tęczówki były widoczne jedynie w postaci cienkich obwódek wokół rozszerzonych ze strachu źrenic.

– Zabieramy go do Inverness – oświadczył Macbeth.

– Do Inverness?

– Tu nie jesteśmy już bezpieczni. Żaden z nas. Ale z Inverness możemy rzucić Tourtella na kolana.

– Jacy my?

– Ostatni wierni. Ci, którzy zostaną nagrodzeni po zwycięstwie.

– Ty, ja i Olafson? My trzej mamy rzucić miasto na kolana?

– Zaufaj mi. – Macbeth pogłaskał Kasiego po głowie, jakby chłopak był wiernym psem. – Hekate nas potrzebuje i będzie nas chronił.

– Przeciwko całemu miastu? – zdziwił się Olafson.

– Pomocnicy Hekate stanowią wielką armię, Olafson. Są równie niewidzialni jak on. Ale istnieją. Ocalili mnie już dwa razy. Mamy też po swojej stronie siostry, gatlingi i ustawy Kennetha. Kiedy burmistrz Tourtell się podda i ogłosi stan wyjątkowy, miasto będzie moje. Więc jak? Wierność, braterstwo?

Olafson zamknął oczy.

– Ochrzczeni w ogniu – wyseplenił, jakby szorował językiem o betonowe ściany.

Seyton patrzył na nich spod oka. Ale powoli jego wąskie wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

– Związani krwią.

40

Duff nastawiał uszu, siedząc na kanapie w salonie Tourtella. Wszyscy czworo w napięciu wpatrywali się w burmistrza, który stał ze słuchawką w ręku. Do północy pozostały dwie minuty. Ciśnienie jeszcze wzrosło i z daleka dobiegały już grzmoty. Miasto miało wkrótce ponieść karę za ciepły dzień. Burmistrz mówił do słuchawki wyłącznie krótkie „tak" i „nie". W końcu ją odłożył.

Parę razy cmoknął, jakby to, co usłyszał, należało przeżuć i przełknąć.

– No i co? – zniecierpliwił się Malcolm.

– Dobra i zła wiadomość. Dobra jest taka: sędzia Sądu Najwyższego Archibald mówi, że na podstawie tego, co mamy, powinni móc wydać federalny nakaz aresztowania Macbetha, a zatem daliby też radę przysłać tu federalne siły policyjne.

– A zła? – spytał Malcolm.

– Że to sprawa delikatna pod względem politycznym i zajmie trochę czasu – odparł Tourtell. – Nikt nie ma ochoty mieć na koncie aresztowania komendanta policji, gdyby miało się okazać, że sprawa jest jednak szyta grubymi nićmi. Jedyny konkret, jaki mamy, to udzielony przez Lennoxa wywiad radiowy, w którym Lennox sam przyznał się do współudziału w zabójstwie. Archibald uważa, że rzecz będzie wymagała przekonywania. Zapewne mu się to uda, ale w najlepszym razie postanowienie będzie gotowe dopiero jutro po południu.

– No ale wtedy przynajmniej sprawa zostanie załatwiona – stwierdziła Caithness. – Musimy wytrzymać tylko dzisiejszą noc i jeszcze kilka godzin jutro.

– Na to wygląda – zgodził się Malcolm. – Szkoda, że okoliczności nie zachęcają do świętowania.

– Przeciwnie – zaprotestował Tourtell i odwrócił się do gospodyni, która właśnie weszła do pokoju. – W czasie wojny czciliśmy zwycięstwo tym huczniej, im więcej poległych nas ono kosztowało. Szampana, Agnes!

– Zaraz podam, sir. Ale na drugiej linii czeka rozmowa.

– Kasi? – Tourtell się rozjaśnił.

– Niestety, sir. Komendant Macbeth.

Popatrzyli na siebie.

– Przełącz go tutaj.

Macbeth rozsiadł się na krześle ze słuchawką telefoniczną przy uchu. Spojrzał w sufit, na szpiczastą iglicę kryształowego żyrandola wiszącego nad nim w pustym salonie gier.

Był sam. Słyszał wprawdzie Seytona i Olafsona, wciąż zajętych montażem na antresoli, ale i tak był sam. Bez Lady.

Zabrali się do roboty natychmiast po przyjściu z komendy. Pół godziny zajęło im wyprowadzenie wszystkich graczy i gości z restauracji. Starali się to zrobić w miarę uprzejmie, ale należało dokończyć gry, wymienić żetony na pieniądze, a niektórzy goście upierali się, że muszą dopić drinki, chociaż nie musieli za nie płacić. Ostatni maruderzy protestowali, że przecież jest sobotni wieczór, i tych trzeba było dosłownie wyrzucać. Lady oczywiście zrobiłaby to z o wiele większą elegancją, ale Jack, którego Macbeth wysłał do apartamentu, aby ją sprowadził, wrócił z niczym. Trudno. Lady potrzebowała snu, a to mogła być długa walka. Udało im się już ustawić barykady przy oknach i zamontować gatlingi na obu końcach antresoli.

– Tu Tourtell. – Z głosu w słuchawce przebijał wymuszony spokój.

– Dobry wieczór, burmistrzu. Wszystko w porządku?

– Żyję.

– To świetnie. Cieszę się, że udało nam się uratować pana przed tym zamachem. Podejrzewam, że stał za nim Hekate. Przykro mi, że pański kierowca musiał to przypłacić życiem. I że Lennox zwariował w wyniku tego zranienia.

Burmistrz cierpko się roześmiał.

– Jesteś skończony, Macbecie, wiesz o tym?

– W ogóle sytuacja jest dość szalona, nie uważa pan, Tourtell? Eksplozje na dachach, strzelaniny na ulicach, zamachy na komendantów policji i na burmistrzów. Dzwonię, ponieważ moim zdaniem powinien pan natychmiast ogłosić stan wyjątkowy.

– Nie zrobię tego, Macbecie. Zostanie za to wydany federalny nakaz aresztowania ciebie.

– Wezwał pan kawalerię z Capitolu? Liczyłem się z tym. Ale nie wydadzą nakazu przed przejęciem przeze mnie rządów nad miastem. A wtedy będzie już za późno, bo ochroni mnie immunitet. Komendant Kenneth był bardziej przewidujący, niż wiele osób jest skłonnych to przyznać.

– Chcesz rządzić miastem tak jak wcześniejsi dyktatorzy?

– Wśród tej burzy lepiej, by ster dzierżyła ręka silniejsza niż pańska, Tourtell.

– Jesteś szalony, Macbecie! Dlaczego, na miłość boską, miałbym wprowadzać stan wyjątkowy i oddawać ci władzę?

– Ponieważ mam pańskiego bękarta i obetnę mu łeb, jeśli nie zrobi pan tego, co mówię.

Macbeth usłyszał, że Tourtellowi dosłownie dech zaparło w piersiach.

– Tak więc niech pan nie kładzie się spać, Tourtell. Daję panu kilka godzin na sformułowanie i podpisanie dekretu o wprowadzeniu stanu wyjątkowego. Ma on wejść w życie przed

jutrzejszym wschodem słońca. Jeśli nie usłyszę w radiu informacji o stanie wyjątkowym, zanim pierwsze promienie słońca oświetlą moje oczy, Kasi zginie.

Cisza.

Macbeth odniósł wrażenie, że Tourtell nie jest sam. Według Seytona to Duff, Malcolm i Caithness byli trojgiem ludzi spośród tych czterech, którzy uniemożliwili im wykonanie zadania w Sant Jordi.

– A jak masz zamiar wykręcić się z zabicia mojego syna, Macbeth?

Ton był zaczepny, lecz mimo wszystko burmistrz nie zdołał ukryć bezradności. Macbeth poczuł, że nie jest do końca przygotowany na tę bolesną desperację. Otrząsnął się jednak z tego. Drżący głos burmistrza potwierdzał to, na co Macbeth liczył, a mianowicie, że dla tego chłopca Tourtell jest skłonny zrobić wszystko.

– Immunitet. Stan wyjątkowy. Jakoś się to załatwi, burmistrzu.

– Nie mam na myśli sądu, tylko twoje sumienie. Zmieniłeś się w potwora, Macbecie.

– Zawsze stajemy się kimś, kim już po trosze jesteśmy. Dotyczy to również pana. Zawsze będzie pan gotów sprzedać swoje usługi i duszę temu, kto złoży najwyższą ofertę.

– Nie słyszysz grzmotu, Macbeth? Jak w takiej sytuacji, w tym mieście możesz wierzyć w promienie słońca o świcie?

– Ponieważ wydałem rozkaz, że ma być słońce, Tourtell. Ale skoro taki z pana niedowiarek, niech termin wyznaczy godzina wschodu słońca zaznaczona w kalendarzu. Wtedy się skontaktujemy.

Macbeth odłożył słuchawkę. Światło zamigotało w kryształach nad jego głową. To oznaczało, że musiały się poruszyć. Może w ruch wprawiły je wznoszące się ciepłe prądy albo niewyczuwalne drgania ziemi. Może po prostu światło się zmieniło. Oczywiście pozostawała jeszcze czwarta możliwość: że to on się

poruszył. Że obserwował rzeczy pod innym kątem. Wyjął spod kurtki srebrny sztylet. Zapewne nie była to najskuteczniejsza broń przeciwko pancerzom i grubej skórze, ale Lady miała rację. Srebro działało na duchy. Już od dwóch dni nie widział Banqua, Meredith, Duncana ani tamtego klęczącego ridersa. Podniósł sztylet do światła.

– Jack!

Bez odpowiedzi.

Zawołał więc głośniej:

– Jack!

Ciągle żadnej reakcji.

– Jack! Jack! – Teraz już ryczał jak dziki, tracąc kontrolę nad sobą. Miał wrażenie, że dosłownie zdziera sobie gardło.

Otworzyły się drzwi na końcu sali.

– Pan mnie wołał, sir? – Głos Jacka odbił się echem.

– Lady ciągle nie daje znaku życia?

– Nie, sir. Może pan spróbowałby ją obudzić?

Macbeth pogładził opuszkami palców czubek sztyletu. Od jak dawna już niczego nie brał? I jak bardzo tęsknił za snem, głębokim, ciemnym i bez koszmarów? Mógłby iść na górę, położyć się obok niej i powiedzieć: „Odchodzimy stąd, ty i ja, idziemy do miejsca, w którym Inverness i miasto nie istnieją, w którym nie ma nic oprócz ciebie i mnie". Przecież ona tego chciała, tak samo jak on. Zabłądzili, ale musi przecież istnieć jakaś droga wyjścia, droga powrotu tam, skąd przyszli. Oczywiście istniała, tylko on w tej chwili jej nie widział. Musi porozmawiać z Lady. Namówić ją, by mu pokazała, gdzie jest ta droga. Tak jak zawsze to robiła. Co więc go wstrzymywało? Jakie dziwne przeczucie nie pozwalało mu iść do niej na górę, nakazywało to odwlekać, raczej siedzieć w zimnej pustej sali, niż leżeć w gorących objęciach ukochanej?

Odwrócił się i popatrzył na chłopca. Seyton przykuł syna Tourtella do gładkiego słupa na środku sali kajdanami na nogi, których obejma otaczała długą, szczupłą szyję chłopaka. Jak obroża dla psa. I Kasi jak pies leżał nieruchomo na podłodze, wpatrując się w Macbetha błagalnym brązowym spojrzeniem. Nie odrywał od niego oczu, odkąd tu przyszli.

Macbeth poderwał się z fotela z okrzykiem pełnym irytacji.

– No to chodźmy z nią porozmawiać!

Bezszelestne kroki Jacka i jego własne po dywanach wywołały w nim wrażenie, że jak duch unosi się nad schodami i sunie korytarzem. Dużo czasu poświęcił na odnalezienie w pęku kluczy właściwego. Przyglądał się uważnie każdemu z nich, jakby zawierały kod, odpowiedź na pytanie, którego treści nie znał.

Wreszcie otworzył drzwi i wszedł do środka. Światło w pokoju było zgaszone, ale przez szparę w zasłonach przeświecał księżyc. Macbeth stanął, nasłuchując. Burza ucichła. Panowała taka cisza, jakby wszystko wstrzymało oddech.

Skóra Lady była blada, bezkrwista. Włosy rozsypały się na poduszce jak wachlarz, a powieki wydawały się przezroczyste.

Podszedł do niej, położył rękę na jej czole. Ciągle jeszcze miała w sobie nieco ciepła. Na narzucie obok leżała kartka. Podniósł ją. Było tam zaledwie kilka linijek.

Jutro i jutro, i ponownie jutro, powolnym krokiem wlecze się z dnia na dzień, aż po ostatnią zgłoskę dziejów czasu, a wszystkie wczoraj oświecały głupcom drogę ku śmierci w prochu. Precz, precz, świeczko! Życie jest cieniem ruchomym jedynie, nędznym aktorem, który przez godzinę pyszni i miota się po scenie, aby umilknąć później na zawsze; jest bajką opowiedzianą przez głupca, pełnego furii i wrzasków, które nic nie znaczą.

Macbeth odwrócił się do Jacka, który zatrzymał się w progu.

– Wyruszyła przodem.

– Co... co takiego, sir?

Macbeth przysunął krzesło do łóżka i usiadł. Nie po to, żeby być blisko niej, bo jej tu już nie było. Chciał po prostu posiedzieć.

Usłyszał przerażony okrzyk Jacka i wiedział, że recepcjonista w tym momencie odkrył strzykawkę, wciąż wbitą w przedramię Lady.

– Czy ona...

– Tak. Nie ży-ży-żyje.

– Od jak dawna...

– Da-da-dawno.

– Ale ja przecież rozmawiałem...

– Zaczęła u-u-umierać tej nocy, kiedy znalazła dziecko w pudełku po butach, Jack. Przez pewien czas udawała żywą, ale to były jedynie agonalne skurcze. Zobaczyła w nim własne dziecko i wiedziała, że aby znów je ujrzeć, musi wyruszyć w podróż ku śmierci. To wtedy ją straciliśmy. Kiedy uległa temu niosącemu pociechę wyobrażeniu, że po drugiej stronie spotkamy naszych bliskich.

Jack podszedł o krok.

– Ale pan w to nie wierzy?

– Nie wtedy, kiedy słońce świeci na bezchmurnym niebie. Ale my mieszkamy w mieście bez słońca, więc potrzebna nam jest wszelka pociecha. Dlatego na ogół wierzę.

Macbeth dziwił się, że nie czuje żalu ani rozpaczy.

Może wiedział o tym od dawna. Wiedział, że to się musi tak skończyć. Wiedział i przymykał na to oczy. A teraz czuł jedynie pustkę. Siedział w środku nocy w poczekalni i był jedynym pasażerem, a pociąg, którym miał pojechać, już zapowiedziano, ale

jeszcze się nie zjawił. Zapowiedziany, ale nie przyjeżdżał. Co w takiej sytuacji robi pasażer? Czeka. Nigdzie nie idzie. Godzi się z tym, co jest, i czeka na to, co ma nadejść.

Jeszcze raz sięgnął po kartkę.

...powolnym krokiem wlecze się z dnia na dzień, aż po ostatnią zgłoskę dziejów czasu, a wszystkie wczoraj oświecały głupcom drogę ku śmierci w prochu.

41

Duff nasłuchiwał, jadąc windą, która zwoziła jego, Malcolma i dozorcę do piwnicy w komendzie.

– Wiem, że to weekend, ale jest pan pewien, że nikogo innego tu nie ma? – spytał dozorcę, z którym Malcolm odbył długą rozmowę przez telefon z domu Tourtella.

– Wprost przeciwnie – odparł dozorca. – Czekają na was.

Duff nie zdążył zareagować, bo znaleźli się już na dole i drzwi windy się rozsunęły. Stało przed nimi trzech ludzi, wszyscy uzbrojeni i ubrani w czarne mundury Gwardii. Duff wstrzymał oddech.

– Dziękuję – powiedział Malcolm. – Dziękuję, że stawiliście się tak szybko.

– Dla miasta – odpowiedział jeden.

– Dla Angusa – dodał drugi.

– Dla komendanta – oznajmił trzeci, wysoki ciemnoskóry mężczyzna. – Dla nas nazywa się on teraz Malcolm.

– Dziękuję ci, Ricardo. – Malcolm wysiadł z windy.

Wysoki gwardzista prowadził.

– Rozmawiał pan z kimś jeszcze, sir?

– Cały wieczór spędziłem przy telefonie. Przekonanie ludzi, że mają zaryzykować życie i pracę, aby walczyć ze spiskiem, którego istnienia dowodzi tylko moje słowo, nie było łatwe. Zwłaszcza gdy w dodatku musiałem ich poinformować, że nie mogą spodziewać się zbyt prędko federalnego wsparcia z Capitolu. Mimo to uzyskałem potwierdzenie od około trzydziestu policjantów, kilkunastu członków obrony cywilnej i mniej więcej dziesięciu strażaków.

– Może sama sprawa nie wydaje się przekonująca, ale pan potrafi przekonywać.

– Dziękuję ci, Ricardo, przypuszczam jednak, że w dużej mierze powodem ich decyzji były poczynania Macbetha.

– Nie miałem na myśli pańskich słów, sir. Głośniej przemawia pańska odwaga.

– O mało nie odebrano mi wszystkiego, Ricardo, i miałem niewiele do stracenia. I tak musiałem tu wrócić po córkę, która na szczęście jest już w bezpiecznym miejscu. To wy wykazujecie się odwagą, której nie narzuca wam serce ojca. Działacie bez przymusu, kieruje wami jedynie poczucie sprawiedliwości. Co pokazuje, że są w tym mieście ludzie, którzy pragną dobra.

Minęli sztandar ze smokiem.

– A gdzie jest burmistrz? – spytał Ricardo.

– Ma w tej chwili inne sprawy na głowie.

Ricardo zatrzymał się przed otwartymi masywnymi drzwiami z żelaza, przypominającymi wejście do schronu.

– Tutaj.

Półki w środku były wypełnione żelaznymi skrzynkami i bronią ręczną. Na środku stał sejf. Malcolm sięgnął po pistolet maszynowy.

– Ktoś zabrał gatlingi i amunicję do nich – poinformował Ricardo. – Więc to wszystko, czym dysponujemy. Plus sonderwagen, samochód opancerzony. Mogę kazać podstawić go natychmiast pod Dworzec Centralny. Wprawdzie broni nie wystarczy dla każdego, ale strażacy i tak nie bardzo potrafią strzelać. Ja i moi ludzie możemy uderzyć jeszcze tej nocy.

– Najbardziej chcielibyśmy, żeby Macbeth poddał się dobrowolnie – odpowiedział Malcolm. – Z obliczeń wynika, że towarzyszy mu zaledwie dwóch ludzi: Seyton i Olafson. Kiedy zobaczy, jakie siły udało nam się zmobilizować, prawdopodobnie uwolni Kasiego i skapituluje.

– Negocjacje. – Ricardo pokiwał głową. – Nowoczesna taktyka w sytuacji wzięcia zakładników.

– Otóż to.

– Nowoczesna i do niczego w wypadku Macbetha. Był moim szefem, sir. Jest najlepszym strzelcem w kraju i ma do dyspozycji dwa gatlingi. A my mamy tylko mało czasu.

– A czy to może coś zdziałać przeciwko gatlingom? – spytał Malcolm, biorąc z półki bazookę.

Duff zastygł. Dostrzegł coś, co leżało za bazooką.

– Z daleka nie jest zbyt celna – odparł Ricardo. – Ale chętnie ułożę plan, w jaki sposób mogę z moimi ludźmi dopaść tych trzech, na wypadek gdyby Macbeth się nie poddał.

– Dobrze. – Malcolm spojrzał na to, co wyciągnął Duff. – Skąd to się tu wzięło?

– Z ruin klubu Norse Ridersów po tamtym ataku – wyjaśnił Ricardo. – To przecież też broń, chociaż tylko szabla.

– Ale nie pierwsza lepsza. – Duff mocniej zacisnął dłoń na rękojeści. Zamachnął się, wyczuł ciężar metalu. – To szabla Swena.

– Chyba nie masz zamiaru jej stąd zabierać? Przecież ona w niczym nie pomoże.

– Przeciwnie. – Duff przeciągnął palcem po ostrzu. – Potrafi rozpłatać brzuchy kobietom i twarze dzieciom.

Malcolm zwrócił się do Ricarda.

– Możesz załatwić przerzucenie broni na dworzec, tak żeby była gotowa godzinę przed świtem?

– Tak jest.

– Dziękuję. A nam może uda się w tym czasie złapać chociaż parę godzin snu.

– Sir?

Macbeth oderwał czoło od zimnej piersi Lady i podniósł wzrok. Jack wrócił i stanął w drzwiach.

– W recepcji jest ktoś, kto chce z panem rozmawiać.

– Wpuściłeś ko-ko-kogoś?

– Przyszedł sam. Pukał i pukał, więc musiałem go wpuścić. A teraz nie chce odejść.

– Kto to jest?

– Jakiś młody człowiek, mówi, że nazywa się Sivart.

– Sivart?

– Twierdzi, że ocalił mu pan życie w porcie podczas akcji przeciwko Norse Ridersom.

– Aha, zakładnik. Czego o-on chce?

– Zgłosił się dobrowolnie. Podobno kontaktował się z nim Malcolm, który zbiera ludzi do ataku na Inverness.

– Ach tak. – Macbeth z powrotem położył głowę na piersi Lady i zamknął oczy. – Każ mu o-odejść.

– On nie chce, sir.

Macbeth ciężko westchnął, wstał i wyciągnął rękę.

– Pożycz mi ten pistolet, który ci dałem, Jack.

Zeszli do recepcji, gdzie wyraźnie zdenerwowany młody mężczyzna przestępował z nogi na nogę. Już na schodach Macbeth wymierzył w niego lufę pistoletu.

– Komendancie – wydusił z siebie Sivart.

– Wynoś się! Malcolm cię przysłał, żebyś mnie zabił, więc się wynoś!

– Nie, nie, ja...

– Już, liczę do trzech. Raz...

Młodzieniec zatoczył się do tyłu, wymacał klamkę drzwi wejściowych, ale były zamknięte na klucz.

– Dwa!

Jack podbiegł z kluczami i pomógł mu wyjść.

– Trzy!

Drzwi się za nim zatrzasnęły i odgłos biegnących kroków wkrótce ucichł.

– Naprawdę sądzi pan, że on...

– Nie. – Macbeth zwrócił Jackowi pistolet. – Ale taki młokos tylko by nam zawadzał.

– Jest was mało, a on ma chyba tyle lat, ile Olafson, sir.

– Zrobiłeś to, o co cię prosiłem, Jack?

– Jeszcze się tym zajmuję, sir.

– Daj znać, jak skończysz. Jestem w salonie gier.

Macbeth otworzył podwójne drzwi do kasyna. Noc wyraźnie się starzała. Za wysokimi oknami na wschodzie już zaczęła siwieć.

42

Słońce kryło się za górami, ale wysłało już czerwoną zapowiedź swojego nadejścia. Komisarz Lennox pomyślał, że nigdy nie widział

w tym mieście piękniejszego świtu. A może widział, tylko nie zwrócił na to uwagi. Albo to morfina barwiła wszystko mocniej niż słońce. Ulice były ozdobione potłuczonymi butelkami po piwie, cuchnącymi kałużami wymiocin i petami po wesołym sobotnim wieczorze, nigdzie jednak nie było widać żywej duszy, z wyjątkiem niewysokiego mężczyzny w czarnym marynarskim mundurze i białej czapce, który minął ich, spiesząc ulicą. Chociaż teraz miały się rozstrzygnąć losy miasta, wszyscy inni leżeli w swoich łóżkach, z kołdrami mocno naciągniętymi na głowy. A mimo to dla Lennoxa miasto chyba nigdy nie było piękniejsze niż w tej chwili.

Spojrzał na kraciasty koc, którym Priscilla okryła mu kolana. Zbliżali się do skromnego, wschodniego wejścia na dworzec. Wyczuł, że wózek toczy się wolniej, a Priscilla zaczyna się wahać. Pewnie nigdy wcześniej nie była na dworcu.

– Nie ma się czego bać, Priscillo. Ci ludzie chcą tylko sprzedać narkotyki. Albo je kupić.

Po jej cieniu w świetle ulicznej latarni zorientował się, że się wyprostowała. Wózek przyspieszył.

Przyszła po niego, tak jak się umówili, podczas gdy na dworze ciągle jeszcze było ciemno i zanim szpitalne korytarze wypełniły się pielęgniarkami i lekarzami, którzy by ich zatrzymali. Na jego prośbę przyniosła mu też z biura kilka rzeczy. Nie musiał jej nawet namawiać ani niczego tłumaczyć. Zrobiła wszystko, o co prosił, chociaż formalnie nie był już jej przełożonym.

– W porządku – powiedziała. – Pan zawsze będzie moim szefem. A Macbeth nie zostanie na stanowisku komendanta, prawda?

– Dlaczego?

– Bo zwariował, no nie?

Mijali palących papierosy dilerów i ćpunów śpiących na rozłożonych na ziemi kocach, którzy na odgłos wózka budzili się

i odruchowo wyciągali ręce żebraczym gestem.

Ale Priscilla się nie zatrzymała, dopóki nie dotarli do schodów prowadzących do toalet.

Zwykle właśnie stąd go zabierali. Wystarczyło się tu stawić, a już się zjawiali. Lennox nigdy nie pojął, dokąd go prowadzą, bo nie tylko zakładali mu okulary, przez które nic nie widział, ale dodatkowo jeszcze słuchawki, żeby nie mógł niczego wywnioskować z otaczających go dźwięków.

Tak się z nimi umówił: kiedy potrzebował prawdziwego odlotu – takiego, na który nie mógł sobie pozwolić w domu ani wieczorem w biurze bez ryzyka, że ktoś go nakryje – zabierali go do kuchni, do miejsca, gdzie przyrządzali wywar. I tam dostawał najczystszy narkotyk, jaki dało się uzyskać, w dodatku wstrzyknięty przez specjalistów. Umieszczano go na leżaku, mniej więcej tak jak za dawnych czasów odbywało się to w palarniach opium, i po odespaniu odurzenia w bezpiecznym otoczeniu mógł wrócić do miasta i przez jakiś czas poruszać się po nim jako nowy, lepszy człowiek.

Tak jak już nigdy nie będzie mógł się poruszać.

Kiedy Priscilla odłączyła go od wszystkich tych rurek i wężyków i przeniosła na wózek, poczuł, jak bardzo jest bezradny, jak niezdolny do niczego się stał. Jak mało można było od niego oczekiwać.

– Idź już.

– Słucham? Mamy iść?

– Ty masz iść.

– I po prostu zostawić pana tutaj?

– Będzie dobrze. Zadzwonię do ciebie. Idź.

Priscilla nie ruszała się z miejsca.

– To rozkaz, Priscillo. – Uśmiechnął się. – Od tego, który zawsze będzie twoim szefem.

Westchnęła. Delikatnie położyła mu rękę na ramieniu, a potem odeszła.

Nie minęło nawet dziesięć minut, gdy pojawiła się przed nim Strega z rękami założonymi na piersi.

– O cholera – powiedziała tylko.

– Wiem. Jest bezbożnie wcześnie.

Roześmiała się.

– Niezły humor jak na kogoś, kto trafił na wózek. Czym mogę szanownemu panu służyć?

– Jakimś środkiem przeciwbólowym i godzinką odpoczynku na leżaku.

Wręczyła mu słuchawki i okulary.

– Moje nogi nie są takie jak dawniej, więc może ci być potrzebna pomoc w przetransportowaniu mnie na miejsce.

– Takiego piórka jak ty?

– Muszę zabrać wózek.

– No to zrezygnujemy dziś z przejażdżki samochodem.

Zaczęła popychać wózek. Bóle przez cały czas pojawiały się i odpuszczały, ale gdy kilka minut później Strega zdjęła go z wózka i posadziła na czymś, co przypominało tłuczeń, zabolało go tak, że się rozpłakał. Poczuł oplatające go muskularne ramiona i niemalże oszałamiający zapach. Z powrotem posadziła go na wózku i zaczęła ciągnąć po żwirze. Co metr wózek forsował coś leżącego na podłożu. Czuć było zapach smoły i spalonego metalu. Podkłady kolejowe. Ciągnęła go wzdłuż torów.

Że też nie pojął tego wcześniej! Podczas poprzednich wizyt jechali samochodem, niedaleko, ale najwyraźniej kręcili się w kółko, bo wracali do punktu wyjścia tu, na dworcu. Już przedtem domyślił

się, że kuchnia przygotowująca wywar znajduje się pod dachem, bo nie czuł deszczu, ale nie wpadł na to, że urządzono ją w jednym z nieczynnych tuneli, tuż pod ich nosem! Jęknął bezsilnie, kiedy Strega wzięła go na ręce i położyła tak, że policzkiem dotknął czegoś zimnego i wilgotnego. Betonu. Potem ponownie wsadziła go na wózek. Znów go wiozła. Zrobiło się cieplej, bardziej sucho. Zbliżali się już do kuchni. Łatwo rozpoznawalne zapachy aktywowały w jego mózgu coś, od czego serce zaczęło mu mocniej bić i dało przedsmak odlotu. Ktoś zdjął mu okulary i słuchawki. Usłyszał ostatnią część zdania wypowiadanego przez Stregę:

– ...zmyć ślady jego krwi.

– Dobrze – odpowiedziała jedna z sióstr mieszających w wielkim kotle.

Strega chciała go przełożyć na leżak, ale Lennox machnął ręką i podwinął lewy rękaw koszuli. Wywar prosto ze źródła. Nie mogło być nic lepszego. Raj narkomana. Właśnie tam się wybierał. Albo nie. Zobaczy. Albo nie.

– Czy to nie komisarz Lennox z Wydziału Antykorupcyjnego? – spytał Jack. Przez lustro weneckie zaglądał do kuchni, obserwując mężczyznę na wózku inwalidzkim.

– Owszem – potwierdził Hekate, ubrany w biały lniany garnitur i kapelusz. – Nie wystarczy mieć oczu i uszu wyłącznie w Inverness.

– Słyszał pan w radiu, że Lennox oskarżył Macbetha o zabójstwo? Nie wie, że Macbeth jest pańskim narzędziem?

– Nikt nie wie więcej, niż musi. Również ty, Bonus. Wracając do meritum... Mówisz, że Lady odebrała sobie życie, ale Macbeth wydaje się tym bardziej sparaliżowany niż wzburzony?

– Tak to odczytuję.

– Hm. A jak sądzisz, gdyby Tourtell wprowadził stan wyjątkowy, to czy Macbeth w obecnym stanie ducha zdołałby

przejąć władzę i zrobić to, co należy? Zostałby przywódcą miasta?

– Nie wiem. Wydaje się taki... zobojętniały. Jakby nic już nie było ważne. Albo też uważa, że jest nietykalny. Że pan będzie go ratował, bez względu na to, co się wydarzy.

– Hm. – Hekate postukał laską o podłogę. – Bez Lady wartość Macbetha jako komendanta policji znacznie spada.

– On dalej będzie posłuszny.

– Prawdopodobnie może sięgnąć po władzę, ale bez Lady nie utrzyma rządów zbyt długo. To ona pojmowała grę, widziała szeroką perspektywę. Rozumiała, jakie manewry są potrzebne. Macbeth potrafi rzucać sztyletami, ale ktoś musi mu tłumaczyć dlaczego i w kogo.

– Ja mogę zostać jego nowym doradcą – oświadczył Jack. – Już zacząłem zdobywać jego zaufanie.

Hekate się roześmiał.

– Nie bardzo potrafię stwierdzić, Bonus, czy jesteś tylko żywiącą się mułem flądrą, czy tak naprawdę przebiegłą drapieżną rybą.

– W każdym razie jestem rybą, z tego, co zrozumiałem.

– Nawet gdybyś mógł zaradzić jego brakowi zdolności do rządzenia, to i tak wątpię w jego wolę. Brakuje mu żądzy władzy, jaką przejawiała Lady. On, zdaje się, pożąda raczej tych rzeczy, od których tacy jak ty i ja się nie uzależniliśmy, mój drogi Bonus.

– Wywaru?

– Lady. Kobiet. Może przyjaciół. Wiesz, miłości między ludźmi. A teraz, kiedy Lady nie żyje, Macbethem przestało kierować pragnienie zaspokojenia jej żądzy władzy.

– Lady również potrzebowała miłości – zauważył cicho Jack.

– Pragnienie bycia kochanym i zdolność do kochania daje ludziom siłę, lecz jest również ich piętą achillesową. Gdy się im

da widoki na miłość, będą zdolni przenosić góry. Gdy się im je odbierze, wystarczy lekki wiaterek, żeby ich przewrócić.

– Możliwe, możliwe.

– A jeśli przewróci Macbetha, to co myślisz o tym tam na stanowisku komendanta? – Hekate wskazał na szybę, za którą jedna z sióstr przetarła lewe przedramię Lennoxa wacikiem nasączonym spirytusem, a teraz szukała żyły, trzymając strzykawkę uniesioną igłą do góry.

– Lennox? Mówi pan poważnie?

Hekate cmoknął.

– To człowiek, który obalił Macbetha. Bohater, ponieważ poświęcił własną zdolność poruszania się dla ratowania burmistrza. No i nikt nie wie, że Lennox pracuje dla mnie.

– Ale Malcolm wrócił. A wszyscy wiedzą, że Lennox był na posyłki Macbetha.

– Lennox wykonywał rozkazy, tak jak powinien postępować lojalny policjant, a Malcolmowie i Duffowie mogą znów zniknąć. Roosevelt wygrał na wózku wojnę światową. Tak, tak, na pewno udałoby mi się wsadzić Lennoxa do gabinetu komendanta policji. Jak sądzisz?

Jack spojrzał na Lennoxa. Nie odpowiedział.

Hekate się roześmiał i położył dużą, miękką rękę na szczupłym ramieniu Jacka.

– Wiem, co sobie myślisz, flądro. Co wtedy będzie z tobą? Komu będziesz potrzebny, kiedy Macbeth przeminie? Miejmy więc nadzieję, że Macbeth ujarzmi tę burzę. Chodź, wyprowadzę cię.

Jack rzucił ostatnie spojrzenie na Lennoxa, potem się odwrócił i razem z Hekate ruszył do drzwi toalety i dalej w głąb dworca.

– Zaczekaj! – poprosił Lennox w momencie, gdy siostra przyłożyła mu igłę do skóry. Swobodną prawą rękę zanurzył w wielkiej

bocznej kieszeni wózka. Wyciągnął sznurek z trzonka.

– Już – powiedział.

Siostra wbiła igłę i wcisnęła tłoczek, a w tej samej chwili Lennox wyjął rękę z kieszeni wózka, opuścił ją, machnął nisko nad podłogą i rozluźnił dłoń. To, co Priscilla przyniosła mu z gabinetu, zaturkotało cicho, turlając się po cementowej podłodze, i zniknęło pod stołem z kolbami, rurkami i wężami, znajdującymi się obok kotła.

– Halo, co to było? – spytała Strega.

– Według mojego dziadka granat, którym dostał w głowę. – Lennox czuł już kopa, który nigdy nie był taki jak za pierwszym razem, lecz mimo to przyprawił go o dreszcz rozkoszy. Będący, po wszystkich tych latach poszukiwań, wciąż rzeczą najbliższą sensowi życia, jaką mógł znaleźć. Jeśli w ogóle nie był sensem życia. Koniec i kropka. – Ale może to stielhandgranate dwadzieścia cztery. Albo popiel...

Nie dokończył.

Jack był w połowie schodów, kiedy wybuch rzucił go do przodu na twarz. Podniósł się i odwrócił w stronę toalety. Eksplozja wyrwała drzwi, z otworu buchał dym. Jack czekał. Ponieważ kolejnych wybuchów nie było, powoli zszedł na dół. Kabina toalety i drzwi do kuchni zniknęły. Dalej szalał ogień. W blasku płomieni widział, że wszystko zostało unicestwione. Kuchnia i ci, którzy w niej przebywali, przestali istnieć. A pięć sekund wcześniej on sam...

– Bonus...

Głos rozległ się tuż przed nim. A spod stalowych drzwi leżących na podłodze wypełzł poturbowany karaluch w lnianym garniturze. Nalaną twarz pokrywały plamy brudu, oczy były czarne od szoku.

– Pomóż mi...

Bonus chwycił starego za ręce i pociągnął po podłodze w kierunku drzwi do toalety. Tam obrócił Hekate na plecy. Hekate został powalony. Cały brzuch miał rozerwany, buchała z niego krew. Hekate, nieśmiertelny. Niewidzialna Ręka. Niewiele minut czy wręcz sekund życia mu zostało. Tyle krwi... Jack się odwrócił.

– Pospiesz się, Jack! Znajdź coś, co mógłbyś...

– Muszę sprowadzić lekarza – odparł Jack.

– Nie. Zatkaj czymś ranę, zanim całkiem się wykrwawię.

– Potrzebuje pan pomocy lekarskiej, będę się spieszył.

– Nie odchodź ode mnie, Jack! Nie...

Nagle całe jego ciało się napięło i Hekate zaczął wyć.

– Co się...

– Kwas żołądkowy! Coś się przedziurawiło. O Boże, spali mnie! Ratunku, Jack! Ra... – Wołanie znów przeszło w ochrypłe wycie, ale Jack obserwował go, nie ruszając się z miejsca. Hekate naprawdę wyglądał jak karaluch, kiedy tak leżał na grzbiecie, bezradnie wywijając rękami i nogami.

– Zaraz wrócę – zapewnił Jack.

– Nie, nie! – Hekate złapał go za łydki.

Ale Jack się wyrwał, odwrócił i odszedł.

Na szczycie schodów przystanął, spojrzał w lewo na zachód, w stronę Inverness. W stronę Macbetha. W stronę Sant Jordi. Tam w poczekalni był telefon. Zwrócił się na wschód. W stronę góry. W kierunku drugiej strony. Ku nowym wodom. Otwartym niebezpiecznym wodom. Właśnie tego rodzaju wyborów mężczyzna – i ryba podnawka – muszą niekiedy dokonywać, żeby przeżyć.

Jack odetchnął głęboko. Nie dlatego, że się wahał, po prostu potrzebował powietrza. I ruszył na wschód.

Kryształy nad głową Macbetha tańczyły i śpiewały. Żyrandol kołysał się w przód i w tył, szarpiąc za sznury, na których wisiał.

– Co to było? – ryknął Seyton z antresoli, ze stanowiska gatlinga w południowo-wschodnim narożniku Inverness.

– Koniec świata – odparł Macbeth. I dodał cicho, tylko do siebie: – Taką mam nadzieję.

– Huknęło na dworcu! – zawołał Olafson od działka na północnym wschodzie. – Czy to była eksplozja?

– Juhu! – zawył Seyton. – Nadciągają z artylerią!

– Naprawdę? – przeraził się Olafson.

Śmiech Seytona odbił się echem od ścian. Gdy ustalali, w jaki sposób Inverness powinno się bronić, od razu stwierdzili, że atak nastąpi przez plac Robotników, ponieważ ściana zamurowanych okien wychodząca na ulicę Skromną była niczym mur twierdzy.

– Czuję zapach twojego strachu aż tutaj, Olafson! Do ciebie na dół też dociera, szefie?

Macbeth ziewnął.

– Ja już nawet nie pamiętam, jak pachnie strach, Seyton. – Mocno potarł twarz. Kiedy się zdrzemnął, przyśniło mu się, że leży w łóżku obok Lady, a drzwi uchylają się bezszelestnie. Postać, która w nich stanęła, była w pelerynie, w kapturze nasuniętym tak głęboko, że dopiero kiedy weszła do środka i padło na nią światło, zorientował się, że to Banquo. Nie miał jednego oka, na policzkach i czole wiły się białe robaki. Macbeth sięgnął pod kurtkę, z podwójnej pochwy naramiennej wyciągnął sztylet i rzucił. Broń weszła miękko w czoło Banqua, jakby kości czaszki już zostały zjedzone. Ale to nie powstrzymało ducha, który dalej parł naprzód, kierując się do łóżka. Macbeth zaczął krzyczeć i potrząsnął Lady.

– Ona nie żyje – powiedział duch. – A ty musisz rzucić srebrem, a nie stalą.

To nie był głos Banqua. To był...

Głowa Banqua wypadła z kaptura i po podłodze potoczyła się pod łóżko. Z kaptura zaś wyjrzała roześmiana twarz Seytona.

– Czego chcesz? – spytał Macbeth szeptem.

– Tego, co ty, szefie. Dać wam dziecko. Spójrz, ona na mnie czeka.

– Oszalałeś!

– Zaufaj mi. Niewiele chcę w zamian.

– Ona nie żyje. Odejdź.

– Wszyscy jesteśmy martwi. Zrób to teraz. Zasiej swoje nasienie, a jeśli tego nie zrobisz, ja zasieję swoje.

– Odejdź stąd!

– Odsuń się, Macbecie! Wezmę ją tak, jak Duff wziął Meredith.

Drugi sztylet trafił Seytona w otwarte usta. Tamten zacisnął zęby, chwycił za rękojeść, odłamał ją i oddał Macbethowi. Pokazał mu zakrwawiony, rozcięty na dwoje język i wybuchnął śmiechem.

– Coś w radiu?

Macbeth drgnął. To Seyton wołał z góry.

– Nic. – Macbeth znowu mocno potarł twarz i przyciszył odbiornik. – Ciągle jeszcze zostało dwadzieścia minut do wschodu słońca. – Spojrzał na białą kreskę drobno posiekanego proszku na lusterku, które położył przed sobą na suknie. Zobaczył własną twarz. Pasek poweru przecinał gładką powierzchnię jak blizna.

– I wtedy naprawdę zabijemy tego chłopaka? – zawołał z góry Olafson.

– Tak, Olafson! – odkrzyknął Seyton. – Jesteśmy mężczyznami, a nie babami, które są mocne tylko w gębie!

– Ale... Co będzie później? Nie będziemy mieli karty przetargowej.

– Brzmi znajomo, Olafson? – Kolejny śmiech z południowo-wschodniego końca.

– Nie mamy się czego obawiać – odpowiedział Macbeth.

– Co mówisz, szefie?

– Nie narodził się jeszcze człowiek, który mógłby mi zaszkodzić. Hekate obiecał, że będę komendantem policji aż do chwili, gdy przyjedzie po mnie Bertha. O Hekate można wiele powiedzieć, ale on dotrzymuje słowa, więc się nie bój. Spokojnie, Tourtell ulegnie. – Macbeth spojrzał na Kasiego, który siedział w milczeniu oparty o słup i gapił się przed siebie. – Jak wygląda sytuacja, Seyton?

– Koło Berthy zebrali się ludzie. Wyglądają na zwykłych policjantów i cywili. Mało kto ma broń automatyczną, jest kilka karabinów i pistolety. Nie powinniśmy mieć problemów, jeśli nas tym zaatakują.

– Widzisz kogoś w szarych płaszczach?

– W szarych płaszczach? Nie.

– A w twoim sektorze, Olafson?

– U mnie też nie ma nikogo takiego, szefie.

Ale Macbeth wiedział, że tam są. Że nad nim czuwają.

– Słyszałeś o Titonosie, Seyton?

– Nie, a co to za jeden?

– Grek, o którym opowiadała mi Lady. Sprawdziłem to sobie. Eos, ta ich bogini od jutrzenki, wzięła sobie młodego kochanka, całkiem zwyczajnego gościa, który miał na imię Titonos. Uprosiła samego szefa, Zeusa, żeby dał facetowi wieczne życie, tak jak jej. Gość wcale się o to nie prosił, wmusili mu to. Ale bogini zapomniała zamówić dla niego wieczną młodość, pojmujesz?

– Może i pojmuję, ale nie rozumiem problemu.

– Wszystko znika, wszyscy umierają, a Titonos gnije w starości i samotności. Nic dobrego nie dostał. Przeciwnie, jest w więzieniu. Jego życie wieczne to jakieś cholerne przekleństwo.

Macbeth poderwał się tak szybko, że aż zakręciło mu się w głowie. To przemawiało przez niego przygnębienie i kac po narkotykach. Miał przecież miasto, które leżało mu u stóp,

a wkrótce zacznie nieodwołalnie należeć do niego. Wyłącznie do niego. Będzie mógł domagać się spełnienia każdego, nawet najdrobniejszego życzenia. Mógł więc teraz myśleć wyłącznie o swoich zachciankach i przyjemnościach. O zachciankach i przyjemnościach.

Duff pogładził palcem szparę w cokole przy pysku Berthy. Usłyszał głos Malcolma:

– Przepraszam, proszę mnie przepuścić!

Podniósł głowę i zobaczył, że Malcolm toruje sobie drogę między ludźmi na szczycie schodów.

– Wy też to poczuliście? – spytał zdyszany.

– Tak – potwierdziła Caithness. – Myślałam, że dach się zawali. Wyglądało na jakąś próbną eksplozję pod ziemią.

– Albo trzęsienie ziemi. – Duff wskazał na szparę w cokole.

– Najwyraźniej przyszło więcej ludzi, niż zaprosiłem – stwierdził Malcolm, spoglądając na gromadę, która zebrała się u stóp schodów za barykadą utworzoną przez policyjne radiowozy i duży czerwony wóz strażacki. – Czy wszyscy to policjanci i strażacy?

– Nie – odparł mężczyzna, który właśnie wszedł na schody.

Malcolm spojrzał na jego czarny mundur.

– Kapitan marynarki?

– Pilot portowy – odpowiedział niski mężczyzna. – Fred Ziegler.

– A co tu robi pilot?

– Słuchałem tego, co Kite mówił w nocy w radiu. Potem podzwoniłem po ludziach i doszły mnie wieści o tym, co tu się ma wydarzyć. Powiedzcie mi, jak mogę się przydać?

– Ma pan broń?

– Nie.

– A umie pan strzelać?

– Dziesięć lat służyłem w marynarce wojennej.

– Dobrze. Niech pan zejdzie do tego policjanta w mundurze, zorganizuje panu karabin.

– Dziękuję. – Pilot podniósł dwa palce do białej czapki i odszedł.

– Co mówi Tourtell? – spytał Duff.

– Poinformowano Capitol o tym, że tamci wzięli zakładnika – odparł Malcolm. – Ale nie mogą nam pomóc, dopóki po południu nie zostanie wydany nakaz aresztowania.

– Na miłość boską, przecież tu chodzi o ludzkie życie!

– Owszem, ale jedno. To się nie kwalifikuje do interwencji federalnej. Chyba że nasz komendant poprosi o wsparcie.

– Przeklęta polityka! A gdzie jest teraz Tourtell? – Duff spojrzał na wschód. Nad krawędzią szczytu bladoniebieskie niebo nabierało coraz intensywniejszej czerwonej barwy.

– Pojechał do studia radiowego – wyjaśniła Caithness.

– Ogłosi wprowadzenie stanu wyjątkowego – zdenerwował się Malcolm. – Musimy zaatakować Macbetha, kiedy ciągle jeszcze działamy na rozkaz burmistrza. W momencie ogłoszenia stanu wyjątkowego staniemy się wyjętymi spod prawa buntownikami i żaden z tych ludzi nie będzie chciał się do nas przyłączyć. – Wskazał na zgromadzonych.

– Macbeth się okopał – zauważyła Caithness. – Będą ofiary.

– Na pewno. – Malcolm już podniósł do ust megafon. – Dobrzy ludzie! Zajmijcie wyznaczone pozycje!

Zebrani ukryli się za samochodami parkującymi u stóp schodów. Oparli broń o dachy aut i murki, ukryli się za opancerzonym sonderwagenem Gwardii i za dużym czerwonym wozem strażackim, kierując lufy w stronę Inverness.

W tę samą stronę Malcolm skierował też megafon.

– Macbeth! Tu zastępca komendanta policji Malcolm. Wiesz tak samo jak my, że znalazłeś się w sytuacji beznadziejnej i możesz

osiągnąć jedynie odroczenie tego, co nieuniknione! Wypuść więc zakładnika, a sam się poddaj. Daję ci jedną, powtarzam, jedną minutę!

– Co on powiedział? – zawołał z góry Seyton.

– Że daje mi minutę – odparł Macbeth. – Widzisz go?

– Tak, stoi na szczycie schodów.

– Olafson, weź karabin i zamknij Malcolmowi gębę!

– Chcesz powiedzieć, szefie, że...

– Właśnie tak.

– Wygrałeś, szefie! – Seyton się zaśmiał.

– Słuchajcie... – powiedział Macbeth.

Duff na zmianę patrzył to na góry, to na zegarek, to na zgromadzonych wokół niego mężczyzn. Nerwowo drgały łokcie i barki. Ludzie zaczęli zmieniać pozycje z powodu trzęsących się kolan i łydek. Oprócz sześciu ochotników z Gwardii i kilku innych policjantów byli to zwyczajni mieszkańcy miasta zatrudnieni w biurach rachunkowych i straży pożarnej, którzy nigdy w życiu nie strzelili do człowieka i do których nikt nigdy nie strzelał. A mimo to przyszli. Mimo braku przygotowania chcieli poświęcić wszystko. Duff odliczył trzy ostatnie sekundy.

Nic się nie stało.

Porozumiał się wzrokiem z Malcolmem i wzruszył ramionami.

Malcolm westchnął i podniósł megafon do ust.

Duff ledwie usłyszał wystrzał.

Malcolm zatoczył się do tyłu, a megafon z brzękiem upadł na ziemię.

Duff i Fleance zareagowali jednocześnie. Rzucili się na Malcolma i powalili go na ziemię, żeby go osłonić. Duff szukał śladów krwi i sprawdził mu puls.

– W porządku – wydusił z siebie Malcolm. – Wszystko w porządku, tylko ze mnie zejdźcie. Trafił w megafon.

– Kiedy mówiłeś o zamknięciu mu gęby, zrozumiałem, że masz na myśli zamknięcie na wieki! – zawołał Seyton. – Teraz wyjdzie na to, że jesteśmy słabi, szefie.

– Mylisz się – odparł Macbeth. – Teraz już wiedzą, że mówimy poważnie, ale nie jesteśmy nieobliczalni. Gdybyśmy zabili Malcolma, dalibyśmy im pretekst do przystąpienia do szturmu z wściekłością, jaką budzi naruszone poczucie sprawiedliwości. A tak ciągle będą się wahać.

– Wydaje mi się, że szturmować będą i tak – zauważył Olafson. – Spójrzcie, nasz sonderwagen! Jedzie prosto na nas!

– No cóż, wobec tego sytuacja się zmieniła. Komendant policji musi mieć prawo do obrony. Seyton?

– Tak?

– Niech przemówią do nich panny Gatling.

Duff wyjrzał zza Berthy, żeby obserwować, jak niezgrabny opancerzony samochód, nazwany sonderwagenem, jedzie przez plac w stronę Inverness. Z rury wydechowej buchał ciężki czarny dym ropy. Dzieło niemieckich inżynierów, stalowe płyty i kuloodporne szkło. Plan Ricarda opierał się na zwykłej taktyce oddziału uderzeniowego. Sześciu ochotników z Gwardii miało podjechać pod wejście, strzelić przez okna ładunkami z gazem łzawiącym, wyłamać drzwi i wpaść do budynku w maskach przeciwgazowych. Punktem krytycznym był moment, w którym zbliżą się do budynku na tyle, by móc wstrzelić gaz, ale żeby to wykonać, będą musieli wysiąść z samochodu. Mieli nadzieję, że uda im się to w ciągu zaledwie kilku sekund; przez te sekundy potrzebowali jednak ognia, który by ich osłonił.

Zatrzeszczała krótkofalówka Malcolma i zaraz usłyszeli głos Ricarda:

– Ogień osłaniający za trzy, dwa, jeden...

– Ognia! – ryknął Malcolm.

Kiedy zza barykady zaczęto strzelać, zabrzmiało to jak werbel. Trochę jak za mały werbel, pomyślał Duff. Bo odgłos zagłuszyło narastające wycie z drugiej strony.

– Panie Jezu – szepnęła Caithness.

Początkowo wyglądało to jak ulewa wzbijająca w górę kurz z bruku przed sonderwagenem. Potem krople zaczęły z grzechotem walić w grill, maskę, przednią szybę i dach. Samochód wyglądał tak, jakby kolana się pod nim ugięły, i opadł niżej.

– Opony – zauważył Fleance.

Wóz sunął do przodu, ale już wolniej, jakby stawiał czoło orkanowi.

– Będzie dobrze, to opancerzony pojazd – zapewnił Malcolm.

Samochód stale zwalniał. Aż w końcu całkiem się zatrzymał. Boczne lusterka i zderzak odpadły.

– To był opancerzony pojazd – mruknął Duff.

– Ricardo! – ryknął Malcolm do krótkofalówki. – Ricardo! Wycofujcie się!

Odpowiedzi nie było.

Samochód jakby tańczył.

Nagle salwa umilkła. Na placu zapadła cisza, przerywana tylko krzykiem skarżącej się mewy, która szybowała nad głowami ludzi. Z samochodu unosił się dym, czerwonawa para.

– Ricardo! Odezwij się, Ricardo!

Ciągle bez odpowiedzi. Duff wpatrywał się we wrak sonderwagena. Żadnych oznak życia. Teraz wiedział już, jak wyglądało tamto popołudnie w Fife.

– Ricardo!

– Oni nie żyją – powiedział Duff. – Wszyscy zginęli.

Malcolm spojrzał na niego z boku.

Duff potarł ręką twarz.

– Jaki jest następny ruch?

– Nie wiem, Duff. To był nasz ruch.

– Wóz strażacki – wtrącił Fleance.

Spojrzeli na chłopaka.

Skulił się i przez moment jakby się zachwiał pod ciężarem ściągniętej na siebie uwagi. Zaraz jednak podniósł głowę i lekko drżącym głosem powiedział:

– Musimy użyć wozu strażackiego.

– On nie wytrzyma – stwierdził Malcolm.

– Wiem, ale możemy nim podjechać od tyłu, od Skromnej. – Fleance zrobił przerwę, żeby przełknąć ślinę. – Widzieliście, że strzelali z obu działek, a to oznacza, że nie obstawili tyłów.

– Bo wiedzą, że tamtędy się nie dostaniemy – zauważył Duff. – Tam nie ma żadnych drzwi ani okien, tylko mur. Żeby się przez niego przebić, potrzebny jest młot pneumatyczny albo ciężka artyleria.

– Nie przebić – zaprotestował Fleance już pewniejszym głosem.

– Obejść? – spytał Duff.

Fleance wycelował palcem w niebo.

– No oczywiście! – zawołała Caithness. – Wóz strażacki!

– Powiedzcie wreszcie, co jest takie oczywiste – burknął Malcolm, spoglądając w górę.

– Drabina – powiedział Duff. – Dach.

– Przestawiają wóz strażacki! – zawołał Seyton.

– Po co? – Macbeth ziewnął.

Chłopak siedział z zamkniętymi oczami na ziemi po turecku. Spokojny i milczący. Sprawiał wrażenie, że pogodził się ze swoim losem i tylko czeka na koniec. Tak jak Macbeth.

– Nie wiem.

– A ty, Olafson?

– Też nie wiem, szefie.

– No to nie. – Macbeth wyjął srebrny sztylet i ostrugał nim zapałkę. Ostro zakończoną końcówkę wsunął między zęby. Sztylet odłożył na sukno przed sobą. Wziął do ręki dwa żetony i zaczął je obracać między palcami obu dłoni. Nauczył się tego w cyrku. To ćwiczenie miało wyrównać motorykę prawej i lewej ręki. Ssał zapałkę, obracał żetony i usiłował stwierdzić, co czuje. Nic. Próbował stwierdzić, co myśli. Nie myślał o Banqu, nie myślał o Lady. Myślał tylko o tym, że nic nie czuje. I jeszcze o jednym drobiazgu: po co? Po co?

Zastanawiał się nad tym przez dłuższą chwilę.

W końcu zamknął oczy i zaczął odliczać od dziesięciu.

– To nie jest taka drabina jak domowa. Będzie się kołysać tym mocniej, im wyżej będziemy – uprzedzał Fleance'a i dwóch innych ochotników człowiek w mundurze pilota portowego. – Ale przesuwajcie tylko jedną kończynę na raz: jedną rękę, potem jedną nogę. Nie ma się czego bać.

Pilot ziewnął głośno i uśmiechnął się przelotnie, po czym złapał się drabiny i zaczął się po niej wspinać.

Fleance patrzył na małego człowieczka i zapragnął nie znać strachu, tak jak on. Na ulicy Skromnej było pusto. Stał tylko wóz strażacki z piętnastometrową drabiną, pnącą się w górę pozbawionej okien ściany.

Fleance ruszył za pilotem i, o dziwo, lęk z każdym krokiem ustępował. Przecież najgorsze miał już za sobą. Odezwał się, a oni

słuchali. Kiwali głowami i mówili, że rozumieją. Potem wsiedli do wozu strażackiego, ruszyli na wschód od dworca, zataczając duży łuk przez wyludnione po niedzielnemu ulice, i niezauważeni przez nikogo dotarli na tyły Inverness.

Fleance podniósł głowę i zobaczył, że pilot daje znak: droga wolna.

W nocy obejrzeli plany Inverness tak starannie, że Fleance dokładnie wiedział, gdzie co się znajduje. Płaski dach prowadził do drzwi. Za nimi znajdowała się wąska drabinka do kotłowni, z której wychodziło się na górny korytarz hotelu. W korytarzu planowali się rozdzielić – dwóch miało iść schodami od strony północnej, dwóch od południowej. Oba zejścia prowadziły na antresolę. Za kilka sekund powinna się rozpocząć kanonada od strony dworca, aby skierować uwagę obsługujących działka na plac Robotników, a także zagłuszyć Fleance'a i jego trzech towarzyszy skradających się od tyłu. Trzej ochotnicy zsynchronizowali swoje zegarki z czasomierzem Fleance'a; w ogóle nie protestowali, że dowodzi nimi student szkoły policyjnej. Wyglądało bowiem na to, że chłopak niejedno wie o takich akcjach. Jak to mówił tata: *A jeśli twoje opinie są lepsze, to ty powinieneś dowodzić. Taki jest twój pieprzony obowiązek wobec wspólnoty.*

Fleance usłyszał pierwsze strzały z dworca.

– Za mną!

Podszedł do drzwi prowadzących z dachu do środka, pociągnął za nie. Zamknięte. Tak jak się tego spodziewał. Dał znak jednemu z policjantów, facetowi z drogówki, który zaraz wsunął łom w szparę i nacisnął z całej siły. Zamek puścił przy pierwszej próbie.

Wewnątrz było ciemno, ale Fleance poczuł ciepło bijące z kotłowni, którą mieli pod sobą. Drugi z policjantów, siwowłosy

gość z Wydziału Gospodarczego, chciał iść pierwszy, ale Fleance go powstrzymał.

– Za mną – szepnął i przekroczył wysoki metalowy próg. Na próżno usiłował dostrzec coś w ciemności. Macając przed sobą w poszukiwaniu balustrady drabinki, musiał opuścić swój pistolet maszynowy. Metalowe stopnie zaśpiewały, gdy na próbę postawił stopę niżej. I zdrętwiał, kiedy oślepiło go światło.

Ktoś na dole zapalił latarkę i świecił mu nią prosto w oczy.

– Bum – rozległ się głos. – Już jesteście martwi.

Fleance wiedział, że stoi na linii strzału, uniemożliwiając reakcję swoim towarzyszom. Miał też świadomość, że sam nie zdąży unieść pistoletu. Znał ten głos.

– Jak to przewidziałeś...

– Myślałem sobie: po co? Po co zabierać wóz strażacki, jeśli nie słyszy się żadnego alarmu przeciwpożarowego? – Głos w ciemności roześmiał się cicho. – Widzę, że ciągle nosisz moje buty.

Wujek Macbeth sprawiał wrażenie pijanego.

– Posłuchaj, Fleance, ocalisz dzisiaj życie. Własne i tych trzech buntowników, których tu przyprowadziłeś. Wycofajcie się i wracajcie na barykady. Stamtąd macie więcej możliwości ujęcia mnie.

Fleance przesunął język w ustach, szukając wilgoci.

– Zabiłeś tatę.

– Być może – wybełkotał Macbeth. – A może stało się tak za sprawą okoliczności. Albo ambicji Banqua związanych z rodziną. Ale najprawdopodobniej... – westchnął – ...zrobiłem to ja. Odejdź już, Fleance.

Chłopakowi przeleciały przez głowę wspomnienia wszystkich walk na niby, jakie stoczył z wujkiem Macbethem w domu, w salonie, na podłodze, kiedy Macbeth pozwalał mu mieć

przewagę tylko po to, by w ostatniej chwili obrócić go i powalić na ziemię. Nie za sprawą siły, tylko szybkości i precyzji. Ale jak bardzo pijany był teraz Macbeth? I o ile lepszą koordynację ruchów miał Fleance? Może mimo wszystko była jakaś szansa? Gdyby okazał się dostatecznie szybki, może zdążyłby go zastrzelić, uratować Kasiego, uratować miasto. Pomścić...

– Nie rób tego, Fleance.

Ale było już za późno. Fleance podniósł pistolet i odgłos krótkiej salwy zaatakował bębenki w uszach wszystkich pięciu mężczyzn w ciasnej kotłowni.

– Ha! – krzyknął Fleance.

I runął w dół.

Nie poczuł, że uderzył w podłogę. Nie czuł nic, dopóki znów nie otworzył oczu. Wtedy też nic nie zobaczył, tylko poczuł czyjąś dłoń na policzku i usłyszał głos tuż przy uchu:

– Mówiłem, żebyś tego nie robił.

– Gdzie... gdzie oni...

– Odeszli, tak jak ich prosiłem. Śpij teraz, Fleance.

– Ale... – Wiedział, że jest podziurawiony, że krew z niego wycieka. Zakasłał, coś wypełniło mu usta.

– Śpij. Pozdrów tatę, kiedy tam dotrzesz, i powiedz, że idę tuż za tobą.

Fleance otworzył usta, ale wydobyła się z nich tylko krew. Poczuł na powiekach dotyk palców Macbetha, delikatny i czuły. Macbeth zamknął mu oczy. Fleance nabrał powietrza, jak przed nurkowaniem. Jak wtedy, gdy spadał z mostu do fiordu, kiedy leciał ku czarnej wodzie, ku własnemu grobowi.

– Nie! – jęknął Duff na widok wozu strażackiego nadjeżdżającego od wschodu. – Nie!

Obaj z Malcolmem wybiegli mu na spotkanie. Kiedy wóz się zatrzymał, z niecierpliwością otworzyli drzwi po obu stronach. Kierowca, dwaj policjanci i pilot wytoczyli się na zewnątrz.

– Macbeth na nas czekał. – Pilot ciągle nie mógł złapać tchu. – Zastrzelił Fleance'a!

– O nie! – Duff odchylił głowę i zacisnął powieki.

Ktoś położył mu rękę na karku. Znajoma dłoń. Caithness.

Do Malcolma podbiegli dwaj ludzie w czarnych mundurach Gwardii.

– Hansen i Edmunton meldują się, sir. Usłyszeliśmy o wszystkim dopiero teraz i przybyliśmy jak najszybciej. Będą też następni.

– Dziękuję wam, chłopaki, ale to już koniec. – Malcolm pokazał na niebo. Na razie jeszcze nie było widać słońca, ale sylwetkę odwróconego krzyża na szczycie góry już obrysowywały pierwsze promienie. – Teraz wszystko zależy od Tourtella.

– Wymieńmy się zakładnikami, Malcolm – zaproponował Duff. – Dajmy Macbethowi tych, których on chce. Nas dwóch. W zamian za Kasiego.

– Sądzisz, że już o tym nie myślałem? – mruknął Malcolm. – Macbeth nigdy nie wymieni syna burmistrza na takie płotki jak ty i ja. Jeżeli Tourtell ogłosi stan wyjątkowy, Kasi zostanie oszczędzony. A my dwaj i tak zostaniemy zlikwidowani. Kto wtedy pokieruje dalszą walką przeciwko Macbethowi?

– Caithness – odparł Duff. – I wszyscy ludzie w mieście, w których pokładasz taką wiarę. Boisz się? Czy...

– Malcolm ma rację – wtrąciła Caithness. – Żywi jesteście więcej warci dla miasta.

– Niech to szlag! – Duff wyrwał się i ruszył w stronę wozu strażackiego.

– Dokąd idziesz? – krzyknęła Caithness.

– Fundament.

– Co?

– Musimy zaatakować fundament. Hej, ogniomistrzu!

Mężczyzna, który wcześniej prowadził wóz strażacki, podniósł głowę.

– Nie jestem...

– Macie w środku toporki i młoty?

– Jasne.

* * *

– Zobacz! – zawołał Seyton. – Słońce oświetla już szczyt Obelisku. Chłopak musi umrzeć!

– Wszyscy umrzemy – odpowiedział Macbeth cicho i położył jeden żeton pod symbolem serca na czerwonym polu, drugi na czarnym. Oparł głowę na lewej ręce i wyjął z koła ruletki kulkę.

– Co się właściwie wydarzyło na dachu? – zawołał Seyton.

– Syn Banqua się zjawił! – odkrzyknął Macbeth, mocno zakręcił kołem i puścił kulkę. – Zająłem się tym!

– Nie żyje?

– Powiedziałem już, że się tym zająłem. – Koło ruletki wirowało przed oczami Macbetha. Poszczególne cyfry zniknęły, tworząc spójny okrąg. Wyraźny, a jednocześnie niewyraźny. Udało mu się wprowadzić w Stan i ciągle w nim trwał. Koło wirowało. Tym razem miało się nie zatrzymać, tym razem miał nigdy nie wydobyć się ze Stanu. Zamknął już drzwi za sobą i przekręcił klucz. Koło. Wirujące ku nieznanemu, a jednak wiadomemu losowi. Na koniec zawsze wygrywa kasyno. – Co to za hałasy na zewnątrz, Seyton?

– Dlaczego nie przyjdziesz na górę i sam tego nie zobaczysz, szefie?

– Wolę ruletkę. Więc co to jest?

– Zaczęli walić w nieszczęsną Berthę. A słońce już wychodzi na niebo, widzę je. Piękne i duże. Czas minął. Czy...

– Walą w Berthę?

– W każdym razie w ten cokół, na którym stoi. Miej oko na plac, Olafson, i strzelaj do wszystkiego, co się będzie zbliżać!

– Tak jest!

Macbeth usłyszał kroki na schodach i podniósł głowę. Czerwonawy odcień twarzy Seytona stał się wyraźniejszy niż zazwyczaj. Jakby poparzył się na słońcu. Seyton minął stół do ruletki i podszedł do słupa, przy którym Kasi tkwił z pochyloną głową. Długie włosy zasłaniały mu twarz.

– Kto ci pozwolił opuścić stanowisko? – warknął Macbeth.

– Szybko się z tym uporam. – Seyton wyciągnął zza paska czarny rewolwer. Przyłożył go do czoła Kasiego.

– Stop! – krzyknął Macbeth.

– Miało być co do sekundy, szefie, więc nie możemy...

– Stop, powiedziałem! – Macbeth pogłośnił radio za plecami.

– ...do was burmistrz Tourtell. Komendant policji Macbeth, który jest podejrzewany o współudział w kilku zabójstwach, między innymi komendanta Duncana, a wczoraj wieczorem po nieudanym zamachu na mnie porwał mojego syna Kasiego, dziś w nocy postawił mi ultimatum: jeśli do chwili, gdy słońce wzejdzie nad naszym miastem, nie ogłoszę wprowadzenia stanu wyjątkowego, tak aby komendant Macbeth uzyskał nieograniczoną władzę i mógł powstrzymać interwencję sił federalnych, mój syn zostanie zabity. Ale my tego nie chcemy. Nie chcę tego ja, nie chcesz ty, nie chce Kasi, całe miasto nie chce mieć kolejnego despoty jako władcy. Za tę sprawę w ostatnich dniach dobrzy obywatele oddali życie. I swoich synów. Poświęcili swoich synów, tak jak w tym mieście i w wielu innych miastach poświęcano ich podczas wojen

światowych, kiedy zagrożona była nasza demokracja. Teraz słońce wschodzi, a Macbeth siedzi przy radiu i czeka na wiadomość. Na potwierdzenie, że ten dzień i to miasto należą do niego. A oto moja wiadomość dla Macbetha: weź Kasiego, jest twój. Poświęcam go, tak jak – w co wierzę – on poświęciłby mnie albo swojego syna, którego nigdy nie będzie miał. A ty, Kasi, jeśli mnie słyszysz, żegnaj, źrenico mego oka. – Tourtell mówił teraz niższym głosem. – Kocham cię nie tylko ja, kocha cię całe miasto. Będziemy palić świece na twoim grobie, dopóki trwać będzie demokracja. – Chrząknął. – Dziękuję, Kasi. Dziękuję, obywatele. Ten dzień należy do was.

Po krótkiej przerwie rozległo się pełne trzasków nagranie mężczyzny, który zaczął śpiewać *Warownym grodem jest nasz Bóg*.

Macbeth wyłączył radio.

Seyton roześmiał się i nacisnął cyngiel. Kurek rewolweru się podniósł.

– Zaskoczony, Kasi? Bękart jest niewiele wart dla dziwkarza. Ale jeśli oddasz mi teraz duszę, obiecuję ci bezbolesny strzał w głowę zamiast bolesnego w brzuch. I zemstę na dziwkarzu i jego poplecznikach. Co ty na to, chłopcze?

– Nie.

– Nie? – Seyton z niedowierzaniem skierował oczy w stronę, z której padła odpowiedź.

– Nie – powtórzył Macbeth. – Nie zabijemy go. Odłóż ten rewolwer, Seyton.

– I pozwolimy, żeby dostali to, czego chcą?

– Słyszałeś, co powiedziałem. Nie strzelamy do bezbronnych.

– Do bezbronnych? – syknął Seyton. – A co z nami, bezbronnymi? Mamy pozwolić, żeby Duff i Malcolm znów nas olewali, jak zawsze? Masz zamiar zawieść? Akurat teraz, kiedy...

– Twój rewolwer celuje we mnie, Seyton.

– Możliwe. Bo nie zamierzam pozwolić ci na powstrzymanie nadejścia nowego królestwa. Nie tylko ty masz powołanie, ja...

– Wiem, co chcesz osiągnąć, i jeśli nie odłożysz tego rewolweru, to już jesteś martwym człowiekiem, a w każdym razie martwym czymś.

Seyton się roześmiał.

– Są rzeczy, których o mnie nie wiesz, Macbecie. Na przykład tego, że nie możesz mnie zabić.

Macbeth patrzył w lufę rewolweru.

– No to strzelaj, Seyton. Bo tylko ty możesz mnie wysłać do niej. Ty się nie urodziłeś, tylko zostałeś stworzony. Stworzony z koszmarów, ze zła, z żądzy rujnowania i niszczenia.

Seyton pokręcił głową i nie odrywając wzroku od Macbetha, przyłożył rewolwer do czoła Kasiego. W tej samej chwili pierwszy promień słońca wpadł przez wielkie okna antresoli. Macbeth zobaczył, że Seyton unosi rękę, żeby przysłonić oczy, oślepione przez słoneczny blask.

Macbeth rzucił sztyletem prosto w słońce oświetlające pień drzewa, prosto w serce wyryte w korze. I wiedział, że trafi, bo to serce było powiązane z koniuszkami jego palców, połączone z nimi naczyniami krwionośnymi.

Rozległ się dźwięk przypominający klaśnięcie. Seyton się zachwiał i zdziwiony spojrzał na rękojeść sztyletu sterczącą mu z piersi. Wypuścił rewolwer z dłoni i chwycił sztylet, jednocześnie osuwając się na kolana. Podniósł głowę i zamglonymi oczami popatrzył na Macbetha.

– Srebro – wyjaśnił Macbeth, znów wsuwając między zęby zaostrzoną zapałkę. – Podobno działa.

Seyton zwalił się do przodu, z głową tuż przy bosych stopach chłopca.

Macbeth położył białą kulkę z kości słoniowej w drewnianej ramce koła ruletki i mocno zakręcił nim w przeciwną stronę.

– Dalej! – zawołał Duff do mężczyzn walących młotami i toporkami w przednią część cokołu, z której już udało im się odłupać wielkie kawały cementu.

I nagle cokół się poddał, a mający kształt pługa przód lokomotywy opadł z hukiem. Duff w kabinie maszynisty o mało nie poleciał na głowę, ale zdążył przytrzymać się jakiegoś drążka. Przód lokomotywy ustawił się ukośnie w dół, lecz za moment wszelki ruch znów zamarł.

– Walcie dalej!

Ciągle nic.

– Rusz się wreszcie, ty stara krowo!

I nagle Duff poczuł coś pod stopami. Coś się poruszyło. Czy tylko mu się wydawało? A może... Usłyszał jakiś dźwięk przypominający ściszone jęknięcie. Tak, ruszył. Pierwszy raz od osiemdziesięciu lat Bertha Birnam się przesunęła. A teraz jej metalowe ruchome części zaniosły się jękiem, który przeszedł w krzyk protestu. Lata rdzy i zjawisko tarcia usiłowały ją powstrzymać, ale siła ciążenia nie dała ze sobą wygrać.

– Z drogi! – wrzasnął Duff. Napiął pas pistoletu maszynowego i sprawdził uchwyt dodatkowej broni, którą wsunął za pasek.

Wyrwane z uśpienia koła lokomotywy zaczęły się kręcić. Przejechały po ośmiometrowych szynach i zsunęły się po szczątkach cokołu. Przednie koła uderzyły o najwyższy stopień schodów, pokrywające go kamienne płyty pękły z ogłuszającym hukiem. Przez moment zanosiło się na to, że lokomotywa zatrzyma się w tym miejscu, ale zaraz Duff usłyszał pękanie kolejnego stopnia. I następnego. Wiedział już, że teraz nic nie powstrzyma wolno przyspieszającej masy.

Patrzył przed siebie, kątem oka jednak zarejestrował, że ktoś jeszcze wskoczył do pociągu i stanął obok niego.

– Poproszę o bilet w jedną stronę do Inverness.

Caithness.

– Szefie! – krzyknął Olafson.

– Tak? – Macbeth dalej śledził wzrokiem wirowy ruch terkoczącej kulki z kości słoniowej.

– Wydaje mi się, że... że... jedzie.

– Co jedzie?

– Po-pociąg!

Macbeth podniósł głowę.

– Pociąg?

– Bertha! Jedzie... tutaj! To... – Dalsze jego słowa zagłuszył hałas.

Macbeth wstał. Stąd, z głębi salonu gier, nie mógł zobaczyć budynku dworca, jedynie łagodnie wznoszący się plac za wielkim oknem.

Ale słyszał. Brzmiało to tak, jakby ryczący potwór coś miażdżył. I stale się zbliżał.

Aż wreszcie znalazł się w jego polu widzenia.

Macbeth przełknął ślinę.

Nadciągała Bertha.

– Ognia!

Zastępca komendanta policji Malcolm nie mógł oderwać oczu. Wiedział bowiem, że bez względu na to, co się dalej stanie, już nigdy w życiu nie zobaczy czegoś podobnego. Nie ujrzy lokomotywy pożerającej kamienie i odciskającej swój ślad na placu Robotników. Środka transportu, który ich przodkowie zbudowali z żelaza, zbyt ciężkiego i solidnego, by dało się go powstrzymać. Z łożyskami kulkowymi, które nie zardzewiały ani nie zaschły

w ciągu kilku marnych pokoleń zaniedbań. Lokomotywy, z której kule gatlingów krzesały tylko iskry, ale odskakiwały od niej jak krople deszczu, a ona dalej parła przed siebie, ku Inverness.

– To solidny budynek – rzucił ktoś stojący obok.

Malcolm pokręcił głową.

– Zwykła speluna.

– Trzymaj się mocno! – krzyknął Duff.

Caithness usiadła na metalowej podłodze, oparta plecami o tylną ścianę, żeby uniknąć rykoszetów kul ze świstem przelatujących nad nimi. Krzyknęła coś z napiętymi mięśniami twarzy i zamkniętymi oczami.

– Co?! – wrzasnął Duff.

– Koch...!

Uderzyli w Inverness.

Macbeth napawał się widokiem Berthy, która wypełniła wielkie okno, zanim rozprysło się w drobiazgi.

Miał wrażenie, że cały budynek, podłoga, na której siedział, całe powietrze w salonie, wszystko zostało popchnięte do tyłu, kiedy lokomotywa przebiła się przez ścianę i wpadła do sali. Huk jakby obłożył mu bębenki grubą warstwą. Komin lokomotywy przebił się przez wschodnią część antresoli, a pysk w kształcie pługa zarył w podłogę. Inverness wyhamowało Berthę, ale nie przestawała wżerać się dalej w głąb budynku, metr po metrze. Zatrzymała się w odległości pięćdziesięciu centymetrów od Macbetha. Komin dotknął balustrady antresoli po stronie zachodniej, a pług – stołu do ruletki. Na moment zapadła całkowita cisza. A potem zadzwoniły kryształy. Macbeth wiedział, co się stało. Bertha przecięła sznury przytrzymujące żyrandol nad jego głową. Nie zrobił nic, żeby się odsunąć, nawet nie spojrzał w górę. Zanim

wszystko spowiła czerń, zdążył jedynie zarejestrować, że otacza go czeski kryształ.

Duff z pistoletem maszynowym w ręku wspiął się na lokomotywę. Niskie promienie słońca przenikały przez kurz unoszący się w powietrzu.

– Działko w północnym skrzydle jest bez obsługi! – zawołała Caithness za jego plecami. – A co...

– Bez obsługi również na południu – odparł Duff. – Seyton leży przy stole do ruletki, ze sztyletem wbitym w pierś, i wygląda na bardzo martwego.

– Kasi jest tutaj. Chyba nic mu się nie stało!

Duff rozejrzał się po tym, co kiedyś było salonem gier. Wykasłał kurz. Nasłuchiwał. Oprócz terkotu kulki gorączkowo wirującej w kole ruletki panowała zupełna cisza. Niedzielny poranek. Za kilka godzin zabiją kościelne dzwony. Zszedł na dół. Przestąpił nad ciałem Seytona i zbliżył się do żyrandola. Szablą strącił kawałeczki kryształu z twarzy Macbetha.

Oczy Macbetha były szeroko otwarte i zdziwione jak u dziecka. Złocona iglica żyrandola skryła się w jego prawym barku. Niewiele krwi wypłynęło z rany, która rytmicznie obkurczała się i otwierała, jakby ssała iglicę.

– Dzień dobry, Duff.

– Dzień dobry, Macbeth.

– He, he. Pamiętasz, jak mówiliśmy to sobie co rano, kiedy się budziliśmy w sierocińcu? Ty na górnym łóżku.

– Gdzie są pozostali? Gdzie Olafson?

– To mądry chłopak, wie, kiedy pora uciekać. Tak samo jak ty.

– Twoi gwardziści nie uciekają – powiedział Duff.

Macbeth westchnął.

– No tak, masz rację. A uwierzysz mi, jeśli powiem, że stoi za tobą i zabije cię za... hm... dwie sekundy?

Duff przez moment patrzył na Macbetha, potem błyskawicznie się obrócił. Na rozciętej w połowie antresoli zobaczył pod słońce, którego blask wpadał przez wyrwę we wschodniej ścianie, dwie sylwetki. Jedną była wielka średniowieczna zbroja. Drugą Olafson, klęczący z karabinem opartym o balustradę. Piętnaście metrów. Z tej odległości Olafson trafiłby w jednocentówkę.

Huknęło.

Duff wiedział, że już nie żyje.

Więc dlaczego ciągle jeszcze stał?

Echo wystrzału rozniosło się po sali.

Macbeth zobaczył, jak Olafson wali się na zbroję, która sunie bokiem, wpada do dziury w podłodze antresoli i z piekielnym brzękiem spada na dół. Na antresoli został Olafson z twarzą przyciśniętą do balustrady. Policzek pod naciskiem przesunął się do góry, zasłaniając jedno oko, drugie było zamknięte, jakby zasnął nad swoim remingtonem 700.

– Fleance! – krzyknęła Caithness.

Duff odwrócił się w stronę północnego krańca. Tam, na antresoli, przy schodach prowadzących z górnych pięter, stał Fleance. Koszulę miał przesiąkniętą krwią, chwiał się na nogach i wyglądał tak, jakby przytrzymywał się ciągle dymiącego karabinu.

– Caithness, wyprowadź stąd Kasiego i Fleance'a – polecił Duff. – Natychmiast!

Duff opadł na krzesło przy stole do ruletki. Kulka straciła już rozpęd i wydawany przez nią odgłos się zmienił.

– Co teraz będzie? – wystękał Macbeth.

– Czekamy, aż przyjdą inni. W szpitalu cię połatają. Potem areszt. Proces federalny. Będą o tobie mówić latami, Macbecie.

– Wydaje ci się, że ciągle zajmujesz górne łóżko, Duff?

Zadzwonił kryształ. Duff spojrzał w górę. Macbeth podniósł lewą rękę.

– Wiesz, że mam szybkość muchy. Zanim zdążysz wypuścić z dłoni tę szablę i unieść pistolet, będziesz miał w piersi sztylet. Wiesz o tym?

– Możliwe – odparł Duff. Ale zamiast lęku poczuł tylko nadciągające ogromne zmęczenie. – A jednak ty jak zawsze przegrasz.

Macbeth się roześmiał.

– A to dlaczego?

– To tylko jedna z tych samospełniających się przepowiedni. Zawsze o tym wiedziałeś. Przez całe swoje życie. Że jesteś ostatecznie skazany na przegraną. Ta świadomość zawsze była i jest tobą, Macbecie.

– Doprawdy? A nie słyszałeś o tym, że nie może mnie zabić żaden człowiek urodzony przez kobietę? Obiecał mi to Hekate. I już wielokrotnie udowodnił, że dotrzymuje tej obietnicy. Więc mogę po prostu wstać i stąd wyjść. – Spróbował się podnieść, ale ciężar żyrandola mu na to nie pozwolił.

– Kiedy Hekate ci to obiecywał, zapomniał w swoich wyliczeniach ująć mnie. – Duff nie spuszczał wzroku z lewej ręki Macbetha. – Ja mogę cię zabić, więc leż spokojnie.

– Czy ty źle słyszysz, Duff? Mówię, że...

– Ale ja się nie urodziłem – syknął Duff.

– Nie urodziłeś się?

– Nie. Matka mnie nie urodziła, wycięto mnie z jej łona. – Duff się nachylił i palcem przesunął wzdłuż blizny na twarzy.

Macbeth mrugał i mrugał, szeroko otwartymi jak u dziecka oczami.

– Ty... Ciebie jeszcze nie było na świecie, kiedy Sweno ją zabił?

– Moja matka była wtedy w ciąży. Opowiadano mi, że usiłowała zatamować krwotok któremuś z kolegów policjantów, kiedy Sweno zamachnął się tym... – Duff uniósł szablę – ...i rozciął jej brzuch.

– A tobie twarz.

Duff pokiwał głową.

– Nie ujdziesz temu nienarodzonemu człowiekowi, Macbecie. Przegrałeś.

– Przegrana i jeszcze raz przegrana. Zaczynamy od posiadania wszystkiego, a potem wszystko tracimy. Myślałem, że to jedyny pewnik, amnestia śmierci. Ale nawet i ona nie jest już gwarantowana. Tylko ty możesz mi zadać śmierć i wysłać mnie tam, gdzie będę mógł znów się spotkać z ukochaną, Duff. Bądź więc moim zbawcą.

– Nie. Jesteś aresztowany i zgnijesz w więzieniu sam.

Macbeth roześmiał się cicho.

– Nie mogę. A ty się nie powstrzymasz. Nie powstrzymałeś się od próby zabicia mnie w zaułku i teraz też ci się to nie uda, bo jesteśmy tacy, jacy jesteśmy, Duff. Wolna wola to ułuda. Zrób więc to, co musisz. Zrób to, czym jesteś. A może mam ci pomóc i wymówić ich imiona? Meredith, Emilie i...

– ...Ewan – dokończył Duff. – To ty nie potrafisz być kimś innym niż tym, kim zawsze będziesz, Macbecie. Dlatego wiedziałem, że ciągle jest nadzieja dla Kasiego, chociaż słońce wyłoniło się już zza góry. Nigdy nie zdołasz zabić bezbronnego człowieka. I chociaż zostaniesz zapamiętany jako okrutniejszy niż Sweno, bardziej skorumpowany niż Kenneth, to pokonają cię twoje dobre cechy. Brak okrucieństwa.

– Zawsze byłem twoją odwrotnością, Duff. I dlatego twoim lustrzanym odbiciem. Więc zabij mnie teraz.

– Skąd taki pośpiech? Miejsce, które czeka takich jak ty, nazywa się piekło.

– No to pozwól mi tam iść.

– Jeśli poprosisz o odpuszczenie grzechów, to może cię to ominie.

– Tę możliwość już przehandlowałem. I cieszę się z tego, bo nie mogę się już doczekać ponownego spotkania z ukochaną. Nawet gdybyśmy mieli smażyć się w piekle po wsze czasy.

– Nie, nie. Będziesz miał sprawiedliwy proces i nie zostaniesz osądzony ani zbyt łagodnie, ani zbyt surowo. Będziesz pierwszym dowodem na to, że nasze miasto da się ucywilizować. Że można je jeszcze naprawić.

– Ty durniu! – krzyknął Macbeth. – Oszukujesz samego siebie! Wydaje ci się, że myślisz to, co chcesz myśleć, być tym człowiekiem, którym chcesz być, ale twój mózg akurat w tej chwili desperacko poszukuje wymówki pozwalającej ci zabić mnie leżącego, bezbronnego. I dlatego właśnie coś w tobie protestuje. Ale twoja nienawiść jest jak ta lokomotywa, nie da się jej powstrzymać, kiedy już raz ruszy.

– Mylisz się, Macbecie. Ludzie mogą się zmieniać.

– Doprawdy? No to poznaj smak sztyletu, wolny człowieku! – Macbeth wsunął lewą rękę pod kurtkę.

Duff zareagował odruchowo. Chwycił szablę w obie ręce i zadał cios.

Zdumiał się tym, jak gładko ostrze zanurzyło się w piersi Macbetha, nie napotykając na żaden opór. A gdy zatrzymało się na podłodze, wyczuł drżenie ciała Macbetha przenoszące się poprzez szablę na jego własne ciało. Spomiędzy warg Macbetha wydobył się przeciągły syk, a po nim prysznic delikatnych jasnoczerwonych kropelek, który spadł na dłonie Duffa jak ciepły deszcz. Duff spojrzał Macbethowi w oczy. Nie wiedział już, czego

w nich szuka, pojmował tylko, że tego tam nie znalazł. Dostrzegł jedynie resztki gasnącego światła, rozszerzające się źrenice, które powoli spychały na bok tęczówki.

Duff wypuścił szablę z rąk i cofnął się o dwa kroki.

Stanął w milczeniu.

Niedziela rano.

Z placu Robotników dochodziły głosy. Były już coraz bliżej.

Nie chciał. Ale wiedział, że musi. Dlatego to zrobił. Odsunął na bok połę kurtki Macbetha.

Jego lewa ręka leżała płasko na piersi. Nie było tam nic, żadnej pochwy na ramię, żadnego sztyletu, tylko biały gors koszuli, który powoli zabarwiał się na czerwono.

Lekki terkot. Duff się odwrócił i wstał. Odgłos dobiegł od stołu do ruletki. Na suknie jeden żeton leżał na czerwonym polu, pod sercem, drugi na czarnym. Ale dźwięk dobiegał z koła do ruletki, które obracało się coraz wolniej. Biała kulka tańczyła między liczbami. W końcu się zatrzymała. Wreszcie schwytana.

Na zielonym polu, które oznaczało, że wszystko bierze kasyno.

Że żaden z graczy nie wygrał.

43

Gdzieś daleko biły kościelne dzwony. Jednooki chłopak stał w poczekalni na Dworcu Centralnym i wyglądał na światło dzienne. Zdumiało go to, co zobaczył. Widok z poczekalni na Inverness zawsze zasłaniała Bertha, ale teraz stara lokomotywa tkwiła wbita w fasadę kasyna po drugiej stronie placu. Nawet w ostrym blasku słońca chłopak widział mrugające niebieskie światła radiowozów i błyskające flesze. Ludzie tłoczyli się przed

prowizorycznym ogrodzeniem zorganizowanym przez policję, a czasami jakiś błysk światła pojawiał się również w oknach Inverness. Pewnie technicy robili zdjęcia zabitym.

A więc to już koniec.

Chłopak zawrócił i poszedł korytarzem. Gdy zbliżył się do schodów do toalety, coś usłyszał. Przeciągłe, niekończące się wycie, jakby psa. Słyszał je już wcześniej – tak zawodziły spłukane ćpuny, które nie dostały swojej działki. Chłopak wyjrzał ponad krawędzią balustrady. Wśród cuchnącej ciemności zajaśniało ubranie. Miał już ruszyć dalej, kiedy usłyszał krzyk:

– Zaczekaj! Nie odchodź! Mam pieniądze!

– *Sorry*, dziadku, nie mam prochów, a ty nie masz forsy. Udanego dnia.

– Ale mam twoje oko!

Chłopak stanął jak wryty. Zawrócił do balustrady, spojrzał w dół. Ten głos. Czy to naprawdę mógł być... Zbliżył się do schodów, rozejrzał. Nikogo innego tu nie było. Zszedł więc w wilgotny zimny mrok. Smród wzmagał się z każdym krokiem.

Mężczyzna leżał na progu do męskiego kibla. Ubrany był w coś, co kiedyś może było białym lnianym garniturem. Teraz przypominało łachmany przesiąknięte krwią. Tak samo jak ten człowiek był zakrwawionym strzępem człowieka. Z czoła pod ciemną grzywką sterczał mu trójkątny kawałek szkła, a obok leżała laska z pozłacaną rączką. Do diabła, to rzeczywiście on. Ten, którego szukał przez tyle lat. Hekate. Oko chłopaka stopniowo przywykało do ciemności. Dostrzegł ziejącą ranę. Ciało rozdarte od brzucha po pierś. Ciągle sączyła się z niej krew, ale słabo, jakby już niewiele jej zostało. Za każdym razem, gdy krew przelewała się z rozdarcia, chłopak dostrzegał jasnoróżowe śluzowate wnętrzności.

– Zakończ moje cierpienia – wychrypiał stary. – A potem weź pieniądze, które mam w kieszeni.

Chłopak spojrzał na niego. To człowiek ze wszystkich jego snów, wszystkich fantazji. Po miękkich policzkach starego płynęły łzy bólu. Gdyby chciał, mógłby wyciągnąć nóż sprężynowy, ten, którego używał do siekania proszku, ten o krótkim ostrzu, którym kiedyś wyjął sobie oko. Mógł to samo ostrze wbić teraz w starego. Byłoby poetycko.

– Przedziurawił ci się żołądek? – spytał chłopak, sięgając pod marynarkę starego. – Kwas spływa do rany? – Zajrzał do portfela.

– Pospiesz się! – jęknął stary.

– Macbeth nie żyje – oznajmił chłopak i szybko przeliczył pieniądze. – Myślisz, że dzięki temu świat będzie lepszym miejscem?

– Co?

– Sądzisz, że ci, którzy przyjdą po Macbecie, będą lepsi, bardziej sprawiedliwi, bardziej miłosierni? Mamy powody, żeby tak myśleć?

– Zamknij się, chłopcze, i kończ to. Jeśli chcesz, możesz użyć laski.

– Jeżeli śmierć jest dla ciebie najcenniejsza, Hekate, to nie odbiorę ci śmierci, tak jak ty mi odebrałeś oko. Wiesz dlaczego?

Stary zmarszczył czoło. Zaczął się w niego wpatrywać, a chłopak po wyrazie jego mokrych od łez oczu zorientował się, że tamten rozumie.

– Ponieważ wierzę, że my, ludzie, jesteśmy zdolni się zmieniać i stawać lepsi. – Chłopak schował portfel do własnej dziurawej kieszeni. – Dlatego wierzę, że ci, którzy przyjdą po Macbecie, będą ciut lepsi. Zrobią tylko małe, malutkie kroczki naprzód, ale trochę lepsi będą. Trochę bardziej ludzcy. A tak w ogóle, czy to nie dziwne, że używamy określenia „ludzkie” na to, co dobre i miłosierne? –

Chłopak wyjął nóż, wyskoczyło ostrze. – Pamiętając o wszystkim, co sobie nawzajem zrobiliśmy na przestrzeni dziejów.

– Tutaj. – Stary wskazał na własną szyję. – Prędko!

– A pamiętasz, że ja sam musiałem sobie wydłubać oko?

– Co?

Chłopak wcisnął mu nóż do ręki.

– Więc sam to zrób.

– Ale powiedziałeś... bardziej ludzki... ja nie dam rady... Proszę!

– Małymi kroczkami. – Chłopak podniósł się i poklepał po kieszeni. – Owszem, stajemy się lepsi. Ale nikt nie zostaje świętym z dnia na dzień.

Wycie towarzyszyło mu przez cały dworzec. Aż do wyjścia na światło słońca.

44

Przezroczysta kropla deszczu spadała z nieba przez ciemność w stronę migoczących świateł portowego miasta w dole. Porywy wiatru z północnego zachodu rzuciły ją na wschód od powoli płynącej rzeki, która dzieliła miasto wzdłuż, i na południe od ruchliwej linii kolejowej, która dzieliła miasto w poprzek. Wiatr poniósł kroplę nad Dystrykt 4, nad Obelisk i nowoczesny, niedawno wybudowany kompleks o nazwie Źródło – dwa hotele, w których nocowali inwestorzy, biznesmeni z Capitolu, i gdzie tylko od czasu do czasu zaplątał się jakiś wieśniak, pytający, czy to nie tu jest kasyno. Większość ludzi już o tym zapomniała, ale pamiętano drugie kasyno, to mieszczące się niegdyś w budynku zarządu kolei, który przyjął teraz pod swój dach nowo otwartą bibliotekę. Kropla przeleciała nad Komendą Główną Policji, gdzie świeciło się

w gabinecie komendanta Malcolma, ponieważ trwało zebranie dowództwa w związku z reorganizacją. Początkowo nakazane przez burmistrza Tourtella i Radę Miasta ograniczenie zatrudnienia – w następstwie statystyk wykazujących silny spadek przestępczości – wywołało frustrację wśród pracowników. To w taki sposób nagradza się ludzi za to, że przez ostatnie trzy lata zrobili tyle dobrej roboty? Przyznawali jednak Malcolmowi rację, że głównym zadaniem policji jest doprowadzanie do sytuacji, w której sama staje się zbędna. Najgorzej oczywiście odbiło się to na Wydziale Narkotykowym i na wydziałach pośrednio dotkniętych załamaniem handlu narkotykami, takimi jak Wydział Zabójstw. Wydział Antykorupcyjny zachował obsadę, natomiast nowy Wydział Przestępczości Gospodarczej jako jedyny otrzymał więcej etatów. Wynikało to zarówno ze wzmożonej aktywności ekonomicznej na skutek tego, że miasto zaczęło przyciągać inwestorów, jak i z przyznania, że przestępcy w białych kołnierzykach do tej pory mieli za łatwo, a to zrodziło poczucie, że policja przede wszystkim służy bogatym. Duff bronił rozmiarów Pezetu, twierdząc, że potrzebuje ludzi do działań prewencyjnych, i tłumacząc, że jeśli przestępcy profesjonaliści znów na dobre zadomowią się w mieście, o wiele drożej będzie później kosztowało zaprowadzenie porządku. Rozumiał jednak, że podobnie jak inni, musi zaakceptować cięcia. Nawet szefowa Wydziału Zabójstw, Caithness, która tak przekonująco argumentowała, że przy obecnej liczbie etatów nareszcie mogą zaproponować mieszkańcom zadowalającą wykrywalność w sprawach zbrodni, musiała się poddać. Duff cieszył się więc, że nareszcie idzie weekend, bo razem z Caithness zaplanowali piknik w Fife. Cieszył się na to, a jednocześnie się tego bał. Dom został zburzony, a Duff pozwolił, żeby działka zarosła. Ale domek kąpielowy ciągle stał. Chciał leżeć z Caithness w palących

promieniach słońca, chciał czuć zapach wodorostów i desek. Nasłuchiwać echa śmiechu Emilie i Ewana, sprawdzić, czy ich radosne okrzyki nie wiszą ciągle w powietrzu. No i chciał sam popłynąć na wysepkę. Podobno nie ma żadnych dróg prowadzących do tego, kim było się dawniej. Musiał się po prostu przekonać, czy naprawdę tak jest. Nie po to, by zapomnieć. Tylko po to, by móc wreszcie skierować wzrok przed siebie.

Kropla deszczu sunęła dalej na wschód ponad drogimi ulicami handlowymi w Dystrykcie 2 Zachód, zanim wreszcie zaczęła opadać na porośnięte lasem wzgórze przy obwodnicy, teraz, pod wieczór, lśniącej niczym złoty łańcuszek okalający szyję miasta. Tam, na szczycie Wzgórza Wisielców, wpadła między drzewa i z szelestem uderzyła w wielki zielony liść dębu. Spłynęła na jego koniuszek, zawisła na nim i chwilę odczekała, aż nabierze odpowiedniego ciężaru, aby pokonać ostatnie metry dzielące ją od dwóch mężczyzn, którzy stali w ciemności pod drzewem.

– Miasto się zmieniło – odezwał się głęboki mroczny głos.

– Zniknął pan na długo, sir – odpowiedział mu jaśniejszy.

– Zniknąłem. No właśnie. Tak mi się wydawało. A pan mi nie powiedział, jak mnie pan znalazł, mister Bonus.

– O, mam uszy i oczy otwarte. Słucham i patrzę. To jakby mój talent. Zresztą, obawiam się, jedyny.

– Nie wiem, czy całkowicie w to wierzę. Proszę posłuchać. Nie będę ukrywał, że pana nie lubię, mister Bonus. Za bardzo przypomina mi pan coś takiego, co żyje w wodzie, przyczepia się do większych zwierząt i wysysa...

– Rybę podnawkę, sir?

– Myślałem o pijawce. Ohydna gadzina. Ale w zasadzie nieszkodliwa. Więc jeśli pan uważa, że jest pan w stanie mi pomóc w odzyskaniu mojego miasta, to może pan się na trochę przyssać.

Tylko niech pan uważa, bo jeśli pan przesadzi z tym ssaniem, to pana odetnę. No więc niech pan mówi.

– Na rynku nie ma żadnej konkurencji. Kiedy skończyła się podaż, wielu narkomanów uciekło do Capitolu. Rada Miasta i komendant policji nareszcie zaczęli opuszczać gardę. Cięcia etatów. Idealnie się pan wstrzelił. Potencjał nowych młodych klientów jest nieograniczony. A mnie udało się odnaleźć tę siostrę, która przeżyła eksplozję fabryki Hekate. Ona ciągle pamięta przepis. Klienci nie znajdą nic lepszego od tego, co będziemy mogli im zaproponować, sir.

– A do czego ja jestem panu potrzebny?

– Nie mam takiego kapitału, rzutkości ani zdolności przywódczych. Ale mam...

– Uszy i oczy. I ssawkę. – Stary wyrzucił niedopaloną cygaretkę Davidoff Long Panatellas, a kropla wisząca na gałęzi nad jego głową lekko się wydłużyła. – Zastanowię się. Ale nie z powodu tego, o czym pan mówi, mister Bonus. Każde miasto jest odpowiednio dobrym rynkiem, jeżeli ma się dobry produkt.

– Tak? A więc dlaczego?

– Ponieważ to miasto zabrało mi brata, mój klub, wszystko. Jestem mu więc coś winien.

Kropla się oderwała. Uderzyła w zwierzęcy róg. Spłynęła na gładką powierzchnię motocyklowego kasku.

– Winien mu jestem piekło.

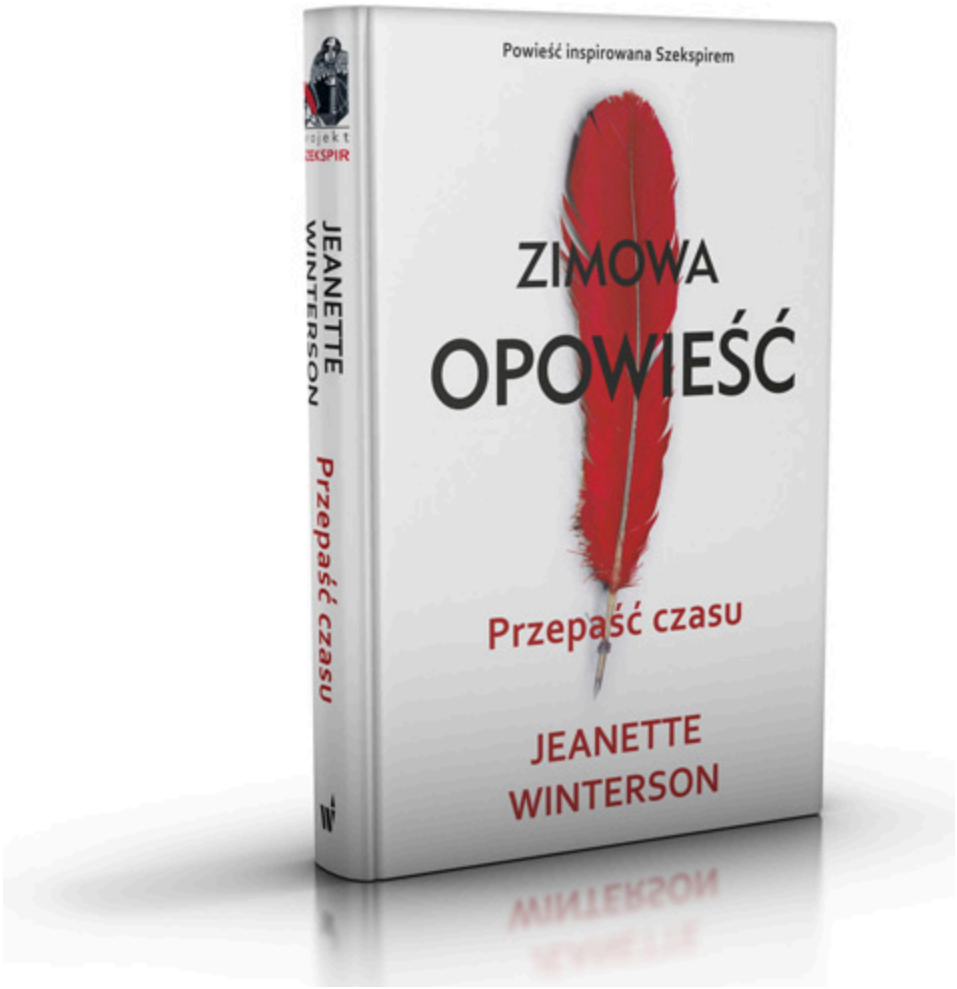


projekt
SZEKSPIR

współcześni uznani autorzy
dramaturg wszech czasów
uniwersalne historie opowiedziane na nowo

Z okazji przypadającej w 2016 roku 400. rocznicy śmierci Williama Szekspira brytyjski wydawca Hogarth Press zaprosił do współpracy bestsellerowych pisarzy. Powierzył im opowiedzenie na nowo najbardziej znanych dzieł wielkiego dramaturga. Owocem ich pracy i talentów literackich jest seria współczesnych powieści, które są wydawane w kilkunastu językach na całym świecie. W Polsce książki ukazują się w kolekcji PROJEKT SZEKSPIR.

ZIMOWA OPOWIEŚĆ	•	Jeanette Winterson
KUPIEC WENECKI	•	Howard Jacobson
POSKROMIENIE ZŁOŚNICY	•	Anne Tyler
BURZA	•	Margaret Atwood
OTELLO	•	Tracy Chevalier
MAKBET	•	Jo Nesbø
HAMLET	•	Gillian Flynn


Powieść inspirowana Szekspirem
ZIMOWA
OPOWIEŚĆ
Przepaść czasu
JEANETTE
WINTERSON
JEANETTE
WINTERSON
Przepaść czasu



Przepaść czasu

Uczuciowy trójkąt, zazdrość prowadząca do obłędu i porzucone dziecko. Winterson stworzyła głęboką opowieść o emocjach. W książce pobrzmiewają echa dramatu Szekspira, ale historia rozbitej rodziny londyńskiego bankiera jest na wskroś współczesna.


Powieść inspirowana Szekspirem
KUPIEC
WENECKI
Shylock się nazywam
HOWARD
JACOBSON
HOWARD
JACOBSON
Shylock



Shylock się nazywam

Kolekcjoner sztuki Simon Strulovitch potrzebuje kogoś,
z kim mógłby porozmawiać. O chorej żonie, którą musi
się opiekować, o córce, która schodzi na złą drogę...
Gdy spotyka na cmentarzu Shylocka,
postanawia zaprosić go do domu. Tak zaczyna się
niezwykła znajomość.
W swojej wariacji na temat Kupca weneckiego Howard Jacobson
śmiało zakrzywia czasoprzestrzeń, stawiając pytania o sens bycia
ojcem,
Żydem i miłosiernym człowiekiem we współczesnym świecie.


Powieść inspirowana Szekspirem
POSKROMIENIE
ZŁOŚNICY
Dziewczyna jak ocet
ANNE
TYLER
ANNE TYLER
Dziewczyna jak ocet



Dziewczyna jak ocet

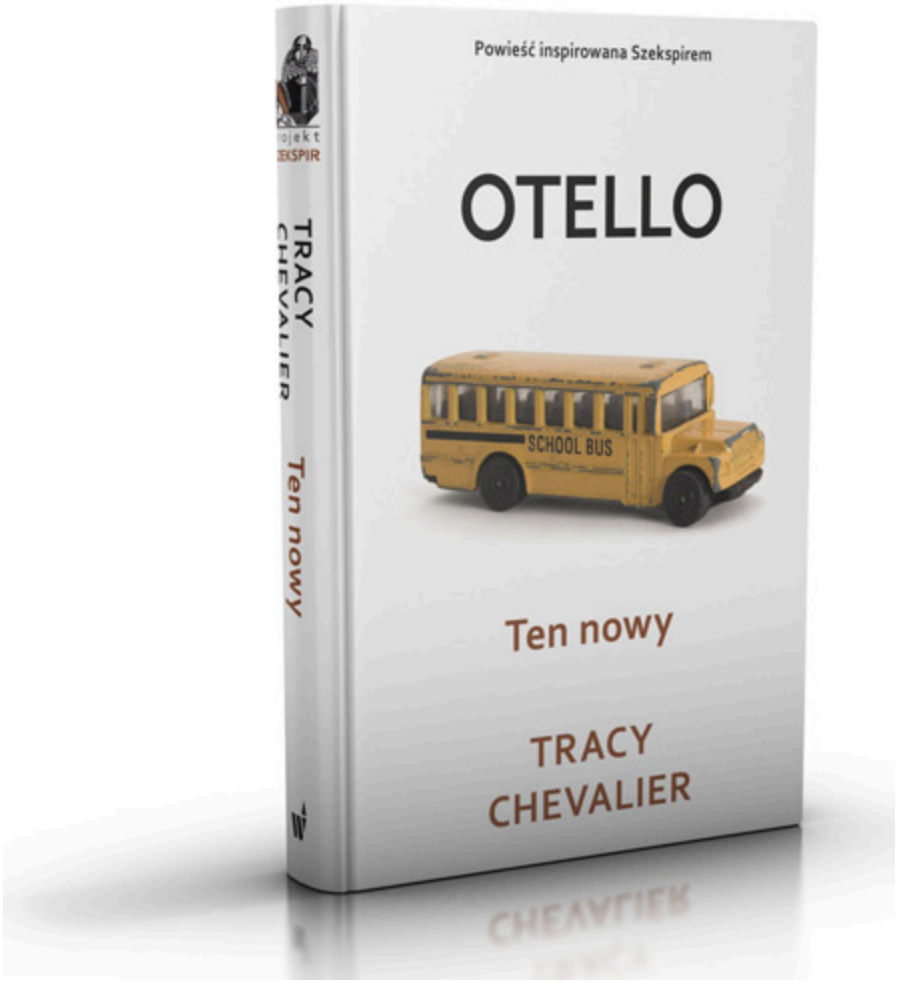
Doktor Battista jest o krok od przełomowego odkrycia.
Niestety jego błyskotliwy asystent może zostać
deportowany, co wstrzymałoby badania.
Naukowiec obmyśla plan, w którym kluczową rolę
ma odegrać jego córka Kate.
Anne Tyler stawia pytanie, czy współczesna, niezależna
kobieta jest w stanie poświęcić się dla mężczyzny.
Odpowiedź jest oryginalna i zabawna – jak sama Kate.


Powieść inspirowana Szekspirem
BURZA
Czarci pomiot
MARGARET ATWOOD
MARGARET ATWOOD
Czarci pomiot



Czarci pomiot

Felix, reżyser teatralny, zostaje bezceremonialnie
usunięty ze stanowiska dyrektora artystycznego
festiwalu w Makeshiweg. Odcina się od świata.
Gdy po latach życia w samotności podejmuje się prowadzenia
zajęć teatralnych w więzieniu, niespodziewanie
nadarza się okazja do zemsty...
Burza w interpretacji Margaret Atwood skrzy się
od intryg i zachwyca pisarskim rozmachem.

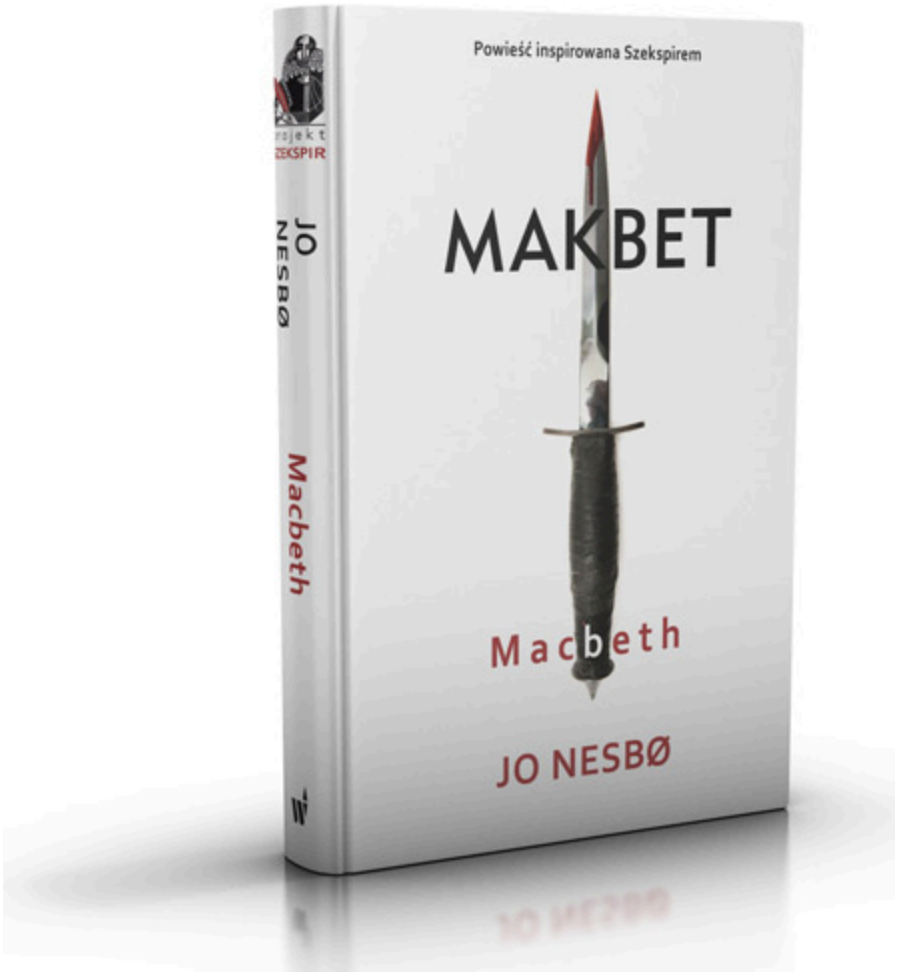

Powieść inspirowana Szekspirem
OTELLO
SCHOOL BUS
Ten nowy
TRACY
CHEVALIER
TRACY
CHEVALIER
Ten nowy



Ten nowy

Lata siedemdziesiąte. Dyplomata z Ghany
przeprowadza się z rodziną na przedmieścia
Waszyngtonu. Jego syn, jedenastoletni Osei,
już pierwszego dnia w nowej szkole zaprzyjaźnia się
z najpopularniejszą uczennicą. Znajomość szkolnej
gwiazdy i jedynego czarnoskórego ucznia
nie wszystkim przypada do gustu...

Przejmująca opowieść o zazdrości, przyjaźni
i dyskryminacji, napisana przez autorkę
Dziewczyny z perłą.


Powieść inspirowana Szekspirem
MAKBET
Macbeth
JO NESBØ
JO NESBØ
Macbeth



Macbeth

Macbeth, dowódca jednostki specjalnej,
po niebezpiecznej akcji przeciwko handlarzom
narkotyków zaczyna piąć się po szczeblach kariery.
Wspiera go Lady, właścicielka kasyna. Z czasem
zaczyna wierzyć, że aby dostać to, co mu się słusznie
należy, musi zacząć zabijać...

Norweski specjalista od mocnych wrażeń opowiada
na nowo najbardziej krwawą sztukę mistrza dramatu.

Przypisy

[1] ETA (Estimated Time of Arrival) – przewidywany czas wejścia statku do portu (przyp. tłum.).

[2] Tradycyjna potrawa znana w Skandynawii (*blodpudding*) i na Wyspach Brytyjskich (*black pudding*), przyrządzana ze świńskiej krwi, mąki i innych dodatków (przyp. red.).

ŚLADY ZBRODNI



MACBETH

Lata 70., skorumpowane miasto pełne przestępców. Macbeth, jeden z niewielu nieprzekupnych policjantów, jest dowódcą jednostki specjalnej. Po brawurowej akcji wymierzonej w handlarzy narkotyków zaczyna piąć się po szczeblach kariery. Wspiera go Lady, piękna i wpływowa właścicielka kasyna. Mężczyzna sam w młodości zmagał się z problemem narkotykowym, ale uzależnienie od władzy okazuje się znacznie bardziej niebezpieczne…

Makbet *jest historią bliską mojemu sercu, bo porusza tematy, z którymi ja również się mierzę, odkąd zacząłem pisać. Główny bohater z silnym kodeksem moralnym, ale jednocześnie słaby emocjonalnie, targany ambicją i wątpliwościami. Opowieść o dążeniu do władzy, osadzona nie tylko w ponurym otoczeniu, lecz także w mrocznym ludzkim umyśle. Tak, to brzmi znajomo.*

Jo Nesbø

Patronat medialny:

ams

KRAKOW UNESCO CITY OF LITERATURE

lubimyczytać.pl

BRITISH COUNCIL

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE
www.publicat.pl
ISBN 978-83-271-5850-5
EAN 9788327158505
U.WD.KRW084.1.01.01